dod. egz. cd

NOWE

WYPISY POLSKIE

CZYLI

WYBÓR RÓŻNYCH WYIMKÓW

PROZĘ I POEZYĄ

ZAWIERAJĄCY.

[Popliński Jan]

DLA UŻYTKU

MŁODZIEŻY SZKOLNÉJ.

POLSKIE MUZEUM SZKOLNE We LWOWIE

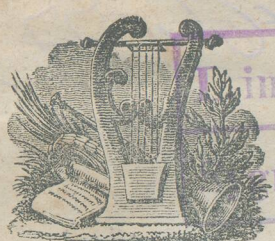

Inwent. 2049

CZĘŚĆ I.

Drugie wydanie.

Bibl. UAM 66 D74

W Lesznie i Gnieźnie.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera.

1841.

2,66


BIBLIOTEKA GŁÓWNA
UNIWERSYTETU im. A. MICKIEWICZA
W POZNANIU

32 f. 66

stud. egz. cd

NOWE

WYPISY POLSKIE

CZYLI

WYBÓR RÓŻNYCH WYIMKÓW

PROZĘ I POEZYĄ

ZAWIERAJĄCY,

[Popliński Jan]

DLA UŻYTKU

MŁODZIEŻY SZKOLNÉJ.

POLSKIE MUZEUM SZKOLNE We LWOWIE
Inwent. 2049
Bibl. UAM 66 D74



CZĘŚĆ I.

Drugie wydanie.

W Lesznie i Gnieźnie.
Nakładem i drukiem Ernesta Günthera.

1841.

464077 I/a.1

Biblioteka Główna Uniw. im. A. Mickiewicza w Poznaniu

PRZEDMOWA.

Zbyteczną sądzę być rzeczą, rozwodzić się obszernie nad potrzebą dobrych ksiąg elementarnych, których podobno jeszcze nie wielka jest liczba: wszyscy prawie nauczyciele czują w téj mierze niedostatek, czuje go równie młodzież szkolna; a przecież dotąd nie obmyślono lepszych środków naukowych i skuteczniejszéj pomocy. Cóż ztąd wynika? Oto młodzież nie znajdując w książkach elementarnych stósownych materyałów, któreby i wiekowi onéjże i duchowi czasu, i postępowi ogólnéj cywilizacyi odpowiadały, zrażona czczością lub oschłością osnowy, nie mając czém wrodzonéj zaspokoić ciekawości, zniechęca się do nauki najpotrzebniejszéj, to jest, do zgłębienia mowy ojczystéj i jéj literatury. Jednę jeszcze wadę podobnego rodzaju książek, wytykają światli i doświadczeni nauczyciele: wszystkie prawie tak nazwane Wybory i Wypisy albo wyłącznie samę tylko poezyą zawierają, albo, z uszczerbkiem prozy, zawiele obejmują wierszy; a ztąd pochodzi, że uczniowie, już i tak z natury do szumności i nadętości skłonni, poetycznym napuszeni szałem, w samych zaraz początkach styl sobie psują, źle prozą piszą, i z wielką trudnością otrząsają się z nałogów zaciągnionych. Wiadomo bowiem każdemu, ile to wymaga pracy, zadawnione wykorzeniać przesądy, prostować fałszywe zdania, naprawiać gust zepsuty; do czego jedynym stał się powodem przewrotny sposób ćwiczeń piérwiastkowych.

Wydawca, znając całą trudność przedsięwziętéj pracy, dalekim jest od mniemania, jakoby Zbiór niniejszy zupełnie

zaradzał niedostatkowi, i odpowiadał powszechnemu oczekiwaniu: dzieła podobnego rodzaju, częstokroć do okoliczności miejscowych zastósowane, rzadko kiedy przedzierają się za obręb zakreślony; atoli tą słodką pociesza się myślą, iż przynajmniéj niektórym lubownikom literatury, a szczególniéj młodzieży szkolnéj, chciwéj poznania obfitych płodów umysłowych, niejaką wyświadczył przysługę.

Ponieważ obeznanie młodzieży szkolnéj z literaturą krajową, było jednym z głównych celów wydawcy, przeto umieszczone zostały wyimki ze wszystkich prawie znakomitszych pisarzy: z dzieł oryginalnych, rzadko tłumaczeń, chyba że te klassyczności noszą na sobie cechę, lub z treści swojéj, w niedostatku oryginalnych płodów, na szczególniejszą zasługiwały uwagę. Mówię tu o istotnych tłumaczeniach dzieł powszechnie znanych, nie zaś o korzystaniu z źródeł, a czasem i dosłownym onychże przekładzie, zwłaszcza, gdy o tém autorowie sami przemilczeli.

Z pism dawniejszéj literatury polskiéj dla tego nie wiele umieściłem wzorów, gdyż wiém z doświadczenia, jak uczniowie klass niższych i średnich, którym tę poświęciłem pracę, mało jeszcze w podobnych smakują dziełach; i dopiero wtedy drogie te zabytki i obfite bogactwa należycie oceniać umieją, gdy już w klassycznéj literaturze znaczne uczynili postępy.

Drugi cel, aby obeznać dzieci z rzeczami ojczystémi, był mi powodem do wybierania takich materyałów, które, chociaż może mniéj ważne i interesowne, temuż zamiarowi lepiéj odpowiadać się zdawały. W ogólności zaś starałem się o to, aby młodzież z tych wzorów czerpała czyste zasady moralności, doskonaliła umysłu i serca przymioty; a łącząc zawsze z zabawą pożyteczną naukę, potrzebnego nabywała światła, jakiego po niéj przyszłe powołanie koniecznie wymagać będzie.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

PROZA HISTORYCZNA

CZYLI

OPOWIADANIE.

A. PARABOLE CZYLI PRZYPOWIEŚCI.*)

1. OJCIEC I SYN.

Widzisz ten kamień, rzekł raz ojciec do syna, ileż on tu lat przetrwał, przecież zawsze jednaki, leży martwy bez czucia, bez wdzięku, i żadnego pożytku nie przynosi. Jak ci się zdaje? gdyby się nim zręczny zajął rzemieślnik, nie mogłożby z niego być wyobrażenie wielkiego męża, zachęcające do cnoty?

Prawda Tato, odpowie mały Broniś. — To samo dzieje się i z wami, kochane dzieci, mówił daléj ojciec; tę tylko widzę różnicę, że kamień czekać musi szczęśliwéj pory, wy ją przyspieszyć możecie. I wy w początku wieku waszego nie macie pięknych uczuć, nie umiecie myśleć. Dobre przykłady i nauki rozwijają zdolności i uczucia: ale niechże wam braknie na dobrych chęciach, niech się nie zajmie w sercu gorliwość, wtedy wszystko na próżno; wiecznym, że tak rzekę, będziecie głazem. Dziełka dla was ułożone, pomagają tylko waszym dobrym chęciom. Świętych obowiązków cnoty, uczcie się w czynném życiu z dobrych przykładów; a przestrogi w książ-

*) Parabole i Fraszki pod pewnym tylko względem do Prozy historycznéj liczyć się mogą, lecz ponieważ żywo dziecinną zajmują uwagę, przeto z téj przyczyny tutaj na początku się kładą.

kach zawarte, niech wam je tylko przypomną. Wiadomości naukowe, niech was zwolna do myślenia sposobią. Czytając z upodobaniem, zastanawiajcie się nad wszystkiém, rozróżniajcie co dla waszego wieku pisane, i składajcie wszystko porządnie w pamięci waszéj. Z nauką łączcie zabawę: nikt wam tego nie zabroni, i owszem przyjaciele dzieci chętnie jéj dostarczą.

(Jachowicz, wydawca Dziennika dla Dzieci na rok 1830., zob. Wybór Bajek pol. str. XXVI.)

2. NIEPOGODA.

Poco to zimno przenikliwe? ten wiatr ostry? te pola i drzewa ogołocone? dla czego ta niepogoda? czemu nie zawsze zielono i ciepło? pytał się Kostuś ojca, wracając zziębnięty ze szkoły. — Czemu? odpowiedział mu ojciec, bo trzeba, żeby złe zielska wymarzły, powietrze się przeczyściło, ziemia spoczęła, a wiosna milszą nam się wydała. Ciekawość twoja, mój synu, już widzę daleko sięga; może mnie nie długo zapytasz: poco są ludzie strapieni, chorzy, ubodzy? czemu człowiek nie zawsze zdrów i szczęśliwy? podobnież wtedy jak dziś ci odpowiem: bo trzeba, żeby dusza jego nowéj mocy nabrała, żeby się nad błędami swémi upamiętał, mniéj miał sposobności do złego, lepiéj szczęście cenić umiał. Wierzaj mi, mój synu, na nic narzekać, niczemu się dziwić nie przystoi; wszystko w przyrodzeniu i życiu ludzkiém ma słuszne przyczyny, wszystko mądrze urządziła Twórcy ręka: a jeśli tego dostrzedz nie możemy, naszéj słabości to wina.

(Ten i następne wyimki wzięte są z Rozrywek dla Dzieci, pisma peryodycznego, od r. 1824 — 1828. wydawanego przez Klementynę Tańską, autorkę szacownych dzieł: Pamiątka po dobréj matce, wydanie trzecie, w Warszawie r. 1820; Amelia Matką, i innych.)

3. PRACA ODKŁADANA.

Przy jednym wiejskim ogrodzie, był spory kawał ziemi, zupełnie zaniedbany: pośród mnóstwa kamieni wyrastały gdzie niegdzie kępy ostu i innego zielska. „Ojcze! my ten kawał ziemi oczyścimy!“ powiedzieli dnia jednego trzej bracia do właściciela, „daj go nam na rok jeden.“ „Chętnie!“ odpowiedział ojciec, i kawał ziemi na trzy równe części podzielił. Było to na końcu Marca, już do gruntu puściło. Dni bywały piękne i najzdatniejsze do podobnéj roboty. Trzej bracia wzięli się do swojéj, i dwaj starsi, w przeciągu tygodnia, oczyścili dział swój prawie zupełnie. Młodszy więcéj się bawił, niż robił; i tamtych skończona była praca, kiedy on swoję zaledwie zaczął. Gdy mu ojciec tę opieszałość wyma-

wiał, odpowiadał: „O! dopiéro początek wiosny, dosyć czasu będzie!“ Tymczasem dzień za dniem schodził, a Franuś odkładał nadal pracę. Nadeszło lato, z latem upały: ile razy wziął się do roboty, pot lał mu się z czoła, i przestawać musiał. „Nadejdzie chłodna jesień,“ mówił sam do siebie, „to będzie pora najlepsza!“ Nadeszła jesień: ale jednego dnia wiatr zasypywał Franusiowi oczy, drugiego deszcz go kropił. „Przyjdzie zima,“ mówił, „bywają dni piękne i jasne, ja to w mgnieniu oka zrobię.“ Przyszła zima, Franuś do kamieni i do zeschłych łodyg; lecz cóż? przymarzły zupełnie, nic zrobić nie mógł.

Jak niebaczny Franuś błądził, tak błądzi każdy, który pracę na dalszy czas odkłada, a w obecnéj chwili próżnuje. Co masz do czynienia, dopełnij jak najprędzéj: teraźniejsza godzina sprzyja twéj pracy, a któż ci za dalsze zaręczyć potrafi? Jeśli zawsze pomyślniejszéj pory czekać będziesz, może cię śmierć zimna zaskoczyć, nim dzieło rozpoczniesz.

4. PLEBAN I KMIOTEK.

Pobożny jednéj wioski pleban, przechadzając się po polu, napotkał młodego kmiotka. Kmiotek był zadumany, patrzał ze smutkiem na zagony. „Cóż ci to, moje dziécię?“ zapytał się go dobry pleban. — „Trapię się i kłopocę,“ odpowiedział chłopek, „mój jęczmień wschodzić niechce.“ — „Próżne i niepotrzebne te troski,“ zawołał pleban, „po cóż się martwić rzeczą, któréj zaradzić nie zdołasz? żebyś tu cały dzień stał i dumał, czy dla tego jedno ziarnko kieł wypuści? I mój jęczmień jeszcze nie zeszedł; ale ja się tém nie trapię. Uprawiłem dobrze rolą, wyczyściłem ją z zielska, wrzuciłem w nie czyste ziarno; resztę zostawiam Bogu. Bo zaorać i zasiać nędzny człowiek może, ale wzrost i plon w ręku jest nieba. My ludzie dopełniajmy tylko tego, co do nas należy; wszystkie dalsze troski i owoce pracy naszéj polecajmy Bogu. On o nas pieczą mieć będzie, on nieudolność naszę zastąpi!“

5. DWIE JABŁONIE.

Jeden ogrodnik miał dwóch synów, rok był tylko między nimi różnicy. W Maju darował obudwom po ślicznem drzewie jabłoni. Jednego wzrostu, jednego gatunku, jednéj czerstwości były oba te drzewa, i oba okryte zarówno kwiatem. „Synowie moi!“ rzekł do nich, „daję wam piękne i jednakowe dary: od was zależeć będzie piękność ich w jednakowym utrzymać stanie; ale ostrzegam, że bez pracy i starania tu się nie obejdzie.“ Starszy, uważny i pilny, szczęśliwy z podarku

ojca, umiał się z nim obchodzić. Obrał drzewo z gąsiennic, przywiązał je do pala, skopał w około ziemię, żeby wilgoć łatwiéj do korzeni dochodziła: słowem, prawdziwym był opiekunem jego. Młodszy zaś, płochy i niedbały, zapomniał zupełnie o swojéj jabłoni, i dopiero w Październiku, gdy się w całym ogrodzie do zbierania owoców wzięto, przypomniał ją sobie. Pobiegł do drzewa, ale ani jednego jabłka nie zastał: gąsiennice część owocu jeszcze w zawiązkach zjadły, resztę wiatr strącił. Zasmucony, poszedł obejrzeć jabłoń brata, i zdumiał się na jéj widok. Drzewo znacznie się rozrosło, a jabłka piękne i duże zdaleka się czerwieniły! Rozgniewany i zazdrością zdjęty, pobiegł z żalem do ojca. „Tato!“ zawołał, „jak mógłeś dać memu bratu takie śliczne i rodzajne drzewo, a mnie brzydkie i niepłodne?“ — „Jednakowo was udarowałem,“ odpowiedział ojciec; „ale twój brat utrzymał i polepszył dar mój staraniem, a tyś go zniszczył niedbalstwem. Jaka praca, taki zysk.“— Ileż to razy podobne w życiu trafiają się zdarzenia? rodzice dadzą dzieciom jednakie wychowanie, jednaki majątek; a dzieci niejednakowy użytek z tych darów odnoszą. Lecz czyjaż w tém wina?

6. BŁAWATKI.

„Ach! żeby to zagony samemi bławatkami były zasiane!“ wołały na przemian Basia i Józia, idąc z matką przez pole, kłoszącém się żytem okryte: „jakby to przedziwnie było! jakiebyśmy miały bogate wieńce! a tak mały tylko uzbiérałyśmy pęczek, bławatków trochę, a tych utrapionych kłosów tyle!“ — „Dzieci! dzieci!“ odpowiedziała im matka, „jakże płoche to wasze żądanie! Czy nie wiécie, że nie te kwiaty, z których nie ma użytku, ale kłosy celem są wszystkich rólnika zabiegów?“ — Pole do życia porównać można, bławatki do zabaw i igraszek, kłosy do starania i pracy. Ktoby zabawom i igraszkom dni swoje poświęcał, byłby podobny temu, któryby wszystkie zagony bławatkami zasiał. Czas jaki zdawałby się widok powabny i wesoły, ale w chwili żniwa niby do zebrania nie miał.

7. STRUMYK.

W gorącym dniu sierpniowym, mała Zosia szukając ochłody, usiadła z matką nad brzegiem czystego strumyka. Patrzyła z upodobaniem na kamyczki leżące na dnie; na niebo, drzewa i kwiaty, odbijające się w spokojnéj i przezroczystéj wodzie. Wtém wiatr powstał, zmieszał wodę, i znikły miłe obrazy. Zasmuciła się Zosia. — „Niech ci ten widok

nauką będzie," powiedziała jéj matka: „swój obraz niechcący widziałaś. Pókiś czysta i spokojna, póty czytać w sercu twojém można; póty w niém samo niebo się odbija: lecz skoro namiętności, gniew, zazdrość, upór, powstaną w twéj duszy, zmiesza się spokojność twoja: przestaniesz być czystą, nadobną i miłą."

8. WSCHÓD SŁOŃCA.

Mała i ciekawa Cesia pytała się raz matki, dla czego od razu nie uczy jéj wszystkich rzeczy, któreby ona umieć chciała? dla czego z odpowiedzią na wiele zapytań, lat starszych czekać jéj każe? — „Chcesz jutro wstać o piątéj godzinie?" powiedziała jéj matka, „zaspokoję tę ciekawość." — „O! wstanę i raniéj!" zawołała dziewczynka. I w saméj rzeczy jeszcze było zupełnie ciemno nazajutrz, kiedy się obudziła i wstała. Matka kazała jéj usieść w oknie na wschód położoném. Powietrze było czyste, widok otwarty; zobaczyła wnet Cesia piérwszy brzask jutrzenki: zrazu zaledwie był dojrzany, ale po trochu wzmagało się światło, a szérząc się zwolna, ogarnęło nieznacznie widnokrąg cały. Już wszystkie przedmioty widzieć dobrze było można, kiedy dopiéro ukazało się ogniste słońce, i do reszty oświeciło przyrodzenie. — „Otóż widziałaś," rzekła tu matka do Cesi, „odgadnienie obchodzenia się mojego z tobą: wzór przedwieczny i wymowny, jak z udzielaniem światła postępować należy. Równie, jak oczy nasze nie wytrzymałyby tego, żeby od jednego razu noc ciemną ogniste słoneczne światło zastąpiło, tak i umysł dziecięcia nie zniósłby nagłéj oświaty. W fizycznym i moralnym świecie, zawsze zorze słońce poprzedzają."

9. KRĘTE ŚCIEZKI.

„Dla czego, ojcze, wszystkie prawie ścieżki tu wydeptane są kręte?" mówił syn do ojca, chodząc z nim po górach i polach: „mnie się zdaje, że prosta droga najkrótsza?" — „Mój synu," odpowiedział ojciec, „jedni tak wydeptali te ścieżki dla wygody przez lenistwo, chcąc kamień, rów, wzgórek ominąć: drudzy tak uczynili przez nieuwagę, niepatrząc na cel, do którego dążyć byli powinni, szli to w lewą, to w prawą, i tych zapewne najwięcéj się trafiło: ich torem reszta poszła. Tak ludzie i w wędrówce swojéj do szczęścia czynić zwykli: jedni przeszkód i trudów, na prostéj drodze będących, niechcąc pracą i stałością przezwyciężyć, wolą je przebiegami, dowcipem ominąć, i krętemi idą ścieżkami; drudzy nierozmyślni, udając się, gdzie ich oczy prowadzą, także z prostéj

zbaczają drogi. Synu mój! nie idź wydeptanym od nich śladem, strzeż się manowców, trzymaj się drogi prostéj, a najprędzéj dójdziesz do celu.

10. WIERZCHOŁEK GORY.

„Kiedyż i kiedyż na tym wierzchołku staniémy?“ mówiły dzieci do ojca, wchodząc z trudnością na wysoką górę; kiedyż ujrzymy ów piękny widok, który nam od początku drogi obiecujesz?“ — „Cierpliwość i wytrwanie,“ odpowiedział im ojciec; postępujcie zwolna, lecz ciągle; a jeżeli ta podróż przykrą wam się wydaje, umilajcie ją sobie wyobrażeniem radości, która was czeka na końcu.“ Usłuchały dzieci, i prędzéj, niż się spodziewały, na szczycie góry stanęły. Tam widok rozległy i czarujący, który objęły za jednym rzutem oka, nagrodził im sowicie poniesione trudy: zapomniały ich nawet, a z uczuciem wdzięczności mówiły do ojca: „Dziękujemy Ci!“ — Tak i z nami, lube dzieci, będzie. Idziemy prawie wszyscy, drogą trudną i często przykrą; udoskonalenie umysłu i duszy naszéj, nieraz drogo opłacone się wydaje. Ale cierpliwość i wytrwanie! Prowadzi nas Ojciec niebieski na wysoką górę; skoro na jéj szczycie staniemy, trudy zapomniane będą; sama radość i wdzięczność zostanie.

11. FIJOŁEK.

„Prawda, że fijołek pięknie pachnie, skromnie między listkami się chowa, ale téż bardzo nikczemny i drobny; i nie wiém, czy godzien tylu pochwał, którémi go obsypują i w prozie i w wiérszach?“ tak mówił Władyś do ojca, przypatrując się fijołkom, świéżo na łące ogrodowéj zerwanym. „Zapominasz o największym fijołka przymiocie,“ powiedział na to ojciec, „o tym, że rychło kwitnie; temu on winien niezliczone owe pochwały; jeden z pierwszych darów wiosny, zwiastuje nam dalsze jéj dobrodziejstwa, i przeto tak miły; gdyby kwitł w Czerwcu, zaledwieby o nim wspomniano. Obrazem on jest przymiotów dziecinnego wieku; drogie i wielbione dla tego najwięcéj, iż większe zwiastują. Biada byłoby przyrodzeniu, gdyby wiosna swe dary na fijołkach skończyła; biada mnie, synu mój! jeśli poprzestaniesz na przymiotach i świetle, które dziś posiadasz!“

12. DRZEWA W JESIENI.

W jednym z dni porannych późnéj jesieni, młody Alexy siedział w ogrodzie i dumał. Drzewa już zupełnie z owoców ogołocone, wiatr do reszty liści pozbawiał; spadały jedne

po drugich, smutny sprawując szczest. „Wszystko więc w przyrodzeniu ma swój koniec!“ zawołał, „wszystko ginąć musi! Te drzewa kwitły niedawno, gałęzie ich świeżém liściem okryte, gięły się pod ciężarem owoców... a teraz... Ach! to i memu sędziwemu ojcu przyjdzie niedługo...“ Mocne wzruszenie nie dozwoliło mu dalszych słów wymówić. Schylił głowę, oczy jego napełniły się łzami, zasłonił twarz rękoma. Lecz wtém upadły mu ręce, stanął przed nim ukochany ojciec; przechadzając się niedaleko usłyszał skargi młodzieńca, i tak rzekł do niego: „Synu! czegóż się smucisz? nad czém płyną łzy twoje? Wiecznież to ma być zima? czyż wiosny nie będzie?... Tak dopełniły te drzewa rocznéj powinności swojéj, wydały kolejno liść, kwiat i owoce, teraz odpoczną; lecz wkrótce nową przywdzieją odzież. Podobnie z twojm ojcem się stanie; pracowitego dokonawszy życia, legnie w grobie, ale wnet powstanie i na wieki żyć będzie!“ — Podniósł głowę Alexy, i nadzieja złagodziła smutek jego.

13. DWAJ PODRÓŻNI.

Z piérwszym brzaskiem jutrzenki, dwóch podróżnych wybrało się w drogę: obaj do jednego dążyli miejsca, obaj przed wieczorem u celu stanąć mieli, obudwóch na końcu czekała nagroda. Droga ich była na przemiany, miła i przykra, łatwa i trudna: jeden z nich szedł prosto i bez przestanku, dobrze się usposobił na podróż, nabył wiadomości od ludzi doświadczonych i rozsądnych, którzy przed nim tę drogę odbywali; a w trudniejszych razach radził się jeszcze tablic dobroczynnych, po drodze przybitych. Drugi zaś puścił się wcale nieopatrzony; nikogo nie słuchał, sam chciał sobą kierować; a gdy już raz był w drodze, każdego przechodnia się pytał i na jego słowo się zatrzymywał; zbaczał to w tę, to w ową stronę. O samém południu piérwszy stanął z chlubą u celu podróży, przyjęty był z weselem i nagrodę otrzymał; drugiego ciemności nocy wpośród drogi ogarnęły; wstyd i żal udziałem jego został. — Dzieci! wy jesteście podróżni, życie jest drogą, wiek dziecinny i młodzieńczy czasem podróży. Jeśli szanując napomnienia i przestrogi i rodziców i nauczycieli, iść będziecie wskazanemi przez nich ślady; jeśli nie tracąc czasu na usterki, krok wasz ciągły i baczny będzie; jeśli sumienie i prawo przewodnikiem waszym się stanie; dójdzie każde z was zawczasu do wskazanéj sobie mety, dopnie naznaczonego celu, i od wdzięcznych współbraci chlubną nagrodę otrzyma. Lecz jeśli przeciwnie które z was własnym rozumem rządzić się zapragnie, a potém lada kogo usłucha; jeśli kroki

jego będą niepewne i marnować czas zechce, nie dójdzie chlubnego celu; minie czas podróży; wstyd srogi, żal zapóźny, całym będzie jéj owocem.

14. KŁOSY CZERWONE.

Piękną włość zostawił ojciec dwom synom, która złotą sandomirską rodziła pszenicę. Umierając, rzekł do nich: „Podzielcie na połowę posiadłość, niech każdy na części swojéj z Bogiem zasiewa i zbiera; żyjcie skromnie i w zgodzie, a na przygody gotowi, wspierajcie się wzajem!“

Podzielili się bracia, mieli pokój w domach swoich i miłość u ludzi. Ale starszemu mało było na złotéj pszenicy, którą zbierał z swéj części, mało na trzodzie, którą obok braterskiéj na jedném widział pastwisku. Nie miły mu był chleb biały, przykry głos brata, smutne dni trawił i nocy niespane.

Słońce się już skryło za lasy, gdy milcząc spiesznym krokiem szedł w pole. I widzi na miedzy zatkniętą szablę brata, który zawłóczył świeżo posiane zboże: wtenczas duch piekielny szepnął do niego: „jak łatwo zbierać możesz to zboże, które brat sieje.“

Noc się zbliżała, wyjął szablę z miedzy i zdradziecko wtłoczył ją w piersi idącego ku niemu brata: wytrysła krew gorącym potokiem na ziemię, ucichło krótkie jęczenie, i noc przykryła zbrodnię; ale chciał, by ją i ziemia wiecznie przykryła. Zakopał więc ciało głęboko w roli zasianéj i zaorał, że śladu żadnego nie było, i poszedł do domu krwawy dziedzic po bracie.

Same konie powróciły do domu; nocą i dniem szukała czeladka Pana, a zabójca naśladował jéj żale.

Stał się całéj włości dziedzicem do czasu, bo nie było pewności o śmierci brata. Ale biały chléb nie był mu milszym, nocy jego nie były spokojniejsze; ani noc, ani ziemia zbrodni jego ukryć przed nim nie mogła.

Pięknie zazieleniły się niwy, winszowali sąsiedzi bogatych plonów: ale on stał smutny, jakby sądzony, bo on tylko wiedział, że na miejscu, gdzie leżał brat zaorany, krwawe kłosy wiewały. Wskowronku, co się nad nim unosił, słyszał oskarzyciela swojego; uciekał do domu i nigdy już nie śmiał oglądać łanów kłosami bogatych.

Nadeszły żniwa; przepełniła niemi brogi wesoła i niewinna czeladka, ale każdy chléb, którego dziedzic do czasu się dotknął, krwią trącił i krwią był zbroczony. A w nocy gdy snu przyzywał, stawał przed nim skrwawiony duch brata, i krew nań strząsał z czerwonych kłosów.

Ginąc śmiercią okropną z bezsenności i głodu, nazwał się przed czeladką zabójcą brata. I leży na środku órnego pola mogiła, suchą przywalona hoiną, gdzie zabity z mordercą jest pochowany.

Wszyscy órzmy spokojnie dziedziczną rolę, nie pragniéjmy posiadłości brata, bośmy wszyscy dziedzicami do czasu, i tylko sumienie pójdzie za nami do grobu.

15. BÓG WSZYSTKO WIDZI.

(Rozmowa wyjęta z Nauki Czytania przez Konstantego Wolskiego. † 1810).

Stanisław przechodził się dnia jednego z synem swoim, Floryanem, po polu. Było to czas jesienny, a jeszcze ciepło było. Florkowi pić się zachciało; obróciwszy się do ojca, rzecze:

Floryan. Ach! Ojcze, pić mi się chce! Patrz, jak w tym ogrodzie piękne są gruszki na drzewie! Radbym ich skosztował.

Stanisław. Wierzę ja temu, mój synu! Ale ogród jest zamknięty.

Floryan. Ja łatwo przez płot przelézę!

Stanisław. A cóżby na to gospodarz tego ogrodu powiedział?

Floryan. Zapewne go tam nie masz: bo ja nikogo nie widzę.

Stanisław. Mylisz się, moje dziecko! Jest taki, który patrzy na nas, i mógłby nas ukarać sprawiedliwie: bo to jest grzech wkradać się do cudzego ogrodu.

Floryan. A któżby to nas widział, mój Ojcze?

Stanisław. Ten, który wszystko widzi i słyszy, który przenika myśli i serca nasze, to jest Bóg.

Floryan. Prawdę mówisz, mój Ojcze! nie przyszło mi to na myśl.

Tymczasem człowiek, który leżał na murawie, podnosi się i odzywa się do nich z zapłotu:

„Podziękuj Bogu, moje dziecko! że twój ojciec nie pozwolił ci wleźć do mego ogrodu. Pod tém samém drzewem zastawione są żelaza na złodziejów: byłbyś w nie wpadł, i uchwycony za nogę, zostałbyś na całe życie kaleką. Ale, ponieważ usłuchałeś przestrogi ojca twego, i pokazałeś, że się Boga boisz; udzielę ci owoców, które ci zasmakowały.“

Wtém poszedł i przyniósł Floryanowi czapkę gruszek. Stanisław chciał mu płacić za nie, ale poczciwy starzec nie chciał nic przyjąć, mówiąc: Bóg mi to nagrodzi. Podzięko-

wali oba starcowi za tę uczynność. Odchodząc, rzekł Floryan do ojca: Co to za poczciwy starzec!

Stanisław. Prawda, mój synu! Czuje on to, że Bóg dobre uczynki nagradza, a złych nie puszcza bez kary.

Floryan. Czyżby mnie Bóg był za to ukarał, żebym gruszkę był urwał.

Stanisław. Wszak ci powiedział ten starzec, coby cię było spotkało.

Floryan. To prawda, żebym się był skaleczył, ale to nie Pan Bóg te żelaza zastawił.

Stanisław. Prawda i to mój synu. Wiedz jednak, że nic bez woli Boskiéj nie dzieje się na świecie. Umie Bóg tak nakierować wszystkie okoliczności, że poczciwy człowiek za dobre uczynki nagrodzonym bywa, a zły odbiera karę za złe sprawy. Powiem ci, co mi się zdarzyło widzieć w młodym wieku, a o czém nie zapomnę na całe życie.

Floryan. Jak jestem szczęśliwy dzisiaj, mój ojcze! nachodzę się z tobą po polu, najem się gruszek, i nasłucham się ciekawych rzeczy i pożytecznych.

Stanisław. Byłem jeszcze małym, jak ty, i bawiłem się przy moich rodzicach. Obok nas mieliśmy dwóch sąsiadów, Jędrzeja i Stefana. Jędrzéj miał synka nazwiskiem Jasia, a Stefan Franka.

Jędrzéj i Stefan mieli ogrody i sady w tyle domów swoich. Jaś bawił się często w ogrodzie swego ojca: a że był swawolny, rzucał na wszystkie strony kamieniami, nie dbając na to, że czasem mógł kogo ranić. Ojciec napominał go, aby tego nie robił, i pogroził mu nawet, że go ukarze surowo, jeźli tego nie poprzestanie. Ale na nieszczęście, dzieciuch ów nie słuchał ojca, i nie pamiętał na to, że Bóg ukarać go może. Dnia pewnego wymknął się Jaś z domu, nabrał w kieszeń kamyków, i zaczął ciskać po swojemu na wszystkie strony.

Stefan, drugi nasz sąsiad, czatował właśnie wtenczas w swoim ogrodzie z fuzyą nabitą na wróble, które mu wiśnie zjadały. Znajdował się tamże syn jego Franek, który téż sobie tém nabił głowę, że kiedy nikt na niego nie patrzy, wolno mu robić, co mu się podoba. Zdarzyło się, że ojca jego ktoś zawołał do domu; biegnąc tam zostawił fuzyą w ogrodzie, i kazał Frankowi pilnować, aby jéj nikt nie ruszał. Franek myślał sobie, że w tém nic złego nie ma, iż się pobawi ową fuzyą. Wziął ją, zaczął oglądać i przymierzać. Wtém kamień, który Jaś rzucił w owę stronę, trafił go w oko. Franek z boleści i strachu upuszcza fuzyą, i fuzya wystrzeliła. Dał się zaraz słyszeć krzyk w jednym i drugim

ogrodzie: Jaś został postrzelony w nogę. Tak jeden został ślepym na jedno oko, a drugi kulawym.

Floryan. Biedne chłopcy! jak ich żałuję!

Stanisław. Prawda, i ja ich żałowałem; ale więcéj jeszcze żal mi było rodziców ich obu, że mieli dzieci tak swawolne i nieposłuszne. W rzeczy saméj wyszło to na dobre owym dzieciom: bo choć jeden był ślepy na oko, a drugi kulał; poprawiły się jednak. Nauczyły się z doświadczenia, że nigdy nie wolno źle robić, nawet i wtedy, gdy nas nikt nie widzi; bo Pan Bóg zawsze patrzy na nas, i karze za złe sprawy. A i insi nawet nauczyli się z ich przykładu, jak słuchać potrzeba rodziców i starszych, a na Boga pamiętać.

Floryan. Będę i ja ostrożniejszy na drugi raz; przyrzekam ci, ojcze, że nigdy nie będę nawet pokryjomu źle robił, kiedy zawsze Bóg patrzy na nas.

Tak rozmawiając, powrócili nazad do domu, kontenci oba, i syn z ojca przestrogi, i ojciec z przyrzeczenia syna.

16. BÓG DOBRZE WSZYSTKO UŁOZYŁ NA ŚWIECIE. (Z tegóż.)

Adaś w zimie naślizgawszy się po lodzie, najeździwszy się sankami po polu, nabawiwszy się z drugimi śniegiem w ogrodzie, powrócił wesół do domu, i rzekł do ojca:

Adaś. Ach! mój Ojcze, jakby to dobrze było, gdyby zima zawsze trwać mogła! — Ojciec jego, nazwiskiem Nowicki, słuchał go w milczeniu, potém rzekł do niego:

Pan Nowicki. Mój synu, zrobiłbyś mi rzecz miłą, gdybyś mi to twoje życzenie potrafił napisać dla pamięci.

Właśnie też Adaś chodził już do szkoły, umiał cokolwiek pisać, i napisał, czego ojciec żądał, ręką drżącą od zimna.

Wkrótce minęła zima, a nastąpiła wiosna. Adaś, przechodził się wieczorem z ojcem po murawie, gdzie pełno było rozmaitych kwiatków; zapach był bardzo przyjemny, cieszyło go to niezmiernie, i nie mógł się wydziwić piękności świeżych kwiatków.

P. Nowicki. Wszakto wiosna te piękne kwiaty wydaje! bawią one oko, ale nie są długo trwałe, zwiędną wkrótce i opadną.

Adaś. Jakby to dobrze było, gdyby wiosna zawsze trwała.

P. Nowicki. A nie napisałbyś mi także i tego, czego teraz żądasz?

Adaś. Chętnie, mój ojcze!

Z wielką radością napisał znowu swoje żądanie. Po wiośnie nadeszło lato nie długo.

W lecie, gdy dzień był pogodny, poszedł Adaś z siostrami, braćmi i innymi chłopcami do wsi poblizkiéj.

Po drodze widzieli zboże dojrzewające, którego kłosy wiatr lekki pochylał; zdawało im się, że patrzyli na wodę kołyszącą się zwolna; daléj ujrzeli mnóstwo żniwiarzów, wyścigających się na zagonach, i wesoło wyśpiewujących; daléj jeszcze, liczne trzody rozbiegłe po polach. Najedli się wiśni, poziomek, malin i innych owoców, jakie lato wydaje. Gdy powrócili, zapytał P. Nowicki syna swojego:

P. Nowicki. A co? nie prawda, mój synu, że i lato ma swoje przyjemności?

Adaś. Prawda, mój ojcze, radbym teraz, żeby się nigdy nie skończyło.

Na żądanie ojca swojego napisał znowu to swoje życzenie.

Nakoniec jesień nadeszła. Cały dom poszedł zbierać jabłka, gruszki, śliwki, ogrodowiny: już nie było tak gorąco, jak w lecie: znowu nowa zabawa i nowe uciechy.

P. Nowicki. Ten czas tak piękny wkrótce przeminie, rzekł ojciec; zima zagląda do nas.

Adaś. Wolałbym ja jesień, niż zimę: bo ciepléj na dworze, i owoców najeść się można.

P. Nowicki. Wolałbyś jesień, niż zimę? zobaczże, mój synu, coś sam napisał, i głośno przeczytaj.

Adaś (czyta). Ach! mój ojcze, jakby dobrze było, gdyby zima zawsze trwać mogła.

P. Nowicki. Czytaj te kilka wierszy daléj.

Adaś (czyta). Bodajby wiosna nigdy nie schodziła.

P. Nowicki. A to co znaczy, coś tu napisał?

Adaś (czyta). Radbym, żeby lato nie kończyło się nigdy.

P. Nowicki. Czy znasz rękę, która to pisała?

Adaś. To moje pismo.

P. Nowicki. A jakież było ostatnie twoje życzenie?

Adaś. Aby jesień nie schodziła nigdy.

P. Nowicki. Uważ więc, że sam nie wiesz, czego chcesz; życzysz, żeby zawsze była zima, zawsze wiosna, zawsze lato, zawsze jesień. Możeż to być wszystko razem?

Adaś. Uznaję, mój ojcze, że wszystkie pory roku mają swoje korzyści i przyjemności.

P. Nowicki. Uznajże, mój synu, i to, że Bóg lepiéj zna, co nam jest potrzebne i pożyteczne, niżli my sami; że wszystko, co robi i dopuszcza, jest z dobrem naszém. Szczę-

śliwi jesteśmy, że nie jest w mocy naszéj odmieniać tego, co Bóg postanowił: to nawet, co nam się złe wydaje, wychodzi nam na dobre. — Gdyby człowiek nigdy nie cierpiał w chorobie, nie umiałby szacować zdrowia. — Gdyby czasem nie uczuł głodu; nie miałby pociechy wtenczas, gdy na chléb pracuje. — Gdyby za młodu nie znał przykrości w tém, że mu czego starsi odmówią; nie mógłby znieść napotém, gdy nie podług jego myśli co pójdzie. — Gdyby nie był za młodu ukarany za to, co złego zrobił sobie lub drugim; zawszeby źle robił, i byłby nieszczęśliwy na całe życie. — Ztądto pospolicie dobrze mówią: Nie masz złego, coby na dobre nie wyszło.

B. FRASZKI.

ANEKDOTKI ZABAWNE, DWUZNACZNIKI, MYŚLI DOWCIPNE I UCINKI.

a) ALOJZEGO ŻOŁKOWSKIEGO. *)

1. W pewnéj szkole w Warszawie zapytano uczniów: który jest największy z pomiędzy królów polskich? Jaki taki smażył sobie głowę, ale napróżno. Wtém jeden wyrywa się: „Ja wiem, Panie Professorze: oto największym jest Zygmunt na krakowskiém przedmieściu.

2. Zapytana jedna Panna, czy widziała kiedy zaćmienie słońca? odpowiedziała: widzialne widziałam, lecz niewidzialnego jeszcze nie.

3. Do pewnego Jegomości przyszedł chłopiec od krawca, przyniósł mu suknie i rzekł: proszę Pana na piwo. Jegomość, który mu nic dać nie chciał, fuknął na niego: co ty hultaju! śmiesz mnie prosić na piwo? a z kimże to ty masz do czynienia? jabym z tobą miał iść na piwo? proś sobie takich, jakeś sam, i wypchnął go za drzwi.

4. Do jednego chudego poety przyszedł wierzyciel i dopominał się o swoję należytość. Poeta mając głowę nabitą

*) Al. Żół., sławny komik polski, autor kilku komedyj i wydawca pisma peryodycznego pod tytułem: Momus, z którego niniejsze wyjątki. † 1822.

swoją tragedyą, zawołał na wierzyciela: czego tu stoisz wrogu? — Mości Panie, odpowiedział wierzyciel, ja nie wrogu, lecz na środku pokoju stoję.

5. Gdy jednego, który nie umiał pofrancuzku, zapytano w tymże języku, ile jest kościołów w pewném mieście? zmieszał się niezmiernie, nie wiedząc, co powiedzieć. Przyjaciel poddaje mu cinque. — Prawda, że sęk, tamten odpowiedział, i to nie mały, bo nie wiém, o co się pytają.

6. Gdy się pytano, jaka jest różnica między starym testamentem a nowym? — mała dziewczynka odpowiedziała: że stary, to jest podarty, a nowy cały.

7. Mówi Pan do chłopca: przynieś mi szklankę wody dla tego gościa. Chłopiec wchodzi, trzymając szklankę wody w ręku. Pan na niego: wróć się, hultaju, przynieś przecie na talerzu! Chłopiec się wrócił, wylał wodę na talerz, i niosąc mówi do siebie: ciekawy jestem, jak ten gość tę wodę z talerza wypije.

8. Jak się Panu podobał wczorajszy kwartet? — Piękny, bardzo piękny! szkoda, że tak słabo był obsadzony: za mało muzykantów, tylko ich czterech grało.

9. Gdy pewien żydek chrzcił się, domagał się koniecznie, aby mu dano imiona: Bolesław i Mieczysław. Zapytano go, dla czegoby tak wsławionych imion żądał? odpowiedział: bo moje teraźniejsze imie jest Berek Mosiek; a tak zdałaby mi się moja dawna pieczątka z literami B. i M.

10. Jeden pytał się przyjaciela swojego: jak się masz? żona zdrowa? dzieci czy się chowają? — Tak, odpowie, jak goście przyjadą, wszystkie się za piec chowają.

11. Francuzi zawsze są grzeczni, dowodzi tego następujące zdarzenie: Młody kat wieszał popierwszy raz złodzieja; a że nie wiedział dobrze, jak sobie ma prędko i zgrabnie postąpić, rzekł do złodzieja: wybacz Panie, że cię nudzę, bo po raz pierwszy dopiero wieszam. Na to mu złodziéj odpowie: wybacz Panie, że ci dopomódz nie mogę, bo mnie dopiéro piérwszy raz wieszają.

12. Pewien żołnierz zabił jednym kołkiem sześcioro ludzi w chałupie: sierżant zamiast chwytać sprawcę, wyrwał kołek, i ludzi zabitych wypuścił.

13. Ci, co się z dzieł swoich przodków wynoszą, podobni są do kartofli, których najużyteczniejsza część jest w ziemi.

14. A panowie Moraliści, którzy radzi jedynie drugich nauczać, są ani mniéj, ani więcéj, tylko jak te słupy, co drogi wskazują, a sami nigdy niemi nie chodzą.

15. Podług teraźniejszego słownika, obywatel pochodzi od tego, że się bez wielu rzeczy obywać musi.

16. Handlów winnych jest najwięcéj, chociaż ani jednéj butelki wina nie mają w swéj piwnicy.

17. Kapitan nie powinienby się nigdy nudzić, bo ma zawsze kompanią.

18. Muzykalność aż do więzień przechodzi; mamy tu bowiem raz wiązanych, dwa razy wiązanych, a wszyscy bas znają.

19. Od koziego mleka można utyć, a od kozy schudnąć.

20. Dłużnik ma dwa cienie, które za nim chodzą; z tych jeden podobny jest do woźnego.

21. Komu się po obiedzie kość dostanie, to magnat.

22. Jeden Jegomość stawia szklankę z piwem przed zwierciadłem, i powiada, że tym sposobem robi się dubeltowe piwo.

23. Processa muszą być rodzaju bożków, bo są nieśmiertelne.

24. Heraldyka i kuśnierstwo, są bardzo do siebie podobne, bo jak jedno, tak i drugie, stara się swe przodki wycelować.

25. Włochy musiały coś złego zrobić, bo im Wezuwiusz ustawiczne a ogniste czyni wyrzuty.

26. Zły tłumacz podobny jest do lokaja, który zlecenia pańskie niegodziwie opowiada.

27. List do Ameryki jednego dnia dojść może, tylko rzucić go wysoko w górę, to jak się ziemia obróci, on sam na Amerykę spadnie.

28. Pewna uboga kobieta prosiła jakiegoś Pana, aby raczył przyjąć jéj syna do usług. A za cóż on chce do mnie przystać? zapytał. — Dla niego wszystko jedno, odpowiedziała matka, czy za stróża, czy za lokaja, czy za murzyna.

29. Damy stolarstwem się bawią, cały dzień robią toalety.

30. Pewien zbierał składkę na ubogich i po drugi raz przyszedł z kapeluszem do jednego Jegomości, który był znany jako wielki skąpiec. Już dałem, ten powiedział. Przepraszam, rzecze zbierający składkę, nie widziałem, ale wierzę. A ja, szepnął mu sąsiad do ucha, widziałem, a nie wierzę.

31. Panie kapitanie, mnie się chce pić! zawołał pewien podróżny na okręcie. — A to WPan idź na dół do mojéj izby kapitańskiéj i napij się. — Tak, ja pójdę na dół, a WPanowie tymczasem odpłyniecie i zostawicie mnie.

32. Pewien straszne zaciągnął długi, zapewne wyda kredytorom wojnę.

33. Ariosto, sławny poeta, stawiał sobie mały domek. Zapytał go przyjaciel, czemuby budowniczy tylu przepysznych pałaców w swoim Orlandzie, sam na tak małéj przestawał budowli? — Bo słowa nic nie kosztują, a cegła droga.

34. Gdy pewnego pijanego zapytano: czego tu WPan oparty o mur stoisz? — Bo mi się strasznie w głowie kręci, odpowiedział; całe miasto lata koło mnie. — Czemuż nie idziesz do domu? Czekam, jak moja kamienica nadbiegnie, to zaraz do domu wpadnę.

35. Recepta na tragedyą. Weź jednego bohatéra i jednego złoczyńcę; tamtemu dodaj wszystkie cnoty, temu wszystkie zbrodnie, do jakich tylko człowiek jest zdolny; przemieszaj ich z sobą, tak, żeby raz ten, drugi raz ów się pokazał; dodaj do tego parę tuzinów o! ach! ha! kilka mdłości, tudzież morderstw, i jednę dozę miłości ad libitum: gotuj to wszystko aż do piątego aktu, i nawet daj kilka razy wyszumieć, potém zléj, zatkniéj morałem, i niech tak przez parę dni stygnie; poczém możesz użyć, jak się podoba.

36. Recepta na komedyą. Weź młodą panienkę, jednego kawalera, jednego przyjaciela, jednego starego zazdrośnika, jednego nieznajomego, jednę pokojówkę, parę lokajów i jednego chciwego opiekuna; zmieszaj to wszystko jak najmocniéj; dorzuć do tego 12 uncyj bufonady (błazeństwa) i pół uncyi dowcipu, a nawet mniéj, jeżeli można. Pozwól dziewczynie przez niejaki czas dręczyć kochanka; niech się przez kilka aktów waha, a nakoniec z podziwieniem obudwóch niech za niego idzie: a jeżeli przymieszasz jeszcze do tego wesele, niejakie tańce, trochę piosneczek, cały pojedynek i garść policzków, tedy będzie mixtura jedna z najlepszych — probatum est.

37. Kto zbłądził, mówią, że się udał w lewo; nie najlepiéj i ten zrobił, co się udał w prawo.

38. Dorożkarze także jeżdżą na prawo, a żadnego jeszcze nie pojęli artykułu.

39. Mój Pan się kłania i prosi Pana na obiad. — Dobrze, będę mu służył. — Nie, bo ja będę służył, a Pan będzie jadł, odpowiedział służący.

40. Ach czemuż ja nie jestem zegarkiem! odezwał się łotr, którego na szubienicę prowadzono. Zegar idzie choć wisi, a ja już nie pójdę.

41. Dawniejsi wybudowali miasto Częstochowa, a od dzisiejszych wystawiona będzie Rzadkochowa.

42. Gdzie idziecie bałamuty? — Na klinikę, odpowiedzieli. — Albo wy się uczycie doktorstwa? — Nie, ale my idziemy klin klinem wybić, i to jest nasza klinika.

43. Kassyer powinien się nazywać Liczman, bo liczy, a Sekretarz Zwierzyna, bo mu się zwierzają wszystkiego.

44. Nie tylko w pokojach bywa obicie, ale i na plecach, i tego ostatniego ciężko odlepić.

45. Co też słonie złego zrobiły, że im natura dała takiego nosa?

46. I ślepy może sądzić o piękności. I tak pewien ślepy w kompanii wskazał ręką: ta a ta panienka ma piękne zęby. W istocie są piękne, odpowiedział sąsiad; ale zkąd WPan wiesz o tém, będąc ślepym? — Bo już od godziny słyszę, że się śmieje.

47. Policya pochodzi od polecęja, to jest: będę latał, muszę latać, biegać po mieście, żeby wszystko było w porządku.

48. Nie masz tego złego, coby na dobre nie wyszło, wyjąwszy złe bóty, bo te nigdy na dobre wyjść nie mogą.

49. Kapelan pewnego wojska tak dalece zapomniał się w potyczce, że batogiem żegnał swój regiment, a konia podcinał krzyżem.

50. (Syllogizm.) Wino dobre sprawuje krew dobrą — krew dobra rodzi dobre humory — dobre humory są przyczyną dobrych myśli — dobre myśli wydają dobre uczynki — dobre uczynki prowadzą do nieba — więc wino prowadzi człowieka do nieba; ale jedno wino, bo w liczbie mnogiéj wina już źle.

51. Bonus vinus! zawołał utrudzony podróżny, wypiwszy szklankę lichego wina, którém go poczęstował Ksiądz kanafarz. Gdy zaś po obiedzie dał mu kielich lepszego, krzyknął: bonum vinum. Dla czegożeś WaćPan pierwéj tak źle połacinie powiedział, zapytał się Ojciec Rafał. — Quale vinum, tale latinum, rzekł podróżny.

52. (Błędy drukarskie.) W pewnéj książce wyczytałem następujące na końcu dzieła sprostowania:

zamiast małżeństwo, czytaj męczeństwo.
zamiast sprawiedliwość, czytaj cierpliwość.
zamiast posiadacze roli, czytaj posiadacze goli.
zamiast dzisiaj, czytaj jutro.
zamiast gotowizna, czytaj golizna.

53. Człowiek bez pieniędzy. Człowiek bez pieniędzy, jestto ciało bez duszy, jest trupem chodzącym, widmem obrzydliwém. Jego spotkanie jest żebrzące, jego obcowanie nudne, jego obecność ciężarem; gdy chce kogo od-

wiedzić, nie znajduje go w domu; skoro otworzy usta, zdaje się, iż będzie żądał pieniędzy. Jeżeli żartuje, jest niepowabnym; opowiadając co, jest niesmacznym. Gdy się okaże poważnym, posądzają go o próżność; przybierali postać skromną, mają go za podłego. Potrzeba budzi go rano, samotność oczekuje go w wieczór, a nędza towarzyszy mu wszędzie. Kobiety powiadają, że ma najgorszą figurę; mężczyzni, że słychać od niego jakieś zapowietrzenie: kupcy mu nic na kredyt nie dają. Biedak ten żył, nie używszy; umiera bez pożałowania; grzebią go z litości.

b) FRASZKI, WYJĘTE ZE ŚMIESZKA. *)

1. Biedne te zegarki, bo one chociaż ciągle idą, żaden jeszcze ani kroku nie uszedł; chociaż zawsze biją, jednakże jeszcze nie wybiły nikogo; a przecież te niewinne istoty najczęściéj wiszą.

2. Kupcy jeżdżą za granicę po towary, a panowie po rozum: piérwsi z niemi zawsze wracają, drudzy rzadko.

3. Pewien Jegomość jest taki miłośnik narodowości, że nietylko czapkę, ale i bóty nosi na bakier.

4. Młodzież jest jak wino szampańskie; póki zatkane, to się burzy; a odetkać je tylko, to wyszumi, wywietrzeje; i nareszcie w kwas się obróci.

5. Towarzystwo ludzkie możnaby podzielić na dwie klassy, to jest: na klassę mającą więcéj jedzenia niż apetytu, i na klassę mającą więcéj apetytu niż jedzenia.

6. Dla czego klatka otwarta? zapytała się Pani służącéj. — Otworzyłam ją umyślnie, ażeby ptaszkowi świeżego powietrza naleciało.

7. Pewna dama widząc kawalera czytającego książkę, zapytała go, co czyta? — Czytam ducha praw, odpowiedział kawaler. — Ach! jabym tego nigdy nie czytała, bo ja się niezmiernie duchów boję.

8. Niedawno wieziono na prostym wozie zwłoki zmarłego, za którym nikt nie postępował; na trumnie zaś znajdowały się następujące litery: N. N. Z., które jeden z przechodniów tak wytłómaczył: nic nie zostawił.

9. Pewien młodzieniec już jest w trzecim stopniu hultajstwa, bo gra w karty, łyka porządnie i rozwiązłe prowadzi życie. Spodziewać się należy, że wkrótce otrzyma drugie trzy stopnie, któremi są: nędza, choroba i śmierć w szpitalu.

---

*) Pismo peryodyczne, które wychodziło w Warszawie r. 1828.

10. Pewien Jegomość ogłuchł na starość, jednak udawał że słyszy. Jednego razu przychodzi do niego znany w całéj okolicy z żartobliwości sąsiad, i stanąwszy przed nim, pokilkakroć otwiera gębę, jak gdyby głośno mówił do niego. — „Mój łaskawco,“ rzekł gospodarz, „nie krzycz tak Wać-Pan, wszakże ja słyszę.“

11. Zaskarżony Turczyn błagał Kadego, aby go przed niesłusznem prześladowaniem zasłonić raczył płaszczem sprawiedliwości. — Chętniebym ci zadosyć uczynił, odpowiedział Kady, alem jeszcze na ten płaszcz materyi nie kupił. Zrozumiał Turczyn, postąpił jak należało, i ocalał.

12. (Wyrok.) Za dawnych czasów w pewném miasteczku, zwaném Mixtat, *) wskazano na śmierć kobietę, która o czarodziejstwo była oskarżona, i taki wydano wyrok:

Ponieważ sławetnéj Magdalenie źle z oczu patrzy,
przeto wskazujemy ją na spalenie.
Data z Mixtata po wygnaniu bydła, bo zegara nie ma.
Hermenegildus Łapa,
Pisarz sądu miejskiego, nie umiejący pisać,
kładzie znaki krzyża Sgo.
† † †

13. Amator tabaki widząc, że jego sąsiad zabiera się do różka, prosił, aby i jemu dał zażyć tabaki. Najchętniéj poczęstuję, rzekł sąsiad, tylko proszę mi powiedzieć, na czém nasz kum dziś z jarmarku powracał. — Na ośle, odpowie zapytany. — Aha! na ośle, proszę na tabakę; i potrząsając rożkiem powtarzał: na! ośle, na! ośle.

14. (Pożegnanie.) Pewien chory w ostatniéj godzinie życia swojego, prosił, aby wszyscy domownicy zbliżyli się do niego: a gdy już widział wszystkich zgromadzonych przed sobą, najspokojniejszym umysłem pożegnał ich témi słowy: „do szczęśliwego zobaczenia.“

15. Gdy pewnemu chłopu przez omyłkę dano kilkanaście plag, porwawszy się ten z ziemi, zaczął się śmiać do rozpuku, mówiąc: Aha! atoście się oszukali, wzięliście mnie Franka za Stefanka.

16. Pewien wierszopis wybrał się na Parnas, ale w drodze zabłądził, i wlazł na Górę częstochowską. Słychać, że tam już na zawsze zostanie.

17. Pewien spotkawszy wieśniaka jadącego konno i obciążonego tak wielkim worem zboża, że się aż pochylał; czy nie byłoby lepiéj, rzekł do niego, gdybyś ten ciężar za

*) W księstwie poznańskiém, powiecie ostrzeszowskim.

siebie na konia włożył? — Mogłoby to wprawdzie nastąpić, odpowiedział wieśniak, ale też i bydlęcia tak gwałtownie obciążać nie trzeba, zwłaszcza kiedy już mnie dźwiga.

18. W pewném mieście młody aktor wystąpiwszy piérwszy raz na scenę w tragedyi w roli Rzymianina, w miejscu, gdzie miał opowiadać przybycie swoje do Rzymu, zaciął się, i po kilkakrotném powtórzeniu słów: i „stanąłem w Rzymie...“ gdy mu sufler nie poddawał następnych wyrazów, krzyknął całym głosem na niego: „a nuże gapiu! gadajże, co ja tam robiłem.“

19. Posłał pewien przyjacielowi przez chłopca dwie potrawy na dwóch osobnych półmiskach, i do tego dołączył bilet. W połowie drogi chłopiec przez nieostrożność wypuścił z ręki jeden półmisek, który na kamieniach rozbił się w drobne kawałki, a potrawa wleciała w rynsztok. Niezmieszany tém jednak, kończy swoję drogę, i oddaje drugą potrawę, komu była posłana. Odbierający przeczytawszy bilet, zapytał chłopca: gdzie jest drugi półmisek? Stłukłem go Panie! — A to jakim sposobem? — Oto tak! Panie — i wtém wypuścił z ręki pozostały półmisek, i rozbił na polerowanéj posadzce.

20. O mój Boże! za cóż go to będą tracili! dopytywała się ciekawie i oraz z politowaniem jakaś głupiuchna kobiecina idących za winowajcą, prowadzonym na rusztowanie. — „Za niesłychaną zbrodnię, moja kochana Pani,“ odpowie pewien filut: wystawże sobie Jéjmość, co ten hultaj wyrabiał: on przeszłéj zimy suszył śnieg w piecach rozpalonych węglami, i potém go za sól sprzedawał.“ — No! proszę, zawoła kobiecina; czego też się już źli ludzie nie domyślą.

C. ANEKDOTY.

1. KOLENDA.

Jeden rzemieślnik siedmiu czeladnikom i chłopcom swoim chciał w dzień Nowego Roku dać kolendę. Zwołał ich zatem, a zasiadłszy za stołem, na którym siedem książek i siedem talarów leżało, tak im powiedział: Jesteście pracowici i posłuszni, przeznaczyłem wam przeto w nagrodę kolendę, i daję z was każdemu do wyboru, co woli, talara, czy książkę z powieściami z Pisma Sgo. — Ja nie umiem czytać, powiedział piérwszy; cóż mi po książce? Jać umiem czytać, rzekł drugi, ale mi bótów potrzeba. Jam dłużny przyjacie-

lowi, powiedział trzeci. Ja książek nie lubię, szepnął 4ty. Ktoby tam miał czas do czytania, szepnął 5ty. Grosz najlepszy, mruknął 6ty. I każdy z nich wziął za talara: wszyscy książkami wzgardzili. Został jeszcze 7my: był to chłopak lat 12 mający, rozgarniony i pracowity: spoglądał raz na książkę, drugi raz na talar. — „A ty Marcinku, co sobie wybierasz?“ spytał go się rzemieślnik łagodnie. — „Ja sobie myślę,“ odpowiedział chłopak, „że talar dobry, ale podobno lepsza książka; pieniądz się rozejdzie, pismo zostanie: mam też starą babunię, będę jéj w święta czytywał.“ I to mówiąc, sięgnął po książkę. — „Kto ma rozsądek, ma i rozum,“ rzekł majster; „bierz jakoś obrał, i patrz coś wziął.“ Chłopiec otworzył książkę, i znalazł w niéj 20 złot. pol. papierami. Towarzysze jego spuścili oczy, a pan ich powiedział: „Nie moja w tém wina; w każdéj książce był takiż upominek, wszyscy jednakowo byliście wezwani; żałuję mocno, że tylko jeden z was dobry wybór uczynił.“ (Jachowicz w Dzienniku dla dzieci na rok 1830.)

2. WYMÓWKA.

Dać tylko ucho hultajowi, to się on z największego łotrowstwa tak gładko wymówi, iż się zrobi niewiniątkiem i najpoczciwszym w świecie człowiekiem. Hultaj jeden, skarżył się przed swoim znajomym, na niesprawiedliwość i surowość sądu, który go ukarał. — A pocóżeś ukradł konia, jeszcze wśród dnia? ten mu rzecze. — Kto? ja ukradł konia? mój kochany! bardzo ciężko tym zarzutem mnie pokrzywdzasz. Oto tak było: Pan mnie posłał za interessem na przedmieście. Trzeba mi było koniecznie iść przez tę, co to wiesz, ciasną uliczkę. Idę sobie przez nię, aż tu koń stoi poprzecz, tak, że ze wszystkiém całą ulicę zabrał. Chcę się z tyłu jego przeciskać, wołają na mnie ludzie: nie dostępuj do konia, bo cię uderzy. Chcę go z przodu obejść, krzyczą: strzeż się, bo cię ukąsi. Co tu robić?.... ha! myślę sobie, przelézę wierzchem przez niego. Wskoczyłem na strzemię, przerzuciłem już nogę na drugą stronę; koń jakiś szalony, jak drapnie wtém zemną! aż o dwadzieścia mil stanął. Nu proszę, osądź sam, mój kochany, czy można mi dobrém sumieniem zadać, żem ja tego konia ukradł.

3. WIZYTA.

Pewien Jegomość, prezentował pierwszy raz w jednym znakomitym domu w Paryżu, urodzonego i uchowanego na prowincyi kawalera. Godnego wprawdzie był on urodzenia, i miał wszelkie przymioty do uczciwego pokazania się

na wielkim świecie, tylko że na nieszczęście, strasznie był nieśmiały i bojaźliwy. Przyjechali: wprowadza na pokoje przewodnik, wchodzi piérwszy na salę, na któréj byli goście; idzie za nim kawaler. Na piérwszy widok świetnego i licznego posiedzenia, zmieszał się, stracił ze wszystkiém przytomność, i następujących historyi narobił:

Najprzód, zawadziła mu się noga między kobiercem i posadzką, pociągnął z całéj siły kobierzec, i stojącą na nim gotowalnią ze wszystkiém wywrócił; a w tym impecie potknąwszy się aż do ziemi, uchwycił za firankę od okna, ratując się od upadku, wyrwał ją z prętem, stłukł lustro żelazem, firankę zaś jak płaszcz jaki mając na sobie, do gospodyni domu przyszedł. Gdy się jéj kłania, pośliznął się na woskowanéj posadzce, i głową swoją uderzył o jéj głowę tak, aż Jéjmości guz na czole wyskoczył. Temi przypadkami niezmiernie zmieszany, gdy się wymawia, i o przebaczenie prosi, z słów, drżącemi ustami i przecinaną mową wydanych, złożyło się kilka bardzo plugawych wyrazów.

Proszą go siedzieć, podają krzesło; on je mija, a na drugiém, na którém leżała Jéjmościna gitara, siada, i na drobne kawałki ją druzgoce. Przerażony trzaskiem zgruchotanéj gitary, porywa się ze stołka, usiada na drugim: i tam spoczywającą suczkę bonońską gniecie.

Tu już zupełnie głowę stracił, i nie wiele myśląc, bez pożegnania ucieka. W biegu, wpada na kamerdynera, obnoszącego czokoladę, wytrąca mu tacę, tłucze filiżanki, a czokoladę po sukniach i fryzurach dam siedzących rozlewa. Bieży za nim przyjaciel, jego wprowadziciel, chcąc go jakoś do upamiętania przywrócić, ale darmo, ten co tchu ucieka, i sam nie wie przez ulicę gdzie bieży.

4. SYSTEMA.

Trzech wędrowników, odprawując podróż razem z sobą, przybyli do domu gościnnego, wszyscy z dobrym apetytem. Między potrawami, dano im na jednym półmisku dwa gołąbki i jednę kuropatwę. Obyczajność tak kazała, żeby każdy brał dla siebie to, co przed nim leżało. Jeden z nich, miał apetyt na kuropatwę, która ku jego koledze obrócona była. Nie chcąc grubiaństwa popełnić, ani też jawnie z chęcią swoją do niéj wydać się, przedsięwziął subtelnym sposobem dopiąć swego zamiaru. Zaczyna zatém mowę o różnych systematach filozoficznych, nad które systema Kopernika przenosi. — Boto żebyście wiedzieli, rzecze do kolegów, jakto jest proste i naturalne systema! Wystawcie sobie naprzykład, że

półmisek ten, jest ziemią; Kopernik tak jéj obrót naznacza. To gdy mówi, obraca półmisek, i stawia kuropatwę prosto przed siebie. — Zrozumiał fortel kolega, który równy miał na nie apetyt, i rzekł: prawda to jest, że systema Kopernika jest powszechnie poważane i przyjęte, ale ja się wolę trzymać dawnego systematu, który ziemię nieporuszoną w miejscu stanowi. To rzekłszy, obrócił nazad, tak jak stał pierwéj półmisek, kuropatwą prosto do siebie. *)

5. PIOTR WIELKI U KOWALA.

Nie wstyd, lecz owszem użyteczną i szlachetną jest rzeczą trudnić się handlem, rólnictwem lub rzemiosłem. W Chinach jest zwyczajem, że corok na wiosnę sam Cesarz pługiem piérwszym zagon roli orze. W Anglii Książęta familii królewskiéj należą do spółek handlowych, a w Rossyi sam Cesarz Piotr I. nie wstydził się uczyć rzemiósł, zwiedzając obce kraje, i do swego potém je zaprowadzać, za to téż Wielkim został nazwany. Cesarz ten w podróży swojéj, wstępował do każdéj kuźni, huty i t. d., gdy blizko gościńca były. Przejeżdżając przez Istryą, odwiedził raz kuźnią Müllera, bogatego jéj właściciela, i chciał się nauczyć sposobu kucia szyn wielkich. Przed swoim odjazdem, pracował dzień cały z wielką usilnością i odkuł 18 szyn. Szambelanowie i Bojarowie pomagali mu, jużto znosząc węgle, jużto rozdymając ogień i t. p. Wieczorem poszedł do mieszkania Müllera, pochwalił jego kuźnią, i pytał, co płaci wyrobnikowi od wykucia jednéj szyny? — Trzy kopijki **) rzekł Müller, czyli jednę altynę.... Dobrze, więc zarobiłem 18 altyn. — Müller daje mu 18 dukatów, lecz Car nie przyjął ich, i rzekł: zachowaj twoje dukaty, praca moja nic się nie różni od pracy innego robotnika, zapłać mi to, co płacić zwykłeś drugim. A pokazując połatane trzewiki, rzekł: za to muszę sobie inne nabyć, gdyż te mocno mi się podarły. W saméj rzeczy za owe 18 altyn kupił sobie nowe obuwie, a pokazując je, z chlubą mawiał: pracowałem na nie w pocie czoła.

6. FRYDERYK WIELKI I KRASICKI.

Ludzie nieoświeceni szukają rozrywek w kartach, przy kieliszku, albo w plotkach: przez co tracą honor, zdrowie i majątek; mężowie zaś światli znajdują spoczynek i zabawę w naukach lub kunsztach. Fryderyk Wielki, Król

*) Zob. w Rozdziale VI. życie i system Kopernika.
**) 6 groszy polskich.

pruski, przestawszy sam lub z Ministrami pracować nad dobrem swego narodu, lubił wesoło zabawiać się z mężami uczonymi, rozumując o naukach, kunsztach; albo krytykując wspólnie ich, lub własne dzieła prozą albo wierszem napisane; często zaś grając na fletrowersie. Gdy sławny Wolter odjechał do Francyi, zaprosił Frederyk Krasickiego, naówczas Biskupa warmińskiego, do Potsdamu, i dając mu w pałacu Sans-souci te same pokoje, gdzie wprzód Wolter mieszkał, rzekł: Tu powinienbyś WaćPan co dowcipnego napisać, bo tu i duch Woltera kilka dzieł wybornych utworzył. Jakoż Krasicki napisał arcy-dowcipną Wojnę Mnichów, i czytając ją Królowi pofrancuzku, wielce go rozweselał.

Razu jednego, gdy Krasicki w świetnym płaszczu biskupim przyszedł do Króla na wielką ucztę, Fryderyk chciał go w obecności wielu gości wprawić niespodzianie w ambaras, i rzekł: Biskupie! jeśli umrzemy razem, przyjm mnie pod twój płaszcz, i wprowadź do nieba, bo ja tam jestem kontrabandą. — Daruj, Najjaśniejszy Panie! nie mogę: bo mi bardzo mój płaszcz kazałeś okroić.... Rozśmiał się Król z tak trafnéj odpowiedzi, i wyznaczył znowu tyle rocznych dochodów Krasickiemu, jak miał przedtém, które był niedawno zmniejszył.

7. KREZUS I SOLON.

Że w każdéj wojnie na korzystaniu z okoliczności, osobliwie pomyślnych, jak najrychlejszém, wiele zależy, (Cyrus), wytchnąwszy cokolwiek wojsku, udał się za zbiegłym Krezusem, i ścigał go aż do stolicy Sardes, w któréj się po ucieczce zamknął. Wyszedł z niéj na czele dość ogromnego wojska Krezus, i żwawy dawał odpór: ustąpić jednak z placu musiał z niemałą stratą. Z uciekającym jego ludem gdy wszedł w miasto Cyrus, rzucili broń Lidyjczykowie, poddając się zwycięzcy. Twierdzi Herodot, iż w owym tumulcie i zgiełku, gdy jeden z żołnierzy Cyrusowych już tylko miał zadać wzniesioną bronią cios Krezusowi, syn jego od urodzenia niemy, tak był przejęty niebezpieczeństwem ojca, iż zawołał: nie zabijaj Krezusa. — Według téjże powieści, skazany na śmierć Krezus, na stósie ku spaleniu stawiony, gdy trzykroć wielkim głosem Solona wzywał, kazał go przyprowadzić i stawić przed sobą Cyrus. Zapytany, coby te słowa znaczyły, opowiedział, jak mu niegdyś przebywający na dworze jego ten mędrzec, szczęściu, w które opływał, zbyt ufać nie radził, gdyż się łatwo odmienić może; uznając to, mówił Krezus,

na mnie samym, z rozrzewnieniem powtarzałem imię tego, który mnie przestrzegał. Powieść nieszczęśliwego monarchy przeraziła Cyrusa, wszedł sam w siebie, iż równie mógł być losu igrzyskiem; darował więc życiem Krezusa, i umieściwszy przy boku swoim, w wielkiém go miał odtąd poważeniu.
(Krasicki w życiu Cyrusa.)

8. ALEXANDER I DIOGENES.

Zgromadziły się wkrótce nie daleko Koryntu wszystkie Greków narody, i tam wojnę przeciwko Persom ogłoszono, mianując Alexandra wyprawy wodzem. Przyjął żądany tytuł mile, aże zewsząd zbiegali się najznamienitsi z Greków do niego, między którymi było wielu filozofów, obcował z nimi i był każdemu przystępnym. Otoczony przychodniów tłumem, przechadzając się po mieście, postrzegł w beczce leżącego Diogenesa, zbliżył się ku niemu i pytał, czegoby pragnął? „Tego,“ rzekł Diogenes, „abyś mi słońca nie zasłaniał.“ Lubił Alexander nadzwyczajność, i tak go ta odpowiedź ujęła, iż śmiejących się z grubijaństwa mędrca gromiąc, rzekł: „Gdybym nie był Alexandrem, chciałbym być Diogenesem.“ Czczo poważne te słowa oznaczały, iż jeżeli mędrek był dumnym, jeszcze dumniejszym ten, który go pochwalił, azatem nie dziw, iż się jeden drugiemu podobał. (Z tegoż.)

9. PRZEKUPSTWO DEMOSTENESA. *)

Nie zawsze wielkim umysłu przymiotom obyczajność towarzyszy: przykład Demostenesa jest dowodem. Harpalus, wódz wojsk Alexandra, popadłszy w niełaskę, z niezmiernémi skarbami schronił się do Grecyi. Gdy przybył do Aten, znamienitsi obywatele, a między innymi Demostenes, sprzeciwiali się temu, aby mu dać schronienie, z przyczyn, iż krok takowy obraziłby Alexandra, a przeto mógł się stać szkodliwym rzeczypospolitéj: żywo powstawał przeciw tym, którzy darami Harpala przekupieni, utrzymywali jego stronę; ale gdy téjże nocy posłał mu Harpalus złotą czarę i dwadzieścia talentów, **) widok przedziwnéj roboty, ważność naczynia i znaczne pieniądze zamknęły usta. Pokazał się zatém nazajutrz w zgromadzeniu z zawiniętą szyją, udając, iż dla bólu gardła głosu zabrać nie może. Dorozumieli się przyczyny nagłéj choroby

*) Powieść tę przytacza Plutarch w życiu Demostenesa, atoli gdy o tém inni nie wspominają pisarze, dla zachowania nieskażonéj sławy wielkiego męża, słusznie i to podanie do bajecznych policzyć można.

**) Talent attycki ważył około 900 tal.

Ateńczycy, zapozwano przekupionych, i za jawném przekonaniem, Demostenes na wygnanie skazany został. (Z tegoż.)

10. ZNAK PYTANIA.

Pewnego wieczora znajdował się Pope *) w gronie uczonych w kawiarni Burton, **) gdzie się zabawiano przekładem rękopismu greckiego Aristofanesa, poety komicznego, ***) którego pewne wyrażenie było niezrozumiałe. Przyszło do żywych wniosków. Pewien młodzieniec, stojący przy kominku, dosłyszawszy rozmowy, żądał, aby mu dano do przeczytania to miejsce: „Daléj, Mości Panowie," odezwie się Pope z przygryzkiem, „dopuścież młodego mistrza, niech nas ciemnych oświeci." Młodzieniec bierze książkę, zgłębia wskazaną zawiłość, i nakoniec oświadcza, że całą jéj przyczyną jest mylnie umieszczony znak pytania (?). Jakoż ściślejsze roztrząśnienie rzeczy, wszystkim dowiodło téj prawdy. Pope dotknięty bez wątpienia, że się ktoś od niego zręczniejszym być okazał, odezwał się uszczypliwie do Hellenisty: Proszę cię Panie Nauczycielu! zechciéjże mi powiedzieć, co ty rozumiesz przez znak zapytania? — Znak zapytania, odpowie obrażony młodzieniec, zmierzywszy go od stóp do głów okiem pogardzającém — jest to mała figurka pokrzywiona, nakształt WPana, która pyta.

11. ŚMIERĆ ADDISONA.

Addison, jeden z najlepszych pisarzów angielskich, był przytém człowiekiem bardzo cnotliwym i pobożnym. Kiedy po pełném pracy i sławy życiu czuł, że już jego ostatnia nadchodzi godzina, a przejęty nadzieją oczekiwał spokojnie téj chwili, kazał do siebie zawołać młodzieńca, którego losem się zajmował. Ten młodzieniec nie bardzo dobrze sobie postępował: był leniwy, zuchwały, płochy, i nic nie obiecywało, ażeby w dalszém życiu miał być cnotliwym i użytecznym człowiekiem. „Zbliż się do mnie," powiedział mu słabym głosem Addison, „siądź i patrz, z jaką spokojnością umiera człowiek, który starał się żyć dobrze!" — Młodzieniec usłuchał, nie opuścił opiekuna do ostatniéj chwili, a piękna śmierć tego męża, takie uczyniła wrażenie na owym młodym człowieku, że odtąd zupełnie inne życie wieść zaczął. (Jachowicz.)

---

*) Poeta angielski, który, jak wiadomo, był ułomny.
**) Kawiarnia londyńska.
***) Żyjącego za czasów Sokratesa, a zatém około 400 lat przed Chr.

12. WZOR CZYNIENIA DOBRZE.

Sławny Benjamin Franklin, jeden z prawodawców północnéj Ameryki, jeden z najużyteczniejszych i najcnotliwszych ludzi, w następującym liście zostawił wzór rozsądnéj i przemyślnéj jałmużny: „Posłałam ci 20 dukatów; nie mam śmiałości darowania ci téj summy, pożyczam jéj tylko. Gdy wrócisz do swojego kraju, znajdziesz w nim zapewne jakie zatrudnienie, za pomocą którego będziesz mógł spłacić twoje długi. Wtedy skoro upatrzysz uczciwego człowieka w potrzebie, zapłacisz mi, pożyczając jemu 20 dukatów, pod warunkiem uiszczenia się kiedyś tymże samym sposobem. Spodziewam się, że przejdą przez rąk wiele, zanim u jakiego podłego człowieka uwięzną. Jestto jeden z moich wynalazków czynienia wiele dobrego małą ilością pieniężną.“

(Zob. niżéj w Rozdz. V. — Jachowicz.)

D. POWIEŚCI WIĘKSZE.

1. DZIECKO DOBROCZYNNE.

Wyszedłem o godzinie szóstéj rano, mówi pewien autor francuzki, aby się cokolwiek przejść po mieście: idąc przez jednę ulicę, spotkałem młode dziecię, w mundurze niebieskim; zdawało się najwięcéj mieć lat 12: byłto blondynek mały, oczu wesołych i postaci ujmującéj. Widzę, iż wyjmuje z małego woreczka kilka groszy dla ubogiego niewidomego, zwykle na rogu téj uliczki stawającego. Zatrzymuję się na chwilę, aby się przypatrzyć jednéj z najpiękniejszych rzeczy pod słońcem, to jest młodzieniaszkowi ożywionemu przez dobroczynność, na którego licach wyryte było niejakie piętno wstydliwości, która wtenczas rumieni niewinność, kiedy żywéj doświadcza roskoszy. Schował on potém swój woreczek i poszedł daléj. Zaszedłem mu drogę. „Mój mały Przyjacielu, piękną to jest rzeczą dla ciebie wspierać nieszczęśliwych; lecz powiedz mi, czy ty masz takie dochody, abyś mógł być tak szczodrym? albo czy nie lubisz cukierków? — „Panie,“ odpowiedział mi na to z powagą, „mam matkę, która mnie kocha, zawsze mi cokolwiek daje na wydatek; bardzo więc jest słusznie, ażebym z tego ubogim coś udzielił, szczególniéj zaś ubogim niewidomym. Jakże oni godni są pożałowania, że nigdy słońca nie widzą!... daję mało; gdybym był bogaty, dałbym więcéj.“ To było przez niego wyrzeczone tonem tak

szczerym i prawdziwym, że podziwienie było pierwszém mojém uczuciem, i prawie nierozważając wyjąłem z kieszeni talara, mówiąc do niego z wzruszeniem: „Moje dobre dziecię, ty jesteś istotą doskonałą, uczyń mi tę przyjemność, bądź od dnia dzisiejszego moim jałmużnikiem i rozdzielaj to po drodze.“ —„Panie, odrzekł z otwartą szlachetnością, nie mam zaszczytu znać go jeszcze, i gdybym Pana znał nawet, nie mógłbym przyjąć jego pieniędzy; nie mam ich potrzeby, a równie Panu jak i mnie łatwo je między ubogich rozdzielić. Ja zaś nie lubię cukierków,“ dodał z uśmiechem, odchodząc.

Nagle powziąłem pewny rodzaj szacunku dla tego przyjemnego dziecka: wstydziłem się, wyznaję, żem mógł tak mu ubliżyć, i niejako nagradzać jego dobroczynność sposobem tak niegodnym téj roskoszy czystéj, któréj jego piękna dusza doznawała. Poszedłem za nim, a ujrzawszy go na drugiéj ulicy: „Powiedz mi przynajmniéj,“ rzekłem do niego, „jak się nazywasz?“—„Panie, nazywam się Lion; mój ojciec jest żołnierzem, i myśli tak, jak ja... „Gdzież mieszka?“ — „W Wersalu.“ (Z Tygodnika dla Dzieci na rok 1829. w Warszawie. 4. Tomy.)

2. WDZIĘCZNOŚĆ NIEBU.

Młody August w dzieciństwie stracił był rodziców; strawiwszy długi czas nie napróżno w szkołach, przyszedł nareszcie do pełnoletności, i znaczny objął majątek. Wkrótce potém ciężko zachorował: długo ciągnęła się choroba, długo o życiu jego wątpiono, ale przecie niespodzianie odzyskał zdrowie. Było to w czasie wiosny. Kiedy piérwszy raz wyszedł do ogrodu, i spojrzał na nowe życie przyrodzenia; kiedy po tak długiém zamknięciu w pokoju nieustannéj potrzebując opieki i pomocy, ujrzał się pod pięknem niebem, sam, bez cierpienia, i on myślał, że nowe rozpoczyna życie, a w radości swojéj myśli oczy podnosząc ku Dawcy wszelkiego dobra, zawołał: „O wielki Boże! czemuż Ci twych dobrodziejstw zapłacić nie mogę? jakżebym chętnie cały majątek poświęcił na wywdzięczenie się Tobie.“ — August lubo już pełnoletni, miał jeszcze przy sobie dawnego Nauczyciela: byłto człowiek pełen lat i cnoty; ktokolwiek patrzył na przywiązanie i troskliwość jego względem Augusta, na uszanowanie i uległość młodzieńca, mógł łatwo się pomylić, jednego wziąść za ojca, drugiego za syna. Nawet w czasie téj piérwszéj wychowańca przechadzki, czuwał nad nim troskliwy opiekun, i usłyszał te słowa, które w swém uniesieniu głośno był wyrzekł. Zbliżył się ku niemu, i August obaczywszy go, toż samo powtórzył.— O jak mnie to cieszy, powiedział Nauczyciel, że w tym zapale

złożyłeś życzenia, które spełnić możesz; jutro, jeśli siły pozwolą, podam ci sposób pewny zadosyć uczynienia twym chęciom.— „Czyto być może?“ zawołał August, „ach jakżem tego jutra ciekawy!“ — Nadeszło, a młodzieniec coraz silniejszy, naglił sędziwego przyjaciela, żeby obietnicy dopełnił. Wzięli się pod ręce i wyszli z pałacu, już nie do ogrodu, jak wczora, ale na wieś. — Długo bez Pana zostająca wioska, nie bardzo kwitła; waliły się domostwa wieśniaków, ogrodzenia były popsute, nie zieleniało się ani jedno drzewko: dzieci w podartych koszulach, uciekały jakby dzikie. Ten widok smutkiem okrył bladą jeszcze twarz Augusta. „Gdzież mnie zaprowadziłeś przyjacielu?“ wyrzekł z lekką wymówką. — „Chciałem ci wskazać ołtarz, na składanie ofiar twoich,“ odpowiedział mąż sędziwy. „Wczora unosząc się wdzięcznością ku temu, który ci zdrowie przywrócił, całym majątkiem to dobrodziejstwo odpłacić pragnąłeś; poświęć część tylko, odbuduj te domostwa, wysadź drzewami drogi, wspomóż włościan twoich, załóż szkółkę dla tych dziatek, doglądaj sam, aby te zbawienne nakłady nie zmarniały, a sowicie wypłacisz się niebu.“ Podobały się te słowa skłonnemu do czynienia dobrze Augustowi, usłuchał téj przyjaciela rady. — W rok potém o téjże porze, przechadzał się znowu po wiosce swojéj; widok jéj nie smutkiem, ale radością okrył już świeżą twarz jego: stały rzędem porządne domostwa z murowanemi kominami, żywemi płoty ogrodzone; w tyle każdego założony był sad mały, topolki na drodze już się zieleniły: kilkoro dzieci porządnie ubranych szło do szkoły, skłoniły się wszystkie młodemu Panu. Szczęśliwy August ścisnął rękę Przyjaciela, a on mu powiedział: „podobnie postępuj zawsze; niech za każdém dobrodziejstwem nieba, wdzięczne oko twoje ku niebu się wzniesie, ale potém spuść je na braci twoich, mniéj od ciebie szczęśliwych; bo czyniąc dobrze dzieciom, najlepiéj wywdzięczysz się ich Ojcu.“ (Tańska.)

3. DZIEDZIC JODŁOWA.

(Powieść prawdziwa.)

W pięknéj włości Jodłowa, żył sędziwy dziedzic Mirosław: kochali go włościanie, i błogosławili mu wszyscy, bo był miłosierny i sprawiedliwy. Ale niespodzianie wybiła jego ostatnia godzina, opuścił jednego syna i włościan, którzy go jak ojca kochali.

Stryjowi oddało prawo opiekę nad małym Władysławem i rządy nad włością; ale jako mróz przeciw majowéj rosie, tak ten był przeciw zmarłemu bratu. Uciskał włościan, krzywdził

sierotę na majątku, a co więcéj, na wychowaniu. W pięknych latach błąkał się zaniedbany Władysław po włości, jedynie prożniactwu i nieprzystojnym oddany zabawom. Niewiasty, ciężko odrabiające pańszczyznę, płakały, widząc biedną sierotę po dobrym panu; płakały razem na swoje uciski.

I zebrali się dnia jednego Starsi, i radzili o krzywdach cierpianych. Ale najstarszy powiedział: „Koń bez cugli póty pustoszy łąkę, póki nie spędzi go ten, kto jéj dziedzicem; nam zaś cierpić przystoi, bo jeden Bóg, co sądzi sprawy nasze, dał nam dobrego i złego Pana. Ale ciężko jest patrzeć na krzywdę sieroty. Złe to jest, sąsiedzi, że dziecię pańskie z pasterzami się bawi, i pójdzie na łaskę ludzi, gdy nieprawy Pan tak będzie nasze dzieci, jak nas wszystkich uciskał.“

Do serca wszystkich trafiła mowa wójta, i zebrali się powtórnie u niego Starsi, i o sierocie radzili. Aż wójt z najstarszymi włościanami, zaprzęgli wóz kowany, zwabili z pola swawolące dziecię, i nakłonili, aby trochę z nimi jechało.

Jadą daléj przez pola i lasy, i jeszcze za lasy, aż stanęli przed klasztorem Pijarów. Wpuszczeni do Przełożonego, tak mu mówili: „Oto jest dziecię zmarłego Pana naszego, które nie ma opieki, a przez miłość ku Ojcu nie chcemy, aby tak jak my prości bez nauk, na niewolnika urosło. Składamy talary od gromady zebrane, i prosimy, nauczcie go Wielebni, i Bogu służyć i nami rządzić. Niech ma pańskie potrawy i cienkie szaty; damy na wszystko, a niech Wam Bóg dopomaga, byście go nauczyli o swoje się upomnieć i być sprawiedliwym.

Wychował się Władysław, kształcąc razem serce i rozum.

Stryj chytry ogłosił zgubę młodzieńca, którą dawno zamierzał, i stał się panem włości, i uciskał dobroczyńców sieroty. Cierpliwi na wszystko, aby tylko dziedzictwo prawemu Panu dochować, chodzili zimą i latem do klasztoru na zwiady. Władysław rósł piękny, błogosławiony od Boga i chwalony od ludzi. Ściskał ze łzami poddanych swoich, jak ojców, a im daléj postępował w rozumie, tym więcéj myślał, jak być wdzięcznym i sprawiedliwym.

Gdy szkoły ukończył, powieźli go Starsi włości do sędziów i wszystko opowiedzieli. Sąd uznał Władysława prawym włości dziedzicem, i ustąpił ten, pod którym tyle cierpieli.

I nie było lepszych włościan i lepszego Pana, jak był Pan i włościanie Jodłowa. (Tańska.)

4. JEDYNAK.

Majętny kupiec, licznéj rodziny ojciec, w przytomności dzieci swoich, zwykł był odmawiać poranne i wieczorne modli-

twy, i zawsze temi słowy je kończył: „Boże, dziękuję Ci za wszystkie dobra, których mi użyczasz; a więcéj jeszcze za nieszczęścia, których z ręki Twojéj doznałem.“ Długo dzieci obojętnie tych dziękczynień słuchały, ale nareszcie jednego razu najstarszy syn zapytał się: „Mój Tato! dla czego dziękujesz Bogu za nieszczęścia? mnie się zdaje, że one nie są dobrodziejstwem.“ — „Mylisz się, kochane dziecię,“ odpowiedział mu ojciec, „nieszczęścia są nieoszacowaném dobrem, kiedy kto z nich korzystać umie. Masz już lat dwanaście, rozum twój zdolny jest do objęcia wielu rzeczy, posłuchaj więc historyi mego życia, a dowiesz się, jak jest słuszne dziękczynienie moje. — Rodziców miałem bardzo majętnych, i byłem ich jedynakiem. Niema przysmaków, wygód, pieszczót, któremibym od kolebki nie był obsypany; czegom tylko zapragnął, dawano mi natychmiast; miałem wolność czynienia, co mi się żywnie podobało; a gdy mi czego odmówić chciano, lub też metrowie do nauki mnie zapędzali; jedném słowem, to jest zagrożeniem: będę chorował! uwalniałem się od wszelkiego oporu i przymusu. Tak się zemną działo do lat jedenastu; byłem co się zowie dzieckiem nieznośném; mazgaj, naprzykrzony, uparty, nieuk, przy dobrém sercu i dosyć znacznéj zdatności: ani wiem, coby zemnie było, gdyby Bóg w miłosierdziu swojém, nieszczęścia nie był mi zesłał. Skutkiem rozlicznych okoliczności w jednéj prawie chwili Rodzice moi stracili cały swój majątek; zmuszeni jeździć za interesami, oddali mnie do dalekiego stryja. Byłto człowiek wcale nie bogaty, dorabiał się dopiero majątku, bardzo poczciwy i rozsądny, ale ostry i surowy. Jakiéjże odmiany w jego domu porodzicielskim doznałem? Uważany za sierotę i za dziecko będące na łasce, a przytém nieznośny i nieusłużny, wszyscy mną popychali, wszyscy mnie łajali, a jam płakał od rana do wieczora, i miałem siebie za najnieszczęśliwszą istotę w świecie: rok upłynął we łzach i utrapieniu, ale już niedola, podległość, ubóstwo, skarciły znacznie moję hardość, jużem był lepszy, posłuszniejszy; jednak nie brałem się jeszcze ani do pracy, ani do nauki; i stryj już o oddaleniu mnie z domu swego przebąkiwać zaczął; kiedy mnie wzięła raz na bok żona jego: „Mój Ludwisiu!“ powiedziała mi: „zastanówże się i zmiłuj się sam nad sobą! cóżto z ciebie będzie, jeżeli zawsze nieukiem i próżniakiem zostaniesz? Pókiś był bogatym, to niedbalstwo, ta gnuśność, lubo zawsze naganne i pogardy godne, jako tako uchodziły, ale dziś nic nie masz, prócz rąk i głowy; jeśli i pracą i nauką wzgardzisz z młodu, w wieku późniejszym nie będziesz miał kawałka chleba: ludzie tobą wzgardzą, Bóg

cię opuści, i umrzesz gdzie z nędzy!“ Te słowa dobréj stryjenki zrobiły silne wrażenie na umyśle, już rokiem nieszczęścia przysposobionym; wziąłem się więc do zupełnéj całego siebie odmiany. Stryj mój był kupcem: takem mu zaczął gorliwie w sklepie służyć, pomagać, pilnować; takem się starał pilnie i porządnie pisać, doskonale pojąć rachunki, że w krótkim czasie prawdziwą pomocą mu się stałem; z chłopca wyszedłem na czeladnika, a po dziesięciu leciech wiernéj i gorliwéj służby, wspólnikiem mnie swoim uczynił, i pozwolił własną córkę pojąć za żonę. Nie długo potém umarł, żona jego wkrótce po nim wstąpiła do grobu; wtedy ojca mego sprowadziłem do siebie, matka już od kilku lat nieżyła: strawił ojciec w domu moim ostatnie swe lata, osłodziłem mu je staraniem. Dziś jestem bogatym, umiem używać majątku i dzielić się nim, bom sam był w niedostatku; umiem kierować wychowaniem dzieci moich, bom doznał skutków złego prowadzenia dziatek; dni moje płyną swobodnie i mile w użytecznéj pracy, a wszystko to winienem nieszczęściu! Jakżeż nie mam codziennie dziękować za nie Bogu. (Tańska.)

5. NIESZCZĘŚLIWY POETA.

Niema podobno dla młodego chłopczyka większéj do nauki i do prawdziwego światła zawady, jak kiedy nieszczęściem zbyt wcześnie wiersze pisać się poważy. Rodzice i nauczyciele, zamiast zachęcać i chwalić te bujne wyskoki, powinniby raczéj ganić je i zakazywać. Dar poezyi najrzadszym jest niebios darem: rymotwórstwo geniuszu wymaga: żadnym więc sposobem wielu poetów być nie może, a przecież niemal każdy chłopczyk do wiersza się bierze. Nie jeden skoro dwa rymy złoży, sądzi, że już jest poetą; a byle wiersz jego miał przepisaną liczbę zgłosek i końcowki, o sens się nie pyta, i w równi z Krasickim się kładzie. Ten gust nieszczęśliwy, jeśli do wysokiego dójdzie stopnia, pozbawia go wszelkiego światła: gardzi księgami naukowemi, bo prozą pisane; nie chce słuchać lekcyj w szkołach, bo je nie wierszem Professorowie dają; a co najgorsza, napawa się dumą, nabiera wielkiego o sobie mniemania: wyżéj się kładzie nad wszystkich, a przeto do wszelkiego dobra drogę sobie zagradza. Bo biada temu dziecięciu, które sądzi, że ma więcéj od wszystkich rozumu! bez wątpienia, na całe życie niżéj od wszystkich zostanie.

Smutny przykład niebezpieczeństw wierszomanii przedstawił Seweryn Ranoski. Sierota i niemajętny, przyjęty został w dziecinnym wieku swoim w dom dalekich, lecz bardzo dobroczynnych krewnych. Ci obchodzili się z nim jako z dzie-

ckiem ukochaném, i równe jemu z własnymi synami dawali wychowanie. Seweryn wiele okazywał zdatności: zawczasu i prędko czytać i pisać się nauczył. Mógł był zajść daleko w naukach, lecz nieszczęściem dostały mu się zbyt wcześnie w ręce pisma poetów naszych. — Nie mogąc ocenić wszystkich ich piękności, uderzony tylko został miłym dźwiękiem ich wierszy, i jakby zaczarowany bogactwem, wspaniałością, harmonią wyrazów, którémi tak poezya nasza celuje. Zdało mu się, że rymy i szumno brzmiące słowa, całą piękność wiersza stanowią, i umyślił być poetą. Deklamował pompatycznie Felińskiego, Trembeckiego rymy, nieustannie końcowek szukał; nieraz w potocznéj rozmowie zdarzyło mu się górne słowo, alboli też dwa rymy umieścić. Kochający go opiekunowie przyznali niejaki talent do poezyi, a on w duchu przyznał sobie geniusz rymotworczy.

Kiedy miał lat dwanaście, i już kilka liber papieru płodami muzy swojéj napełnił, nadeszły imieniny opiekunki jego. Zdała mu się pora stósowna do okazania swego talentu; przejrzawszy więc własnych dzieł foliały, napocziwszy nie mało czoła, napisał te wiersze:

Ty! co myśli ulotnéj przypominasz słońce!
Ty, którą wielbią świata najdaleksze końce!
Ze związków słodkich z tobą w Parnasie się chlubie.
Tobie igraszki muzy poświęcać ja lubię:
Dla ciebie to Apollo nastroił swą lutnię,
I moja niezawodnie godny ci wiersz utnie.
Żyj dni gwiazdorówne, miéj zdrój pomyślności!
Pływaj w złocie, w zdrowiu, w dziwnéj szczęśliwości.
O méj ku cię wdzięczności śpiewałbym najmiléj,
Gdybym na Helikonie wzbił się jak Wirgili.
Lecz jeszczem go nie doszedł... Ale bądź cierpliwa,
Pójdzie lotem pioruna muza nieleniwa:
Wówczas wdzięczność niezbędną i jéj zapał cały,
Wieki potomne, wnuki, będą czytywały.

Przepisawszy na papierze welinowym z girlandą to powinszowanie, odczytawszy je głośno kilka razy, rachując na palcach syllaby, Seweryn tak był kontent, że wstał bardzo rano, i jeszcze leżącéj w łóżku Solennizantce je oddał. Ucieszona jego pośpiechem, obbczywszy w wierszach powtarzane słowo wdzięczność, nie zważała na resztę, i rozrzewniła się czytając to powinszowanie. Rozłożone wraz z innémi na wielkim stole w bawialnym pokoju, czytane było od wszystkich gości i domowych; a jak się to zwykle zdarza, każdy, nie wiele myśląc, z grzeczności pochwalił.

Od tego czasu zdało się Sewerynowi, że już jest Wirgilim, z tą jedynie różnicą, iż geniusz jego więcéj przedmiotów obejmuje. Zaczął więc pisać poemata, sielanki, tragedye, komedye: na każde imieniny, obchodzone w domu, występował z odą, ale wszystkie wiersze jego podobne były wyżéj umieszczonym, a dla nich istotnych zaniedbywał nauk. Cóż się stało? na żadnym examinie się nie popisał, bo zajęty poezyą, nie miał czasu do czego się przyłożyć; szkół nie skończył, rozgniewał na siebie opiekunów swoich, gdyż pomimo powtarzanych ich napomnień, nie chciał wierszomanii zaniechać. Wyrosł słuszny, lecz cóż robi? czém jest? co z niego będzie? Oto bruk zbija, każdy wiérszokletą go zowie, do niczego nie dójdzie. Miał majątek na wierszach zrobić, a wydawcy pism peryodycznych niechcą nawet darmo poezyi jego umieszczać. Jest jednak promyk nadziei: młody jeszcze, poprawić się może; a gdyby się wyrzekł wierszy i przyłożył pracy, jeszczeby opiekunów łaskę i czas stracony odzyskał. (Tańska.)

6. PRZYKŁAD RELIGII.

Słońce się miało ku zachodowi, kiedy Polidor, chcący zażyć wieczornéj chwili, ponad brzegiem morskim w kilku przyjaciół przechodził się, i do córki swojéj dziesięcioletniéj, którą za rękę prowadził, tak mówić zaczął: „Dziecię moje! posąg ten Neptuna, który na tym wzgórku widzisz, i któremu się lud bałwochwalny jak Bogu kłania, szczerym tylko kamieniem jest: próżno na twarz przed nim padając, wśród gorących modlitw, zimne jego liżą nogi; bo on z natury swojéj i głuchy i nieczuły. Ale ani księżyc, ani to słońce (chociażby najbardziéj ludzi zaślepić mogło) Bogiem nie jest.“

„Klimeno! patrz, jak słońce się schyla ku zachodowi, i to znaczy niedostatek jego, że chcąc oświecić drugą połowę ziemi, dla nas mu już światła nie staje. Potrzeba, żeby Bóg był przytomnym wszędzie i zawsze: widzącym wszystko bez zasłony, dostarczającym bez ujmy sobie; wszechmocnym bez wsparcia, i wielkim bez miary. Jeden tylko jest Bóg, ani więcéj ich kiedy być mogło. On wolą swoją wyprowadził z niczego wszystko, co widzisz; żadna zaś rzecz sama siebie stworzyć nie mogła, boby musiała być pierwéj przed sobą. On z drobnych proszków pozbijał te twarde kruszce i skały, i z nich insze ręka człowieka na ozdobę albo wygodę jaką, insze zaś (wielorakie im postaci dając) na różne w bałwochwalstwie posągi obróciła; z których reszty pod nogami naszémi walając się, świadczą o podłym ich początku. On rusza te fale morza, i brzegi, po których chodzimy, położył mu za granicę. Kwia-

tami obsypał ziemię, i zrobił ją dla żywności stworzenia swego urodzajną. W głębokości powietrza pozawieszał gwiazdy swoje; inszym zaś bieg naznaczył, którego jednostajnie pilnują. A na ziemi prowadzi człowieka za rękę, środkiem tysiąca niebezpieczeństw, które go otaczają. Klimeno! gdzie tylko spojrzysz, on wszędzie jest: widzieć go możesz w tym równym rządzie świata, w tobie saméj i w twojém dalszém powodzeniu widzieć go będziesz. On często umartwieniem pociąga do siebie ludzi; ale on dobry Ojciec jest, nie długo martwi dzieci swoje. Przecież chroń się złego, bo on jest sprawiedliwy; przenika myśli twoje, i nigdy nie karze bez przyczyny. Trzymaj go się statecznie, a bądź mu wierna.“

Jeszcze coś chciał mówić Polidor, kiedy niespodziewanie od zabójców morskich obskoczeni, wszyscy razem zabrani, i na okręt zaprowadzeni byli...

Stanęli nakoniec u brzegu nieznajomego, który im żywy wystawił obraz niewoli przyszłéj..... Tymczasem łodzie, które podpłynęły, przeprowadziły na brzeg rzeczy i niewolników; gdzie zaraz za cenę umówioną kupieni, i panu swemu oddani byli . . . .

„Klimeno!“ mówił Polidor będąc już w niewoli, „dusza nasza jest nieśmiertelna, i nikt darmo cnotliwym nie był. Szczęście, albo nieszczęście, nie będzie na ziemi nagrodą cnoty: bo tyle razy doświadczamy, że się do końca dobrze wiedzie bezbożnym. Żeby tedy Bóg w rządzie swoim sprawiedliwym był, potrzeba, ażeby dusza nieśmiertelną była, i inszą nagrodę, nie tę na świecie skazitelną odbierała.“

Rok blizko niewoli ich dochodził, a jeszcze pana swojego nie znali; sami tylko posługujący im o hojności i wspaniałości duszy jego wypowiedzieć się nie mogli. Kiedy raz w ogrodzie ojciec z Klimeną zabawiał się, wszedł niespodziewanie Altamor, (to było nazwisko pana ich) i tak mówić począł: „Bogowie dali mi dostatek, a ja się nim chętnie dzielę z bliźnim moim. Spodziewam się, że tu wam na niczém nie zbywało. Wdzięczność, którą mi za to mieć powinniście, bogom najpierwéj należy; dla tego, ponieważ wkrótce wielkie ich święto następuje, potrzeba, ażebyście i wy, wraz z całym ludem moim, wystawionym w pośrodku miasta, bogom się miejscowym pokłonili.“ „„Ja, Altamorze!““ odezwał się Polidor, „„jednego wyznaję Boga, jemu się tylko kłaniam, i jemu za te łaski, któreśmy w tobie znaleźli, dziękuję...““ „Ani ty bezkarnie bogów moich szarpać będziesz, mówił Altamor: przez dwa dni namyślać się jeszcze macie; potém was, albo

życie spokojne, albo śmierć okrutna czeka.“ Wyszedł z ogrodu, i zostawił w sercu Polidora głęboki smutek....

Już przyszedł dzień wielki, i wystawione w pośrodku miasta posągi niezmierne tłumy ludu otoczyły, za ółtarzem stósy gotowe na spalenie winowajców czekały....

Przybył nakoniec Altamor, na którego tylko czekano, z niewolnikami swymi, a kiedy się pospólstwo uciszyło, tak do Polidora i towarzyszów jego mówić zaczął: „Nie na tom was tak drogo od zbójców kupił, ażebym kiedy zguby waszéj miał pragnąć. Wy do niéj sami upornie ciśniecie się, nie chcąc odstąpić Boga swego, a pokłonić się naszym: jakoby ten mocniejszym był, który was od niewoli teraźniejszéj uwolnić nie mógł, nad naszych bogów, do których ziemi dostaliście się....

Kliton, jeden z towarzyszów Polidora, odpowiedział: „Prawdziwy Bóg nasz tym, którzy go się statecznie trzymają, daje nagrody nieskończone; a twoi bogowie docześnie tylko, jak mówisz, płacą. Nie chcemy mieniać tak marnie dobra istotnego za omamienie, i szczęścia nieśmiertelnego za roskosz krótką.“ Wtém na stós winowajców kilku wrzucono....

Stało się, jak sobie Altamor życzył; po krótkim czasie zawołał Kliton: „Wielcy bogowie Altamora! ja was wyznaję.“ Rozwiązany, zaraz do ółtarza przystąpił; i razem nieszczęśliwym przykładem swoim, resztę zalęknionych towarzyszów za sobą pociągnął. Polidor, zasłoniwszy sobie oczy (bo ani w niebo, ani na Klimenę swoję spojrzéć dla wstydu nie mógł), szedł zwolna ku ółtarzowi z drugimi; wtenczas, kiedy okrzyk pospólstwa powietrze napełniał. Dał znak Altamor, żeby się uciszono, chcąc Klimenę, która się jedna tylko została, do ofiarowania bogom swoim namówić. Ale ona zaczęła pierwéj: „Wielki Bóg chrześciański mocen jest w pośrodku ognia dać ochłodę wybranym swoim, albo stateczność, na wytrzymanie męki. Nie rozumiéj Altamorze! żeby mię kiedy ustraszyć mogły stósy twoje.“ To kończąc, biegła ochotnie ku ogniowi; ale Polidor, za rękę ją porwawszy: poczekay, mówił, Klimeno moja! jam z tobą był zawsze od dzieciństwa twego, i nigdy cię postępek mój nie zawstydził, a ty dzisiaj chwalebnie dla ciebie, ale ze wstydem moim, uprzedzasz mię. Altamorze! ja na wieki wyznaję Boga Klimeny, który ją tak umacnia. Pójdźmy, córko moja! pójdźmy razem na ogień; ja ciebie Boże i dziecięcia mojego nie odstąpię.“ Wziął ją na ręce Polidor, a ona płacząc z radości, i za szyję ojca ściskając, wołała: „Altamorze! Ojciec mój ze mną jest; już ci nie mam co opuścić.“

Reszta towarzyszów porzucili także ółtarze, i obstąpili wkoło Polidora z Klimeną, a Kliton z pomiędzy nich tak mówić zaczął: „Mnie to najpierwéj należy pójść na stós ten, którym was złym przykładem moim tak ciężko zgorszył. Nie brońcież mi téj sprawiedliwéj poprawy mojéj, niech w oczach waszych zetrę tę plamę, i pokażę wam drogę prawdziwego Chrześcianina, od któréj odstępstwem mojém dopierom was był odwrócił. Spokojnie umierać będziecie, nie bojąc się już o mnie, który między wami najsłabszy byłem.“

Kazał zatrzymać wszystkich Altamor, i przystąpiwszy do Polidora, wziął z rąk jego na ręce swoje Klimenę, i tak do zgromadzenia całego mówił: „Czegoż zapomnieni, płaczecie wszyscy? oto już w tych łzach waszych oddaliście ofiarę Bogu chrześciańskiemu. Co ze mnie jest, odtąd innego Boga znać nie chcę, tylko tego, którego Klimena wyznała, i który przez nię, tak do mnie mocno mówi, że mu się oprzéć nie mogę. Żyjcie szczęśliwi, Chrześcianie! ja bratem waszym jestem. Spodziewam się, że mi zawsze wierni będziecie, kiedyście Bogu waszemu wierni byli. Nauczajcie lud mój téj dobréj wiary; a dzień dzisiejszy niechaj się odtąd nazywa dniem tryumfu Religii chrześciańskiéj.

(Powieść ta skrócona, wyjęta z dzieł Karpińskiego: zob. Wybór bajek str. 164.)

E. POWIEŚCI KRÓTKIE.

Z DZIEJÓW OJCZYSTYCH. *)

1. PRZYKŁAD MIŁOŚCI KU RODZICOM.

Piękny przykład miłości ku rodzicom zostawił Bolesław Krzywousty, gdy przez pięć lat po śmierci ojca swego w żałobie chodził. Nosił on całe życie portret ojca na pier-

*) Większa część tych powieści wyjęta z Kroniki Bielskiego. Marcin Bielski, rodem z Białéj, w ziemi wieluńskiéj, † 1577 r. mając lat 80. Napisał Kronikę polską od najdawniejszych czasów aż do wieku swego doprowadzoną, którą syn jego Joachim Bielski przerobił, czyli też pomnożył, i aż do Zygmunta III. doprowadziwszy, wydał w Krakowie r. 1597. Jest to pierwsza polska kronika: styl gładki, jasny i czysty, wolny od makaronizmów: dla tego poniższe wyjmki z małemi tylko umieszczono odmianami. Marcin Bielski jest nadto autorem Kroniki całego świata: dzieło teraz nader rzadkie.

siach, a zapatrując się nań codziennie, mawiał: niech mnie Bóg zachowa, żebym co przeciw honorowi Ojca mojego popełnił.

2. KRZYWOUSTY NA POLOWANIU.

Bolesław wesół z fortunnego powodzenia Skarbimierza przeciw Pomorzanom, wsiadł na koń ze stem rycerzów na myślistwo, aby gdzie zwierza najechać, bo go tam było dosyć w dąbrowach. Napadli na trzy tysiące Pomorzan, a oni się skradali cicho przez lasy, jakoby mogli obskoczyć naszych, gdy sobie podweselą. Bolesław, chociaż widział lud nie mały, uciekać nie chciał, ale upomniawszy swoich, uderzył na nich. Tam zabili pod nim konia Pomorzanie, a on przesiadłszy się na innego, niewrócił do swoich, aż trzydziestu ze sta rycerzy zostało. Skarbimierz tam oko stracił.

3. HAB DANK.

Cesarz niemiecki Henryk, posłowi Krzywoustego podawał do pokoju ciężkie warunki. Poseł trząsnął na nie głową. Przetoż Cesarz chcąc go ustraszyć, przywiódł do skrzyni otworzonéj, pełnéj czerwonych złotych, mówiąc: mam ja czém Pana twego zwalczyć! — Poseł nasz Skarbek zdjąwszy z palca sygnet swój złoty, wrzucił go tam, i rzekł: Idź złoto do złota; niczém to u nas, gdyż my się więcéj w ostrém żelezie kochamy, niż w złocie. Cesarzowi było to w podziwieniu, i rzekł poniemiecku: Hab Dank! i ztąd ten herb tak u nas zowią.

4. LESZEK BIAŁY I GOWOREK.

Po śmierci Mieczysława Starego, wszyscy jednomyślnie Leszka, syna Kazimierza Sprawiedliwego, monarchą mieć chcieli, ale pod tym warunkiem, jeźli Goworka od siebie oddali. I z tém posłali do Leszka. Ten pomyślał sobie: i miałby dla mnie dobry a zasłużony człowiek, być wygnany i zelżony niewinnie! Boże tego uchowaj, abym ja to miał uczynić! Wtém przystąpiwszy Goworek do Leszka, mówił: „Dla mnie jednego mój Panie, nie opuszczaj królestwa, bo masz do niego prawo nad innych; mnieć Bóg pożywi: zjechawszy do cudzéj ziemi, będę się wszędzie miał dobrze; czyliż mi wiele trzeba, zwłaszcza staremu, który już lada kiedy umrę?“ Ta życzliwość wzruszyła jeszcze bardziéj Leszka, iż nie chciał odstąpić Goworka, starego sługi swego.

5. WŁADYSŁAW ŁOKIETEK I FLORYAN SZARY.

Nazajutrz po przeważnéj pod Połowcami bitwie (d. 27. Września 1331), gdy Król objeżdżał plac potyczki, znalazł

jednego szlachcica, przebitego trzema włóczniami; nad którym gdy się zastanowił, ubolewając, iż wiele cierpiał, odpowiedział mu Floryan Szary (było to jego nazwisko): „Królu! bardziéj mnie boli zły sąsiad, niżeli te rany.“ Na to Władysław: „„Bądź dobréj myśli, uwolnię cię od tego sąsiedztwa:““ i kazał go zawieźć pod namiot dla wyleczenia: gdy żołnierz do zdrowia przyszedł, całą mu tę wioskę kupił, a na pamiątkę cnoty rycerskiéj, do dawnego herbu, zwanego koźle rogi, trzy włócznie przydał. (Naruszewicz.)

6. SZAMOTULSKI PRZEPRASZA ŁOKIETKA.

R. 1331. Król złożył ze starostwa, czyli hetmaństwa, Wincentego Szamotulskiego, a syna swego Kazimierza na tém miejscu postanowił; o co on rozgniewany, uciekł do Ludera, Mistrza Krzyżaków, do Malborga, namawiając go, aby wojował a pustoszył polskie krainy, chcąc mu w téj rzeczy służyć. Wielkie klęski i bezprawia wynikły z téj zdrady.... Łokietek niewiedząc już jako czynić inaczéj, posłał tajemnie do Wincentego i upominać go kazał: „aby pamiętając na gniazdo swe, w którém się urodził i wychował, zmiłował się nad strapioną ojczyzną swoją; rozwodząc mu to, że acz Bóg nie zarazem, to przecie kiedyż tedyż zemści się téj krwi niewinnéj i tych zniewag nad nim... a przeto, żeby uważył swój gniew być niesprawiedliwym, gdyż wolno Królowi dać swe komu chce.“ — Gdy posłowie Wincentemu to powiedzieli i przebaczenie królewskie obiecali, westchnął i zapłakał, mówiąc: słodka każdemu mieć ojczyznę! i przyrzekł Krzyżaków odstąpić. Jakoż dotrzymał słowa, i do zwycięztwa pod Połowcami, zdradziwszy Krzyżaków, wiele dopomógł. Król za tę posługę winę mu odpuścił, i do czci pierwszéj przywrócił. Ale rycerstwo mając przeciwko niemu (jak przeciw zdrajcy) serce zakrwawione, rzucili się nań na jednym zjeździe, i niebawem rozsiekali. A tak zapłatę wziął za swój zły uczynek.

7. NADESŁANIE DWÓCH MIECZÓW JAGIELLE.

R. 1410. Kiedy już Król obozując pod Grünwaldem zabierał się do bitwy, przyjechali od Mistrza krzyżackiego dwaj posłowie z tarczami; na jednéj był orzeł czarny o dwóch głowach, a na drugiéj gryf; którzy gdy byli przyprowadzeni przed Króla, mówili w te słowa: „Sławny Królu! Mistrz nasz Ulryk przysłała ci oto dwa miecze: tobie jeden, a bratu Witołdowi drugi na pomoc, abyś sobą nie trwożył, a śmiele się z nim potykał; a jeśli ciasne pole masz, chcecé ustąpić swego miejsca.“ Król z pokorą ono poselstwo przyjął, i westchnąwszy ku Panu Bogu, rzekł: „Aczci mieczów mamy dostatek, wszakże i te

weźmiemy, które mogą się nam przydać na waszego Mistrza.“ I kazał wziąść one miecze od nich, które jeszcze i dziś są w skarbcu.

8. PAN FILIP Z KONOPI.

Pan Filip z Konopi, płoszywszy przez lat 40. Turki, Tatary, Wołoszą, za króla Kazimierza, Olbrachta i Alexandra, osiadł nareszcie w swoim majątku. Pojechał na sejmik; lecz schowany w obozach, wprawny bardziéj do ścinania się z pohańcem, niż do rozpraw publicznych, nie zważał bynajmniéj na przedmiot obrady, i zaczął wcale o czém inném prawić. Śmiech powstał powszechny: „Któż tam taki wyrwał się?“ rzekł któryś z ziemianów. „To Pan Filip z Konopi!“ krzyknęli usłużni sąsiedzi. I odtąd jest w pogotowiu Pan Filip przy każdém niedorzeczném słówku.

9. GLIŃSKA.

Glińska dowiedziawszy się, iż jéj syn w czasie wojny przeszedł na stronę nieprzyjaciół, napisała do niego w te słowa: „Zrodziłam cię dla ojczyzny, nie zaś przeciw ojczyznie; zdrajco! niewdzięczniku! spodziewaj się pewnie kary Boga.“ — Jakoż sprawdziło się przepowiedzenie matki, gdyż Gliński zakończył życie w więzieniu u Moskalów, którzy go o zdradę posądzali.

10. JAN KOCHANOWSKI.

Gdy się Jan Zamojski dowiedział, że ów wielki rymotwórca, Jan Kochanowski, od dworu Zygmunta Augusta oddalił się, i w dziedzicznéj wiosce Czarnolesiu osiadł; nie mógł znieść, aby ten wielki mąż rzadkie przymioty swoje w odległym kątku zakopywał. Dla tego wyrobił mu kasztelanią połaniecką u Króla, i posłał na nię przywiléj. Kochanowski podziękował za tę łaskę, kasztelaństwa jednak nie przyjął, mówiąc: przestaję na miernych dochodach, a dumnego Kasztelana w mój dom wpuścić nie chcę, któryby przez swoje marnotrawstwo wszystko wnet strwonił, czego się Kochanowski dorobił. Przyczém te wiersze dopisał:

Kto ma pieniądz, ma w ręku prawa, ma urzędy,
Ten gładki, ten wymowny, ten ma przodek wszędy.
Pan Bóg a mieszek, to przyjaciel prawy;
Ludzka zaś przyjaźń tylko dla zabawy.

11. ZDANIE MOŚCICKIEGO O BISKUPSTWIE.

Mościcki *) dał Zygmuntowi Augustowi, dziwiącemu się, że ofiarowanego sobie Arcybiskupstwa lwowskiego po

*) Dominikan, Doktor i Professor Teologii w Krakowie.

Janie Słombowskim przyjąć nie chciał, kiedy inni o nie karki łamali, taką odpowiedź: „Najjaśniejszy Panie! wolę być najlichszym u Dominikanów, niż kucharzem i cześnikiem szlachty polskiéj.“

12. DISCE PUER!

Stefan Batory, Król polski, odwiedzając raz szkoły w Krakowie, dla przekonania młodzieży, iż nauka najpewniéj drogę do godności toruje, rzekł do jednego ubogiego, lecz pilnie uczącego się studenta: Disce puer latine, faciam te Mości Panie (ucz się chłopcze połacinie, a zrobię cię szlachcicem.)

13. TRZY RZECZY.

Stefan Batory zwykł był mawiać, że Bóg sam jeden te trzy rzeczy sobie zachował: z niczego coś stworzyć, przyszłość przewidywać, i sumieniami władać. (Dla tego nie prześladował różnowierców.)

14. MAREK SOBIESKI.

Sobieski Marek, Wojewoda lubelski, dziad Króla Jana, gdy się znajdował na łowach w Litwie z Królem Stefanem Batorym, straszny niedźwiedź z lasu wypadł, i biegł obces na Króla. Sobieski, uzbrojony tylko szablą i oszczepem, poskoczył, i srogiego zwierza jedném cięciem zabił. Mąż ten we wszystkich wyprawach za Stefana Batorego, dawał dowody waleczności i mocy niezrównanéj. Król Stefan mawiał: że gdyby los całego państwa na walce jednego człowieka zależał, tedyby nie kogo innego wystawił, jak Marka Sobieskiego.

15. SEBASTYAN PETRYCY.

Sebastyan Petrycy, tłumacz Od Horacyusza i kilku rozpraw Arystotelesa, był niepospolitym wieku swego lekarzem. Po długiéj niewoli w Moskwie, wrócił do Polski, i w Krakowie przez lat 6, do r. 1626, trudnił się sztuką lekarską. Jak poczciwie myślał, dowodził pismami i mową. Gdy do chorego ubogiego i bogatego razem był wezwany, do piérwszego wprzód i chętniéj jak do drugiego pospieszał: bogaty bowiem, mawiał, nie jednego może mieć lekarza, ubogi żadnego. Najlepszém uwielbieniem cnoty i nauki jego, był powszechny żal mieszkańców, łzy pospolitego ludu, który go swym dobroczyńcą nazywał, i który wołał: „już po nas, kiedy Petrycy nie żyje!“

16. ZDANIE SKARGI O JĘZYKU OJCZYSTYM.*)

Wielu ganiło Księdza Piotra Skargę, że gdyby połacinie

*) Ksiądz Piotr Skarga, Jezuita, tak kochał ojczyznę, że lubo go ko-

pisał, europejską mógłby mieć sławę, zwłaszcza, że w tym języku bardzo był biegły; tym on odpowiadał: „język łaciński już jest stary, i od wielu wieków dojrzały: nasz zaś młody ukształcenia potrzebuje: wreszcie Polak jestem, dla Polaków tylko żyję i myślę.“

17. KOŚCIOŁ NAJMILSZY BOGU.

Chodkiewiczowa, Księżna ostrogska, gdy na fundamenta kościoła w Ostrogu kładziono pieniądze, westchnęła, i rzucając garść złota, rzekła: Obym mogła wystawić Bogu ze złota kościół tak wielki, aby cały świat zajmował. Przytomny kapłan rzekł jéj na to: Serce maluchne człowieka, jest najmilszym Bogu kościołem.

18. ZDANIE O POLSCE.

Księżna Radziwiłłowa Katarzyna, z domu Sobieska, siostra Króla Jana IIIgo, mawiała: Grzeczna Francya, pobożna Hiszpania, wesołe Włochy, bogate Niemcy, ale mi najmilsza Polska.

19. PRAWDZIWE SZLACHECTWO.

a) Kossakowska, Kasztelanowa kamieniecka, w posiedzeniu jedném, gdy niektórzy wyliczali dawność przodków swoich, i popierali się Niesieckim, Duńczewskim i t. d., odezwała się w te słowa: „Mnie się zdaje, że ani Niesiecki, ani Duńczewski, nie są tak dawni, jak miłość ojczyzny: ta to cnota szlachtą czyni, ta powinna rządzić Polakami; od niéj odstąpić, jest być wyrodkiem przodków i nieprzyjacielem Ojczyzny.“

b) Starowolski*) w dziele Reformacya obyczajów polskich, takie o szlachectwie daje zdanie: „Szlachcicem być, nic inszego nie jest, jedno znacznym być; a znacznym nie występkami, albo zbrodniami, ale cnotą, męztwem, mądrością i dzielnością między pospolitym człowiekiem. Bo jako złéj szkapie nic to zacności nie przyda, że się w stajni murowanéj wylęgła, gdzie dobre stado stawało, i nic jéj rzęd złocisty i czaprak haftowany nie pomoże, jeśli żadnéj cnoty w sobie z przyrodzenia nie ma; tak też człowieka swawolnego

---

niecznie w Rzymie zatrzymać chciano, on jednak wrócił do Polski, i był nadwornym Kaznodzieją Króla Stefana i Zygmunta IIIgo. Zawsze skromny, jak na zakonnika przystało, czynny i bogobojny, wspierał uboższych od siebie; † w Krakowie r. 1612; jego Kazania i Żywoty Świętych, czystą pisane polszczyzną, najwięcéj są szacowane. Po Skardze, Fabian Birkowski, Dominikan, urząd Kaznodziei Królewskiego godnie sprawował.

*) Starowolski Szymon, Kanonik krak., autor wielu dzieł (42) do historyi literatury należących, po większej części połacinie pisanych, † 1656.

i złego nie ozdobi wysokie urodzenie jego i dostatki, kiedy swéj własnéj cnoty w sobie niema.

20. RZETELNE POWITANIE.

Potocki, Kasztelan krakowski, odwiedzając szkoły krakowskie, zaczynał od najliczniejszéj Grammatyki, i tak witał: „Kłaniam Prymasom, Arcybiskupom, Biskupom, Hetmanom, Senatorom, a może jak w wolnym narodzie, i Królom. Do tego wskazuje wam drogę, Mości Panowie, nauka, a zaprowadzi cnota.“

21. CZARNIECKI POD MONASTERZYSZCZAMI.

Bohun, Rotmistrz Chmielnickiego, zamknął się w warownem miasteczku Monasterzyszcze: przystąpił natychmiast Czarniecki pod miasto, i pędem na oblężeńców uderzył. Już sam wódz bez hełmu, bez żadnéj zbroi, na czele rycerstwa, stanął na wałach: rozrzucano parkany, a twierdza już w ręku naszych być miała, gdy fatalny wystrzał przeszył mu twarz na wylot. Kula wyrwała podniebienie; zwalony na ziemię, gdy krew spiekłą wyrzucił, przyszedłszy do zmysłów zapytał: a miasto czy wzięte? Odpowiedziano, iż trwoga o jego życie przymusiła naszych do wstrzymania szturmu. Wzruszony żalem i gniewem, znowu krew potokami wyziewać zaczął. Uwieziony dla bezpieczeństwa, nieraz potém wspominał, iż ból jego niczém był, porównany z boleścią, którą mu wydarcie pewnego już zwycięztwa sprawiło.

22. MARCIN KĄTSKI W KAMIEŃCU.

Pamiętny traktat karłowicki, trudem i znojem Małachowskiego dokończony r. 1699., wracał Polakom Kamieniec z Podolem. Kątski Marcin, jako naówczas Generał Artyleryi, miał obowiązek odebrać urzędownie tę fortecę i zbrojownię. Oddawał mu ją ze strony Turków jeden Aga, a wprowadziwszy Kątskiego między lochy prochami napełnione, wściekłością zapalony z utraty takiéj zdobyczy, rzucił między prochy zarzewie ognia, aby siebie i Kątskiego i cały Kamieniec w gruzach zagrzebał. Kątski niezmieszany, porwał ten zarodek, tysiącami śmierci i rozwalin iskrzący się, i dał mu spokojnie na ręce swojéj dogorzeć. Osłupiał barbarzyniec na widok szlachetności i odwagi Polaka, który jedném skinieniem i miasto i krocie ludzi uratował.

23. MIKOŁAJ SIENIAWSKI.

Mikołaj Sieniawski mając dopiero lat osiem, tak wprawnie już strzelał z łuku, że gdy szło o zakład, zawsze mu prawie przyznawano piérwszeństwo. Wiadomo, że po znakomitych

familiach polskich utrzymywał się zwyczaj chowania posągów z drzewa, wyobrażających nieprzyjaciół, na których młodzież doświadczała sił swoich.

Młody Mikołaj, w przytomności Panów polskich, zapytał się ojca swego: Ojcze! długoż jeszcze będę wojował z tymi drewnianymi nieprzyjaciółmi? zaczyna mi się przykrzyć, że oni mi żadnego nie dają odporu. — Ojciec po ukończeniu nauk, przeznaczył go do stanu wojskowego, w którym na przyszłość ważne poczyniwszy usługi, zyskał hetmańską buławę pod Janem Sobieskim.

24. MARYA Z LESZCZYŃSKICH KRÓLOWA FRANCUZKA.

a) Ubóstwiał lud francuzki Maryą i nigdy jéj się dość napatrzyć nie mógł. Raz gdy się przechadzała w ogrodzie Tuileries, takie się zeszło mnóstwo, że w tym tłoku ani naprzód, ani w tył posunąć się nie mogła. Napróżno straż koło niéj będąca rozpędzać chciała pospólstwo: cisnęło się coraz więcéj, pragnąc bliżéj widzieć Monarchinię. Nareszcie Królowa dała znak, że chce mówić. Stanęli wszyscy, a ona powiedziała z uśmiechem: „Wiem dzieci moje, że się do mnie ciśniecie, bo mnie kochacie, tak, jak ja was kocham; dla téj więc saméj miłości, zamiast mnie dusić, dozwólcie mi przejścia.“ W jednéj chwili lud zgromadzony wydał okrzyk radości, i otworzył wygodne dla Królowéj przejście.

b) Dziejopisowi, który z wielkiémi pochwałami opisał jéj przybycie do Francyi, powiedziała: „Niepisz tego proszę, połóż poprostu, że w r. 1725 przybyła do Francyi Księżniczka, małego wzrostu, małych przymiotów, a wad wielkich.“ — Napiszę przynajmniéj, że ta Księżniczka serce miała wielkie (wspaniałe), powiedział. — „O! niepisz i tego,“ zawołała Królowa, „„nie wielkie to musi być serce, kiedy wszystkich nieszczęśliwych objąć nie potrafiło.““ — Wiadomo, że ta Królowa była wzorem dobroczynności, i że wszystkie prawie dochody na jałmużny i wspieranie nieszczęśliwych obracała.

c) Kardynał Fleury skarżył się przed nią, iż tak wiele ma zatrudnień (był bowiem piérwszym Ministrem), że głowę straci. „O! nie czyń tego,“ powiedziała Królowa, „bo ktoby tak dobrą rzecz znalazł, pewnieby jéj oddać nie chciał.“

d) Będąc niezmiernie żywą, przytrafiło jéj się wyrzéc nieraz słowo dowcipne i razem uszczypliwe; byłaby nawet mogła celować tym rodzajem talentu, gdyby dobroć nie była jéj ust zamykała.

Raz gdy jeden z Panów francuzkich wyliczał czyny wojenne przodków swoich, i powiedział na końcu: „Wszyscyśmy zabici zostali w usługach Królów naszych!“ — Królowa rzekła z uśmiechem: „Niezmiernie się cieszę, żeś ty przynajmniéj uszedł, bo mi o tém możesz powiedzieć.“

Niezabitowski w Życiu i pismach Stan. Leszczyńskiego w Warszawie 1828.)

25. ODPOWIEDŹ MĘŻNEGO BIAŁOZORA.

Mało zabezpieczonym był Dyament, [1]) gdzie Chodkiewicz ledwie 100. wybrańców Szawelskich, 40 Szkotów i tyleż konnych wrzucić był uśpiał. [2]) Zachęcony tą sił szczupłością Mansfeld [3]), podstąpiwszy pod mury, to wezwanie wysłał przez trębacza do przywodzącego w Dyamencie Białozora: „Upominam ciebie mocno i szczerze imieniem Króla szwedzkiego, Pana mojego, ażebyś zamek Dyament w ręce nasze bez odwłoki oddał: co jeżeli uczynisz, i siebie i swoich ocalisz: zechceszli bronić się, żaden z was żywo nie wyjdzie, a potomność i zwalisk nawet twierdzy waszéj nie znajdzie.“ — Mężny Białozor w te słowa odpowiedział: „Dla młodego wieku twego przebaczam lekkości i zuchwałości twojéj. Któż ty jesteś, co tak zuchwale śmiesz do nas mówić? Ani przywłaszczyciel Karól jest Tytusem Wespazyanem, ani my Jerozolimą. Żołnierz polski broni Dyamentu, znać go powinieneś: przyjdź, spróbuj się. Dan w Dyamencie 10. Sierp. 1604.“ [4])

(Niemcewicz.)

1) Zamek obronny w Inflantach. 2) Zdążył. 3) Wódz szwedzki. 4) Zob. niżéj bitwę pod Kircholmem.

26. PODANIA NIEPEWNE. [1])

a) LECH, CZECH, RUS.

Powiadają, że był Lech, który z braćmi swymi, Czechem i Rusem, z karwackiéj krainy przybył w te okolice, gdzie dziś stoi miasto Gniezno. Tam w lesie znalazł gniazdo orle; tu więc miasto i stolicę państwa budować począł, i orła wziął do herbu państwa, a braci swoich rozesłał w strony: Czecha na zachód, Rusa na wschód, aby sobie siedliska szukali. Od Czecha i Rusa poszły narody Czesi i Rusini, a Lech swojemu narodowi nadał imię Lechitów, jak dotąd jeszcze Rusini Polaków nazywali. Ale to wszystko bajka, którą bardzo późno zmyślono. Był nie jeden Lech na świecie, ale o takim przez wiele wieków nie słyszano. Wówczas, kiedy on miał osia-

1) Wyimki te wzięte są z szacownego bardzo dziełka, które w ręku wszystkich dzieci polskich i doroślejszéj nawet młodzieży, znajdowaćby się powinno, pod tyt.: Dzieje Polski, potocznym sposobem opowiedział Joachim Lelewel. W Warszawie 1830 r.

dać, herbów jeszcze nie było, i żadne państwo herbu swego nie miało; to więc jest wymysł daleko późniejszy, kiedy już na herby patrzano. Podobnież Rusinów imię jeszcze nie nastało, kiedy owi zmyśleni Lech i Rus mieli po świecie chodzić; jest więc to zmyślone wtedy, gdy naród ruski, Rusinów imię już nosił. Oczywiście widzicie, moje dzieci, że z nazwiska Lechitów, Czechów, Rusinów i Gniezna, utworzono nazwiska Lech, Czech, Rus i gniazdo orle, i ztąd całą bajkę wymyślono. Tego rodzaju baśnie bez końca na świecie powtarzano, a z tego żadnéj nauki i żadnego pożytku niema.

b) SMOK.

Powiadają, że Krakus, Książę polski, przeniosł stolicę do miasta przez siebie założonego, Krakowa, od krakania kruków tak nazwanego. Tam pod tém nowém miastem zjawił się smok, który okropne sprawiał zniszczenia. Napadał na wsie, zjadał bydło, pożerał ludzi. Żeby go zgubić, podrzucono mu nieżywego barana, siarką napchanego, z zatloną wewnątrz hupką. Ta siarka coraz więcéj się w brzuchu smoka żarząc, spaliła go. Inni powiadają, że go dobił syn młodszy Krakusa, a starszy zazdroszcząc bratu, zdradliwie go zabił, i za to z Polski wygnany został. Gdy tedy nie było synów po Krakusie panujących, córka jego Wanda rządy objęła; a nie chcąc iść za mąż za Niemca Rytygiera, zawojowała go, i sama się w Wiśle utopiła. Bajeczki to wszystko, często bardzo niezgrabne i śmieszne. Smoków na świecie niema, i co o nich bają, to są bajki. Co o jego spaleniu powtarzają, to oczywiste brednie, bo siarka bez przystępu powietrza palić się nie może ani w nieżywym baranie, a tym mniéj w brzuchu smoka. Zmyślone bratobójstwo jest rzecz tak brzydka, że wcale nie czyni zaszczytu temu, co to zmyślił na wzór bratobójstwa Kaina. Nakoniec powieść o Rytygierze jest wyjęta ze staréj historyi innych wcale narodów, i do Wandy zastósowana. Z takich tedy bajecznych i kłamliwych powieści, nic nam nie przyjdzie.

c) ALEXANDER I LESZKI.

Powiadają, że po dwa razy, zamiast Książąt, po dwunastu panowało Wojewodów; że Polacy różnym sposobem swoich Leszków obierali. Jednego za to na Książęcia wynieśli, że Alexandra Wielkiego zwojował dowcipnym wynalazkiem. Pozawieszał naprzeciw słońca polerowane blachy i zbroje: nieprzyjaciel rozumiał, że tak wiele jest wojska polskiego, przeląkł się i dał się pobić. Innego Leszka obrano przez gonitwę konną do mety. Narzucał on kolców pod piaskiem, tylko

ścieżkę od nich wolną zostawił. Konie współubiegających się poupadały, a on do mety dobiegł. Ale gdy się zdrada odkryła, z tronu zrzucony został, a na jego miejsce jeszcze inny Leszek wyniesiony, który zdradę tę odkrył, i do mety piechotą dobiegł, czyli też, jak inni powiadają, kopyta końskie żelazem okuwszy, u mety stanął. Inny Leszek wojował wiele, i obszerne państwa między dwudziestu synów swoich podzielił. Najstarszy z nich Popiel, miał nad nimi zwierzchnictwo. Ale i to bajki, z różnych ksiąg do Leszków polskich poprzyczepiane, a niezgrabnie; ponieważ Alexander Wielki, Król macedoński, wojownik swojego czasu bardzo wielki, daleko dawniéj od wszystkich Leszków panował, i wcale w innéj stronie świata, i nigdy na ziemi polskiéj nie postał. W Polsce też nie było tego nigdy, ażeby Polacy mieli swoich monarchów wyganiać i zrzucać, jak te bajki plotą. Są to, dzieci kochane, wielkie, niedorzeczne i brzydkie bajki. Ale powiem wam o śmieszniejszéj nad inne, a niemniéj szpetnéj, to jest o Piaście i Popielu młodszym.

d) MYSZY POPIELA ZJADŁY.

Stary Popiel umierając, zostawił syna Popiela II., który z berłem objął razem panowanie nad żyjącymi stryjami, których tak wielka była liczba. Byłto zły człowiek i nieużyty. Dwóch pielgrzymów przyszło było do jego dworu w gościnę: on ich nie przyjął. Ci tedy pielgrzymi udali się do prostego wieśniaka, kołodzieja Piasta, który właśnie tego dnia synowi swojemu postrzyżyny sprawował. Byłto obrządek bałwochwalski, na który zapraszano i traktowano sąsiadów. Pielgrzymi byli zaproszeni na tę uroczystość, i Piastowi syna postrzygłszy, nadali mu imię Ziemowit, przepowiadając, że on z czasem będzie Książęciem. Namówili też Piasta, że na ucztę do chaty swojéj zaprosił i Książęcia Popiela. A chociaż ciżba zebrała się gości, nie brakło jednak Piastowi niczego, ponieważ pielgrzymi taki cud sprawili, że z małej miarki miodu tak się ten miód rozmnożył, że nim napełniły się wszystkie naczynia; a z zabitego prosięcia tyle mięsa narosło, że nim cały ceber napełniony został. Uczczony tedy został Książę Popiel. Za namową Niemki, żony swojéj, udał on chorobę, i jakoby umierając, sprosił stryjów swoich, których częstując, wszystkich razem wytruł. Z ciał tych potrutych stryjów, wjezioro Gopło powrzucanych, wyszła wielka moc szczurów i myszy, które ruszyły prosto na zamek książęcy w Kruszwicy. Na ten widok wszyscy dworzanie uciekli: uciekał i Książę Popiel, ale go myszy goniły. Uciekał w pole, myszy za nim;

na łódź, na jezioro; daléjże i myszy płynęły za nim. Popiel na wyspę, i w wieży tamże stojącéj z żoną i synami schronienia szukał; myszy téż za nim. Opadłszy naostatek w téj wieży, Popiela z żoną i dwoma synami zagryzły i zjadły. Takim przypadkiem zginął dom panujących Książąt, azatém zebrali się Polacy na sejm, aby nowego monarchę obrali. Po długiéj niezgodzie, Piasta kołodzieja, z miodem swoim przez jezioro płynącego, na tron wynieśli, który był ojcem familii, długo Polską rządzącéj. Tym sposobem prawdziwe zdarzenie pofałszowano i w bajkę zamieniono. Piast nigdy królem nie był i nie panował. Wiecie zapewne, dzieci moje, że Chrystus na weselu w Kanie gallilejskiéj, cudownie naczynia winem ponapełniał, że w okolicy pustéj pięcioro chleba i dwie ryby cudownie pomnożył. Na sposob tego wymyślono podobne w gospodzie Piasta żywności pomnożenie. Ale co Chrystus mocą bożą uczynił, to w powieści innych dziejów mieszać, i ludziom podróżnym przypisywać nie wypada i niegodzi się. Cóż wam powiem o zmyślonéj wielkiéj liczbie stryjów Popiela? o zmyślonym tak szkaradnym występku, że ich potrul? w czém nie dowcipnego niema. O myszach już wam nie mam co mówić, gdy wiecie z codziennego doświadczenia waszego, że myszy przed wami małémi dziećmi uciekają, i was się obawiają, a jakżeby starych ludzi zagryzać miały. Cóż dopiero mówić o wyjściu myszy z ciał nieżywych, gdy one tak się rodzą jedne z drugich i podrastają, jak wszystkie zwierzęta. Są to wcale śmieszne i nierozsądne bajki.

F. WSPOMNIENIA NARODOWE.

1. BODUENA GORLIWOŚĆ I POKORA.

Brzmiała Warszawa zbytkami, a wśród rozpusty głuche było jęczenie ubóstwa i sierót. Słyszał je tylko ubogi kapłan Boduę (Baudouain), i poraz piérwszy uczuł swój niedostatek, bo widział dzieci rodziców, którzy nie pomarli, ale w rozpustach zatwardzili swe serca. Dom więc jego był domem sierót, ale zamożność nie odpowiadała cnotliwym chęciom. Ośmielił się więc wyjść na miasto i błagać litości. Mijał bogate pałace, bo tam tylko wesoły głos był słuchany; żebrał między uboższymi, i był przyjmowany według możności. Ale widział, że ci skromnie i potem czoła własne dziatki żywili: „Ci już (mówił) dopełniają miłéj powinności dla dzieci, i pła-

cą smutne daniny dla zbytkujących.“ — Wziąwszy więc Boga na pomoc, zaczął chodzić po pałacach, znosząc pogardę i żarty dowcipnych dworzan.

I widzi przed jednym gmachem pyszne pojazdy, hajduków i złotem strojnych pachołków: goreją w oknach rzęsiste światła, brzmią okrzyki i wesoła muzyka. Wchodzi, pomija tłumy zabawą zajęte, i widzi na jednéj sali stoliki pełne złota, które los karty z rąk do rąk przeznacza, i rzekł w sercu swojém: „o biedne, biedne sieroty moje!“ I zbliża się do tego, przed którym najwięcéj złota; ale nie widział, że karta nieszczęśliwa połowę tego złota ujęła. Ze drzeniem przemawia pokorne słowo, ale nie był słyszany. Mówi powtóre, ale widzi, że niechciano go słyszeć. — „Małą cząstkę dla sierót!“ ozwał się głośniéj. Ale zapamiętały gniew ogarnął grającego, i policzkiem znieważył cnotliwego kapłana. Ale on rzekł: „To dla mnie, a cóż dla sierót?“ Dopiero znieważony teraz był wyższym nad wszystkich: zdumieli się wszyscy, i z miejsc powstali. Rzuca mu się na szyję ten, co go tak ciężko obraził, i srebrną tacę ze wszystkiém złotem oddaje: za nim wszyscy dorzucają swe złoto. Ze czcią odprowadzony kapłan, niesie skarb sierotom, oblewając go łzami radości.

I był Boduę w wielkiéj czci u wszystkich; znosili mu dary tak liczne, że wystawił wspaniały dom sierót, które dziś co rano za duszę jego ręce wznoszą do Boga. Działo się to za panowania Augusta IIIgo. (Z Rozrywek dla Dzieci.)

2. SZYMON ZBROJA.

Kiedy piękna Rokiczana panowała nad sercem Kazimierza, a jak mówią niektórzy, nawet tajemnym związkiem małżeńskim złączoną z nim była, miało jéj się wydawać czasem, że nad całym światem panuje, i wszystko ulegać jéj winno: kobieta łatwo przyjmuje ułudzenia... Z okien komnaty swojéj śliczny miała widok na ogród Łobzowa i na Kraków; jedna tylko nędzna lepianka na zawadzie stała. Im więcéj posiadamy, tém mocniéj małą przykrość czujemy. Razu więc jednego, kiedy Król był daleko, Czeszka wydaje rozkaz, ażeby chatę zburzono; należała ona do Szymona Zbroi, ubogiego zagrodnika, a niegdyś za Króla Łokietka odważnego żołnierza: nie mógł się oprzeć dworskiéj czeladzi, uległ przemocy i został bez dachu i chleba. W niedoli swoiéj tak smutnie nucił:

Na wojnie tylem lat bywał,
Czemużem na niéj nie zginął?

Czemuż mnie oręż pominął?
Jużbym dziś w ziemi spoczywał.

Wygnaniec dziś z mego domu,
Co mi po ojcu się dostał;
Czemużem w polu nie został?
Czemum dożył tego sromu?

Wygnany pójdę sierota,
Obrońca niegdyś narodu,
Umierać z żalu i głodu,
Jak biedny nędzarz u płota.

Ale nie tak się stało; skoro Król powrócił, Brózda, sołtys Łobzowa, wiedząc dobrze, iż nikomu za panowania Kazimierza ciemiężyć kmiotków nie wolno, stawił przed nim skrzywdzonego, i oskarżył Rokiczanę. Kazimierz zrazu wierzyć niechciał, lecz gdy się o rzetelności skargi przekonał, o dawnéj żołnierza służbie dowiedział, natychmiast krzywdę nagrodził. Zbroja sowicie obdarzony, w miejscu nędznéj chatki i pary zagonów, wnet się ujrzał panem domu porządnego i kilku prętów ziemi; z ubogiego zagrodnika, gospodarzem został zamożnym; majątek jego przetrwał lata i zaburzenia ojczyzny zarówno z imieniem. Znikły Piasty, wygasł ród Jagiellonów, i Wazów niestało, a potomstwo Zbroi trwa dotąd, i składa jednę z najznakomitszych rodzin Łobzowa. Dzisiejszy Zbroja, starzec już sędziwy, pamięta dobrze, iż z królem naddziad jego przestawał. Kiedy wr. 1816. w sukiennicach krakowskich był świetny bal, z powodu ogłoszenia Rzeczypospolitéj, on w sutéj kierezyi i w nowéj czapce przystąpił do małżonki szanownego Prezesa Senatu*) i polski taniec z nią otworzył. Choć majętny, ma przecież ten rozum, że się nie wstydzi stanu rólniczego i chłopka przydomku; owszem chlubę w nim znajduje. Niedawno ktoś go namawiał, ażeby synowi, który do szkół chodził i uczył się dobrze, pozwolił odstąpić pługa. „Co?“ zawołał, „ja miałbym patrzeć na to, jak syn mój ze stanu swego wyjdzie, i zaprze się dawnego Zbrojów imienia? Chłopem ci on jest wprawdzie, ale odwiecznym i szanownym; gdyby frak przywdział, rolę opuścił, a nawet i szlachcicem został, byłby dzisiejszym, pośmiewiska godnym. Syn równie baczny jak ojciec, chętnie za tém zdaniem idzie; trudni się naprzemian rolą i furmanką; a nie szukając żony w wyższych stanach, pojął niedawno dziewkę z Łobzowa. (Tańska.)

*) Wodzickiego.

3. RĘKAWKA.

Jest za Krakowem wzgórze, składające część Krzemionek, nazwane górą Lasoty. Na wydatniejszém wzniesieniu spoczywa wyniosła mogiła, którą mogiłą Krakusa mianują. Twierdzą powszechnie, że po zgonie założyciela dawnéj Chrobatów stolicy, lud pogrążony w żałobie zebrał się w licznych tłumach, dla wyrządzenia czci ostatecznéj zmarłemu Panu. Żal powszechny i tkliwość natchnęły myśl piękną, ażeby w miejscu, gdzie będą spoczywać reszty dzielnego Xiążęcia, wznieść tak wyniosłą mogiłę, któraby się i zawistnemu czasowi, i siłom ludzkim oparła. Z takim zapałem wzięto się natychmiast do dzieła, że po spaleniu, zwyczajem pogan, zwłok uwielbionego Xiążęcia, lud wdzięczny i pomny długich rządów Krakusa, znosząc ziemię rękami własnemi (podług innych w rękawach, w dniu jednym wystawił ten tkliwy pomnik, na który do dziś dnia bez wzruszenia nie mogą patrzeć Polacy. Następnie jeden z wodzów wezwał lud cały, ażeby corocznie zgromadzając się przy mogile Krakusa, przez ofiary bogom krajowym, równie jak wiejskie i rycerskie igrzyska, dzień ten smutny, lecz nieprzepomny, uwiecznić. Okrzyk powszechny powszechną zgodę oznaczył. Tłumy różnego ludu zgromadzały się corocznie: za czasów dawnych palono ognie na szczycie mogiły, i składano bogom ofiary. Następowały gry, strzelania do celu i rozmaite gonitwy: rodacy i obcy szli na wyścigi w okazywaniu dowodów zręczności i siły. Panujący na Krakowie Xiążęta i Króle dzielili z ludem doroczne uciechy. Gdy Polska poobalała ciosane z drewna i kamienia bałwany, a światło łagodnéj Chrystusa nauki roztaczać poczęło nad tym krajem swe dobroczynne promienie; *) wzniesiono szczupły kościółek na górze Lasoty, który przed rozpoczęciem zwykłych rozrywek, przyjmował modły i śluby zgromadzonego ludu. Trzeci dzień wielkanocnego święta postanowionym został na uroczystość Rękawki. W niéj dochowano przez tyle odmian i wieków lubą pamiątkę wzniesienia mogiły Krakusa, bez innych środków, krom rąk skwapliwych wdzięcznego i przychylnego ludu. Pomnik tkliwy i droższy nad dźwignięte gdzieindziéj z marmurów i kruszców drogich grobowce, w których pycha wznoszących zrównać się usiłuje z samym czci ludu przedmiotem.

(Wężyk, w romansie Szamotulski. Zob. niżéj w Rozdziale II. przy końcu.)

*) Pod Mieczysławem, około r. 965.

4. MOGIŁA KOŚCIUSZKI.*)

Kościuszko zakończył dni swoje na obcéj ziemi: umarł w Szwajcaryi, w Soloturnie, w domu przyjaciela swego Zeltnera, 15. Października 1817 r. Wkrótce potém, drogie jego zwłoki, zgodnie z wolą wiekopomnego Alexandra, Cesarza i Króla, sprowadzonémi zostały kosztem rządu polskiego na ziemię ojczystą, i obok naszych Królów w Krakowie złożone. — Każdy Polak, cały naród pragnął, aby mu wzniesiono pomnik, równie trwały, jak chwała jego, równie jawny, jak cześć, którą mu wszyscy oddają. Senat krakowski 1820 r. postanowił w tym celu usypać mogiłę, na wzór starodawnych mogił pod Krakowem, Wandy, Krakusa, i tylu innych rozrzuconych po Ukrainie i Podolu. Wzgórze Bronisławy, dla położenia swego w bliskości dawnéj stolicy Polski, a może dla nazwiska, obraném zostało na miejsce zamierzonéj mogiły.

W dzień doroczny śmierci Kościuszki, 15. Paźd. 1820. r., po odprawieniu Mszy śtéj na miejscu obraném, zaczęto sypać mogiłę. Senat krakowski wyznaczył osobny komitet dla kierowania robotą, który odezwą swoją 1go Stycznia 1821. r., wezwał współziomków do składania ofiar, już od trzech lat w różnych miejscach na ten koniec zbieranych. W przeciągu lat kilku wpłynęło blisko 200,000 złot. pol.

Wszelkiego stanu ludzie cisnęli się do sypania mogiły: byłato prawdziwa uroczystość dla Krakowa i okolic. Ziemie z pod Racławic, Szczekocina, Dubienki, Maciejowic, uświęcone krwią, prochami poległych, sławą lub nieszczęściem, nadesłane były przez różne osoby w ciągu sypania mogiły, dla zmieszania ich z ziemią pomnika.

Mogiła dokończoną została 25. Paźdz. 1823. — Większéj, a ręką ludzką usypanéj, nie masz na ziemi. Obwód jéj podstawy ma stóp 760, obwód wierzchnicy stóp 30; wysokość stóp 116. Podwójna droga ślimakowa prowadzi do szczytu, na którym ma być napis: Kościuszko.

Najmniejszy szczegół, tyczący się Kościuszki, drogim jest dla nas: umieszczamy tu przeto list Laharpa, Ochmistrza niegdyś wiekopomnego Alexandra, wskrzesiciela niniejszéj Polski, pisany do Zeltnera, z powodu śmierci Kościuszki:

„Jesteśmy jeszcze całkiem przerażeni smutną wiadomością o śmierci tego czcigodnego Generała. Tak jeszcze zdrowo wyglądał, gdyśmy go ostatnią razą widzieli. Udając się do Vevai przed dwoma miesiącami, spotkałem go między terassami La-

*) Życie Tadeusza Kościuszki przez Falkenstejna, oryginalnie w niemieckim języku napisane, a potém na polski przełożone, wyszło w Wrocławiu 1827. r.

vaux, jadącego dorożką do Morges. Pogadaliśmy chwilkę na gościńcu, ścisnęliśmy się za ręce, obiecując sobie, wkrótce się znowu widzieć. Niestety! nie przewidywałem wcale, żeśmy się poraz ostatni widzieli. Chciéj mi Pan donieść o szczegółach choroby, która go nam wydarła; będą one dla nas wielce zajmującémi. Szanuję bardzo jego współziomków, równie jak stateczność uwielbień, które wszyscy mu dochowali; ci nawet, co z przeciwnéj byli strony; tak powszechnie uznawano czystość uczuć i zamiarów tego cnotliwego człowieka! Mam się za szczęśliwego, żem go zdołał ocenić osobiście, i nieprzypominam sobie bez rozczulenia chwili, w któréj ten godny Patryota, spostrzegłszy mnie niespodzianie, po wyjściu z gabinetu Cesarza Alexandra Igo, cały jeszcze wzruszony łaskawém przyjęciem tego wielkomyślnego Monarchy (w Maju 1814. r. w Paryżu) rzucił się w moje objęcie, oblewając mnie łzami, i powtarzając głosem przerywanym wszystko, czego się spodziewał dla swojéj Ojczyzny. Ojczyznę tę i wolność prawdziwą kochał z namiętnością, i dla nich tyle ucierpiał. Mało znam ludzi, którzyby słuszniéj zasługiwali na ten często znieważany tytuł patryotów i ludzi wolnych, i do którychby przystósować można ostatnie słowa, które Tacyt do Agricoli obraca. *)

(Ze Skarbca, pisma czasowego dla dzieci, wydawanego w Puławach na rok 1830.)

5. RYMARZ WARSZAWSKI.

W Warszawie, przy ulicy Freta, przeszło trzydzieści lat temu, mieszkał poczciwy rymarz: liczną obarczony rodziną, pomimo najszczerszych chęci, nie mógł jéj wyżywić; mało mając znajomych, nie wiele miał do roboty, a w owym czasie w kraju, wojnami i ofiarami wycieńczonym, drożyzna była wielka. Najsroższa więc nędza panowała w domku jego: kilkoro dziatek wołających nieustannie o kawałek chleba, żona z pracy i niedostatku w przykrą pogrążona chorobę, stary ojciec wzywający śmierci, aby przestał być dzieciom ciężarem; taki w nim okropny przedstawiał się widok. Nieszczęśliwy rymarz nie mając żadnéj nadziei polepszenia bytu tylu ukochanych osób, zaciągnąwszy u sąsiadów dłużków nie mało, naglony od wierzycieli, do rozpaczy przywiedziony został: odszedł prawie zupełnie od zmysłów, i powziął myśl występną zakończenia dni swoich. Uciekając z domu, niechcąc patrzeć ani na ojca, ani na żonę, ani na dzieci, błąkał się po ulicach

*) Quidquid ex Agricola amavimus, quidquid mirati sumus, manet, mansurumque est in animis hominum, in aeternitate temporum, fama rerum.

Warszawy, kiedy nagle koło kościoła Sgo. Krzyża obiły się o jego uszy wesołe okrzyki. Bolesne są dla rozpaczy radości oznaki. Rymarz wskróś przejęty, zdziwiony, że mogli się jeszcze ludzie na téj ziemi cieszyć, zapytał się z gniewem przechodzących o przyczynę téj uciechy? — „Czyż nie wiesz?“ odpowiedziało mu głosów kilka, „że Naczelnik dziś do Warszawy wjeżdża? oto jedzie!“ — Naczelnik! Naczelnik! powtórzyły ust tysiące, i wołali: niech żyje, niech żyje! — Tłumem ludu ściśniony rymarz, stanął. „Dobrze,“ pomyślał sobie, „obaczę go raz jeszcze!“ i wkrótce wpośród mnóstwa żołnierzy i ludu pospolitego ujrzał nadzieje narodu, Dowódzcę ówczasowego powstania. Siedział na pięknym koniu: ubiór jego był wieśniaczy, prosta na głowie czapka; ale szlachetna postawa, wielkiego męża zdradzała; broń i śmiałe spojrzenie znamionowały rycerza, a uśmiech łagodny o dobroci serca przemawiał. Podniósł oczy biedny rymarz, i zdarzyło się, iż spotkały się z oczyma bohatéra. Przejęty tém wejrzeniem, uczuł w sobie jakby cudowną zmianę: ciężar gnębiący duszę jego, uniósł się, a usta wyrzekły mimowolnie: Kościuszko!

Tak, minęły już te czasy, kiedy Bóg sam przemawiać raczył do stworzeń swoich, i sam bez niczyjego pośrednictwa ulubionych sobie w trudnych przygodach ratował; teraz dobroć swoję i miłosierdzie przez ludzi dobroczynnych objawia, i zdaje się, że są tacy, których przeznacza umyślnie, ażeby obrazem jego byli na ziemi. Jeśli jednym z tych wybranych był bez wątpienia Xiążę Czartoryjski,*) mąż sławny i cnotliwy; może śmiało iść za nim prawy uczeń i przyjaciel, Tadeusz Kościuszko. Imię jego godne stanąć obok najpiękniejszych starożytności i dziejów naszych imion, od żadnego prawdziwego Polaka bez rozrzewnienia i dumy wymówioném być nie może. Wzór obywateli i żołnierzy, przedmiot szacunku monarchów i narodów, godło tkliwéj przyjaźni, skromności i uczuć najszlachetniejszych, imię to miało jeszcze dla ubóstwa i nędzy urok swój szczególny, było jakby zadatkiem ulgi i pociechy; bo Kościuszko lubo nigdy majętnym nie był, przecież niemal jednakowo z bogatymi świadczył; serce czułe i ludzkości pełne, dowcipu mu dodawało; i nieraz tkliwy przebieg, miejsce możności zastąpił. Ta zadziwiająca i przemyślna szczodrobliwość jego, prawie zarówno z dobroczynnością Czartoryskiego sławna, głośna i u obcych, gdzież lepiej jak w ojczyznie znaną być miała? Wiedział też o niéj lud prosty, i zaledwie nieszczęśliwy rymarz wyrzekł imię tego przyjaciela ludzkości, zaledwie spotkał jego wejrzenie, natychmiast roz-

*) Ów opiekun nauk i uczonych w Polsce † 1823 r.

pacz znikła mu z serca, i obudziła się w nim nadzieja. Zamiast szukania daléj sposobów odjęcia sobie życia, wrócił spiesznie do domu. „Ojcze, żono, dzieci!“ zawołał wchodząc; „zakończy Bóg cierpienia nasze; Kościuszko jest w Warszawie!“ — Kościuszko! powtórzyły klaszcząc w ręce dzieci, już obeznane z tém pięknem imieniem; Kościuszko! powtórzyła z słodkim uśmiechem schorzała żona; Kościuszko! powtórzył starzec, wznosząc oczy ku niebu; i wszystkich napełniła radość. „Tak, Kościuszko!“ mówił z żywością rymarz, „widziałem go, spojrzał na mnie! wjechał od krakowskiéj drogi, na czele wojaków naszych, a lud cały witał ich wesoło. Nie śmiem go dziś trudzić, już późno, dopiéro co przyjechał, a ma on ważne na głowie sprawy; ale jutro skoro dzień zaświta, pobiegnę do niego; on pewno da nam wsparcie, on równie dobroczynny jak waleczny.“ — O zapewne! zawołał stary ojciec; idź do niego synu: jeszcze nie było przykładu, żeby Kościuszko wsparcia komu odmówił. Niewiadomo, zkąd sposobów bierze? bo poczciwy, a nie bogaty... Bóg dobry dla szczęścia biednych, dostarcza mu téj możności. Dziękujmy niebu, że tu przybył, i cieszmy się nadzieją! — Tak uczynili, a sen miły zamknął im powieki.

Nazajutrz rymarz wstał pierwéj od słońca, lecz nie pierwéj od Kościuszki. Prawemu temu synowi konająca Ojczyzna swe losy i dzieci powierzyła; taką matkę, tylu braci mając na swéj pieczy, znając wielkość takowych obowiązków, Kościuszko czuwał. Już go nawet rymarz otoczonym zastał członkami Rady najwyższéj: lecz każdy prosty i ubogi człowiek tak wolny miał do niego przystęp, że i on z łatwością posłuchanie znalazł. „Czego żądasz? przyjacielu,“ rzekł do niego łagodnie. — Wsparcia, odpowiedział rymarz, kłaniając mu się do nóg. — „Nie schylaj się, mój kochany; śmiało opowiedz mi twoję nędzę; jam taki człowiek jak i ty.“ — Jestem rymarz ubogi, odpowiedział proszący; mam przy sobie starego ojca, żonę chorą i drobnych dziatek kilkoro, a żadnéj roboty; zadłużyłem się u sąsiadów, i przy téj drożyznie pewnie wszyscy pomrzemy z głodu. — „Biedni ludzie!“ zawołał bohatér z rozrzewnieniem; ach! czemuż nie jestem bogaty!... Weź przynajmniéj to, co mam przy sobie! jest tu czterdzieści złotych, kup tymczasem chleba ojcu, żonie i dzieciom.... więcéj ci dać niemogę!“ Wymówiwszy te słowa, zamyślił się i zasmucił mąż dobroczynny; ale po krótkiém dumaniu rozweseliła się nagle twarz jego. „Wiesz co? przyjacielu,“ wyrzekł z radością, „kiedy nie pieniędzmi, może choć innym sposobem dopomódz ci potrafię... gdzie mieszkasz?“ — Na rogu Freta ulicy, po lewéj

stronie. — Przedziwnie! naróbże jak najprędzéj kilkadziesiąt batożków, takich, jak jadący konno używać zwykli: niech będą gotowe na jutro rano, ja tàm przyjadę. Tylko pamiętaj! Bywaj zdrów, niech ci Bóg dopomaga! Nie dziękuj, bo nie masz za co. Odszedł rymarz uszczęśliwiony darem i łagodną mową Naczelnika, ale zdziwiony zaleceniem jego. Kupiwszy żywności dla rodziny, opowiedziawszy jéj całą przygodę, wziął się skwapliwie do zadanéj roboty. Przynajął kilku czeladników i na dzień następujący wygotował kilkadziesiąt batożków. Stał od rana wraz z ojcem we drzwiach sklepiku; dzieci uwiadomione o obietnicy Kościuszki, biegały tu i ówdzie; żona nawet, cokolwiek pożywieniem i radością pokrzepiona, zwlekła się z łóżka, i siadała w oknie, by wyglądać zbawcy swojego. Nie długo czekali. Pomimo licznych spraw i zatrudnień, nie dozwoliło nigdy Kościuszce serce jego, by zapomnieć miał o nieszczęśliwym, którego wesprzeć obiecał. Jadąc do okopów,*) umyślnie Freta ulicą drogę swoję obrócił, i dopiero z Nowomiejskiéj wyjeżdżał bramy, kiedy już dziatki rymarza przybiegły dać znać, że się zbliża: pokazał się wnet tłum ludzi jezdnych i pieszych, widzieć się dał i Naczelnik. Otaczał go poczet niemały najpiérwszéj szlachty w kraju; kwiat polskiéj młodzieży garnął się pod chorągwie jego z takim zapałem, z taką miłością, jak gdyby pod Ojca skrzydła. Kościuszko poznał zdaleka rymarza, a gdy dojechał do jego sklepiku, stanął: zatrzymali się wszyscy, pytając się, czegoby żądał? „Tu mieszka rymarz,“ odpowiedział, „robi batożki, chciałbym jeden kupić“ — i kazał pokazać sobie kilka do wyboru. Przyniósł pęk cały posłuszny rzemieślnik i podał mu go z uszanowaniem. „Nakryj głowę,“ rzekł Naczelnik, „a potém wejdziemy w ugodę. Cóż chcesz za taki batożek?“ dodał, biorąc jeden i probując go. — Co łaska, Jaśnie Wielmożny Panie, odpowiedział pomięszany. — „Nie mam czasu się targować,“ mówił daléj Kościuszko, „przyjm to przyjacielu!“ i dał mu ośmiozłotowego talara. — Rymarz chciał zdawać resztę, Naczelnik niepozwolił, a obracając się do towarzyszących mu, rzekł: „Wierzajcie mi, Mości Panowie, że walny batożek.“ To powiedziawszy, zaciął nim konia i ruszył. Wszyscy, którzy z nim byli, zaczęli także kupować sobie batożki: żaden nie dał mniéj, jak talara, a było wiele takich, co i więcéj dali. W kilku minutach brakło batożków; ci, dla których nie stało, zamówili sobie takież same na dzień następujący; pojechali potém wszyscy za Naczelnikiem, a rymarz został odurzony. W pierwszych chwilach nie mógł pojąć,

*) Wtenczas z wielkim pośpiechem i gorliwością uzbrajano Warszawę.

jakim cudem w tak krótkim czasie kieszenie jego, kapelusz i ręce napełniły się srebrem i złotem; zebrane pospólstwo, dzieci, żona, ojciec, sąsiedzi, stali również odurzeni. „To prawdziwie Kościuszki sprawa!“ zawołał nareszcie głos jeden; „takto on przemyślnémi sposobami dobrze czynić umie, tak władzy swojéj nad umysłami używa! niech żyje!“ krzyknął; niech żyje! powtórzyło mnóstwo całe.

Sława, która najdrobniejsze czyny wielkich mężów rozgłasza, rozniosła wkrótce po Warszawie przygodę rymarza: mnóstwo takich batożków rozprzedał, wiele osób i inną zaczęło mu dawać robotę, i wkrótce majątteczek zebrał. Żona mu wyzdrowiała, ojcu kilkanaście lat życia przybyło, długi popłacił, dziatki wychował, a Kościuszko w późniejszych kraju i własnych niedolach, gdy tułając się po obcéj ziemi, w przyjaźni, w sumieniu i w nadziei szukał jedynéj pociechy, wspominając na liczbę szczęśliwych, których w dwóch częściach świata uczynił, nieraz zapewne miłego doznawał wzruszenia, licząc między nimi warszawskiego rymarza. (Tańska.)

6. TRZY CHWILE Z ŻYCIA ERAZMA WITELLIUSA.

W téj nędznéj i dziurawéj sukmanie, którą zaledwie utrzymać może pasik niegdyś czerwony, w téj wytartéj czapeczce, w owych skórzniach szerokich, zrudziałych starością, przysiadłych i wykrzywionych od długiego używania, z tą niekształtną lutnią w ręku, otoczony prostactwem i miejskimi włóczęgami; jakiż to chłopczyna ulice Krakowa przebiega? Pomimo tak nikczemnych pozorów, kształt jego jest udatny i pełen wdzięku, twarz świéża, dziwnie powabna: oczy lśkną się żywością i dowcipem, na ustach koralowych miły uśmiech igra, a pełne trafnych żarcików piosneczki i słowa sypią się nieustannie. Jestto Erazm*), Krakowczykiem przezwany, bo mówią, że w Krakowie się rodził; ubogi wprawdzie, co gorzéj, sierota, ale przecież wesół i szczęśliwy. Nie wie on nawet z pewnością, jakich miał rodziców; wie tylko, że od dzieciństwa żyje chlebem litości: nikt wychowaniem się jego nie trudnił, nikt go niczego nie uczył, lecz on sam w pierwszych latach młodocianego wieku, odkrywszy w sobie nadzwyczajną do muzyki skłonność, wziął lutnią i brząkał, póki z jéj stron wdzięcznych tonów dobywać nie zaczął. Przyciśniony potrzebą, dziś, lubo nigdy nie miał mistrza, już do

*) Erazm, z przydomku Ciołek, Witelliusem zwany, rodził się w drugiéj połowie XVgo wieku za Kazimierza IV.; przeżył panowania synów jego, Jana Olbrachta i Alexandra; umarł w 16 lat po wstąpieniu na tron Zygmunta Igo r. 1522.

pewnéj doskonałości doszedł w téj sztuce. Prostactwo słuchać go rade, przebiega ulice Krakowa: otoczony miejskiemi chłopakami, chodzi od gospody do gospody; tu gra, tam śpiewa, żartuje wszędzie; a pieśni, skoki i śmiechy wiernie mu towarzyszą. Tu kawał chleba, ówdzie séra krajankę, tam czasem czeskiego dostanie, i ma potrzebom swoim zadosyć. Schodzą mu dnie szybko i wesoło, bez trosków, bez żadnych na przyszłość żądań; codzień pod innym dachem spać się kładzie, marząc o nowéj piosnce, smaczno usypia; na żarty i pląsy ochoczo z twardego łoża powstaje.

W tych bogatych i wspaniałych szatach, w tym złotym łańcuchu, na którym wisi krzyż z drogich kamieni, w owéj biskupiéj infule z księgą w ręku, w obliczu Maxymiliana Cesarza, wśród najznakomitszego w świecie zgromadzenia Monarchów, Xiążąt udzielnych, czoła uczonych i rzymskiego Kościoła, jakiżto mąż poważny jedno z pierwszych miejsc zajmuje? W gmachach Augszburga zebrał się Sejm Rzeszy niemieckiéj, zebrał się w ważnym celu; idzie o wybawienie całego Chrześciaństwa od coraz bardziéj wzrastającéj Bisurmanów potęgi. Głowa kościoła Leon X. i wiekopomny Zygmunt I., Król polski, chcąc wezwać i zachęcić wszystkich Panów chrześciańskich do pospolitego ruszenia, przeciw tym wiary nieprzyjaciołom, jednozgodnie temuż samemu Mężowi to chlubne i ważne dali zlecenie. Siedzi on w tém znakomitém kole, wszystkich oczy na niego zwrócone; powstaje nareszcie, a obracając się ku stronie Cesarza, śmiało do niego i do sejmujących Stanów przemawia. Niepospolita piękność rysów wspaniałéj twarzy, okazałość postawy, szlachetność ruszenia, wdzięk głosu, wyraz właściwy, każdemu słowu nadany, moc, żywość, jak czucia, tak myśli, zdobią mowę jego. Oto z niéj ułomek: *)

„Nędzni na świat przychodzimy: kolebkę naszę niedołężność oznacza. Pędzimy życie w nieprzebranych troskach, w niefolgującéj bojaźni. Więdniejemy, usychamy, nikniemy w oka mgnieniu, podobni do przemijającego kwiatu. Ten dopiero wiek swój przeżył, który obiegłszy chwalebnie kres doczesny, zostawia po sobie przeważnych dzieł i nauk nieśmiertelną pamiątkę; zniknąwszy z oczów obecnych, trwa, kwitnie w nieskończonych pokoleń umysłach i sercach. Śmierć zacna zdobi i wieńczy życie. To było owych starożytnych hasło, które ich pobudzało, całych siebie poświęcać Ojczyznie na ofiarę. Ale na cóż odległych zasięgać przykładów? Ty sam Najjaśniej-

*) Obacz dzieło: Wiadomości krytyczne o pisarzach polskich i t. d. Maxymiliana Hrabi Ossolińskiego, Tom I. str. 363.

szy Monarcho! ozdobiony wspaniałością umysłu, w poufałych rozmowach roztrząsając tę obecną Chrześciaństwa dolę, ilekroćże niepowtarzasz: „Słodsza śmierć spotkaćby mnie nie mogła, jak gdyby mi przyszło oczy zamknąć na placu zwycięzkim, barbarzyńskiemi trupy zasłanym!“ Czas już zaiste, czas może ostatni, po tylu rozmysłach obradnych i sejmach, ziścić nakoniec bohatérski zapał, szlachetne uczucie mężném przedsięwzięciem wynurzyć, wspaniałą stałość przewagami stwierdzić, przewidywane nieszczęścia odwrócić, przełamać i skruszyć orężem. *)

Póki mówił, serca przytomnych wskróś przejęte, nie jedno oko łzą rozrzewnienia zrosiły; gdy skończył, szmer pochwał dał się słyszeć. Ale któżto jest ten mąż znakomity, ten dzielny krasomówca? Jestto Erazm, dziś już nie Krakowczykiem, ale Witelliusem zwany. Kiedy przed laty chodził po ulicach i gospodach Krakowa, brząkał na lutni i nucił piosnki swoje, postrzegł go razu jednego dworzanin Królewicza Alexandra, naówczas W. Xięcia litewskiego; podobało mu się granie i śpiéw chłopczyny, więcéj jeszcze powabna jego uroda i trafne na wszystkie zapytania odpowiedzi; wziął go do siebie i otworzył mu przystęp do swego Xiążęcia. Królewicz polubił młodego Erazma, a widząc w nim wiele zdatności i dowcipu, łożył na ćwiczenie w naukach. Rozpoczął bieg ich młodzieniec w sławnéj naówczas Akademii krakowskiéj, a przyrodzone zdolności usilną i niezmęczoną pracą rozwijając, w lat kilka za rektorstwa Jędrzeja z Łabiszyna, stopień bakalarski otrzymał, a we cztery lata potém, za Jakóba z Gostynina, doktorski osiągnął. Wtedy opiekujący się nim zawsze Królewicz, przeznaczając Erazma do duchownego stanu, wysłał go do Włoch. Tam zostawszy Xiędzem, i coraz większe postępy w naukach i krasomówstwie czyniąc, bawił właśnie w Bononii, kiedy Opiekun jego, po śmierci Jana Olbrachta, zostawszy Królem polskim, obdarzył go szlachectwem, i do powrotu do Ojczyzny zachęcił. Wkrótce Erazm przezwany Ciołkiem, **) (nie wiadomo dobrze, z jakich powodów), a z łacińska Witelliusem, zawsze w łaskach u Alexandra, otrzymał za pośrednictwem sławnego Kanclerza Tomickiego, ***) kanonią krakowską; a postę-

*) Ta mowa, w łacińskim języku miana, drukowana w Augsburgu, przypisywana była Erazmowi z Roterdamu, jednemu z najznakomitszych owego wieku uczonych: omyłka ta niemało dodaje sławy Erazmowi z Krakowa.

**) Była już wtenczas w Polsce znakomita tegoż herbu rodzina; od niéj pochodzą Poniatowscy.

***) Piotr Tomicki, Kanclerz koronny, a późniéj Biskup krakowski, † 1535 r. jako gorliwy i prawdziwy mecenas nauk, na wieko-

pując coraz wyżéj, został niedługo Biskupem płockim, a nareszcie Posłem do Rzymu. Po zejściu Alexandra, następca jego, jeden z największych Królów naszych, Zygmunt I., równie jak brat na Erazma łaskawy, przedłużył jego urzędowanie w Rzymie, a jednomyślnie z Leonem X. mianował go posłem na sejm Rzeszy niemieckiéj. Erazm sławny u swoich i u obcych, wysoką nauką, dowcipem i wymową, darami Królów polskich niezmiernie bogaty, i wielkie piastując dostojeństwa i urzędy, w najwyższych u Papieża łaskach, był zapewne na szczycie pomyślności. — Lecz na kogoż to Zygmunt I. tak zażalony? komuż to przekupstwo wymawia? czyjeż to niegodziwe serce zapomniawszy, że w Polsce bić zaczęło, dobra osobistego, dobra innych krajów, z krzywdą sumienia i Ojczyzny szuka? Do kogóż to Kanclerz Tomicki pisze w tych słowach: „Chciéjże Wasz-Mość być mi wdzięcznym, a co téż dla mnie czynisz, nie waż na funty; bo prawdziwa przyjaźń cnotą, nie pożytkiem się mierzy. Gdybym i ja także chciał liczyć i kłaść na szalę moje przysługi, nie wiem, któraby przegórowała, i ktoby z nas dłużnikiem został?“ — Przeciw komuż ta wrzawa w sejmujących kole? jakiegóż to niecnego syna Ojczyzny posłowie ziemiańscy domagają się ukarania, i żądają od Króla, aby mu urząd i powagę odjął? Cóż to za mąż w lśniących się od złota pokojach, wpośród licznych i nadskakujących mu dworzan, otoczony wszystkiém, co przepych dla zbytku wymyślił; nędzny, blady, z ciała opadły, z zmarszczoném czołem, z czarnym smutkiem na twarzy, niknie trawiony nieustanną gorączką, bezsenne nocy, dni ponure pędzi? Ach! to jeszcze Erazm... O jakże mało ludzi ma siłę dostateczną do udźwignienia bez szwanku nagłego powodzenia i szczęścia? Pomyślność dla wielu największą bywa niedolą; bo choć ich na pozór uszczęśliwia i wynosi, najczęściéj upadla i gubi w istocie. Tak przynajmniéj z Erazmem się stało. Był w nim dowcip i zdatność, ale nie było męztwa i cnoty; czémże miał dźwigać pomyślność? Dumny, chciwy coraz świetniejszych bogactw i urzędów, nie mogąc się już

---

pomną w narodzie zasłużył pamięć. Jemu winniśmy uposażenie katedr greckiego i hebrajskiego języka w Krakowie; on do wzrostu i blasku téj głównéj w narodzie szkoły dzielnie się przykładał: on własnym kosztem jużto na dworze swoim, już to za granicą młodzież zdatną do usług krajowych sposobił. Do jego wychowańców należą: Jędrzéj Krzycki, niepospolity poeta łaciński, późniéj Arcybiskup gnieźnieński; Kardynał Hozyusz, Maciejowski Samuel, podkanclerzy kor., Filip Padniewski i Piotr Myszkowski, Biskupi krakowscy; Dantyszek, sławny poeta łac., Biskup warmiński i wielu innych.

niczego więcéj od Królów polskich, nad to, co od nich dostał, spodziewać, na stronę obcych całą swoją przeniósł gorliwość, bo ztamtąd świetniejszego jeszcze oczekiwał losu; krzywo szły, z uszczerbkiem Polski, wszystkie w Rzymie sprawy mu powierzone, a najmniejszą wygraną drogo nikczemnikowi opłacać musiano. Niezdolny do szlachetnego wdzięczności uczucia dla ojczystéj ziemi, która go wykarmiła, dla rodu Królów, którzy go z gminu wynieśli; dla dobroczyńców swoich żadnego nie zachował przywiązania. Nie lubił ani Polski, ani Polaków; nigdy powrócić do rodzinnego kraju nie chciał; a lubo miał dwór liczny i okazały, jednego tylko chował przy sobie rodaka,*) z resztą sami otaczali go cudzoziemcy. Duma, nienasycona chciwość bogactw i znaczenia, zawiedziona nadzieja zostania Kardynałem i otrzymania znacznego od Cesarza biskupstwa, o śmierć go przyprawiła. **) — Cieszmy się wszyscy, którzy nisko i w mierności żyjemy, bo najczęściéj to, co się zbyt wyniesie, upada. (Tańska.)

7. JAN ZAMOJSKI
na kazaniu
Melchiora Mościckiego. (Skrócone.)

Byłoto w czwartą Niedzielę Listopada 1582 roku: wielka Msza co dopiero odprawiać się zaczęła w kościele Dominikanów we Lwowie, a po pierwszéj Ewanjelii miał mieć kazanie jeden z najsławniejszych owego wieku kaznodziejów, syn ubogich mieszczan z Przemyśla, Melchior Mościcki: czém był, co umiał, własnéj pracy był winien; ozdoba Duchowieństwa polskiego i Dominikanów zakonu, kilkakrotnie urząd ich Prowincyała sprawując, odmówiwszy arcybiskupstwo lwowskie,***) do Królów nie tylko wolny, ale śmiały miał przystęp. On na Sejmie piotrkowskim, kiedy Zygmunt August pisma przeciwne wierze chciał podpisywać, pióro z ręki mu wytrącił; on dowcipu ostrego, biegły w świeckich umiejętnościach, głęboki w duchownych, niespracowany w sporach, układny we wszystkich postępkach, przenikliwy w rozwijaniu wątpliwości, dobry przewodnik w tłumaczeniu Pisma ś. i niezmiernie w niém wyćwiczony, młot na przeciwników Kościoła, niezwalczony w zapasach z nimi, i roztropny w ich przekonywaniu, przez kilkanaście Sejmów kazywał.

*) Gamrata, późniéj Biskupa krakowskiego. Niskością pierwszego stanu do Pana swego podobny, w wyniesieniu jeszcze świetniejszy, naśladował go w postępkach.

**) † r. 1522.

***) zob. str. 40.

On i dziś, lubo już starzec siedmdziesiąt-letni, miał się dać słyszeć spragnionym oddawna wymowy jego Lwowianom. Natłok też w kościele był niesłychany; wszystkie ławki, wszystkie miejsca zajęte były: troskliwe matki wynosiły niemowlęta swoje w górę, bojąc się, by ich nie przyduszono, Chociaż mróz tęgi dech prawie na dworze tamował, tu pary z ust idącéj widać nie było; ganki kościoła uginały się pod ciężarem natłoczonych widzów; a ci lubo spoglądali z góry, przecież prócz kapłana spełniającego Stą. ofiarę, niczyjéj całéj postawy ujrzeć nie mogli: głowy tylko rozmaitego kształtu, wygolone lub z wymuskanémi czuprynami, w kapikach, w kołpaczkach, w czołnkach, w warkoczach, przedstawiały się ich oczom: za lada popchnięciem, przez przybycie nowéj osoby sprawioném, wszystkie te głowy poniewolnie posuwały się naprzód i znowu w tył wracały, jak kłosy zboża, którémi wiatr kołysze, albo rozbujanéj wody bałwany. Wtém przy drzwiach kościelnych wszczął się szmer jakiś: słowo Hetman, lubo cicho wymówione, z ust do ust przechodząc, o sam wielki ółtarz się odbiło; i nagle obecni, lubo tak ściśnieni, jakby dotknięci cudowną różczką Mojżesza, rozdwoili się, i wolną wśród kościoła otworzyli ścieżkę. Powstał wprawdzie w tymże samym czasie płacz dzieci, skargi niewiast, gniew naciskanych mężczyzn; ale odgłos ten zagłuszonym został szelestem wchodzących, szczękiem ich pałaszów, brzękiem długich ostróg, odbijaniem się bótów kowanych o kamienną posadzkę; a chociaż w takiéj ciasnocie ledwo oddychać mogli widzowie, wspinali się jeszcze na palce, wyciągali szyje ponad ramionami sąsiadów, ażeby ujrzeć ten świetny orszak, świetniejszego jeszcze Naczelnika. Był nim Wielki Jan Zamojski. Z zwykłą sobie odwagą i biegłością szczęśliwą prowadząc wojnę, właśnie przed rokiem po zdobyciu Ostroroga, Hetmanem był został, z tąż samą władzą, jaką niedawno piastował tak godnie sławny Jan Tarnowski. Po zawartym w Zapolu pokoju, jechał do założonego przez siebie Zamościa z orszakiem dworzan i rycerzy: rad był zapewne stanąć jak najprędzéj w domu, ale równie pobożny jak mężny, niechciał gwałcić święta, i w Niedzielę przed odbytém nabożeństwem puszczać się w dalszą podróż bez nagłéj potrzeby. Nie był mu przeciez powrót do domu tak pilny, jak kiedy przed dwiema laty z połockiéj wracał wyprawy; wtedy czekała na niego z utęsknieniem ukochana żona; dziś młodą, piękną, cnotliwą Krystynę*) zimny głaz pokrywał; a bohatéra, którego cały

*) Krystyna z Radziwiłłów, druga żona Jana Zamojskiego, zmarła w ośmnastym roku życia swego.

kraj witał rodosnie, w domu tylko własnym nie miał kto powitać. — Jak do przejścia przez Kościół, tak i do siedzenia, Hetman nim zażądał wygodne znalazł miejsce; jeszcze nie doszedł do pierwszéj ławki, kiedy już próżną była: zajął ją, a nie tylko nikt przy nim usiąść nie śmiał, ale skoro kto z blisko stojących siłą natłoku wepchniętym do niéj został, cofał się natychmiast z tém uszanowaniem, jak gdyby stopni tronu się był dotknął. Nie mogły być nie miłe Zamojskiemu te publiczne uszanowania oznaki: kto, jak on, szablą, piórem, radą, majątkiem zasłużył się ojczyznie, temu nagrody i pochwały od współziomków są tylko należną daniną; nie próżną chlubę, lecz słodkie zaspokojenie w sercu rodzą; gdyż są sprawiedliwości wymiarem. Jednak to nieustanne szamotanie się, przerywało mu pobożne odmawianie łacińskich modlitw z bogatéj księgi, którą przed nim jeden z dworzan rozłożył: a widząc obok ławki swojéj sędziwego wojownika, już niemal zsiniałego od opierania się tłoczącéj ciżbie, wskazał mu, że wejść może. Dawny husarskiéj chorągwi towarzysz, okryty głębokiémi na twarzy krysami, skaleczały na jednę nogę, i właśnie pod dowództwem Zamojskiego przed kilkoma laty w te godła waleczności opatrzony, nie śmiał usłuchać od razu; ale zachęcony łaskawém Hetmana wejrzeniem, wszedł do ławki: dawny wódz spojrzawszy wtedy na nogę jego, dał mu jeszcze znak, żeby usiadł. Już temu nie chciał być powolny sędziwy towarzysz, a cała jego postawa mówiła, że nie zapomniał jeszcze do tego stopnia obowiązków żołnierza dla starszego. Lecz Zamojski trząsając ręką jego, rzekł mu pocichu: „Siadaj bracie! wiekiem i tą blizną starszyś ty odemnie; przed laty obok mnie walczyłeś, dziś spoczniéj.“ Usiadł towarzysz i podniósł z dumą głowę siwizną okrytą; blade jego lice i poorane czoło, przybrały na chwilę barwę młodości; oko pomroką wieku zasute, zabłysło równym ogniem, jak oko czterdziestoletniego Hetmana; poprawił rzemiennego pasa i zakręcił wąsa. W téj chwili Kapłan, sprawujący ofiarę, tyle znaczące życzenie: Pan z wami, oświadczywszy zgromadzonemu ludowi, roztworzył księgę ewanjelii i czytać na głos słowo Boże zaczął. Powstali wszyscy, powstał i Zamojski, a dzielną prawicą dobył do połowy zawsze zwycięzkiego oręża: nie wielu z przytomnych poszło za jego przykładem, bo już u stanu rycerskiego szedł w zapomnienie ów zwyczaj, którym od Mieczysława ojcowie nasi okazywali swoję gotowość do bronienia wiary; ale na ten widok łzy rozczulenia stanęły w oczach starego towarzysza i padły na pałasz jego, tyle razy w krwi maczany i także na pół dobyty; miłą mu była ta pamięć na dawne zwyczaje w młodym

jeszcze bohatérze; przypomniał mu się dziad, ojciec, i lata młodości... Wtém skrzypnęły drzwiczki kazalnicy, pokazał się oczekiwany mówca, i wszystkich oczy wlepiły się w niego. Siedmdziesiąt lat cnoty i gorliwéj w winnicy pańskiéj pracy, ślad szanowny zostawiły na szlachetnéj twarzy jego; przyjemna okrywała ją bladość, a świętéj spokojności piętno na czole jego jaśniało. Odmówiwszy klęcząc cichą i krótką modlitwę, stanął na środku kazalnicy, obrócił się ku licznie zgromadzonym słuchaczom, znakiem krzyża Sgo. czoło, piersi, ramiona naznaczył; wolnym i wyraźnym głosem przeczytał poważnie przypadającą na ową Niedzielę o znakach na niebie i ziemi, czyli o Sądzie ostatecznym, Ewanjelią; potém położył Stą. księgę, i zaczął mówić z pamięci niezbyt głośno i z spuszczonémi oczyma, aby kto pomyśleć nie mógł, iż ma kogo szczególniéj na oku: ale gdy zwykły podział uczyniwszy, postępował coraz daléj w mowie swojéj; głos jego i oczy podnosiły się w miarę, słowa wychodziły tém dzielniejsze z ust jego, że je wyrazem twarzy, ruszeniem całém popierał; postawą swoją przemawiał do zmysłów słuchaczy: sam czuł mocno, i uczucia swoje w serca przytomnych przelewał. Tak stopniami zagrzewając się i unosząc, gdy nareszcie do najważniejszego miejsca kazania swego przyszedł, do chwili ostatecznego Sądu, twarz jego, dotąd jeszcze blada, jednym razem żywym zaiskrzyła się rumieńcem, i w okamgnieniu cały jakby w ogniu stanął. A gdy w ciągu tak straszliwego opisu wypadło mu przytoczyć przykład Korego, Datana i Abirona,[1]) los ich do losu wielu grzeszników w owym dniu stósując, z takim wyrazem palcem swoim wskazał na ziemię, jakby już otworzoną, iż otaczający kazalnicę cofnęli się w tył, i próżne pod nią utworzyli koło: wszyscy obecni struchleli, sam Hetman był wzruszony, bo się wszystkim zdawało, że otwiera się przepaść, i że pożre ich i pochłonie.*) Skończył, lubo dosyć długo mówił; każdemu kazanie jego krótkiém się zdało; a wielu z przytomnych w próżną już kazalnicę jeszcze mieli oczy wlepione.

1) Tych za bunt żywo ziemia pożarła. (Tańska.)

8. LIST SOLIMANA DO ZYGMUNTA I.

(Wyimek z poselstwa Xięcia Zbaraskiogo.**)

Stawił się Xiążę na czas wyznaczony: już dywan został zebrany. Usiadłszy na wezgłowiu naprzeciw Wezyra, w krótkiéj

*) Takie są o dzielnéj wymowie Mościckiego spółczesnych jemu świadectwa; nieodżałowana szkoda, że zaginęły zupełnie kazania jego. Dokładniejszéj o tym mężu wiadomości można szukać w Iym Tomie Wiadomości krytycznych Hrabi Ossolińskiego.

**) Xiążę Zbaraski sprawował to poselstwo do Turcyi po wojnie

lecz poważnéj mowie, wyraził chęć niezrywania od tylu wieków trwającego między dwoma narodami pokoju. Kazał otworzyć złocistą tekę, w któréj były zawarte oryginalne listy i przymierza między Królami polskimi a Padyszami tureckimi. Wyjął list Solimana do Zygmunta I. i czytać go kazał; był on w następujących wyrazach:

„Doszło mnie pisanie twoje Królu, z którego widzę, jak troskliwie baczysz, by nie przyszło do wylewu krwi między narodami, które pieczy naszéj Bóg najwyższy powierzył. Żądasz oraz, by trwająca między nami przyjaźń przeszła do synów naszych, do mego Selima i Augusta twojego. Oba są jeszcze podobno nie postanowieni: ufam, że oba pójdą ojców swych torem. Ja kończę już lat 70. i tyś już sędziwy: dowijają się nici życia naszego. Wkrótce ujrzymy się w szczęśliwych krainach, gdzie pełni tryumfów i sławy, oba będziemy siedzieć obok Najwyższego, ja po prawéj ręce, a ty po lewéj, i rozmawiać będziem o naszéj tutaj przyjaźni. Poseł twój Opaliński powie Ci, w jakiém szczęściu widział siostrę twoję, a żonę moję. *) Polecam go Majestatowi twemu uprzejmie. Bądź zdrów!“ — U wszystkich ludów drogą jest zawsze pamięć tych, którzy nad niemi panowali z chwałą i sprawiedliwością. Nie tylko Wezyr, Dywan cały słuchał z rozrzewnieniem tego listu Solimana: dotykali się z uszanowaniem karty, o którą się ocierała ręka wielkiego człowieka. Rzekł nakoniec Wezyr: „Mawiał nam Wielki Soliman, że woli mieć za przyjaciół Polaków, niż za hołdowników: nie przystoi nam myśleć inaczéj. I cóżby dla nas za korzyść była, więcéj pustyń przyczyniać; wszakże z nich najwięcéj ottomańskie składa się państwo: osadźmy je wprzódy ludźmi, nim o cudze kusić się mamy. Są Polacy dumni, bogato się stroją, lecz w istocie są ubogimi: nie kopią w górach swych złota, konchy morskie nie wydają dla nich szkarłatów, ani z drzew morwowych snują się dla nich jedwabie. I cóż nam przyszło z wojny chocimskiéj? żyjmy więc w zgodzie.“ To mówiąc podał rękę posłowi, i pisarzom swoim też, co pod Chocimem, pakta, wygotować kazał.

Wśród okrzyków radosnych powrócił Książę do gospody: powiększyła się radość ta, gdy ujrzał w krótce przybywają-

---

Chocimskiéj r. 1622, które Samuel Twardowski, jego Sekretarz, opisał, pod tyt.: „Przeważna legacya Krysztofa Zbaraskiego do Sułtana tureckiego Mustafy.“

*) Była to owa sławna Roxolana, córka Popa z Rohatyna, w Rusi Czerwonéj. Pojmana w czasie najazdów tatarskich, zaprzedaną była do seraju Sułtana, gdzie późniéj została jego żoną.

cych już okupionych więźniów polskich. Wyryła ciężka niewola na twarzach ich okropne znamiona: nabrzmiałe i sine jagody, spuszczone na ramiona włosy, zaniedbane brody, od ciężkich kajdan pokaleczone nogi, licha i odarta odzież. Ach! jak rzewne, jak czułe były braterskie uściśnienia. Książę Zbaraski opatrzył ich natychmiast w bieliznę, odzież i wszystko, czego tylko potrzebować mogli. Obfity pokarm, puchary dojrzałego wina, rozweselając umysły, oddaliły pamięć długo ponoszonych trosków.

Wszystkie niezmierne poselstwa tego wydatki, Książę własnym kosztem zastąpił.

(Niemcewicz. Zob. Wybór bajek strona 135.)

G. POWIEŚCI WSCHODNIE.

1. O ŁAKOMYM I PYSZNYM KOCIE. *)

Jedna staruszka, bardziéj wyschła niżeli ciernie, mieszkała w chałupie mniéj mocnéj niż pajęczyna, daleko ciaśniejszéj niż ręka łakomego, i ciemniejszéj niż rozum głupiego. Ta miała kota, który nie widział nigdy wyobrażenia nawet chleba, ani téż żadnéj rzeczy do zjedzenia zdatnéj; z przyczyny, iż nigdy nie wyszedł z téj chałupy, jedynie kontentując się łapaniem szczurów, lub téż upatrując śladów ich na piasku: a jeżeli czasem, dziwném szczęściem, złapał z nich jednego, podobny był ubogiemu, cieszącemu się ze znalezionego skarbu. Postać i twarz jego cała pałała ukontentowaniem: tym łupem cały dzień zabawiał się, i z podziwienia mawiał sam do siebie: o niebo? czyż to jest sen, czy istotna prawda? Ponieważ ten dom był pustém i niedogodném dla kota miejscem, iż nakoniec z głodu ledwie mógł stąpać; zatém dnia jednego, gdy mu już głód do ostatka dojmował, z wielką biedą wszedł na dach domu, z którego postrzegł chodzącego poważnie po murze sąsiedzkim kota, jakby lwa okazałego z tłustości, która mu zabraniała prędkiego chodzenia. Kot staruszki, zadziwiony widokiem tak tłustego a podobnego sobie zwierzątka, krzyknął, mówiąc do niego: zdaje mi się, iż ty idziesz z bankietu Hana chińskiego; zaklinam cię, abyś mnie uwiadomił, zkąd nabyłeś

*) Ta i następujące powieści są wyjęte z Pilpaja podług francuzkiego przekładu: Contes et fables indiennes par Galland et Cardonne, Paris 1778. 3 Vol., na polski język tłumaczone pod tyt.: Powieści Pilpaja, drugą edycya, w Wilnie 1819 r.

téj otyłości? — U stołu królewskiego, odpowiedział kot tłusty: stawam codzień u drzwi jego podczas obiadu, gdzie złapię często kawał tłustego mięsa, który mi służy na pokarm na dzień cały! ten jest sposób życia mego.

Powiédz mi proszę, rzekł kot staruszki, co to jest tłuste mięso, o którém mówisz, bom go nigdy nie jadał? Kot sąsiedzki zadziwiony tą prostotą, rzekł mu: Z téj przyczyny jesteś tak lekki i chudy. Nędzny! po jakiemuż wyglądasz? Wiecznym jesteś wstydem naszego rodzaju; nie jesteś podobny do kota, jak tylko uszami i oddechem, reszta zaś jest to pajęczyna.

Na te zelżywe wymówki, chciwość i łakomstwo dziwne wzruszenie i zamieszanie uczyniły we wnętrznościach kota staruszki. Mój braciszku! mówił do tłustego kota sposobem uniżonym: wiesz, iż między zwierzętami, koty najbardziéj zachowują prawa przyjaźni, zatém, gdy ci się zdarzy pójść do pałacu Sułtana, bierz mnie z łaski swojéj z sobą. — Chętnie ci to obiecuje, rzekł tłusty kot, bo nędzny stan twój sprawił, iż się litować nad tobą muszę.

Chudy kot wróciwszy się do domu staruszki, opowiadał jéj swą rozmowę. Staruszka usiłowała oddalić od niego te myśli, przestrzegając, aby się miał na ostrożności, żeby nie był oszukanym. Żądze chciwych nie nasycają się, jak tylko w grobie; skromność sama jedynie może ubogacić człowieka. Kot chudy tak pięknym sobie w imaginacyi wystawiał stół królewski: iż te rozsądne przekonywania jedném uchem weszły, a drugiém wyszły. Nakoniec w dzień następujący poszedł z tłustym kotem do drzwi królewskich; lecz nim tam zaszedł, przeznaczenie zastawiło nań sidła. Ludzie niektórzy, za uczynioną dniem przedtém znaczną szkodę przez kotów podczas stołu królewskiego, byli w gotowości, i czychali na ich zabicie. Kot staruszki rozumiejąc, iż niebyło się czego obawiać, tylko co postrzegł półmisek pełen mięsa, rzucił się nań jak krogulec na niewinną ptaszynę: lecz tylko co począł jeść piérwszy kawałek, aliści strzała z łuku wypuszczona, wielką mu uczyniła przeszkodę. Odniesiona rana nie była mu przeszkodą do ucieczki, więc ile tchu miał, uciekał. Ach! krzyknął, widząc krew swą rozlaną, jeśli nie umrę z tego nieszczęścia, nigdy nie opuszczę ani kątka, ani szczurów moich.

2. O KOCIE I KUROPATWIE.

Od niemałego czasu, mówił kruk, mam gniazdo moje na wysokiém drzewie, przy którém wesoła znalazła się kuropatwa. Ścisłą zabraliśmy przyjaźń i często rozmawialiśmy

z sobą. Nie wiem dla jakiéj przyczyny tak utaiła się przez czas niejaki, iż rozumiałem, że nie żyje. Powróciła jednakże, lecz w domu swoim znalazła innego ptaka. Chciała go ztamtąd wyrugować, ale ów ptak odpowiedział, iż to sprawiedliwa jego dzierżawa. Kuropatwa zaś koniecznie do swego dziedzictwa wrócić chciała: starałem się, lecz napróżno, pogodzić ich. Nakoniec kuropatwa rzekła: znajduje się tu bardzo pobożny kot, pości dzień cały, a noc całą przepędza na modlitwach: więc znaleźć żadną miarą nie mogłybyśmy sprawiedliwszego sędziego. Gdy na to tamten ptak zezwolił, poszły razem do owego dobrego kota. Ciekawość widzenia go pobudziła mnie iść za niemi. Wszedłszy, postrzegłem tego kota zanurzonego w modlitwach, tak, iż się nawet nie oglądał ani na jednę, ani na drugą stronę: co było przyczyną, iż przypomniałem sobie starożytne przysłowie, które naucza: iż długa przed ludźmi modlitwa, jestto klucz do piekła. Z zadziwieniem patrzałem na takową hipokryzyą, *) i cierpliwie czekałem, póki ten pobożniś nie dokończy modlitwy. Potém zbliżyły się strony obiedwie, spór wiodące, z wielkiém uszanowaniem, i prosiły go, aby ich raczył wysłuchać i osądzić według swojego zdania. Kot ze skromnością wysłuchawszy skargi ptaka, obrócił się do kuropatwy, mówiąc: śliczna panienko moja najmilsza! stary jestem i słyszeć dobrze nie mogę z daleka; zbliż się tedy do mnie, mów głośno, abym każde słówko wyraźnie usłyszał. Kuropatwa i drugi ptak zbliżyły się razem z wielką ufnością do niego, mając go za tak nabożnego, jak się wydawał. Kot postrzegłszy je blizko siebie, porwał i pozjadał.

*) Obłudę.

3. O KUPCU I PRZYJACIELU JEGO.

Kupiec jeden przedsięwziął daleką podróż: a nie będąc bogatym, umyślił zostawić część swego towaru w tém mieście, bojąc się przypadku stracenia w drodze wszystkiego. Zostawił tedy u jednego ze swych przyjaciół znaczną część żelaza, prosząc, aby w całości było do jego powrotu; poczém pożegnał się z nim i pojechał. Wkrótce powrócił do domu, i zaraz się do przyjaciela swego udał, prosząc o oddanie żelaza; lecz ów przyjaciel przedawszy to żelazo na wypłacenie długu swego, rzekł: Schowałem był twe żelazo w zamkniętéj izbie, rozumiejąc, iż będzie w całości: lecz szczur tam będący zjadł je. Kupiec nie pokazując po sobie, iż poznał, że to fałsz, rzekł: Pewna to rzecz, iż szczury strasznie lubią żelázo.

Szalbierz ukontentowany z wiary kupca, spodziewał się, iż na tém będzie koniec; a dla oddalenia wszelkiego podej-

rzenia, prosił go do siebie nazajutrz na obiad. Kupiec przyjął to oświadczenie przyjaźni i pożegnał się z nim. Idąc do siebie, spotkał dziecię owego przyjaciela na ulicy, i zaprowadziwszy je do siebie, zamknął. Dnia następującego nie omieszkał pójść na zaproszony obiad, gdzie znalazł przyjaciela swego w wielkim pogrążonego żalu. Kupiec pytał go się o przyczynę, lubo wiedział ją doskonale. Ach! mój miły przyjacielu! zawołał, zaklinam cię, abyś mi wybaczył, że nie z wesołą twarzą przyjmuję ciebie; trapię się zgubą jednego z mych dzieci: przy odgłosie trąby kazałem go szukać, ale nie mam żadnéj o niém wiadomości.

Wczoraj ku wieczorowi, odpowiedział kupiec, widziałem puhacza unoszącego w górę jedno dziecię: może to być twoje. Ach niezbożny! wykrzyknął strapiony ojciec, jak możesz prawić takie niedorzeczności? Czy podobna, aby puhacz, dwa lub trzy funty ważący, miał podnieść dziecię 50 funtów ciężkie? To nie powinno cię zadziwiać, rzekł kupiec, bo w takim kraju, gdzie szczur jeden może zjeść kilka centnarów żelaza, bez wątpienia puhacz może unieść dziecię. Przyjaciel ten poznawszy, iż kupiec nie był tak głupi, jak o nim sądził, wyznał przed nim, iż go oszukać chciał; a przeprosiwszy za to, wrócił żelazo. A tak kupiec odebrawszy swą należność, oznajmił mu, iż syn jego u niego się znajduje, i zaraz mu go powrócił.

3. O LWIE I ZAJĄCU.

W okolicy Bagdadu znajdowały się bardzo piękne łąki, gdzie wiele zwierząt mieszkało; pomiędzy którémi był lew okrutny: ten mieszał ich spokojność przez różne a prawie codzienne zabójstwa. Dnia jednego całą gromadą zwierzęta poszły do lwa i dowodziły mu, iż będąc wiernymi poddanymi, wielkie cierpią okrucieństwa. Szukasz nas, mówiły, a my się chronimy: gdybyś sam spokojności żądał, nie naruszając naszéj, dawałybyśmy ci codziennie zwierzynę; a przeto nie miałbyś pracy szukać nas. Przyjął lew tę umowę: zwierzęta wypełniając swą obietnicę, rzucały między sobą losy codzienne, i posełały tego, na którego los wypadł.

Dnia pewnego padł los na zająca, który będąc w tém nieszczęściu, rzekł do wszystkich zwierząt: Jeżeli mnie wspomagać zechcecie, uwolnię was od tego okrutnego tyrana, panującego nad nami. Odpowiedziały mu wszystkie, iż się chętnie na to zgadzają. Zając czekał, aby pora obiadu minęła. Apetyt lwa pomnożył się tak, jako i złość jego; często bił ziemię ogonem, a spostrzegłszy idącego do siebie zająca, rzekł mu: Zkąd idziesz? i co czynią moi poddani? — Posłali mnie tu, rzekł

z nizkim ukłonem, dla przyprowadzenia twemu kuchmistrzowi jednego z moich towarzyszów, na którego los padł, dla posilenia W. K. Mości; lecz spotkałem na drodze lwa, który mi towarzysza odebrał: mówiłem mu, iż to wyznaczone było dla Króla: odpowiedział mi, iż innego lwa nie było nad niego w tym kraju, więc przyszedłem oznajmić o tém W. K. Mości.

Lew z pałającémi oczyma gwałtownie ryknął: Kto jest ten zdrajca, który śmie mi odbierać obiad mój? czy możesz mi go pokazać? — Tak jest, Najjaśniejszy Panie, rzekł zając, proszę tylko iść za mną. Lew szedł za nim: a gdy przyszli do studni, w któréj bardzo czysta woda była, zając rzekł do lwa: Najjaś. Panie! nieprzyjaciel twój znajduje się w téj studni: lecz nie mogę ci go pokazać, jeśli mnie w swych łapach trzymać nie będziesz. Lew wziął go, a zbliżywszy się do studni, gdy spojrzał i obaczył w niéj obraz lwa trzymającego zająca, mniemając, iż to był ów nieprzyjaciel jego, trzymający jemu wyznaczony obiad, zapalony cholerą, rzucił się do niego i utonął.

Ta powieść dowodzi, że słabe stworzenie może oszukać najmocniejsze.

5. SZACUNEK PRAWEGO MĘZTWA I HONORU.

Niegdyś Kalifa Almanzor, prowadząc wojnę z Królem perskim, potrzebował do jednéj ważnéj i tajemnéj wyprawy człowieka pełnego męztwa i honoru, w którymby mógł położyć zupełne zaufanie. Los całéj wojny zależał od téj wyprawy, w któréj najmniejsza zdrada wszystko zgubić mogła. Kalifa od tygodnia w największéj znajdował się niepewności, i nie wiedział, na kogo się w tém spuścić. Wtę porę właśnie przyprowadzono do Bagdadu pięćset brańców, którzy w powstaniu przeciw Kalifie, chwycili się strony rokoszan. Wydano wyrok w pień wyciąć tych nieszczęśliwych. Dwóchset z nich uciekło z bitwy, lecz odcięci w ustępie i powiązani, przyprowadzeni zostali za zwycięzcą. Trzechset niechciało uciekać, z bronią więc w ręku, po najdzielniejszym odporze, pojmani zostali. Kalifa zawsze myślący o człowieku, którego tak bardzo potrzebował, nadchodzi przypadkiem na to miejsce, gdzie miano spełniać okrutny wyrok, skazujący na śmierć pięćset brańców. Zastanawia się, i tknięty tym widokiem, chce im przebaczyć, tak jednak, aby ta łaska szkodliwego nie robiła przykładu. „Przebaczam," mówi, „tym wszystkim, którzy uciekali przed moją potęgą; a zatém nędzni niewolnicy, niech każdy z was, który uciekał, idzie na prawo." Na te słowa wszyscy brańcy razem ruszyli, jeden zaś zostaje w miejscu nieporuszony. Almanzor patrzy na niego z zadziwieniem, i rzecze: „Dla czegoż nie

idziesz w ślady twoich towarzyszów nieszczęścia?“ — Ja nie naśladuję podłych, odpowie żołnierz. — „Powiadam tobie, że przebaczam wszystkim, którzy uciekali.“ — Ja nigdy tego nie czyniłem. — „Nierozumny, dla czegoż nie przyjmujesz środka, który podaję tobie do zachowania życia?“ — Boby mnie pozbawił honoru. — „Pójdź,“ zawoła Kalifa, „znalazłem człowieka, jakiego mi potrzeba. Przebaczam, a wielkość twéj duszy nie zostanie bez nagrody.“ Poczém prowadzi z sobą żołnierza i zleca mu wyprawę, do któréj szukał dowódzcy śmiałego i przenoszącego honor nad wszystko. Żołnierz odpowiedział zaufaniu, wyprawa poszła pomyślnie, a wojna skończyła się z pożytkiem Kalify, który potém mianował tego walecznego człowieka najwyższym wojsk wodzem.

6. NAGRODA POCHLEBSTWA.

Był w Bagdadzie człowiek, który napisał księgę pod tytułem: Powinności Panujących i Królów. Ten człowiek nazywał się Elaim. Jego księga wzbudziła ciekawość publiczności, która lubi za zwyczaj sądzić zdaleka tych, co rządzą, i wiele smakuje w naukach im podawanych. Ta księga największe przez to robiła wrażenie, że postrzeżono w niéj niektóre zdania zbyt śmiałe, które zdawały się mieć prosty stósunek do pierwszych lat panowania Almanzora. Doradzano bez przestanku Kalifie, aby rozkazał księgę spalić, a autora, co poważył się roztrząsać postępki swojego Pana, wbić na pal. Almanzor utrzymywał dotąd wszystkich w niepewności względem losu, jaki gotował dla Elaima, który prócz tego nie był znajomy u Dworu, i nie pokazywał się tam nigdy.

Jednego wieczora Almanzor każe wołać do swego zamku Elaima, i razem wzywa dziesięciu dworzan, których miał za najprzywiązańszych do siebie. Pokazuje im, iż ma na wszystkich palcach pierścienie z dyamentami dziwnéj wielkości; potém rzecze: Zgromadziłem was dziesięciu, w nadziei słyszenia prawdy; te przepyszne dyamenty będą nagrodą dzisiejszych mów waszych, ale pod tym warunkiem, ażebyście mi powiedzieli prawdę. Mówcie, co myślicie o mojéj potędze i o mojéj sławie? — Dworzanie nęceni pięknością tak wielkich dyamentów, pochlebiali sobie, że dostaną po jednemu. Przesadzają się więc w wychwalaniu wielkości Almanzora, wywyższają go nad wszystkich hohatérów, jacy tylko byli kiedykolwiek; wywodzą pompatycznie jego wspaniałość, jego gust w sztukach, które utworzył; mówią z zapałem o przepysznym pałacu, który buduje, a kończą na wyniesieniu go tak wysoko,

iż nie znaleźliby już wyrazów, gdyby im przyszło mówić o wielkości i potędze Boga.

Kalifa zdejmuje dziewięć pierścieni z palców, i rozdaje dziewięciu dworzanom, którzy tak pięknie mówili. Potém obracając się do Elaima: A ty, powiada, dlaczego milczysz? czy nie chcesz dostać pozostałego dyamentu za powiedzenie prawdy? — Panie! odpowie z uśmiechem Elaim, można płacić za kłamstwo i za pochlebstwo, ale prawda nie kupuje się, ona się darmo udziela. — Dobrze, proszę o nię; co myślisz o mojéj potędze i chwale? — Myślę, odpowie, że ty jesteś człowiek, słabe narzędzie, które Bóg zrobił dla szczęścia innych ludzi, i które jedném skinieniem wniwecz obrócić może, ponieważ je z niczego stworzył.

Na te słowa dworzanie z największém zadziwieniem poglądają na siebie; nie śmieją zwrócić oczu ku nędznikowi, który tak bezrozumne wymówił słowa, i czekają tylko, co na to powie Kalifa. Almanzor bierze za rękę Elaima, i rzecze: Nie dam tobie dziesiątego dyamentu, boś ty sam powiedział, że prawda się nie kupuje. Lecz jeżeli prawda udziela się darmo, tedy zaufanie i przyjaźń udzielać się również powinny: te dwa nieoszacowane skarby daję tobie; pozostań na zawsze przy mnie; znalazłem przyjaciela, jakiego serce moje czuło od dawnego czasu potrzebę. — Podwaja się zadziwienie dworzan, Kalifa ich odprawia, a sam zostaje się z Elaimem, któremu naznacza mieszkanie w swoim pałacu.

Nazajutrz owi dworzanie przychodzą podług zwyczaju, dla uszanowania Kalify. Przynoszą wszyscy na palcach piękne dyamenty, wczoraj otrzymane. „A cóż, (odezwie się do nich Almanzor,) czy jesteście kontenci z podarunków, które wam dałem?“ — Ach Panie! odpowiadają, te dyamenty są dla nas droższe nad życie, ponieważ z twojéj szczodrobliwości pochodzą; lecz pozwól Panie odkryć sobie rzecz wielkiéj wagi. Kupiec, co je przedał, oszukał ciebie. — Jak to? — One są fałszywe. — To i cóż? powie z uśmiéchem Kalifa, czy wy rozumiécie, że ja o tém nie wiedziałem? Wy mnie dajecie fałszywe pochwały, a ja wam za to daję fałszywe dyamenty: waszą monetą wam zapłaciłem, nie macie na co narzekać.

7. TRZEJ PRZYJACIELE.

Powieść allegoryczna.

Żył niegdyś na Wschodzie niejaki Assad, bogaty i znakomity człowiek, któremu monarcha dał do zarządzenia piękne dobra koronne. Miał trzech przyjaciół, nadewszystko mu dro-

gich; zwali się: Mustafa, Al-Raszyd i Benhafi; jednakże przywiązanie jego do nich było stopniowe.

Mustafę przekładał nad innych, kochał go, czcił, i ledwie nie ubóstwiał; chciał go zawsze mieć przy sobie, nie rozdzielał się z nim prawie nigdy: z nim tylko był wesół, bez niego smutny, w nim tylko żył; słowem, Mustafę kochał jak samego siebie.

Drugie miejsce w jego sercu zajmował Al-Raszyd; kochał go równie jak Mustafę, ale nie z takim zapałem namiętności, i gdzie tylko zachodził spór między Al-Raszydem a Mustafą, można było przewidzieć, że Mustafa weźmie górę.

Benhafi skromny i bezinteresowny, stał w najniższym rzędzie; nie mógł mu w prawdzie Assad odmawiać szacunku, z powodu rzadkich jego przymiotów; jednakże ustępować musiał dwom piérwszym przyjaciołom, i tylko w wolnych chwilach nienatrętny Benhafi odwiedzał przyjaciela, ciesząc się, że przynajmniéj całkiem jeszcze nie wyszedł z pamięci i serca Assada.

W tych trzech przyjaciół kole przeżył Assad szczęśliwie długie pasmo lat, używając dochodów z dóbr Króla, które już zaczynał mieć za własne; gdy wtém wcale niespodzianie otrzymuje rozkaz stanąć na dworze Króla, i zdać rachunek z dóbr sobie powierzonych.

Podobny śpiącemu, któremu słodkie sny przerwie odgłos piorunu, Assad odurzony stał długo jakby wryty. Gdy odzyskał przytomność, poznał całą okropność tego przykrego rozkazu. Przyzwyczajony do wszelkich wygód życia, miał natychmiast bez najmniejszego przygotowania puszczać się w tak daleką i wcale mu nieznaną drogę, a jeszcze na to, aby składać rachunki z zarządzania włością, którą już miał za swoję.

Oddawca firmanu, surowy i nieokrzesany Jańczar, niechciał mu dozwolić chwili odwłoki: już nastawał na Assada, aby podróż swoję przyspieszał, którego najbardziéj dręczyło przekonanie, że nie posiadał tyle wymowy, aby się mógł bronić na dworze Sułtana. W rozpaczy przypomniał sobie przecie, że ma przyjaciół, i to wspomnienie było mu niejaką pociechą.

A że najbardziéj kochał Mustafę, udał się więc najprzód do niego, i na jego łono wylał wszelkie swoje zmartwienia, będąc pewnym, że mu w dalekiéj drodze towarzyszem i przy Królu obrońcą będzie.

„Drogi Mustafo!“ rzekł do niego, „o Ty, którego wpływ jest wszędzie tak znany; którego wymowa tak przekonywająca, wiesz, że zawsze przyjacielem twoim byłem; okaż mi wzajemność, udaj się ze mną w podróż i broń mnie u dworu

wielkiego Króla, który mi z czynności moich każe zdawać rachunek.

Czekał Assad życzliwéj odpowiedzi, ale jakże się zdumiał, gdy mu niewierny i bezwstydny Mustafa zimno odpowiedział: „Wiem dobrze Assadzie, żeś aż nadto ubiegał się o moję przyjaźń, żeś mię przekładał nad najgodniejszych twoich przyjaciół, żeś mnie nawet czcił prawie jak Boga; ale jeżeli myślisz, że ci za to wdzięcznym jestem, mylisz się bardzo. Nie spodziewaj się wcale, ażebym z tobą udał się w drogę: jedź sam, ja tu zostanę, i czekać będę na twego następcę, którego podobnie łudzić chcę jak ciebie.“

Tak mówił Mustafa, i odwrócił się od Assada. Assad smutny z pogardą odszedł od niego, i przeklinał zdrajcę i nieszczęście swoje.

Już od jednego zrażony Assad, z nieśmiałością przyszedł do Al-Raszyda. Krótko i z rozrzewnieniem opowiedział powód swego przyjścia; ze łzami w oczach odpowiedział Al-Raszyd:

„Drogi Assadzie! Twój los do żywego mnie wzrusza, chciałbym spełnić życzenia twoje, ale nieprzezwyciężone przeszkody zachodzą. Chcąc ci jednak dać dowód mojéj szczeréj miłości, odprowadzę cię aż na granicę téj ziemi, a ztamtąd poruczę cię Boskiéj Opatrzności.“ Łzy zakończyły mowę Al-Raszyda; Assad nieco pocieszony, lubo jeszcze z tęsknotą, udał się do Benhafiego; idąc jednak do niego, nie miał żadnéj nadziei, bo najmniéj mu okazał w życiu przyjaźni i przywiązania. Ale Benhafi nie takim był, jak dwaj piérwsi przyjaciele Assada. Zaraz po wysłuchaniu go, rzucił się w jego objęcia: „Nie trać męztwa, kochany Assadzie,“ rzekł do niego, „pójdę z tobą do stóp tronu; i mam nadzieję, że przy pomocy najszczerszego przyjaciela, potrafisz złożyć rachunek z czynności twoich, i uniewinnić się w oczach Króla twego.“

Jakoż Benhafi dotrzymał słowa: w najprzykrzejszéj podróży towarzyszył przyjacielowi: pocieszonego wyprowadził za granicę, stawił przed Królem, i uniewinnił.

Jakież jest wytłómaczenie téj allegoryi?

Pod obrazem Assada odmalowany jest człowiek, który ma w życiu trzech przyjaciół: pieniądze, familią i cnotę. Tych trzech przyjaciół kocha najczęściéj podług stopni, w téj allegoryi wyszczególnionych.

Wśród roskoszy świata i dóbr doczesnych, zapomina swego przeznaczenia, aż śmierć niespodziewanie do drzwi jego zapuka, i powoła na sąd przed tron Najwyższego. Nieszczęśliwy człowiek w trwodze udaje się do swoich trzech przyjaciół. Pie-

niądz, ten najpierwszy jego faworyt, całkiém go opuszcza; wtedy dopiero przekonywa się śmiertelny o jego nicości; żałuje, że go ubóstwiał i nad wszystko przenosił, ale już po niewczasie. Familia, ten jego drugi przyjaciel, dotkliwiéj czuje los nieszczęśliwego, ale go tylko do grobu odprowadza. Cnota tylko jedna, ten wzgardzony przyjaciel, jest mu zawsze wierną i przed tronem Przedwiecznego wyrabia mu łaskę i przebaczenie. (Wanda, pismo peryodyczne, wydawane przez Kicińskiego, rok 5. Tom III)

9. KAMIEŃ ŚWIADKIEM. (Z Zadyga.)

Przybywszy do swego pokolenia Setok, upominał się zaraz jedenastu set uncyj srebra,*) których pożyczył był Żydowi w przytomności dwóch świadków; ale że ci obadwa umarli, Żyd nie mógł być przekonanym, a zatém przywłaszczył sobie kupieckie pieniądze, dziękując Bogu, że mu podał sposób do oszukania Araba. Zwierzył się swojéj dolegliwości Zadygowi, który był jego radą. Na jakiémże miejscu, pyta się Zadyg, pożyczyłeś tych pieniędzy niewiernemu? — Na kamieniu szerokim, odpowiada kupiec, który jest przy górze Oreb. — Jakiegoż jest charakteru twój dłużnik; pyta się daléj Zadyg. Szalbierskiego, odpowiada Setok. — Ale ja się pytam, czy to jest człek żywy? czy flegmatyk? czy frant? czy głupi? — Jestto z płacących źle najżwawszy, jak tylko być może. — To dobrze, rzecze Zadyg; pozwólże mi, niech się ja z nim przed Sędzią rozprawię. W saméj rzeczy pozwał Żyda do Trybunału, i tak do Sędziego mówił: „Wezgłowie **) tronu sprawiedliwości! dopominam się od tego człeka imieniem Pana mego pięciuset uncyj srebra, których oddać nie chce.“ — A maszże na to świadków? pyta Sędzia. — Nie mam, bo pomarli, ale jest jeszcze szeroki kamień, na którym te pieniądze były liczone, i jeżeli się Waszéj Dostojności podoba, żeby go tu przyniesiono, spodziewam się, że da świadectwo. — Całém sercem, odpowie Sędzia: tym czasem przystąpił do ułatwienia innych spraw.

Przy końcu sessyi pyta się Zadyga: Cóż? kamień twój jeszcze nie sprowadzony? Żyd uśmiechając się na to: Darmoby, rzecze, Wasza Dostojność czekała, gdyby i do jutra wyglądając kamienia, który o sześć mil ztąd leży! trzebaby zaś piętnastu najmniéj ludzi, żeby go z miejsca tylko ruszyć. — Otoż, zawoła Zadyg, wszakżem mówił, że kamień świadczyć

*) Uncya, dwa łóty; pieniędzmi około 9 złot. pol.

**) Poduszka, na któréj wspierać się i spoczywać zwykli Muzułmanie — po naszemu: filarze sprawiedliwości!

będzie. Ponieważ ten człek wie, gdzie kamień leży, tém samém więc wyznaje, że na nim pieniądze były mu liczone. Żyd zmieszany, wszystko musiał wyznać. Sędzia wydał dekret, żeby go przywiązano do kamienia, i póty ani jeść, ani pić nie dano, pókiby nie oddał pięciuset uncyj, które w tym momencie były zapłacone.

(Józef Szymanowski, autor poematu: Świątynia Wenery w Knidos † 1801. zob. niżéj w Rozdziale IIIcim.

9. IBRAHIM I OSMAN.

Dwóch było braci mieszkańców w Kairze, jeden się zwał Ibrahim, drugi Osman. Majętni byli obadwa, a że się dobrze rządzili, znacznie się powiększył ich majątek, tak dalece, iż byli uważani za najbogatszych kupców tego wielkiego miasta. Ze nad zwyczaj innych braci żyli z sobą w nieprzerwanéj zgodzie, schodzili się wespół prawie codzień, skoro im co czasu od zabaw ich zbywało. Jednego razu, gdy się przechadzali ponad roskosznymi brzegami Nilu, rzekł Ibrahim do Asmana: Miły bracie! Pan Bóg nam pobłogosławił przez przyczynę namiestnika swojego, naszego proroka; jakim też sposobem oświadczymy mu daléj naszę wdzięczność za jego dary? — Ja czynię, co mogę, rzekł Osman; Razaman *) obchodzę ściśle, do meczetów uczęszczam, pięciu umywań nie zaniedbywam, a jak wiesz, nawiedziłem Mekkę i grób Proroka w Medynie.**) Jamci go nie nawiedził, rzekł z westchnieniem Ibrahim, lubom miał szczerą wolę. Jużem się wybrał na tę świętą pielgrzymkę, ale zaszła okoliczność, która mi przeszkodziła użyć tego szczęścia, jednego z największych, jakie mieć może w tém życiu człowiek prawowierny. Jakaż była ta okoliczność? rzekł Osman; umilkł Ibrahim, i mimo nalegania brata, nie powiedział jéj.

Urażony takowém milczeniem Osman, odszedł, i zasmucił Ibrahima swojém odejściem. Gdy się więc tą myślą trapił, usiadł w cieniu drzew palmowych, i nieznacznie sen go ujął: a wtém ujrzał przed sobą osobę poważną, która mu te słowa rzekła: Nawiedzić grób Proroka zasługą jest wielką, ale większą, gdyś dla tego nie nawiedził, żeś został przy schorzałym stryju twoim Hazanie, którego dla pielgrzymstwa brat twój opuszczał. Na szali bożéj zawieszone było pielgrzymstwo jego, i było czcze; twoje niebycie ważyło w dwójnasób, a teraz dziesięćkroć więcéj waży, żeś przez skromność nie powiedział, dla czegoś nie poszedł. (Krasicki, zob. Wybór bajek str. 1.)

*) Post wielki. **) Zob. niżéj opis Arabii w Rozdz. II.

10. HAMID.

Napadł na książkę Saadego Hamid, syn kupca bogatego w Alepie, i pasterskie życie tak mu się spodobało, iż kupiwszy sobie tajstrę, *) i do kija przywiązawszy fontasik, **) szedł paść owce na górach Anti-Libanu: znalazł tam wielu pasterzy i u jednego z najbogatszych służbę przyjął, kontent, iż znalazł wiek złoty. Serwatka, którą pił, zdawała mu się nektarem; a gdy owce pędził w rozległe doliny pomiędzy góry i skały, każdy strumyk coś wdzięcznego mruczał, każdy liść od wiatru powiany, szelestem swoim mówił do serca: jagnięta oznaczały niewinność, owce czułość, baranki radość uprzejmą, zgoła, Hamid był szczęśliwym i wielbił Saadego; [1]) wielbił i Pana, u którego służył, ponieważ starzec poważny miał siwą brodę po pas, i zdawał mu się być patryarchą.

Jednego razu zanurzony w słodyczach szczęścia swojego, rozrzewniony strumykiem, mruczeniem wód, szelestem gałęzi, odgłosem echa, chciał też z przyjemno-ponuréj księżyca światłości korzystać, ile że dzień pogodny obiecywał noc jasną. Zszedł księżyc: przebijała się srebrzysta jego światłość pomiędzy rozłożyste cedrów gałęzie, wydawała się na skałach, kształciła doliny; strumyki mruczały jeszcze wdzięczniéj, gałązki chwiały się jeszcze miléj, liścia szeleściały jeszcze raźniéj, echa odpowiadały w dwójnasób; zgoła, już zachodził księżyc, gdy się Hamid z zachwycenia swego ocucił. Szedł więc do trzody, ale już się była wróciła do domu: udał się za nią, a gdy ku owczarni zmierzał, zastał u wrót pana, który go innym pasterzom kazawszy ująć i skrępować, za to, iż kilka owiec nie dostawało, zbił okrutnie, i ledwo czołgać się mogącego kazał wywléć za wrota, z tém patryarchalném ostrzeżeniem, iż jeśliby się śmiał wrócić, dwakroć tyle, co już wziął, odbierze.

Nie miał i czasu i sposobności do uwag porzucony na drodze Hamid: jęczał w boleści, złorzecząc zepsutemu wiekowi; zwlókł się jak mógł, gdy słońce zeszło, i odrzekł się pasterskiego życia, mruczenia strumyków, szelestu gałęzi, odgłosu echa, nawet i ponuro-przyjemnéj światłości srebrzystego księżyca. Szedł więc z kijem bez fontazia prosto do Alepu, i łatwo ojca przebłagał. Że miał chęć wielką do czytania, a poety mu się nie nadały, siedząc w sklepie postrzegł księgę, i gdy ją wziął, znalazł, iż była o rólnictwie, i zawierała w sobie przepisy, jakto gospodarować należy. Zanurzył się natychmiast w niéj, a rozważając słodycz wiejskiego życia, i naj-

*) Torbę. **) Kutas. 1) Saady, sławny poeta perski z czasów krucyaty.

Biblioteka Uniwersytecka w Poznaniu

pierwsze w rólnictwie człowieka rzemiosło, zysk zaś obfity i pewny, zebrawszy pieniądze z handlu, mając też i od ojca wsparcie, kupił sobie nie daleko Alepu folwarczek i osiadł na nim. Wziął z sobą książkę, a zapomniał o inwentarzu. Trzeba więc było na uprawę roli najmować i woły i konie i poganiaczów. Zaczął uprawiać rolą, z politowaniem patrząc na sąsiadów, którzy, że nie mieli księgi, nie tak czynili jak on. Rzekł więc sam w sobie: próżno tych prostaków uczyć, ja ich uporu nie przeprę, ale doświadczenie nada i rozum, kiedy na przyszły rok obaczą, co u mnie będzie, a co u nich.

Nie żałował więc siarki, saletry i innych przypraw; gnoił ziemię raz wraz, zasłaniał od ulewy, strzegł od upałów. Lato przyszło, wszędzie była plenność, a u niego chwast. Że zaś trzeba było inwentarze sprawić, od najmu zapłacić, czeladź żywić, a siarka, saletra i inne przyprawy zbyt wiele kosztowały; dłużnicy objęli folwarczek, a Hamid z książką wrócił do domu. Dziwiło go to wielce, iż nieczytający zebrali, a on i czytający i więcéj pracujący nic nie wskórał. Przełożył więc ojcu to swoje zadziwienie, a starzec śmiejąc się, rzekł: pilnuj tego, do czegoś się urodził, w czémeś wzrosł i masz wiadomość; a kiedy sam nie dobrze rzeczy znasz, znających się nie poprawiaj.

Pomyślił zatém Hamid: dobrze ojciec mówi, takto jest podobno w istocie, i znowu w sklepie osiadł. Gust wielki do czytania nadarzył mu wkrótce księgę historyczną. Były to opisania dzieł Mahometa, Alego, Abubekera, Ibrahima, Bajazeta, Solimana, i tak dalece wzbudziły w nim chęć do sławy, iż niczego bardziéj nie pragnął, jak tego, iżby się mógł stać ich naśladowcą. Właśnie naówczas wszczęła się była wojna z Persami; gdy więc pułki z Alepu wychodzić miały, nie opowiedziawszy się ojcu, złączył się z niémi, i szedł bohatér tchnący zapalczywością, służyć wiernie i ojczyznie i zarobić na sławę; pełen słodkiéj nadziei, iż będzie z uszanowaniem czciła jego pamięć najdalsza potomność, a wdzięczny monarcha uwieńczy przyzwoitą nagrodą zasługi tak wielkie i użyteczne.

Przebywając piaszczyste stepy przed Eufratem, wiele ucierpiało wojsko dla niedostatku wody i upałów nieznośnych: wielbłąd Hamida zdechł, trzeba było iść piechotą; ale choć przykro było iść pieszo w piasku, miłość ojczyzny i sławy rzeźwiła Hamida. Po przykrym bardzo codziennym marszu, stanęli obozem na spoczynek; wtém nagle napadło na nich wojsko nieprzyjacielskie. W powszechnym zgiełku i zatrwożeniu, wśród nocnych ciemności, porwał się nagle przebudzony

Hamid, szabli znaleźć nie mógł, zahajdak upuścił; nie mogąc nic rozeznać, wypadł z namiotu i dostał w tumulcie pałaszem w łeb, strzałą w ramię, dzidą w udo. Co miał, wzięto; którzy byli nieranni, rozproszyli się; rannych Persowie dobijali, lub brali w niewolę; reszta, gdy Persy odeszli, została na pobojowisku, a między nimi Hamid. Odkrył dzień skutki klęski okropnéj! Ranny, opuszczony, jęczał i czekał w boleściach końcu losu swojego. Już zmrok się zaczynał, gdy usłyszał głos rozmawiających między sobą. Odezwał się natychmiast jękliwym głosem, żebrząc miłosierdzia, i ujrzał przed sobą starca z młodzieńcem.

Starzec był ślepy na jedno oko, miał tylko pół lewego ucha, dwie krysy przez nos, i chromał na prawą nogę. Nie pytając zkąd, kto jest, i jak się nazywa? kazał młodzieńcowi wsadzić go na wielbłąda, dopomógł jak najwygodniéj umieścić, i gdy się puścili w drogę, po niejakim czasie stanęli przed domem, gdzie Hamid złożony, podejmowany, leczony, wkrótce do pierwszéj czerstwości powrócił. Nim przyszedł do tego stanu, gdy raz starzec przy łóżku jego siedział, a postrzegł, iż mu się Hamid pilnie przypatrywał, rzekł z uśmiechem: Domyślam się, co ty teraz myślisz; oto chciałbyś wiedzieć, dla czego ślepy jestem na jedno oko, mam tylko pół lewego ucha, dwie krysy przez nos, i chromy jestem na prawą nogę. Służąc pod owym sławnym Wezyrem Kuprolim w Kandyi, którąśmy zdobyli, straciłem oko, dostałem krysy przez nos niedaleko Temeswaru, *) pozbyłem pół ucha pod Oczakowem, a dostałem szwanku, dla którego chromam, w Belgradzie. To też pewnie, rzekł Hamid, nagrodzone były sowicie twoje szwanki, a dzieje państwa głoszą twoję waleczność. U nas dzieł nie piszą, jak sam wiesz, rzekł starzec, a kiedy i piszą, nie tych chwalą, co zasłużyli, ale tych, którzy nibyto przewodnikami będąc, mniéj częstokroć warci chwały nad tych, którym przodkowali. Na szwankach jeszczem stracił; bom z swojéj kieszeni musiał zapłacić temu, który mi oka nie przywrócił, nos źle zszył, połowy ucha nie nadstawił, a może uczynił więcéj chromym, niżbym był, gdybym się nie dał leczyć. Straciłem służąc połowę majątku; a widząc, iż po lat trzydziestu prac, trudów i niebezpieczeństw, niczegom się dosłużyć nie mógł, wróciłem do domu, jak widzisz, bez jednego oka, z połową ucha, z dwiema krysami przez nos, i z chromą nogą. Odszedł starzec, a Hamid macając łeb,

*) Twierdza w Węgrzech. Oczaków nad morzem Czarném w Rossyi, a Belgrad nad Dunajem w Serwii.

gdzie go cięto, patrząc na ramię przeszyte strzałą, postanowił wrócić się do domu.

Przyjął go ojciec z radością, i pochwaliwszy żarliwość i męztwo, z którego widocznémi dowodami powrócił, rzekł: Patrz ty na pieprz, imbier i gałki muszkatowe, które tu są w sklepie; to i mnie dziada i pradziada twojego uczciwie żywiło, chociażeśmy nie czytali książek. Obiecał Hamid patrzeć na pieprz, imbier i gałki muszkatowe, ale skoro po kilku czasach postrzegł książkę, porzucił pieprz, imbier i gałki muszkatowe. Księga ta napisana była przez jednego z najsławniejszych Derwiszów o marnościach świata tego. Zniewoliła tak dalece umysł Hamida, iż został zupełnie przekonanym, iż wszystko próżność: porzucił więc sklep i wszystkie marności świata. Nie daleko od Alepu sławne było siedlisko Derwiszów; udał się tam, a padłszy do nóg Starszemu, przełożył chęć swoję do bogomyślności, i prosił, ażeby był przyjęty do zgromadzenia. Dał się użyć przełożony, i zawoławszy jednego z Derwiszów, oddał mu Hamida, przykazując, aby go sposobił do obowiązków stanu bogomyślnego.

Najistotniejszy z tych obowiązków był, aby się obracać w koło, jak mu zagrają na piszczałce, i zabębnią w bębenek; a to na pamiątkę Mewlany, który z nabożeństwa kręcił się w koło przez dni czternaście, kiedy mu przyjaciel jego Hamza grał na piszczałce, i bił w bębenek. Jużci lepiéj, mówił sam w sobie Hamid, dójść doskonałości, kręcąc się jak Mewlana, niż, sławy szukając, wziąść pałaszem w łeb, strzałą w ramię, dzidą w udo. Zaczął się więc kręcić, i tak dalece postąpił, iż w krótkim czasie pozwolono mu się kręcić w meczecie. Gdy więc zaczęto grać na piszczałce i bić w bębenek, zapalony Hamid żarliwością wyszedł z koła, a gdy mu się zupełnie głowa zawróciła, wywrócił przełożonego: ten lecąc, trafił na gzyms i głowę sobie zranił. Hamida zaś, bez zmysłów leżącego, z wywichnioną nogą, wyniesiono z meczetu. Zgorszyła zgromadzenie popędliwość nowicyusza; a że był przyczyną, iż pierwszy raz przełożony w tańcu upadł, wyrzucono go ze społeczeństwa Derwiszów, i o kuli wrócił się do Alepu.

Często potém zapadał na zawrót głowy, a ojciec ganiąc zbytnią a nierozważną jego porywczość, znowu go w sklepie osadził, radząc i przykazując tak jak pierwéj, aby się swego rzemiosła trzymał. Jakoż uroczyście obiecał Hamid tak uczynić i osiadł w sklepie; ale że mu zbywało niekiedy czasu, znowu się udał do czytelnictwa, a napadłszy księgę o miłości ojczyzny i obowiązkach, jak jéj użytecznym być trzeba, rzekł: Jakąż ja przysługę i państwu i Panu uczynię, trawiąc

życie na podłym handlu? Mam chęć do nauk, pojętność, kto wie, czyli w cywilnych urzędach nie będę zdatnym; a gdy mi się uda, i kraj wesprę, i ojca wspomogę, i na sławę zarobię. Przełożył więc tę myśl ojcu, i lubo się on sprzeciwiał, tyle na nim powtórzonemi prośbami wymógł, iż pozwolił mu udać się do Stambułu, i sam z nim pojechał, chcąc go u dworu Sułtana pomieścić.

Po wielu staraniach, został Hamid odźwiernym, za co ojciec musiał wiele zapłacić Starszemu nad odźwiernymi; bo ten się przyznał w sekrecie, iż trzy części z tego należały Bostandzemu, a Bostandzi z tego powinien był dać połowę Kislar-Adze, a gdyby to doszło Wezyra, trzebaby dać dwoje tyle. Jakoż doszło to Wezyra, bo w kilka dni przyszedł Starszy nad odźwiernymi do ojca Hamidowego, i tak go umiał przestraszyć, iż pieniądze w dwójnasób musiał dać, i oprócz tego sowite podarunki i Starszemu nad odźwiernymi, i Bostandzemu, i Kislar-Adze i Wezyrowi. Wyjeżdżając ojciec ze Stambułu bez pieniędzy, mówił Hamidowi: otóż skutek twojéj rozżarzonéj imaginacyi! A Hamid rzekł: miéj cierpliwość ojcze, obaczysz mnie wkrótce inaczéj. Szedł zatém do bramy, czekając, rychło zostanie przełożonym, Bostandzim, albo Baszą, a może i Wezyrem. Miał zatém honor odebrać ryż cesarski: przypatrywał się wspaniałym wjazdom na dywan Wezyra, Kadyleskierów i Baszów. Podobały mu się te wspaniałe wjazdy, a coraz, gdy je widział, powtarzał sobie: niechno i ja poczekam, będę i ja tém, czém i oni. Jednego razu gdy przyszedł do bramy, zastał leżące nie daleko progu trzy piękne pokrowce; pytał się więc Starszego, coby było w tych pokrowcach? — To, co bywa zwyczajnie, kiedy tu leżą, odpowiedział. — A cóż tu zwyczajnie bywa? — Głowy. — A jakie? — Jużci nie cukru, rzekł śmiejąc się odźwierny Starszy; jedna z nich Bostandzego, druga Kislar-Agi, a trzecia Wezyra. Zadrżał na taką powieść Hamid, i nic nikomu nie mówiąc, wymknął się ze Stambułu. Widząc go powracającego do domu ojciec, rzekł: a tak to prędko zostałeś Bostandzim? — Niech tam nim będzie, kto chce, odpowiedział Hamid, poglądając za siebie, ja nie lubię pokrowców. Opowiedział zatém ojcu, co widział; a uznając, iż on prawdę mówił, wrócił się do pieprzu, imbieru i gałek muszkatowych; i choć nie został Bostandzim, Baszą, ani Wezyrem, więcéj zyskał, bo przestał na małém, a pewien był tego, na czém przestał. (Krasicki.)

ROZDZIAŁ DRUGI.

PROZA OPISOWA

CZYLI

OPISY RÓŻNYCH PRZEDMIOTÓW.

A. RZECZY W NATURZE.

1. NAUKI PRZYRODZONE. (Wstęp.)

Gdy na niebie jest słońce, a jasność wszystkie nam rzeczy oświeca, wtenczas mówimy, że jest dzień; nocą zaś nazywamy tę porę, w któréj na naszém niebie nie widzimy słońca, w któréj wszystko ciemność okrywa.

Wśród grubych ciemności nocnych, spojrzawszy na niebo, spostrzeżemy na niém księżyc i niezliczone mnóstwo drobnych światełek, zwanych gwiazdami. To dobroczynne słońce, ten świetny księżyc i wszystkie gwiazdy, zowią się inaczéj ciałami niebieskiemi, których poznawaniem trudni się astronomia.

W dniu pogodnym błękitne sklepienie niebios jest zupełnie czyste, ledwie w niektórych miejscach maleńkie wiszą pod niém obłoczki: słońce z za gór i lasów wspaniale wschodzi, i z równą wspaniałością przy schyłku dnia za góry i lasy zachodzi. Lecz czasem spokojne i łagodne powietrze nagle się wzrusza, występują ciemne obłoki, i ciemniejsza jeszcze od nich chmura, całe niebo zwolna ogarnia. Dzień robi się podobnym do nocy, i wszystko smutku i umilknienia postać przybiera. Zrywają się wichry, lasy zdaleka szumią, okropna burza wszystko wywraca i niszczy; a błyskawice do otwierającego się nieba podobne, wszystkie stworzenia, samego nawet człowieka, przerażają. Leją się obfite deszczów potoki, uderza z łoskotem piorun, a chmura całą ziemię gradem zarzuca. Jednak te straszliwe zjawiska niedługo trwają: wkrótce wy-

pogadza się niebo, a deszcz napoiwszy spragnioną ziemię, wszystkie jéj rośliny orzeźwia.

Jeżeli deszcze trwają długo, zwykle po nich długie pogody nastają. Wszystko Stwórca świata najwyższą mądrością swoją najdoskonaléj rozrządził. Dał nam piękne lato, które gdy nam się już naprzykrzy, nadchodzi zima, przykrzejsza wprawdzie roku pora, ale tém samém powiększa nam przyjemność wiosny i lata. Te tak potrzebne deszcze letnie, w zimie są śniegiem, a te wspaniale toczące się wody, które przepływamy latem, są w zimie lodem, który największe ciężary utrzymać jest zdolny.

Ciekawy człowiek zastanawia się nad wszystkiém: uważa, jak to przyjemne światło słońca oświeca ziemię, ożywia wszystkie na niéj stworzenia; jak się powietrze oziębia lub wzrusza, zkąd biorą początek deszcze, jak ta płynna woda w śnieg, grad i lody zamienić się może; jak się tworzy na niebie tęcza, i zkąd pioruny i grzmoty powstają. Te wszystkie ciekawe dochodzenia, są przedmiotem osobnéj nauki, która się zowie fizyką.

Znajduje się na ziemi mnóstwo rozmaitych stworzeń, z których jedne są żyjące, drugie martwe. Stworzeniami żyjącemi są zwierzęta i rośliny; do martwych należą kamienie, glina, piasek i rozmaite kruszce, jako to: żelazo, miedź, srebro, złoto. Te wszystkie rzeczy człowiek ciekawie poznaje, bo ze wszystkich bardzo wielkie odnosi korzyści. Z kamieni robi wapno, z gliny i piasku cegłę, a z téj mieszkania sobie stawia. Z wytopionych kruszców ma różne sprzęty i naczynia w domu. Z drzewa ma opał, budowle, i inne wygody; z wielu dzikich roślin ma lekarstwa, z utrzymywanych w sadach i ogrodach ma kwiaty i owoce, z zasiewanych w polu ma chleb, i wyżywia niémi bydlęta.

Zadziwiająca rozmaitość bydląt, roślin i istót martwych czyli kopalnych, pociągnęła ciekawość człowieka do najdokładniejszego ich uważania, i najtroskliwszego wyszukiwania. Ten piękny przedmiot, składa rozległą naukę, historyą naturalną zwaną; a ci uczeni ludzie, którzy przez coraz nowe postrzeżenia i odkrycia rozkrzewić ją usiłują, są badaczami przyrodzenia, czyli naturalistami.

Człowiek prosty rzadko się nad czém zastanawia: nie zajmuje go ani wspaniałość wschodzącego słońca, ani rozmaitość roślin w ogrodach i lasach, ani zachwycający śpiew ptasząt. Tymczasem człowiek uczony i myślący, który nauki zamiłować potrafił, wszędzie znajduje rzeczy, swoich postrzeżeń godne. Od maleńkiéj trawki do drzew najwynioślejszych, od

kropli wody do niezgłębionego oceanu; wszędzie wyśledza cuda rąk boskich, i we wszystkiém nieograniczoną potęgę i niepojętą mądrość Stwórcy świata odkrywa. Nieprzestając na zbadaniu rodzinnych tylko okolic, opuszcza na czas najmilszą ojczyznę, i przepłynąwszy straszliwe morza, nieulękniony zagłębia się w te części świata, w których wieczne panuje lato, albo idzie w te kraje, w których lodowate góry i śnieżne pola nigdy nie topnieją. Przedziera się przez puszcze, których nie tknęła jeszcze noga człowieka; przepływa wody rzek, do morza podobnych; wstępuje na wierzchołki gór, zdających się sklepienie nieba podpierać: albo się zapuszcza w podziemne otchłanie, z których wszystko pożerający ogień i zgubne częstokroć popioły wybuchają. Uszedłszy wreście tysiąca niebezpieczeństw, i zniósłszy niewypowiedziane trudy, okryty chwałą nieprzełamanéj stałości, wraca z radością do ziemi rodzinnéj, na łono przyjaciół i krewnych. Zdarza się także niekiedy, że burza morska najstraszliwszą śmierć mu przynosi, że go dzicy ludzie zabijają, albo jadowita gadzina w jednéj chwili życia pozbawia. Ginie więc oddalony od swoich rodaków, którzy w wspomnieniu o nim tę tylko jednę znajdują pociechę, że poległ w szlachetnym celu, i chciał się wywdzięczyć téj nauce, która oświeciła rozum jego.

Miło wam zapewne będzie, kochane dzieci, dowiedzieć się niektórych rzeczy z téj pięknéj nauki.

(Z Tygodnika dla Dzieci na rok 1829.)

2. CZŁOWIEK. *)

Człowiek jest stworzeniem, którém Bóg ukoronował dzieła rąk swoich. Mając te same, co i zwierzęta potrzeby, różni się od nich duszą nieśmiertelną, rozumem i mową. Gdy mu jest miłe ciepło, a zimno przykre, gdy głód czując stara się o pożywienie, gdy snu dla spocznienia potrzebuje, widzi, że te jego potrzeby spólne są zwierzętom; ale gdy myśli, gdy się zastanawia, i gdy się nieśmiertelnego życia spodziewa, widzi istotę swoję wywyższoną nad wszystkie stworzenia, i przybliżoną do natury tych duchów, którémi Wszechmocny swój niebieski majestat otoczył.

Maleńka mucha skoro się wylęgnie, umie latać i umie pożywienie swoje wynaleźć. Kurczęta zaraz po wylężeniu biegają i znają te ziarna, które im natura za pokarm przeznaczyła... Tymczasem człowiek przychodzi na świat w stanie zupełnego niedołęztwa; nie umie starać się o pokarm, i nie byłby zdolny najmniejszego niebezpieczeństwa uniknąć. Muszą

*) Zob. niżéj opis człowieka.

go pielęgnować dojrzali ludzie, dopóki nie nabędzie sił zupełnych i nie udoskonali rozumu swojego. To nas przekonywa, że do towarzyskiego życia stworzeni jesteśmy, i że w każdéj czynności jedni drugich winniśmy wspierać.

Piérwszy człowiek stworzony został w takim kraju, w którym mu dobroczynna ziemia bez przymusu wszystko wydawała, a ciągle łagodne powietrze nie wzywało do obowiązku starania się o ciepłą odzież i pomieszkanie bezpieczne. Nie zaraz przeto ludzie zaczęli tworzyć wsie i miasta, i tak prowadzić życie, jak my je dzisiaj prowadzimy. Dopiero gdy przeszli w zimne okolice ziemi, potrzeba skłoniła ich do poddania się większym trudom, i przemysłowi ich szybszy popęd nadała. Równie jak dzieci, ograniczonych wiadomości swoich niepewni z początku, rozszérzali je potém coraz nowémi postrzeżeniami; a co zrazu potrzeba tylko na nich wymagała, to późniéj sztuki i zbytku przedmiotem się stało.

Najpierwsi ludzie w Azyi mieszkając, byli wszyscy twarzy śniadej, to jest tacy, jakimi są dzisiaj Arabowie, Turcy, Persowie, Chińczycy. Ci, którzy Europę zaludnili, stali się z czasem tak białymi, jak my jesteśmy. Ci, którzy przeszli do Afryki, stali się zupełnie czarnymi, jak to na Murzynach widzimy. Amerykanie są podobni do Murzynów, czarność ich jednak nie jest tak mocna jak u Afrykanów, bo wpada nieco w czerwoność, co miedzianym kolorem zowiemy. W najpóźniéj odkrytéj części świata mieszkają ludzie, zielonawy czyli oliwkowy kolor cery mający.

Właściwie jeden tylko człowiek pomiędzy zwierzętami ma zupełnie prostą postawę ciała, i jak już dawniéj poganie wznosili, gdy wszystkie zwierzęta mają głowę pochyloną ku ziemi, człowieka oblicze wzniesione jest ku niebu, jakby w tym celu, ażeby nigdy nie utracał z pamięci téj myśli, że jest źródło najwyższéj Mądrości, z którego i on początek swój odebrał.

Lubo jedni ludzie są wyższego, drudzy niższego wzrostu, różnica ta jednak nie jest bardzo znaczna, a średnia miara człowieka zwykle pięciu stóp dochodzi. Jednakże niektórych krajów mieszkańcy mocno od téj miary odstępują. I tak narody lodowatych, blizko bieguna północnego krajów, są bardzo nizkiego wzrostu, bo ledwie trzech stóp dochodzą; a przeciwnie mieszkańcy południowego brzegu Ameryki, z kraju Patagonów, bywają stopą od nas wyżsi. Tamtych możnaby nazwać karłami, tych olbrzymami.

Niżeli się przekonano, że ogromne żebra i inne kości, które po wielu krajach z gór i skał wykopują, są kościami wielkich

gatunków zwierząt, uważano je powszechnie za kości olbrzymów, czyli niezmiernie wysokich ludzi, którzy całych sosien za laski do podpierania się używali. Podobnie utrzymywano i o karłach; zmyślono całe narody, z niezmiernie małych ludzi złożone (kraśnoludy, Pigmejczyki) i powiadano, że do tych narodów corocznie zlatują się żórawie i z niemi bój staczają. Ale tak dziecinnym powieściom wtenczas tylko wierzono, gdy mało kto był w stanie zatrudnić się dokładném poznawaniem rzeczy.

(Z Tygodnika dla Dzieci.)

3. LEW.

Lew, dla siły i odwagi swojéj, słusznie królem zwierząt mianowanym został. Bywa zwykle maści płowéj; długi jest od 5ciu do 6ciu stóp, wysoki na trzy lub cztery stopy. Głowa jego jest wielka i silna, szeroka paszczęka, uzbrojona czternastą kłami, język okryty kolcami ostrémi. Gęste brwi ocieniają oczy jego żywe i ognia pełne. Długa grzywa zdobi mu szyję: łapy jego są krótkie i potężnéj mocy, pazury długie i zakrzywione. Postępuje zwolna i z godnością, ale kiedy goni zdobycz, bieży z nadzwyczajną szybkością, i robi susy od 12stu do 15stu stóp długie. Kto nie widział tego cudownego zwierzęcia, wystawić sobie nie potrafi jego postawy wspaniałéj i dumy spojrzeń jego.

Siła lwa jest taką, że uderzeniem łapy złamie grzbiet koniowi, a zamachem ogona wywróci człowieka. Porywa jałowicę, jak kot myszkę. Ryk jego rozlega się po lasach, jak grzmot daleki; trwogą i postrachem inne napełnia zwierzęta. Może niektórzy przesadzili opisy odwagi jego, jednak kiedy go głód albo gniéw pobudza, nic go wstrzymać nie zdoła; najeża grzywę, uderza łapą w ziemię, bije sam siebie długim ogonem, i gotów rzucić się na wszystko. Pomimo téj srogości, lew okazuje się częstokroć wspaniałym i wdzięcznym, jak tego liczne są przykłady. Lwica też same przymioty posiada; łatwo ją rozpoznać za pierwszym rzutem oka, bo nie ma grzywy. Okrutna jest i straszna, kiedy małych broni. Lwy żyją do 40stu lat. Afryka jest dziś jedną częścią ziemi, gdzie ich jeszcze jest wiele. W Azyi są, ale w mniejszéj nierównie, niżeli dawniéj, liczbie.

(Z Dzien. dla Dzieci na rok 1830.)

4. WIELORYB.

Zadziwiający swoim ogromem wieloryb, jest największém na kuli ziemskiéj stworzeniem. Żyje w wodzie i podobny jest do ryby, jak samo nazwisko okazuje. Gdy jednak od-

dycha płucami, ma krew ciepłą, a pierwszém jego pożywieniem jest mleko, które ssie z piersi matki swojéj; słusznie policzyć go można do zwierząt ssących.

Ogon wieloryba jest na trzy lub cztery sążnie szeroki, i pomaga do stérowania ogromnéj massy jego ciała; a gdy nim uderzy w powierzchnią wody, szelest ztąd powstający, podobny jest do wystrzału armaty.

Wieloryb, dla ogromu swego, mało ma podobieństwa do zwiérzęcia. Jest to raczéj pływająca wyspa, po któréj jak po ziemi chodzić można. Jego skóra jest najczęściéj czarna; do jéj powierzchni przyczépia się czasem mnóstwo ślimaków, koralów, porostów morskich, które tym więcéj wieloryba do wyspy podobnym czynią. Żyjące istoty, pokrywające skórę jego, mnożą się jak na skale.

Zewnętrzna skórka na wielorybie ma grubość pergaminu, a właściwa skóra jest na palec gruba. Pod nią znajduje się słonina koloru żółtego, kilka stóp grubości mająca, która stanowi największą wartość wieloryba. Z niéj albowiem wysmażają tłustość, nazywaną tranem, któréj w wielkiéj ilości do rzemiosł używają. Z języka wieloryba podobnie kilka beczek tranu wytopić można.

Właściwém siedliskiem wielorybów są morza blizkie bieguna północnego, a mianowicie około Grenlandyi, Spicberga i Nowéj-Zemli; daje się jednak widzieć w południowych okolicach oceanu atlantyckiego i na oceanie spokojnym. Pływa wolno i wspaniale: połową swéj grubości jest zanurzony w wodzie, a połową wzniesiony nad jéj powierzchnią. Oddychając płucami, długo pod wodą zostawać nie może, a lubo często zanurza się w głębi morza, wkrótce jednak wydobywa się znowu na powierzchnią wody. Na ląd nigdy nie wychodzi, a nawet nie byłby tego w stanie uczynić. Głos bardzo rzadko wydaje; konając, kilkakrotnym i przerażającym rykiem zgon swój zapowiada.

Przemysł i żądza zysku, doprowadziła człowieka do nader śmiałego przedsięwzięcia, aby i z tego straszliwego potworu korzyść odnosić. Od 300 przeszło lat wieloryb jest głównym przedmiotem połowu morskiego. Anglicy, Holendrzy, Duńczycy, Szwedzi, wysélają corocznie wielką liczbę okrętów na połów wielorybów. Najlepszy połów jest około Spicberga; zwyczajnie odbywa się w Czerwcu i Lipcu; w przeciągu tych dwóch miesięcy połowiają czasem do 2000 wielorybów.

Do takowego połowu używają ciężkich haków, mających krzywe ostrza, które przebijają skórę wieloryba i o nię

zaczepiają. Takie haki zowią zwykle harpunami. Harpun na jednym swoim brzegu ma mocne ucho, do którego przywięzują długą linę i zkręcają ją na kołowrocie, przy jednym brzegu statku wzniesionym, i łatwo się obracającym. Gdy żeglarze spostrzegą wieloryba, natychmiast na takim statku wysełają kilku odważnych ludzi, którzy z ostrożnością zwierzę podchodzą. Nareszcie ciskają na niego harpun, a ugodzony pociskiem wieloryb, albo się na dno morskie zanurza, albo też szybko po powierzchni morza ucieka, i za sobą statek pociąga. Lina odwijając się z kołowrota, ochrania statek od gwałtownego wstrząśnienia, a ludzie na nim będący pilnie dają baczność na siłę poruszeń wieloryba, a razem i na ilość okręconéj liny. Jeżeli zaś lina się już kończy, a wieloryb jeszcze pokazuje wiele siły, odcinają ją i przywięzują beczkę. Ta unosząc się na powierzchni wody, służy za skazówkę miejsca, w którém się wieloryb znajduje. Baczni rybacy coraz go nowémi pociskami uderzają, a nareszcie osłabiony wieloryb grzbietem na dół się odwraca, co jest dowodem, że już nie żyje. Natenczas więc narzucają mu na ogon mocne liny, ciągną go ku okrętowi i linami do niego przywięzują. Poczém płatają słoninę wielkiémi pasami i do beczek pakują. Nakoniec wydobywają błony rogowe z paszczy jego i odejmują język; resztę zaś mięsa i szkielet zostawiają ptakom i niedźwiedziom morskim na pokarm. Tran wysmażają albo zaraz w wielkich kotłach na okrętach, albo też spieszą ze słoniną do najbliższego portu. Najlepszy tran jest ten, który zaraz na okręcie sam przez się spływa; odznacza się kolorem czystym, bladożółtawym, mało ma nieprzyjemnego zapachu, i może być jak oliwa do jedzenia użyty. Złowione w teraźniejszych czasach wieloryby, rzadko nad 60, lub 70 stóp dłuższemi bywają; dawniéj sto stóp długie, i tyleż w obwodzie mające, nie były jeszcze osobliwością. Jeden wieloryb do 100,000 funtów waży.

(Ziemomysł, pismo peryodyczne dla Dzieci na rok 1830.)

5. WIELBŁĄD.

Ojczyzną wielbłąda są stepy Azyi umiarkowanéj, a ugłaskany mieszka na całym Wschodzie i w Afryce, gdzie wielu narodów jedyne i całkowite bogactwo stanowi. Zwierz ten, krajów umiarkowanych mieszkaniec, zbyt wielkiego ciepła, równie jak zimna, znieść nie może. Próżno usiłowano zaprowadzić wielbłądy do Ameryki, Hiszpanii, Francyi i Niemiec; trzymając je w stajniach ciepłych, karmiąc starannie, dozwalając wolnego wyjścia w najpiękniejsze dni lata, można je utrzymać przy życiu, można nawet rozmnożyć, ale potom-

stwo to będzie słabe, niedołężne, a same coraz bardziéj nędznieją, nakoniec giną. Zamiast więc spodziewanych pożytków, próżnym stają się ciężarem.

Arabowie poczytują wielbłąda za drogi dar nieba, bez którego pomocy ani jeździć, ani handlować, ani żyćby nie mogli. Mleko i mięso wielbłądzie, jest zwyczajnym ich pokarmem: wełna miękka i delikatna daje im wygodne odzienie, a mając wielbłądy, mogą ścigać w jednym dniu o 25 mil nieprzyjaciela lub od niego uciekać: żadne wojsko świata nie zdołałoby ich zgonić.

Wystawmy sobie, powiada Buffon, kraj bez wody i roślin, słońce skwarliwe, niebo zawsze suche i pogodne, równiny piaszczyste, góry nagie i upalone, ziemię prawie martwą, wiatrami szarpaną i miotaną, pustynię zupełnie nagą, gdzie podróżny nigdy w cieniu nie spoczął; samotność daleko okropniejszą, niż samotność lasów, gdzie przynajmniéj drzewa, istoty żywe, człowiekowi towarzyszą; przestrzeń okiem nieprzejrzaną, która mu grobem się staje; przestrzeń niepodobną do przebycia, w któréj upał, pragnienie, głód, trzymają go między śmiercią a rozpaczą! Arab jednak za pomocą wielbłąda, przebywa te okropne przerwy przyrodzenia, i co Europejczyk na morzu okrętem, on w pustyniach wielbłądem dokazuje. Przewozi towary, ściga karawany, najeżdża spokojnych, najodleglejszych mieszkańców; i jak niespodzianie napada, tak prędko, zabrawszy zdobycz, zmyka niedościgniony. W ośmiu dniach 150 mil bez trudności ubiega.

W Turcyi, Persyi, Arabii, Egipcie, Barbaryi i t. d., wszelki handel i przewóz towarów na wielbłądach się odbywa, a gatunek ten przewozów najtańszy jest i najprędszy. Kupcy i podróżni formują karawanę, a ta, jakożkolwiek jest liczna, zawsze z więcéj wielbłądów niż ludzi się składa. Każdy wielbłąd według siły swojéj jest obładowany, ani przyjmuje więcéj nad to, co unieść może. Zwyczajnie wielki wielbłąd niesie 1000—2000 funtów ciężaru; a w tych podróżach nie spiesznym, lecz powolnym postępuje krokiem; codziennie jednak 7 lub 8 mil uchodzi. Wieczorem puszczony na paszę, jeźli miejsce jest po temu, prędko się napasa, a całą noc przeżuwając odpoczywa. Karmi się zaś wszelkiémi ciernistémi roślinami, których żadne inne bydlę nie tyka; piołun, osty, pokrzywy i inne kolczyste krzewy, nad słodkie i soczyste zioła przekłada.

Pragnienie przez kilka dni wytrzyma. Na ten koniec przyrodzenie szczególniéj go usposobiło. Wielbłąd prócz czterech żołądków, wszystkim przeżuwającym zwierzętom wspól-

nych, ma żołądek piąty, jedynie przechowywaniu wody przeznaczony; ten jest tak obszerny, iż znaczną ilość wody trzymać może, a woda ta ani się psuje, ani z innémi pokarmami się mięsza. Wielbłąd upragniony, samém ściśnieniem muszkułów pomyka część wody z tego żołądka do żołądka pierwszego, odwilża pokarmy i gasi pragnienie. Tym więc sposobem raz w siebie nabrawszy wody, długo bez świeżego obchodzi się napoju. Owszem woda tak czysta, bez przymieszki innych wilgoci ciała i soków żołądkowych zostaje, iż upragnieni podróżni, pośród bezwodnych pustyń, w zupełnym niedostatku innych napojów, wielbłądów niekiedy w drodze zabijają, i wyczerpnioną z pomienionego żołądka wodą, pragnienie swe gaszą.

Przyrodzenie wielbłąda łagodne jest i powolne. Na rozkaz przewodnika swego, do wszystkiego się przyzwyczaja. Klęka na kolana, gdy ma być ładowanym: obładowany, podnosi się prosto i bez pomocy; bicia żadnego, ani pędzenia, do przyspieszenia kroku, nie potrzebuje; zmordowany i już prawie ustający, śpiewaniem i wszelką muzyką do postępowania się zachęca. Ztąd przewodnicy bezustannie prawie na przemiany śpiewają lub przygrywają, póki czasu i miejsca wygodnego do spoczynku nie upatrzą; wtedy ciężary zdejmują i jakimkolwiek pokarmem posilają. Samice nie pracują, lecz wolno się pasą dla mleka, którego wiele i wyborne dają, a które jedynym jest prawie pokarmem i napojem wielu azyatyckich i afrykańskich narodów. Żyje 40 lub 50 lat.

(Jundziłł. Prof. Hist. natur. przy Uniwersytecie wileńskim, który wydał Zoologią w Wilnie r. 1806.)

6. OWCA.

„Owca,“ powiada Buffon, „dla słabości swojéj, a wielkiéj liczby czuwających na jéj życie drapieżnych nieprzyjaciół; owca dla wielorakich pożytków, które człowiekowi przynosi, od najdawniejszych czasów musiała się stać domowém zwierzęciem; a w żadnych teraz, najumiarkowańszych nawet krajach, nie znajduje się więcéj w pierwiastkowym dzikości stanie. Owszem zdaje się, że owca od początku stworzenia, przy ludzkiéj tylko trwała i teraz trwa pomocy, a najliczniejsze trzody samym sobie wolnie zostawione, wkrótce wyginąć, gatunek cały zniszczeć, i stać się ofiarą żarłoczności innych zwierząt by musiał.“

„Owca zupełnie jest bezbronna; baran, słaby ma tylko w rogach oręż; odwaga jego jemu niepożyteczna, nikomu nie szkodliwa, od najmniejszych przypadków ubezpieczyć go nie

może. Owce za najmniejszym strachem w kupę się zbiegają, tłoczą się; a od bojaźni téj gorsza jest jeszcze głupowatość, która wtedy najbardziéj widzieć się daje. Nie umieją bowiem ani uciekać przed jawném niebezpieczeństwem, ani znać stanu, w którym się znajdują. Stoją z uporem tam, gdzie strach zaskoczy, i ostatniego trzeba gwałtu, aby się z miejsca ruszyć chciały.“

„Ze wszystkich zwierząt téj klassy, owce najmniéj zdają się mieć instynktu. Mimo wszelką potrzebę pomocy, nie uciekają się do człowieka: a co zdaje się być ostatnim nieczułości stopniem, owca daje odebrać sobie jagnię bez oporu, obrony i gniewu, żalu nawet swojego nie oznaczając inném, jak zwyczajném beczeniem. Bydlę to jednak na pozór tak nikczemne, bardzo drogiém jest dla człowieka zwierzęciem, którego pożyteczność bezpośrednio go dotyka, i najobszerniéj się rozciąga. Owca opatruje wiele pierwszych potrzeb naszych, daje wygodny pokarm i odzienie, nie licząc innych pożytków ze skóry, mleka, łoju, kiszek, gnoju nawet samego. To uważając nieśmiertelny Buffon, sprawiedliwie dodaje: „że przyrodzenie nic własnością owcy nie dało, lecz wszystko, co ma, człowiekowi całkowicie oddawać musi.“

„Owce bezsilne żadnéj prawie pracy wytrzymać nie mogą: bieg dłuższy i droga prędko je morduje, upał równie im nieznośny jak wilgoć; chorób więcéj mają niż inne zwierzęta, a z tych niektóre są zaraźliwe.“

„Pasza owcom najprzyzwoitsza: pagórki suche, mało urodzajne, wonnémi i aromatycznémi roślinami, jak n. p. macierzanką, szałwiją, piołunem pokryte; miejsca nizkie, błotne, łąki tłuste, złą dają dla owiec paszę.“

„Zamknięcie gorące w owczarniach ciasnych, gdzie powietrze należycie odmieniać się nie może, szkodliwém jest dla owiec więzieniem; budowa obszerna, miernie wysłana, często przewietrzana, napój czysty, przechadzka częsta choć pośród śniegów, a szczególnie sól kilkakrotnie na tydzień do lizania dawana, jest jedynym żywiołem, który owce w zdrowiu, dobréj wełnie, w cielę, obfitości mleka i t. d. utrzymuje. Bryła soli przy owczarni leżąca, którą owce często odwiedzać i lizać mogą, jest skuteczniejszą, nad wszystkie drogie z aptek brane lékarstwa.“

„Wełna na owcach rozmaitéj jest delikatności, według różnych krajów, i różnych tychże owiec pokoleń. A w tym względzie dwa są główne w Europie owiec pokolenia, hiszpańskie i angielskie.“ (Z tegoż.)

7. SŁOWIK.

Ojczyzną słowika jest cała Europa i Azya: przyrodzenie zawsze hojne i w darach swych rozmaite, ozdobiwszy bogatémi aż do podziwienia farbami ptaki gorących części świata, talent śpiewania, czyli raczéj zbiór wszystkich talentów, na jednego przelało słowika. Jakoż pienia skowronków, szczygłów, kosów, drozdów, kanarków i t. p., póty tylko są miłe, póki słowik milczy; lecz gdy się ten odezwie, gasną wszystkie, i nie masz nikogo, coby harmonicznych, ciągłych, a prawie zawsze na nowo mieszanych i pełnych najprzyjemniejszych spadów, odmian pieśni, nad głosy wszystkich innych ptaków nie przenosił. Zwyczajny czas śpiewania słowika, jest od początku wiosny, gdy się liście na drzewach rozwijać poczną, aż do letniego przesilenia dnia z nocą: chowany zaś w domu, dziewięć miesięcy prawie ciągle śpiewać nie przestaje. Lecz nie wszystkie słowiki równie pięknie śpiewają; są spostrzeżenia, iż pienia w niektórych okolicach wdzięczniejsze są niż w drugich! drobne te odmiany i różnice od klimatu, pokarmu, i pierwiastkowych wzorów śpiewania, lub innych nam niewiadomych przyczyn, pochodzić mogą.

Z miesiącem Czerwcem, słowik dziki śpiewać przestaje; wdzięczny głos jego zamienia się w chrapliwe kwokanie, tak różne od pierwiastkowych harmonicznych tonów, iż wprawne tylko ucho doskonałych ptaszników, głosem posłowiczym być zeznaje. Słowik u nas jest prawdziwie przelotnym ptakiem; na końcu Kwietnia pojedyńczo przylatuje, a na początku Września podobnież pojedyńczo odlatuje; w czasie tylko gnieżdżenia pary się trzyma. Gniazdo swe kładzie w zaroślach, mianowicie blizko wód, w nizkich a gęsto zarastających krzakach. Samica niesie pospolicie jaj pięć, które troskliwie przez trzy prawie tygodnie wysiaduje; samiec przez cały czas siedzenia samicy usiadłszy blizko gniazda, śpiewa; lecz gdy się pisklęta wylęgną, w nocy tylko zwykł śpiewać, w dzień zaś pokarm dla potomstwa swego wraz z samicą zbiera i przynosi. Karmi się wszelkiémi owadami; jaja mrówcze szczególniéj lubi.

(Z tegóż.)

8. KOŃ. (Opis poetyczny.)

Ze wszystkich zwycięztw, jakie otrzymał człowiek, najszlachetniejsze jest nad tym dumnym i ognistym zwierzem, który z nim dzieli trudy wojny i chwałę w boju. Równie jak jego pan nieustraszony, koń widzi niebezpieczeństwo i na nie się rzuca; przywyka do szczęku broni, lubi go, szuka, i tymże samym, co rycerz, wre zapałem. Dzieli także jego rozrywki

na łowach, na turniejach, na wyścigach, błyska, sypie ogień. Lecz z odwagą łącząc uległość i pojętność, swemu zapałowi unieść się nie pozwala, umie go miarkować: nie tylko się poddaje ręce kierującego, ale stara się niejako wybadywać jego życzenia, i jedynie ich pełnieniem zajęty, na jego skinienie puszcza się, hamuje, albo stawa. Jestto stworzenie, które swego jestestwa się zrzekło, chcąc tylko żyć wolą cudzą; które ją umie zgadywać i uprzedzać; które przez szybkość i dokładność swoich poruszeń, każe się domyślać, że tę wolę rozumie i wykonywa; które czuje, ile życzymy, a działa, ile chcemy; które nakoniec oddając się nam bez granic, od niczego się nie wymawia; łoży na usługę wszystkie siły, wycieńcza je nawet, i aby lepiéj było posłusznem, umiera. (Feliński, zob. niżéj w Poezyi.)

B. OPISY ŻYWE.

1. CZŁOWIEK.

Człowiek jest zbiorem wielkości i nędzy, składem światła i ciemnoty: król przyrodzenia, pan zwierząt, jest razem jak gdyby igraszką poddanych swoich, i często ze wszystkich istót najbardziéj się upośledzonym wydaje. — Świat ten cały i wszystkie cuda jego, dla niego są stworzone; on rzeczy przyrodzone poznał, stósunki ich wynalazł, własności użył. On na wołu jarzmo kładzie, orła w powietrzu zabija, dogania jelenia w kniejach, lwu na puszczy stawia sidła, jeździ na ogromnym słoniu, podbija najmocniejsze zwierzęta, najdziksze ułaskawia. Potwory morskie nie ujdą rąk jego; łowi strasznego wieloryba, wydziera skarby z łona wód i ziemi; czyta na niebie, na grzbiecie morza się unosi, walczy z rozhukanémi falami, i żywiołom rozkazuje. Wszystkie są mu posłuszne. Ziemia według upodobania jego żyzność swoję pomnaża i płody odmienia; woda, powietrze i ogień, słońce i gwiazdy, wszystkie te przedmioty, nie podległe jemu na pozór, muszą mu służyć. Niémi czas mierzy, im każe ruch dawać tym ogromnym machinom, które rozum jego wynalazł, a słabsza siła poruszyć nie może.

Lecz ten człowiek tak możny i dowcipny, rodzi się nagi i słaby, nic nie dostaje od przyszłéj poddanki swojéj; to przyrodzenie, które późniéj tłumaczy, tak mało zrazu pojmuje, że gdyby go matka przez lat kilka nie pielęgnowała, zginąłby z głodu, gorąca lub zimna. Te zwierzęta, którym ma pano-

wać, więcéj nad niego zmyślności mają: ledwie na świat przyjdą, już sobie radę dać mogą, już posiadają wiadomości na całe życie dostateczne; a przyszły ich Pan, kroku bez pomocy uczynić nie może, słowa bez nauki wyrzec nie zdoła, i trzeba tylekroć powtarzanego doświadczenia, żeby uwierzyć, iż w drobném niemowlęciu, w téj słabéj i chwiejącéj się istocie, która nic nie pojmuje, przed muchą obronić się nie umie, król przyrodzenia i pan zwierząt ukryty.

On jest najukochańszém Stworzyciela dziełem: dla niego Bóg świat stworzył, ciało jego własnémi złożył rękoma, do szczęścia, do prawdy, do wieczności go przeznaczył. W oblicze jego wlał dech żywota na obraz i podobieństwo swoje. On jeden ma duszę nieśmiertelną; zna, że żyje; wie komu to życie winien, pragnie żyć na wieki i być szczęśliwym. On jeden słyszy głos sumienia, spełnia dla cnoty najtrudniejsze ofiary, życie dla bliźniego położyć gotów, czuć i kochać umie. On jeden dąży do prawdy, myślą swoją wznieść się do samego Boga może, objąć świat cały, zeszłe i przyszłe wieki. — A na tegoż samego człowieka najsroższe spikają nieszczęścia, jego dusza wszystkie zbrodnie zrodziła, w jego rozumie wszystkie się błędy wylęgły! Cel niejako kary Stworzyciela, od kolebki cierpienia i przykre walki ponosi. Boleść jest pierwszém jego uczuciem, łza pierwszą mową, chęć do złego pierwszą skłonnością. Kiedy zwierzęta łatwo i snadnie wyżywić się mogą, on krwawo pracować lub gorzko się kłopotać o kawałek chleba musi. Żadne zwierzę tylu chorobom nie podlega, żadne nie ma zgryzót i niespokojności, nie drzy na przyszłość, śmierci nie przewiduje. — Dusza jego jest razem do cnót najwyższych i do niepojętych występków zdolna, serce kochać i nienawidzić umie; rozum zna prawdę, a w błędzie ma upodobanie. Do nieśmiertelności przeznaczony, umiera! cóż po nim zostaje? oto garstka nikczemna prochu! Stworzony do wieczności, w doczesnych się troskach zanurza; przeznaczony do nieba, przywiązany jest do ziemi; określony krótkim życia wymiarem, działa, jakby wieczny miał być pobyt jego na tym świecie: złożony na obraz samego Boga, często od zwierząt podlejszym się staje! Może między aniołami czystszych i łagodniejszych uczuć nie ma, może między lwami i tygrysami nikt większych okrucieństw nie widział, jakich się on dopuścić potrafi. (Tańska w dziele: Amelia Matką.)

2. ŚMIERĆ JADWIGI. — AKADEMIA KRAKOWSKA.

Jak piękna zorza, czystym rozjaśniająca ziemię porankiem, cieszy zabierającego się do pracy rólnika, iż plon roz-

łożony na polu, szczęśliwie przecież pod domową strzechę sprowadzi, i z rodziną swoją w słodkim wypoczynku używać będzie; a nagle, nie wiedząc zkąd, gromadzące się wilgotnych wyziewów kłęby, ćmiąc przed jego rozweseloném okiem śliczną zorzę, wnet pochlebne jego osłabiają nadzieje; tak cień niewczesny wiekuistéj nocy, gasząc niespodzianie prawdziwą szczęścia naszego jutrzenkę, ukochaną Królowę Jadwigę, w r. 1399. cały naród polski i naszę szkołę główną, niewysłowionym przeraził smutkiem. Rzućmy tu kwiat wdzięczności! albo raczéj uronimy łzę wdzięczności na święte popioły nieśmiertelnéj Królowéj! któréj duch czysty pozostawszy w nieutuloném sercu Władysława Jagiełły, takim go uczynił dla kraju i oświecenia, jako ona sama była, być jeszcze chciała i być mogła. Przeżywszy bowiem Władysław żal nieporównany, jaki siła najczulszéj miłości nakazywała jego sercu, chciał jeszcze ostatni jéj dowód dać swéj nieodżałowanéj małżonce, przyprowadzeniem do skutku wszystkich chwalebnych jéj zamiarów; i prawie rocznicę jéj zejścia przedsięwziął uwiecznić dopełnieniem dawniéj z nią ułożonego, a ostatnią jéj wolą zaleconego dla téj powszechnéj szkoły dobrodziejstwa. W roku więc 1400, w miesiącu Lipcu, z niewymowną prawie okazałością, otoczony Senatem, wysokiém Duchowieństwem, wielkimi Urzędnikami, Dworem i Rycerstwem, sam Król osobą swoją, do przygotowanego domu, akademią z dawniejszego siedliska *) przeprowadził; gdzie podanym z Tronu Rektorowi przywilejem, potwierdzając poprzednika swego Kazimierza dzieło, nowe prawa, swobody i wolności stanowi nauczycielskiemu, i wszystkim uczącym się pod zwierzchnością akademii, najuroczyściéj nadał, szczodrémi i lepiéj zapewnionémi dochodami katedry uposażył; a wyznaczając opiekunem onych na zawsze krakowskiego Biskupa, jemu straż i bezpieczeństwo praw i udzielonych przez siebie funduszów przezornie powierzył. Nakoniec sam za siebie i następców swoich publiczne przed Rektorem uczyniwszy zaręczenie, zachowywania świątobliwie nadanych przywilejów, w metrykę ze wszystkimi przytomnymi Senatorami najpiérwszy się z Królów zapisał. — Od owéj zaraz chwili zaczęły się dnie długiéj pomyślności, pożyteczności, szacunku i sławy téj Jagiellońskiéj powszechnéj królestwa szkoły.

(Z dzieła: O Stanie Akademii krakowskiéj przez Sołtykowicza, téjże Akademii Professora; w Krakowie 1810.)

*) Kazimierz W. wybudował mniéj dogodnie gmachy akademiczne pod Krakowem, we wsi Bawoł.

3. ŚWIĄTYNIA SYBILLI W PUŁAWACH.

Spieniona Wisła przerzyna bogate posady, roztrąca w swym biegu piaszczyste góry, ścieląc sobie łoże; a oblewając brzegi Puław, przybywa witać ten zabytek sławy pomników wielkich Mężów Polski! Otworzywszy ozdobną kratę żelazną, postępuje się po wspaniałych wschodach ku drzwiom świątyni.*) Budowa cała jest okrągła, wewnątrz szafami przyozdobiona, nie mająca okien; gdyż światło pada przez szkło jednostajne, umieszczone w górze sklepienia: jestto dar wspaniałomyślnego Alexandra.

Naprzeciwko wejścia, w środku na marmurowéj podstawie, ozdobna i nader kosztowna szkatułka hebanowa, spoczywa na lwich nogach, niosąc na wierzchu imię właścicielki, wysadzane brylantami na kamieniu lapis lazuli; **) zawierająca pierścienie, łańcuchy i inne starożytności zabytki, używane niegdyś przez Królów polskich, których szukać po grobach krakowskich wyrobiła sobie pozwolenie Księżna Czartoryska.

Nad tą szkatułką firanki z axamitu ponsowego ze złotémi frandzlami, na pozłacanéj strzale zarzucone, tworzą niszę, w któréj środku zawieszona tarcza, pałasz Jana Sobieskiego, i jeden z tych mieczy, które Jungingen, Mistrz krzyżacki, przed pamiętną bitwą pod Grünwaldem, przesłał był Władysławowi Jagielle. ***) Po prawéj stronie stoją laski marszałkowskie, aż do ostatniéj, piastowanéj przez Małachowskiego; po lewéj zaś halabardy i inne wojenne narzędzia, w Gdańsku wynalezione.

Zwracając oczy daléj, stoją na szafach: urna z białego marmuru, poświęcona pamiątce Ignacego Potockiego; popioły Jana Kochanowskiego, które lira z jednéj gałęzi koralowéj, na złotym łańcuszku zawieszona, ozdabia; daléj słup marmurowy, przeznaczony sławnemu naszemu rodakowi, Kopernikowi, z krótkim lecz cały system obejmującym napisem: „Sol sta“ (stój słońce). Ręka Czarnieckiego, co niegdyś dzielnie gromiła Szwedy; szczątki Zamojskiego, zwycięzcy pod Byczyną, i zawsze mężnego, lecz na polach Cecory nieszczęśliwego Żółkiewskiego. Naokoło zaś stroją ściany porozwieszane zbroje, tarcze, strzały, sajdaki Radziwiłłów, Sieniawskich, Lubomirskich, które ze skarbców tych bogatych w sławę rycerską

---

*) Wystawionéj na wzór świątyni Sybilli w Tivoli, w ogrodzie puławskim, przez Księżnę Izabellę Czartoryską. Znapisem: Przeszłość Przyszłości. Zob. poema: Sybilla przez Woronicza.

) Kamień ciemno-błękitny. *) Zob. strona 39.

domów przeszły do Puław. Szafy zaś zawierają rozmaite pałasze: Władysława Łokietka, Zygmuntów, i innych Królów polskich, tudzież Wielkich Hetmanów rzędy i dywdyki *) na konie, strzemiona pokonanych w rozlicznych bojach Baszów ottomańskich, a szczególniéj Kara Mustafy, Wielkiego Wezyra, przez Jana Sobieskiego zwyciężonego pod Wiedniem. Daléj jest koralowa kropielnica, własność niegdyś Kardynała Hozyusza; księgi od nabożeństwa; różne naczynia od Królów lub wielkich używane mężów; nakoniec listy naszych Królów, pomnożone przywiezionemi niedawno z Francyi listami Króla filozofa, Stanisława Leszczyńskiego. (Z Almanachu lubelskiego.)

4. PASTERZ ALPEJSKI.

Jednego dnia burza nas zachwyciła wśród góry, na wierzchołku któréj postrzegliśmy chatkę otoczoną drzewami. W nadziei schronienia przeciw nadchodzącéj chmurze, chcieliśmy się tam dostać; — ledwo połowę drogi przebyliśmy, pełzając po skałach, gdy człowiek, podobny swym ubiorem do mieszkańca Kanady, wyskoczył ku nam, i zaprowadził do tego górnego przybytku. Była to raczéj buda, niżeli chatka, zamieszkana przez alpejskiego pasterza. Ciało czerstwe, postać dorodna, twarz rumiana i wesoła, malowały nam w nim szczęśliwego człowieka. Te korzyści były dla niego; ale co w nim znaleźliśmy zyskownego dla nas, była to jego uprzejmość i sposób ujmujący, choć prosty. Pozdrowiwszy nas mile, ukazał nam ławkę, wyniósł chleb i mleko, które jego małżonka, świeża jak róża, tylko co przyniosła od kozy. „Przyjmuję was,“ rzecze, „tém, co mam; i przyjmuję sercem najszczerszém. My pasterze nie znamy podróży, ale lubimy oddawać posługę podróżnym. Powracam właśnie z poblizkiéj wsi, gdzie zaprowadziłem jednego z waszych; takiż bowiem miał ubiór, i tak jak wy zarywał, mówiąc językiem naszym. Nie wiem, zkąd był rodem; bo my pasterze, widząc potrzebującego pomocy, nie pytamy się, z jakiego jest kraju. Pomnę tylko z tego, co mi powiedział, że był w wojsku francuzkiém, ale nie był Francuzem; i że do jego ojczyzny sześć razy daléj ztąd, jak do Rzymu. Zabłąkawszy się pomiędzy górami, postrzegł mnie pasącego trzodę, i prosił o pokazanie drogi do Chambery. Widząc go być strudzonym, zaprowadziłem do siebie, i dawszy mu nieco posiłku, którego zdawał się potrzebować, wywiódłem go prostémi ścieżkami do wsi poblizkiéj, na wielki gościniec.“ — Nie wymienił wam czasem nazwiska

*) Pokrycie bogate na konia.

swojéj ojczyzny? przerwiemy pasterzowi. — „Tak jest,“ odpowie, „mianował mi ją pokilkakroć, ale jak wam powiedziałem, że nazwiska krajów mało nas obchodzą, nie zatrzymałem go w pamięci.“ Potém zamyśliwszy się nieco, i kładąc rękę na czole, jakby dla przypomnienia czego: „Ach! może,“ rzecze, zaspokoję ciekawość waszę! widziałem, jak przed chatką wsparty na kamieniu, rył jakieś na nim słowa, skrapiając je łzami. Smutek jego przeniknął mnie tém bardziéj, że to były pierwsze łzy, com w téj widział ustroni.“ — Idziemy oglądać kamień, i znajdujemy na nim dwa wiersze z Eneidy, w języku Marona, których zbyt słabe w języku naszym łączę naśladowanie:

Nie ma takiéj krainy, nie ma prawie ludu,
Gdzieby ślady nie doszły klęsk naszych i trudu. *)

Po tych wyrazach poznaliśmy nieszczęśliwego ojczyznę i ledwo sami wstrzymaliśmy się od płaczu, ażeby nie pomnażać smutnych pamiątek w życiu szczęśliwego pasterza. „Sposób,“ mówił on daléj, „jakim dziękował mi za przyjęcie, dał mi poznać dobre jego serce; można je bowiem okazać, nawet odbierając posługę. Piękna to jest rzecz ta wdzięczność!“

Śniadanie, co nam hoża sporządziła Dorota (było to imię żony pasterza) i które głód przysmaczył, zdało się nam wyborniejsze nad wszystkie włoskie łakocie. Patrząc na pomyślność dwojga tych ludzi: nieszczęście, rzekłem, od nas pochodzi, bo szczęście naszém jest dziełem. Wszystko, co otaczało tego dobrego człowieka, służyło do jego szczęśliwości. Chatka była składem jego bogactwa, i schronią w przykréj porze czasu: góry, czyste wyrzucały zdroje; trzody, dostarczały mu odzienia i zdrowego pokarmu; nakoniec posiadał ulubiony przedmiot, od którego był równie kochanym:

Luba chatko! ty stawiasz w mych oczach wiek złoty,
Gdzie człowiek żył na łonie niewinnéj prostoty;
Był szczęśliwym, a jasnéj życia jego przędzy
Nie zasępiały pasma i zgryzót i nędzy;
Gdzie ludzkość była długiem, co się płacił wzajem;
Własne uczucie prawem, a cnota zwyczajem.
Wszyscy tam jednym rodem, jednym byli stanem:
Żądze niewolnikami, a rozum ich panem....

(Godebski — zob. rozdz. ostatni.)

*) . . . . Quis jam locus. . . . .
Quae regio in territ, nostri non plena laboris.

5. PODWIECZOREK.

Powróciwszy z przechadzki, usiedliśmy w cieniu lip na podwórzu, gdzie według zwyczaju około szóstéj zgromadzała się cała familia. Przyniesiono mleko, jedliśmy wszyscy społem. Gdyśmy się dostatecznie ochłodzili, resztę mleka rozdano dzieciom chłopskim, które nas otaczały. Wdzięk wieku tego, niewinność ich zabaw i igraszek, bawiły mnie, a to dziwiło, iż w podziele danego im mleka, nie pokazywały zbytecznego łakomstwa i porywczości; ale obrawszy z pomiędzy siebie jednego, każdy w przystawkę [1]) brał, co mu tamten na porcyą naznaczył: ów zaś kontent z dystynkcyi, poważną postać na siebie przywdział, i bojąc się może, żeby go ta dystynkcya [2]) za drugim razem nie chybiła, tak dobrze drugich dzieli, iż mu się samemu nic nie dostało. Postrzegła to Pani Podstolina, i pochwaliwszy wstrzemięźliwość, w nagrodę kazała mu świeżego mleka przynieść, i dała garść orzechów. Zatém nastąpiły między niémi gry różne, któremi nas zabawiały dość długo. Rozeszli się inni, myśmy się zostali pod lipami; a gdym zadziwienie moje ze wstrzemięźliwości tych dzieci wyraził Panu Podstolemu, odpowiedział, iż to jest skutkiem dobréj edukacyi.

Każdemu stanowi, rzekł daléj, wychowanie dobre potrzebne; do różnicy zaś kondycyi [3]) stósować się powinno. Wszystkie chłopów moich dzieci do szkoły parafijalnéj chodzą: tam uczą się czytać, pisać, rachować. Przychodzi tam niekiedy i sam Xiądz Pleban, i oprócz tego, co na kazaniu lub katechizmie nauczyć się mogą, opowiada im reguły obyczajności, obowiązki stanów, do ich wieku i pojęcia akkomodowane. [4]) Czynią niekiedy tak przed nim, jako i przed nami, popisy swoje. Ci, którzy najwięcéj z nauk korzystali, odbierają w przytomności rodziców swoich pochwały i nagrody. Przychodzą do dworu, i wrota dla nich nie są zamknięte, a to dla tego najbardziéj, żeby się grubijaństwa odzwyczaiły, traciły wstręt do Panów, i bojaźń przestawania z ludźmi wyższego stanu. Słyszą niekiedy rozmowy nasze: wszystko to nieznacznie wpaja się w umysły młode, i niepodobna, żeby z czasem nie miały jakiegożkolwiek pożytku odnieść. Powróciwszy do domów, powiadają rodzicom, co widziały, co słyszały: tym sposobem pamięć się ich poleruje, rodzice z takowych powieści nabywają pomału wiadomości różnych rzeczy; a widząc łaskawe Państwa z dziećmi postępowanie, łączą z uszanowaniem wdzięczność, i stają się ich przyjaciółmi.

(Z Pana Podstolego przez Krasickiego.)

1) Talerz. 2) Godność. 3) Stanu. 4) Zastósowane.

6. WIENIEC.

Widząc nadzwyczajne w domu przygotowania, pytałem się Pana Podstolego, czyli się znacznych jakich gości u siebie spodziewa? — Najznaczniejszych, odpowiedział; dziś zakończywszy żniwo, gromada z wieńcem do mnie przyjdzie; na ich więc przyjęcie wszystko teraz czeladź gotuje. Około zachodu słońca usłyszeliśmy śpiewania żeńców; wyszli na ganek gospodarstwo, oddano im wieniec z kłosów, a jeden z gromady, poważny starzec, uczynił do Państwa rzecz, prostémi prawda słowy, ale znać było, iż odzywało się serce przez usta jego. Odpowiedział wszystkim ogólnie Pan Podstoli: wielbił najprzód Opatrzność Pana Boga, która pracującym dodaje żywności, dziękował poddaństwu za wierną pracę, wsparcie ojcowskie w każdéj okoliczności przyobiecał; a na znak zawdzięczenia, wezwał do użycia zabawki, którą dla nich przygotował. Zaczęła więc młodzież tańce, przeplatywała je rozmaitemi pieśniami. Te w kompozycyi swojéj nie można mówić, żeby były wyborne; ztémwszystkiém w wdzięcznéj prostocie swojéj oznaczały niewinność wiejskiego życia.

Zastawiono na podwórzu stoły: nim do nich wszyscy zasiedli, Xiądz Pleban w pośrodku stanął, i uczynił do wszystkich rzecz, jak darów bożych z wdzięcznością i przystojném weselem używać należy, pobłogosławił jadło; zaczém siadł Pan Podstoli do osobnego stołu z samymi gospodarzami, gospodynie z Panią Podstoliną, z Pannami Podstolankami dziewki, z Panami Podstolicami parobcy, i trwała dosyć długo w noc uczta i zabawa wesoła.

Gdy się wszyscy rozeszli do domów, a myśmy się jeszcze z Panem Podstolim zostali na podwórzu, rzekłem: iż zdawało mi się, że się wróciły owe czasy Rzymian, gdzie w uroczystość Saturnową, na pamiątkę złotego wieku, zasiadali na wspólnéj uczcie Panowie ze sługami. Swiątobliwe wielce było to Rzymian ustanowienie, rzekł Pan Podstoli, wiodło bowiem do ludzkiego obejścia się z poddanymi. Zwyczaj ten u mnie od czasów dawnych wniesiony, na wzór przodków, zachowuję, i dzieciom zalecam, żeby go dotrzymywali.

Nie upodla dobrego Pana łaskawe z poddaństwem przestawanie. Najsławniejszego z monarchów naszych, Kazimierza, tego, którego po śmierci mianowano Wielkim, za życia zwano Królem chłopskim; a to z téj przyczyny, iż lud swój kochał, i bez względu na stan, każdemu był przystępnym. Zbogaciła jego dobroć Polskę; uczyniła w życiu szczęśliwym, po śmierci sławnym. (Z tegoż.)

Lud wieski nie zasługuje wcale na pogardę i poniżenie:

Rycerz to nie wielki,
Ojczyznie ubliża,
Który nad stan wszelki
Rólnika poniża.

Z wołkiem on w pokoju
Uprawia nam błonie,
Na koniku w boju
Pospiesza w obronie.

Jego to ciężarem
Pan skarby dziedziczy,
Na to on pod skwarem
Ziarnkami dań liczy.

W pomoc kraju bieżał
Za Pańskimi syny;
Wszędzie on należał,
Prócz zysku i winy.

(Brodziński.)

7. TRZPIOT.

Nie do twarzy młodemu, gdy udaje sensata; ale gdy obok naturalnéj wesołości, zaleca młodego skromność i szacunek dla starszych, bardzo mu z tém pięknie. Zdaje mi się atoli, że młodzież dzisiejsza, lubo nie wszystka, mało dba, iżby ją z tych miar chwalono. Zarozumiałość, mędrkowatość, junakierya, zastąpiły, po wielkiéj części, pożądany przymiot skromności, który jest niezawodną oznaką dobrego wychowania i niewinności. Niech mi wolno będzie mały tego przytoczyć przykład:

W zeszłym tygodniu Państwo Intonowiczowie zamówili moję bytność na wieczór: ponieważ to są ludzie otwarci i prości, a z takimi żyć lubię, poszedłem więc do nich z chęcią i dobrym humorem. O rozmowę nie trudno, gdy każdy mówi, co myśli, a myśli porządnie. Nasza toczyła się dosyć przyjemnie: młodzież tymczasem grała w lisa, Pan Guwerner patrzył zdaleka. Jedną razą daje się słyszeć tentent po wschodach; ktoś biegnie... wbiegł, i roztworzywszy drzwi na sążeń szeroko.... „Jak się Państwo Dobrodziejstwo mają?“ głośno zakrzyczał, porwał gospodyni rękę i podniósł ją wysoko do ust swoich; gospodarza pocałował na powietrzu, Pannom się ukłonił elegancko, Pana Guwernera klapnął po ramieniu, na mnie się spojrzał i uśmiechnął. Wdał się potém do gry: tam skakał, chichotał się, roztrącał, wreszcie Pannie Anieli rozdarł sukienkę, a wcale nie zważając na tę niegrzeczność, powiedział jakąś bufonadę,*) w któréj nie było sensu, i zbliżył się ku nam. Jak wróbel, gdy wpadnie do sieci, tak trzepotał językiem; dopiero o maszkaradzie, już o pojedynku, o Lipińskim **), o mrozie, o Grekach, i już nie pomnę o czém. Spojrzeliśmy po sobie z Państwem Intonowiczami, a jam sobie pomyślał: o młody trzpiocie, któż cię tak nędznie wychował? —

(Z Pustelnika z Krakowskiego Przedmieścia przez Witowskiego. Tomów 4. Warsz. 1829.)

*) Błazeństwo. **) Sławnym skrzypku polskim.

8. NATURA I PRZEMYSŁ.

Jak piękną jest natura! jak za starannością człowieka ślicznie i wspaniale przybrana! on sam staje się jéj najpierwszą ozdobą, on jest najwspanialszém dziełem; on swoją sztuką wyjawia to wszystko, co natura zaniedbana kryła w łonie swojém. Jak wiele skarbów było utajonych, jak wiele bogactw dobytych! kwiaty, owoce, nasiona wydoskonalone i rozkrzewione nieskończenie; zwierząt pożyteczne gatunki sprowadzone, powiększone i rozmnożone niezmiernie; gatunki szkodliwe wygubione, zmniejszone i wypędzone zupełnie; złoto i żelazo od złota nierównie potrzebniejsze, z wnętrzności ziemi wykopane; wód potoki wstrzymane, spław rzek ułatwiony, brzegi nad ich koryta wywyższone i wzmocnione; morze samo już poznane, zwiedzone i dokoła objechane, ziemia wszędzie dostępna, wszędzie zaludniona i wszędzie obfita: w bogatéj dolinie ciągną się roskoszne łąki, po rozległych błoniach szérzą się żyzne pastwiska, lub milszy jeszcze widok sprawia bogate żniwo; pagórki okryte winnicą i owocami; ich wierzchołki uwieńczone pożytecznémi drzewy lub młodocianym laskiem; pustynie zamieniły się w miasta bogate, najliczniejszym ludem zasiadłe, który zawsze czynny, z nich, jakoby z powszechnego środka, rozchodzi się w pograniczne okolice; drogi otwarte, wolne i ugęszczane; wszędzie przeprawy ułatwione, stają się świadkiem siły i jedności społeczeństwa: tysiące innych dowodów mocy i sławy okazują dosyć jasno, że człowiek, pan ziemi, odmienił, odnowił jéj wierzch zupełnie, i że od wszystkich czasów z naturą pracuje wspólnie. Przecież on nie panuje tylko pod hasłem zwycięztwa; więcéj używa niżeli posiada, a nic nie dochowuje, tylko przy codziennem ponawianiu swojéj staranności. Niech się bynajmniéj opuści, natychmiast wszystko schnie, wszystko się psuje, i wszystko powraca do rąk natury. Ta obejmuje swoję władzę, psuje pracę człowieka, zasypuje popiołem i okrywa mchem jego najwspanialsze dzieła; z czasem rozwala je zupełnie, i smutne tylko z nich zostawia ruiny, któreby mu tę żałosną powtarzały pamiątkę, że utracił to swojém niedbalstwem, co jego ojcowie posiedli pracą. Tych czasów, w których człowiek utraca swoje prawo; tych okrutnych wieków, w których wszystko ginie; zawsze poprzednikiem bywa wojna, a towarzyszem głód i mór. Człowiek, który nie staje się dzielnym, tylko przez liczność; który nie jest mocnym, tylko przez społeczność; który szczęśliwym być nie może, tylko przez pokój; zapamiętały na swoje nieszczęście, uzbraja rękę, a na własną zgubę stawa na placu zabójstwa: uwiedziony brzydkiém łakomstwem,

zaślepiony jeszcze brzydszą dumą, wyrzeka się uczucia ludzkości; obraca cały gwałt na siebie samego; usiłuje sam się zniszczyć, i w istocie sam się niszczy: dopiero po tych okropnych dniach krwi rozlewu i wściekłéj ludorzezi, gdy zniknie dym czczéj chwały, smutny obumarłém okiem spogląda na spustoszoną ziemię; widzi z żalem rzemiosła zagubione, lud rozproszony, narody osłabione, własne szczęście utracone, i istotną swoję moc zniszczoną. „Wielki Boże! którego sama przytomność zachowuje naturę, i utrzymuje porządek świata; ty, który z niewzruszonego tronu widzisz pod twojémi nogami krążące kule niebieskie bez zawady i bez pomieszania; który na łonie spokojności odnawiasz co moment ich biegu niezmierną szybkość, i sam rozrządzasz w pokoju głębokim światów i niebios liczbę nieskończoną; przywróć nakoniec pokój zakłóconéj ziemi! niech zachowa milczenie! niech przed tobą uciszą się dumne głosy niezgody i wojny! Boże dobroci, Stwórco wszystkich rzeczy! twoje ojcowskie oko równie spogląda na wszystkie stworzenia; ale człowiek jest istnością twojego wyboru; ty natchnąłeś jego duszę promieniem twego nieśmiertelnego światła; kończ dobrodziejstwo; przeszyj jego serce przynajmniéj jednym promykiem twojéj miłości: to boskie uczucie szérząc się, pogodzi nieprzyjazne natury; już odtąd człowiek nie będzie się lękał obecności człowieka; już odtąd zbójeckie żelazo nie uzbroi jego ręki; wszystko chłonący ogień wojny przestanie wysuszać źródło rodzaju; naród ludzki, teraz osłabiony, niedołężny, w samym swoim kwiecie wyżęty, zakwitnie na nowo, i rozmnoży się bez liczby; natura pod ciężarem tylu nieszczęść zemdlona, odbierze wkrótce z swojém nowém życiem dawną obfitość; a my, Boże miłosierdzia, my dopomagać jéj nie zaniedbamy; my ją doskonalić, my bezustannie na nie zapatrywać się będziemy, abyśmy w każdy moment odnosili ci nowy hołd naszego zadziwienia i naszéj wdzięczności. (Z Epoki natury p. Staszica.*)

*) X. Staszic, po Stanisławie Potockim, Minister Oświecenia i Prezes Towarzystwa Przyjaciół nauk, autor wielu dzieł uczonych, jako to: Epoki natury z fran. Buffona — o Ziemiorodztwie gór karpatskich — Numa Pompiliusz z Floriana — Religia Racina — Iliada Homera, wierszem miarowym — Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego — Przestrogi dla Polski — O statystyce Polski. — Był to mąż, który gorliwością swoją i czynną pomocą, do rozkrzewienia przemysłu i wzrostu nauk dzielnie się przyczyniał. Przy nader oszczędném życiu zebrał znaczny majątek: ten i za życia na chwalebne dobroczynności cele, i po śmierci († 20. Stycznia 1826 r.) cały na ulgę cierpiącéj ludzkości przeznaczył; mianowicie 200,000 zł. pol. na szpital Dzieciątka Jezus, nadto resztę na pomnik Kopernika, na Instytut głucho-niemych i t. d. Całą zaś majętność Hrubiszewską wiecznémi czasy

C. OPISY KRAJÓW, NARODÓW I T. D.

1. ARABIA.

Arabia, znana w najdawniejszych dziejach świata pod nazwiskiem kraju wschodniego, jest częścią Azyi zachodniéj: dzieli się zwykle na Arabią pustą, skalistą i szczęśliwą. Najznakomitszémi miastami Arabii są: Mekka, czyli święte miasto Mahometanów, i Medyna, miasto Proroka, blizko 60 mil od Mekki odległe. Mekka jest miejscem urodzenia Mahometa: w niéj znajduje się świątynia Kaaba, miana za jednę z najdawniejszych, poświęconych najwyższemu Jestestwu. Do téj świątyni przybywają od niepamiętnych czasów pielgrzymi pobożni; miała być wystawioną przez Abrahama. Kaaba jestto mały czworokątny, kamienny budynek, bez okien, stojący w środku tego miejsca, gdzie się znajduje główny meczet; które to miejsce otoczone jest sklepieniem *) na kolumnach opartém i budowlami z minaretami. Drzwi świątyni tak są wysoko wzniesione, że trzeba do nich po drabinie wstępować; pomiędzy żelaznémi słupami, otaczającémi Kaabę, równie jak sklepieniem na kolumnach, wisi na łańcuchach wielkie mnóstwo złotych i srebnych lamp i świeczników. Największą osobliwością w Kaabie, jest kamień, który, według powieści Mahometanów, Aniół Gabryel z nieba przyniósł; ten kamień, dawniéj biały, grzechy ludzkie zczerniły, jak oni mówią. Każdy pielgrzym stara się przybliżyć do niego, aby go pocałować, albo przynajmniéj dotknąć. Nad całą świątynią rozciągnięta jest sztuka czarnéj jedwabnéj materyi, na któréj złotem wielkiemi literami wyszyte są zdania Koranu. Sułtan przysèła corok nowe pokrycie. Rynna świątyni jest ze szczerego złota. W blizkości Kaaby widać budynek, w którym znajduje się źródło święte, zwane Zemzem.

Miasto Medyna, sławne jest z tego, że było miejscem schronienia Mahometa, prześladowanego od nieprzyjaciół; że w niém umarł i został pochowany: grób jego odwiedzają także pielgrzymy, jednak nie z powinności, jak Mekkę, w któréj każdy Mahometanin przynajmniéj raz w życiu być musi. Ten grób znajduje się w wielkim meczecie, bez żadnych prawie ozdób. W części wyższéj meczetu miały się znajdować wiel-

włościanom darował, uwolniwszy ich od wszelkiéj powinności. Rodem był z Piły w W. Księstwie Pozn.

*) To sklepienie na kolumnach może pomieścić 35,000 zebranego ludu — minarety są to cienkie wieżyczki.

kie skarby, które zabrali Wehabici w r. 1803, zniszczywszy wiele pomników i osobliwości Mekki; Kaaba jednak była dosyć szanowana, bo tylko z niéj zdjęto pokrycie. Do miast świętych, Mekki i Medyny, zabroniony jest przystęp Chrześcianom i Żydom.*) W téj saméj części Arabii skalistéj znajduje się pustynia i góra Synai, na któréj mieszkają Arabowie Beduini, poczęści w jaskiniach, trudniąc się rozbojem. Góra Synai ma dwa wierzchołki; pod wyższą jéj częścią stoi klasztór Stéj Katarzyny, czyli klasztór góry Synai, greckiego obrządku; drugi wierzchołek téj góry nazywa się Horeb.

(Z Dziennika dla Dzieci na rok 1830.)

2. WOŁOSZCZYZNA.

Wołoszczyzna była niegdyś częścią Dacyi, siedliskiem Gotów, Rzymskiego państwa ku północy granicą: widać dotąd ostatki mostu, przez Trajana ku obronie państwa na Dunaju postawionego. Wszędzie tam znajdziesz język i dawne narodu wołoskiego osady. Od południa krainy ogromny Dunaj toczy swe nurty, od północy dzieli Dniestr, na wschód słońca morze Czarne oblewa, łańcuch gór nieprzerwanych od zachodu zamyka, i zniżając się w pochyłość, otwiera Siedmiogrodzką ziemię. Wołoszczyzna na dwie dzieli się części; ta, co ku Polsce zmierza, Multan nosi nazwisko, i od Dniestru aż do Fokszan ciągnie się; ztamtąd do Dunaju Wołoszczyzna właściwa. Dniestr, Prut i Seret, przedniejsze są rzeki w Multanach; Bystrzyca, Boza, Telużyn, Olitos, wytryskują w siedmiogrodzkich górach, i skrapiając Wołoszczyznę, wody swe łączą z Dunajem. Obydwie krainy oddzielnych mają Hospodarów. Jassy, Chocim, Soroka, Łapuszna, Orchel, Bender, Izmaiłów, za przedniejsze miasta z strony Multan liczą się: na Wołoszczyznie Bukareszt, Brahiłów, Dziurdżewo, Krajowa; wszystkie te grody zamożne niegdyś, dziś w gruzach zwalone na ziemię; wszędzie tam niezmierne wznoszą się mogiły, smutne krwawych wojen i zapalczywości ludzkich świadectwa.

W obydwóch niebo łagodne i jasne, ziemia żyzna we wszystkie płody; niezmierne błonia przerywają tu i ówdzie gaje wesołe: w cieniu ich, po bujnych paszach, błąkają się trzód tysiące; obciążone sady najprzedniejszym owocem, pagórki winem; w pasiekach, po drzewach nawet, ule wybornego miodu, lasy pełne zwierza i ptastw rozlicznych, we wnętrznościach nawet ziemi kruszce złota i srebra. Lud dosyć

*) Zmarły niedawno Burkard, był w Mekce i Medynie, ale jako pielgrzym Arabski, zapewnia on, że w Medynie nic nie wiedzą o tém, jakoby trumna Proroka miała wisieć między niebem i ziemią.

bitny i bystry w dowcipie. Oswobódź go z jarzma Turków, chciwości Hospodarów; oddal wojny, daj swobody, rząd stały, zaprowadź oświatę, a lud ten na ziemi najobfitszéj osiadły, zrówna się z innémi.

(Z Panowania Zygmunta III. przez Niemcewicza.)

3. CAROGRÓD.

Leży Carogród w tak roskoszném położeniu, jakiém podobném ani Europa, ani Azya pochlubić się nie może. Czyste przedziela go morze: wszędy rozwijają się żyzne niwy lub bujne smugi, napełnione mnóstwem kwiatów lub krzewów pachnących; liczne żywych wód strugi, snując pomiędzy niémi srebrne swe pasma, orzeźwiają je i chłodzą. Ku morzu wzbijają się w powietrze między gmachami oddzielnie lub rzędem sadzone cyprysy. Morze na trzy części dzieli ten gród potężny, kształt jego trójgraniasty, bardziéj długi niż szeroki; jak Rzym, siedem wzgórków zawiera w sobie: piérwszy przy Seraju, drugi na drodze ku Adryanopolowi, między trzecim a czwartym widać wodociąg postawiony od Adryana Cesarza, powiększony przez Solimana II. Trwa dotąd stary zamek, na trzech postawiony wzgórkach tak sztucznie, iż słowa wjednéj powiedziane wieży, we wszystkich innych słyszeć się dają. Tu Osman, strącony z tronu, życie utracił. Znajdziesz jeszcze w tym grodzie nie mało starożytności zabytków; hippodrom i inne szczątki, co uszły przed barbarzyńców zniszczeniem; między témi trzy ogromne marmurowe węże; te splatając się w kłęby, wznoszą się na wysokość dwóch ludzi. Znajdziesz także kolumnę Arkadyusza z kamieni bez wapna spojoną, ze schodami we środku, przez które na szczyt wnijść można; wystawioną ona była na pamiątkę zwycięztwa nad Gotami odniesionego. Mury, otaczające miasto, zacieleniają ciemne cyprysy; trzy bramy prowadzą do nich.

(Z Pamiętników o Polsce przez Niemcewicza.)

4. KIJÓW.

W czasach wiekami oddalonych, handlujący na Czarném morzu Grecy, piérwszymi byli założycielami Kijowa; osiedli późniéj Słowianie, wolnémi prawy lub Xiążęty z rodu swego rządzeni.

Dla bogactw, handlu, ludności i przepychu, niektórzy z dziejopisów, Kijów z Carogrodem równali. Piérwszy, Bolesław Chrobry, zagarnął Kijów pod berło polskie. Miasto położone między dwiema potężnémi rzekami: przez rzekę Dzieszną sięgało wnętrznych krain moskiewskich, Dnieprem

morza Czarnego i Azyi. Tak obszerny handel, pogodne i umiarkowane niebo, żyzna ziemia w płody rólnicze i najwyborniejsze owoce, łagodność rządu, blizkość Carogrodu, stolicy państwa i handlu wschodniego, łatwo Kijów uczynić mogły tak zamożnym, jakim go wystawiają dziejopisowie dawni; łatwo uwierzym téj wielkiéj liczbie świątyń pańskich, lśniących się złocistémi wieżami; téj złotéj bramie, tym gmachom, tym warownym basztom, temu nakoniec mnóstwu przemyślnego ludu, który napełniał cały obszerny obwód tak zamożnego grodu. Dawną wielkość i świetność świadczą dzisiejsze zwaliska, wysokie naokoło wały, potężna brama, z ostatkiem dawnéj jeszcze pozłoty, tak wyniosła, że najszparciéj wypuszczona strzała, dosięgnąć jéj szczytu nie mogła: wszędzie sterczące świątyń ruiny, między témi kościół Stéj Zofii, budowany niegdyś sposobem greckim, z wielkim nakładem i pracą; pomost w nim z mozaiki; lazur i złoto lśniły się jeszcze w sklepieniach, w przysionkach, w gmachu samym, kolumny z porfiru, alabastru, marmuru. Zostały ostatki wspaniałości w kościele Śgo Michała, z złocistą wieżą i chórem, wysadzanym mozaiką. Nad grodem wznosi się zamek, niegdyś wspaniały, dziś ledwie godzien zamku imienia. Dzisiejszy gród w innem jest miejscu, poniżéj nad Dnieprem, i żadnego śladu dawnéj wspaniałości nie okazuje; zniknęła ona pod orężem Kniaziów moskiewskich, Połowców, Chrobrego, Gedymina i otaczających Kijów najezdnych narodów. Kijów zostawał pod berłem polskiém aż do r. 1686., wtenczas dopiero przedany przez Jana III. Carowi Fiedorowi za 200,000 rubli. (Niemcewicz.)

5. RZYM.

Wnet z Neapolu pojechał Poczobut *) na przepędzenie zimy do Rzymu, gdzie oglądanie tylu cudów niezrównanego talentu, tylu przedziwnych starożytności zabytków, tylu pamiątek roztrąconéj Rzymian wielkości, napełniało duszę Poczobuta filozoficznem i religijném rozrzewnieniem. Stąpając po grobach Scypionów, Emiliuszów i Cezarów, patrzał na zasypane gruzami dzieła dawnéj Rzymian okazałości i przepychu. Przebiegając ów sławny rynek, na ktorym zgromadzony lud rzymski dyktował niegdyś prawa podbitemu i złupionemu przez swe rycerstwo światu; na którym głosy mówców rzymskich miotały poruszeniami i władały namiętnościami zgromadzonego ludu: widział ten plac talentu i wolności zamieniony dziś na targowisko bydląt, z pokazującym się tu i ówdzie ludem

*) Poczobut, Jezuita, Professor Astronomii przy Uniwersytecie wileńskim, który umarł r. 1810.

prawie otrętwiałym na wszystkie zaszczyty dawnéj wielkości. W téj stolicy przewodzących niegdyś panów świata, na rozwlekłym dziś cmentarzu przesilonéj dumy, napawał się i rozrzewniał Poczobut tą wielką prawdą: że wszystkie dzieła waleczności, pychy i potęgi, tak ludzi jak narodów, są to znikomości, które czas pożéra i trawi. Sam tylko talent dowcipu i rozumu, ma niezaprzeczony przywiléj panować nad pamięcią i uwielbieniem wieków, rozdawać czynom ludzkim nieprzeżytą trwałość; zgoła, uwieczniać cudze, a naznaczać własne dzieła cechą doskonałości. (Jan Śniadecki w życiu Poczobuta.)

6. O TEMPLARYUSZACH.

Znane jest w Anglii przysłowie: pije jak Templaryusz, które nie wiadomo, czy dawnym, czy teraźniejszym Templu mieszkańcom (Prawnikom w Londynie) ma służyć. Trzeba bowiem wiedzieć, że nim przeszedł do prawników, należał do pamiętnego Zakonu Templaryuszów: a jeśli cnoty przechodzą w puściznie, nicby nie było dziwnego, gdyby i cnotą spełniania kielichów, razem z mieszkaniem, przeszła od rycerzów miecza do rycerzów pióra.

W obrębach Templu znajduje się kościół, w którym złożone są zwłoki znakomitych prawników. Szczególniéj zastanawia odwiedzającego, jego przysionek, kształtu okrągłego, który, jak twierdzą, na wzór grobu Chrystusa w Jerozolimie jest zbudowany. Rok jego założenia wyrażony 1185; należy zatém do najdawniejszych zabytków budownictwa. W nim, na samym środku, leży dziewięciu rycerzy z kamienia, w całéj postaci: sądząc po krzyżach na ich zbroi, musieli oni być Templaryuszami. Leżą ogrodzeni żelazną kratą.

Stojąc przed wizerunkami, na miejscu, z tylu pamiętnych zdarzeń sławném, cała historya Templaryuszów przedstawiła się mojéj myśli; jak ich zakon od małych początków stopniowo wzbijał się w potęgę, jak znienacka, gdyby gromem uderzony, runął z wysokiego jéj szczytu, i ledwie po nim przetrwał cień imienia. Zakon Templaryuszów ustanowiony był r. 1118. Celem jego było zasłaniać pobożnych pielgrzymów w ich wędrówkach do Ziemi świętéj, i bronić grobu Zbawiciela przeciwko napaści niewiernych. Nazwali się Templaryuszami od Templu świątyni, podle któréj mieszkali, i mieli dla niéj być obrończą tarczą; zresztą byli zakonem żołnierskim. Hugo de Payens i Gottfried Uldemar z siedmiu rycerzami, składali z początku cały poczet zakonu, który później miał zostać tak licznym i możnym. Żyli oni, (mówi Sty Bernhard, najpiérwszy ich dziejopis i prawodawca) nie mając żadnéj własności, a na-

wet własnéj woli, prosto odziani, pyłem zakurzeni, opaleni słonecznym promieniem; zdawali się być nieśmiertelni, jak wiara, która ich ożywiała. Nic ich odwagi zachwiać nie mogło, żadna przeciwność oziębić. Wielkość niebezpieczeństw zdobiła zwycięztwo. Przed bitwą, wiarą wewnątrz a żelazem zewnątrz się uzbrajali. Każdy krok ich był krokiem do potomności, każde uderzenie oznaczało męża wprawnego do zwycięztw. Cała ich ufność była w Bogu i broni; walcząc za jego chwałę, szukali tylko zwycięztwa, albo śmierci chwalebnéj.

Naczelnikiem zakonu był Wielki Mistrz, którego z pośród swego grona wybierali. Miał on dostojność Xiążęcą, i równał się panującym w Europie; albowiem zakon, podług Bulli papiezkiéj, nie podlegał ani świeckim, ani duchownym sądom. Mieli wielkie posiadłości, i rozszérzali swój wpływ na różne kraje, wszędzie tworząc sobie przychylnych i stronników. W Anglii piérwszy ich ślad znajduje się za Króla Stefana, kiedy Temple zostało ich siedliskiem: zkąd rozszérzali swoje preceptorye na całe królestwo.

Ślepe dla W. Mistrza mieli posłuszeństwo, czasem Ojcem go zowiąc. W wielu okolicznościach (mówi K. Brodziński *) wystawiali się za wodza, który zawsze jako prosty Templaryusz walczył, i który różnił się tylko szukaniem niebezpieczeństw. Jeżeli odwaga przyprawiła którego z rycerzy o śmierć, każdy umierając polecał się niebu, mówiąc: dzięki ci czynię Opatrzności, zachowałeś naszego Ojca, naszego Mistrza. Oni to najwięcéj przyczynili się do utrzymania przez dwa wieki potęgi europejskiéj na wschodzie.

Pewna miara naznaczona była dla ich odwagi, którąby nie będąc przeciwną miłości honoru, zapobiegała razem nierozważnemu zuchwalstwu, które skutek bitwy niepewnym czyniąc, mężów często bez potrzeby gubiło. Żaden w skutku przysięgi, którą wykonywał, nie mógł uciekać przed trzema nieprzyjaciółmi. Cały Zakon dzielił się na klassy rycerzów, noszących broń i braci służących, do których późniéj duchowni, jako kapłani i pisarze, przybyli. Potęga, w którą wzrośli, obudziła na nich zazdrość, a zazdrość upatrzyła wady. Niebyło naostatek rozwiązłości, zbrodni i herezyi, o którąby ich nie obwiniano. Wiadomy smutny ich los z dziejów. Wielki Mistrz Zakonu, Jakób de Molai, chytrym sposobem zwabiony z Palestyny i więziony długo w Francyi, swéj ojczyznie, z kilkudziesiąt rycerzami, towarzyszami broni, spalony został żywcem na placu, gdzie teraz stoi posąg Henryka IV. Stało

*) W tragedyi Templaryusze, p. Raynouarda, tłum. Brod., Warsz. 1829.

się to r. 1313, dnia 18go Marca, za Filipa Pięknego Króla i Klemensa Vgo Papieża. W. Mistrz, jako niewinna ofiara ich zemsty, miał obudwóch z płomieniejącego stósu wezwać przed sąd Boga, nim rok minie: co, jak kroniki ówczesne świadczą, ziściło się także; Papież i Król w przeciągu roku umarli. Nie przeszkodziło to przecie, żeby zakon we wszystkich krajach nie był zniesiony: najdłużéj przetrwał on w Niemczech, gdzie jeszcze w 6 lat po smutnéj katastrofie paryzkiéj wspominają o Templaryuszach w Görlitz. Wielu z nich po zniesieniu zakonu przyłączyło się do zakonu Sgo Jana Jerozolimskiego, czyli Szpitalowych, który przez różne koleje losu przechodząc, odstrychnąwszy się od swego pierwotnego przeznaczenia, przetworzył się nakoniec na Kawalerów maltańskich, od siedliska swego na Malcie tak nazwanych. W Anglii Moore był ostatnim W. Przeorem Templaryuszów, i lubo z wielką gorliwością ujmował się za swym zakonem, nie mógł go z zarzutów czynionych oczyścić, i przeszkodzić jego zniesieniu. Przecież żaden z rycerzy nie utracił życia, jak w Francyi, ani brany był na męczarnie, dla wymuszenia przyznania się do zbrodni. Obwiniano ich najbardziéj o hardość i pychę; i ten zarzut mógł być sprawiedliwym, zwłaszcza w przywykłych do rycerskiéj niepodległości i honoru.

Wpatrując się tam w kamienne nadgrobowe wizerunki tych nieustraszonych niegdyś towarzyszów broni, wypoczywających po bojach, w napół pochyłych, niewzruszonych postawach, zdawało się, iż pomimo uszkodzonych ich postaci, rozpoznawałem na głowach jednych rycerskie hełmy, pod niémi czapeczki, przystające do głowy, które bywały czerwonego koloru, żelazne plecione koszulki, takież same nagolenice; każdy nosił przy boku miecz, znamię jego stanu rycerskiego; każdy przepasany był szerokim pasem, który bywał z wełny, i noszony był na znak poświęcenia się czystości. Na to wszystko spadał szeroki płaszcz, który bywał także wełniany, biały, z czerwonym krzyżem. Na tarczach takoż widać było krzyże, jako znamię, w którém każdy zwyciężał. Ani śladu napisu świadczącego, kto oni byli, jakie ich imiona i czyny; czas wszystko zagładził. Milczeniem osłaniały je gotyckie sklepienia i żłobione wzniosłe filary; a duch wieków upłynionych zdawał się cichym głosem wspólny dla nich nagrobek poszeptywać: „Nosił on na piersiach krzyż krwawy, drogą pamiątkę śmierci Zbawiciela, i czcił go żyjąc i w zgonie. Nosił toż godło wyryte na tarczy, dla nadziei, którą w nim pokładał. Dzielny, wierny, rzetelny był w słowie i czynie.

Postać jego wydawała się uroczystą i posępną: sam nie znał trwogi, szerzył postrach wszędzie.“

(Z podróży po Anglii i Szkocyi, odbytéj przez Lacha Szyrmę, Prof. przy Uniwersytecie warszawskim w r. 1820—24. którą opisał w dziele pod tyt.: Anglia i Szkocya, w Warsz. 1829 r. 3 tomy.)

7. O TATARACH PRZY KOŃCU 16go WIEKU.

Wzrost ich niewielki, najwyżsi ledwie się z miernymi naszymi równać mogą: są siadli, krępi, brzuch duży, szerokie plecy, kark krótki, głowa duża, twarz prawie okrągła, szerokie czoło, oczy mało otwarte, czarne, podługowate; nos krótki, gęba dość mała, zęby białe jak kość słoniowa, cera śniada, włosy czarne, twarde jak szczeć końska; słowem, odmienny kształt ich od Europejczyków: podobni są bardzo do Indyan amerykańskich.

Wszyscy są żołnierzami, odważni, na wszystkie trudy wytrwali. Od roku bowiem siódmego, skoro wyjdą ze swych toczących się na kołach chatek, śpią zawsze pod gołém niebem; nie dostaną pożywienia, chyba sami odetną je strzałą od gałęzi. W 12stym roku już wychodzą na wojnę. Matki codziennie kąpią dzieci w wodzie, w któréj się sól rozpuszcza; a to, aby im skórę uczynić twardą, mniéj czułą na zimno, zwłaszcza, gdy w mrozy szerokie rzeki w bród przepływać im przychodzi. Dwa rodzaje Tatarów uważać nam trzeba, Nahajskich i Krymskich; Krymscy zamieszkują półwysep taurycki, Nahajscy dzielą się na dwa narody, wielkich i małych; obadwa mieszkają między Donem i Kubanem, lecz zawsze są w ruchu i prawie dzicy; jedni podlegają Hanowi krymskiemu, *) drudzy Carowi moskiewskiemu. Nie są tak bitni, jak Tatarowie krymscy.

Ubiór wszystkich jak następuje: Krótka płócienna koszula, na pół stopy tylko zachodząca za pas, szarawary sukienne w paski, lub z płótna grubego. Majętniejsi noszą kaftan, przeszywany bawełną, a na wierzchu futra z lisów lub kun; takaż czapka, bóty safianowe, czerwone, bez ostróg.

Pospolicie okrywają się baraniémi skórami, obracając wełnę na wierzch: gdy tak ubranych spotyka ich kto niespodzianie, łatwo ich wziąść może za białych niedźwiedzi, siedzących na koniach.

Wzimie przewracają swe kożuchy, wełnę kładąc na spód: przewracają także i czapki. Noszą szablę, łuki z kołczanem, zawierającym 18 do 20 strzał; nóż zawieszony u pasa, strzelbę, krzesiwo, szydło, z pięciu lub sześciu łokciami powrozów rze-

*) Teraz wszyscy pod berłem rossyjskiém.

miennych, a to dla powiązania jeńców, gdy im się schwytać ich zdarzy. Każdy także nosi w kieszeni małą busolę norymbergską, dla kierowania się wpośród step bezdrożnych. Najmajętniejsi tylko mają pancerze, inni wojują bez żadnéj zasłonnéj zbroi. Wszyscy są odważni i zręczni na wojnie; lecz źle siedzą na koniach z zgiętemi kolanami, krótko, jak małpy jakie.[1]) Przecież są bardzo dziarscy i tak zręczni, że w biegu, gdy koń ich zmorduje się, wskakują na drugiego, by lepiéj uciekać. Konie te są niekształtne i brzydkie, lecz niezmiernie wytrwałe, tak dalece, że 30 mil wciąż pędzić mogą. Nazywają oni konie te bachmatami. Grzywy i ogony ich są gęste i szorstkie, wlokące się aż do ziemi.

(Ze Zbioru Pamiętników historycznych p. Niemcewicza, w Warsz. 1822. tomów 4.)

8. KOZACY (w 16. i 17. wieku).

Tak obfite niwy, jakie się rozciągają nad Dniestrem, Dnieprem i Donem, od dawna zamieszkałémi były: sama nawet żyzność ziemi, wody ryb, lasy mnogiego pełne zwierza, dostarczając z łatwością wszystkich życia potrzeb, niespokojne chuci mieszkańców wieść musiały do najazdów i łupieztw. Początek narodu słowiański, imię Kozaków czyli od podobieństwa do kóz, z szybkością z jednego miejsca przenoszących się na drugie, czyli jak twierdzi Hejdenstein[2]) wyrazem znaczącym w języku perskim i tureckim łotrów, dla ustawicznych ich najazdów nadane.[3]) Lubieński[4]) pisze, że od Greków nazwani Niżowcami, dla tego, że na wyspach Dniepru mieszkali. Lud ten podbity przez Xiążąt litewskich; aż do Jana Kazimierza ciągle pod berłem Królów polskich zostawał.

Żyzność ich siedlisk, nieograniczone swobody, powab łupieztwa, powiększyły ten naród, pierwotnie słowiański, przychodniami ze wszystkich krain sąsiedzkich. W Polsce, w Litwie, Multanach i Wołoszczyznie, w pobliższych tureckich lub moskiewskich prowincyach, kto zbrodnię popełnił lub sprzykrzył sobie poddaństwo i pracę, jak niegdyś złoczyńcy

---

1) Ten zarzut mniéj słusznym się być zdaje.

2) Reinhold Hejd., Sekretarz król., pisał: De bello moscovitico libri VI. † 1620.

3) Sękowski w Collectaneach (zob. niżéj) dowodzi, że to nazwisko Kozak, a raczéj Kazak, własne jest hordzie Kirgizów, nad morzem Kaspijskiém mieszkających, znanych z rozboju i łupieztwa; i dla tego późniéj tém imieniem nazywano wszelkie gromady konnych rabusiów.

4) Biskup płocki; jego „Opera posthuma historica, epistolae orationes,“ wyszły w Antwerpii r. 1643.; zawierają dzieje pod Zygmuntem III. † 1630.

przy założeniu Rzymu, wśród ludu tego pewne znajdował schronienie. Wszyscy atoli słowiańskim mówią językiem, wszystkim wiara schizmatycka wspólną. W napadach swoich czyli to lądem, czy wodą, zarówno śmieli, często szczęśliwi; nie odmawiają i pieszym potykać się bojem: długa rusznica i krzywa szabla, są bronią ich; obóz nie szańcem, lecz otoczony wozami, najeżony działy, przenosi się łatwo, gotów czy w ścisłym postępować szyku, czy w napaści dzielny dać odpór. Jeśli nieprzyjaciel zbyt dla nich silny, szybkiém pierzchnieniem bezpiecznie na wyspy swoje chronią się.

Najczęstsze atoli i najzyskowniejsze ich najazdy były łodziami: łodzie te zwano czajkami. Czterdziestu zbrojnych młodzców mieściły w sobie; na tych puszczając się Dnieprem, a łupieztwa, sputoszenie i ogień roznosząc po zachodnich morza Czarnego brzegach, nieraz ocierali się o Carogrodu mury; rzucali postrach na stolicę i gmachy seraju. Wierni zawsze Królom polskim, lecz od niejakiego czasu zbogaceni łupami Azyi, rozmnożeni w liczbę, kosztowną zdobycz, żony i dzieci w grodach królewskich i szlacheckich na Ukrainie przechowywać zaczęli. Nie uszły bogactwa te chciwości starostów i przemożnéj w stronach tych szlachty; a tak lud, który w kluby prawa ujęty, bacznością rządu mógł być od zaborów obcéj własności wstrzymanym, opieką Króla zapewniony w używaniu swojéj, przez nieludzką nas samych chciwość, przez zdzierstwo i uciski nasze do rozpaczy przywiedzion, srogie swe zemsty ze szkodą naszą wywierał.

LISSOWCZYKI.

Kozaki Lissowczyki, była to lekka jazda polska: nazywano ich w Polsce straceńcami, kiedy najpierwéj od Króla Zygmunta IIIgo w posiłek Cesarzowi byli dani, i jakoby na stracenie daleko od Ojczyzny wysłani; lecz pospoliciéj nazywano Lissowczykami, od Pułkownika ich Alexandra Lissowskiego, żołnierza sławnego na wojnach moskiewskich pod Hetmanem Żółkiewskim: ciż sami powtórnie za Władysława IV. Cesarzowi na wojnę francuzką pozwoleni byli. A lubo Alexander Lissowski jeszcze 1614 roku pod Starodubem z apoplexyi umarł, i wiele po nim przemieniło się Pułkowników, jako to: Czapliński, po nim Walenty Rogowski, daléj Hieronim Kleczkowski, Stanisław Rusinowski, Stanisław Strojnowski, w Czechach dowodzący, i t. d.; zawsze jednak Lissowczykami w Polsce nazywano tych Kozaków.

(Z Panowania Zygmunta III. p. Niemcewicza.)

D. OPISY BITEW I WYPRAW WOJENNYCH.

1. WYPRAWA ALEXANDRA PRZECIW PERSOM (r. 321 przed Chryst.)

Gdy wszystko było na pogotowiu, znalazło się, iż nie miał wojska więcéj nad trzydzieści tysięcy piechoty, a pięć tysięcy konnych; cały skarb składał się z 70 talentów; żywności nie więcéj, jak na jeden miesiąc. Względny na swoich namiestników, wszystko, co miał, między nich rozdał; a gdy koléj przyszła na jednego z nich, a ten go pytał: Panie, cóż sobie zostawisz? — Nadzieję, rzekł Alexander. — I ja tę część biorę na siebie, odpowiedział ów namiestnik, i darów przyjąć nie chciał.

Przebywszy cieśninę Hellespontu, na zwaliskach Troi grób Achillesa obchody uroczystémi uczcił, i tego mu zazdrościł, iż żyjąc miał prawdziwego przyjaciela, *) po śmierci zaś godnego siebie chwalcę. **)

Na odgłos wszczętéj wyprawy, liczne wojsko zbierali Króla perskiego namiestnicy, i na przeprawie Graniku rzeki czekali Alexandra; nie inaczéj ją więc przebyć mógł, jak walcząc z nierównie możniejszym nieprzyjacielem. Rzeka ta, że nader była głęboka, a brzegi miała wysokie, wiele trzeba było użyć trudności, iżby ją przebyć, zwłaszcza, gdy z drugiéj strony wszystkie jéj brzegi zajęły Persy. Gdy więc Parmenion nie radził się spieszyć z przeprawą, ile że już zmierzchać poczynało, i raczéj to nazajutrz wykonać, rzekł na to z uśmiechem Alexander: „A cóżby na to powiedział Hellespont, któryśmy przebyli, gdyby się dowiedział, żeśmy się Graniku zlękli?“ Skoczył więc piérwszy w rzekę, a za nim jezdni, mając każdy za sobą jednego z pieszych. Rzęsiste pociski i strzały, rzucane od Persów, raziły płynących Macedończyków, ale przykład monarchy wzbudzał ich i utrzymywał. Zuchwałość takowéj przeprawy zdawała się prawie nadludzką: trzeba było albowiem walczyć z rzeką szeroką, głęboką i wielce bystrą, i piąć się na ledwo dostępne brzegi, które nierównie liczniejszém wojskiem, broniącém wstępu, osadzone były. Przeparł zapał niepohamowany Alexandra to wszystko; i gdy stanął na brzegu, bez odetchnięcia wraz z nieprzyjacielem spotykając się, wstrzymywał cały impet na sobie, nim reszta żołnierzy jego przeprawić się mogła. W największém zostawał niebezpieczeń-

*) Patrokla. **) Homera, w Iliadzie.

stwie, dla świetności zbroi i odzienia. Na niego więc nacierali hurmem Persowie. Rezaces i Spitrydat, dwaj z najznamienitszych Daryusza namiestników, postrzegli go wśród bitwy, wpadli nań razem: rzucił pociskiem na Rezacesa, ale ten się strzaskał; dobywszy więc pałaszów, ścinali się wręcz z największą zapalczywością, a tymczasem przypadłszy Spitrydat z boku, taki mu cios zadał, iż prysł szyszak na poły; już się powtóre zamierzał, gdy w tym punkcie Klitus *) go wskróś pociskiem przebódł, a tymczasem Rezacesa Alexander pokonał. Przebył nakoniec rzekę sławny pułk Macedończyków, który *falangą* zwano, a naówczas ogromnością swoją przeparł hufce nieprzyjacielskie i poszły w rozsypkę wszystkie: sama tylko została na placu zaciężna, którą mieli z Greków, piechota. Wstąpili na blizki pagórek, i tam stojąc wysłali posłów do Alexandra, chcąc wnieść w umowę; ale nie słuchając wysłanych, popędliwością zajęty, wskoczył piérwszy na ich szyki. Lecz mężniejszy niż u Persów znalazł odpór: wszyscy prawie, którzy go otaczali, na placu polegli, i sam własnego konia postradał. Nakoniec i Greków pokonawszy, zupełne otrzymał zwycięztwo. Mało co ze swoich utracił, Persów na 20,000 legło.

Zwycięztwo to przeraziło tak dalece nadmorskich Azyi mieszkańców, iż Sardy, niegdyś stołeczne miasto Lidyi, wysłało posły do Alexandra, poddając mu się; toż samo uczyniły inne pobliższe, między któremi dwa tylko Milet**) i Halikarnas***), zachowały wierność Królowi perskiemu; lecz Alexander mocą je posiadł. Szedł daléj ku Frygii, którą opanował; a gdy się znajdował w jéj stolicy, zwanéj Gordyum, pokazano mu ów sławny węzeł, którego dotąd nikt rozpleść nie mógł, i temu się to tylko nadarzyć miało, któryby świat posiadł. Udał się Alexander do rozwiązania, a gdy tego dokazać nie mógł, dobywszy miecza, rozciął ów węzeł; i jak gwałtem chciał to, co nie jego było, posiadać; tak podobnież powieść owę bajeczną do siebie przystósował, a tém samem dał poznać, jak był od gminnego uprzedzenia dalekim.

Na wieść coraz daléj w kraj pomykającego się Alexandra, Daryusz, dotąd spokojnie przebywający w Suzach, stolicy swojéj, zaczął czynić przygotowania do jak największego odporu. Ściągały się ze wszystkich stron na wyznaczone miejsca wojska liczne, i jak wieść powszechna niesie, do pięćkroć stotysięcy zbrojnego ludu rachowano. Wtém Alexander, gdy się wrzece

*) Którego potém, rozgrzany winem, wśród uczty, własną ręką zabił.
**) Ojczyzna Talesa, filozofa greckiego.
***) Ojczyzna Herodota i Dionizyusza, historyków.

Cydnie kąpał, z przeziębienia wpadł w ciężką niemoc. Już powątpiewali o życiu jego lekarze. Filip, piérwszy z nich, widząc, iż wszystkie dotąd zażyte sposoby ku ratowaniu były nieskuteczne, jął się tak gwałtownego, iż słusznie się obawiać można było; przedsięwziął ten ostateczny. Już niósł zgotowane lekarstwo choremu, gdy ten w tymże czasie odebrał list od Parmeniona, iż go Filip otruć zamyślił; wziął więc w jednę rękę naczynie z trunkiem, i w tymże czasie drugą podał ów list lekarzowi, a gdy ten czytał, on przyniesione lekarstwo wypił. Przedziwny to był, a godzien czułości poczciwych widok, i cnoty takiego w niéj zaufania.

Skutek lekarstwa tak był nagły, iż zdawał się już zgonu być blizkim, ale rzeskość młodości i pilne staranie, wkrótce go do zdrowia przywiodły, z niezmierną Macedończyków pociechą.

(Krasicki w życiu Alexandra.)

2. OBLĘŻENIE I ZDOBYCIE BIAŁOGRODU.[1]

Szczęściło się Skarbimirowi[2] w Pomeranii: wiele miast i powiatów upokorzonych czyniło nadzieję, że wkrótce ten naród zupełnie miał być do poddaństwa przywrócony. Było naówczas miasto Białogród w ludzi i w bogactwa zamożne, środek między miastami pomerańskiémi utrzymujące: blizkość morza i Odry wnosiła do niego liczne dostatki. Król[3] wszedłszy do Pomeranii, chcąc upornych postrachem oręża do poddania się dobrowolnego zniewolić, najprzód spustoszył okolice, potém posłał oblężonym dwa puklerze do wyboru; z których czerwony wojnę, biały pokój oznaczał. Odpowiedziano dumnie: że biała tarcza wtenczas im żądany pokój ubezpieczy, gdy się krwią polską ufarbuje. Obie więc strony gotowały się do boju. Rozłożył Król wojsko około zamku, dzieląc między rycerstwo robotę, kto czego miał pilnować. Kazał gotować mosty i faszyny, na zrównanie przekopów. Sporządzono komory dla zasłony podkopców, zbudowano wieże z mostami zwodzonémi, za pomocą których wiszące u dołu tarany miały

---

1) Nie można za nadto chwalić jędrnego stylu i prawdziwie polskiego toku w prozie Naruszewicza; i dla tego młodzież wcześnie zachęcać należy do czytania jego dzieł historycznych, mianowicie: Życia Karola Chodkiewicza i Historyi Narodu polskiego. — Słusznie o Naruszewiczu to powiedzieć można, co Kwintylian o Ciceronie mówi: *ille se profecisse sciot, cui Cicero valde placebit.* lib. X. cap. 90. — Że ten już znacznie w języku polskim postąpił, komu się spodoba męzki styl Naruszewicza. Zob. Wybór bajek pol. stronę 113.

2) Hetmanowi i Wojewodzie krakowskiemu.

3) Bolesław Krzywousty r. 1107.

tłuc mury, a stojący na górnych pokrywach żołnierz, mógł wpadać na nie, i oblężonych pociskami zganiać. Skoro zrównano fossy i podciągniono gotowe machiny, każdy się wziął do wyznaczonéj pracy. Bito zewsząd potężnémi belkami: puszczano z kusz [1] rozmaitą strzelbę, gdy tymczasem nieprzyjaciel czyniąc z miasta mocny odpór, ile tylko odwaga, rozpacz, i gniewy dodawały sposobów, kamieńmi, grotami, owszem wrzącą smołą żołnierstwo raził. Za osłabieniem murów, postawił Bolesław naokoło gęstych strzelców, tak dla gotowości w czasie wycieczki, jak dla posiłku swoich, którzy do miasta wpadać mieli. Sam na czele przebrańszych skoczył najpiérwszy z tarczą na głowie, a siekierą w ręku: ani pierwéj ustąpił, aż wywaliwszy część bramy, wpadł do otwartego miasta. Rzuciło się za Królem rycerstwo, siekąc bez braku pałaszami, kto się tylko nawinął; więc gdy wkrótce inni żołnierze potłukłszy ze wszech stron mury, z nim się złączyli, zlękło się miasto zwykłéj zajuszonemu a łakomemu zwycięzcy zapalczywości. Pomiarkowany w szczęściu Bolesław, wspomniał na to, że miał z nieprzyjaciół i pogan uczynić obywateli i Chrześcian, czego najwięcéj żądał. Zastanowił wyniesione na rzeź miecze, zmiękczony żałosnym widokiem wychodzących przeciwko sobie mieszczan, a z żonami i dziećmi do nóg mściciela rzucających się. Osądziwszy się sami godnymi kar najsurowszych, odnieśli darowanie winy i łaskawość. Zostawiony każdy obywatel przy swoim majątku i pod dawną zwierzchnością.

(Z Historyi narodu polskiego przez Naruszewicza.)

3. KLĘSKA KRZYZAKOW POD PŁOWCAMI.

Po takich ułożeniach [2] wrócił Szamotulski do Krzyżaków, zapewniając o wszelkiém bezpieczeństwie; że Król świadomy dobrze ich większości, myślił tylko o porządném cofnieniu się, aby z tak niebezpiecznego kroku swoich wyprowadził. Krzyżacy ufając powieści Wojewody, jako mającego u nich wiarę, zaniechali gotowości do boju: a w przedsięwzięciu tylko uprowadzenia za Wisłę niezmiernych plonów z Kujaw, Sieradza i Wielkiéj-Polski zabranych, poczęli ruszać się zwolna, ile przy nadchodzących już jesiennych niewczasach, do Prus. Otton, Wielki Kommandor, z niejakim Reus de Plauen, wyszli przodem z częścią wojska, dla opanowania Brześcia (kujawskiego). Druga część obciążona zdobyczą, ciągnąc ku Radziejowu, zbliżyła się ku wsi Płowcom, czyli Blewo, i tam na noc obozem

1) Kusza, machina do rzucania grotów, ballista.
2) Zob. wyżéj stronę 39.

stanęła. Równiny okoliczne, zdatne do wysworu i bitwy jezdnéj, w któréj najbardziéj Król ufał, determinowały go, aby nie czekając daléj, na tém miejscu spotkał się z Krzyżakami, ile już rozdzielonymi na dwa zastępy. Dnia 27. Września (1331 r.) ze wschodem słońca zbliżył się Król pod obóz nieprzyjacielski, gdy jeszcze Krzyżacy spokojnie zasypiali, trunkiem całonocnym rozmarzeni i bezpieczni. Za ostrzeżeniem Setników, powstała w ich obozie trwoga, tém większa, że na słowo Wojewody nikt się nie spodziewał, aby Polacy nastąpić mieli. Mgła straszna nie dała Królowi korzystać z rozruchu nieprzyjacielskiego. Trąby, kotły i wrzaski żołnierskie słychać było z obu stron: strony siebie nie widziały. Nieprzyjaciel miał czas do szyku; a Król też, nim przyszło do sprawy, wymowniejszy wiekiem i pracami podjętémi, niżeli w słowa, po krótkiém swoich upomnieniu, na czele wojska oczekiwał. Wszakże szanowny Monarcha, w bojach zrosły i osiwiały, niosąc szczątek życia na ofiarę dobra poddanych, uchylić się kazał, acz poniewolnie, synowi Kazimierzowi, oddając go pod straż szlachcicowi Nekandzie, herbu Topór, aby w przygodzie śmierci ojcowskiéj, miał naród mściciela i obrońcę.

Z rozegnaną mgłą, gdy dzień jasny mężów i oręż i losy ich z pomroki wynurzył, ukazał się krzyżacki zastęp, straszny i ścisły. Albowiem kommendanci i waleczniejsi bojownicy, żeby się w szykach i związku nie odstępując, do upadłéj bronili, łańcuchami, przez pasy puszczonémi, samych siebie powiązali. Z pięciu królewskich hufców poskoczył piérwszy, złożony z nadwornego ludu i przebranego rycerstwa: za nim inne kolejno ze szlachty, z różnych xięstw zebranéj. A gdy się zmieszały oba wojska, jak Krzyżacy mężnie się bili, tak Polacy, choć od przewyższającéj liczby wojska ogarnieni, ostatnich sił, nie cofając kroku, dobywali. Wstąpiła w skrzepłe siedmdziesiątletniego starca członki, zielona pierwszych lat jędrność. Biegał pomiędzy nieprzyjacielskiémi szykami Król waleczny, zasłaniając się puklerzem od ciosów, a mieczem wzajemnie przeciwnikom zadając razy. Po kilkogodzinnych zapasach, gdy Wojewoda obiecanéj nie dawał pomocy, i wątpić poczęto o jego wierze; ukazał się on nakoniec, biorąc z tyłu nieprzyjaciela. Świeża moc na zmordowanych i niespodziewana, wprawiła Krzyżaków w większą słabość, a daléj w utratę serca, zamieszanie i rozsypkę. Cisnęli ich tym dzielniéj nasi, i byłaby już zaraz wygrana, gdyby Otton z Plauenem, uwiadomieni około Brześcia o rozpoczętéj bitwie, uciekających swoich nie wstrzymali: za ich nadbieżeniem odnowiła się bitwa, lecz nie na długo. Zwycięzcy nie chcieli dać sobie

wydrzeć wygranéj: Krzyżacy téż znużeni drogą, i nie mogąc już do ładu przywieść swoich, podali tył sromotny. Tu już nie była równa walka, ale rzeź i zabój, mianowicie gdy Teodoryk, marszałek, w głowę cięty, dostał się w niewolę z Hrabiami de Plauen i Honstein. Do samego wieczora ścigany i bity nieprzyjaciel, zasłał szeroko trupami pola. Legło wielu braci i niemieckiego rycerstwa, a więcéj nierównie innego gminu. Liczba wszystkiéj straty wynosiła do dwudziestu tysięcy. Z naszych zabito kilkaset, a między innymi znaczniejsi: Żegota z Morawicy, Chorąży krakowski; Krystyn z Ostrowa, Chorąży sandomirski, syn Prandoty, Kasztelana krakowskiego; i Jakób z Szumska, Kasztelan żarnowski.

(Z Historyi narodu polskiego p. Naruszewicza.)

4. KLĘSKA POLAKOW POD BUKOWINĄ r. 1497.

Po ogłoszeniu rozejmu odstąpiono zaraz od oblężenia Soczawy (miasta na Wołoszczyznie), i na pewny dzień zapowiedziano powrót do Polski. Ale dostrzegłszy Stefan (Hospodar), iż odwrót ten inną, niż którą przyszli, miał być drogą przedsięwzięty, bądź, że ta krótsza była, bądź, że kraj, przez który ciągnąć zamyślali, nietknięty, łatwiéj dostarczyćby mógł wojsku żywności, ostrzegł Króla, iżby lepiéj sobie poradził, gdyby tą samą drogą, którą przyszedł, powrócił; gdyż ta równiejsza była, i mniéj lasami zaprzątniona, a do tego obywatele onego kraju dzicy i rozkazów słuchać nie zwyczajni, wieleby przykrości cofającym się zadać mogli. Skutek pokazał, iż rada ta rzetelną była, ale jéj nie słuchano. Ciągnęło wojsko drogą od Króla wskazaną, bez porządku, wszędzie łupiąc po drodze, i mieszkańcom krzywdy wyrządzając. Dnia czwartego przyciągnęło wojsko do Bukowiny. Las to był od buków nazwany, gęsty, na dwie mile rozległy, w którym ciasna była przepaścista między mało dostępnémi skałami i górami droga, któréj gdy całe wojsko w dnia jednego ciągu przebyć nie mogło, Król przy wejściu onego rozłożył się obozem. Kazano Wielko-Polanom iść przodem z tłomokami, i ci bez żadnéj przeszkody onę przebyli. Dnia następującego, 26. Paźdz., Król działa i wozy swe przodem wysławszy, sam z dworem swoim w pojeździe, dla słabości zdrowia, w też tropy poszedł: za nim byli Mało-Polanie i Ruśniacy bez broni, właśnie jakby w przyjacielskim się kraju znajdowali. Tylną straż trzymali najemni żołnierze. Już do połowy lasu królewskie wozy z działami doszły były, kiedy wołoscy wieśniacy zewsząd z zasadzek wypadli, i wozy te obskoczywszy zrabowali, działa zabrali, zagarnąwszy je na przygotowane na to miejsca;

łatwo podcięte drzewa obaliwszy, drogę zawalili, że ani pośledne hufy postąpić, ani poprzedzające cofnąć się dla dania swoim pomocy nie mogły. Wtém téż przybył i Stefan, wiodący potężne roty jezdnych i pieszych, i z wielkim orszakiem natarł na naszych z tyłu i z bokow; którzy niespodziewaném tém zdarzeniem zmieszani, rzucili się wprawdzie do broni, i nieprzyjacielowi dać odpór usiłowali, ale bez szyku, bez znaków żołnierskich, bez dowódzców walczyli; przytém, dla strasznego wrzasku, jedni z drugimi porozumiewać się nie mogli. Słabe ich usiłowania były, przeto przymuszeni byli ci, co tylną straż trzymali, zwrócić się ku obozowi niezbyt dalekiemu, z którego byli wyszli. Obskoczyli ich tam nieprzyjaciele, i tak gwałtownie dobywali, iż straciwszy nadzieję utrzymania się, do nieba tylko, pomocy z niego wzywając, wołali. To bacząc Król, jazdę swoję nadworną, porządnie uzbrojoną, im na odsiecz wysłał. Przestraszyło to Wołochów i poskromiło ich natarczywość. Zawarci w obozie, znaleźli porę wydobycia się z niego, a zostawiwszy wszystkie tłomoki, rozbiegli się na różne strony, i po większéj części przyłączyli się do pierwszéj straży, gdzie się już i Król był dostał. Wołosi nie wytrzymawszy jazdy zapędu, rozpierzchnęli się: a jazda ta od wszelkiéj napaści wolna, las on przebywszy, z zwycięztwem do Króla wróciła. Dnia następującego Król z całém wojskiem na témże miejscu zatrzymał się, dając sposobność zbiegłym, zabłąkanym, lub w lesie kryjącym się, powrócenia do obozu. Uczyniwszy popis wojska, pokazało się, że z polskiéj i ruskiéj szlachty niemało albo życie utraciło, albo się w niewolę dostało. Najokropniejszy był los tych, co w ręce Wołochów wpadli. Stefan albowiem wszystkich, przez wściekłość niesłychaną, w obecności swojéj kazał zamordować. Wołosi nawet niektórych na drzewach za włosy wieszali, bo wtedy długie nosili; od téj przygody, jak twierdzi Bielski, golić głowy poczęli. Ci, co się Turkom lub Tatarom dostali, poszli w niewolę, z któréj jednak niektórzy wykupieni, do ojczyzny powrócili. Trudno tę Stefana zawziętość pogodzić z radą oną, dawniéj Królowi daną, a w rzeczy saméj przyjacielską: aby Król tąż drogą, to jest równiną, do kraju swego powracał, chyba że ciągnienie przez kraj przechodem wojska niezniszczony (a ciągnienie, jak zwyczajnie, bywało mieszkańcom niezmiernie uciążliwe), miał za zerwanie rozejmu.

(Z Panowania Kazimierza Jagiellończyka przez Jana Albertrandego*); w Warsz. 1826 r. 2 tomy.

*) Jan Albertrandy, ur. w Warszawie r. 1731., w młodym wieku wstąpiwszy do zakonu Jezuitów, użytym był przez Załuskiego

5. BITWA POD KIRCHOLMEM DNIA 27. WRZEŚNIA 1605 R.

Karol Sudermański, pełen przechwałek i zarozumienia, wcześnie łupy Polaków pomiędzy wodzów swoich rozdzielił, dwoisty żołd wypłacić przyrzekał, i by tém więcéj przedniejszych około siebie zagrzać i zachęcić do bitwy, dał im kosztowną ucztę w Blumenthal, wiosce jezuickiéj, około Rygi leżącéj; a po skończonéj wieczerzy, chcąc podejść Chodkiewicza, w dziesięć tysięcy piechoty i cztery tysiące jazdy ruszył pod Kircholm. [1]

Inna rzeczy postać w Chodkiewicza obozie: nakazane po chorągwiach modlitwy, i ile dozwalała ostrożność, spoczynek i zasilenie. Gdy świt czerwienieć się zaczął, a podsłuchy doniosły, że Szwedzi okazywać się jęli zdaleka, wszedł do namiotu Hetmana Wincenty Wojna, Starosta intarski, zapytując się, jakie były jego rozkazy? Chodkiewicz na to: Najprzód do Boga, a potém do oręża i koni. I natychmiast po wysłuchanéj Mszy widział zbroję i wyjechał rozpoznawać nieprzyjacielskie szyki. Zaczęli się Szwedzi stanowić o podal od naszych, obsadzając wszystkie pagórki działami i liczną piechotą. Roztaczała się obszerna równina między nimi a wojskiem polskiém, które Chodkiewicz w ciasne zbiwszy hufce, tak postawił, że górami tylko zakryte było; co Karol postrzegłszy, nie powiedziałżem, rzekł, że Polacy uciekną? Ledwo co wyrzekł, gdy wojska polskie w ściśnionym szyku pokazały się na wzgórkach. Zaczęto bić z dział, i harcownicy nasi wysypali się naprzód. Już harce trwały przez więcéj dwóch godzin, gdy Chodkiewicz postrzegłszy, że nieprzyjaciel z górzystéj swojéj posady w równinę spuścić się nie chciał,

---

do ułożenia katalogu i uporządkowania biblioteki. Rzadkie męża tego przymioty, głęboką naukę i nadzwyczajną pamięć, umiał szacować Stanisław August; zaszczycił go medalem złotym, dostojnością Biskupa Zenopolitańskiego i orderem Śgo Stanisława. Przy zawiązaniu się Towarzystwa Przyjaciół Nauk, jednomyślnie Prezesem obrany, urząd ten aż do śmierci sprawował, † 1808. mając lat 77. Prócz włoskiego, angielskiego, niemieckiego języka, biegłym był w łacińskim, greckim, hebrajskim; ze wszystkiémi prawie gałęziami nauk obeznany, najbardziéj jednak lubił Historyą i Starożytność: słowem, był to prawdziwy polyhistor. Oprócz wzmiankowanego dzieła pozgonnego, wydał również Onacewicz, Prof. w Wilnie, z pozostałych rękopismów Albertrandego: Panowanie Walezyusza i Stefana Batorego, w Warsz. 1823 r. w 2ch tomach. Za życia tłumaczył z franc. Dzieje Rzeczypospolitéj Rzymskiéj r. 1768., powtórnie 1806 r. wydane. — 2. Dzieje Królestwa polskiego r. 1768. — 3. Zabytki starożytności rzymskich w pieniądzach, w Rocznikach Tow. Prz. Nauk.

1) Miasto w Inflantach.

dał rozkaz, ażeby udając ucieczkę, cofali się do szyków swoich. Tak często powtarzanemu fortelowi dał się uwieść popędliwy Suderman; zaczął z pagórków zstępować z pośpiechem, który nieco szyk wojska jego pomięszał. Skoro to zoczył wódz polski, natychmiast zbitym swym hufcom rozwinąć się kazał, stawiąc równe nieprzyjacielowi czoło. Nadto pokazało się w tyle nieznane wojsko: byli to pacholcy i ciurowie obozowi, którym Hetman, mimo wiedzy rycerstwa swego, dla pozoru tylko w szyki ustawić się kazał: ztąd wieść pomiędzy naszymi i u nieprzyjaciela rozchodzić się zaczęła, że Jan Radziwiłł z nowémi posiłkami z Litwy przyciągnął. Naszym serce rosnąć, nieprzyjacielowi upadać zaczęło. Znając Hetman, jak wiele od piérwszego natarcia zależy, kazał uderzyć we wszystkie bębny i kotły, i hufiec Wincentego Wojny pchnął na łamanie czoła wojska szwedzkiego. Długo nieprzyjaciel nieporuszony jak mur, nadstawiwszy potężne włócznie, rażąc z muszkietów ludzi i konie naszych, przełamać się nie dał; husarze nasi pędem koni tratując, bodząc kopijami, szablami nakoniec ucinając drzewca, rum sobie czynili: za nadbiegnięciem Kurlandczyków, pod dowództwem Xięcia Ketler, lennika królestwa, Polakom na pomoc przybyłych, nadwerężone już szyki łamać się zaczęły. Pękł nakoniec ten utkany spisami parkan; śmierć walecznego Lindersona, ostatek mu serca odjęła. Wojownik ten, od ciężkich ran na nogach utrzymać się nie mogąc, padł na kolana, i nim skonał, kilku naszych zabił.

Gdy się tak powodzi Polakom na czele, Tomasz Dąbrowa, przywodzący lewemu skrzydłu, korzystając z powstającego od morza wiatru, dym i piasek miotającego w nieprzyjaciół oczy, znosił rajtarów Mansfelda. Od jego to szabli poległ ów Xiąże Limbursko-Brunświcki, który o trwożliwość posądzony niesłusznie od Sudermana, bez hełmu na głowie potykał się pieszo: znaleziono ciało jego z rozpłataną głową i ręką uciętą. Uporczywiéj szła walka, gdzie Jan Piotr Sapieha przeciw Brandtowi potykał się: podwakroć nieprzyjaciel poprawiał się, i z zażarciem wracał do boju; sam Hetman był w niebezpieczeństwie życia: gdy bowiem biega pomiędzy szykami i rycerstwo zachęca, rajtar szwedzki pomyliwszy się, zamiast wodza, jednego przy nim będącego młodzieńca z pistoletu zabił. Poskoczył sędziwy Chodkiewicz, i w biegu konia szablą zdjął mu głowę z kadłuba. Przybywają wtém na pomoc z chorągwiami swémi: Wilamowski, Gedrojc, Borkowski, Łaski i ostatecznie Szwedów spędzają. Tu już okropne pomieszanie i rzeź krwawa: pierzchających w nieładzie z zapal-

czywością siekli nasi. Sam Suderman raniony, uciekając do morza bez kapelusza, byłby wpadł w ręce naszych, gdyby mu był Henryk Wrede nie podał konia, i własnym zgonem nie ocalił mu życia. Na samém pobojowisku naliczono dziewięć tysięcy trupów, prócz tych, co daleko w ucieczce przez ciurów i miejscowe chłopstwo pobici. Poległo wiele znakomitéj szlachty: Brandt schwytany żywcem, jako zmiennik, w Krakowie gardłem skarany; wzięty cały obóz szwedzki, dział jedenaście, chorągwi sześćdziesiąt, kredens srebrny i wiele kosztownych sprzętów.

Z naszéj strony najwięcéj włóczniami nieprzyjaciół pobitych i poranionych koni, poległo do stu z rycerstwa, więcéj nierównie ranionych.

Chodkiewicz oczyściwszy Inflanty od nieprzyjaciela, wszedł w tryumfie do Rygi, pogrzebał z uczciwością ciała poległych, i Jana Piotra Sapiehę wysłał do Króla, z doniesieniem o tak ważném zwycięztwie. Przybył Sapieha do Krakowa dnia 6go Października, właśnie, gdy Król znajdował się na nabożeństwie w kościele katedralnym Sgo Stanisława, a sławny wymową Piotr Skarga [1] kazał przed zgromadzonym Senatem i Dworem. Natychmiast Kaznodzieja przerwał swą mowę, padł na kolana przed Bogiem Zastępów; padł Zygmunt, Senat i lud zebrany; wszyscy z schyloném ku ziemi czołem dziękowali Bogu Zastępów za dane to tak świetne orężowi polskiemu zwycięztwo.

Głośném naówczas po całéj Europie stało się to Chodkiewicza zwycięztwo; Papież Paweł V., Cesarz Rudolf, Jakób I., Król Angielski, złożyli mu powinszowania swoje. Sztycharz Thum wyrył tę bitwę kircholmską na miedzi; sam nawet Sułtan turecki i Szach Abbas, Król perski, winszowali go Zygmuntowi IIImu. (Z Panowania Zygmunta III. p. Niemcewicza.)

6. BITWA I KLĘSKA WARNEŃSKA.

(Z roczników Chodży Effendego. [2])

O świcie jutrzenki zagrzmiały hasła do boju. Łucznicy rozpoczęli bitwę; a gdy pełne strzał sajdaki wystrzelano, z mieczem w ręku obie strony rzuciły się na siebie. Powstała rzeź krwawa, mnóstwo mężnych poległo rycerzy: przewyższający liczbą nieprzyjaciel gwałtownie nacierał i już zwyciężał, gdy waleczny Bejlerbej Anatolii, Karadża, padł od niewiernego żelaza; [3] zmieszani i przerażeni Sipahowie poszli natychmiast w rozsypkę. Przy osobie Sułtana (Miurada II.),

1) Zob. strona 41. 2) *Audiatur et altera pars.* 3) O tym mówią Kromer i Sarnicki, że go Król własną ręką zabił.

oprócz bokowéj straży i wiekiem schylonych Bejów, nikt więcéj nie zostawał. Przerażenie i rozsypka tak były powszechne, że niektórzy rocznikarze, za nadto śmiałéj używając przenośni, powiadają, iż uciekające na wszystkie strony wojsko, rozsianiem się swojém przestrzeń jednego dnia drogi zajmowało. Mewlana Idris potroił jeszcze tę przenośnią, twierdząc, iż rozpierzchnienie dosięgało od pola bitwy, która się na płaszczyznie Dobrocza odbywała, aż do rzeki Kamczy, o trzy dni drogi ztamtąd oddalonéj. Sułtan widząc ustępujących, na których się opierała nadzieja zwycięztwa; wzniósł umysł do Boga, i „Panie!“ zawołał, „przez godność Królów, wypływającą z twéj potęgi, przez waleczność i gorliwość wojowników wiary, szafujących krwią i życiem dla obrony praw twoich! Boże! przez największego i ostatniego z Proroków, który twe prawdy objawił ludziom, co wskazał drogę do twéj łaski; któregoś ty nad wszystkie wywyższył stworzenia! przez czystość jego niebieskiéj duszy; przez światło, którém on jaśnieje! nie oddawaj wojowników Islamu na zdeptanie ludu, wykarmionego w sromotnym błędzie, nie uznającego twéj potęgi! Nie przywalaj obrońców wiary hańbą zwycięztwa niewiernych. Dopełnij swéj obietnicy, danéj w słowach, iż zwycięztwo wiernych będzie dla nas powinnością. Podnieś twą potęgą rzucone wiary znamiona.“ Tak Sułtan błagał pomocy Pana zwycięztw, a stanąwszy jak mur nieprzełomny, własnym przykładem wzniecił stłumione swych żołnierzy męztwo. Niebo przyjęło jego prośbę. Król uniesiony zapałem zwycięztwa, usłuchał obłudnych słów Janka,[1] radzącego, aby na obóz Szacha uderzył. Z garstką żołnierza i z dobytym mieczem wręku, Król chełpliwy z swéj odwagi, leci w tę stronę, i nie zatrzymuje się, aż przed Sułtanem. Miurad z cierpliwością znosząc zuchwałość niedowiarka, i wezwawszy pomocy niebios, gdy się już Król przybliżał, rzekł do będącéj około siebie straży: „Tego obłąkanego, chełpliwego potępieńca, odłączcie od jego orszaku, a własna jego natarczywość będzie przyczyną zguby. Gdy lecąc jak dzik raniony, w pośrodek was będzie wpadał, rozstąpcie się na obie strony, a potém nagle się zemknąwszy, jego zabiciem dokonajcie Bogu przyjemnego czynu.“ Król niedowiarków nierozważnie pędząc konia, zagrzany niebaczném męztwem, daleko się przed swoich wypuścił, i prosto pędził na świetny buńczuk Padiszacha. Wtenczas żołnierze, stósownie do rozkazu, otworzywszy drogę temu psu bez duszy, zwarli się i opasali go z częścią oddziału; a Jańczar, imieniem Kodża Chyzyr, dzielném natarciem ranił mu konia, zwalił na

1) Jana Huniada, wodza węgierskiego.

ziemię wychowańca piekła, uciął nikczemną głowę, i przynosząc ją Padiszachowi, pochwały, względy i hojną nagrodę osiągnął. Ci, co wespół z tym obłąkanym młodzieńcem wpadli w pośrodek żołnierzy, jak osaczone w ostępie zwierzęta, wykłuci i pałaszami rozsiekani zostali. Widząc w tym przypadku widoczne niedościgłionéj Opatrzności dzieło Szach, uradowany i jaśniejący chwałą, zawołał: „El-hamdu lillahi alaz-zefer!... Chwała bądź Bogu z zwycięztwa!“ Odrąbaną zaś głowę na włóczni utkwić kazał, dla przerażenia jéj widokiem zapamiętałych niedowiarków. Uderzono w kotły odgłos zwycięztwa; wojsko zwróciło konie na nieprzyjaciela, a niewierni ujrzawszy na proporcu głowę nieszczęśliwego Króla, strachem przeniknieni, szyki swe pomieszali. Chociaż Janko, potępieniec, ożywiając męztwo żołnierzy, wołał: „Żeśmy tu nie przyszli jedynie dla Króla, że przedmiotem naszym jest obrona i utwierdzenie wiary;“ obłąkańcy jednak, uderzeni w serca piorunem rozpaczy, przerażeni dzielném natarciem Muzułmanów i cudowną islamskiéj wiary potęgą, nie widzieli przed sobą innego środka nad ucieczkę; nic żaden z nich nie myślał, jedno jakby uchodzić tą, co przyszedł drogą.

Gdy niewierni tak porażeni zostali, Sułtan w pogoń za nimi Dewer-paszę z rumilskiém wojskiem wyprawił. Ten przez dwa dni i dwie nocy spiesząc za uciekającymi, dognanych ciągle mordował lub zabierał w niewolę. Po bitwie w moc zwycięzców dostało się 250 wozów, napełnionych ogromnémi bogactwy, które udziałem wojowników zostały.

Gdy się rzeź uśmierzyła, Sułtan w towarzystwie jednego z bokowéj straży, imieniem Azeb-beja, przejeżdżał się po polu bitwy, i obracając się do niego: „Co znaczy,“ rzekł, „Azebie, iż pomiędzy tylą niedowiarkami, żadnego z siwą nie widać brodą?“ — „Padyszachu,“ odpowiedział, „gdyby się pomiędzy nimi choć jeden sędziwy znajdował starzec, nigdyby się to z nimi nie stało.“

(Sękowski, Professor języków wschodnich w Petersburgu, w dziele Collectanea z dziejopisów tureckich rzeczy, do historyi pol. służących; w Warsz. Tom I. 1824. Tom II. 1825.

E. CHARAKTERY I PORÓWNANIA.

1. LUKULLUS.

W przysłowie poszły Lukulla przepych i zbytki. Ogrody jego i pałace wtenczas nawet, gdy Rzym w największéj wspa-

niałości zadziwiał świat, nie traciły szacunku. Cesarze przebywali w gmachach, które on przy roskosznych ogrodach swoich powystawiał.

Dom jego w Rzymie, który wielkością, wspaniałością, wyborem kunsztów i gustu, wszystkie inne przechodził, stał otworem i swoim i przychodniom. Biblioteki, z najszacowniejszych rękopismów złożone, każdego czasu zgromadzały tych, którzy z nich chcieli korzystać. Przyjmował z ludzkością i podejmował hojnie przychodniów; a przechadzając się po wspaniałych przysionkach gmachów swoich, rad się zabawiał uczonémi rozmowami najznakomitszych wówczas mędrców, sam niemniéj w naukach biegły. Nie żałował wydatków na wsparcie kunsztów i rozmnożenie oświecenia: wielu w domu utrzymywał, wszystkich zaś prawie, czy uczonych, czy w kunsztach biegłych, w każdéj potrzebie bronił i wspierał. Jemu winny nauki i rękodzieła tę doskonałość, do któréj wkrótce przyszły, i która potomne wieki zadziwia; i jeżeli zbytkiem gorszył, użyciem uczciwém i zdatném niezmiernych bogactw, nagradzał zbyteczną, ile w równości jeszcze naówczas, okazałość.

W tak słodkim spoczynku, syt sławy i użycia, dokonał wieku, i w tém szczęśliwy, że na zgubę ojczyzny nie patrzał.

(Krasicki.)

5. KAZIMIERZ WIELKI.

Kazimierz W. był wzrostu wysokiego i otyły, włosów gęstych i kędzierzawych, brody długiéj; mówił głośno, lecz nieco zająkliwie. Wsławiły go bardziéj dzieła w pokoju znakomite, niżeli wojenne sprawy; a przeto z tamtych zasłużył sobie bardziéj na imię Wielkiego, to jest z budowy wspaniałych i pożytecznych gmachów, dźwigania zamków i miast, opasowania ich murami, rozrządzenia wnętrznéj kraju ekonomiki, i innych przezornego Króla i bacznego gospodarza czynów. Zjednał sobie prócz tego miłość powszechną we wszystkich stanach, hojnością, sprawiedliwością, łaskawością, łatwym każdemu przystępem, a bogatym i wspaniałym, jak na Króla przystało, w domu i podróżach obejściem. Inni mu z postaci i wzrostu nadane imię Wielkiego, przeciwnym ojcu Władysławowi sposobem, być rozumieją, pomyliwszy się podobno na niedobrze zrozumianych wyrazach prawdziwéj łaciny.[1] Dzieła tego Króla, których szacowne ślady dotąd widzimy, sprawiedliwiéj to imię do zasług jego i przymiotów wielkich stósować każą, niżeli do wzrostu, bez wielkości duszy mało znaczącego.

1) Wyraz magnus nie wzrost, ale przymioty duszy oznacza.

Albowiem ten monarcha potargawszy niewywikłane owe dawnych zwyczajów i szkodliwéj legislacyi na plątaninę i zagubę drobniejszych obywatelów sidła; prawa jasne, czyste, do wszystkich stanów stósowne, albo poprawione zachował, albo nowe utworzył. Skargi i potrzeby uboższych nie tylko cierpliwie słuchał, ale onym dzielnie zaradzał. Nie zbytkowali za jego panowania dziedzice dóbr nad pracowitém wieśniactwem. Znał dobrze kmieć, do roli urodzony, powinność poddanego i stan swój; lecz nie czuł się bydlęciem. Dla téj przyczyny nazwano tego pana Królem Chłopów, że ich ciemiężyć nie dopuszczał. Zabranych w czasie wojny lub napadów nieprzyjacielskich w niewolą ludzi swoich, własnym kosztem wykupował. Surowości w ukaraniu winowajców rzadko używał: lecz publiczne występki (łotrowstwa) ostro karał. Polskie królestwo, dawniejszémi wojnami i innémi klęskami z bogactw i mieszkańców wyniszczone, uczynił ludniejszém, przez zakładanie prawem teutońskiém wsi i miasteczek na gruntach tak swoich, jak szlacheckich i duchownych, do których w znacznéj liczbie obcy się garnęli, łagodnością praw, i nadzieją własności dla siebie i potomków swoich przynęceni. Całe Podgórze ruskie i małopolskie, tudzież inne miejsca pograniczne, różnych teraz rzemieślników pełne, sąto osady pierwiastkowe tego dobroczynnego Króla.

Nigdy Polska tyle zamków i miast murowanych nie widziała, jak za Kazimierza. On zamek krakowski przyozdobił i wzmocnił, który potém następni Królowie na inny kształt, wiekom późniejszym przydatniejszy, przemienili. On w mieście tém wrynku sklepy różne dla kupców zbudował, a za miastem zwierzyniec założył. Długosz [1] powiada, iż ten Król zastawszy Polskę z lepianek i drewna ukleconą, kamienną i ceglaną zostawił: i że od tego dopiero Króla zaczęli Polacy nabierać gustu do murów.

(Z Historyi narodu pol. p. Naruszewicza.)

3. JAN ZAMOJSKI.

Pan Kanclerz jest to mąż roztropny, rozważny i bardzo biegły: z wielką mówi uwagą, i znać, że się zastanawia nad tém, co mówi; a przeto zwolna odpowiada: lecz można widzieć na nim poruszenie, gdy wpadnie na materyą mniéj dla

1) Jan Długosz, Dlugossus albo Longinus zwany, Nauczyciel synów Kazimierza Jagiellończyka, nakoniec Nominat Arcybiskup lwowski, † 1480 r. On piérwszy napisał porządniejszą i wiary godniejszą kronikę dziejów ojczystych w łacińskim języku, piérwszy raz drukowaną w Dobromilu r. 1615.

siebie przyjemną. Zwykle z cudoziemcami rozmawia połacinie, lubo z łatwością tłumaczy się w pięciu lub sześciu językach. Bardzo lubi naród włoski, i zwykł mawiać: Padavium virum me fecit (Padwa człowiekiem mnie zrobiła), dla tego, że się uczył w Padwie, i tam był Rektorem.[1] Dość chętnie słyszy swe pochwały, lecz wszystko przyjmuje z skromnością: słowem, zawsze postępuje sobie z powagą prawdziwie senatorską. Wzrost jego jest wyższy nad mierny, postać piękna i rzeska, twarz okrągła, rumiana, wesoła, przytém bardzo poważna. I lubo powiada, że nie ma więcéj nad lat pięćdziesiąt, jednakowoż włosy i broda, którą goli, zupełnie są siwe. Ubiera się z ruska, płaszcz czyli ferezya z szkarłatu długa pokostki; żupan miał z damaszku karmazynowego. Ten ubiór odmienia co do materyi, podług pory roku, który zawsze jeden zachowuje. Bóty nosi podkute popolsku, zawsze szabla przy boku, a kandziar (nóż turecki) za pasem. Mówiąc, miał prawie zawsze głowę odkrytą, i nie często patrzy w oczy temu, z kim mówi.

Powaga i nadzwyczajna władza Kanclerza ztąd pochodzi, że oprócz dostojności Kanclerza W., sprawuje razem urząd Hetmana i najwyższego wojsk wodza. Połączył te dwa urzędy w jednéj osobie zeszły Król Stefan Batory, znając doskonale wysokie przymioty Zamojskiego, i zaślubił go z synowicą swoją. Lecz zapewniają, że po zgonie jego dwie te dostojności rozłączone zostaną, ze względu na ważność i niebezpieczeństwo z połączenia w jednych ręku władz tak wysokich. Tylko ma jednego syna, i ten będzie bardzo majętny. Mówią, że Kanclerz w saméj gotowiźnie rachuje do miliona czer. złot.; żyje okazale, nie tylko popańsku, lecz prawie pokrólewsku: utrzymuje dwoistą gwardyą nadworną. Ma kapelę złożoną z muzykantów i śpiewaków; ta zawsze grywa przy stole. Na dworze swoim mieści wiele szlachty.

(Z Zbioru pamiętników pol. przez Niemcewicza.)

4. UŁOMEK CHARAKTERU WYSZKOWSKIEGO.[2]

(Przez niego samego skreślony.)

Wiem dobrze, iż w ród, talenta, naukę niezamożny, imię moje nie będzie głośném po zgonie, ani tego żądam; lecz dla czegóż nie miałbym zdaleka naśladować tylu mężów, którzy

1) Dawniéj było zwyczajem, że uczniowie z grona swego wybierali Rektora.

2) Michał Wyszkowski, gładki tłumacz kilku poematów z niem. i franc. (Faeton, świątynia nudów, i t. d.) † 4. Maja 1829 r. Poezye jego wyszły w Warsz. r. 1830.

chwalebnym zwyczajem zostawili nam własne i najprawdziwsze o sobie wyobrażenie. Oni pisali dla świata, mnie niech wolno będzie okryć się szczupłéj liczbie przyjaciół i znajomych. Skromność przewodniczyła wszystkim mym postępkom, skromność i w tém wyznaniu piórem kierować będzie.

Wszystko, com umiał, sobie samemu winien jestem. Byłbym może miał nieco przyrodzonéj zdatności, mianowicie do poezyi i muzyki; lecz stan mierny i okoliczności wychowania, do rozwinięcia tych władz umysłu w pierwiastkach na zawadzie stanęły. Następnie oddany do stolicy, lubo gorliwie i czynnie pragnąłem nabycia różnych wiadomości, zasłyszanych ledwie w szkołach publicznych; lubo dzięki nieskończone Nauczycielowi memu, niewygasłéj pamięci Onufremu Kopczyńskiemu, [1] iż we mnie przykładem i pracą smak i ochotę do nauk zaszczepił; lecz już wtedy wątłe zdrowie, którem od natury odebrał, i ciągłe natężanie umysłu, nie dało mi znacznych w literaturze uczynić postępów. Nazwisko tylko przyjaciela nauk w Towarzystwie król. warsz. mnie istotnie przystało.

Szczupły obręb osobistych stósunków nie pozwolił mi w życiu publiczném nic znakomitego przedsiębrać, ani dokonać. Pewnie nawet, przy słabéj fizyczności, nie posiadałem tyle tęgości charakteru i męztwa, na odpieranie zwykłych na téj drodze przeciwności; ale téż, dzięki niebu! daleki od wszelkiéj żądzy znaczenia, nie miałem dumy piąć się na świetne lecz ślizkie stopnie; pochlebstwem zaś i podłością nigdym się nie zmazał. Szlachetna dusza zginać się przed możnymi nie umie, i podług mojego zdania, oburzająca pycha mniéj jeszcze złego zrządza między ludźmi, nad zmyśloną i niewczesną pokorę, bo ta jest pierwszéj żywiołem. Obierając zawsze towarzystwa między równemi mnie osobami, do których wabiła przyjemność, troskliwie unikałem wielkiego świata, gdzie powszechnie czczość i obłuda panuje. Sposób myślenia prosty i otwarty znali przyjaciele, z którymi mnie bliższe stósunki łączyły. Ani fałsz i podejścia, nikczemne występki; ani zazdrość, podejrzenie, chciwość lub zemsta, dręczące serca przywary, nie miały do mnie przystępu, i nigdy mi dni pogodnych nie struły.

5. CHARAKTER KOŁŁĄTAJA.

Był Kołłątaj wzrostu nadobnego, ale nie przerosłego, twarzy białéj, okrągłéj, czoła wysokiego, nosa równego u wierzchu i okrągławego, oczu i włosów czarnych, brwi dobrze okrytych; postaci z wejrzenia ponuréj, ale przystojnéj i

1) Zob. niżéj o krasomówstwie w Rozdz. VI.

szykownéj, w mowie łagodny i poważny, płynnie i przyjemnie się tłumaczący. Umysłu przytomnego i rzadko się mieszającego. Charakteru żywego, śmiałego, więcéj skrytego jak otwartego. W mocnych poruszeniach umiał się miarkować i posiadać. Tkliwy na cierpienie ludzi, nie miał w sobie ani zawziętości, ani zemsty. W przywiązaniu giętki aż do słabości: w przyjaźni nadto łatwy, stateczny, ale nieszczęśliwy. Sam obyczajów prostych i czystych, zawsze baczny na przystojność, był na słabości ludzkie wyrozumiały, dla swych sług i domowników słodki i przychylny. W wydatkach domowych hojny, lubiący życie wystawne i wygodne, ale umiejący spokojnie znosić niedostatek. W zamysłach i przedsięwzięciach śmiały aż do zuchwałości, stały i wytrzymały aż do uporu: żadne przeszkody i zawady nie zdawały mu się do pokonania trudne, bo w żyznéj swojéj głowie znajdował zaraz rozliczne środki do uniknienia ich, albo do zwyciężenia; i dla tego, gdy raz plan robót ułożył i popierać zaczął, wszystkie zarzuty i trudności były tylko popisem dla jego głowy, ale nie osłabieniem jego przedsięwzięcia. Przy bystrém pojęciu, przy dziwnéj łatwości w robieniu i pisaniu, pracowitość wielka i niezmordowana. W przeciwnościach cierpliwość i wytrzymałość prawie stoiczna. Naukę i każdy w ludziach talent kochał, ujmował i poważał. Wtém, czego się nie uczył, albo czego dobrze nie rozumiał, nie knował sobie zdań i urojeń; ale pilnie wybadywał tych, których zaufał biegłości; a chwyciwszy zasadowe początki i myśli, potrafił je dobrze objąć i rozwinąć w swéj głowie, przez co utworzył sobie czysty, ogólny widok nauk i trafny o nich rozsądek. Lubił się radzić, pisma swoje wprzód przyjaciołom rzeczy świadomym czytać, nim je ogłosił; każdą poprawę, trafiającą do jego przekonania, chętnie przyjmował. W prawie kościelném i w dziejach krajowych, wiadomości miał rozległe i gruntowne. Piękne sztuki, osobliwie budownictwo i malarstwo, lubił aż do zapału; artystom wiele pomagał i świadczył. Miał dosyć szacowny zbiór obrazów, które w rewolucyi krajowéj stracił. Wybudował z gruntu, niewielki, ale bardzo gustowny z kamienia ciosowego kościół w Krzyżanowicach, z kolumnami porządku doryckiego: w nim trzy pięknéj prostoty ołtarze z obrazami wielkiémi, Stworzenia, Odkupienia i Uwielbienia człowieka, w których się pędzel Smuglewicza[1] najstaranniéj popisał. Dla miłości budownictwa pragnął dostatków, żeby mógł wspaniałémi budynkami kraj zdobić i ubierać.

1) † 1807.

Mąż tych przymiotów i darów, mógł szczęśliwie dowodzić, i okryć się chwałą na spokojném polu nauki i rozmyślania: ale wystąpiwszy na scenę rozpaczy ginącego narodu, gdzie wszystkie wysilenia rozumu, bez nadzwyczajnego w sztuce wojskowéj talentu, są próżne i daremne; gdzie Minerwa nie wcieliwszy się w Bellonę, jest bóstwem mało przydatném; musiał spotykać wyrok twardego przeznaczenia, skazujący go na pastwę zawziętości i zemsty! Rewolucya krajowa, jest jak owa bajeczna u poetów Circe, która swoich dowódzców przeobraża albo w burzycielów porządku, gdy się nie uda; albo w bohatérów i zbawców, gdy swego dopnie. Złorzeczenia i wyrzuty w nieszczęściu, przemieniają się na błogosławieństwa i uwielbienia w powodzeniu. Kto się puszcza na to morze niebezpieczeństw, poddaje się téj nieuchronnéj wypadków kolei. Uważając nawet usiłowanie Polaków w sprawie narodowéj jako błąd polityczny, wiemy, że go Kołłątaj nie popełnił, ale w odmęt już popełnionego był zagarniony. Wchodził tylko dzielnie do gwałtownych lekarstw ratunku: mylił się i zawodził, kiedy się prawie wszyscy mylili i zawodzili. Najwięcéj za te omyłki odpokutował, bo najwięcéj ucierpiał: owszem, poświęciwszy wszystko, podzielił zupełnie swój los z Ojczyzną, straciwszy wszystko, prócz honoru i sławy.

(Z Żywotu Kołłątaja przez Jana Sniadeckiego.[1])

6. PORÓWNANIE ALEXANDRA Z CEZAREM.

Ze wszystkich, których nam wystawują dawne historye, bohatérów, powszechném zdaniem, najznamienitsi są Alexander i Cezar; porównanie więc onych samo z siebie wypada. Postać ich była wspaniała i kształtna, ale toż samo, które pieści, umie i upokarzać przyrodzenie; krzywy miał kark Alexander, a Cezar był łysy. Żeby więc mniéj wydatną uczynić obudwu przywarę, nadkręcali sobie karków Alexandra dworzanie, Cezara uwieńczyli, żeby łysinę zakrył. Aże co pańskie, to dobre, i łysina i krzywość stały się wdziękiem.

Tchnęli nienasyconą chęcią sławy i pierwszeństwa; wszystkie też ich zamysły i czyny jedynie do tego celu dążyły. Doszli go, lecz nie użyli, zostawując pamiętną następcom naukę, iż nie na czczych pozorach prawdziwa szczęśliwość zawisła. Jeżeli jednak wyniosłość usprawiedliwić można, znośniejsza była w Alexandrze, z ojca króla w narodzie podległym urodzonym, niż w Cezarze, który dla nasycenia żądzy

1) O życiu i pismach tego męża zob. niżéj w Prozie dydaktycznéj; o Sniadeckim w Rozdziale VI.

swojéj śmiał się targnąć na własną ojczyznę. Odwaga ich osobista trzyma się w równi. Alexandrowi, wpław przeciw niezliczonemu Persów wojsku przebywającemu Granik, nie ustępuje Cezar, rzucający się w morze wśród padających na siebie pocisków, gdy w porcie Alexandryi do swoich się okrętów przedzierał. Pierwsi nieraz wpadali na nieprzyjaciela, i przelaniem krwi własnéj, nieustraszonego męztwa dawali przykład.

Nikt Alexandra nie zwyciężył, Cezar był niekiedy zwyciężonym, co mu się nawet i przed bitwą farsalską zdarzyło. Nie miał dość czasu los wywrzeć na piérwszego srogości swojéj; kto wie, czyliby daléj takowéj odmiany nie doznał. Cezar do lat już podeszłych walcząc, musiał się z równymi i w męztwie i umiejętności potykać; mniéj więc rzecz podziwienia godna, iż niekiedy mógł być pokonanym.

Krótkość wieku zdaje się dawać pierwszeństwo Alexandrowi, ale téż Cezar późniéj zaczął; a przeciąg czasu, kto wie, czyliby był nie umniejszył Alexandra wielkości; o co losowi nie trudno, tak, jak w osobie równie wielkiego Pompejusza nadarzył. O wielu mówić można, iż sami się przeżyli; szczęściem to może było i Alexandra i Cezara, iż w pełności sławy, piérwszy z nich swoją winą, drugi zdradą życie utracił.

Wojen, które wiedli, przyczyny i skutki, w to porównanie iść powinny. Gallów, grożących Rzymowi, a dawniéj burzycielów zwyciężając Cezar, wybawił z niebezpieczeństwa ojczyznę; ale raz uskromiwszy, niesłychanémi morderstwy, gdy ich niszczył i wytępiał, nie już Rzymowi, ale dumie własnéj dogadzał; Persów przemoc wielokrotnie ku zniszczeniu Greków zmierzała; świeże były Xerxesa wyprawy, śmierć heroiczna Leonidy, zburzenie Aten, Macedonii samejże klęski: że więc obrócił oręż przeciw powszechnemu nieprzyjacielowi Alexander, godzien uwielbienia; gdy jednakże łupem Persów widziem nienasyconego, gdy szukał, coby daléj pokonał, dla tego tylko, iżby zwyciężał, równie go jak i Cezara obwiniać należy.

Powstał przeciw swojéj ojczyznie Cezar, i to go nie usprawiedliwia, iż się już Rzym, jak śmieli twierdzić niektórzy, bez pana obejść nie mógł. Alexander nieprzyjacioły swoje gromił, i choć niebytnością zdał się krzywdzić kraj własny, uczynił go sławnym i możnym. Przelał krew współbraci swoich odrodny Cezar; wojował wprawdzie z Grekami Alexander, ale nie był ich współziomkiem, ile własnego kraju jedynowładca; wojował z Grekami i zwyciężył ich, ale zaczepiony, w obronie własnéj otrzymał zwycięztwo.

Wspaniałość umysłu wznosi prawie Alexandra nad człowieka, i w téj mierze kłaść się nawet z nim w porównanie Cezar nie powinien.

Alexander idąc za serca czułego powodem, szczodrobliwością uszczęśliwiał. Juliusz pomyślną hojnością kupował przyjacioły, nie żeby ich uczynił szczęśliwymi, ale, iżby mógł przez nich sam się uszczęśliwić.

Ludzkością byli chwalebni, jeźli ludzkimi burzycielów nazwać można; różnili się więc przynajmniéj w téj mierze od podobnych sobie i poprzedników i następców.

We wstrzemięźliwości zdaje się przewyższać Cezar Alexandra; w skromności i wstydzie któżby śmiał równać rozpustnego Cezara z Alexandrem? Obudwom to nakoniec służy, co jednemu z nich złapany zbójca, gdy się go pytał, jakiém prawem po morzu rozbijał, odpowiedział: „Takiém, jak ty po lądzie i morzu; z tą tylko między nami różnicą, iż ja miałem jeden okręt, a ty masz ich więcéj nad sto.“ (Krasicki.)

7. PORÓWNANIE KRASICKIEGO Z NARUSZEWICZEM.

Miała razem dwóch ludzi Polska, których dzieła lubiła czytać i porównywać, a na których, jak na dwie celne literatury swojéj ozdoby patrzyła: Naruszewicza i Krasickiego. Piérwszy wychowany w surowéj szkole uczonego zgromadzenia (Jezuitów), drugi wykształcony w polerowanéj szkole świata, wzięli odmienne na umysłach piętna, które na swoich pismach wycisnęli. Ztąd Naruszewicz poważny, a w samych żartach ciężki; ztąd Krasicki miły, zabawny, ujmujący. Obadwa obdarzeni świetnémi od natury talentami, lecz Naruszewicz więcéj sobie zadawał pracy, Krasicki więcéj szedł za swoim dowcipem. Naruszewicz miał więcéj głębokości, więcéj świetności Krasicki. Tamten się zapuszczał w nieprzebrnione morze erudycyi, ten biegał po uśmiechających się imaginacyi przestrzeniach. Krasicki w piérwszéj zaraz młodości nabrał dobego smaku; Naruszewicz w początkowéj edukacyi wyczerpnął coś z szumnego stylu, który nie dawno panował w Polsce, i nigdy się zupełnie z téj wady otrząsnąć nie mógł. Dla tego Krasicki zawsze gładki, naturalny; Naruszewicz często szumny, a czasem nadęty. Naruszewicza niezmierna z początku chwała wierszopiska, coraz w oczach ludzi gustownych zmniejszała się, a natomiast wzrastała chwała jego dzieł pisanych prozą. Krasicki, mimo pięknych i dowcipnych dzieł, niewiązaną mową wydanych, utrzymał celniejszy zaszczyt z poezyi. Obadwa ludzie rzadcy, wzajemnie siebie szacujący,

byli ozdobą narodu i światłem nauk polskich. Lecz Naruszewicz pójdzie do potomności jako tłumacz Tacyta i dziejopis, Krasicki jako poeta. Naruszewicz będzie w ręku uczonych, Krasicki w ręku wszystkich.

(Z mowy na pochwałę Krasickiego przez Dmochowskiego, tłumacza Illiady, † 1808.)

F. WYIMKI Z ROMANSÓW HISTORYCZNYCH.

1. SEJMIK W PROSZOWICACH.

Dzwony wszystkich kościołów ogłosiły nakoniec godzinę sejmików. Każdy z partyą swoją dążył do kościoła: Imć Xiądz Infułat Kobylański intonował wotywę *de spiritu Sancto*, i wraz po skończoném nabożeństwie wyniósł *Sanctissimum* do zakrystyi. Postawiono stół, suknem zieloném okryty, z krzesłami w około dla Senatorów i urzędników. Wszedł Poseł od Króla, przeczytał uniwersał, propozycye od Tronu, i wszystkich zachęcał do zgody. Gdy skończył, powstał szmer w natłoczoném mnóstwie. Był to ocean głów, podług gwałtowności poruszeń, mniéj lub więcéj burzliwie chwiejący się w rozmaite strony; na jednych wygolonych lśkniły się szumne seledzce; [1] drugie były zapuszczone, niektóre utrefione z flamandzka. Podobnaż i w ubiorze różnica; niektórzy w czamarach, inni na żupanach mieli drugą szatę, z uciętémi po łokieć rękawami: przedniejsi w ferezyach, spiętych na lewém ramieniu na mniéj lub więcéj kosztowne klamry: u wszystkich kordy lub karabele u boku, w ręku czekany. [2] Twarze ozdobne pokrętnym wąsem, tchnęły wyrazami powagi i męztwa.

Podano z strony królewskiéj Pana Pełkę na Marszałka sejmiku. Nie pozwalamy! odezwali się przyjaciele Tęczyńskiego; Pan Niemira będzie Marszałkiem. — Ten tylko będzie, przerwał młody Jan Zamojski, kogo większość obierze; pójdźmy na kréski. — Na co tu krések, zawołał Pan Dębiński; dosyć spojrzeć, by widzieć, gdzie większość: czapkami was wszystkich zarzucim. — Nie byłby to, rzekł Zamojski, sposób obradowania, godny wolnych ludzi. — Prosimy, odezwało się kilka głosów, z większém uszanowaniem mówić o nas, nie ludzie, ale szlachta jesteśmy; niech nam tu ba-

1) Seledec, kosa na głowie w warkocz zapleciona.
2) Młot, pałka, broń dawniéj używana.

kałarze z Padwy[1] nie przepisują praw. — Ani też, przerwano ze strony królewskiéj, te Dony hiszpańskie i portugalskie,[2] co się nad sam Majestat wynoszą. — Nikt się tu nie wynosi nad równość! nad udzielone każdemu prawo, rzekł młody Tęczyński; mniejsza o Marszałka, byleby Posłowie byli tacy, którzyby gardząc prywatą, dobru publicznemu zaradzić umieli. — Tak jest, dobru publicznemu, zawołał jeden z strony Tęczyńskiego, ale nie dobru królewskiemu! — Biada krajowi, odezwał się młody Tęczyński, gdzie się dobro Króla od dobra kraju oddziela. — Są przypadki, rzekł Samuel Zebrzydowski, gdzie te dobra sprzeczne są sobie. Król Jmć znajduje swe dobro w téj Litewce,[3] którą, bez względu na stan swój królewski, mniema, że pojął, a my nieprzyzwoitość w tém tylko widzimy: niech Król Jmć pojmie godną Majestatu polskiego małżonkę. — Jeszcze nie skończył, a już tłum drobnéj szlachty ze skrzydeł kościoła, z pod chóru, do ugłuszenia wrzeszczeć zaczął: Precz z tą Litwinką, odesłać ją do Litwy! — Z większém uszanowaniem, odezwał się z zapałem Jan Zamojski, mówmy o małżonce królewskiéj; gdyby nią nawet nie była, zacnego rodu jest kobietą, to dosyć; każdy mąż prawy krzywdzić jéj nie da. — Tu stary Wojewoda Tęczyński zaczął się zżymać gniewem i niecierpliwością; co postrzegłszy przedniejsi rębacze jego, porwali się do szabel, i już posuwali do Zamojskiego, gdy młody Tęczyński, dobywszy także oręża, zasłonił go piersiami, swémi. Rębacze nie chcąc obrazić syna pryncypała swego, w tył się cofnęli.

Na takich sporach i krzykach zeszło kilka godzin. Raz zapalczywość między stronami do tego posunęła się stopnia, iż już przychodziło do krwi rozlania: już nawet ucho jedno było przecięte, gdy Stańczyk, śmieszek zeszłego Króla, szlachcic i obywatel Proszowicki, wskoczył na poboczny ółtarz: „*Quis furor o Cives!* zawołał, jakiż was szał ogarnął! „nie jak rozsądna szlachta, lecz jak ślepe zwierzęta rzucacie „się na siebie. Jeszcze się nie zaczęły obrady, jeszcze nie- „obrany Marszałek; a wy już gryziecie się i zabijacie! i cóż „to komu z was szkodzi, że Król, podług upodobania swego, „wziął sobie żonę? Nie widzieliście jéj zapewne; pewien „jestem, że każdy, co ją ujrzy, powie sobie: ach! gdyby „moja Jéjmość była tak piękna! I cóż dziwnego, że młodemu „Panu, te cudne oczy, ta twarz, ten uśmiech, te roje wdzię- „ków podobały się. Nie lepiéj że mieć Panią z własnego gniazda, „przywykłą do nas, znającą nas i obyczaje nasze, która i cie-

1) Zob. na str. 128. 2) Tęczyńskiego partya, który zwiedził te kraje. 3) Barbarze Radziwiłłównie.

„bie zrozumie, i ty ją zrozumieć możesz; która zebranych „w Polsce skarbów nie wywiezie za granicę, ale je rozda mię„dzy zasłużonych i potrzebnych swych ziomków. (Tu czyniąc alluzyą do królowéj Bony, i spozierając na X. Gamrata.) „Niech daruje Przewielebność wasza, rzecze, że tak się tłu„maczę.... Rozśmiali się wszyscy.... Stańczyk tak daléj mówił: — Pomieszaliście porządek we wszystkiém; jeszcze „nie obrany Marszałek, nie obrani Posłowie, a wy już o punkta „instrukcyi spieracie się; ładujecie wóz, a nie wiecie, kto go po„ciągnie. A potém, alboż to na owych tam ślubach kró„lewskich spoczywa całe bezpieczeństwo i pomyślność Rzeczy„pospolitéj? Czy Król Polkę, czy Niemkę weźmie, jeźli wy „nie złożycie poborów na wojsko, jeźli go nie wyślecie na „Podole i Ukrainę; dziki Tatarzyn splondruje, spali domy „wasze, będzie się żenił z żonami, z córkami waszémi; co mó„wię, będzie się żenił? zaprzeda je Turkom w brzydką niewolę. „Tych to wy raczéj unikajcie ślubów, zabezpieczcie granice „państwa waszego, a nie traćcie czasu na karbowaniu się sza„blami i drażnieniu niepotrzebnie młodego Pana. Gdyby on „gwałcił wolność naszę, więził nas samowładnie bez zezwo„lenia Stanów, tłoczył nas podatkami, podniósłbym i ja głos „mój przeciw niemu; gdy widzę, iż więcéj jest w was swy„woli, niż w Królu nadużycia, władzy Króla mego bronić będę.“

Tu hałas i krzyk niezmierny, nie dozwolił Stańczykowi mówić daléj: „Niech nas tu trefnisie nie uczą rozumu,“ odezwało się kilku.... Tém gorzéj dla was, odparł Stańczyk, gdy go tak mało w głowach waszych, że go wam aż trefniś przypominać musi. — Zciągnijmy go z ółtarza, wołali zewsząd, roznieśmy go na szablach!.... — Szanujcie w nim głos wolny Szlachcica polskiego, odezwali się drudzy: a gdy się tłum ów zżymał, młody Tęczyński, Zamojski i innych wielu obstąpiło ółtarz, i zasłonili Stańczyka. Nadaremnie Kmita, Wojewoda krakowski, dzwonił i stukał, chcąc spokojność przywrócić; jak w czasie gwałtownego pożaru, lub w mieście szturmem wziętém, przytłumione zapalczywego gniewu głosy słyszeć się dawały. Trwał zgiełk ten jeszcze przez dwie godziny i więcéj, gdy znów Stańczyk przeraźliwym głosem zawołał: *Silentium!* Czyli zmordowanie, czy ciekawość, co Stańczyk powie? sprawiły, że wszyscy umilkli. *Mali ominis, infaustaque haec dies,*[1] odezwał się śmieszek; czy widzicie Jaśnie Wielmożni, Wielmożni, Senatorowie, Prałaci, Urzędnicy i wy zgłodniałe tłumy! siedm godzin mija, jak tu siedzicie i wrzeszczycie, jednak do niczego przyjść nie możecie!

1) Złowieszczy i niepomyślny ten dzień.

„I cóż wam dalsze rokuje siedzenie?
„Chyba zemdlenie.“

„Czy widzicie, jak słońce waszémi odurzone i zmordo-
„wane krzykami, już się do spoczynku zabiera! I cóż się dzieje
„z wami samymi? Zziajani, zadyszeni, głodni, pozlewacie
„z czczości żołądków. Już dymy obracających się narożnych
„pieczeni, zalatują was aż do téj świątyni; szum wrzących
„miodów, piwa i wina, przyjemnie się o uszy wasze obija. O
„mili! o najukochańsi bracia moi! gdy dzień dzisiejszy *infau-*
„*stus est, cras dabit meliora Deus*: [1] usłuchajcie rady mojéj:

nunc vino pellite curas,
Cras ingens iterabimus aequor. [2]

„Idźcie więc jeść i pić, a ja solwuję sessyą na jutro, na
„godzinę dziewiątą.“

Jak łatwo nieuważne mnóstwo, z jednéj zbyteczności przechodzi do drugiéj! Też same tłumy, co przed chwilą wrzące od gniewu, na szablach roznieść odgrażały się Stańczyka, rozweselone żartami jego, zanosić się do śmiechów zaczęły. Najprzód odezwały się głosy: nie źle radzi Pan Stańczyk; już późno, lepiéj sessyą odłożyć na jutro. Po tych słowach, zrazu kilku, potém kilkunastu, nakoniec tłumami z kościoła wysypywać się zaczęli, tak dalece, iż gdy Wojewodowie i piérwsze matadory obejrzały się w około, kościół już prawie próżny znaleźli; musieli więc i sami odejść prezydować na przyjemniejszych obradach, bo na sutych i wesołych bankietach. (Z Romansu historycznego: Jan z Tęczyna, przez Niemcewicza r. 1825)

2. SEN.

Ztąd bystra rzeka od miasta przecina,
I z szumem pod most zapieniony bieży;
Owdzie Wielkiego dzieło Gedymina
Dotyka nieba twierdzami i wieży:
Indziéj to pola, to śliczna równina,
To się las bujny gałęziami jeży.
Prawdziwie, aby dom ten był wesoły,
Trzy się najmilsze zebrały żywioły. (Naruszewicz.)

Wiek już dochodził od téj pory pamiętnéj, gdy dzielny Gedymin, Xiążę Litewski, zmordowany raz polowaniem, z dworem i Panami, nad Wilią noc najpiękniejszą przepędzał; w téj saméj kniei, w któréj mu przed chwilą udało się ubić ogromnéj wielkości tura. Nie było to wprawdzie nadzwy-

1) Nieszczęśliwy, jutro nam Bóg pomyślniejszy los zdarzy.
2) Teraz winem osładzajcie troski.
Jutro puścimy się znowu na ogromne morze.

czajną rzeczą, szczęśliwémi w téj porze pochlubić się łowy; lasy przepełnione zwierzem, i polowanie, jedyna rozrywka Panów, wszelkiéj ku temu dostarczały łatwości. Ale tur Gedymina nie był pospolitym turem. [1] Znany z piękności swych rogów, od dawna był celem czat i pościgów łowieckich; lecz ciągłémi niebezpieczeństwy wprawiony do ostrożności, z dziwną szybkością przenosząc się z jednéj puszczy do drugiéj, oszukiwał czujność najbieglejszych łowców, i bezużytecznémi czynił wszystkie ich zasadzki. Widząc nakoniec, że jego piękność zagubna uzbroiła nań całą prawie Litwę, jakby szukał śmierci z ręki najgodniejszéj, wpadł na oszczep Gedymina, i legł u nóg jego bez życia.

Uradowany Xiążę tak szczęśliwém polem, na miejscu zaraz kazał wspaniałą ucztę wyprawić. Była jesienna pora. — Zwieszone od jednych gałęzi do drugich kosztowne zapony, usłane zwierzęcemi skórami murawy, mnóstwo rozłożonych ognisk, psy, sokoły, łowczowie, kucharze i różnego rodzaju myśliwcza drużyna, osobliwszy na dzikiéj puszczy wystawiały obraz. Ożywiały go obfitość trunków, wesołość dworzan, a nadewszystko dobra myśl pańska. Rozmowy po większéj części miały za cel sprawy dnia tego. Kto więcéj ubił zwierzyny, komu tęższe dawał obroty tur ścigany, który psów rodzaj lepiéj się zasłużył; przytém rozliczne uwagi i żarty były osnową wzajemnych powierzeń, i często przesadnych dodatków, jak to zwykle między myśliwymi się zdarza. Wnosić należy, że i sen po dziennych trudach i wypróżnionych puharach, powtarzać je musiał w dziwacznéj wystawie. Nazajutrz, u śniadania, Gedymin, pełen troskliwéj myśli, marzenia swoje opowiadał przed dworem, obiecując znaczną nagrodę temu, któryby trafnie ich znaczenie wyłożył: sny bowiem w owym wieku uważane za przestrogi bogów, były wyrocznią najważniejszych spraw ludzkich. Śniło się zaś Xięciu, że widział wilka okrytego zbroją żelazną, a w gardle jego słyszał głos stu wilków ogromnie wyjących. Tak dziwne marzenia w głębokie zadumanie pogrążyły dwór cały. Sadzili się Panowie na różne wykłady: jedni przeglądając klęski powietrza, radzili wczesne przedsiębranie środków; drudzy wróżyli pomyślność następnych łowów; insi głosili wojnę; zgoła, każdy ciesząc lub przerażając zdanie swoje objawiał. Lecz gdy żaden z dworzan nie był w stanie zaspokoić Pana, zabrał głos mądry Lezdejko, wieszcz i Arcy-kapłan litewski, zapewniając Xięcia, że sen jego odkrywa wolę bogów: żeby na tém

1) Podobno to samo, co dzisiaj żubr, wół dziki, znajdujący się do dziś dnia w puszczy Białowiejskiéj, w Litwie.

miejscu, gdzie pod grotem jego poległ zwierz srogi, potężne stanęło miasto, którego sława i zamożność rozchodzić się będzie po całym świecie; wilk bowiem w żelezie, nie co innego, mówił, znaczy, tylko gród warowny, a głosy w nim wyjące, mnogość jego mieszkańców. — Podobał się Gedyminowi takowy wykład snu jego; zaklaskał z radości w ręce, udarował wieszcza, i niezwłocznie wydał rozkazy zakładania miasta.[1] Natychmiast tysiące siekier, łoskot roznoszące po puszczy, ruszyły zdziwione zwierzęta z odwiecznych siedlisk; padały z trzaskiem stuletnie dęby i jodły; dzień jasny zajął nocy mieszkanie, a knieja zgonem tura pamiętna, przyjęła zakresy warownego zakładu. Taki jest początek Wilna.

Przyznać należy, że Lezdejko nie mógł dać zbawienniejszéj rady Xiążęciu, i słusznie w nazwisku potomków swoich, Xiążąt Radziwiłłów,[2] sławnych po wszystkie wieki w narodzie, zachował chwałę założyciela litewskiéj stolicy. Posada też miejsca łączyła w sobie wszystkie dogodności, jakich tylko do wzniesienia grodu przezorny szuka zakładacz. Zdaje się nawet, że Lezdejko, od dawna wiadomy położenia miejsca, wcześnie je przeznaczał na zakład warowny, i tylko stósownéj upatrywał chwili, żeby uwagę Pana mógł ściągnąć na jego kurzyści. (Z Pojaty przez Bernatowicza, drugie wydanie w Puławach roku 1829.)

3. DWAJ KRZYŻACY.

Gdy już uczta była na ukończeniu, dali się widzieć na sali dwaj Krzyżacy, którzy wchodząc z zwykłą sobie powagą i brzękiem, pytali służby, gdzie siedzi Xiążę Jagiełło. Oba śmieli, przystojni, wytwornością ubioru okazywali, że znakomity w zakonie trzymają stopień; atoli jeden z nich biorąc zawsze krok piérwszy, chociaż wiekiem daleko młodszy, zdał się nad towarzyszem wyższość oznaczać. Sukno jego płaszcza, bielsze od śniegu, na wzór starożytnéj togi, lekko i zgrabnie na nim rzucone, ukazywało w części krzyż czarny, misternie na boku uszyty. Broda czarna umiejętnie strzyżona, pięknie twarz pociągłą krasiła. Pod płaszczem błyszczała szmelcowana zbroja, ozdobiona pereł rzędami; na piersiach ciężał dyamentowy z medalem łańcuch, na głowie hełm złoty o trzech białych piórach, u boku bułat[3] rubinami sadzony. Takie uzbrojenie znać dawało, że rycerz nie do boju, lecz na zabawy przybywał. Był to Kuntor Sundstein z Przeorem malborskim. Młody ten zakonnik, wolny jeszcze ślubów osta-

1) Ztąd przysłowie: prawić o żelaznym wilku. 2) Radzi Wilno wybudować. 3) Szabla szeroka.

tnich w klasztorze, nosił imię brata Augustyna; lecz na świecie, dla wysokiego rodu, bogactw i talentów, miał wojskowy stopień Kuntora, to jest Komandora Wielkiego, czyli wojsk wodza. Towarzysz jego, mający więcéj zakonnéj postawy i siwym już włosem poważny, zdał się być młodego mnicha dozorcą. Zaprowadzony Kuntor z kolegą do Xięcia, składał mu winne uszanowanie. Jagiełło nawzajem uprzejmie go witał, żal oświadczając, że niewiadomy o jego przybyciu, nie kazał się wstrzymać z obiadem. „Dla nas jest jedno," rzekł młody Krzyżak, „czy na początek, czy na koniec trafiamy waszego bankietu; co dziś u was na stole, nam tego pożywać nie wolno. Prócz tego, jesteśmy już po dobrém śniadaniu; ale wcale nie jedno byłoby, gdybyśmy się dali upośledzić w życzeniach naszych; więc jeśli jest wola, chętnie z czary i puharu potrafim o nich przekonać.

Miłą była ta otwartość Jagielle. — Kazał Podczaszemu służyć gościom winem, i posadziwszy ich blizko siebie, troskliwie się nimi zajmował. Skiergiełło [1] zaś przyjął obowiązek dopilnowania, aby nie tylko idące zdrowia domierzone zostały, lecz i odbyte z rachuby nie uszły.

„Bądźcie nam szczerze życzliwi," mówił Jagiełło, ściskając rękę Kuntora, „i pożywajcie, co się podoba; bośmy wam wdzięczni, żeście nas przy téj okazyi nie zaniechali. Ale zkądże to Kuntorze do nas przybywasz?"

„Prawdziwie Xiążę, gdybym powiedział, że sam nie wiem, zkąd jadę, podobno powiedziałbym najlepiéj. Dajcie pokój pytaniom, i pozwólcie nam cieszyć się, że się nakoniec między wami znajduję."

„Jedziemy, Miłościwy Panie, nibyto z Polski, odezwał się napół z uśmiechem Przeor, gdzieśmy imieniem Zakonu mieli polecenie, powinszować Królowéj na tron wstąpienia."

„To dobrze, tak należy," rzekł Xiążę. „Widzieliście tedy wiele pięknych tam rzeczy zapewne; Lachy musieli wam być radzi, bo to oni lubią, kiedy się ich Panom kłaniają. Powiedzcież mi, czy miłą była Jadwidze pamięć mistrzowska?"

„Miłą, jak sowie dzień," odpowiedział Kuntor. „Nie mógł Mistrz większéj zrobić niedorzeczności, jak że wysłał poselstwo do téj dumnéj Polki, i tylko wstyd i ubliżenie zakonowi uczynił."

„Ale mój Kuntorze," odezwał się Przeor, „pozwól powiedzieć sobie, żeś sam nalegał na to poselstwo nieszczęsne."

„Racya! a wasza Wielebność, mój Ojcze, nie byłaż tego zdania, żeby ją uszanować?" odpowiedział Kuntor. Cóż w tém dziwnego, żem, jak przystało na chrześciańskiego ry-

1) Brat Władysława Jagiełły.

cerza, chciał się na polskim dworze pokazać? Słysząc tak wiele o zawołanéj jego grzeczności, o igrzyskach, gonitwach, turniejach, którémi Sarmaty bawią swoję Królowę, zachciałem zblizka jéj się przypatrzyć, i kilka chwil spędzić wesoło. Miałem też wielu znajomych między Polakami, i byłem pewny, że wioząc z sobą drogi upominek, miłym będę im gościem. Owoż tedy zebrawszy piękny poczet z najznakomitszéj młodzieży, obróciłem na Kraków. Ale proszę uważać, co za pyszny naród te Lachy! właśnie stanąłem trzeciego dnia po koronacyi. Kraków był ludem napchany, ulice pełne rycerstwa, kolebek, kupców i dworskiéj gawiedzi. Namioty szlachty, rozłożone około wałów, drugie miasto składały; szał zdał się jeszcze unosić nad ich głowami. Wystąpiwszy tedy jak tylko być może najstrojniéj, prosto z moim orszakiem zmierzałem na zamek; i stanąwszy u bramy, kazałem powiedzieć staroście, że przybywam do Królowéj ze złożeniem od Zakonu i Mistrza życzliwych chęci, i o gospodę proszę.“

„Zapewne niezwłocznie,“ odezwał się Wojdyło,[1] „otworzono bramę, i dano najlepsze pokoje!“

„Bynajmniéj — proszę tylko uważać. Właśnie w téj saméj byłem zbroi, w tym płaszczu i na najlepszym siedziałem rumaku. Pan starosta kazał mię prosić o chwilę cierpliwości, przekładając potrzebę uwiadomienia Królowéj o naszym przyjeździe. Bardzo dobrze! odpowiedziałem; przykro mi jednak było, czekać przed wrotami, jak z listem; posłałem więc powtórnie, domagając się gospody. — Wkrótce nadszedł dworzanin starosty, oświadczając dość zimno, że zamek cały zajęty, i że Królowa kazała nam dać gospody w klasztorze Ojców Dominikanów: zapewniał, że odbierzem uwiadomienie, kiedy się Najjaśniejszéj Pani podoba przyjąć nasze poselstwo. Zaraz mnie źle uderzył ten klasztor; jechałem jednak zająć przeznaczone mieszkanie, bo i cóż miałem czynić w mojém położeniu. Pięć dni uszło, nim sobie przypomniano o nas, pięć dni siedziałem jak na rekolekcyach, nie mogąc w żadnym domu pokazać się przed sprawieniem poselstwa: gdy wieczora jednego odwiedzając nas Podkomorzy krakowski, oświadczył, iż dzień jutrzejszy jest wyznaczony na posłuchanie moje; lecz dodał, że jeżeli nie zrzucę tego bogatego stroju, i nie wezmę na siebie zakonnego habitu, nie będę miał szczęścia oglądać Najjaśniejszéj Pani; gdyż Jadwiga zna dobrze zasady instytucyi krzyżackiéj, i nie ścierpi nigdy, żeby ubogi zakonnik w światowéj stawał przed nią postawie. Dla Boga! zawołałem, to być nie może: przekładałem mój stopień Kuntora,

1) Dworzanin Władysława Jagiełły.

obrazę Mistrza; wszystko czyniłem, żebym się przy moim rycerskim stroju utrzymał. Ale Podkomorzy odpowiadając na moje zarzuty, dowodził, że na dworze Królowéj są pewne ustawy, pewne obrzędowe przepisy, których nikt przestąpić nie może; że stawienie się przed osobą królewską w niewłaściwym stroju, jest uchybą majestatowi i ubliżeniem narodowi.“

„Do stu Perkunów,[1]“ odezwał się Jagiełło, „gdyby mnie jaki Podkomorzy chciał uczyć, jak się mam odziać, iżbym jego Panią widział, kazałbym mu sto wyliczyć, i nie widziawszy Jéjmości, choćby najpiękniejsza była, wróciłbym do domu niezwłocznie.“

„I jabym może tak zrobił,“ odpowiedział Kuntor, „gdybym miał sto tysięcy wojska na zawołanie, i gdybym się nie lękał obrazić Mistrza. Po długich tedy z towarzyszami naradach, musiałem kazać porobić habity, bośmy ich nawet z sobą nie wzięli; spodziewając się, że odbywszy to przeklęte poselstwo, wrócę do mojéj zbroi i hełma, udałem się z członkami na zamek. Pamiętam, byłem w najniegodziwszym humorze. Wprowadzony do sali tronu, czyniłem jednak rzecz śmiało, winszując Polsce Jadwigi, a Jadwidze Polski. Po skończonéj mowie, zbliżyłem się do Królowéj, ofiarując jéj w imieniu Mistrza bukiet dyamentowy.— Czy też spodziewacie się Waszmość, żeby nim wzgardziła ta dumna Xiężniczka? „Miłe mi są zawsze życzenia,“ rzekła pieszczonym swym głoskiem, „lecz proszę wybaczyć, że daru tego nie przyjmę; nie mogłabym bowiem czystém sumieniem tak drogiego daru odbierać od Mistrza, który jako zakonnik przysiągł na ślub ubóstwa, i sądzę, że on mi za złe téj wymówki nie weźmie, owszem w chrześciańskiéj pokorze sprawiedliwą ją znajdzie; lecz jeśli mnie i mój naród zobowiązać pragnie, powiedzcie mu, iż najmilszą dla mnie będzie daniną, kiedy braci zakonnych w przykładniejszéj, jak dotąd, zechce trzymać karności; i kładąc koniec bezprawiom, które na granicach państwa mojego dzieją się, zwróci ich do zatrudnień więcéj odpowiadających ich powołaniu, to jest do zaszczepienia wiary świętéj w sąsiedzkich narodach.“ „Wyznaję,“ mówił daléj Kuntor, „że ta pobożna perora, do reszty zbiła mnie z toru. Świetność wystawy, poczet dam Królowéj, rycerze, rada, i mój kaptur zakonny, w takie mnie upokorzenie wprawiły, żem obawiając się wznieść oczu, bardziéj był w stanie słuchać, jak odpowiadać.“

„Co do mnie,“ rzekł Przeor, jam się mojego habitu nie wstydził, i poniekąd słusznémi znalazłem żądania Królowéj.

1) Perkun, piorun.

Wyznajmy też, bracie Kuntorze, żeśmy się trochę za szumno do zamku zbliżyli. Lachy chcą, żeby przystępować do ich Jadwigi, jak do cudownego obrazu, a myśmy na to mało baczyli. A potém ten wyraz uszanowania, źle w ich uszach dzwoni; oni chcą od nas hołdu, nie uszanowania; bo hołd jest powinnością, a uszanowanie dobrowolną chęcią.“

„Do szatana! z takiém tłumaczeniem, zawołał Kuntor, cóżto? albośmy od nich podlejsi? Mistrz nasz w Malborgu tak jest dobry, jak ich Jadwiga w Krakowie; a choć korony nie nosi, możeby więcéj w swoich powiatach naliczył grodów i zamków. To jéj nie ujdzie na sucho; przysięgam na mój miecz, Czolner to moje ubliżenie weźmie za powód do wojny.“

„Cha! cha! cha! wojna o kaptur mniszy!“ śmiejąc się powtarzał Skiergiełło. „Ale czemużeście do licha nie składali jéj hołdu? wszakżeby to wam karku nie nadłamało.“

„Oto, prawdę powiedziawszy,“ rzekł Przeor, sądziliśmy słusznie, że nie z wielką byłoby dla zakonu sławą, gdybyśmy schylili głowę przed jedną niewiastą. Prócz tego byliśmy pewni, że nie więcéj, jak dziecko zastaniem na tronie. Proszę sobie wystawić, jak wielkie musiało być nasze zadziwienie, gdyśmy w niéj znaleźli monarchinię, któréj ważne sprawy kraju, równie jak i sąsiedzkich narodów, tak z gruntu są znane, jak mnie mego brewiarza rozdziały. Jak zaczęła nam przywodzić od sprowadzenia naszego do Polski wszystkie łaski, nadania i przywileje, któreśmy od Królów polskich uzyskali; jak zaczęła cytować traktaty, umowy, sojusze, dowodząc, żeśmy polscy wazale, i że połączenie dwóch tak przeciwnych skłonności, jak śluby zakonne i obowiązki żołnierskie, zgubę naszę przyspieszą, jeśli nie wejdziem w karby pierwotnych ustaw Papieża; prawdziwie nie można było nie zapomnieć języka.

„Dobrze wam tak,“ odezwał się Jagiełło: „nie chódźcie, gdzie wam nie radzi. Więc tedy z wiatrem poszło to szumne poselstwo?“

„A cóż było robić,“ odpowiedział Kuntor. „Wróciliśmy z upominkiem do cel zakonnych i kilka dni przemieszkawszy z mnichami, cicho opuściliśmy Kraków.“ (Z tegoż.)

4. SCHADZKA SPISKOWYCH W ZAMKU SZAMOTULSKIM.

Zgoda! zgoda! krzyknęła napół pijana hołota. „Z waszych uniesień i głosów,“ znowu przemówił Sobibor, „z tych uczuć nieobojętnych dla powszechnego dobra, nie trudno wyczytać, że jednomyślne postanowienie dzisiejsze, będzie hasłem

dla całego wielkopolskiego rycerstwa; i że tym Xiążęciem a Panem zostanie nasz opiekun i dobroczyńca Wincenty!“ —

„Hola! hola! Panowie bracia,“ odezwał się głosem chropowatym jeden z rozegrzanych dobrze napojem doradzca; przystaliśmy na wybór i obwołanie Xiążęcia, lecz nie damy zapewne głosu naszego żadnemu Wojewodzie. Na co nam panów? albożmy nie tak dobrzy, jak oni? Ztądci to poszły wszelkie Polski nieszczęścia, żeśmy się wpatrywali jedynie w te dumne rodowitością i skarbami bożyszcza. Póki ziemianin na zagrodzie równym był Wojewodzie, póty wszystko było porządnie i błogo. Przywróćmy ojczyznie te święte czasy. Każdy zapewne, jak nas tu jest nie mało, może być wielkopolskim Xiążęciem.“

„Zagórno, bracie, zagórno!“ odrzekł mu inny: „patrz jeno! żeś Waszmość przylał sobie trochę więcéj, niż wypadało, do czubka; już się wam widzi, jakoby mitra xiążęca przystawała dokładnie do waszéj najeżonéj czupryny. Ja się dam ubić za Pana Wincentego z Pomorzan, bo jest Pan z Panów, i wcale nie źle się tym dzieje, którzy się jego klamki chwycili. Ale niech Wojewoda będzie Wojewodą, a Król Królem. Wolno piérwszemu napuszyć się, a czasem burknąć; wolno przygarniać pod swoje poły uboższych, a nadstawiać się bogatszym; wolno nawet stanąć w poprzek wygórowanym zamiarom królewskim, gdy tego dobro Urodzonych Panów i Braci wymaga; ale wara od sięgania po to, do czego tylko czysta krew Piastów niezaprzeczone prawo stanowi.

Zdrajca, nikczemnik, szpieg i zausznik królewski! okrzyknięto go zewsząd. Wymieść go za drzwi, uwędzić w dymie, rozsiekać! wołali inni; i trudno zgadnąć, do czegoby przyszło nakoniec, gdyby w téj chwili rozruchu i powszechnego wzburzenia, nie zjawiła się wpośród krzyczących i tłukących się Marta. Posłaną ona była przez Wojewodę do spiskowych, dla odwleczenia stanowczéj chwili wszelkiemi sposobami, jakich jéj tylko roztropność dostarczy.

Właśnie nadeszła, gdy w zgiełku namiętności wzburzonych poczęto walkę nie na gołe i śmierć niosące oręże, ale na razy kułaków i pięści. Pogaszono w zamieszaniu światła, a krzyk wzmagający się pośród ciemnoty, przeklęctwa i złorzeczenia, dopełniały obrazu téj nocnéj schadzki burzliwych i opojonych trunkiem opryszków. Lampa, którą w ręku trzymała, ściągnęła baczną uwagę na jéj przyjście. Wyniosła i chuda postać, okryta strojem cyganki, którego używała najczęściéj, mocne na umysłach sprawiła wrażenie.

Duchu piekielny, odezwał się jeden z obecnych, czegoż tu od nas pożądasz?

„Przychodzę do was, odrzekła, jako do jednych mych druchów w całéj polskiéj krainie. Dawno już bardzo podobny widok nie rozweselił mego oblicza. Łby rozgrzane napojem, krzyki, bluźnierstwa, przeklęctwa, bitwa i wrzawa, pięście do uderzenia gotowe, rozlegające się po skroniach kułaki; powywracane stołki i ławy, pogruchotane kufle i dzbany; oto jest prawdziwie luby widok dla serca naszego. Wyśmienicie i gracko, koledzy! to zgromadzenie szanowne godne jest zająć miejsce przed piekłem. Lecz uspokójcie się nieco, i rozświećcie pogaszone kagańce, ażebym waszym pełnym wyrazu obliczom snadniéj się mogła przypatrzyć. Uczciwy Sobiborze! witam cię piérwszym przywódzcą tak znakomitego koła. I tyś tu miły bracie, my cię zawsze na dobréj drodze znajdujem. I was w te miejsca tak ważna chwila przywiodła? nie zawiedziecie, jak widzę, poczciwych ludzi nadziei. Co! i ty tu działasz i tamten? o znakomite podpory ojczyzny! cóżby się stało z nieszczęsną Polską, gdyby jakim trafem lub cudem, ten loch rozstąpił się pod wami!“ —

„To Marta, nasza szacowna kumotra i wróżka,“ zawołali niektórzy; „witajcież nam w dobréj godzinie!“

Więc poznajecie nas, koledzy i bracia, odpowiedziała natychmiast; dajcież nam kufla lub dzbana. Za zdrowie poczciwych ludzi i dobrych Polaków!

Za wasze zdrowie! zacna przyjaciółko Marto, krzyknęli. Ile wy nam lat zdrowia dobrego, przemówiła znowu, tyle my z naszéj strony życzymy wam szczęścia w niepospolitych i ważnych zamiarach. Ale wiecież wy, że takowe wtedy się tylko udają, gdy je poprzedzi dojrzała rozwaga, a nadewszystko zbadanie ciemnéj i mgłą pokrytéj przyszłości?

To jest zbyt wielka prawda, zawołał jeden, i dla tego radziłem wam zawdy, koledzy, abyśmy się do wróżki udali. Czegóż to chcecie? przemówił inny; niebo nam sprzyja widocznie: wszak ją mamy pomiędzy sobą. Wiemy dokładnie, że Pani Marta nie próżno na Łysą-górę tak częste odprawia wędrówki. Tamto duchy piekielne odprawują zwykle z hukiem i wrzaskiem swoje szabasy. Jeśli więc przystaniecie na moje słowo, uprośmy naszę kumotrę, aby nam chciała powróżyć.

Zgoda, zgoda! odezwali się wszyscy; prosimy, bardzo prosimy. Ho! ho! odpowiedziała Marta, za daleko Waszmość sięgacie. Ale, kiedy nas o co poczciwi ludzie błagają, wtedy żadnym sposobem wymówić się nie możem. Wypijmyż jeszcze po kubku, aby się nam lepiéj rozwidniło, gdy mamy zajrzeć

w oczy przyszłości. Dobrze i gracko! jak widzę, gardła Waszmościów do wszystkiego gotowe. Teraz zasiądźcie przy stole i podawajcie nam dłonie wasze koleją; ci zaś, co naszym wróżbom nie wierzą, niech gdzie w kątku przylegną, by nam nie przeszkadzali w tak ważnéj potrzebie. Jużeście miejsca zajęli? wybornie! Ciszéj więc niedowiarki i mruki! — Do licha! (rzeknie wpatrując się bacznie w dłoń najpierwéj podaną) te dwie zupełnie proste linie, na których trzecia spoczywa, mają zbyt wielkie podobieństwo do przemierzłéj budowy, tak szpetnie szubienicą zwanéj. Bądź Waszmość dobrze ostrożnym, i nie życzę wam nic ważnego przedsiębrać, aż póki czas nie przedłuży dwóch pierwszych linij do tego stopnia, aby te z trzecią złączone, ukształciły zupełnie literę H, która jest podobno początkową waszego przydomku.

Cóż to ma znaczyć, rzeknie sąsiad piérwszy, czyli wspomnionym od was przydomkiem nie będzie hultaj? Toby zaś zakrawało na istną obelgę, odpowiedziała Marta; my tego wyrzec nie śmieliśmy bynajmniéj: a wszelkie domysły w godzinę wróżby, są prawom naszym przeciwne. Podajcie raczéj Waszmość swą rękę, ażali was pomyślniejsza wróżba nie spotka?

No! no! i tu coś podobnego widzimy, z tym jednak wyraźnym a nieobojętnym dodatkiem, że kółko na końcu téj oto linii podobno stryczek oznacza.

Wróć się do piekła, ty czarownico przeklęta, zawołał ten, którego rękę Marta trzymała, i nie durz nas baśniami, które się nigdy nie spełnią.

Daj pokój, bracie, przerwał mu inny, ja sam na własne oczy widziałem, jak jeden z moich znajomych, lekceważenie wróżby téj niewiasty, życiem przypłacił: podwakroć mówiła mu wyraźnie i jasno, aby się strzegł wody jak śmiertelnego grzechu. Śmiał się on z tego i szydził. Lecz gdy piérwszy raz potém wsiadł w łódkę, chcąc się przeprawić przez Wartę, i gdy ledwie odbił od lądu; gwiznął bies jakiś od boru, i w okamgnieniu łódka zakręciwszy się trzy razy, prędzéj niż to powiadam, razem z człowiekiem zniknęła. Pływało jeno długo po wodzie coś podobnego do czapki, z któréj dym gęsty wychodził. Ledwiem mógł się przeżegnać, i powróciłem do domu: a odtąd wszystko, co Pani Marta przepowie, uważam za nieomylne i pewne. Daléjże, miła kumotro! oto jest moja prawica.

Nie dobrze, bracia, odezwie się zagadnięta na słowo nasze, nie dobrze! Dajcie jeno baczenie! ta krzywa nieco linia ma podobieństwo szabliska; a że jest tak zbliżona do znaku życia, który tu oto wyryty, więc oczywisty dowód i wróżba,

że szabla polska życiu waszemu zagraża. Wszystko źle wróży waszym zamiarom, a raczéj wszystko ostrzega, że je na czas dalszy odwlec wypada. Do jutra zatém, moi Panowie, do jutra: bo już słyszę, że kury pieją, a o téj chwili wszystko niecne z jam i kryjówek wyłazi.

Niech licho porwie tę opętaną od biesa cygankę, rzekli trzeźwiejsi, opuszczając miejsce, na którém byli zebrani. Gdy zaś ci, co więcéj trunku zażyli, przez ten czas w kątach posnęli, rozeszło się to zgromadzenie bez skutku, i każdy oczekiwał nowych dnia następnego wypadków.

(Z Romansu historycznego: Zygmunt Szamotulski, przez Franciszka Wężyka, autora poematu: Okolice Krakowa, wydanego w Warszawie r. 1820; nadto trzech tragedyj: Glińnski, Bolesław Śmiały i Barbara Radziwiłłówna, z rozprawami o poezyi dramatycznéj, tudzież romansu: Władysław Łokietek.)

5. ZDRAJCA.

Kto chce zgłębić tę przepaść okropną, jaką zdrada najświętszych powinności i cnoty ryje w sercu tego, który ją śmiałą nogą podeptał; niech go w téj chwili poszuka, gdy pośród nocy głębokiéj, rzucony na łup swym myślom, wygląda napróżno uciekającego od jego łoża spoczynku. Wtedy to widma najstraszliwszéj postaci snują się przed jego oczyma. Wtedy głos wiecznie brzmiący zgwałconego zbrodniami sumienia, ściga dojmującémi wyrzuty, i zapowiada te kary, jakie mu przyszłość gotuje. Dopiął Wincenty z Pomorzan celu występnych swoich zaciekłów. Wszystko się uśmiechało na pozór dumnym jego zamiarom: zniszczona za jego przewodem znakomita część Polski, krew braci płynąca zewsząd potokiem, miasta zmienione w zwaliska, zgliszcza obróconych w perzynę wiosek, śmiertelne rany w samo serce ojczyzny zadane; dźwięki tryumfu, rozlegające się po krzyżackich obozach; ciężarna w nieuchronne wypadki przyszłość; pewność nareszcie blizkiego nad Królem polskim zwycięztwa, wróżyły mu obfite śmiałych przedsięwzięć owoce. Ale ta świetność pozorna, ale te pochlebne i łudzące swym blaskiem widoki, słowem, wszystko topniało, gdy zostawiony sobie samemu, zwrócił przelotną uwagę na to, czém był przed niedawnémi czasy, a czém jest teraz, gdy się wyprzysiągł wierności i cnoty. Włos najeżony na głowie, rozczochrana broda, wklęsłe policzki, usta spiekłe wewnętrzną gorączką, krwią zaszłe oczy, wydawały poniewolnie te męki, które trop w trop za zbrodnią nadchodzą. — Już noc posępna ciężyła nad ziemią od wielu godzin, a sen pochopny dla innych, nie śmiał się zbliżyć do jego powieki; a krwawy obraz klęsk, na rodzinną ziemię ściągniętych, zawdy

przed jego oczy powracał. Tliło się w kącie namiotu blade lampy światełko: łoże oddawna usłane, stało dotychczas nietknięte. Odrętwiałość, po wszystkich członkach rozlana, zmieniła go w posąg bez życia, do jednego miejsca przykuty. Z tęsknotą, równającą się najdolegliwszym dręczeniom, często zataczał pałające swe oczy ku tym szczelinom, przez które spodziewał się dojrzeć pierwszego brzasku dnia, pasującego się z swoim na świat powrotem. Ale napróżno prześcigał myślą te chwile, które były jeszcze od niego i od ziemi dalekie. (Z tegoż.)

G. PODRÓŻE.

1. JASKINIA TYGRYSÓW.

Przygoda w górach Peruwiańskich. (Z Angielskiego.)

Przybyłem do Peru w r. 1826, dla objęcia dozoru w imieniu Kompanii londyńskiéj. Przed powrotem do Europy, chciałem z téj długiéj podróży jakkolwiek skorzystać, zwiedzając przynajmniéj z moimi towarzyszami, PP. Warton i Lincoln, najwyższą górę w Peru, Chimboraco.

Jednego dnia spędziwszy noc poprzednią w indyjskiéj wiosce, krążyliśmy daléj około ogromnéj postawy tego olbrzyma Andów, kiedy podniósłszy głowę postrzegłem, że blask wiecznych śniegów, otaczających jego wierzchołek, niknął powoli pod grubą mgłą. Przewodnicy nasi, Indyanie, dali nam poznać, że gwałtowna burza groziła: obawy ich wkrótce się ziściły. Mgła oblekła prędko boki góry, zostaliśmy pogrążeni w głębokiéj ciemności. Powietrze było duszące, a jednak tak wilgotne, że stal w naszych zegarkach rdzą się pokryła, i zegarki stanęły. Rzeka, przy któréj szliśmy, płynęła podwojonym pędem. Nagle, jakby czarodziejską siłą, ze skał po lewicy nam będących, runęły potoki, porywające z sobą pnie drzew i krzewów wyłamanych z korzeniami! postrzegłem także między niémi ogromnego węża, który się przetaczał, nie mogąc się oprzeć gwałtowności wody. Wnet grzmot uderzył: wszystkie echa gór ozwały się zarazem. Co chwila błyskawice rozdzierały nad nami i pod nami i przy nas obłoki; zdawało się, że nas objął ocean ognia. Schroniliśmy się pod cień wielkiego drzewa, a tymczasem jeden z Indyan szukał nam bezpieczniejszego ukrycia. Niedługo wrócił z doniesieniem, że wypatrzył przestronną jaskinię: udaliśmy się do niéj.

Burza trwała z tak mocnym hałásem, żeśmy jeden drugiego słyszeć nie mogli. Stanąłem u wejścia jaskini, i przez długi i ciasny otwór uważałem, co się działo zewnątrz. Najwznioślejsze cedry padały, albo zginały się jak trzciny. Małpy i papugi zabite opadłémi gałęziami, pokrywały ziemię: potoki wypełniły się, jak wielkie rzeki, i w różnych kierunkach płynąc około góry, odrywały ogromne bryły ziemi. Lecz darmobym się silił na opis wspaniałego widoku: kto nie był w Ameryce południowéj, nie zdoła sobie o nim utworzyć pojęcia.

Kiedy burza nieco się ukoiła, przewodnicy nasi wyszli, chcąc zobaczyć, czy będziemy mogli iść daléj. Grota, w któréj szukaliśmy schronienia, była tak ciemna, że, kiedyśmy się od wyjścia oddalili, nie mogliśmy na cal widzieć przed sobą. Kiedyśmy rozmawiali o trudności naszego położenia, krzyki i jęki żałosne, z głębi groty wychodzące, nagle zastanowiły naszę uwagę. Warton i ja słuchaliśmy z uczuciem przestrachu. Lecz Lincoln, nasz młody przyjaciel, rozciągnął się na ziemi, i z Frankiem, moim strzelcem, popełzli w głąb jaskini, chcąc się dowiedzieć przyczyny. Zaledwie się na kilka kroków oddalili, posłyszeliśmy ich krzyk zdziwienia, i zaraz wrócili, niosąc każdy zwierzę osobliwie centkowane, wielkości małego kota, ze strasznémi zębami w szczękach. Oczy ich były zielonawe, miały długie u nóg pazury, język jak krew czerwony wisiał im z pyska. Warton na ich widok zawołał: Dla Boga! jesteśmy w jaskini... Lecz nagle przerwały mu krzyki naszych przewodników, którzy biegąc do nas, wołali: Tygrys! tygrys! i natychmiast z niesłychaną szybkością wleźli na wierzch stojącego u jaskini cedru, i skryli się w gałęziach.

Pierwsze wrażenie strachu ścięło krew we mnie: lecz kiedy to uczucie nieco minęło, pochwyciłem strzelbę. Warton przyszedł także do siebie, i wzywał nas, abyśmy zawalili otwór jaskini kamieniem ogromnym, który szczęściem tuż leżał. Uczucie grożącego niebezpieczeństwa sił dodawało: bo zaczynaliśmy słyszeć wyraźnie ryczenie bestyi, a bylibyśmy zgubieni, gdyby stanął u otworu wprzód, nimbyśmy go zawalić zdołali. Nie skończyliśmy jeszcze, kiedyśmy już widzieli, jak skokiem zbliżał się do jaskini. W téj strasznéj chwili podwoiliśmy nasze usiłowania, i wielki głaz między nami a nim zostawiony, ukrył nas od jego napadu. Była jednak mała szpara, mogliśmy widzieć głowę tygrysa, w któréj iskrzyły się oczy, rażące nas wzrokiem wściekłości; od jego ryków trzęsła się głąb' jaskini: kocięta odpowiadały ostrémi jękami. Nasz straszny nieprzyjaciel usiłował zrazu uchwycić kamień szponami, potém odepchnąć go głową; bezskuteczność wysileń

powiększyła jego wściekłość. Ryknął przeraźliwiéj niż kiedy, a rozognione oczy zdawały się ciskać światło w gęstą ciemność naszego schronienia.

Czas wystrzelić, powiedział Warton z zimną krwią, któréj na chwilę nie stracił: celuj do oczu; kula przejdzie przez mózg, możemy się uwolnić. Frank pochwycił dwururną strzelbę, Lincoln pistolety. Na kommendę Wartona, obaj razem spuścili cyngle, lecz wystrzału nie było. Tygrys posłyszawszy uderzenie kurka, uskoczył w bok; lecz widząc, że nie był dotknięty, powrócił na piérwsze miejsce z podwójną wściekłością. Proch w panewkach był zmoczony. Warton i ja zaczęliśmy szukać prochownic; było tak ciemno, że szukaliśmy omackiem. Kiedym się dotknął kociąt, posłyszałem coś nakształt dźwięku metallu, i wkrótce postrzegłem, że te zwierzęta igrały z naszémi prochownicami. Na nieszczęście wyjęły korek pazurami, i proch rozsypany na wilgotną ziemię nie mógł nam na nic się przydać. To okropne odkrycie odjęło nam ostatnie nadzieje.

„Zginęliśmy! zawołał Warton; pozostaje tylko wybierać, czy lepiéj jest umrzeć z głodu ze zwierzętami, które są z nami zamknięte, czy od razu przeciąć cierpienie wpuszczając potwór do jaskini.“

To mówiąc, stanął przy kamieniu i wytężył wzrok niezlękniony na iskrzące się oczy tygrysa. Młody Lincoln w rozpaczy tysiące miotał przekleństw. Frank, więcéj mający krwi zimnéj, wziął kawał powroza, który nosił z sobą w kieszeni, i odszedł w drugi koniec jaskini, nie mówiąc nam po co. Wkrótce posłyszeliśmy stłumiony świst. — Tygrys, który to także posłyszał, zdawał się być gwałtowniéj jeszcze dotknięty. Chodził i wracał przed wejściem jaskini obłąkany i wściekły: potém stanął nagle i stojąc przed lasem, ryczał najprzeraźliwiéj. Nasi dwaj przewodnicy indyjscy korzystali z tego, puścili kilka strzał z wierzchołka drzewa, na którém byli ukryci. Trafili kilka razy, lecz strzały odpadały od grubéj skóry, aż jedna nakoniec uwięzła blizko oka. Wściekłość tygrysa wówczas wezbrała; rzucił się ku drzewu, wspiął się i pochwyciwszy szponami, zdawał się chcieć je wywrócić. Lecz kiedy się pozbył strzały, stał się znowu spokojniejszym, i znowu stanął przy wejściu groty.

Frank wtenczas powrócił: w ręku niósł tygrysięta na powrozach, któremi je podusił, i oba wyrzucił przez otwór jaskini. Tygrys zaczął je oglądać i przewracać spokojnie; kiedy się przekonał, że były nieżywe, wydał tak przeraźliwy krzyk rozpaczy, żeśmy musieli uszy pozatykać. Wyrzucałem

mojemu strzelcowi niepotrzebne barbarzyństwo; lecz z jego przykrych odpowiedzi poznałem, że stracił wszelką nadzieję ratunku, i że wszelkie posłuszeństwo uważał za rozwiązane. Co do mnie, sam nie wiem, zkąd miałem nadzieję jakiegoś niespodzianego wybawienia.

Grzmot tymczasem ustał, wiatr cichy nastąpił po gwałtownym uraganie. Tygrys leżał przy dzieciach. Byłto zwierz wielki i okazały; widać było na jego wyciągnioném cielsku dziwną siłę muszkułów; ze szczęki uzbrojonéj wielkiémi zębami spadała pjana. Nagle długi ryk dał się słyszeć zdaleka; tygrys odpowiedział nań żałosnym jękiem; a Indyanie krzyknęli, ostrzegając nas o nowém niebezpieczeństwie. Jakoż ujrzeliśmy wnet dążącego ku nam tygrysa, mniejszego niż piérwszy. „To straszniejszy nieprzyjaciel, bo samica," powiedział Warton. Ryki tygrzycy, gdy ujrzała martwe kocięta, przeszły wszystko, cośmy już słyszeli: i tygrys przydawał jeszcze swoje żałosne jęki. Nagle jéj wycia ustały; ujrzeliśmy jak kurzące się nozdrza wsunęła przez otwór, jakby dla odkrycia, kto ją dzieci pozbawił. Dostrzegła nas, i natychmiast cisnęła się na kamień tak gwałtownie, że możeby go odwaliła, gdybyśmy wszyscy nie pospieszyli na podparcie. Widząc, że nic nie dokaże, zbliżyła się do tygrysa, jakby na naradę: poczém oboje odbiegli szybko. Ryki coraz cichły i wkrótce zupełnie ustały.

Nasi przewodnicy zeszli z drzew i naglili nas do prędkiéj ucieczki, wnosząc, że tygrysy poszły szukać wyżéj gdzieś innego otworu, aby się dostać do groty. Odwaliliśmy więc kamień, i już byliśmy w drodze, przedzierając się przez gałęzie i korzenie, powodzią naniesione, kiedy krzyk ostry Indyan ostrzegł nas, że tygrysy goniły w ślad za nami. Byliśmy wtenczas u mostku z trzciny, rzuconego przez potok. Indyanie tylko mogą lekko się przesunąć po takich mostkach, trzęsących się za każdym krokiem. Głęboko wparty między dwa brzegi, ostrémi skałami nastroszone, potok w dole gwałtownie płynął. Lincoln, Frank i ja przebiegliśmy most bez przypadku, lecz Warton był jeszcze na środku, usiłując zachować równowagę, kiedy tygrysy wybiegłszy z poblizkiego lasu, poskoczyły ku nam ze straszném wyciem. Warton, jak tylko dostał się na drugą stronę mostu, dobył swój nóż myśliwski, i odciął węzły, któremi był przywiązany do brzegu: spodziewał się przez to położyć nieprzebytą tamę naszym nieprzyjaciołom; lecz zaledwie odciął most, tygrzyca rzuciła się ku potokowi, chcąc go jednym skokiem przesadzić. Byłto ciekawy widok, patrzeć na to straszne zwierzę, zawieszone chwilę nad przepaścią;

lecz ta scena przeminęła jak błyskawica. Siła jéj nie dorównała odległości: nie dosiągłszy brzegu potoku, rozszarpała się na kolcach skał. Nie zmieszało to jéj towarzysza; silnym rzutem rów przesadził: przedniémi jednak tylko pazurami zdołał brzegu zachwycić. Zwieszony tak nad przepaścią, usiłował wedrzeć się łapami. Indyanie znowu dziko krzyknęli, jak gdyby już nie było nadziei. Lecz Warton, który był blizko tygrysa, podszedł go odważnie, i nóż swój wraził mu w pierś. Z wściekłością, niepodobną do opisania, zwierz zebrawszy całą siłę, wparł tylne łapy w skałę, i potrafił pochwycić za udo Wartona: lecz mój nieustraszony przyjaciel zachował odwagę, uchwycił lewą ręką, dla podpory, za pień drzewa, i znowu silnie nożem ugodził w pierś tygrysa.

Wszystko to w chwili się odbyło. My wszyscy pobiegliśmy na pomoc. Lincoln porwawszy strzelbę Wartona, tak mocno uderzył tygrysa kolbą w głowę, że ogłuszony zwierz upadł w przepaść. Lecz Lincoln nie wymierzył siły swego uderzenia, pochylił się naprzód, i pogrążył w potok.

(Z Tygodnika Petersburskiego na rok 1830.)

2. POTRZEBA WYCHOWANIA.

Powszechna opinia w narodzie angielskim jest za sprawą wychowania. Z jakiegokolwiek stanowiska wychowanie uważać zechcemy, bądź pod względem wpływu na uboższe klassy ludności, bądź na ogół społeczeństwa, jest ono zawsze przedmiotem wielkiéj wagi. Z przyczyny zawisłości ubogich od bogatych, bogaci powinniby wziąść pod szczególniejszą opiekę ubogich: co więcéj, cała ich odpowiedzialność za dobry ich fizyczny i moralny byt, zdaje się na nich ciężyć; gdyż nie ma wątpliwości, że złość i występki idą za niewiadomością. Ukształcenie moralne, do czego nauka czytania dopomódz zdolna, otwiera głowę, rozgarnia umysł, daje dzieciom jasne wyobrażenia obowiązków społecznych i religijnych, przygotowuje do łatwego przyjęcia wyższego ukształcenia, rozwija uczucia przyjazne cnocie, wdraża do uległości i posłuszeństwa. Rapporta, dochodzące ze wszystkich szkół, przekonywają jednozgodnie o tém zbawiennem dążeniu wychowania początkowego; co więcéj, sami rodzice, których naganny sposób życia był znany, zostawali rzędniejszymi, od czasu, jak ich dzieci do szkół zaczęły uczęszczać. W szkołach np. uważają na ochędóstwo: rodzice więc starają się posełać dzieci jak najschludniéj, nawykają przez to sami do ochędóstwa; przyjmują przystojność w ubiorze i obyczajach, które są wielką zaletą ubogiego; sprawiają bowiem to, że ubóstwo nie staje się odrażającém. Stan

średni w liczniejszych jeszcze, niż majętni, zostaje stósunkach z ubogimi. Ich pracy i zręczności winniśmy naszę żywność, odzież i wygody życia: na ich moralném ukształceniu więcéj przeto nam zależy, niźli może sądzimy. Już dla przewyższającéj ich liczby, bezpieczeństwo naszego bytu, w wielkiéj części, zawisło od nienagannych ich skłonności. Tyle razy w życiu powierzamy ich staraniu nasz majątek, na ich wierności jedynie polegając. Nadto mogą oni zły lub dobry wpływ mieć na nasze dzieci, kiedy ich pielęgnowanie i dozor im powierzymy. Nawyknąwszy raz do porządku i wstrzemięźliwości, uchronią się żebractwa i występku; nie będą niepożytecznym ciężarem dla roboczych rąk i społeczeństwa. Skutki z zakładów szkolnych, skoro się na całą ludność rozprzestrzenią, zdziałają niewątpliwie więcéj dla zmniejszenia występku i zbrodni, niż cała surowość kodexów karnych: a przy rozwinięciu religijnych uczuć i kassach oszczędności, mogą za kilkanaście lat doprowadzić do wypadków, jakich tylko najgorliwszy przyjaciel swego kraju i rodzaju ludzkiego zapragnąć może.

(Z Podróży po Anglii i Szkocyi, odbytéj przez Lacha Szyrmę, teraz Prof. przy Uniwersytecie warszawskim, wydanéj w Warsz. r. 1829. w 3. tom.)

4. SZKOŁY ANGIELSKIE. (W Edinburgu.)

Jedna była natenczas szkoła wysoka, która poniekąd naszym gimnazyom i liceom odpowiadała; drugą miano zamiar wystawić. Wspomniona szkoła miała klass cztery i tyluż nauczycieli; piątym był Rektor. Uczęszczało do niéj 800 uczniów, z których każdy płacił na kwartał pół gwinei; *) lecz chociaż w roku są, jak wiemy, cztery kwartały, tam przez jakieś nadużycie rachują ich pięć. Przez ciekawość poszedłem raz na examen najwyższéj klassy, w któréj sam Rektor uczy. Rektorem był wtedy Carson, znany jako biegły filolog. W łacińskim języku był na placu: Horacyusz, Wirgiliusz, Terencyusz, Tacyt, Liwiusz; w greckim zaś: Homer, Sofokles, Herodot; tłumaczono także z ewanjelii Śgo Marka. W spisie nauk widziałem jeszcze innych pisarzy: sama ich liczba zdawała się być dostatecznym dowodem, że starożytne nauki, więcéj niż u nas, zajmują tam czasu. Tłumaczyli także poezye łacińskie Buchanana, narodowego wierszopisa średnich wieków, który jest ich Sarbiewskim.**) Jak chwalebnie byłoby,

*) 22 złt. pol.

**) Maciéj Kazimierz Sarbiewski ćwicząc się w naukach w szkołach Pułtuskich, już talent i skłonność do poezyi okazywał: 18 lat mając, wstąpił do zakonu Jezuitów, i wkrótce został w wileńskiém Kollegium Professorem wymowy, zkąd w r. 1623 do Rzymu sęi

gdyby Polacy chcieli uczcić swego rodaka, któremu tamten darem poezyi nie wyrównywa. Lecz nasz rodak większéj się tam zdaje używać sławy, niż we własnéj ojczyznie. Autorowie biorą jego wiersze na godła do swych dzieł, nauczyciele w szkołach zadają je uczniom na piśmienne ćwiczenia, porównania ich z wierszami angielskiémi najsławniejszych swoich poetów, Miltona, Cowlej. Jeden z Professorów uniwersytetu w Chambridge (Kembrycz), Pan Walter, zajmował się wtedy tłumaczeniem jego poezyi na język angielski, które zamyślał wydać obok z textem łacińskim.

Sposób examinowania, który też uważaćby można za sposób uczenia, jest taki: najprzód uczeń wywołany czyta jaki peryód z autora: po przeczytaniu układa w nim szyk, potém tłumaczy; przyczém nauczyciel najmniejszéj nie daje pomocy. Aby dowieść, że uczeń wszystko rozumie, późniéj dopiero wtrąca zapytania, co do składni, iloczasu, i najdrobniejszych własności mowy. W odpowiedziach uczniowie rzadko się mylili: odpowiadali prędko, pewno, i śmiało. Widać było, że w uczeniu bardzo uważają na dokładność. O postępie uczniów możnaby ztąd sądzić, że miejsca przez nich tłumaczone, nie zależały ani od ich, ani od nauczyciela wyboru: z gości kto je wyznaczał; a nietłumaczyli kolejno, lecz wyrywkami. Czasem doświadczano ich sił na pisarzach, których wcale nie czytali.

Tłumaczenie klassyków, przeplatane było czytaniem robót na piśmie, wierszem i prozą, w łacińskim i narodowym języku: były nawet wiersze greckie. Jeden deklamował scenę z Szekspira, w któréj Hamlet daje naukę dla aktora, i wydał ją z talentem Garryka.[1] Pod rządem, gdzie tyle zdarza się okoliczności mówienia publicznie, nie zaniedbują już w szkołach deklamacyi. Znałem rodziców, którzy najmowali aktora do uczenia ich dzieci; dla tego rzadko widzieć Anglika źle czytającego. W narodzie, gdzie cokolwiek zażywe poruszenia ciała uchodzą za śmieszność; cała moc wymowy polegać musi na rozsądném umiarkowaniu i zgięciach głosu. Anglik mówiący do ludu, musi stać posągiem, inaczéj byłby posądzony o brak godności i rozsądku. Do ludu rozważnego trzeba

---

udał, mając się całkiem teologii poświęcić. Lecz mimo żarliwéj bogobojności, skłonność do poezyi wzięła górę. Papież Urban VIII. uczcił ga wieńcem laurowym. Za powrotem do ojczyzny uczył w zakonie wymowy, nakoniec był kaznodzieją królewskim. † r. 1640, mając lat 44., nie tylko w kraju, lecz i za granicą Horacyuszem nowoczesnym nazywany. Najlepsza edycya jego poezyi jest: Lyricorum libri IV., Epodon liber I., alterque epigrammatum. Antverpiae 1632.

1) Jeden z najpierwszych aktorów swego wieku, † r. 1779.

mówić z rozwagą i spokojnie: namiętności nie mają nad nim władzy. Zdarzyło mi się być w licznem zgromadzeniu ludu, gdzie między Szkotami, Hiszpan wystąpił z mową; lecz nim jeszcze przemówił, już przez samę gestykulacyą swoję wzbudził śmiech powszechny. Insza mówić do ludu przychodzącego na zabawę, jak w teatrze; a insza do ludu na obradach. Tu chcąc pożądany sprawić skutek, przemawiać trzeba do rozsądku, nie do samych namiętności. Każdy, gdzie chodzi o własny interes, lub sprawę kraju, waży każdą myśl i każde słówko mówcy; najmniejsza oznaka nieumiarkowanego zapału, może mu więcéj zaszkodzić niż pomódz. Ztądto znajdowałem publiczne obrady w téj zimnéj rozwagi ojczyznie, mniéj burzliwe, niźlim się spodziewał. Młodzież już w szkołach nawyka słuchania głosu rozsądku, a tłumienia namiętności. Postępowanie nauczycieli jest w tym względzie wzorowém. Dyonizyusz tyran, nie mógłby pyszniéj urządzić swéj szkoły w Koryncie, nad Rektora Carson. Obojętném skinieniem głowy przyjął Lorda Provosta, przychodzącego z urzędu na ten popis szkoły: równie obojętnie przyjmował innych gości; nie dla tego, że nie umiał przyjąć grzeczniéj, lecz żeby nie ubliżyć powadze nauczycielskiéj w obliczu uczniów. Zdawał się postępować na zasadzie, że jest miara i w grzeczności; że lepiéj nie domierzyć, niż się przesadą poniżyć. Uczniowie siedzieli przed nim na swoich miejscach, jak wryci: on jeden chodził. Często, kiedy po przeczytaniu jakiéj pięknéj pracy ucznia, koledzy tupaniem poklask mu dawali, Pan Carson podniesieniem ręki prawo milczenia dyktował: uciszali się wszyscy. Jego ręka zdawała się być owym trójzębem Neptuna, za którego wzniesieniem układały się fale burzliwego morza. Niezmierna surowość panowała na jego twarzy: wtenczas tylko lekki uśmiech przebiegł przez nią, gdy trzej uczniowie, na wezwanie Lorda Provosta, tłumacząc *ex tempore*[1] z Liwiusza i Tacyta, godnie temu wezwaniu odpowiedzieli. Wtenczas czułość i uniesienie odnosiły tryumf nad zimną powagą. Postrzegałem téż, że równie jak inne szkoły angielskie, tak i tę, przy największéj łagodności, znamionuje karność i wyższy porządek. Już w szkole kształcą się rządni obywatele.

Nad spodziewanie moje uważałem, że nauki przyrodzone i matematyczne mało tam zajmowały miejsca; to samo daje się postrzegać po wszystkich szkołach angielskich; cała usilność zwrócona jest na moralność. Oprócz greczyzny i łaciny, nie uczą żadnych języków nowoczesnych; młodzież zatém nie przyjmując nic zkądinąd, odbiera całkiem narodowe wychowa-

1) Bez przygotowania.

nie. Zawczasu obeznawają uczniów z instytucyami swego kraju; zdziwiło mnie, kiedy po skończonym popisie ze starożytności greckich i rzymskich, zapytano o zasady konstytucyi angielskiéj, i przez zapytania i odpowiedzi, zaczęto porównywać rząd grecki i rzymski z angielskim. Tak się to katechizmowym sposobem odbywało, iż zdawało się słyszeć recytujących artykuły wiary: prawie mechanicznie na pytania odpowiadali. Jeżeli wrażenia odbierane w dzieciństwie najdłużéj trwają, zaiste te, które młodzież czerpa z klassycznych autorów, przelewać się muszą całkiem w charakter narodowy, Anglik dla tego do zgonu nie przestaje się zwracać pamięcią do Rzymian i Greków; i nawykły do porównywania swojego kraju z najoświeceńszymi niegdyś narodami na ziemi, napaja się uprzedzeniem względem innych. Przeto téż geografii Włoch i Grecyi, jak były dawniéj, i jak są teraz, uczy się aż do drobiazgów: geografii innych krajów ledwie dotyka. Rad on zwiedza, choć Rzymian i Greków już niema, przynajmniéj te miejsca, gdzie Rzymi Ateny stały: pamięć je dla niego uświęciła. Ztąd to tyle podróży Anglików do Włoch i Grecyi: ztąd w ich pismach tyle wspomnień klassycznéj ziemi. (Z tegoż.)

WALTER SCOTT.

Powierzchowność Sir Waltera, nie ma nic odznaczającego: jest on dosyć urodziwy, silny; chroma mocno na jednę nogę, i nosi zwykle gruby kij, na którym się opiera. Osobliwszém zdarzeniem Anglia natenczas posiadała dwóch wielkich poetów kulawych: jego i Lorda Byrona, który także chromał. Czoło ma wysokie, włosy jasne, rzadkie, które już wiek szronem potrząsał: rysy twarzy grube, ociężałe, nawet niewyraźne: oczy małe, siwe, ocienione długiémi rzęsami, ożywiają się, kiedy co opowiada. Wierzchnia warga nieproporcyonalna, cały dół twarzy pospolity: słowem, Walter Scott nie jest takim, jak mi go w uniesieniu nad jego tworami wyobraźnia malowała. Sposób opowiadania ma zupełnie podobny do stylu używanego w romansach, jemu przypisywanych; co stanowi jeden z głównych dowodów, że on jest ich autorem. Lubi niezmiernie spółeczeństwa i wesołość, osobliwie pohulanki towarzyskie, na których dobrze zajadają i piją: przy stole téż jego rozmowa bywa najbardziéj ożywioną. W obcowaniu zachowuje największą prostotę: dziecię mogłoby z nim rozmawiać. Niema najmniejszéj pychy, chociaż mu zarzucają trochę arystokracyi. Zarzut ten słuszny, i pochodzi zapewne ztąd, że pisząc o rycerskich wiekach, gdzie byli tylko panowie i wazale, będąc ich duchem przejęty, wolał,

coby też każdy uczynił, przybrać charakter piérwszych, jako szlachetniejszy, niżeli ostatnich. Sprawiedliwie przeto nazywają go poetą rycerskim. Kocha się w śpiewie i muzyce, i dla tego jedynie dał córkę uczyć muzyki, aby mu szkockie ballady śpiewała. Od zbierania tych ballad i ogłoszenia ich drukiem, rozpoczął swój zawód literacki; a jak uważają, rozpoczął go późno, bo koło 30. lat życia swego. Nie należy on więc do tych geniuszów, które się wcześnie rozwinęły. W chwili kiedy to piszę, kończy on może szósty krzyżyk: od kilku lat przestał się trudnić poezyą, pisze tylko romanse. (Z tegoż.)

5. ZEGLUGA — OKRĘT PAROWY.

Trzy razy odbywałem podróż z Edinburga do Londynu, ale zawsze morzem. Jestto sposób podróżowania najmniéj kosztowny, i po zaprowadzeniu statków parowych, najprędszy, a nawet przyjemny. Używają go równie surowi ekonomiści, jako i najmajętniejsi. Co zaś do mnie, zawsze znajdowałem wyższą jakąś przyjemność na morzu! ile razy przeto miałem odbyć jaką podróż, którą można było odbyć dyliżansem i okrętem, puszczałem się w nię zawsze okrętem. Jest jakaś niewymowna przyjemność w kołysaniu się morzem nad odmętem otchłani, w gubieniu się wzrokiem i umysłem w nieskończoności. Kto nie był na otwartym przestworze oceanu, i nie stracił wszystkiego z oczu, prócz nieba i wody: nie może mieć żadnego wyobrażenia nieskończoności. Rzeczywiste w nieograniczonych jéj obrębach przebywanie, ma niewysłowioną, zachwycającą ponętę.

Nie szedłem w tym razie, i nie żałowałem, żem nie szedł, za zdaniem Katona Cenzora, [1] który trzech rzeczy nie mógł sobie darować: kiedy dzień stracił na niczém, kiedy kobiecie powierzył tajemnicę, kiedy, mogąc jechać lądem, puścił się morzem. Co do ostatniego punktu, nie byłby ten Cenzor na siebie tak surowym, gdyby jak my, żyjąc w dzisiejszym wieku, widział nasze statki przewozowe na morzu, przy których okrzyczane rzymskie triremy i quadriremy nosiłyby postać dziecinnych wynalazków. Nie dziw przeto, że Kato przewożenie się na nich poczytał za nierozsądek; i niejednemu z nas, który doświadczył skutków morskiéj żeglugi, na samo o nich wspomnienie ckliwo się robi. Były to liche łódki, któremi posługacze Eola, wiatry, dokąd im się podobało, miotały.

1) Dla oszczędzenia miejsca, nie wyjaśniam szczegółów z historyi, mitologii i starożytności, które do zrozumienia tego wyimku koniecznie są potrzebne, spodziewając się, że mnie w tém gorliwy Nauczyciel zastąpić nie omieszka.

W porównaniu z naszémi parowémi okrętami, są one niczém. Témi nie rządzi słabość wiosła, zmienność żagli; tchnie w nich potężna para, córa ognia i wody, które, według Thalesa mędrca, miały cały świat z chaos wyprowadzić, wszystkiemu, co istnieje, nadać rozmaitość kształtów, wielowładnego ducha i życie. Okręt teraz zdaje się być istotą ożywioną. Siła pary przepływa jego żyły, i nadaje mu ruch: przodem rozgromia nieprzyjazne wiatry, bokami roztrąca wściekłe bałwany. Jednéj mowy mu nie dostaje, a podobnym byłby bajecznemu okrętowi Arponautów, który, jak poeci w nas wmawiają, miał przemawiać, a nawet prorokować. Kato przewożąc się teraz na parowym okręcie, nie dostałby kolki w boku, co mu się trafiało, ile razy przejeżdżał się swoją bigą lub quadrigą; owszem siedziałby jak w swoim pałacu w Rzymie, i niepostrzegając, że coraz daléj postępuje, stanąłby jak cudem u zamierzonego kresu. Przytém jadłby i pił jak Lukullus, a muzyka przygrywałaby do stołu. Zasypiałby jak Sybaryta na miękkiéj pościeli, w oddzielném łożu, za kitajkową zasłoną. Kołysałaby go Thetys, jak młodego Achilla, a nad kolebką nuciłyby mu do snu roztoczone Pitagora niebieskie sfery. Płynąć teraz po morzu, jest toż samo, co być w zaczarowanym zamku: dawni nie znali téj roskoszy; jest to tryumf, który nasza żegluga nad dawniejszą odniosła. W odbywanych po tym wodnym gościńcu podróżach, znajdujemy w Anglii zaspokojenie najwyszukańszych potrzeb i wygody do zbytku. Do zaprawy ich łączy się wytworność umysłowa, ucząca rozmowa z ludźmi różnych stanów i narodów, przyjemność w obcowaniu, usłużność, grzeczność w pożyciu. Kto się kocha w poważnéj zabawie, zasiada w wielkim salonie okrętowym do mądréj gry szachów: kto poezyą przenosi, ulatuje z Walterem Scotem w romantyczne wieki rycerstwa, lub z irlandzkim Anacreonem Moore (Mur) w krainy tęsknéj miłości i wesołych biesiad. Dzieł ich dostarczy mu biblioteka okrętowa. Kogo myśl własna a nie cudza bawi, kto goni za myślami, albo za kim myśli gonią, cokolwiek mu się nawinie, ołówkiem kreśli w pugilaresie; co późniéj ma być ogłoszone w literackich pamiętnikach, lub z czego mają być ułożone karty do głębokiego dzieła. Komu milsze nad wszystko próżnowanie, patrzy za wznoszącym się z masztu dymem, jakby chciał zbadać, w jaką stronę wiatr go zapędzi! lub ściga wzrokiem spłoszone z nadbrzeżnych skał morskie ptastwa, krążące naokoło z jękliwym krzykiem. Kto nosi troskę w sercu, pogląda, jak fala goni za falą i znika, lub w nocnéj bez świadka porze patrzy srebrnym po morzu gościńcem na blady xiężyc.

Tęskne wspomnienia przeszłości zwracają myśl żeglarza do miejsc, od których się oddala, a nadzieja pomyślnego kresu żeglugi, stawia go w miejscach, do których zmierza. Tak w duszy jego krzyżują się naprzemian światy radości i żalu, nadziei i dumania. Lubo w każdém miejscu czynny umysł znajduje dla siebie zatrudnienie, nigdzie jednak nie jest on tak obudzony, i nigdzie nie chwyta tak żywo wrażeń od przedmiotów, jak na morzu: przestwór bez granic nie kładzie także dla myśli kresu. Pośród ogromu natury, materyalność znika, i myśl tylko występuje i działa; cała istność ludzka przybiera na siebie postać powagi, bo przed obliczem wielkości przyrodzenia nie przystoi czcza próżność i lekkomyślność. Rozmyślając nad tém, nieraz przychodziło mi na myśl, że powaga w charakterze Anglików, równie jak głębokość pomysłów w ich pismach, jest w wielkiéj części skutkiem częstego ich obcowania z morzem. Podwójnie oni się zbogacają: ziemia i morze, jakby zawarły z sobą przymierze dla nastręczenia im przedmiotów do rozmyślania, jakich lud opodal morza mieszkający musi być pozbawionym. Gdzie oko niema przed sobą rozmaitości i ogromu przyrodzenia, tam i umysłowi nie łatwo się wznieść do śmiałości wyobrażeń. Z téjto przyczyny ludy nadmorskie i w górach siedziby mające, więcéj oświatą i potęgą polityczną słynęły, niż ludy w równinach osiadłe. Przykładem Tyr, Carthago, Grecya, Rzym, Szwajcary.

(Z tegoż.)

ROZDZIAŁ TRZECI.

D I A L O G.

A. SZKÓŁKA.

(KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE.)

Osoby:

Matka — Tadzio [1] syn jéj dwunastoletni — Bakałarz — Tomaszowa, siostra Bakałarza — Antek, Józio, Marynka, celniejsi uczniowie szkółki — Michał, stary lokaj — Kilkunastu uczniów płci obojéj. —
Scena w Porycku, miasteczku na Wołyniu, dnia 28. Sierp. 1777 r.

Scena I.

Bakałarz, Tomaszowa, wszyscy uczniowie.

Teatr wyobraża izbę szkolną; z obudwu stron są stoły, za nimi ławki, na których siedzą uczniowie; każdy z nich zajęty nauką. — Bakałarz na przedzie sceny wraz z siostrą tak do niéj mówi:

Bakałarz. Ach! jakiémże to dla mnie szczęściem dzień dzisiejszy znaczony! albo *calculo dies notata.* Dziś obchodzimy urodziny kochanego Panicza naszego, i Bóg sprowadził siostrę, którą już od tak dawna widzieć pragnę, któréj od roku oko moje nie oglądało. Prawdziwie, nie pojmuję się z ukontentowania.

---

1) Jestto ów późniéj głęboko uczony i powszechnie wielbiony obywatel Tadeusz Czacki, Prezes Sądu edukacyjnego, wielu uczonych towarzystw członek, Kurator gimnazyum krzemienieckiego, ur. dnia 28. Sierp. 1765 r. w Porycku. Znane są wszystkim gruntowna nauka i wielkie zasługi męża tego, o którym powiedziano:

Z jego wpływu i pracy mieć będą prawnuki
Dwie pamiątki najdroższe: język i nauki.

Z pomiędzy głęboko uczonych pism jego, najważniejsze: O prawach litewskich i polskich, w Warszawie 1801 r. we dwóch tomach in 4to, tudzież o dziesięcinach. Czacki umarł d. 8. Lut. 1813 r.

Tomaszowa. I ja, Bóg widzi, przyjść do siebie nie mogę z podziwienia i radości: rok temu, zostawiłam cię w nędzy, kochany Bracie, z całą twoją łaciną i mądrością. Właśnie odprawiwszy się od państwa, u których służyłam, miałam ci tu przywieźć kilkanaście złotych, z zasług uściułanych, żebyś przynajmniéj nie umarł z głodu, kiedy odbieram list twój. Przeczytawszy go z trudnością, dla drobnego pisma i łaciny, dowiaduję się, żeś w dobrym bycie, że dla mnie nawet masz kawałek chleba: nie chcę wierzyć oczom moim, przyjeżdżam, i zastaję więcéj, niżem sobie wystawiała. Kontusz porządny, pas bogaty, czapka z baranka, bóty żółte, mieszkanie chędogie; a nadewszystko twarz rumiana i wesoła, i doprawdy nie pojmuję...

Bak. Wszystko to Boskiéj Opatrzności cuda, i owoce owéj łaciny i mądrości, z któréj tylko niewiadomi szydzą. Ona to, Mościa Pani, postawiła mnie na tych nogach, na których mnie widzisz: bo kto w Boga wierzy, i połacinie umie, temu bieda nigdy długo dokuczać nie śmie.

Tom. Dokuczałać ci ona, Panie Bracie, czas nie mały: Bogu dziękować, że jéj się naprzykrzyło; ale powiedzże mi, jak się to stało? jaką służbę masz dla mnie? bo ja, dalipan, jak w rogu jestem, i schnę z ciekawości.

Bak. Opowiem ci wszystko porządkiem od początku, *ab ovo.* Wiesz dobrze, do kogo Poryck należy; wiesz, że to Państwo bogate, zacne, wspaniałe, wysokiego urodzenia; wiesz, że mają potomstwo; ale wiedzieć nigdy nie możesz, co za dziecię najmłodszy ich syn!...

Tom. O! słyszałam już wiele o nim: mówią, że to panicz rozumny, jakich mało.

Bak. Mów lepiéj, jakich nie masz w całéj Litwie i Koronie: *to nec plus ultra*, paniątko dobre jak aniół, a mądre jak Salomon; co on już książek przeczytał, co nauk posiadł, co dobrego zrobił; a jak gładko połacinie umie! wszak ci to książki, których ja stary nie rozumiem, on *ex abrupto* tłumaczy; już prawo zna lepiéj od palestrantów naszych, historyą polską od kronikarzy; a jakie serce! On to, nie kto inny, mnie staremu, niegdyś w dobrym bycie, poźniéj bez sposobu będącemu, podał szlachetny i uczciwy kawałek chleba; boć niema powołania nad powołanie nauczycielskie: *non est munus, nisi munus praeceptorum.*

Tom. Panie Bracie! nie mieszaj łaciny, a opowiedz rzecz, jak się przytrafiła.

Bak. Oto właśnie na ten Nowy-Rok byłem sobie, jak zwykle, w tutejszym kościele, klęcząc obok ławek, (bo dla

nędznéj odzieży wejść do żadnéj nie śmiałem): modliłem się gorąco na mojéj łacińskiéj książce. Wiele było w ten dzień gości, zasiedli zwykłe Kollatorów miejsce, i zdarzyło się, że młody Panicz wejść musiał do téj, przy któréj ja klęczałem. Zastanowiła go wnet moja łacińska i staroświecka książka, a może wreszcie i moja osoba; swój łatwo pozna swego; *similis simili gaudet.* Prawie nie spuścił z niéj i ze mnie żywych oczu swoich, a nim wyszedł z kościoła, prosił mnie, żebym tego samego dnia przyszedł do niego, do pałacu. Przyszedłem: wybiegł do mnie na dziedziniec; pomimo tego, że czamara moja, równie jak i książka, którą trzymałem w ręku, w szmatki podartą była, zaprowadził mnie do swego pokoju, i tam tak mówił przerywanémi słowy: „Oddawna pragnę gorąco, żeby dzieci domowników naszych, ubogich mieszkańców Porycka, mogły jakiegoś nabywać światła, żeby nie rosły w grubéj ciemnocie... mnie tyle szczęścia nauki przynoszą... mnie tylu rzeczy uczą, a ich niczego... oni tacy nieszczęśliwi... ale chciałbym, żeby nikt o tém nie wiedział; mam dużo pieniędzy, kochani Rodzice tyle mi ich dają; na pomocniku tylko dotąd mi zbywało... Ty umiesz połacinie, masz twarz poczciwą, takeś się modlił... Ty widzę potrzebnym jesteś: będziesz więc pomocnikiem moim, wszak prawda? upatrzysz w mieście dom jaki z dużą izbą; ty niby założysz szkółkę, a ja prawdziwym jéj założycielem będę.“ I to powiedziawszy, nie zważając na nędzne szaty moje, rzucił mi się na szyję, całował mnie jakby ojca, a czarne oczy jego jak dwie gwiazdy jaśniały... Wnet ułożyliśmy wszystko: mądréj głowie, dość dwie słowie; przyrzekłem mu sekret i chowam go wiernie; ty piérwsza z ust moich go słyszysz, bo mam wtém pewne widoki; wreszcie wiem, że choć kobieta, gadułą nie jesteś; kocham cię z serca, a kochającym się wszystko wspólne: *Amicis omnia communia*... Nie wyszło i miesiąca, już była izba najęta, książki skupione, kilkunastu uczniów płci obojga; mnie wszyscy mieli i mają za założyciela szkółki; powiedziałem, żem znalazł pieniądze w ziemi, i pospólstwo łatwowierne uwierzyło; bo mądremu wierzyć należy: *sapienti credere, fas est.* Nie źle téż na tém wychodzą. złamanego szeląga dziatek nauka ich nie kosztuje, kochany Panicz na wszystko łoży; jakich tylko pieniędzy udzielą mu rodzice, on ich nie strwoni na łakotki, choć je bardzo lubi; ale wszystkich używa na wynagrodzenie pracy mojéj; i broń Boże! nic od nikogo innego wziąść mi nie pozwala... sam zaś mówił już parę razy do mnie, żebym się o jaką kobietę dorzeczną wystarał, którąby o śniadaniach i podwieczorkach tych dzieci myślała, i przytém dziewczęta ro-

bót uczyła, to wszystko za przyzwoitą nagrodę. Oczywiście, że mi zaraz Pani Siostra na myśl przyszła...

Tom. O jakież to dobre i zacne dziecię! jakżebym go jak najprędzéj widzieć rada.

Bak. Będziesz miała wnet to szczęście: on dnia nie ominie, ażeby się nieznacznie nie wymknął do naszéj szkółki. Chwil rozrywce i zabawom poświęconych, on lepiéj używa. Po zabawach jego poznać dziecię: *Ex studiis suis intelligitur puer.* Przybiega tu, wypytuje się o wszystko, więcéj ochoczych pochwala, obdarza ich własnym podwieczorkiem; mniéj pilnych napomina, zachęca, a słów jego, jak wyroków, ta dziatwa słucha; więcéj może, kto więcéj znaczy: *plus potest, qui plus valet.* — Dziś zwłaszcza przyjdzie nieochybnie, dziś dzień jego urodzin, dwanaście lat skończył; a cóżby to było za święto, gdyby on nas, a my jego nie widzieli? Jużby tu nawet być powinien... ale wiem dlaczego nie przychodzi: huk gości zjechało się do naszego Państwa, obiad był suty; musiał trwać długo, chodziły téż zapewne i kielichy wkoło za zdrowie Solennizanta. O! mają wprawdzie czego zacnym Rodzicom winszować! Mądry syn rozwesela ojca, *Filius sapiens, laetificat patrem.* Mają komu szczęścia i zdrowia życzyć. O niechby żył sto lat! Cnotliwy i mądry nigdy dość długo nie żyje: *Vir probus et sapiens nunquam satis vivit.*

Tom. Ach! niechże tu przyjdzie jak najprędzéj! chciałabym ucałować nogi i ręce takiego Panicza.

Bak. Co z tego, to nic nie będzie, moja Pani Siostro; broń Boże, żeby cię znienacka zobaczył; muszę go pierwéj przygotować zręcznie, a potém chwilę uchwycić pomyślną. Skoro tylko usłyszymy, że nadchodzi, musisz się schować do alkierza.

Tom. A to go dziś nie zobaczę?

Bak. Jak się ze mną rozgada, uczniami zajmie, wejść możesz do izby, i stanąć gdzie w kąciku; on cię nie postrzeże, wzrok ma krótki, ale rozum jego daleko widzi; przytém bardzo często roztargniony bywa, bo młody, bo żywy, i to jedynie przed sobą widzi, o czém myśli. Ale doprawdy korcić mnie zaczyna, iż nie przychodzi. Uczniowie moi i ja sam mamy go oracyami powitać; miesiąc cały smażyłem się nad niémi; z jednéj szczególnie myśli kontent jestem... Antku! powiedzno te cztery wiersze, którémi Panicza przywitasz; ale zupełnie takim tonem, z takiémi gestami, jak cię nauczyłem.

(Antek wychodzi z za stołu, stawa, jak zwykle żaki przed Nauczycielami, i podnosząc i spuszczając ręce po kolei, mówi:)

Niech nasz kochany Panicz póty żyje,
Póki mucha z komarem morza nie wypije.

A ty mucho pij powoli.
Niech się nasz Dobroczyńca nażyje do woli.

Bak. Dobrze chłopcze! Pani Siostro, czyś wiedziała, jakim twój brat wierszopisem! a ty Józiu! pamiętasz twoję oracyą? (Józio podobnież czyni jak Antek.)

Fortunnych pociech szczęścia wszelakiego!
Życzęć winszując roku dwunastego!
Żyj ośmkroć lat tyle, czerstwéj sędziwości!
Doczekaj, mojéj podporo młodości!
Niech cię fortuna na ręku piastuje,
Niechaj przed tobą zawsze kredensuje!
Zażywaj długo szczęścia pomyślnego,
Póki nie dojdziesz kresu śmiertelnego!
Potém zasiadaj w krzyształowém niebie,
Kiedyć Król wieków każe przyjść do siebie.

Bak. Dobrze, wyśmienicie; i to powinszowanie nie źle mi się udało; tylko wtém bieda, że pewny nie jestem, czym je sam z głowy napisał, czyli też spamiętał. (Do Marynki, która także chce odmówić swoje.) Poczekaj dziewczę, pozwólcie, niech i ja sobie moję oracyą powtórzę... Pani Siostro, nie gniewaj się na mnie, i schroń się już do alkierza; zostaw drzwi otwarte, a ja tu już wszystko na przyjęcie jego urządzę.

(Tomaszowa odchodzi, widać ją jednak często we drzwiach.)

Bak. (po krótkim namyśle.) No! raz jeszcze moję oracyą przepowiem sobie; dla odmiany mową niewiązaną ją ułożyłem. (Napusza minę, czapkę zdejmuje i mówi pompatycznie:) „W nieodmienny prawie prognostyk poszło to u ludzi, iż jaki poranek wschodząca pokaże jutrzenka, taki sobie całego dnia czas przyobiecują; i pomyślna to wróżba, kiedy rzec można: już wschód jaśnieje, *jam oriens splendet!* Poranek dni Twoich, o Tadeuszu! tak wesoło i świetnie jaśniejący, jakież złotem płynące czasy życia twego przyobiecuje? jakiegoż starania, jakiéj życzliwości nie ma się spodziewać po tobie w wieku dojrzałym młodzież, kiedy w pierwszych twych latach już nieugaszone są płomienie Twojéj ku niéj miłości; krzewina już pod cień swój dobroczynny przyjmuje, cóż drzewo uczyni? cóż dąb, kiedy fiołek taki? *Quid de quercu, dum viola tanta!* a przeto“... Ale już, jako widzę, pamiętam ją co do słowa, lepiéj ustawić tę młodzież, boć pewno niedługo nadejdzie. (Obracając się do uczniów.) Chłopcy i dziewczęta! wiecież, jak się sprawić macie?

(Wszyscy, powstając:)

Wiemy!

Bak. Jednak dla pewności powtórzę wam raz jeszcze. Skoro nasz kochany Panicz wejdzie, staniecie wszyscy w szeregu jak wryci... Oto najlepiéj już teraz wyjdźcie z za stołów. (Wychodzą i stają, po jednéj stronie chłopcy, po drugiéj dziewczęta.) Tak dobrze, ani się ruszyć! Skoro wejdzie, ja najprzód wystąpię z moją oracyą; gdy skończę, każde z was z kolei wychodzić będzie z szeregu, i mówić swoję wyraźnie i pomału; potém... ale otóż nadchodzi. Dziatki! ani mru, mru!

Scena II.

(Ciż sami i Tadzio.)

(Tadzio wbiega zadyszany — dzieci zaledwie go postrzegły, biegą wszystkie ku niemu, wołając: kochany nasz Panicz! winszujemy, winszujemy! Żyj długo! Otaczają go, cisną się do nóg jego, suknię całują. Bakałarz napróżno do dyscypliny się bierze, nią grozi, krząta się, woła: *Ad ordinem, ad ordinem!* do porządku, do porządku! *malefrugi, improbi, scelesta capita*, lichoto, niecnoto, poczekajcie! dam ja tu wam! — Nic nie pomaga: Tadzio z największém rozczuleniem te oznaki przywiązania przyjmuje: słychać powtarzane z ust jego te słowa: Dzieci, moje kochane dzieci!)

Bak. No! psotniki, uspokójcież się raz przecie, niechże powiem moję oracyą.

Tadzio. (Wyciągając do niego rękę.) Co mi po oracyi, kochany Przyjacielu, wiem bez oracyi, że mi dobrze życzysz.

Bak. Ale, boto tę lichotę z taką pracą wyuczyłem: każde z nich miało coś powiedzieć, a tak nasz Panicz nie będzie nic wiedział.

Tadzio. Wiem wszystko; widziałem, że mnie kochają; łzy wdzięczności skropiły ręce, suknie moje... zupełniem kontent... nigdy tak szczęśliwy nie byłem, jak w téj chwili; bo widzę w tych dzieciach, w ich przywiązaniu do mnie, początki zapału do nauk i cnoty.

Bak. Ale możeby Panicz tak był łaskawy, i teraz wysłuchać nas raczył. (Stawa i zaczyna.) Nieodmienny...

Tadzio. (Przerywając mu.) Gdybym miał kilka minut wolnego czasu, wysłuchałbym cię chętnie; ale zaledwie wymknąć się z pałacu potrafiłem, wracać muszę prawie natychmiast: już więcéj jak godzina, jak tu biedz chciałem, a nie mógłem upatrzyć chwili... Niespokojność moję matka dostrzegła i pytała się kilka razy, co mi jest? Boję się nawet bardzo, żeby się cała nasza tajemnica nie odkryła, gdyż niedaleko ztąd widziałem starego Michała, który jakby mnie wypatrywał... Jabym chętnie z wami resztę dnia strawił: tu mi tak miło; nic nie wiem, jak wczorajsze nauki poszły?...

Bak. Bardzo dobrze! W wigilią święta Dobroczyńcy swego, jakże się przykładać nie mieli? a oprócz zwyczajnych nauk, oracyj i powinszowań nauczyli się jak pacierza. Nieodżałowana szkoda, że...

Tadzio. Nie żałuj tego; zupełnie, jakbym je słyszał. Wreszcie na przyszły rok zdać ci się mogą.

Bak. (Na stronie.) Wyborna myśl! lepiéj późno, jak nigdy: *melius sero, quam nunquam.*

Tadzio. A ja rozdam pomiędzy was, com z sutego obiadu, ciast, cukierków, łakotek i owoców mógł zebrać. (Idzie za drzwi, koszyk napełniony przynosi.) Sam, doprawdy, nic tego nie jadłem, żebyście wy więcéj mieli; może i tém obudziłem niespokojność kochanéj matki. (Dzieli uczniów, a najprzód butelkę wina z kosza dobywa i kilka małych jabłuszek.) Zacząć trzeba od najstarszego i najmłodszego, i dać każdemu, co lubi, co mu przystoi. (Najmniejszéj dziewczynce daje butelkę, Bakałarzowi jabłuszka — ci patrzą na się zdziwieni, a on omyłkę swoję postrzega.) A to nieszczęśliwe roztargnienie moje, wcale przeciwnie zrobić chciałem (odmienia dary). — Niech kto już rozda resztę, bo co tego, to nie umiem. (Marynka bierze koszyk i dzieli. Dzieci ze smakiem zajadają.) Kiedyż Przyjacielu wystarasz się o tę kobietę, o któréj ci już kilka razy mówiłem; bardzoby nam się przydała.

Bak. (Uradowany.) Ach! jabym mógł téj minuty stawić tu taką, jakiéj Panicz żąda.

Tadzio. Co mówisz?

Bak. (Wyprowadzając Tomaszowę z alkierza). Oto jest!

(Tomaszowa ściska kolana Tadzia.)

Tadzio. Zupełnie taka, jakiéj nam było potrzeba. Któż ona jest?

Bak. To siostra moja.

Tadzio. Tym lepiéj. Jutro przybiegnę tu rano, i rozmówimy się, teraz odejść muszę. (Chce wychodzić: wtém jedna z uczennic, która przed chwilą była wyszła, wraca z pośpiechem i woła:)

Dla Boga! dla Boga! sama Pani idzie!

(Dzieci, Tomaszowa, Bakałarz chcą uciekać, ale Tadzio ich wstrzymuje.)

Kiedy się już rzecz odkryła, lepiéj czekać śmiało, niźli uciekać; wreszcie nic tu złego nie robimy, bać się więc nie mamy przyczyny.

Scena ostatnia.

(Ciż sami, Matka i Michał.)

(Michał, otwierając drzwi.) Tu, tu, Jaśnie Wielmożna Pani; oto jest zbieg nasz. (Matka patrząc wkoło.)

Cóż tu dzieci, książek! a to widzę szkółka. O Boże! zgaduje serce moje całą tę tajemnicę. Synu mój! kochany Synu!
(Wyciąga ręce do Tadzia, on się rzuca w jéj objęcia.)

Tadzio. Co? kochana Matko, nie gniewasz się? Ten sekret przed wszystkimi?...

Matka. Ja gniewać się na ciebie? ach! owszem słodką napełniasz mnie pociechą; a jakaż będzie ojca twojego radość! kryć dobre uczynki swoje, zawsze wolno; bodajby takie tylko tajemnice były!... Tu więc tonęły owe pieniądze, podarki, któreś od nas dostawał; a jam się martwiła, że je trwonisz... Żal tylko mam do siebie, żem dawniéj twego serca nie odgadła.

Tadzio. A ja żałuję teraz, żem się dotąd przed Rodzicami taił; bom jeszcze nigdy w życiu podobnie nie był szczęśliwy... Ukochaną Matkę widzieć przejętą radością, któréj się jest sprawcą, to szczęście najwyższe... (Całuje ją w ręce.)
(Matka ściskając go.)
Synu! kochany Synu! Oby kiedyś, gdy lata przyniosą ci szczęście być ojcem, oby kiedyś, mówię, syn tobie podobny taką ci sprawił pociechę, jaką ty w téj chwili napełniasz serce moje... Oto jakieżto dziecię dałeś mi Boże w dobroci Twojéj! jakże ten piękny czyn dwunastoletniego młodzieńca pomyślną przyszłych przeznaczeń jest wróżbą. Dopomóż mu tylko Panie! a uczyni dla ojczyzny, co dziś dla rodzinnego miejsca uczynił. (Obracając się do Bakałarza, do Tomaszowéj i do Uczniów.) Wy poczciwi ludzie, którzy synowi memu dopomagacie do tak dobrego uczynku, zechcecie przyjąć jakąś nagrodę; a wy dzieci idźcie do pałacu, tam smaczną każę wam sporządzić wieczerzę. Chodź Synu mój, zaprowadzę cię do Ojca z tym chlubnym orszakiem; o jakże będzie szczęśliwy! Cnota dzieci, najdroższym jest skarbem rodziców.

(Z Rozrywek dla Dzieci przez Tańską.)

B. DIALOGI LUCYANA. *)

1. TYMON. (Początek.)

Tymon. O Jowiszu! ze wszystkiémi przydomkami,[1] które ci ludzie nadali, lub nadać jeszcze mogą rymotwórcy, a zwłaszcza wtenczas, gdy im wiersz nie w skład idzie; ciebie

*) Lucyan urodził się w Samosacie, mieście położoném nad brzegiem Eufratu, w Syryi. Rodzice jego sposobili go do rzemiosła, lecz doznawszy nieludzkiego obejścia się wuja swego, porzucił

to albowiem, jak oni mniemają, wielce obchodzi; gdzież twój łoskot? gdzież twój grom? gdzie twoje błyskawice? trzęsienia ziemi? zburzenie żywiołów? Patrz, jak już Salmoneusz [2] zamyśla przeciw tobie piorunami trzaskać, gdy ty, na to wszystko niebaczny, wśród niebios zdajesz się drzymać i zasypiać! Gdyś był młodszym, drżały szalbierze, oszusty i zdrajce. Grzmoty, grady, powodzie, oznaką były zapalczywości twojéj, i ledwo jednego razu Deukalion tylko ocalał. Teraz świątynie puste, z ołtarzów się ani kurzy; kto wie, czy się z tobą nie stanie, coś ty ojcu wyrządził. Oto niedawno odarli ci złotą brodę w Olimpii, a tyś z twoim piorunem siedział, jakby kogo innego golono. [3]

A i ze mną patrz, co się dzieje! Tylem nędzarzów zapomógł, ubogich zbogaciłem; zgoła będąc dobroczynnym, względnym, ludzkim, to zyskałem, iż jestem w nędzy, a nikt o mnie nie pamięta. Ci, co byli na zawołaniu, patrzeć

---

snycerstwo, poświęcając się jedynie nauce: i wkrótce takie postępy w filozofii, w prawie, a osobliwie w krasomówstwie uczynił, iż w czasie wielką wziętość zjednał. Trudnił się nauczycielstwem po różnych sławniejszych miastach, i znaczny zgromadził majątek; a potém osiadł w swéj ojczyznie, wielce od swych ziomków szacowany. M. Aureliusz Cesarz, umiejący cenić prace i talenta jego, mianował go namiestnikiem Pretora w Egipcie; tam więc osiadł, i jak jest podobieństwo, w podeszłym wieku życia dokonał.

Sposób pisania Lucyanowego wniósł nowy rodzaj dialogów: dawne dialogi używano przez Platona, były poważne, i zastanawiały się nad wyłuszczeniem rzeczy zawiłych, trudnych do pojęcia, nauk i obyczajności lub prawodawstwa tyczących się. Wziął on za cel równie obyczajność z nauką, ale chcąc tym silniéj zachęcić i przywabić czytelników, zmieszał z powagą i zwięzłością wymowy, żartobliwą satyrę, takowym, sobie tylko właściwym kształtem, iż środek trzymając między pomierną rozmową, zjadłą przymówką, a zbyt wolną w wyrazach komedyą, co wziął Arystofanowi, przydał do Platona. Usprawiedliwił skutek chwalebny zamiar jego. Rozmowy Lucyana są i będą zawsze wzorem tego rodzaju pisma, i żaden go jeszcze w téj mierze z naśladowców nie przeszedł. Z tych najznamienitsi w poźniejszych czasiech: Julian Cesarz, gdy o poprzednikach swoich satyrę napisał; Erazm z Roterdamu, powstający na współczesne bezprawia; Fenelon, najdokładniéj, lubo nie w uszczypliwości, do Lucyana zbliżający się; najpóźniéj Fontenelle, przesadzający niekiedy dowcipem.

Dzieła jego trojakiego są rodzaju; z tych piérwsze miejsce trzymają dialogi; niektóre dość obszerne, jako to: Tymon, Prometeusz, Nigrinus, etc.; w drugim rodzaju mieszczą się rozmowy bogów, gdzie się z bajek Mitologii natrząsa; trzecie są rozmowy zmarłych, rozmowy niewieście. Drugi rodzaj pism zawiera w sobie opisy życia i zdań rozmaitych osób: Anacharsis, Śmierć Peregrina, w sposobie pisania historyi. W trzecim rodzaju krasomowskie dzieła, przy różnych okolicznościach przez niego pisane, tudzież niektóre rytmy.

(Krasicki.)

teraz na mnie nie chcą; jeżeli kogo spotkam, albo mnie mija, albo skoro zdaleka spostrzeże, wraca się nazad, jakby węża obaczył. Ściśniony nędzą uciekłem w las, i za najem ziemię kopię: to mi tylko zostało w zysku, iż na niewdzięczników nie patrzę.

Powstań Jowiszu! rozpal w Etnie grot twój dzielny, i daj poznać, co ten grot może; bo inaczéj, kto wie, czy nie uwierzą Kreteńczykom, co powiadają, iż tam żyłeś z nimi, i jako żywo tam nie osiadłeś, gdzie mówią, iż siedzisz.

Jowisz do Merkuryusza. Co to za obszarpaniec, co pod górą Himetu ziemię kopie, a na mnie wrzeszczy?

Merkuryusz. Alboż nie znasz, Ojcze, Tymona Echekradczyka? Ten to jest sam, co nam słał hojne ofiary, i darami świątnice nasze obdarzał.

Jowisz. A czemuż w nędzy? jakże się odmienił! ledwiem go poznał.

Merk. Zbytnia go poczciwość i dobroć serca zniszczyła: rozumiał, iż użyczał przyjaciołom, co między kruki i wilki miotał. Ci objadłszy go, skradli i poszli, bo już nie było co kraść. Musi więc, jak widzisz, ziemię kopać dla kawałka chleba, iżby z głodu nie umarł.

Jowisz. Zabiegę ja temu i poradzę, iżby nie mówili ludzie, żeśmy im podobni. Zatrudnienia inne nie dały czasu zwrócić oczu ku niemu, zwłaszcza teraz, gdy mędrki zyskały wziętość; odtąd taki wrzask w Atenach, iż prośby poczciwych ludzi ledwo usłyszeć można. Przywołaj Plutusa i powiedz mu, iżby się tu z trzosem swoim stawił, a potém niech idzie do Tymona, i choćby go przyjąć nie chciał, niech nie odchodzi. O niewdzięcznikach i zdrajcach będę ja pamiętał, skoro mi piorun naprawią, bo mi się strzaskał na Anaxagorze, co powiadał, iż bogowie o ludziach nie pamiętają, i o rzeczy ziemskie nie dbają.

Merk. Jak widzę, nie źle to czasem i wrzaskiem się naprzykrzyć, kiedy inaczéj zyskać nie można. Gdyby był Tymon cicho siedział, kto wie, jakby był jeszcze długo ziemię kopał.

Plutus. Stawam Jowiszu, na twój rozkaz, ale do Tymona nie pójdę.

Jowisz. Dla czego! a zwłaszcza, gdy ja każę?

Plutus. A on ci to mnie z domu swego wypchnął, mnie, który przodków jego, rodziców, nierozdzielnym byłem towarzyszem. Mamże się po to wrócić, abym pochlebców, oszustów, wyjadaczów pasł, jak mi się to już u niego zdarzyło? Masz mnie Jowiszu posełać na świat, tam mnie raczéj posełaj, gdzie wiedzą, co, komu, jak, i wiele dać należy? Ale tacy,

jak on, niech się o rydlu i łopacie z ubóstwem i nędzą rozpoznawają. Dobry temu na dzień grosz, kto się ze stą tysięcy na rok obchodzić nie umiał.

Jowisz. Nie taki już teraz Tymon, jak był przedtém: nauczyła go nędza, jakto trzeba być bogatym. Ale też i ty Plutusie masz mu za złe, że cię na świat puścił, a skarzysz się ustawicznie na tych, którzy, jak cię raz złapią, nie dają ci wyniść na świat. Duszą w skrzyniach, pleśniejesz w sklepie, a od ustawicznego rachowania, powiadasz, iż ci się palce pokurczyły. Przykrzą ci się, jak mówisz, twoi ustawiczni posługacze.

Plutus. Ja się z tego nie usprawiedliwiam, co mi zarzucasz. Nie z łaski swojéj Tymon mnie wolnością obdarzył; jego nieczułość i lenistwo otworzyły mi wrota. Ci, co mnie zamykają i strzegą, mniemają, iż przeto wzmogę się i urosnę, i zostają w błędzie. Daremnie mnie albowiem więżą, gdy wkrótce i rychle albo złodziéj, albo, co pewniéj, dziedzic, najczęściéj marnotrawnik, przewietrza mnie i wypuszcza. Ani więc chwalę tych, którzy mi dają wolność, ani ganię, co zatrzymują; ale tych szacuję, którzy umieją się ze mną obejść, i w zatrzymaniu i w wypuszczeniu roztropną miarę dzierzą.

Jowisz. Darmo się z mową rozwodzisz: sami się oni karzą, gdy albo jak Tantal wśród wody pragną, albo jak Fineasz muszą cierpieć, iż co przed nimi dla posiłku postawią, Harpije zjedzą, a oni głodni: idź do Tymona.

Plutus. Pójdę, ale woru dziurawego nie napcham: ja będę lał, a przez rzeszoto Danaid wody przeciekną.

Jowisz. Jak wór się nie napcha, znajdzie się na dnie rydel: ty zrób go bogatym. Ty zaś Merkuryuszu zaprowadź go.

(Krasicki.)

1) np. chmurowładzca, grzmotnik, deszczowy i t. d.
2) Syn Eola a brat Syzyfa, chciał naśladować błyskawice i grzmoty, lecz ugodzony piorunem Jowisza, do piekła strącony został.
3) Dyonizyusz starszy, tyran syrakuzki.

2. ROZMOWA

między Minosem, Alexandrem, Annibalem i Scypionem.

Alex. Przewyższam cię Kartagińczyku, i powinieneś mi piérwszego miejsca ustąpić.

Ann. Nie ustąpię, mnie się należy.

Alex. Spuszczam się na wyrok Minosa, niech on nas rozsądzi.

Min. Kto wy jesteście?

Alex. Alexander i Annibal.

Ann. Annibal i Alexander.

Min. To są obadwa wielcy ludzie; o co między wami sprzeczka?

Alex. O to, komu z nas pierwszeństwo należy. Mniema on, iż był znakomitszym niżeli ja wodzem: a ja utrzymuję, tak jak wszyscy mniemają, iż nietylko jego, ale wszystkich innych, którzy byli przedemną, bohatérów, przewyższam.

Min. Obaczę, jakie są powody wasze: ty Annibalu zaczynaj.

Ann. Sędzio umarłych! przyznać powinieneś, iż ten, który sam sobie wszystko winien, i nie mając żadnego wsparcia, wzniósł się sam o swojéj mocy na najwyższy stopień wziętości i sławy, ten największego szacunku i uwielbienia godzien. Śmiałość, którą się na piérwszym moim wstępie w Hiszpanii wsławiłem, będąc tylko namiestnikiem brata mojego, dała poznać, czém być miałem, gdy się na czele wojska obaczę. Podbiłem Gallów, zwyciężyłem Celtyberyą, przeszedłszy nieprzebyte dotąd góry; zwycięzko rozpostarłem się nad Erydanem; uległy Włochy pod mocą oręża mojego, a Rzym dumny pod swojémi mnie murami obaczył. W dniu jednym tylu Rzymian pod zwycięzkim orężem moim legło, iż zdjęte z pobitych pierścienie napełniały beczki, a ich trupy stały się wojsku mojemu pomostem. Nie czyniłem się, na zdziałanie tego, synem Jowisza, ażebym przelęknionych nieprzyjaciół bajkami omamiał i straszył; i nie wstydząc się tego, iż byłem człowiekiem, wzniosłem dziełmi mojémi rodzaj człowieczy. Ci, z którymi walczyłem, najznamienitsi byli żołnierze i wodze. Nie z Medami i Persy zniewieściałymi miałem sprawę, ażebym łatwe zwycięztwo nad podłymi nieprzyjaciółmi zyskał, tak jak Alexander, który po znamienitym ojcu dostawszy wziętość i wojsko bitne, miał nadto jeszcze najszczęśliwsze zdarzenia do pozyskania téj wziętości i sławy, z któréj się, jakby jego tylko była dziełem, wynosi. Zwycięzca zniewieściałego Daryusza na polach Issu i Arbelli, uwiedziony szczęściem, odrodził się od ojca swojego, przejął ubiór i obyczaje zwyciężonych, i do tego stopnia zapamiętałości przyszedł, iż wstydząc się być człowiekiem, chciał wmówić w lud zadziwiony, iż był synem Jowisza. Zabił w pijaństwie przyjaciela i obrońcę życia swego Klitusa, i okrucieństwem nagrodził zasługi wodzów, którym po większéj części winien był wielkość swoję. Równie dzielny, tak jak on między Greki, posłuszny byłem ojczyznie mojéj, gdy mnie rozkaz współziomków z pośrodka zwycięztw moich do własnego kraju posłał. Przywykły do rządu, szedłem za rozkazem, gdy szło o całość Kartaginy i ziomków moich. Niesłusznie potępiony, mężnie wytrzymałem niewdzięczność ojczyzny. To zdziałał, jak Grecy nas zowią, dziki człowiek, barbarzyniec, który się w ich naukach i kunsztach nie ćwiczył, nie czytał, jak mój prze-

ciwnik, Homera, ani miał mistrzem Arystotelesa. Przyrodzeniu winienem wszystko, to mnie nad Alexandra wznosi. Jeżeli tém sobie wyższość przywłaszcza, iż nosił korony, to da zaszczyt u jego poddanych, ale nie da piérwszeństwa nad wojownikiem, którego dzieła nie były szczęsném losu zrządzeniem, ale skutkiem roztropności, odwagi i pracy.

Minos. Przyznać muszę, iż choć Afrykańczyk, dobrze rzecz swoję okazał. Co na to powie Alexander?

Alex. Nie rzecz moję będę obwieszczał, ale się zastanowię nad zuchwałą powieścią jego. Potomność dała poznać różnicę, jaką położyła między takim monarchą, jakim ja byłem, a dzielem najezdnika. Jeżeli jednak zniżyć się mam ku porównaniu, racz się nad tém zastanowić, Sędzio zmarłych, jakie są dowody pierwszeństwa mojego. Na tron w młodym wieku w dość trudnych okolicznościach wstąpiłem, nie mając potrzebnego ku rządom doświadczenia. Takem się sprawił w pierwiastkach działania mojego, iż ukarałem zabójców ojca, i zburzeniem Teb zastraszyłem Greki. Ogłoszony najwyższym wodzem sprzymierzonych narodów, powziąłem myśl zawiadować światem. Z małém wojskiem szedłem wojować Azyą, i opanowawszy kraje aż do ustępów Issu, znalazłem Daryusza, który mnie czekał na czele wojsk swoich nieprzeliczonych. Nie wystarczyła wówczas łódź Charonowi do przewozu, i na tratwach pobitych pławił. Mijam zwycięztwa Tyru i Arbelli, oparłem się o Indye, i rozciągnąłem do Oceanu granice państwa mojego. Słonie Porusa tryumfu mego były ozdobą, a gdym się poza Dunaj ku północnym narodom wyprawił, dotąd niezwyciężonych Scytów pokonałem. Umiałem gnębić nieprzyjaznych, ale mnie w nagrodzie przyjaciół nikt nie przeszedł. Jeżeli zdziwieni dziełmi mojemi przyznali mu ludzie bóstwo; nadzwyczajność, cudom podobna, przywieść ich mogła do tego błędu. Na tronie śmierć mnie zaszła: a ten dziki z własnego kraju wywołaniec, na dworze Pruzyasza, godnym dzieł swoich zgonem, wieku dokonał. Wyprawa jego do Włoch, nie tylko chwały i względów, ale i zastanowienia niegodna. To, co tam zdziałał, winien podstępom i okrucieństwu swemu; śmiał mi wymawiać niewstrzemięźliwość, jakby sam nie dał jéj dowodów, gdy w Kapuy mieszkał; nie traciłem ja na biesiadach czasu, gdy szło o zwycięztwo; on skutek swoich wśród niewiast stracił. Gardziłem ja zdobyczą, na którą on czuwał, i gdybym był ku zachodnim krajom zwycięzki oręż zwrócił, nie tylkobym miał hołdujące sobie włoskie krainy, oparłbym się o słupy Herkulesa. Ale grube te i dzikie wówczas narody, niegodne były takowego zwycięzcy. Mógłbym

nierównie więcéj dać przyczyn, dlaczego mi piérwszeństwo należy; przestaję jednak na tém, com ci obwieścił, i pewnego dla siebie czekam wyroku.

Scyp. Racz się nieco zatrzymać i posłuchać mnie Minosie.

Minos. A ty, kto jesteś, co śmiesz tu stawić się przedemną?

Scyp. Jestem Scypion, zwycięzca Annibala.

Minos. Czego chcesz?

Scyp. Ustępuję piérwszeństwa Alexandrowi; Annibal mi swego, żyjąc jeszcze, ustąpić musiał.

Annibal. Gdyby ci był los wówczas, tak jak mnie, stał się przeciwnym, nie tylko iść o pierwszeństwo, ale i równać się ze mną obadwa nie śmielibyście. (Krasicki.)

3. CZARNOKSIĘZTWO ALBO POWROT MENIPA.

Menip, Filonides.

Menip. Powracającym z otchłań ciemnego siedliska,
O jak są miłe, wdzięczne, ziemi widowiska. *)

Filon. A to podobno Menip, filozof sekty cynników; czy mnie wzrok myli? czyli to kto do niego podobny? ale im bardziéj się przypatruję, tém dowodniéj widzę, iż to on sam w osobie swojéj. Lecz co znaczy ubiór jego? w ręku ma muzyczny instrument, a lwią skórą jest przyodziany. Dzień dobry, Menipie! zkąd wracasz? od dawnego cię czasu nie widziałem.

Menip. Powracam z téj otchłani i z pieczar ciemnistych,
Gdzie umarli mieszkają w ciemnościach wieczystych.

Filon. Więc byłeś umarłym i teraz zmartwychwstajesz?

Menip. Zawsze w liczbie żyjących tak jak teraz byłem,
I żywy zmarłych dzikie mieszkania zwiedziłem **)

Filon. Dziwisz mnie wielce powieścią twoją; racz powiedzieć, co było podróży takowéj przyczyną?

Menip. Zapał chęci zbyt żywych i wspaniała śmiałość,
Tym winienem zwiedzenia mojego zuchwałość.

Filon. Mówno poprostu i powiedz najprzód, dla czego tak jesteś przybrany, i co była za przyczyna twojéj na tamten świat podróży? nie jest on tak powabny, iżby się tam spieszyć.

Menip. Terezyasza wieszczby dowiedzieć się chciałem:
Com przedsięwziął odważnie, śmiało wykonałem.

Filon. Czyś oszalał, czyś się uwziął na to, abyś tylko wierszami gadał?

Menip. Nie dziw się temu, iż gadam rytmem; dopiero z towarzystwa Homera i Eurypidesa wychodzę: pełną mam głowę wierszów, które mi nagadali, i rad nierad je powtarzam:

*) Z Tragedyi Eurypidesa Herkules. **) Z téjże.

tak mnie omamili baśniami swojémi. Proszę cię teraz, powiedz mi, co się na świecie dzieje, i co robią w tém mieście?

Filon. To, co i za twoich czasów, kradną, złorzeczą, dają na lichwę.

Menip. Ślepi ludzie! jak mi was żal; nie wiecie, jaki padł wyrok na bogatych: wyrok, którego się ustrzedz nie mogą.

Filon. Jakiż to ten wyrok?

Menip. Nie godzi się powracającym wyjawiać, co widzieli i słyszeli. Gdybym był doniesionym do Radamanta, na złeby mi wyszło takowe obwieszczenie.

Filon. Nie masz się bać odemnie zdrady, a racz nasycić ciekawość przyjaciela twego.

Menip. Wiele odemnie wymagasz, ale prawdziwa przyjaźń odmówić nie umie. Jest więc ustanowiono na tamtym świecie....

Filon. Nim mi wyrok obwieścisz, racz powiedzieć, kochany Menipie, dla jakiéj przyczyny odwiedziłeś piekieł otchłanie? i kto był twoim przewodnikiem. Potém mi dopiero opowiesz, coś tam widział i słyszał. Od dawności znam, jak jesteś ciekawym, i pewien jestem, żeś wszystko dokładnie oglądał.

Menip. Gwałt mi czynisz Filonidzie, ale nie sposób oprzeć się żądaniu twojemu. Powody śmiałéj podróży były takowe. W młodości mojéj słysząc i czytając tak w Homerze jako i w Hezyodzie, iż jak na ziemi, tak w Olimpie łotrostwa pełno, iż pomiędzy bogami dzieci powstawały na rodzice, bracia siostry za żony brali; zdało mi się, iż kiedy się to na górze godzi, na dole było chwalebne i dobre; a zatém rzecz była do naśladowania. Ale gdym przyszedł do męzkiego wieku, poznałem, iż nie zgadzała się obyczajność z rymotwórstwem. Prawo zakazywało cudzołóztwa, kradzieży, podstępów, buntów, zdrady, podejścia; taka więc przeciwność rzeczy wprowadziła mnie w takowy odmęt i zawikłanie, iż nie wiedziałem, czego się trzymać. Uznając, co się ludziom nie godzi, nie mógłem przewieść na sobie, aby to bogom było wolno. W takowéj niepewności zostając, udałem się do filozofów. Prosiłem ich, aby mnie naprowadzili na dobrą drogę, abym wiedział, czego się mam trzymać. Cóż się stało? oto znalazłem w ich sposobie myślenia istotne bałamuctwa; a zatém więcéj rozsądku w prostocie, niżeli korzyści w wykwintném ich przesadzeniu. Jakoż zastanów się wraz ze mną nad tém, co oni prawią. Jedni z nich obwieszczają, iż treść szczęścia w roskoszy; drudzy, iż ustawicznie pracować i najsurowiéj się z sobą obchodzić należy; a przez głód, ubóstwo i wytrzy-

małość, pozyskać szczęście. Jedni mówią, iż gardzić bogactwy potrzeba, drudzy, iż bez dobrego mienia obejść się nie można. Obwieszczając niby istotę rzeczy, takich używają wyrazów, iż ich pojąć nie można; a może i sami siebie nie rozumieją. Co najgorsza, do poparcia zdań swoich używają powodów tak pozornych, tak kształtnie obwieszczonych, iż łatwo ułudzić mogą. Jeden z nich twierdzi, iż to jest zimne, o czém drugi zaświadcza, iż stopnia gorącości jego wytrzymać nie można: i chociaż każdy wie, iż ciepło z zimnem zgodzić się nie może, tak z obojéj strony umieją rzecz udać, iż nakoniec nie wiedzą, czego się trzymać ci, którzy ich słuchają.

Nie wiedząc, czego się jąć miałem, podobien byłem do tego, który snem ujęty drzymie, i raz na jednę, drugi raz na drugą stronę głową się schyla. Przypatrując się nakoniec pilnie i z blizka sposobowi życia nauczycielów moich, poznałem dowodnie, iż się ich życie z nauką, którą obwieszczali, nie zgadzało zupełnie. Gardziciele bogactw największymi byli lichwiarzami, a na to tylko czuwali, jakim sposobem pieniędzy dostać; pod pozorem względu na przyszłość, ukrywali gwałtowną chciwość. Niedbający o sławę, na to tylko wysilali się, aby zyskali wziętość, a zatém poszanowanie. Zawiedziony zatém w mniemaniu, oszukany powierzchownością, gdym nie wiedział, co daléj mam czynić, ledwom się nie uwiódł rozpaczą: to mnie jednak pocieszyło niejako i wsparło, iż mój błąd z innymi dzielę, którzy, równie jak i ja, zawiedli się, szukając prawdy.

Przyszedł mi zatém na myśl ów sławny wieszczbiarz Terezyasz, abym się go poradził, jaki sposób myślenia i działania jest najlepszy. Że zaś on w polach elizejskich przebywa, a tam się dostać żyjącym trudno, pomyślałem, jeśliby tego czarodziejstwem dokazać nie można; a zatém udałem się do Babilonu, gdziem najznakomitszego z czarnoxiężników zastał, Mytrobarzana. Postać jego była wspaniała, włos siwy, broda zarosła, chód poważny; gdym mu myśl moję przełożył, z początku nie dał się użyć; zmiękczony jednak na końcu usilnémi prośbami, obiecał uskutecznić żądanie moje. Codzień zatém prowadził mnie równo ze wschodem słońca, przez cały miesiąc, na brzeg Eufratu: tam obrócony na wschód, gdym się w wodzie rzecznéj zanurzał, on mruczał pocichu, i gdym niekiedy co słyszał, były to dla mnie wcale niezrozumiane wyrazy. Znać jednak było, iż wzywał duchów piekielnych.... a naówczas ziemia trząść się poczęła, otworzyła się nakoniec, i usłyszeliśmy z przepaścistego dna otchłani głos przeraźliwego Cerbera; płomieniste jeziora ukazały się i gmachy ogromno-

straszliwe Plutona. Weszliśmy w otchłań, a sędzia zmarłych, Radamant, zadrżał za naszém przyjściem. Ujadał Cerber wściekle; ale go dźwięk muzycznego instrumentu ułaskawił.

Gdyśmy przyszli do przewozu, zastaliśmy już łódź pełną; ale Charon mniemając ze skóry lwiéj, iż byłem Herkulesem, przyjął nas z ochotą, i w czasie przeprawy opowiedział drogę, którąśmy daléj iść mieli do pól elizejskich. Ciemność była wielka w dalszéj podróży; trzymałem się więc sukni przewódcy mojego, i tym sposobem doszliśmy miejsc widoczniejszych, gdzie wśród niezliczonego mnóstwa unoszących się duchów, Minos sprawiał urzędowanie swoje. Na wzniesioném miejscu siedział, w towarzystwie furyj, duchów katowniczych, a ćmy szkodliwe mieszały się na około. Pędzono ku niemu winowajców tłumy: każdy z nich niósł wyobrażone w postaci niespokojnéj, trwożnej i upokorzonéj, przestępstwo i karę swoję. Tych, o których słyszałem, iż w największéj byli niegdyś wziętości, tam widziałem w tłumie. Urzędy nie znaczyły, a i największe stopnie nie dawały się poznać w powszechném zamieszaniu. Coś to było podobnego do komedyantów; ten, co na teatrze był królem, po skończonéj sztuce odstąpiony od dworzan, zrzuca płaszcz, koronę składa, i pieszo powraca do domu.

Filon. Ale ci, którym wystawione wspaniałe nagrobki, muszą przecież mieć różnicę od innych!

Menip. Różnicę? owszem z tych się też nagrobków śmieją, a oni niebożęta nie mając co odpowiedzieć, złorzeczą wystawiaczom, zwłaszcza, gdy tego niegodni. Nie rozumiéj albowiem, aby nie miał być miły mieszkańcom szczęśliwym Elizeum wzgląd, który oddano ich cnocie. Ale ów Mauzol, któremu nie jego zdatność, ale miłość, a może duma żony, najwspanialszy i między cuda świata gmach policzony postawiła; widziałem go na ustroniu, i znać było, iż się wstydził niezasłużonéj nagrody. Xerxes, ów niezliczonych wojsk na zgnębienie Greków przewodziciel, wymiatał śmieci z gmachów Plutona; Filip naprawiał obuwia, Alexander oganiał muchy nad śpiącym Dyogenesem.

Filon. Gdybyś nie był świadkiem tego, co mówisz, wierzyćby temu nie można. Powiedz mi teraz, czyś widział Sokratesa?

Menip. Zatrzymał on i tam, gdzie jest teraz, swój sposób mówienia głęboki, dowcipny i uszczypliwy; jest zaś po większéj części w towarzystwie najznamienitszych duchów, między którémi znajdował się Ulisses, Nestor, Palamedes; z roskoszników, łakomców, podstępnych, naśmiewa się.

Filon. Racz teraz powiedzieć, jaki to był wyrok przeciw bogaczom, o którym na początku rozmowy naszéj wspomniałeś.

Menip. Jak mogę pamiętać, gdyż zdaleka go słyszałem, był takowy: „Ponieważ posiadacze bogactw, zdradą, podejściem, gwałtem pospolicie nabywać zwykli, a będąc w ich dzierżeniu gardzą ubogimi, i do coraz ich większego ubóstwa zdzierstwem przywodzą, stanowimy: iż skoro z nich który tu do nas przyjdzie, rzucony będzie na ziemię, a dusze takowych, woły, konie, osły będą ożywiać, aby pracując dla tych, których zdarli, wypłacali się z kradzieży swojéj.“

Zostawało mi jeszcze dla rady odwiedzić Terezyasza. A że dla téj przyczyny jedynie odważyłem się na tak zuchwałą i niebezpieczą podróż, znalazłem go nakoniec; a gdym mu żądanie moje przełożył, rzekł: „Niespokojność twoja pochodzi ztąd, iż z rozmaitych zdań mistrzów twoich ten zysk odniosłeś, że nie wiesz sam teraz, czego się masz trzymać.“ Wziął mnie zatém za rękę, i odprowadziwszy na stronę, to mi poszepnął do ucha: „nie badaj zbytnie, używaj skromnie, a nie wierz filozofom.“ (Krasicki.)

C. NAŚLADOWANIA KRASICKIEGO.

1. ROZMOWA

między Kuryuszem [1], konsulem rzymskim, i Apicyuszem. [2]

Apicyusz. Musiała osobliwego być smaku ta rzepa, którą przeniosłeś nad złoto, gdy ci je posłowie Samnitów ofiarowali.

Kuryusz. Dla czego mnie o to pytasz?

Apicyusz. Boby się to zdało do mojéj księgi.

Kuryusz. Nie spodziewałem się tego po twojéj spasłości i żywym rumieńcu, iżbyś się bawił uczoném rzemiosłem.

Apicyusz. Moja księga do tego służy.

Kuryusz. To nowy rodzaj pisma być musi; bo choć i ja

1) M. Anniusz Kuryusz, z przydomku Dentatus (zębaty), sławny wódz rzymski, wielokrotne odnosił zwycięztwa. Gdy mu wojna z narodem Samnitów zlecona była, a wysłani od nich posłowie pieniędzmi i złotémi naczyniami przekupić go chcieli, przyjął ich skrobiąc rzepę przed kominem: a gdy ztąd oznaczyli zadziwienie, rzekł: „Kto na rzepie przestaje, złota nie potrzebuje: wiedzcie zaś o tém, iż wolę bogatym rozkazywać, niż być bogatym.“

2) Apicyusz, sławny żarłok, niezmierny majątek stracił na biesiadach, i choć mu jeszcze dosyć znaczne zbiory zostawały, mniemając jednak, iż następnym zbytkom nie wystarczą, trucizną życia dokonał. Napisał księgę *de re Culinaria*.

i mnie podobni, w pierwiastkach Rzymu nie zatrudnialiśmy się naukami, słyszałem jednak, iż one nie tuczą; trafiało mi się widzieć niekiedy filozofów, pospolicie byli wybladli i chudzi.

Apicyusz. Bo albo nie chcieli, albo (co się najczęściéj filozofom trafia), nie mieli co jeść; jam sam zjadł może tyle, ile oni wszyscy.

Kuryusz. I książki piszesz?

Apicyusz. A właśnie mi rozdziału o rzepie brakuje.

Kuryusz. Jeśli tak jest, jak mówisz, wiedzże o tém, iż się nic nowego odemnie nie dowiesz; moja rzepa taką była, jaką jest, i jaką będzie, póki tylko jéj na świecie stanie.

Apicyusz. A dla czegożeś ją nad złoto przeniósł?

Kuryusz. Dla tego, żem na rzepie przestał.

Apicyusz. Więc może rzepa była zwyczajna, ale ty wynalazłeś przyprawę, która ją uczyniła tak szacowną.

Kuryusz. Mój kochany, ja ciebie nie znam, i przyznam ci się, iż nie rozumiem, czego ty odemnie chcesz. Powiedziałem ci już, iż moja rzepa taka była, jakie są wszystkie inne; powiedziałem ci teraz, iż nie miała żadnéj przyprawy. Położyłem ją w popiele żarzystym, żeby się upiekła, i właśniem ją wygarniał i strugał, kiedy mnie posłowie Samnitów zeszli.

Apicyusz. I ofiarowali ci złoto?

Kuryusz. Ofiarowali.

Apicyusz. I tyś go nie przyjął?

Kuryusz. Nie przyjąłem. A jakem im wówczas powiedział, żeby mi dali pokój, tak i tobie teraz toż samo powiadam.

Apicyusz. Więc sposób pieczenia dawał owéj rzepie smak nadzwyczajny?

Kuryusz. Co tobie do tego, wiedzieć, jak ja rzepę piekł. Ja ciebie o to nie pytam, jakeś ty sam jeden mógł tyle zjeść, ile wszyscy filozofowie, którzy tylko byli, są, a może którzy i potém będą.

Apicyusz. Jużem ci powiedział, że piszę księgę.

Kuryusz. A mnie co do tego, że ty księgę piszesz.

Apicyusz. Że mi właśnie rozdziału o rzepie brakuje.

Kuryusz. Niech brakuje i o marchwi, mnie to bynajmniéj nie obchodzi.

Apicyusz. Więc nie jesteś przyjacielem ludzkości?

Kuryusz. Rzepa do tego nie należy.

Apicyusz. Należy i wielce, kiedy ja tobie powiem, o czém piszę.

Kuryusz. Mów co prędzéj, bo nie mam czasu.

Apicyusz. Piszę księgę znamienitą, kunsztowną, dowcipną.

Kuryusz. To nie dobrze, kiedy się kto sam chwali.

Apicyusz. Nie siebie ja chwalę, ale kunszt, o którym piszę.

Kuryusz. Jakiż to ten kunszt?

Apicyusz. Kuchenny, i o nim moja księga, któréj tytuł: *Claudii Apicii de re Culinaria*, etc. W téj księdze potrzebny rozdział o rzepie, na dopełnienie którego ciebie ja, jako tego, który najlepiéj o niéj sądzić możesz, wybrałem.

Kuryusz. Mości Panie Klaudyuszu Apicyuszu, autorze księgi *de re Culinaria*, na to, czém mnie zagadłeś, to jest względem rzepnego rozdziału, tak odpowiadam: iż, gdybyś był żył za moich czasów, a śmiał się takowémi baśniami zaprzątać, i innych trudzić, skazanoby cię do kuchni obozowéj, żebyś lepszym od ciebie rzepę strugał. To za przedmowę do twojéj księgi *de re Culinaria* położywszy, do rozdziału mnie wyznaczonego tak się przykładam: Rzepa Kuryusza droższą była nad złoto Samnitów, bo cnota Kuryuszowa nie była na przedaż; rzepa Kuryuszowa dla tego była smaczna, iż ją poprzedzała praca, a towarzyszyła jéj wstrzemięźliwość: tych dwóch przypraw do jadła kto używa, obejdzie się bez księgi Apicyuszowéj *de re Culinaria*. Bądź zdrów, a jak staniesz przed Minosem, który cię ma sądzić; taj, jak możesz, rzemiosło twoje, żeby cię do kuchni Plutonowéj nie odesłał.

2. ROZMOWA

między Juliuszem Cezarem a Przewoźnikiem.[1]

Juliusz do *Przewoźnika.* Czemu się ty śmiejesz?

Przew. Bo mi się śmiać podoba; ja ciebie nie pytam o to, dla czego siedzisz na tém czołnie smutny i wzdychasz.

Jul. Po tak śmiałéj twojéj odpowiedzi, domyślam się, iż mnie nie znasz.

Przew. Alboż ci nasz sternik Charon nie powiedział, iż masz prawo piérwsze miejsce zasiąść, za to, żeś mu tyle nieboszczyków przesłał?

Jul. Nie mianował mnie jednak po nazwisku.

Przew. Prawda, ale gdy powiedział, iż tyś najwięcéj mu dusz posłał do przewozu; tém samém ciebie mianował.

Jul. Czémże mnie być sądzisz?

Przew. Tém, czém byłeś: najsławniejszym za twoich czasów krwi ludzkiéj rozlewcą.

1) Gdy się Juliusz doczekać nie mógł okrętów, które mu na przeprawę wojsk z Brundozyum przyjść miały, mimo wzburzone morze, ile wśród zimy, wsiadł na łódź i puścił się w przedsięwziętą podróż; a gdy przewoźnik, widząc coraz wzmagające się wiatry, do brzegu zawijać chciał, powstał z miejsca, i dawszy się poznać przestraszonemu, rzekł: Płyń śmiało, Cezara wieziesz i jego losy. *Caesarem vehis, et ejus fortunam.* Plutarch w życiu Cezara.

Jul. Było tylu innych.

Przew. Przeszedłeś ich Juliuszu.

Jul. Więc moja sława i ciebie doszła, zdajesz mi się albowiem być człowiekiem z gminu.

Przew. Alboż cię i tacy nie znali, gdyś ich kraje pustoszył! Tyś teraz z gminu, gdy cię ta łódka trwoży, a ja w niéj z twojém podziwieniem spokojnie siedzę. Nie rozumiéj jednak, że się z ciebie natrząsam, bo to byłoby nieludzkością; muszę ci się jednak przyznać, iż przyczyną śmiechu mojego to było, żem cię poznał.

Jul. Alboś mnie kiedy widział za mego życia?

Przew. Pewnie twarzy mojéj nie przypominasz sobie, bo wy panowie z góry tylko na nas rzucając okiem, nie mogliście, ani możecie zatrzymać nas w pamięci; my przeciwnym sposobem ciekawie patrzeliśmy na rzadkie dla nas widoki, a dopieroż gdy straszne, jakim ty byłeś i tobie podobni.

Jul. Mnie chwalili z dobroci.

Przew. Z tego może, żeś mniéj był strasznym! byłeś nim jednak. Chwalili cię z dobroci ci, co się ciebie bali; ci, co cię chcieli oszukać. Ale ty, coś nie tylko był panem, ale miałeś rozum, alboś im wierzył?

Jul. A ty choć z gminu i niby prostak, nie źle widzę i myślisz i mówisz.

Przew. Jeżeliś mniemał, że w gminie nie można dobrze ani mówić, jak się to z twego zagadnienia wydaje, ja ci choć gminny i prostak wręcz powiem, iż wy niegminni umieliście mówić, ale nie myśleć.

Jul. Obeszłoby się bez tych uwag: powiedz, gdzieś mnie widział?

Przew. Pamiętasz, kiedy nie mogąc się okrętów twoich doczekać, puściłeś się sam jeden w łódce na morze z Epiru do Brunduzyum?

Jul. Któżby o takiém dziele zapomniał? pokazała się w niém moja odwaga i stałość umysłu.

Przew. Może inni tak myśleli: jam cię w owéj łódce przewoził.

Jul. Więc miałeś zaszczyt być uczestnikiem wielkiego dzieła.

Przew. Bynajmniéj ja sobie tego zaszczytu nie przywłaszczam, boś mnie przymusił puszczać się na morze, kiedy się puszczać nie należało. Wybacz, coć powiem: gdybym był to dobrowolnie uczynił, co z musu czynić musiałem, nie brałbym ztąd dla siebie zaszczytu.

Jul. Znać, żeś z gminu, gdy nie czujesz, jakiém to było dla ciebie szczęściem wieźć Cezara i losy jego.

Przew. Pamiętam, żeś to powiedział, gdy się morze burzyło, i rozumiałeś, iż tak się ciebie zlęknie, jak Gallowie i Hiszpani; ale jak na złość, burza coraz się wzmagała, i gdyby nie ja...

Jul. Smiesz sobie moje ocalenie przypisywać?

Przew. Zapewne, żeś je winien mojemu wiosłu, a jeżeli los jednego z nas miał zmiękczyć bogi, nie wiem, kto bardziéj zasłużył na takie względy; czy ten, co ludzi gnębił; czy ten, co się w stanie swoim poczciwie sprawiał. Na innéj teraz płyniemy łodzi; Charon nas wiezie i losy nasze; ja się śmieję, a ty wzdychasz.

3. ROZMOWA

między Bolesławem Chrobrym a Kazimierzem W., Królami polskimi.

Bol. Nie spodziewałem się takowéj niewdzięczności następców, iżby na moje wielkie dzieła nie mieli względu.

Kaz. I owszem szeroce je opisując przyznają, żeś granice państwa rozszerzył, narody sąsiedzkie jedne podbił, drugie uskromił, sławę narodu polskiego wzniósł, i piérwszy tytułem królewskim okrasił.

Bol. Wiem ja o tém, iż dość wiernie opisali dzieła moje, ale . . . .

Kaz. Czegóż więcéj do chwały potrzeba? Sława panowania twego szacowną jest następcom, tak jak mnie samemu była.

Bol. Jednak gdy szło o przydomek, o znamię i o znaczenie szczególne, można mnie było nazwać lepiéj i właściwiéj, niż Chrobrym.

Kaz. Bohatéra zwać krzepkim, mocnym, dzielnym, zdaje mi się, iż jest sprawiedliwe oznaczenie.

Bol. Jednakże (czemu ja nie przeczę, boś godzien) ciebie nazwano Wielkim.

Kaz. Z wdzięcznością to przyjmuję, iż mnie godnym być sądzisz tego nazwiska.

Bol. Mnie się zdaje, iż ci tylko wielkimi, albo większymi nad wielkich innego rodzaju zwanymi być powinni, którzy dzielnością i rycerskiémi czyny wznieśli sławę narodu.

Kaz. Jabym zaś sądził, iż nie tak sprawca zwierzchniego zaszczytu, jak działacz istotnéj wewnętrznéj szczęśliwości godzien pierwszych względów.

Bol. Siedzieć cicho, i spokojnie roskoszy tronu używać, nie są to kroki ku wielkości.

Kaz. Zapewne, iż sama przez się spokojność i cichość nie jest zaszczytem istotnym: ale kto w cichości rządem się we-

wnętrznym zatrudnia, rólnictwo pomnaża, handel wznosi, nauki rozkrzewia, buduje, może być przeniesionym nad tego, który z łoskotem obala i niszczy.

Bol. Lepiéj stawiać słupy wśród rzek na znak zwycięztwa, i szczerbić mieczem drzwi dobytego miasta, niż zamki stawiać, bez których się naród waleczny obejść może.

Kaz. Gdybym te słupy znalazł, przebacz, iż kazałbym je natychmiast z rzek wyjąć, żeby nie przeszkadzały spławom zboża i towarów; a gdybym miasto zdobył, nie psułbym bram, ani szabli wyszczerbiał.

Bol. Godne to oracza i kupca, nie króla wyrazy.

Kaz. Bez oraczów i kupców słupów stawiać nie można.

Bol. Jakoż zwano cię Królem chłopków?

Kaz. I dla tego podobno, czego się wojownik nie doczekał, spokojny zyskał.

Bol. Nie zawsze się do zdania potomnych odwoływać należy: częstokroć przesądy uwodzą.

Kaz. Fałsz długo trwać nie może: prawdy światło choć zrazu przytłumione, przeciąg czasu odkrywa, a wówczas im dłużéj w utajeniu, tym jaśniéj się ukazuje.

Bol. I dla téj przyczyny wielkości przydomkiem późne wieki tych obdarzyły, którzy dzielnością wzmogli i rozszerzyli państwa swoje: tacy byli: Alexander, Konstantyn i Karól Wielki.

Kaz. Wolno każdemu myśleć, jak chcę: mnie się to zdaje niepospolitą chwałą narodu polskiego, iż lubo miał w rządzcach swoich walecznych bohatérów, a ciebie na czele, temu jednak przysądził wielkość, który sobie na miłość zasłużył.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

L I S T Y.

WSTĘP.

1. List będąc właściwie rozmową na piśmie pomiędzy oddalonémi od siebie osobami, powinien się koniecznie zbliżać do tonu ustnéj mowy. Jest to, jak się wyraża Słowacki, mowa pisana, zastępująca miejsce ustnéj, do któréj nas przyjaźń, grzeczność, interes, lub inne jakie okoliczności zniewalają. Pisząc więc list, należy sobie osobę, któréj się listownie udzielić chcemy, obecną wystawić, a potém tak myśli nasze i uczucia tłumaczyć, jak gdybyśmy z nią ustnie rozmawiali. Żywość i szybkość ustnéj rozmowy, nie dozwala słuchaczowi zwracać uwagi na szczególne części i związek onychże: mnóstwo pomyłek znika w prędkości potocznéj rozprawy; lecz pisząc, mamy dosyć czasu do ich uniknienia; i dla tego czytający nie pobłaża nam tyle, co słuchacz w zwyczajnéj rozmowie. Atoli wszelka sztuka i przymus dalekiémi od listu być mają, którego wartość na tém szczególniéj zależy, aby się zdawało, że od razu napisany. — Łatwość, naturalność i szlachetna prostota, są celniejsze stylu listowego przymioty; a szczęśliwe zwroty, przejścia gładkie, żywość niewymuszona wyrażeń, ton lekki i poufały, zaleca go i zdobi. Im kto prościéj i naturalniéj, stósownie do panującego uczucia, myśli swoje tłumaczy; tym trafniejsze i lepsze będzie jego wyrażenie, tym bardziéj listy jego podobać się będą. Zdanie Buffona: że styl, jest to człowiek, w liście najwidoczniejsze znajduje zastósowanie i potwierdzenie.

2. Wiele w rozmowie na tém zależy, kto? do kogo? i w jakim celu mówi? wszystkie te względy i w liście jak najściśléj przestrzegane być muszą. Piszący baczyć powinien 1od na to, że mu ciągle do pewnéj osoby mowę zwracać trzeba; 2re, mieć zawsze na uwadze stósunki, w jakich piszący i odbierający pismo między sobą zostają.

Co do pierwszego, gdybyśmy nie odnosili mowy na-

széj do pewnéj osoby; natenczas list przestałby być listem, i byłby raczéj powieścią, opisem, monologiem, rozprawą, mową. Ztąd przekonywamy się oraz, że nie zewnętrzna forma, jako to: zaczęcie i zakończenie list stanowi; ale właściwie owo ciągłe zwracanie i stósowanie mowy do tego, który list czytać będzie. Okoliczność ta najbardziéj nas zajmuje; albowiem wyjawiając nam wewnętrzny stan dwóch ludzi, nadaje pismu pewien interes dramatyczny.

Skoro zaś piszący stawi sobie jeszcze w umyśle osobę, do któréj mowę zwraca, i do sposobu myślenia, uczucia, a nawet do jéj pojęcia pismo swe zastósuje; natenczas bez wątpienia list pożądany sprawi skutek, i z upodobaniem czytany będzie.

Co do drugiego: pamiętać o tém wypada, w jakich stósunkach zostaje piszący z odbierającym ze względu na wiek, płeć, wychowanie, temperament, a szczególniéj ze względu na urząd i stopień; albowiem każda różnica w téj mierze, zmienia sposób pisania. Zwyczaj wymaga, aby piszący, osobliwie niższy względem wyższego, młodszy względem starszego, pewnych grzeczności trzymał się przepisów, których uchybienie obrazićby mogło. — Nadto zważać należy, czyli te osoby w bliższych z sobą żyją związkach, np. czy są krewni, przyjaciele, znajomi; czy jeden drugiemu podlega lub nie? czy już dawniéj do siebie pisywali? Wszystko to ma wpływ na ton wyrażenia i sposób pisania listu. — Nakoniec czasowe okoliczności i pobudki do pisania listu, na styl onegóż wpływać mogą; tutaj należy powód pisma (interes, prośba i t. d.); czas, w którym piszemy, czy wolny i swobodny do myślenia, lub krótki, zmuszający do pośpiechu; miejsce, czy w domu albo w podróży, wśród wrzawy miasta i t. d.; każda z tych okoliczności stanowi ów ton panujący w wyrażeniu, z którego wypływają listy ceremonialne lub poufałe, przyjacielskie, wesołe i t. d. Uchwycić ton przyzwoity nie jest rzeczą tak łatwą, nadewszystko pomiędzy niższym a wyższym, w tak nazwanych ceremonialnych listach, w tych, gdzie krew zimna, powaga i rozsądek, z różném jednak cieniowaniem, piórem naszém władają. — Z dokładną znajomością języka trzeba koniecznie łączyć znajomość świata i serca ludzkiego, abyśmy przez niewczesne i niestósowne sposoby mówienia lub wyrazy, nie wystawiali się na pośmiewisko drugich. Człowiek prawdziwie oświecony, daleki od podłości i obrzydłego pochlebstwa, równie jak od dumy i grubijaństwa, przez wzgląd na własny szacunek, idąc za swém uczuciem, ani się splami podłością, ani kogo obrazi niegrzecznością i pychą.

3. List składa się zwyczajnie z trzech części, wstępu, treści i zakończenia.

a. Wstęp nie jest rzeczą tak istotną, żeby niekiedy opuszczonym być nie mógł: opuszcza się najczęściéj w listach poufałych. Gdzie bez wstępu obejść się nie może (są bowiem ludzie, którzy na takie drobnostki zważają), znajdziemy go w osobistych związkach, o których mówiliśmy wyżéj, lub téż z rodzaju saméj okoliczności czyli interessu, w którym pisać mamy. Pisząc do osoby nieznajoméj, wypada nadmienić, co nam było powodem do niniejszéj odezwy; a jeżeli osoba jest znakomita, zwłaszcza gdy list prośbę jaką zawiera, wtenczas należy list zacząć od usprawiedliwienia śmiałości naszéj, i przeproszenia za trudzenie onéjże. Jeżeliś już dawniéj list odebrał, możesz się do niego odwołać i datę przytoczyć.

b. Treść listu, czyli rzecz sama, powinna być zwięźle i krótko wyłożona, zwłaszcza do osób, ważniejszémi sprawami zajętych.

c. Zakończenie naturalnie wypływać ma z całości, nie będąc czczym tylko i bez potrzeby przypiętym dodatkiem. W listach pisanych do osób wyższego stanu, pamiętać należy na stósunki, jakie pomiędzy nimi a piszącym zachodzą. Grzeczność wymaga, abyśmy w odpowiedzi żadnego nie opuścili szczegółu, a to dla tego, by ujść podejrzenia, jakobyśmy sobie mało cenili naszego korrespondenta, lub za lekkomyślnych uchodzić chcieli.

4. Celem listu jest zawsze oznajmienie, które tyczyć się może zdarzeń, uczuć, myśli, lub życzeń naszych, w szczególności lub razem połączonych. — Ztąd wszystkie listy na pięć gatunków podzielić można:

a. donoszące (oznajmujące) o zdarzeniu jakiém, listy historyczne, rapporta, doniesienia, i t. d.

b. uczucie jakie wynurzające, wszelkie oświadczenia przyjaźni, żywéj przychylności, powinszowanie, podziękowanie, pocieszenie.

c. myśli, to jest rady, przestrogi, nauki zawierające: w ogólności listy nauczające, moralne, uczone (dydaktyczne).

d. listy proszące, polecające, przypominające, uniewinniające (z wymówką) zapraszające i t. d.

e. listy mieszane.

Każdy z tych rodzajów ma sobie właściwy styl, wynikający z natury powieści, dramatu, nauczania i t. d.; stósowność ta nadaje wysłowieniu pewien charakter estetyczny, który wszędzie, jeżeli naturalny skutek sprawić chcemy, wydać należy.

5. Zwyczajniejszy jednak podział, za którym prawie wszyscy uczeni poszli, jest na 4 gatunki, to jest; na listy uprzejmo-grzeczne, czyli ceremonialne; poufałe, wesołe, nauczające.

A. Listy uprzejmo-grzeczne, to jest uprzejmość czyli grzeczność wyrażające, które zawierać mogą:

a. Podziękowanie za doznaną łaskę lub dobrodziejstwo, za wstawienie się w naszym interesie, za udział lub interesowanie się losem naszym.

b. Powinszowanie przełożonym lub znajomym, kiedy ci wyższych dostępują godności; podobnież z powodu wesołych wypadków familijnych, jako to: imienin, urodzin, ślubu, wyzdrowienia, z okoliczności Nowego roku i t. d.

c. Pocieszenie, z powodu smutnych wypadków familijnych, jako to: śmierci, choroby, utraty majątku i t. d.

Listy tego gatunku są najtrudniejsze, jeżeli mają być dobrze pisane. Wprawdzie nie trudną jest rzeczą podziękowanie, powinszowanie lub pocieszenie ze zwyczajnych i przestarzałych formuł (komplementów) ułożyć, nie wynosząc się nad pospolite myśli i sposoby mówienia, każdemu znajome i niesmaczne; ale w delikatnych i niespodziewanych zwrotach wyrazić skromną pochwałę naszego łaskawcy, myśli nasze łączyć i wyjawiać z tą łatwością, aby nasza grzeczność wszędzie naturalną się wydawała; o sobie tak zawsze wzmiankować, abyśmy ani zbyteczną uniżonością, ani oburzającą zarozumiałością, własnemu nie ubliżyli szacunkowi, i owszem z jak najkorzystniejszéj pokazali się strony; ciesząc kogo, wynaleźć zawsze powód niespodziewany, lubo z natury rzeczy wynikający i dla tego trafny, a przytém wydać delikatność serca i uczucia naszego w sposób miły i ujmujący; przy każdéj okoliczności zastósować się do sposobu myślenia i charakteru tego, kogo ująć pragniemy — wszystko to nie małéj wymaga sztuki, w tém się ćwiczyć należy już to z własnego doświadczenia, już to przez obcowanie z prawdziwie światłymi ludźmi, jeśli się dla płochości lub pedantycznéj formalności niekiedy na pośmiewisko drugich wystawić nie chcemy. Nadto jednę jeszcze dodajemy przestrogę: że w listach uprzejmych nadewszystko wystrzegać się należy zbytecznéj i przesadzonéj czułości i nudnéj rozwlekłości.

B. List poufały utrzymuje, ożywia i umacnia związki z przyjaciółmi, krewnymi, rodzicami, mał-

żonkami, osobami ulubionémi, nauczycielami i dobroczyńcami, zastępując miejsce ustnéj z nimi rozmowy. Różnica wieku i stósunków towarzyskich tutaj mniéj widoczną się staje, gdzie naturalne lub moralne pokrewieństwo bardziéj osoby ku sobie zbliża. Z tego względu list poufały, będąc wylaniem pełnego serca, a częstokroć zwierzeniem najskrytszych tajemnic, w ogólności żadnych nie cierpi przepisów: cały zakres domowego pożycia, los nasz z całą pomyślną lub niepomyślną koleją, wszystkie roskosze i uciechy przyjaźni i przychylności, wszystkie skryte troski i kłopoty, życzliwe skazówki i przestrogi, pocieszające widoki i nadzieje — słowem wszystko, co tylko serce nasze osobom ulubionym wynurzyć pragnie, należy do tego gatunku listów. Styl ich powinien nosić na sobie cechę najszczerszéj prostoty, niewinnego i wesołego umysłu, szlachetnego sposobu myślenia i najżywszéj przychylności. Żaden przymus, żadna ozdoba, przebijać się nie powinna: a nadto i o tém pamiętać wypada, że i tutaj z osobami wyższego stopnia poufałość nie przystoi, a płaskość nikomu podobać się nie może. Najściślejsza zażyłość zachodzi tylko między prawdziwymi przyjaciółmi; obcy zaś na podobne szczerego uczucia wynurzenie zwyczajnie są obojętni, a czasem i złośliwi, tak dalece, iż łatwo zaufania naszego na złe użyć mogą.

C. Listy wesołe i dowcipne wymagają koniecznie przyrodzonego daru, bystrego dowcipu i nabytéj przez częste ćwiczenie w stylu biegłości; nadto długiéj znajomości i zażyłości z osobą, do któréj tym sposobem piszemy. Listy takie nie powinny nigdy wydawać zamiaru, źle dla zabawy są pisane, a tém mniéj jeszcze czcze tylko i niesmaczne zawierać żarty i mniemanego dowcipu błyskotki. Gdy żart jest ociężały, niezgrabny i niestósowny, niemasz nic nieprzyjemniejszego nad ten rodzaj pisania. Pamiętajmy więc o tém, że prawdziwy dowcip nader rzadkim jest darem: nie mają go ci, którzy się niewcześnie ze swémi popisują żartami, i zamiast śmiechu niesmak, i politowanie wzbudzają.

Ton listu dowcipnego wznosi się zuchwale nad wszelką formalność i etykietę; piszący upatruje zawsze w przedmiotach, pod rozbiór wziętych, wesołą, a nawet śmieszną stronę; nie przepuszczając własnym ułomnościom, dotyka lekko, ale bez urazy, słabości tego, do którego pisze. Nie godzi się jednak nigdy przestępować granic przystojności, ani szukać poklasku w uszczypliwych przycinkach. Nie po-

trzeba, aby od początku aż do końca błyszczał dowcip, który za przyprawę tylko powinien być uważany.

D. Listy nauczające zawierają rady, myśli, a nawet całe przedmioty naukowe, stósownie do pojęcia osoby, któréj za pomocą formy listowéj, lepiéj i jaśniéj rzecz wyłożyć chcemy.

6. Literatura. Pominąwszy dawniejszych pisarzy, z nowszych między autorami listów znakomitsi są: Krasicki, Karpiński, Niemcewicz, Chreptowicz, Kołłątaj, Sniadecki i Tańska (listy Rzeczyckiéj Monisi, w Rozrywkach dla dzieci); atoli wyznać trzeba, że dotychczas nie posiadamy takiego zbioru listów, jakiémi się inne szczycą narody.

7. Zewnętrzne listów urządzenie.

1. Na listy do osób znakomitszych, bierze się zwyczajnie arkusz tak nazwanego pocztowego papieru. O czwartą prawie część papieru spuszczając się od góry, pisze się tytuł czyli godność osoby. Wśrodku zaś zaimki osobiste Jego, Go, Jemu, Mu, zastępujące miejsce tytułu osoby, do któréj piszemy, zaczynamy przez uszanowanie od większych głosek. Data kładzie się u dołu obok podpisu, a wszelkie przypiski i ukłony w takim liście nie mają miejsca: z resztą list sam w kopercie pieczętuje się lakiem.

2. Tytuły używane są następujące:

Do Króla lub Cesarza: Najjaśniejszy i Najpotężniejszy Królu, Panie Mój Miłościwy!

w środku zaś: Wasza Królewska Mość (W. K. Mość).

Do Xiążęcia: Jaśnie Oświecony Książę!

wśrodku: Wasza Książęca Mość (W. X. Mość.)

Do Ministrów, Radzców Stanu, Prezesów, Hrabiów, Generałów i Szlachty zaszczyconéj orderami, piszemy:

Jaśnie Wielmożny Mości Dobrodzieju!

wśrodku: JWPan Dobr.

Do Szlachty, Urzędników, osób znakomitszych nieszlachty, Pułkowników i Officerów wszelkiego stopnia:

Wielmożny Mości Dobrodzieju:

wśrodku: WMPan Dobr.

W Duchowieństwie: do Arcybiskupów, Biskupów, Opatów:

Jaśnie Wielmożny Księże Biskupie.

Do Proboszczów i wszelkiego wyższego duchowieństwa:

Wielmożny Księże Kanoniku, Proboszczu!

z resztą do niższych: Mości Księże Kapelanie i t. d.

Papieżowi służy tytuł: Jego Świątobliwość. Kardynałom: Jego Wysokość (Eminencya).

Do Władz Rządowych piszemy:

Prześwietny Sądzie! Prześwietna Regencyo!

Wysokie albo Dostojne Ministeryum.

5. Listy kończą się zwykle: Zostaję albo mam zaszczyt zostawać lub pisać się z winnym szacunkiem albo z głębokiém uszanowaniem i t. d.; daléj odstępuje się nieco od linii i kładzie się tytuł

WWMMPana Dobr.

a jeszcze niżéj ku rogowi papieru

najniższy sługa

W Warszawie d. 20. Kwiet. 1831 r. N N.

A. BILETY I LISTY KRÓTKIE.

(Wyjęte z wzorów X. Golańskiego.)

1. (Z doniesieniem.) Przybywaj, kochany Przyjacielu, jak najprędzéj. Król przyjechał, za kilka godzin odjedzie. Są z nim Panowie NN. Bardzo wiele WMPan zyskasz, jeżeli go jeszcze tu zastaniesz.

2. (Z doniesieniem.) Ciesz się, mój Przyjacielu! interes dobrze wypadł. Niepodobna tu wszystkiego opisać; ustnie rzecz całą opowiem. Dosyć, że wygraliśmy.

3. (Zapytując się o zdrowie.) Czy żyjesz? gdzie jesteś? co robisz? czy długo tam zabawisz? dokąd potém jechać, i kiedy do nas powrócić myślisz? Oto pytania, na które proszę dokładnie odpowiedzieć.

4. (Z doniesieniem o powrocie z podróży.) Oto, Bogu dzięki! zdrowo, wesoło i szczęśliwie powróciłem. Miałem całe dobrą podróż, wyjąwszy te chwile, gdzie bez WMPana tęskniłem. Byłoby mi miło, gdybym WMPa. dziś jeszcze widzieć mógł; ale ponieważ sam z domu wyjść nie mogę, przeto jeżeli łaska, proszę WMPana do mnie.

5. (Zapraszając kogo.) Dzień dziwnie pogodny. Wyjeżdżamy wszyscy do N. Donoszę WMPnu. o tém, i oraz do naszéj kompanii zapraszam. Rozumiem, że mi się WP. nie wymówisz.

6. (Z pożegnaniem.) Otrzymałem rozkaz, żebym natychmiast do N. przyjeżdżał; muszę się więc z WPm pożegnać: co dla mnie jest tém boleśniéj, że nie wiem na jak długo, i że się tylko listownie WPnu. polecić mogę. Kochaj WP. mię tak, jak ja WPna., i nie zapomnij o mnie.

7. (Zapytując się o powodzenie.) Prawdziwie WP. jesteś niegrzeczny; tak dalece o swoich przyjaciołach zapomniałeś, że ani słowa do nas nie piszesz. Jakże się przecie WPnu. powodzi? Jak idą domowe interesa? Czy prędko będziemy mieli ukontentowanie widzieć WPana?

8. (Donosząc.) Mam bardzo ważną nowinę. Od kogo ją otrzymałem? o czém? o kim? Zgadnij WP.! Darmo! Natężaj WPan głowę jak tylko chesz, nie zgadniesz. Inaczéj WP. dowiedzieć się nie możesz, jak tylko, kiedy mię bytnością swoją zaszczycić zechcesz.

9. (Ciesząc kogo.) Zastanów się WP. tylko, iż los, na który narzekasz, jest nam wszystkim wspólny, i że bardziéj jeszcze innych, niżeli WPna, dotyka. I cóż tedy czynić? Mamyż rozpaczać i resztę zdrowia w narzekaniach utracać? Nie! Na prawego męża to nie przystoi, lecz owszem należy przykład stałości drugim dawać.

10. (Z wymówką.) Radbym, żeby to fałszem było, co uszu moich doszło, jakobyś WP. zamiast mię w wiadomym interesie wspierać, szkodzić zamyślał. Jakoweż ztąd uniosłbyś ukontentowanie, gdybyś niestałością swoją w przyjaźni serce tego zranił, który WPna. szczerze kochał i kocha.

11. (Odpowiedź.) Przyznaję, że żal WPana do mnie byłby sprawiedliwym, gdyby rzecz tak się w istocie miała, jak Mu doniesiono. Lecz gdy rzecz ma się przeciwnie, byłoby słusznie, gdybym ja się na WPna. użalał, że tak mało o mojéj przyjaźni ku WPnu. trzymasz.

12. (Z prośbą o pieniądze.) Kto przyjaciela znalazł, ten skarb znalazł, mówi odwieczna, w swych wyrokach nieomylna Mądrość. Już nieraz odbierałem dowody przyjaźni WMPana: będą mi one zawsze pamiętne. Daruj mi WP., że i teraz nagłémi okolicznościami zmuszony, uciekam się do WPna, szukając w Nim, albo raczéj przy Nim skarbu. Biorąc miarę z Jego przyjaźni, mógłbym do całego skarbu posiągnąć, ale ja się i częścią ukontentuję, a to naprzykład i stu dukatami, jeżeli mi ich WP. z łaski swojéj choć na czas krótki udzielisz, o co ja uniżenie upraszam. Mam honor przytém zapewnić WMPana o mojéj nieodmiennéj przyjaźni i szacunku dla WPna., którego jestem zawsze.

13. (Odpowiedź.) Na zaszczyt mój mogę wprawdzie wyznać, że od pierwszego momentu zaprzyjaźnienia się z WPm. wszelkie obowiązki przyjaźni dopełniać starałem się, i mogę sobie w tym względzie pochlebiać, iż WP. zawsze we mnie przyjaciela znajdowałeś; ale, żebym w jakiémkolwiek rozumieniu skarbem być miał, do tego przyznać się nie mogę. Mierność moja zabrania mi tak chlubnego tytułu. To pewna, iż to wszystko, czém jestem, co mam, co mogę, każdego czasu jestem gotów WPnu. poświęcić. Na dowód tego, niechaj służy żądana kwota, a oraz proszę nienależną podzięką żadnéj przykrości temu nie zadawać, który za poufały rozkaz,

jako za dar uprzejmości, z swojéj strony obowiązanym być zna się.

14. (Z wymówką.) Iż na WPna list, pełen uprzejméj grzeczności, tak długo nie odpisałem, nie chciéj tego WP. ani opieszałości, ani niewdzięczności przypisywać, lecz szczególnie obawie trwożącéj, iż dostatecznie wywdzięczyć mu się za jego dobroć nie zdołam, którą mię WP. statecznie zaszczycasz.

B. LISTY KRASICKIEGO.

1. Z doniesieniem o śmierci Bohomolca.

Straciła Warszawa zacnego mieszkańca, naród szacownego obywatela, X. Franciszka Bohomolca, niegdyś Jezuitę. Mąż był roztropny, uprzejmy, bogobojny. Nie była dziką cnota jego, użyczał się towarzystwu, i wielce miły w posiedzeniu dobranych przyjaciół, umiał łączyć wesołość żywą z przykładnością nienagannego życia. Nienadęty czczym pozorem mędrzec, ani gardził dobrém mieniem, ani się o jego zbyteczność starał; i choć urodzenie, przymioty i wziętość dawały mu sposobność do wzniesienia się, obrał sobie mierność, i w niéj trwał do śmierci. Umierając, małość zbioru swojego poświęcił nieszczęśliwym. Łzy słodkie wdzięczności, uwielbiać będą pamięć jego. Utajonego w cnocie nagrobku, przechodzień nie obaczy: jeśli przypadkiem rzuci okiem na to, co mu przyjacielskie pióro skreśliło, uzna w czułém rozrzewnieniu, jakiego on był szacunku godzien.[1]

Udzielając rady.

Wyjeżdżasz Pan do cudzych krajów, i mojéj rady w téj mierze zasięgasz, a wyrażasz w liście swoim, iż wyjeżdżasz;

1) Franciszek Bohomolec, Jezuita, był u nas piérwszym, który w ojczystym języku komedye pisać zaczął: pisząc jednak dla młodzieży szkolnéj, nie wprowadzał niewiast na scenę; jednakże późniéj zdanie swoje w tym względzie odmienił.

Komedye X. Fr. Bohomolca, S. J., w Lublinie r. 1757., nakoniec w Warszawie r. 1772—75. 5 tomów; i komedye na Theatrum J. K. Mości 1767 r.; prócz tego i inne pojedyńczo wydane sztuki. Bohomolec jest nadto autorem kilku dzieł historycznych, jakoto: Życie Jana Zamojskiego, w Warsz. 1775. — Życie Jerzego Ossolińskiego, w Warsz. 1777., i innych. On także wydał kronikarzy polskich, pod tyt: Zbiór dziejopisów polskich, w 4ch tomach, w Warsz. 1764 r. fol. Pracowity ten mąż umarł r. 1790.

Uwaga. Podług tych wzorów, niechaj Uczniowie listy piszą, stosownie do zmienionego zadania, w miarę ich pojęcia i usposobienia.

żądasz więc nie rady, ale aprobacyi swojego kroku. Powstawałem ja niekiedy przeciwko nierozmyślnym za granicę pielgrzymowaniom; ale gdym powstawał przeciw nierozmyślnym, bacznych nie ganiłem. Znam sposób myślenia WMPana, i dobrze tuszę o jego podróży. Co więc wyrażę, nie do siebie przyjmiesz, ale do zbyt zagęszczonych naszych pielgrzymów, którzy na to się pokazują, żeby zostali pośmiewiskiem. Tym wszystkim trzeba powiedzieć, nim się na swoję płochą a kosztowną podróż wybiorą:

A najprzód, gdy masz szaleć, trzeba o tém wiedzieć,
Lepiéj być głupim w domu i tam cicho siedzieć;
Niżli śmiesząc sąsiadów, bogacąc filutów,
Osiąść w głupich szpitalu, lub w turmie [1] bankrutów.

3. Gdzie lepiéj mieszkać? — (nauczający.)

Dziwujesz się WMPan, iż się ja na wsi nie nudzę, a ja się dziwuję, iż się WMPan w mieście bawisz. Kto z nas dobrze sądzi? podobno obadwa. Rzeczy idą od sposobu, którym je bierzemy: rozżarzenie uczucia zaprawą jest wszystkiego. Najnieszczęśliwszy jest stan tych, którzy ustawicznie pragną tego, czego nie mają; choć albowiem i dostaną, czego pragną, znowu znajdą, iż czegoś brakuje, i na nowo pragnąć zaczną. Lepiéj w téj mierze niedowidzieć, niż mieć wzrok nadto bystry.

Ja staram się ile możności być w liczbie nie patrzających zbyt bystro nadal; a i na to, co mnie otacza, nie nadto się patrzeć. Nie rozumiéj, mój przyjacielu, z tych wyrażeń, iżbym się poświęcił na odludka; widzę i złe i dobre, które się zdarza, zdarzało, i zdarzać będzie. Powiadają, iż dawne wieki lepsze były od teraźniejszych, jednakowoż tak jak my na nasze, przodkowie nasi na swoje narzekali.

Ale wróćmy się do zamierzonego naszego celu, o przemieszkiwaniu w mieście lub na wsi. Niektórzy środek chcąc utrzymać i założyć między wieśniactwem a dworszczyzną, dają wsi lato, a miastu zimę. Zgoda i na to; kto się jednak sam zabawić zdoła, obejdzie się bez tego podziału. Tak ja trzymam o WMPanu, bo go znam gruntownie; tak, spodziewam się, iż raczysz o mnie sądzić, wiadomy mojego sposobu myślenia; żebyśmy jednak przekonali niedowiarków, przyjedź do mojéj wsi na zimę, a ja cię gotów odwiedzić wśród lata w mieście.

4. O cudzoziemczyznie. — (nauczający.)

Piérwsze słowo WMPana do mnie, unoszące się nad listem, było według teraźniejszego zwyczaju pofrancuzku.

1) W wieży, w więzieniu.

Cycerona i Pliniusza młodszego zostały nam odezwy listowne: a to, co je znaczyło; *si vales*, nie było napisane pogrecku. Dobrze jest i wielce chwalebnie, brać od cudzych, co nam braknie; ale nieprzyzwoicie brać od cudzych, bez czego się obejść można.

Wzięcie języka francuzkiego u nas i u naszych sąsiadów, tak poszło, jak i greckiego u Łacinników; poszło zaś z pism znamienitych, z których jak z źródeł czerpali. Ale za podziwieniem nie szło bałwochwalstwo. Oddawano winną cześć wynalazcom i kształcicielom wynalazków, ale zapatrując się na cudzą wziętość, nie rozpaczano, iżby w własném siedlisku i wynalazek i kształt nie mógł się znaleźć.

Tak ja trzymam w moim szczególnym sposobie myślenia, i lubo nie mam zuchwałości chcieć go dla innych czynić przepisem, nie zapędzając się w nudne częstokroć wywody nadto wielokrotnie probować chcących, odpowiedź moję kończę, pisząc się nie z francuzka najpokorniejszym sługą, ale jak wolnemu przystoi, szczerze życzliwym bratem.

C. LISTY SZYMANOWSKIEGO.[1]

1. D. 22. Lip. 1792 r. z Krak.

Daruj mi proszę, żem nie wspomniał o mojém zdrowiu; łatwo o niém zapomnieć, pisząc do Ciebie: żywsze uczucie nie pozwala nawet postrzegać mniejszego. Wreszcie przyzwyczaiłem się już do moich cierpień: będąc codziennémi, oswoiły mnie z sobą.

Lubo wielu znajomych w Krakowie spotykam, wewnętrzne uczucie odejmuje chęć od większych społeczeństw, i tam miléj przytrzymuje, gdzie można i wynurzyć, co człowiek myśli, i swobodnie się smucić.

2. D. 24. Paźd. 1792 r.

Miłoż mi jest widzieć Kościuszkę, z którym od młodości związała mnie czuła przyjaźń. Usługi jego, oddane z sławą krajowi, do dawnego uczucia przydały jeszcze winne od oby-

1) Józef Szymanowski, mąż zaszczytnie znany w literaturze naszéj jako tłumacz Świątyni Wenery w Knidos, z francuzkiego wierszem gładkim i pełnym harmonii. Prócz tego przełożył także powieść Woltera pod tyt.: Zadyg, i jest autorem niektórych wierszy; wszystkie te pisma umieszczone w edycyi Mostowskiego; Szymanowski umarł r. 1801. Stanisław Potocki napisał jego pochwałę. Zob. niżéj w Rozdz. VI. Śmierć Szym.

watela obowiązki. Szczęśliwy, że takie pełnił usługi; szczęśliwy, że z wysłużoną już sławą łączyć umie tak naturalną skromność, która do poszanowania winnego przydawać każe tkliwą przyjaźń. Zawstydzić nawet potrafił fortunę, wracając się chętnie do szczupłéj bardzo mierności, nie chcąc w niczém urazić delikatnego sposobu myślenia. Piérwsze jego momenta widzenia się z Xięciem [1] rozrzewniły mnie prawdziwie: zdawało mi się, żem widział syna, który z wdzięcznością odnosi ojcu sławę, za jego dla siebie starania. Obadwa się aż do łez uściskali, każdy go potém sobie wydzierał.

3. D. 8. Grud. 1794 z Warsz.

Daruj mi, że dotychczas nie pisałem do Ciebie; wiadome Ci już zapewne okoliczności, niech będą wymówką moją. Najlekciéj złożyć swoje smutki w przyjazném sobie sercu; ale kiedy są wspólne, wtenczas wzajemnie tylko jątrzą już niemogącą się zagoić ranę. Kiedy nieszczęście przyjdzie do pewnego kresu, najlepiéj o niém nie mowić, żeby mówienie nie zdawało się narzekaniem na to przeznaczenie, które z uszanowaniem znosić należy.

4. D. 24. Lutego 1795.

Cóżkolwiek bądź trzeba umieć znosić i to cierpliwie; ta jest korzyść, którą umiejący myśleć czerpa w okolicznościach teraźniejszych. Niewiadome są wyroki Opatrzności, ale ona jest zawsze.

Miłoż mi było czytać, co piszesz o mojéj matce... Mój Boże! jakażto powinna być miłość dzieci dla takiéj matki, kiedy do uczucia tak naturalnego łączyć jeszcze należy tak winne dla osoby i przymiotów uwielbienie! Ile mi uczyniła dobrodziejstw! i jakiém to sercem!

D. LISTY FR. KARPIŃSKIEGO DO FR. DMOCHOWSKIEGO.

1.

W Litwie, gdzie mieszkam, [2] jest prawo, zowiące się ziemiańskie, podług którego, kto przez dziesięć lat niezaprzeczoną trzymał dzierżawę, potém już mu nikt takiego dziedzictwa odbierać nie może. Idąc za tém prawem, upominam się serca WMPana Dobr., które, jak mam honor posiadać, wię-

1) Czartoryskim. 2) Zob. Życie w Poezyi.

céj pewnie jak dziesięć lat temu będzie. — Po ostatniém widzeniu się naszém, cóżto odmian się narobiło? Ale nie jątrzmy ran naszych przypomnieniem, raczéj szukajmy ulgi w przyjaźni, która nas oddawna związała; a świeżo mocniéj jeszcze ściśnione te węzły koleżeństwem naszém w Towarzystwie Przyjaciół Nauk. Posełam WMPanu Dobr. dwa exemplarze Platona mego, w Grodnie drukowanego, z których jeden dla Niego, a drugi JW. Prezydentowi naszemu Albetrandemu (jeżeliby tego dzieła mego nie miał) oddać raczysz. Żądam wzajemności, ażebyś także jakie dzieło swoje przez teraźniejszą pewną okazyą przesłać mi zechciał. Będziemy sobie trzymać te przyjacielskie pamiątki na dowód, że się kochamy. Polecając się chlubnéj dla mnie przyjaźni Jego, zostaję z winném uszanowaniem WWMMPana Dobr.

Z Karpinowa d. 12. Marca 1803 r. najniższym sługą.

2.

W liście WMPana Dobr., oddanym mi przez sąsiada mego, z czułością wyczytałem przyjazne jego wyrazy dla mnie. W moim podeszłym wieku uważam w sobie ostygłość jakąś do wszystkiego, jedna tylko została przyjaźń, która mnie orzeźwia, i żyć chciałbym dla tego jeszcze, ażebym kochał kochających mnie; bo i nie wiem, jakto można być obojętnym dla tego, który mnie lubi. Siedm tomów dzieł Krasickiego odebrałem, które w mojéj bibliotece złożone, będą pamiątką przyjaźni WMPana Dobr.; ale oświadczoną dobrą chęć Jego dla mnie, zrobienia nowéj edycyi pod dozorem swoim wszystkich dzieł moich, złożyłem w sercu mojém, i kiedy skutek téj obietnicy obaczę, i dzieła moje, to moje dziecko, z łaski WMPana Dobr. chędożnie przybrane, w domku moim stanie, wtenczas ja szczęśliwym, a WMPan Dobr., jako dobry przyjaciel, cieszyć się będziesz, żeś mi taką pociechę zdarzył. Ale jakem chorowity i niedługo żyć będę, takbym żądał, gdyby można najprędzéj, widzieć dokonany przed moją śmiercią ten jego zamysł dla mnie. Jakże ja to wiele trudów na Łaskawcę mego zwalam, w tém jedném zaufaniu, że przyjaźń lubi być czynną; upraszam wzajemnie wierzyć, iż wdzięczność będzie nieskończoną. Zostaję z największym szacunkiem etc.

E. LISTY MAXYMILIANA HRAB. OSSOLIŃSKIEGO. [1]

1. Do Xiędza Lindego, Pastora w Gdańsku, r. 1803.

W téj prawdziwie dla mnie smutnéj chwili, w któréj zaszłe brata WWPana Dobr. do Warszawy powołanie, po dziesięcioletnim związku, mnie z nim rozdziela, nie mogę się wstrzymać od uczynienia do WWPana odezwy. Niech to nie rozrywa téj przyjaźni, którą mnie z WWPanem Dobr. bawienie brata Jego przy mnie skojarzyło. On się dla mnie ani za oddaleniem miejsca, ani za przeciągiem czasu nie odmieni, ja zawsze dla niego będę jednakim; WWPan Dobr., trzeci między nami, racz nas jeszcze łączyć swoją do obydwóch przychylnością. Co mi mego Lindego szacownym uczyniło: poczciwość w gruncie serca jego zaszczepiona, umiejętność i pracowitość; to wszędzie zaleci i otworzy mu pomyślne powodzenie. Przeciwko zaś ślepym przeciwnościom, we mnie na odwodzie zostawia przyjaciela, który z pomyślności cieszyć się będzie, a na opaczny los jego nigdy się nie pokaże nieczułym i obojętnym. Ten list mój niech mi zyska pozwolenie WWPana Dobr., abym się mógł niekiedy do Niego odzywać, ażebym za długą przewłoką nie poszedł w zapomnienie. Nawzajem proszę WWPana Dobr. kiedy niekiedy coś mi o sobie donieść. Którzy tylko interesują mojego Lindego, nie są i nie będą mi obojętni. Dziękuję WWPanu Dobr. za obdarzenie mnie książką N.N.; radbym i ja módz się przysłużyć Mu jakim sprawunkiem. Jeszcze raz przyjaźni mnie Jego polecając, z wzajemną i najprawdziwszym szacunkiem zostaję WWPana Dobr. życzliwym i najniższym sługą.

2. Do Xiędza Kanonika Reptowskiego. D. 1go Grudnia 1803 r.

Odbierasz WWPan Dobr. list od przyjaciela, który pełen dla Niego statecznego i gruntownego uszanowania, zawsze Go sobie mile przypomina. Oddawcą tego listu jest Jmć Pan Linde, [2] który miał dozór biblioteki mojéj przez lat dziesięć,

---

1) Max. Hr. Ossoliński, mąż gruntownie uczony i gorliwy o rozszerzenie światła w narodzie, ufundował publiczną bibliotekę we Lwowie. † 1826 r. w Wiedniu, gdzie od rozbioru kraju ciągle mieszkał. Tłumaczył: Mowy pocieszające Seneki r. 1784. — Mowy poselskie Jerzego Ossolińskiego, Kanclerza. Lecz najważniejsze i najgłębsze badania złożył w obszernem dziele: Wiadomości historyczno-krytyczne do lit. pol., w Krakowie r. 1819—22, tomów 4.

2) Samuel Bogumił Linde, urodzony w Toruniu r. 1771., kończąc nauki w Lipsku, zachęcony przez Stan. Potockiego, zajął się wypracowaniem Słownika polskiego, porównywając nasz język z innémi dyalektami słowiańskiemi. Wezwany na bibliotekarza przez Hrabię Os-

i przez ten przeciąg czasu pilnie nad Słownikiem Polskim pracował, nad dziełem, które przykładu nie ma, i które wykonane być nie mogło, jak tylko przez człowieka, poświęcającego się całkiem najnudniejszym trudom. Rozdziela go ze mną powołanie do rządzenia szkołami warszawskiémi. *Invitus, invitum dimitto.* Obu nas wzajemną do siebie skłonność to przełamało, że na tamtém miejscu może być publiczności użyteczniejszym. Polecam go WWPanu Dobr. jako prawdziwie odemnie szacowanego; jeżeli ja mu wyproszę łaskawą WWPana Dobr. względność, na którą sobie z czasem sam zasłuży; w nowém dla siebie miejscu nie będzie bez przyjaciela, na którego radzie mógłby polegać. Chciéj go WWPan Dobr. wprowadzić do JW. Chreptowicza, [1] któremu najgłębsze łączę uszanowanie; będzie on z wysokiego jego oświecenia i wspaniałéj biblioteki umiał korzystać. O sobie nic nie piszę; tłumaczem mego dla WWPana Dobr. serca, sam ten, którego Mu polecam, będzie, i uwiadomi Go o moich pracach i zamysłach. Zachęcenie otrzymam, jeśli pochwałę od niego odniosę. Prosiłbym o jednę łaskę WWPana Dobr. Byłeś przez całe życie przyjacielem i nawet exekutorem testamentu po śmierci X. Wyrwicza: [2] tego to, któremu winienem dług wdzięczności nigdy niewygasłéj; radbym miał wiadomości o okolicznościach jego życia i o jego dziełach, abym go w biografiach Polaków mógł umieścić. Racz WWPan Dobr. zebrać i udzielić mi ich przez Pana Lindego, który ze mną utrzymywać będzie korrespondencyą. Układam sobie odwiedzić Warszawę, i wybieram się tam już od dawna: może, że téż tego roku uda mi się to wykonać. Wierz mi WWPan Dobr., że najczulszém będzie dla mnie szczęściem, ustnie oświadczyć to nieograniczone uszanowanie, z którém zapisuję się być WWPana Dobr. życzliwym i najniższym sługą.

---

solińskiego, znalazł nie tylko obfite źródła w jego bogatym księgozbiorze, ale i w samym Ossolińskim czynną pomoc i zachęcenie. W r. 1803. powołany na urząd Rektora Liceum warszawskiego, nie przestawał myśleć o wydaniu swego Słownika i wreszcie przy pomocy gorliwych mężów zamiar swój do skutku przywiódł. Słownik języka polskiego od r. 1807—1814., w 6. tomach, 4to. Wdzięczni ziomkowie obdarzyli go, razem z Kopczyńskim, złotym medalem.

1) Kanclerza litewskiego, który po zniesieniu Jezuitów, dla ocalenia funduszów, podał na sejmie (1675) projekt utworzenia Kommissyi edukacyjnéj.

2) Karól Wyrwicz, Jezuita, późniéj Opat hebdowski, † r. 1793., mąż wielce czynny i szanowny, jest autorem użytecznego dzieła: Geografia czasów teraźniejszych, w Warsz. 1768. Téjże osnowy napisał późniéj: Geografią powszechną, w Warsz. 1773. Prócz tych i inne pisał dzieła.

F. LISTY FELIŃSKIEGO.[1]

1. D. 11. Sierp. 1817. w Wołosowie.

Jeszcze w Kwietniu wyjechawszy z domu, włóczyłem się więcéj niż trzy miesiące po Wołyniu, i nawet po brzegach Litwy, za interesami prawnémi familijnémi. Sprzedałem Ossowę, dla spłacenia posagów siostrom, i dla uniknienia szkód nieuchronnych, jakich przez zadzierzawienie, albo przez odległe gospodarstwo ciągle doznawałem. — Ja nie odmówiłem jeszcze wyraźnie katedry literatury w waszym Uniwersytecie,[2] ale więcéj jednak podobieństwa, że się jéj nie podejmę. Odczytałem po kilka razy, co mi piszesz o ostatnich chwilach Kopczyńskiego.[3] Nie dziwi mnie jego śmierć tak spokojna, bom był świadkiem jego starości, w któréj zatrzymał wszystkie władze umysłowe i nawet wesołość. Jeśli pisma jego przed zgonem są słabsze, pochodzi, zdaje mi się, ztąd tylko, że pisanie wymaga ciągłego natężenia i wytrwałości, do których ten wiek przestaje być zdolnym; lecz w jego rozmowach potocznych widać było jeszcze iskry tego geniuszu i trafnego rozsądku, jaki ciągle wydaje się w jego pierwszéj grammatyce. Ufam Twojéj gorliwości, że uprosisz kamień z napisem: Dla Prawodawcy języka, któryby w Anglii obok Królów był pochowany.

2. D. 3. Grud. 1818. w Wołosowie.

My teraz wszyscy zdrowi jesteśmy; ale jak wiesz, od wiosny kilko-miesięczna choroba córki mojéj dała mi uczuć gatunek zmartwienia, którego jeszcze nie znałem... Słyszałeś już może, że Xiążę Czartoryski wzywał mnie kilkakrotnie i przez listy i ustnie na Dyrektora przyszłego Liceum w Krzemieńcu i Nauczyciela Literatury polskiéj. Oba te miejsca ciągną za sobą wiele zatrudnień i kłopotów; lecz mają i ten powab, że, stósownie do moich skłonności i usposobienia, mógłbym stać się użytecznym, nie oddalając się od familii. Zdecydowałem się więc przyjąć. Xiążę porobił już poprzednie kroki, i oddał mi dyploma na Członka honorowego Uniwersytetu wileńskiego, oświadczając, że będzie się starał o najprędszy skutek jego (jak mówi uprzejmie) najgorętszych życzeń.

3. D. 29. Wrześ. 1819.

Piszę do Ciebie z Krzemieńca, gdzie już od dwóch mie-

1) Listy te pisane zapewne do Michała Wyszkowskiego, z którym Feliński ciągle przyjacielskie utrzymywał związki. Zob. wyżéj str. 128.; o Felińskim zaś zobacz niżéj w Poezyi.
2) Warszawskim. 3) Zob. niżéj w Rozdziale VI.

sięcy bakałarzuje. Jestem zdrów i wesół, i dotąd mi rzeczy pomyślnie idą; nie wiem jak będzie daléj... Dając teraz lekcye literatury polskiéj, potrzebuję najwięcéj pięknych kawałków; przyszlij mi więc swoje rękopisma i innych pisarzów, których wiesz, że szacuję... Nie uwierzysz, jakich mam tu chłopców; jak wszystko pięknie umieją czuć, i jak niektórzy pragną sami dobrze pisać.

4. D. 31. Grud. 1829. z Krzemieńca.

Przez wyjeżdżającego nagle Felicyana Drzewieckiego, ledwie mam czas posłać Ci moje uściskania i powinszować Nowego Roku... Ja, jak wiesz, ze wszystkiego kontent jestem, a tym bardziéj z Krzemieńca. Kocham piękną, szlachetną i wesołą młodzież, która mnie otacza, i żyję z dawnymi przyjaciółmi... Przypomnij mnie dawnym naszym łaskawym w Warszawie, i napisz czasem do mnie. Zawsze Twój z całego serca.

G. LISTY RÓŻNE.

1. List Wacława Rzewuskiego [1] do Dąbskiego, Wojewody Brzesko-kujawskiego. (Polecając siebie.)

Zdarzył mi Bóg to szczęście dla mnie nieoszacowane, że za łaskawém J. K. Mości pozwoleniem, a dobrowolném JMci Pana Stolnika koronnego ustąpieniem Starostwa kruszwickiego, poczytany jestem między urzędnikami Prześwietnego Województwa Brzesko-kujawskiego. Wypełniam miłą dla siebie powinność, w załączonéj z najgłębszém uszanowaniem odezwie do JWPana Dobr., którego i wysoka godność i powszechna zacnych obywatelów miłość, a najbardziéj wysokie cnoty i zasługi, najprzedniejszym tego województwa zaszczytem uczyniły.

Nim zaś piérwszy krok do urzędu mego uczynię, obiecuję sobie pierwéj upragnioną dla mnie roskosz, oddania JWPanu przytomnego w domu jego ukłonu, dla odebrania rozkazów Jego około wjazdu i przysięgi mojéj, którą, abym przed JWPanem podług opisu prawa wykonał, najuniżeniéj dopraszam się. Polecając mię statecznéj łasce, piszę się z ofiarowaniem dozgonnéj i ochotnéj na każde skinienie posługi.

Z Warszawy 1730. d. 17go List.

1) Wacław Rzewuski, Wojewoda podolski, późniéj Hetman W. K., nakoniec Kasztelan Krakowski, mąż patryotyzmem, nauką i cnotą znakomity, żyjący od r. 1705 do r. 1779. On piérwszy, idąc za lepszemi wzorami, napisał dwie tragedye: Żołkiewski i Władysław pod Warną; nadto dwie komedyjki: Dziwak i Natręt. Pisał i inne wiersze. Prócz tego wydał mowy i listy r. 1761., Psalmy i inne dzieła.

2. List Małachowskiego, Biskupa Krakowskiego, z powinszowaniem zwycięztwa wiedeńskiego Janowi III.

Należy i mnie, najwierniejszemu Waszéj Królewskiéj Mości, Pana mojego Miłościwego, poddanemu, winne powinszowanie złożyć tego błogosławieństwa boskiego, i tak wielkiego na wszystek świat zwycięztwa, które szabla W. K. Mości odniosła; a oraz za trudy wojenne i krwawe prace, niezwiędły laur wdzięczności mojéj jako tryumfatorowi poświęcić. Sława nieprzeżyta, wielkim dziełom W. K. Mości w późne lata i wieki, nieśmiertelne laury gotuje. *Semper honos, nomenque Tuum laudesque manebunt.* Ten tedy Bóg Zastępów niechaj i daléj ramieniem swojém W. K. Mość wspiera, abyś chwalebny w wygranych, w wojnie niezwyciężony, w długie lat przeciągi panować nam raczył. Całuję zwycięzką prawicę W. K. Mci i zostawam i t. d.

8. List Króla Jana III., pisany nazajutrz po bitwie pod Wiedniem do żony, [1] wyjęty z Pam. Ludw. Osińskiego.

Dzięki niech będą Bogu Zastępów, iż udzielił narodowi naszemu zwycięztwo i chwałę, jakiéj mało jest w dawniejszych wiekach przykładów. Zwyciężony, pierzchający w nieładzie nieprzyjaciel, opuścił pole bitwy i szańce pod miastem okryte trupami. Cała artylerya i łupy niezmierne, dostały się w ręce nasze. Sam proch milion wartości przechodzi. Mnóstwo wielbłądów, wołów, baranów, stało się zdobyczą męztwa żołnierzy naszych. Liczba jeńców i zbiegów, którzy z bogatym rynsztunkiem sami się do nas udają, tak jest wielka, że na ich widok przerażeni mieszkańcy Wiednia, zlękli się powrotu nieprzyjaciela. Powiększyło tę bojaźń wysadzenie na powietrze znacznéj części prochów przez nieroztropność naszych.

Kara-Mustafa umknąwszy z jednym tylko koniem, i z tém, co miał na sobie, zostawił mnie panem niezmiernych bogactw; co tak się stało: Kiedym ścigał nieprzyjaciela aż do jego obozu, pragnąc znaleźć samego W. Wezyra, który jednak nie sądził za rzecz przyzwoitą czekać na moje przybycie, jeden z jego sług przybiegł prosto do mnie i przewodniczył mi aż do jego własnych namiotów, których obwód równał się obszerności miast naszych Lwowa lub Warszawy. Buńczuki, znamiona powagi, chorągiew Mahometa, którą przy rozpoczęciu kampanii z rąk samego Sułtana odebrał, są zdobyczami naszémi. Posełam dziś tę chorągiew do Rzymu przez Sekretarza Talanti. Znaleziono w namiocie Wezyra znaczną ilość drogich kamieni,

1) *Fac simile* tegoż listu umieszczone w dziełku: Listy Jana III., wydane przez Edwarda Raczyńskiego, w Warsz. 1824 przy końcu.

których wartość daleko jest większa, niż owych, które mi przyniosło zwycięztwo chocimskie. Kilka puharów i kubków, wysadzanych rubinami i szmaragdami, tysiącami dukatów szacowane być mogą. Nie powiesz więc do mnie, jak zwykły mówić żony Tatarów, gdy widzą powracających swych mężów z próżnémi rękami: „nie jesteście mężczyzni, bo powracacie bez zdobyczy.“ W saméj rzeczy, kto chce opatrzyć się w łupy, powinien iść piérwszy do attaku. Żołnierze moi mają teraz w złoto oprawne damasceńskie szable i pełno rzeczy kosztownych. Koń paradny W. Wezyra, bogato jak na turnieje przybrany, stał się moją własnością. Przeszły pan jego nie miał czasu użyć go do ucieczki, chociaż mu był pod ręką. Kijaja, czyli piérwszy wódz po Wezyrze, nie był tak szczęśliwy, poległ na placu bitwy z wielą baszów. Noc nie pozwoliła nam daléj ścigać Muzułmanów. Należy im jednak oddać sprawiedliwość, iż się bronili dobrze; nadewszystko Jańczarowie w szańcach ucierpieli najwięcéj. Kiedy jedna ich część odpierała z zaciętością nacierających, druga szturmowała do miasta z największym zapałem.

Liczba oblegających wynosiła do 300,000; samych namiotów 100,000 rachować można. Każdy z naszych wojowników opatruje się w łup do upodobania, mieszkańcy nawet miasta idą wraz za zwycięzkim żołnierzem po zdobycz: mniemam, że to jeszcze do ośmiu dni potrwa.

Barbarzyńcy w ucieczce zamordowali wielu mieszkańców pojmanych w Austryi, i wiele nawet własnych żon z sobą przyprowadzonych. W czora widziałem dziecię, cztery lata mające, któremu aż do ust głowę przecięto. Znaleziono nawet strusia najpiękniejszego, którego Wezyr zabić kazał, aby się nam nie dostał: taka była wściekłość zwyciężonych.

Trudno jest wystawić obraz przepychu i zbytku w obozie Kara Mustafy. Obszerny obwód jego namiotów, nakształt małego miasta, zamykał w sobie łaźnie, fontanny, kanały, ogród, i zbiór rozmaitych zwierząt i ptastwa. Nie można było schwytać papugi nadzwyczajnéj wielkości, która wolno latała.

Byłem dziś w mieście: widziałem, iż dłużéj nad pięć dni oblężenia wytrzymać nie mogło. Przygotowania do szturmu zdawały się przechodzić siłę ludzką. Zburzenie zrządzone minami, kupy gruzów, sztuki oderwanych murów, wystawują przerażający widok: wszystko oznacza najsmutniejszy stan oblężonych.

W czasie bitwy wczorajszéj, W. Wezyr zgromadził największą siłę przeciw prawemu skrzydłu, będącemu pod moją kommendą; musiałem długo z nim walczyć, nim lewe skrzydło

i środek armii mogły uskutecznić potrzebne obroty, dla dania mi pomocy. Wczasie najzaciętszego boju złączył się ze mną Elektor bawarski, Xiążę Waldek i wielu Xiążąt niemieckich. Odbierałem od wszystkich miłe dowody przychylności; oficerowie i żołnierze wołali bezprzestannie: oto nasz Król! Elektor saski i Xiążę lotaryński odwiedzili mnie tego poranku, nie mógłem wczoraj mówić z nimi, gdyż byli na końcu lewego skrzydła, gdzie wysłałem kilka kompanij naszych huzarów pod dowództwem Marszałka nadwornego, Lubomirskiego. Późniéj przybył do mnie Gubernator Wiednia, Hrabia Staremberg, na czele wszystkich klass ludu. Trudno jest wyrazić czułość Wiedeńczyków; wszyscy cisnęli się do mnie pośród okrzyków: niech żyje nasz zbawca! Byłem we dwóch kościołach, wszędzie znalazłem niezmierny tłum ludu i też same odgłosy. „Pozwól," wołano, „ucałować tę rękę zwycięską!" Starano się przynajmniéj dotknąć szaty mojéj. Napróżno wzywałem oficerów niemieckich, ażeby ustać mogły okrzyki. Gdy po obiedzie u Gubernatora udałem się do obozu, lud wyszedł za mną z murów miasta, z temiż samemi znakami radości i uszanowania.

Cesarz mi donosi, że o kilka tylko mil oddalony jest odemnie; lecz nie mam nadziei widzieć się z nim tą razą, gdyż nie tracąc czasu, zamyślam udać się za nieprzyjacielem.

Strata z naszéj strony nie jest wielka: ale niestety! w liczbie poległych znajdują się: nasz Podskarbi nadworny Modrzewski, i syn Kasztelana krakowskiego, młody Starosta Potocki, o którym bez wylania łez wspomnieć nie mogę. Cesarscy opłakują śmierć Xięcia de Croy, którego brat raniony, i stratę wielu innych.

Znany Kapucyn, Marek Aviano, który nie przestaje całować mnie i do serca przyciskać, mówi, iż w czasie bitwy widział białego gołębia, krążącego nad wojskiem chrześciańskiém. Xiądz ten wyjechał teraz do Węgier, ścigając niewiernych. — Gdy W. Wezyr poznał, iż już nie mógł się utrzymać na polu bitwy, przywołał dwóch synów swoich, i uściskawszy ich, ze łzami rzekł do Hana tatarskiego: Ocalaj rzeczy, jak możesz; oddaję to twojéj roztropności i zręczności. — Znamy dobrze Króla, odpowiedział Han tatarski, niemasz nic do czynienia przeciw niemu, myślmy raczéj o sobie samych — i wszyscy razem w ucieczce ocalenie znaleźli.

Przyprowadzają w tym momencie wielką liczbę wozów tureckich, ładowanych prochem, ołowiem: zdaje się, że im teraz zupełnie zbywa na amunicyi; nie wiem, jak do nas strzelać będą. Donoszą mi także o zabraniu 20 dział, które Turcy zostawili w drodze.

Wkrótce wychodzimy do Węgier: spodziewam się doścignąć nieprzyjaciela blizko Strygonii, jeżeli Bóg dozwoli. Elektorowie saski i bawarski przyrzekli mi, iż wszędzie pójdą za mną. Z przyczyny wielkich upałów, musimy o dwie mile przynajmniéj oddalić się od pobojowiska, aby uniknąć zarazy.

Piszę do Króla francuzkiego, jako Monarchy chrześciańskiego, donosząc mu o zwycięztwie, ocalającém chrześciaństwo. Syn nasz okazał odwagę do zadziwienia. Nie odstąpił mnie na chwilę, i mimo nadzwyczajne trudy, jest zdrów i pełen ochoty. Landgraf Heski złączył się z nami: połączone teraz wojska nasze równają się liczbie onych, które Gotfried de Bouillon prowadził kiedyś do Azyi na odzyskanie Ziemi świętéj. Zwyciężony nieprzyjaciel nic więcéj nie ocalił, prócz życia, zostawując na polu bitwy wszystkie chorągwie i niezliczone bagaże. Niech się cieszy chrześciaństwo i dzięki niech składa Najwyższemu, że nie dozwolił niewiernym, aby się z nas naigrawali, pytając: gdzie jest wasz Bóg?

4. Wyszkowski do Autorki Rozrywek dla Dzieci.

Pomiędzy Wspomnieniami narodowémi, które są w Rozrywkach gładkiém piórem sławie znakomitych Polaków poświęcone, nie spotykam jak w naukowym zawodzie zaszczytnie znanego. Pewnie skromna córka nie śmie żadnéj o zacnym swym ojcu uczynić wzmianki; lecz chwalebna ta skromność pozbawia czytelników Rozrywek wiadomości o światłym i cnotliwym Polaku. Jako więc dawny przyjaciel, tego wcześnie dla ojczyzny i nauk utraconego ziomka, umyśliłem zastąpić nieśmiałość szacownéj autorki, i skreślić krótki lecz prawdziwy obraz życia i pism Ignacego Tańskiego, który składając w jéj ręce, upraszam, aby był w następującym Numerze Rozrywek umieszczony, tym bardziéj, że Numer ten ma być przed zupełném ich zamknięciem ostatni. — W tém miejscu trudno nie dodać, ile troskliwe matki, cała publiczność, żałować będzie podobnego pisma, pełnego wdzięku, prostoty i czułości; którego czysta polszczyzna, styl jasny i narodowość, Polakom zaszczyt przynosiły. [1]

Pisano w Warszawie d. 14. List. 1828 r.

5. List Zdzisława do Siostry za polskim językiem.

Wiesz, com zrobił z twoim polskim listem? niedoczytawszy go, rozdarłem. Wybacz, Wando, ale w piérwszym momencie nie mógłem się wstrzymać. Tak dobrze na wiek swój, obcym

1) Zob. wyżéj na stronie 2., tudzież str. 128.

pisząc językiem,[1] jak możesz w ojczystym takie brednie prawić? Wstyd mnie za ciebie; a gdy sobie przypomnę, żeś gotowa do uznania tego błędu, szczerze Cię żałuję. Nazwałaś mnie sama swoim opiekunem i ojcem; starszy od Ciebie sześcią laty, mam niejakie prawo do użyczania Ci rad dobrych; nie dziwuj się więc, jeśli do Ciebie poojcowsku napiszę: pochlebiam sobie, że i Ciotka gniewać się na mnie nie będzie; ona dobrocią swoją tę śmiałość mi nadała.

Na miłość, którą masz ku mnie, zaklinam Cię, Siostro, wejdź w siebie, zastanów się i uznaj, jaką to jest niedorzecznością zatapiać się w obcéj mowie, w niéj jedynie mówić, czytać, pisać, mając własną, piękną i bogatą. Wiem niestety! że ten przesąd jest niemal powszechnym u płci twojéj; wiem, że pomimo pozornéj jakowéjś odmiany, ciągle u nas obcy język nad ojczystym przewodzi; wiem, że plemię wzrastających dziewcząt, nie wielkie postępy mowie narodowéj wróży; wiem, że gdybym w téj chwili mógł przejrzeć cudem jakim wszystkie dziewczynek twego wieku i stanu dzienniki, listy, zeszyty, imienniki, modlitwy nawet, znalazłbym wszędzie francuzki język w obrocie, a zaledwie odkryłoby się dziesięć na sto, które ojczystą zamiłowały mowę. Lecz ta ślepota im powszechniejsza, tym szkodliwsza i bardziéj bolesna. Język polski drogą jest po ojcach naszych puścizną; za jego jedyną pomocą narodowość zachować możemy i podnieść literaturę krajową. Jakżeż więc gardzić tym skarbem?... Przekonany jestem, Wando, że kochasz ojczyznę twoję; że lubo nie umiesz ani mówić, ani pisać popolsku, serce twoje polskie ma uczucia; wiem, że wszystko, co się tycze wielkości i sławy kraju, unosi twą duszę, a każda niedola jego ją rani; wiem o tém z pewnością, i gdyby było inaczéj, nie chciałbym Cię siostrą nazywać!... Wiem także, iżby szczęściem było dla Ciebie, przyczynić się do wzrostu chwały imienia polskiego, a wiesz, ten czyn w twojéj i w rówiennie twoich jest mocy. Doprawdy, ja nie żartuję. Czytaj tylko daléj.

Twój list rozgniewał mnie, ale gdym się nad nim zastanowił, boleść miejsce gniewu zajęła, i nie do Ciebie jednéj, ale do wszystkich rówiennie twoich głęboki żal powziąłem. Ach! pomyślałem sobie, gdybym miał z dziesięć lat więcéj, uczyniłbym odezwę do wzrastających dziewcząt za mową ojczystą; możeby moje słowa do ich serc trafiły? Ale tak, cóż uczynić mogę? Oto myśli, które mi się po głowie snują, jakokolwiek ułożę, prześlę je Siostrze. A jeśli mnie kochasz, proś kogo, żeby ci twoję polszczyznę poprawił, bo inaczéj znowu list podrę.

1) Francuzkim. (Z Rozrywek dla Dzieci.)

II. STAROŻYTNOSĆ.

Z Listów Elżbiety Rzeczyckiéj, do Przyjaciółki swojéj Urszuli, za panowania Augusta III. pisanych.

1. Z Warszawy d. 29. Sierp. 1754.

Raz byłam na teatrze w Kollegium Xięży Pijarów, a drugi raz u dworu; sama nie wiem, gdzie się lepiéj zabawiłam. Śmiesznać to rzecz widzieć grających. Z początku śmiać mi się chciało, myśląc sobie, że ci studenci poprzebierali się i udają; ale potém zapomniałam zupełnie, że to udanie, i spłakałam się serdecznie. Bo u Pijarów to nie aktorowie płatni, ale studenci, najpierwszych domów panicze, dla zabawy i dla ćwiczenia się w pięknéj mowie, różne tragedye i komedye grają. Tego wieczora grali Alzyrę, bardzo piękną i prawdziwie chrześciańską sztukę; uczy doskonale, jak Chrześcianin najsroższym nieprzyjaciołom przebaczać powinien. Ten Pan Wolter, który ją w francuzkim języku napisał, musi być człowiek bardzo pobożny. Wystaw sobie, że mężczyzni udawali kobiety; Jan Sołłohub, bardzo ładny kawaler, przebrany był za Alzyrę, a Kasztelanic Konarski za jéj powiernicę. — Na teatrze dworskim, przyznam ci się, że mnie więcéj bawiło uważać na osoby patrzące, niźli na aktorów, co mówili i śpiewali po włosku; a jak wiesz, ja zupełnie tyle umiem powłosku, co i połacinie, to jest ani słowa. Jednak i tam być, bardzo zabawnie, i zaszczyt wielki znajdować się w jednéj sali z Królestwem i z tylą znakomitych Panów. Przytém też roznoszą różne chłodniki i łakocie, częstują niémi wszystkich, i ja tyle słodyczy się najadłam, że mi aż ckliwo się robiło. Ale co ci powiem szczególnego? nie wiele było osób patrzących; piérwsze miejsca pełne, a dalsze prawie zupełnie próżne. Król jednak chciałby koniecznie, żeby sala napełnioną była; dworskim swoim, dworzanom wielkich Panów, wojskowym, rozdawać każe bilety, oni przecież nie przychodzą. Wujaszek np. dwa razy na tydzień, we wtorek i piątek, mógłby bywać na tym teatrze, a nigdy nie bywa. Pytałam go się właśnie wczora o przyczynę? „Moja dzieweczko!“ odpowiedział mi, „kiedy człowiek nad wieczorem uwolni się od ważnych obowiązków służby swojéj (był Szatnym przy Xięciu Wojewodzie Czartoryskim), woli sobie pójść do jakiéj gospody albo do przyjaciela; tam pogawędzić, naśmiać się do woli, podochocić sobie wytrawnym miódkiem albo węgrzynem. Co mi za roskosz iść na teatr! siedzieć, jak lalka na niemieckiém kazaniu, i oblizać lodów albo limoniadki: to istna ślinka; ani to człowieka

pożywi, ani zagrzeje, ani rozweseli. Jak mi kto zaśpiewa krakowiaka, mazura, albo polskiego utnie, to mi aż nogi drgają, ale tych włoskich trelów polskie ucho bynajmniéj nie rozumie.“ — Poniekąd to on i słusznie mówi, bo napatrzywszy się raz Królestwa i przytomnych Panów, nudno być musi nie rozumieć tego, co aktorowie prawią: i mnie to już ku końcowi zaczynało korcić. Moja Urszulku, w téj Warszawie człowiek często ma tę przykrość, że nie rozumie, co koło niego mówią; mężczyzni najczęściéj między sobą prawią połacinie; wielkie panie prawie wszystkie, osobliwie téż młode, szczebiocą pofrancuzku; na teatrze dworskim mówią i śpiewają powłosku, a wojsko komenderują poniemiecku. Dziwnie się to wydaje, mając swoję mowę, szukać obcych; ale cóż poradzi; już taki Polaków obyczaj. Możeć da Bóg, że się kiedyś z tego nałogu poprawią, osobliwie jeśli więcéj będzie obywateli do Xiędza Konarskiego podobnych; w moich przynajmniéj oczach, to zupełnie rzecz szczególna, kochać kraj swój, a nie miłować języka.

2.

Bóg widzi, kochana Urszulku! że jeszcze ani razu nie brałam się z taką skwapliwością do pióra, jak dzisiaj; co ja téż mam rzeczy napisać, a jak mądrych! czego ja przez jeden dzisiejszy poranek się dowiedziałam, nauczyłam, to podobno więcéj, niżli przez całe życie! Kogo ja widziałam? kogo ja widziałam? Widziałaś ty kiedy wielkiego człowieka? pewno nigdy: a no! ja widziałam dziś rano. — Jakem tylko przyszła według zwyczaju do Xiężnéj Pani, natychmiast mi powiedziała: „Pospiesz się z czytaniem, moja dzieweczko, bo wnet tu ma przyjść człowiek, którego ja uwielbiam, którego wszyscy Polacy uwielbiać powinni, prawdziwie wielki człowiek!“ — Wielki człowiek! pomyślałam w duchu, jakem go ciekawa! Widziałam już wielkich Panów, widziałam kobiety piszące książki (Drużbacką, Niemierzycową i Radziwiłłową), widziałam cnotliwego Xiędza (Baudouain), widziałam Króla, Królowę; ale wielkiego człowieka nigdy. Skłoniłam się więc Xiężnie Pani, i spytałam się jéj: „Czy mi pozwoli zostać w pokoju, jak ten wielki człowiek przyjdzie?“ I owszem, powiedziała ta kochana Pani, zostań! Pan Bóg ci dał wcale dobrą główkę, możesz skorzystać z jego rozmowy. Pocałowałam ją w kolana za to pozwolenie, a ośmielona jéj łaskawością, poważyłam się zapytać, jak się ten wielki człowiek nazywa? — Stanisław Konarski,[1] odpowiedziała łaskawie; jestto Xiądz Pijar, wielki człowiek, gdyż pomimo największych prze-

1) Ur. 1700 r., † 1773.

szkód, wiele bardzo dobrego zrobił krajowi, i chce jeszcze zrobić! Tu Xiężna Pani zaczęła wyliczać to wszystko; a ja ci to opiszę, jak potrafię i spamiętam. Najprzód trzeba ci powiedzieć rzecz bardzo smutną, któréj ja się bynajmniéj nie domyślałam, i która cię także pewno zmartwi: nie dobrze z naszą Polską się dzieje; już oddawna nachyla się ku upadkowi i niema porządnego wojska; długim pokojem gnuśnieją Polacy, panowie zbytkują, drobna szlachta w ubóstwie, chłopi jak bydlęta w nędzy i uciemiężeniu; młodzież chowa się, jak sama chce, bez karności, bez porządku; niema zgody w narodzie, niema rządu; Król bezwładny, choćby chciał, nic dobrego zrobić nie może! każdy gada o wolności, obstaje za nią; każdy chce być panem, i jest nim, bo robi, co mu się podoba: a bardzo ma być źle krajowi, gdzie każdy jest panem; bo nie wiem, jakim się to sposobem dzieje; ale tam każdy jest niewolnikiem. Sejmy, lubo częste, nic złemu nie zaradzają, gdyż taki osobliwy wkradł się do nich obyczaj, że choćby co najlepszego uradzili, jak jeden Poseł powie: Nie pozwalam! tak wszystko za nic. Bodaj był nie żył! ten Poseł Siciński, który go pérwszy wprowadził; już to sto dwa lat temu, za Jana Kazimierza. Chociem dziewczyna młoda i nieuczona, przecież sama widzę, jakiém to głupstwem, jaką przeszkodą do wszystkiego jest ten przywiléj, *Liberum veto* zwany. Niektórzy Polacy, osobliwie Xiążęta Czartoryscy, widzą to oddawna z boleścią, ale cała szlachta dałaby się zabić za ten przywiléj; nikt więc nie śmiał odzywać się głośno przeciw niemu: piérwszy Ksiądz Konarski miał tę odwagę; nie będąc ani bogatym, ani zamożnym, piérwszy się naraził dla prawdziwego dobra Polaków na ich nienawiść i zemstę. Napisał całą księgę przeciw *Liberum veto*; [1] szlachta sromotnie gniewa się na niego, pali na sejmikach to pismo; ale on się nie zraża, ciągle pracuje nad zwalczeniem téj poczwary, spodziewa się tego doczekać czy późniéj, czy prędzéj, i w téj nadziei nic mu przykrém nie jest. Ale nie tu koniec szacownych dzieł jego: posłuchaj, jak wiele zrobił Xiądz Konarski dla lepszego wychowania młodzieży, dla podniesienia języka polskiego, za co serdecznie go kocham. On urodził się 1700 r.; już ma teraz lat 54. Do 30. roku życia swego lubiący nauki Xiądz, umiejąc dobrze połacinie, pisał tak, jak prawie wszyscy dziś piszą, co to polszczyzna łaciną nastrzępiona. Ale wysłany do Włoch przez Zgromadzenie Pijarów, w tym kraju, gdzie wielu ma być uczonych, jak gdyby przejrzał. Wrócił do Polski innym człowiekiem, i w roku

1) O skutecznym rad sposobie. Warsz., 1760, V Tomów.

1741. wydał dzieło o poprawie wad wymowy [1] połacinie, żeby od mądrych czytane było. Ta jego księga wiele narobiła hałasu, wielu nieprzyjaciół; ale on nie zważając na nic, wydał drugą o sztuce dobrze myślenia, [2] i zupełną wypowiedział wojnę teraźniejszemu sposobowi pisania, który się makaronizmem zowie. Nie dosyć na tém, zostawszy naczelnikiem Zgromadzenia Pijarów, urządził jak najrozsądniéj ich szkoły, bo jak ci wiadomo, Pijarzy i Jezuici trudnią się wychowaniem najpierwszych paniczów naszych: to jego urządzenie, cztery lata temu, sam Papież Benedykt XIV. potwierdził, i już teraz wszyscy szanować go muszą. Uczono dawniéj w szkołach według reguł Alwara (tego samego, co to ojciec tknąć mi nie kazał); te reguły miały być bardzo trudne. Xiądz Konarski napisał sam grammatykę łacińską, i teraz według niéj się uczą, i daleko jest lepiéj. — Otoż tego człowieka, który tyle dobrych rzeczy zrobił, który tak szlachetnie myśli, że nawet o pieniądze nic nie dba, i Biskupstwo odmówił, tego człowieka, którego po wszystkie wieki, Wielkim zwać będą Polacy, ja dziś poznałam. — Jaki zapał w mowie tego człowieka! jak on kocha swój kraj! jakby chciał ofiarą własnego życia kupić dla Ojczyzny szczęście i wielkość prawdziwą! jak czuje koniecznie potrzebę odmiany rządu! jak zagrzewał młodego Xięcia, [3] żeby on się do tego dzieła przyłożył! „Panie Adamie,“ powiedział do niego, „zazdroszczę ci tego młodego wieku; jeszcze tyle lat możesz służyć miłéj Ojczyznie, tyle dobrego zrobić rodakom; ja już z pola schodzę i nie wiem, czy owoc prac moich zobaczę... Ale rośnie młódź szlachetna, która pomyślne nadzieje wróży, i ufam w Bogu, że za jéj pomocą ocucony naród polski z letargu lat kilkudziesiąt, albo odzyska dawną świetność, alboli téż, jeśli winą ojców naszych gmach ten podkopany, koniecznie upaść musi, runie przynajmniéj z chwałą, [4] i szlachetnym uzacni się zgonem.“ — Uważasz Urszulo, jak mi się udało spamiętać te ostatnie słowa; powiem ci, jak się stało. Powiedziawszy je Xiądz Konarski, zatrzymał się, łzy mu stanęły w oczach i milczał długo. Ja przez ten czas powtórzyłam je sobie kilka razy pocichu i spamiętałam co do litery. — Wkrótce zaczął znowu mówić i wyliczał tych młodzieńców, w których pokłada nadzieję zwalenia *Liberum veto*, ustalenia porządku, poprawy wychowania, oświecenia narodu. Zapewne wielu z nich przepomnę, ale o tych, których nazwiska spamiętałam,

1) *De emendandis vitiis eloquentiae*, *Vars.* 1741. 2) *Institutionae oratoriae*, *Vars.* 1767. 3) Adama Czartoryskiego; † 1823. 4) Sejm konstytucyjny. — Kościuszko.

napiszę ci, co on mówił. Już to najprzód wymienił Księcia Wojewodzica; i powiedział mu w oczy: „Panie Adamie, bardzo młodym jesteś, lubisz zabawy płoche, rozrywki zajmujące cię; ale znam serce twoje, znam duszę prawdziwie polską; wiem, że pomimo tego, zawczasu Ojczyznie użytecznym będziesz, wiele nadużyć poprawisz, więcéj zrobisz, niż ktokolwiekbądź, dla wychowania publicznego, dla nauk; godnym się okażesz ojca i stryja,[1] i imię swoje w sercach Polaków wyryte zostawisz!“ — Młody Książę na te słowa rzucił się na szyję Księdzu Konarskiemu, dziękując mu, że tak dobrze o nim tuszy; mówił, że to wszystko uczyni; że najprzód musi być Posłem i Marszałkiem sejmowym; że pod jego laską musi być *Liberum veto* zniesione; że urządzi sam taką szkołę dla młodzieży, jakiéj jeszcze w Polszcze nie było;[2] że będzie zachęcał nauki, kunszta, będzie wspierał uczonych, będzie śledził we wszystkich klassach ludzi zdatnych, będzie sam pisał.[3] Trzeba było widzieć radość Księdza Konarskiego, gdy on tak z zapałem mówił, a Księżnie Pani jak się zaiskrzyły oczy; chociaż łzy jak groch na krośna kapały, przecież jaśniały jak dwie świece. Ksiądz Konarski wspominał potém o młodych Poniatowskich, o synach siostry Księcia Pana; jeden z nich, Stanisław,[4] który teraz jest w Petersburgu, ma mieć nadzwyczajne w naukach i pięknych sztukach upodobanie; jeśli ten kiedy zamożnym zostanie, powiedział, uczeni będą się mieli od niego dobrze: wspomniał takoż z pochwałą o jednym młodym Pijarze, zowie się Onufry Kopczyński, ma dopiero lat dziewiętnaście, a tak już wiele łacińskich pisarzy czytał, i nad językiem polskim tak pracuje, że Ksiądz Konarski widzi w nim nowego Ojca mowy ojczystéj.[5] Mówił potém o Jezuitach:[6] ci jako dawniejsi, więcéj jeszcze mają od Pijarów zdatnych i wiele obiecujących subjektów, tak z Księży jak z uczniów. Między piérwszymi wymienił Księdza Wyrwicza,[7] który ma być tak uczony, jak mało kto na świecie; Księdza Naruszewicza;[8] ten do wiersza wielką ma ochotę, i w dziejach świata i polskich bardzo się zagłębiać lubi; Księdza Albetrandego;[9] o tym długo mówił, bo Księżna nigdy

1) Biskupa poznańskiego, który lubo w Ciążyniu miał na rezydencyą wspaniały pałac, wolał jednak ze szczupłym bardzo dworem mieszkać w Dolsku. 2) Korpus Kadetów w Warszawie. 3) Myśli Dantyska o pismach i pisarzach polskich. Wilno 1801 i trzy Komedye. 4) Późniéj Król polski. 5) Nieśmiertelny autor Grammatyki narodowéj † 1817 r. 6) Pod Zygmuntem Augustem przez Kardynała Hozyusza do Polski (właściwie do Prus) sprowadzeni; Pijarzy zaś dopiero pod Władysławem IV. 7) Zob. wyżéj str. 197. 8) Zob. str. 116. 9) Zob. str. 120.

jeszcze o nim nie słyszała. Ojciec jego jest Włoch, i nawet nieszlachcic; ale on rodził się w Warszawie i ma polskie i szlachetne uczucia; pamięć zaś nadzwyczajną, pracowitość niepojętą i objęcie niesłychane: Bóg wie, jakiémi językami nie mówi, a chociaż tak młody, największe ma upodobanie w starych szpargałach: żeby niewiem jak był zamazany rękopism, nikt go nie przeczyta; Ksiądz Albetrandy od razu, jakby drukowane. Między uczniami mają Jezuici kilku niepospolitych. Ignacego Krasickiego n. p.; on uczy się we Lwowie, wielkiego jest rodu, i ma mieć dowcip i zdatność do wiersza rzadką. „Ręczę, że ten będzie nad wszystkich naszych Pisarzy sławny!“ mówił o nim Ksiądz Konarski. Osobliwszy także ma mieć dar ten Krasicki postrzegania śmieszności i wyszydzenia ich zręcznie. „A takiego nam też właśnie dowcipu potrzeba (mówił jeszcze, bo mamy wiele śmieszności.“ Drugi znowu, także we Lwowie, Grzegorz Piramowicz,[1] rokiem od Krasickiego młodszy; ten rozsądkiem i dobrém postępowaniem nad wszystkimi celuje, i do nauk wielką także okazuje skłonność: przywdzieje niedługo sukienkę, i Ksiądz Konarski bardzo się z tego cieszy; powiada, że to będzie wzór Księży.

Byliśmy w bibliotece Załuskich: co tu książek w téj bibliotece? aż w głowie się przewraca! ma być do dwakroć sto tysięcy dzieł, a samych polskich 20,000. Trzebaby żyć ze trzysta lat, żeby to wszystko przeczytać. A jak tam pięknie! jakie są figury kamienne! wszystkich królów polskich widziałam popiersia. Moja Urszulku, jam bardzo temu rada, że mnie Pan Bóg Polką stworzył, bo wielu jest cnotliwych Polaków, i wszystko dla miłéj ojczyzny poświęcić gotowych. Wystaw sobie, że wszystkie książki dwaj bracia zebrali; zowią się Załuscy; jeden z nich, Józef, jest Biskupem kijowskim: zbierali je z wielką pracą, wielkim kosztem i w kraju i za granicą. Biskup wszystkie pieniądze, jakie tylko miał, na ten cel obracał, i nieraz na wieczerzę zjadł tylko kawałek séra i chleba, a za to, coby miał jaki przysmak sobie kupić, wolał książkę, albo rękopism nabyć. O poczciwi! niech ich Bóg błogosławi! Już jedenaście lat temu, jak ta biblioteka została otworzoną dla całéj publiczności; kto chce, może iść do niéj i czytać, co mu się podoba; mówią, że nie jest jeszcze zupeł-

---

1) Później Proboszcz kurowski, wzór duchowieństwa, autor szacownego dzieła: o wymowie i poezyi, w Krak. 1792, i innych. Zob. niżéj Rozd. VI.

nie dobrze ułożona; ale Biskup kijowski właśnie się stara o człowieka, zdatnego do jéj ułożenia, i podobno, że Ksiądz Albetrandy będzie do tego użyty. Kiedy lubi stare rękopisma, to się tam nasyci, bo widziałam ich stósy. Księżna Pani mówiła z wielkim szacunkiem o tych Załuskich: oni niezmierną liczbę ksiąg polskich od zupełnego zatracenia wyratowali: a potém wiele bardzo dzieł, które dotąd pisane tylko były, oni drukować pozwalają: tym drukiem trudni się niejaki Pan Micler, i prawie w każdéj gazecie jest doniesienie o nowéj jakiéj książce.[1]

(Z Rozrywek dla Dzieci.)

1) Sławna ta biblioteka, w r. 1795., w czasie ostatniego rozbioru Polski, do Petersburga przewiezioną została; późniéj sam gmach zgorzał.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

PROZA DYDAKTYCZNA.

A. MORALNOŚĆ.

1. RELIGIA.

Moje dziecko, rzekł raz ojciec do syna, niczego więcéj nie pragnę, jak tego, abyś był szczęśliwym. Lecz wiédz o tém, że jedna tylko Religia człowieka uszczęśliwić może. Bez religii ani znakomitość urodzenia, ani majątek, ani godności, szczęścia nam nie zapewniają; serce nasze nigdy nie będzie zupełnie spokojne, a w chwili zbliżającéj się śmierci, nie znajdziemy żadnéj pociechy.

Syn. Ale cóż to rozumiesz, mój Ojcze, przez tę religią?

Ojciec. Religia jest to sposób, przez który oddajemy cześć wszechmocnemu Stwórcy, i dopełniamy naszych względem niego obowiązków. Wszakże wiesz, że jest Bóg?

Syn. Tak jest, często o tém słyszę: ale cóżto jest ten Bóg, któremu cześć oddawać winniśmy?

Ojciec. Moje dziecię, w twoim wieku jeszcze nie można dać ci o nim takiego wyobrażenia, jakie ludzie dojrzali mieć mogą; możesz jednak tyle wiedzieć, ile ci do tego potrzeba, abyś został człowiekiem pobożnym i cnotliwym. Jakże mniemasz, czyliż ten dom, albo ten stół same się zrobiły?

Syn. Nie, przecie ktoś je zrobić musiał.

Ojciec. Zkądże pochodzą drzewa w lesie, trawa, zboże, i różne owoce?

Syn. Z ziemi.

Ojciec. A ta ziemia, czy jest żywa, czy się stworzyła?

Syn. Nie zdaje mi się, aby sama utworzyć się mogła.

Ojciec. Dobrze mówisz, moje dziecko; ziemia nie jest istotą żyjącą, niema czucia, i nie zna tego, co się na jéj powierzchni dzieje. Lecz musiał być ktoś, co tę ziemię tak płodną utworzył.

Syn. O zapewne, mój Ojcze!

Ojciec. Wiedzże o tém, moje dziecko, że tego Pana dobroczynnego, co utworzył ziemię, na której żyjemy, i wszystko, co tylko twoje oczy spostrzegają; który przewidział wszystkie nasze potrzeby, i nami się ciągle opiekuje, nazywamy Bogiem. Czyliż i ty, chociaż jesteś tak młody, nie doznałeś już łask i dobrodziejstw jego? Czyliż te owoce, które ci tak smakują, i twoje codzienne pożywienie, nie pochodzą z ziemi?

Syn. Tak jest, mój Ojcze.

Ojciec. Wszakże kochasz twoich rodziców i tych wszystkich, którzy ci dobrze czynią.

Syn. Kocham.

Ojciec. Jakże więc, mój synu, nie powinieneś kochać Boga, który stworzył tę ziemię, i to wszystko, co się na niéj znajduje; który cię codziennie tak dobrém pożywieniem obdarza, i tyle dobrodziejstw wyświadcza. Połącz więc ze mną do niego modlitwę: O mój Boże! składam ci dzięki z całego serca mojego, za to wszystko, co mi do dnia dzisiejszego z łaski swojéj udzieliłeś, i za to pożywienie, w które mnie codziennie opatrujesz. Pragnę najszczerzéj czynić to wszystko, co tylko tobie podobać się może. Udziel mi tylko potrzebnéj mądrości, abym mógł zawsze godnie ciebie uwielbiać, i poznawać dobrodziejstwa twoje. (Z Tygodnika dla Dzieci.)

2. DZIENNIK DLA SYNA.

Pewien szanowny obywatel, wysełając syna swojego do szkół pod dozorem nauczyciela, kazał mu zrobić dziennik do zapisywania wszelkich jego w mieście czynności, i zaczął go następującym wstępem: „Z rokiem dwunastym wieku twego opuszczasz poraz piérwszy dom rodziców, abyś zaczął nowy zawód edukacyi publicznéj, a razem nową epokę życia twojego. Dotąd opiekuńcze oko rodziców przewidywało twoje najdrobniejsze potrzeby, wyszukiwało błędy i zalety twoje; od téj chwili ludzie obcy wyłącznie sądzić cię mają. Sąd rodziców, jeśli jest sprawiedliwy, rzadko kiedy jest surowy. I ty, kochany Synu, więcéj doznawałeś pobłażania, niżeli nagany. Sąd obcych nietylko bywa często ostrzejszy, lecz i daleko więcéj bolesny. Pomnij więc na to, że im daléj na świat i między ludzi wychodzisz, tym więcéj być na siebie bacznym, tym więcéj o sobie pamiętać powinieneś. Jestto bowiem w naturze ludzkiéj, że więcéj lubimy cudze wyszukiwać wady, aniżeli chwalić dobre przymioty.“

„Dziennik ten, który od dnia dzisiejszego ma być najwierniejszym wszystkich twoich czynności obrazem, zaczyna twój przywiązany ojciec następującémi przestrogami:

Najprzód. Bądź bogobojnym i pobożnym; wznoś codziennie myśl i serce do Najwyższego Pana, bo od niego całe twoje szczęście i rodziców twoich zawisło.

Powtóre. Bądź zawsze pilnym, uważnym, pracowitym; bo ta tylko droga doprowadzić cię może do nauki, przez którą jedynie, przy uczciwości, nabywamy prawdziwego znaczenia i szacunku u ludzi.

Potrzecie. Bądź posłuszny przydanemu nauczycielowi, szanuj go, jako taką osobę, która rodziców twoich zastępuje, i przypominać ci ich powinna. Szanuj wszystkich starszych i nauczycieli, bo to jest naturalnym młodego obowiązkiem. Miło i tobie będzie, że ciebie kiedyś młodsi poszanują.

Poczwarte. Kochaj zawsze prawdę, i we wszystkiém zwierzaj się twojemu nauczycielowi, a tak złe w tobie nie wzrośnie.

Popiąte. Szukaj takich towarzyszów, których ci rodzice, nauczyciele, lub doświadczeni przyjaciele nastręczą, unikaj rozpustnych i swawolnych. Dobre towarzystwa wiele wad naszych poprawić, wiele dobrych rzeczy nauczyć nas mogą; złe, częstokroć to nawet, co mamy dobrego, zniweczą.

Naostatek. Bądź dla wszystkich grzeczny, uprzejmy; bo i ten przymiot dla człowieka, żyjącego w społeczeństwie, koniecznie jest potrzebny. Zachowaj największe ochędóstwo i czystość, bo tego równie zdrowie, jak przyzwoitość wymaga; niech twoje pieszczoty i wszystkie błędy zostaną za progami rodziców. Obym w tym dzienniku znalazł więcéj dobrego niż złego; bo spodziewam się, że równie jedno jak drugie z otwartością napisać nie będziesz się wahał. To będzie jedyną nagrodą i pociechą dla rodziców twoich za wszystkie trudy, starania i koszta.

(Z tegoż.)

5. ROZMOWA P. MACIEJA Z JEDNYM ŻEBRAKIEM, I DOBRA NAUKA DLA DUMNYCH I PRÓŻNIAKÓW.

Szliśmy sobie pieszo gościńcem do Lubartowa, aż wtém spotykamy na drodze młodego chłopaka, dosyć dobréj postawy, ale mizernie odziany; prosi nas o jałmużnę. Pan Maciéj przypatrzył mu się najprzód z uwagą, a potém rzekł mu: Mój Przyjacielu! w twoim wieku wziąłeś się do bardzo brzydkiego rzemiosła. Jakto! taki zdrów i silny, czy nie mógłbyś gdzie pracować, a nie czekać tak na gościńcach i naprzykrzać się podróżnym? Wiesz, że to bardzo brzydko opuszczać się, kiedy kto ma zdrowe ręce i może na chleb zarobić.

Żebrak. Nie mam roboty, mój Dobrodzieju!

P. Maciéj. A umiesz jakie rzemiosło?

Żebrak. O umiem, i kilka!

P. Maciéj. Tym gorzéj; lepiéj umieć jedno, a dobrze, niż pięćdziesiąt, a źle. Może téż i temu nie bierzesz się do żadnego, że ich tyle umiesz. Jakiéj professyi twój ojciec?

Żebrak. Mój ojciec, jest szewcem w Kozienicach.

P. Maciéj. A czemużeś i ty szewcem nie został?

Żebrak. Mój ojciec nie chciał tego: już mi był nawet zaczął pokazywać swoje rzemiosło, ale mnie się to rzemiosło nie podobało. Uczyłem się potém tkactwa, rymarstwa, ciesielki, ale i to wszystko nie było mi do smaku, nie chciało mi się być rzemieślnikiem.

P. Maciéj. Miałeś może ambicyą? — i czémże naprzykład chciałeś zostać?

Żebrak. Chciałem być w jakim sklepie kupczykiem, albo być w biórze jakiém. Dla tego téż wybrałem się z Kozienic i powędrowałem sobie do Warszawy. Ale czego się tylko chwyciłem, to mi się nie wiodło. Tymczasem ojciec mi umarł, straciłem pieniądze, com był od niego wymęczył; zostałem bez sposobu, i muszę teraz żebrać jałmużny, tak, jak mię widzicie.

P. Maciéj. Otoż, co to jest wstydzić się swojego stanu, i chcieć być czémsiś więcéj, kiedy się niema głowy do tego. Gdybyś był po rozumnemu nie puszczał się ojcowskiéj professyi, byłbyś miał tę samę robotę, co i ojciec, i teraz byłbyś sobie uczciwym rzemieślnikiem, wolnym i niepodległym. Żadna professya nie hańbi, kiedy jest tylko przydatną, i kiedy w niéj człowiek poczciwie się sprawuje. To tylko wstydzić powinno, co jest nieuczciwém, i nie przynosi żadnego pożytku. Żaden stan nie hańbi człowieka, ale człowiek hańbi czasem stan swój. Ten, co chce wznieść się wyżéj, niż go stanie, może nieraz spaść niżéj, niż był nawet. Nie głupstwoż to wielkie puszczać, co trzymasz w ręku, a chwytać to, co o sto kroków od ciebie? Słuchaj, przyjacielu! na nic dobrego nie przyda się być hardym i próżnym. Nie jedno przez to zrobisz głupstwo, a sam za to potém pokutować będziesz. Kto wstydzi się to robić, co robił jego ojciec, pewno już nie najlepsze ma serce; prędzéj, czy późniéj, ukarany zostanie, i będzie musiał sam się wstydzić. Masz już z siebie tę naukę; ale czemużeś nie wrócił do jakiego uczciwego rzemiosła, a nie puszczał się na takie ohydne, jakiém teraz się bawisz? Lenistwo to, podobno, lenistwo tego przyczyną! Strzeż się, mój przyjacielu; ta wada daleko zaprowadzić może: już cię przywiodła do tego, iż żebrzesz bez wstydu; może nieznacznie pociągnąć ciebie na największe łotrowstwa. Człowiek leniwy i próżniak, jest ciężarem na ziemi; na nic się nie zdał sobie, ani drugim; a kiedy umiera,

uwalnia tylko świat od ciężaru. Pan Bóg stworzył nas wszystkich, żebyśmy pracowali, i pomagali jedni drugim. Jego Opatrzność opiekuje się nami wszystkimi. Pan Bóg chciał, żeby jedni byli bogatsi, którzyby potrzebowali do pomocy uboższych, i dawali im chleb za to. Ale dał też i bogatym wiele kłopotów, ażeby i oni, tak jak drudzy, mieli swoje trudy i mozoły. Bo Pan Bóg patrzy na wszystkich zarówno, i nie robi różnicy między swemi dziećmi. Trzeba mu ufać i szanować jego wolą: chce on, żeby każdy przestawał na tém, co mu naznaczono, a Bóg wie lepiéj od nas, co nam jest potrzebne; ufajmy jego mądrości i nie szemrajmy nigdy. Religia powinna nam dawać odwagę i pocieszać: chódź, przyjacielu, z nami do Lubartowa, zarekommenduję cię do jakiego warsztatu; a jak się będziesz sprawował dobrze i poczciwie, zobaczysz, że i Pan Bóg o tobie nie zapomni.

Pan Maciéj czasem i dobrze wyłajał; ale kiedy mu się to trafiło, zawsze potém nagrodził to jakiém dobrodziejstwem, że nie żal było i nagany słuchać.

(Z dziełka dla użytku ludu wiejskiego, pod tyt.: Maciéj z Jędrychowa; z francuzkiego Pana Jussieu; w Warszawie 1819 r.

4. DROGA DO MAJĄTKU. [1]

Zatrzymałem się niedawno w miejscu, gdzie się lud zgromadzał na publiczną przedaż towarów. Że jeszcze godzina przedaży nie nadeszła, rozmawiano między sobą, i narzekano na złe czasy. Pewien Jegomość zbliżywszy się do skromnie lecz czysto ubranego starca w białéj peruce: „A ty, ojcze Abrahamie, zawołał, co sądzisz o naszych czasach? czy podatki nie przywiodą do ostatniéj zguby kraju naszego? zkąd już brać pieniędzy na ich zapłacenie? powiedz, co ci się zdaje?“ — Ojciec Abraham powstał i odpowiedział: „Jeśli chcesz wiedzieć moje zdanie, objawię ci je pokrótce, bo mądréj głowie, dość dwie słowie, jak mówi poczciwy Ryszard.“ Zgromadziło się wiele osób, otoczyły Abrahama, a ten zaczął, jak następuje:

Przyjaciele i sąsiedzi! zaprzeczyć nie można, że podatki są wielce uciążliwe: gdybyśmy jednak płacili tylko te, które Rząd nakłada, nie czulibyśmy tyle ciężaru. Opłacać atoli musimy inne, stokroć uciążliwsze. Płacimy dwa razy więcéj próżności, a cztery razy więcéj naszemu głupstwu; a te po-

1) Franklin (zob. wyżéj na str. 27.) wydawał przez kilka lat Pensylwański Almanach, pod tytułem: Poczciwy Ryszard, z którego niniejszy wyimek, wzięty z dziełka: Życie i pisma Benjamina Franklina, z angielskiego przełożone, w Warszaw. 1827, 2 Tomy.

datki są takiéj natury, iż ich poborcy najmniejszéj dozwolić nie mogą ulgi. Słuchajmy jednak dobréj rady, a może nam co pomoże: „Bóg pomaga tym, którzy pomagają sami sobie,“ mówi poczciwy Ryszard w Almanachu.

Gdyby który Rząd zabierał poddanym dziesiątą część czasu na swoje potrzeby, narzekalibyśmy wszyscy na uciemiężenie: lecz iluż to z nas więcéj jeszcze płaci lenistwu? zważmy tylko, ile tracimy czasu albo na zupełném próżnowaniu, albo na zatrudnieniach i zabawach, żadnego nie przynoszących użytku. Lenistwo rodzi choroby, a zatém skraca życie: „lenistwo podobne jest do rdzy; prędzéj rzeczy niszczy niż robota: klucz używany zawsze się świeci,“ jak mówi poczciwy Ryszard. Jeżeli lubisz życie, nie trwoń czasu, bo jak mówi poczciwy Ryszard: „czas jest materyą, z któréj się składa życie.“ — Ileż to czasu obracamy niepotrzebnie na spanie, zapominając: „że lis śpiący kur nie łapie, i że dosyć będziemy mieli czasu do spania w grobie.“ Jeżeli czas jest rzeczą najdroższą w świecie, trwonienie czasu, jak mówi poczciwy Ryszard, musi być największém marnotrawstwem: „raz bowiem stracony, jak mówi daléj, więcéj nie wraca: a to, co my zowiemy „dosyć czasu“, pokazuje się zawsze za mało.“ — Pracujmy więc, kiedy tylko możemy, i tam, gdzie potrzeba; przy pilności zrobimy więcéj z mniejszą trudnością. Lenistwo wszystko utrudnia, praca wszystko ułatwia, mówi poczciwy Ryszard, dodając: „że kto późno wstaje, ten musi dreptać przez cały dzień i jeszcze nocy zarwie; że lenistwo idzie tak powoli, że je zawsze ubóstwo dosięgnie. Lepiéj sam ciągniéj swe interesa, niżby cię one ciągnąć miały; a kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.“

Co za potrzeba wzdychać do lepszych czasów? ich polepszenie od nas samych zależy: „pilność nie zwodzi się nadzieją,“ mówi poczciwy Ryszard, „bo kto żyje w nadziei, umiera w głodzie. Bez prace, nie będą kołacze.“ Kiedy nie mam ziemi, muszę pracować rękoma, a choćbym ją i miał, to i tak płacić muszę podatki. „Kto ma handel,“ mówi także poczciwy Ryszard, „ma urząd zaszczytny i korzystny.“ Ale czy kto ma handel, czy rzemiosło, musi pracować; bo ani dobra, ani urząd, na podatki nie wystarczą. Pracowity nie umrze z głodu, bo jak poczciwy Ryszard powiada: „głód zagląda tylko we drzwi pracowitego, ale nie wchodzi. Nie wejdzie tam ani wójt, ani komornik: „bo praca płaci długi, a rozpacz je powiększa.“ Nie potrzebujesz ani znajdować skarbu, ani brać dziedzictwa po bogatym krewnym; pilność jest matką szczęścia, Bóg pilnemu towarzyszy. Kiedy próżniaki śpią,

ty órz głęboko ziemię, a będziesz miał zboże i na własny użytek i na sprzedaż.“

Pracuj, póki dzisiaj, bo jutro doznasz może przeszkody; dobrze więc mówi poczciwy Ryszard: „Jedno dzisiaj jest lepsze, niż dwa jutra; co masz uczynić jutro, uczyń dzisiaj.“ Gdybyś był służącym, a Pan cię zastał próżnującym, czyżbyś się nie wstydził? Kiedy więc jesteś własnym swoim panem, rumień się zawsze, gdy się ujrzysz bez zatrudnienia: wspomnij na obowiązki, jakie winien jesteś sobie, familii, ojczyznie i dobremu Królowi. Zrywaj się z jutrzenką, niech cię nie zastanie w łóżku wschodzące słońce! Nie bierz się do roboty w rękawiczkach; pamiętaj, co mówi poczciwy Ryszard: „że kot w rękawiczkach nie złapie myszy; zły to ptak, co ze szpony upuści.“ Być może, że cię wielka czeka praca, że może nie stanie ci siły; ale bierz się do niéj z odwagą, a zobaczysz, czego dokażesz: „krople wody wydrążają kamień, mysz przecina linę, a pod małémi ciosami upadają wielkie dęby;“ tak mówi poczciwy Ryszard w Almanachu, z którego roku, nie pamiętam.

Wiem, że który z was powie: jakto, czy już nie wolno mieć człowiekowi kilka chwil odpoczynku? — odpowiem wam, przyjaciele, słowy Ryszarda: jeśli chcesz mieć odpoczynek, używaj swego czasu dobrze; czas płynie, jak woda na młynie; we sto koni tego nie dogonisz, co moment opuścił.“ Odpoczynek przeznaczony jest zawsze na coś użytecznego: człowiek pracowity, zawsze go oszczędzi; leniwy, nigdy; dobrze więc poczciwy Ryszard mówi: „że żyć w odpoczynku, a żyć w lenistwie, są dwie rzeczy wcale od siebie różne.“ Czy rozumiesz, że próżnowanie więcéj cię pokrzepia niż praca? bynajmniéj; poczciwy Ryszard mówi: „że troski są skutkiem lenistwa, a cierpienia skutkiem bezużytecznego odpoczynku.“

Wielu chciałoby żyć z swego tylko dowcipu, nie z pracy; nieszczęściem mało mają zapasów. Przeciwnie praca przynosi zawsze pociechę, obfitość i poszanowanie: „uciekaj od zabaw, a będą cię gonić — pilnéj prządce koszuli nie braknie — kiedy mam owcę i krowę, każdy mi powiada: dzień dobry.“ Tak utrzymuje poczciwy nasz Ryszard.

Obok pracowitości powinniśmy być jeszcze wytrwali, odważni i starowni; własnémi na własne sprawy patrzeć oczyma, i nigdy się bardzo nie spuszczać na drugich; bo jak poczciwy Ryszard mówi: „i kamień na miejscu obrasta,“ a daléj: „trzy razy się przenosić, jest to samo, co raz pogorzeć — pilnuj swego sklepu, a sklep pilnować cię będzie — jeśli chcesz dobrze sprawić interes, sam idź; jeśli chcesz źle, poślej kogo innego — pańskie oko konia tuczy — brak starania więcéj nam

szkodzi, niż brak nauki — nie doglądać czeladzi, jest otwierać im własny worek.“

Za wielka w drugich ufność, naraża na straty, bo jak Almanach mówi: „w sprawach światowych człowiek się ocala nie przez wiarę, ale przez brak wiary.“

„Chcesz mieć wiernego sługę, służ sam sobie.“ Poczciwy nasz Ryszard radzi być przezornym w najmniejszych nawet okolicznościach, albowiem: „małe zaniedbanie, sprowadza wielkie nieszczęścia“ — dla braku gwoździka, tracisz podkowę — dla braku podkowy, tracisz konia — dla braku konia, tracisz w bitwie jeźdźca, zabije go nieprzyjaciel; a całego nieszczęścia co przyczyną? brak gwoździka u podkowy. —

Tyle mi wypadało mówić, moi przyjaciele, o pracy i dbałości na własne interesa; teraz, żeby praca pomyślny odebrała skutek, potrzeba o s z c z ę d n o ś c i; kto nie umie oszczędzać w miarę zarobku, umrze bez grosza, chociażby całe życie ślęczył nad robotą. Poczciwy Ryszard mówi: „że po tłustéj kuchni, chudy testament. — Jeśli chcesz być bogatym, nie tylko zarabiaj, ale i oszczędzaj: wiédz o tém, że kiedy raz gody, to drugi raz głody.“ Nie zbogaciły Hiszpanii Indye, bo jéj wychód większym był od przychodu.

Porzućcie więc kosztowne rozrywki, a nie będziecie się skarzyć, ani na ciężkie czasy, ani na uciążliwość podatków, ani na liczną familią. Stroje, wino, gra i oszukaństwo, są przyczyną, że nasz majątek zawsze za szczupły, a potrzeby za wielkie; „jeden zły nałóg kosztuje więcéj, niż wychowanie dwojga dziatek.“ Sądzicie może, że szklaneczka kiedy niekiedy herbaty lub ponczu, lepszy obiadek, cieńsza suknia i mała jaka rozrywka, nie są rzeczami tak wielkiéj wagi; ale pamiętajcie, co mówi poczciwy Ryszard: „z małych ziarnek powstaje korzec.“ Strzeżcie się małych wydatków: „mała szpara zatapia cały okręt — kto lubi łakotki, wyjdzie na żebraka — głupcy dają biesiady, a rozumni jedzą.“

Zgromadziliście się tutaj na publiczną sprzedaż pięknych sprzętów i drogich świecidełek. Rozumiecie, że te rzeczy przymnożą wam fortuny — nie prawda, nie przymnożą, ale nie jednemu ujmą. Macie nadzieję, że sprzedawać się będą tanio, chcecie więc je kupić za mniéj, niżeli są warte. Ale jeżeli nie macie onych potrzeby, czyż nie będą dla was zawsze za drogie? Przypomnijcie sobie, co mówi poczciwy Ryszard: „jeśli kupisz, co ci niepotrzebne, wkrótce sprzedasz, co ci potrzebne — nim co zapłacisz, zastanów się chwilę — wielu ludzi przyszło do nędzy przez korzystne kupna.“ Nie jestże

więc szaleństwem wydawać pieniądze na zakupienie zgryzoty? Przecież podobne szaleństwa widzimy codziennie przy licytacyach; bo ludzie nie pamiętają na przestrogi poczciwego Ryszarda: mądry, mówi on, uczy się z błędów głupiego, ale głupi zaledwie się uczy z własnych. *Felix, quem faciunt aliena pericula cautum.*

Być może, że człowiek majętny otrzymał majątek w spadku po rodzicach, ale nie myśląc o sposobach, jakim nabyty, rozumiał: „że ponieważ jest dzień, nie będzie nigdy nocy," że każdy mały wydatek nie godzien jest wspomnienia: „Dzieci tylko i głupcy rozumieją," mówi poczciwy Ryszard, „że niepodobna jest roztrwonić dwudziestu szyllingów lub dwudziestu lat." Wybierajcie tylko mąkę ze skrzyni, a nigdy nie przysypujcie, w krótce ujrzycie dno; a kiedy wam studnia wyschnie, wtedy dopiero uczujecie, jak drogą jest woda. Nie byłoby tyle nieszczęść, gdyby ludzie znali następujące Ryszarda prawdy: „chcesz wiedzieć wartość pieniędzy, proś tylko kogo o pożyczenie: bo kto idzie po pożyczkę, równie jak ten, co idzie po dług, idzie po zmartwienie."

5. ZDANIA Z PISMA Śgo.[1]

a) Z ksiąg Przypowieści.

Bojaźń Pańska, początek mądrości: mądrością i nauką głupi gardzą.

Synu mój, nie zapominaj zakonu mego, a przykazań moich niech strzeże serce twoje.

Miłosierdzie i prawda niech cię nie opuszczają; napisz je na tablicach serca twego: a najdziesz łaskę i rozum dobry u Boga i u ludzi.

Błogosławiony człowiek, który znalazł mądrość, i który obfituje w roztropność.

Nie wadź się z człowiekiem bez przyczyny, gdy on tobie nic złego nie uczynił.

Nie zajrzyj człowiekowi niesprawiedliwemu, ani naśladuj dróg jego.

Idź do mrówki, leniwcze, a przypatruj się drogom jéj, a ucz się mądrości.

Sześć rzeczy jest, których nienawidzi Pan, a siodmą brzydzi się dusza jego: oczu wyniosłych, języka kłamliwego, ręku

---

1) Tłumaczenie polskie tak nazwanéj Wulgaty, to jest przez Kościół katolicki zatwierdzonego przekładu na łaciński język przez Śgo. Hieronima, zostało dokonane przy końcu 16go wieku pracą Jakóba Wujka, † 1597. Tłumaczenie to od wszystkich znawców wysoko cenione, dotychczas w kościele naszym jest używane.

przelewających krew niewinną, serca wymyślającego myśli złośliwe, nóg prędkich na bieżenie ku złemu, świadka fałszywego, który mówi kłamstwo, i tego, który sieje rosterki między bracią. Bojaźń pańska nienawidzi złości; pychą i hardością i drogą złą i usty dwujęzycznémi brzydzę się.

Mądry syn rozwesela ojca, a syn głupi smutkiem jest matce swojéj.

Kto miłuje karność, miłuje umiejętność; ale kto nienawidzi strofowania, głupi jest.

Kto strzeże ust swoich, strzeże duszy swojéj; lecz kto nierozmyślny jest ku mówieniu, poczuje szkody.

Kto czyni krzywdę ubogiemu, urąga Stworzycielowi jego, a czci go, kto ma zmiłowanie nad ubogim.

Odpowiedź łagodna uśmierza gniew, ale mowa przykra pobudza.

Serce mądrego szuka nauki, a usta głupich karmią się nieumiejętnością.

Cóż pomoże głupiemu, że ma bogactwa, gdy mądrości kupić nie może?

Dla zimna leniwiec orać nie chciał, przetoż będzie żebrał w lecie, a nie dadzą mu.

Kto się kocha w używaniu, w niedostatku będzie: kto miłuje wino i tłuste kąski, nie zbogaci się.

b) Z Ekklezyastyka.

Wszelka mądrość od Pana Boga jest.

Temu, kto się Pana boi, będzie się dobrze działo na ostatku, a w dzień śmierci swéj będzie błogosławiony.

Kto czci ojca swego, doczeka się pociechy z dziatek.

Synu, nie odejmuj jałmużny ubogiemu, a oczu twoich nie odwracaj od ubogiego.

Synu, pilnuj czasu, a strzeż się złego.

Nie wstydź się bliźniego twego w upadku jego.

Nie bądź prędkim w języku twoim, a niepożytecznym i niedbałym w uczynkach twoich.

Nie mów: zgrzeszyłem, a cóż mi się złego stało? albowiem Najwyższy jest cierpliwy oddawacz.

Nie omieszkuj nawrócić się do Pana, a nie odkładaj odednia do dnia, nagle bowiem przyjdzie gniew jego, a czasu pomsty zagubi cię.

Jeśli nabywasz przyjaciela, przez doświadczenie go nabywaj, a nie łacno mu wierz.

Wierny przyjaciel jest mocna obrona, a kto go znalazł, skarb znalazł.

Odstąp od nieprawego, a odstąpi złe od ciebie.

Lepszy jest człowiek bogobojny, któremu schodzi na mądrości i niedostaje rozumu, niźli który ma dosyć rozumu, a przestępuje zakon Najwyższego.

Człowiek mądry będzie milczał aż do czasu słusznego.

Nieobyczajnéj mowie niechaj nie przywykają usta twoje, albowiem w niéj jest słowo grzechu.

Czegoś w młodości swéj nie zgromadził, jakoż w swéj starości znajdziesz?

Nie powinieneś bardzo lubić spania, bo ubogim łatwo zostać możesz; otwieraj oczy, a będziesz miał dostatek chleba.

Mądrość tyle ma przewagi nad głupstwem, ile światłość nad ciemnością.

Głupiec, kiedy milczy, ma tę korzyść, iż może za rozumnego uchodzić.

6. NIEKTÓRE ZDANIA I PRZYSŁOWIA GÓRNICKIEGO[1] I FREDRY.[2]

Za cnotliwe sprawy, sama cnota hojną jest zapłatą.

Nic nie sprawi, kto serca niema.

Z jednego błędu, wiele ich urośnie.

Nasz Polak, by jedno kęs z domu wyjechał, wnet niechce inaczéj mówić, jedno tym językiem, gdzie troszkę zamieszkał.

Niema się co podobać, kiedy kto, mając własne polskie słowo, pożycza na jego miejsce z cudzego języka.

Nauki błogosławiony czynią żywot nasz.

Nasz język polski rychłoby urosł, gdybyśmy się go rozmiłowali.

Nauka na złe nie radzi.

Męztwo zda się większe, kiedy skromność jest przy niém.

Każdy wiek człowieczy inne myśli przynosi z sobą.

---

1) Jednym z celniejszych 16go wieku pisarzy jest bez wątpienia Łukasz Górnicki, tykociński i wasilkowski starosta. Żył on i pisał za czasów Zygmunta Augusta i późniéj; umarł zaś pod Zygmuntem III. r. 1591. Proza jego jest najpoprawniejsza z pism owego wieku, a zdania i ważne myśli w dziełach jego rozsiane, okazują rozum obszernémi wiadomościami oświecony. Pisał: 1. Dzieje w koronie polskiéj. 2. Dworzanin polski. 3. Rozmowa o elekcyi, etc.

2) Andrzéj Maxymilian Fredro żyjąc w czasach nader dla Polski nieszczęśliwych, równie w publicznem jak w prywatném życiu umiał być dobrym i cnotliwym obywatelem. Roztropny radą, nieujęty żadném przekupstwem ani groźbą, hojny w nakładach dla dobra publicznego, tę dla siebie pochwałę zyskał, iż go za wzór dobrego obywatela stawiano. Kochał nauki, światła swego przez pisma drugim udzielał. Pomiędzy innémi pisał polacinie: Historya narodu polskiego pod Henrykiem Walezyuszem (*gestorum populi poloni sub Henrico Valesio*). Przysłowia albo przestrogi obyczajowe, radne, wojenne, w Krak. 1660. Umarł Wojewodą podolskim roku 1679, za panowania Jana Sobieskiego.

Kto w młodości powściągliwie żyje, ten miewa starość niezemdlałą.
Dziatki oddają dobrodziejstwa, wzięte w dzieciństwie, rodzicom swoim starym.
W złe serce duch Boży nie wchodzi.
Wszystko niechcącemu trudno.
Nie kto siła umie, ale kto umie co potrzeba, dość mądry.
Bardziéj się bój jednego, kogo urazisz, niżeli się posiłku spodziewaj od dziesięciu, którym dobrze uczynisz; bo tamten bardziéj myśli o zemście, niż ci o pomocy.
Miła praca, lubo trudna, póki nie daremna.
Spokojna myśl, największe ludzkie szczęście.
Czystemu sumieniu wszystko czyste.
Chcesz być tak szczęśliwy, jak ten, co najwięcéj ma? nic nie pragniéj, jakbyś wszystko miał, kiedy więcéj nie potrzebujesz.
Mieć dosyć, nie u fortuny, ale w naszéj jest mocy.
Nie lat, ale obyczajów sędziwość poważna.
Nie śmierci złych nam potrzeba, ale poprawy.
Żaden ochotniéj się nie ofiaruje, jako kto słowo rad łamie.
Gdy siła czynisz, mów o tém mało; twoje sprawy niech kto inszy widzi.
Piękny żart, kiedy bez szkody.
Kto się na swój rozum zupełnie spuszcza, pyszny raczéj, a nie mądry.
Najpiérwszy wstęp do niecnoty, nieprawda.
Kamień próbuje złoto, złoto cnotę.
Długo myśl, prędko czyń.
Cnota najwspanialsze szlachectwo.
Nie dopuszczaj się wkorzeniać złemu; co dzisiaj łatwo wyrwać możesz, jutro siłą nie wyważysz.
Nie uraziwszy, nie uleczysz rany.
Do mówności, a nie do rozumu należy, wielą językami mówić, kto jednym mówi rozsądnie, jakby wszystkie umiał.
Za tysiąc świadków, samo sumienie.
Kto się wiatrem karmi, nie utyje.
Zła fortuna to przynajmniéj ma dobrego, że rozumu nauczy, a przyjaciela pokaże.
Drogo kupuje, kto niepokojem dokłada.
Próżnujący najwięcéj ludziom przyganiają; będąc bez własnéj zabawki, tém czas trawią, aby cudze sprawy szacowali.
Jałmużna nie zuboży, prawda nie ohydzi, statek nie oszpeci, msza nie opóźni.
Dość z siebie czyni, kto wykonywa, co może.
Prawdy a żartów, jako soli zażywaj, bo często przesolisz.

Kto się nie douczy albo przeuczy, szkodliwszy bywa nad prostaka.

Dość się dobrym upodobać.

Kto o kim przed tobą, pewnie o tobie przed drugim.

Którzy Polacy Polskę ganią, tacy ją najprędzéj zgubią; kto co gani, tego nie kocha; czego nie kocha, o to nie dba.

Kto o pospolite dobro nie dba, swoje prywatne na szańc wydaje.

Tak z niektórymi, jako z cierniem postępować; nie ocierać się, bo albo zagabnie, albo obrazi. Najlepiéj takich pomijać.

Kształtna wymówka przy łagodności, pozorniejsza czasem, niż zmarszczony datek.

Plotków i pochlebców zażywają drudzy, jako potrzebnéj na czas do umiatania miotły, którą potém w kąt zarzucą.

Małe dobro, wielkiego złego nie przykrasi: małe złe wielkie dobro zepsuje. Dosyć garści piołunu na zepsowanie beczki napoju.

Łagodność, przy cnocie i cichości, wszystkiego dokaże.

Dzień jutrzejszy, ma zawsze co poprawić.

Porada albo przestroga jak ziarno; taki owoc wydaje, na jaką ziemię padnie.

Ten rzeczy trudnych nie dostąpi, kto wielkość ich zrazu na zbyt uważa; najprędszy dokazania sposób, co masz robić, prędko zaczynać, kęs do kęsa dodawać.

Dobrodziejstwa powinny być nakształt deszczu, nie nakształt powodzi; deszcz częsty pomaga i odwilża ziemię, powódź wnet spłynie i ustanie.

Oszczędzaj swoje, żebyś cudzego nie pragnął.

Niektóre rzeczy przyjemniejsze są w oczekiwaniu, niż w dostąpieniu; otrzymane, smak i pozór tracą.

I największy wydatek nie jest żałosny, kiedy na to wydajesz, co właśnie potrzeba. Miéj za stracone, co na to łożysz, bez czego się obejść możesz.

Wielka niesłuszność oczekiwać przyjaźni od tego, kogo nie zobowiążesz, owszem urazisz. Nie chce się głaskać tego, co kąsa.

Woli drugi nędzne próżnowanie, niż pracę dostatnią.

Na siebie prawo stanowi, kto po drugich dobrego wyciąga.

Nie to chwal, co kochasz; ale to kochaj, co chwały jest godne.

W jednéj sprawie dwoma nie puszczaj się gościńcami, bo żadnym nie dójdziesz.

Lepiéj jest swoje stracić, niż cudze niesłusznie zyskać.

Prędzéj tych słuchamy, których kochamy; niż tych, których się boimy.

Nim co zaczniesz, uważaj, jaki tego ma być koniec.

Zdania z dawnych i nowszych Pisarzy.

Usta zamknięte a oczy otwarte, wiele dobrego są warte; to jest, kto mało mówi, a wszędzie się ogląda, ten wiele dobrego zrobić może.

Źle jest, kto miłosierdziem więcéj niż sprawiedliwością sławnym być woli, albowiem kto złemu przepuszcza, dobremu krzywdę czyni.

Jako ty rodzice twoje, tak cię uczczą dziatki twoje.

Przeszłéj rzeczy nie żałuj, niepodobnéj rzeczy nie wierz, o nierówną się nie kuś, tedy sobie głowy nie sfrasujesz.

Gardzić się nikim nie godzi, bo i najpodlejszy uszkodzi.

Każdemu to gospodarstwo najpotrzebniejsze, aby rozchód nie uprzedzał dochodu, bo gospodarstwo największe nie pomoże, kiedy złe szafarstwo.

Kto w żniwa patrzy chłodu, | Kto w lecie próżnuje,
Nacierpi się w zimie głodu. | W zimie głód poczuje.

Kto raz miłego wstydu przeskoczy granice,
Ten już zawsze mieć będzie niewstydliwe lice.

Miło tam patrzeć, gdzie w nadobném ciele
Cnota z rozumem gniazdo sobie ściele.

Ukrzywdzonemu szkoda nagrodzić się może, ale łzy nigdy.

Poznać wnet z mowy, | W najdotkliwszéj przygodzie,
Jakiéj kto głowy. | Pan Bóg stoi w odwodzie.

Żyj ojczyznie, przyjaciołom,
Oddadzą cześć twym popiołom!

Smaczniejsza garść grochu przy cnocie,
Niż występne biesiady na srebrze i złocie. (Trembecki.)

Czas swém berłem z ołowiu zarówno dotyka
Kmiotka z władzcą potężnym, z mężem nikczemnika;
A odarłszy ich z nędzy, wielkości lub siły,
Stawia drżących u kresu śmiertelnéj mogiły. (Wężyk.)

Przykre żarty nie zawsze uchodzą na sucho,
Póty dzban wodę nosi, aż się urwie ucho. (Goreczyczewski.)

7. PRZESTROGI DANE SYNOWI.

Religia jest najpiérwszą rzeczą, którą ma mieć w myśli prawy człowiek; wszystkie inne rzeczy przemijają, ta trwa, w szczęściu uśmierza, w przygodzie cieszy.

Udzielaj majątku potrzebnym; szafarzami jesteśmy tego, co nam Bóg użyczył. Co się więc nad naszę mierną według

stanu potrzebę zostanie, miéjmy za dług, a tych, którzy nie mają, za dłużników.

Nie dość jest dać, umiéj dobrze dawać; a dasz dobrze, gdy z roztropnością dobrodziejstwa szafować będziesz; uczynisz zaś to, dając w czas i w miarę tym, którzy prawdziwie są potrzebnymi.

Pamiętaj na zdanie szacowne jednego prawego męża: dobrze czyniąc innym, sobie łaskę wyświadczasz; milsze jest czucie prawemu sercu gdy daje, niż gdy bierze.

Kochaj się w nauce, bo ta się w każdym czasie przyda, a nigdy nie odstąpi: cokolwiek inne rzeczy zdatności mają, w niéj się to wszystko zamyka. Nauka matką jest wszelkiéj pociechy, ale płodem cierpliwości i pracy. Jest szacowna, ale nie łatwa: w doskonałym zaś stopniu tak rzadka, iż im bardziéj ją poznasz, tym więcéj czuć będziesz, jak wiele ci jeszcze nie dostaje. I w naukach i w każdéj porze życia, bez pracy i cierpliwości nic się stać nie może; bez bicia w skrzydła ptak nie podleci: kruszce głęboko w ziemi, a perły w morzu są na dnie.

Blask bogactw wzrok słaby ślepi; niech się twój nim nie zaraża; ile możności o nic nie proś; tak więc pracuj, abyś nie prosił. A gdy cię do tego stanu, mimo usiłność twoję, nieszczęście przywiedzie, umiéj odbierać dobrodziejstwo z uczuciem, ale bez podłości; a oddaj w dwójnasób, skoro się na oddanie zdobędziesz. Na tém szczęście życia zawisło, aby być w pokoju, i przestawać na swojém; ten, który nas na tym świecie osadził, wie lepiéj niż my, czego nam potrzeba.

Złoto nasycić nie może, i owszem pragnienie zwiększa; pocóż to gromadzić, czego nigdy dosyć mieć nie można.

Siéj pieniądz, nie zejdzie jak zboże, ani nakarmi: lepiéj się więc do pożytecznego w rólnictwie rzemiosła udać, niż złotem fymarczyć; towar ten z istoty na nic się nie zda, a utrac e co moment podległy.

W obietnicach nie trzeba być skorym, słowo rzeczone nie wraca się, a niedotrzymane zawstydza.

Strzeż się być żartobliwym, rzadko to na dobre wychodzi: żartownik jest zwierzę powabne, ale zjadłe. Lepiéj stracić swój koncept, niż cudzą sławę.

Żart takim być powinien, iżby mógł po nim szczerze rozśmiać się ten, z którego żartowano.

Jeżeli cię gniew uwiedzie, zastanów się i zważ, czy jest słuszny? Jeżeli nie jest, poco się gniewać? jeżeli jest, wspanialéj przebaczać, niż brać zemstę.

Strzeż się mieszać w cudze sprawy, bo sobie rzadko, a prawie nigdy drugim nie dogodzisz.

Szanuj sprawiedliwość, ale się z nią nie brataj; czasem i wygrana sprawa uboży, cóż gdy ją przegrasz? Ten, co pieniactwo lubi, godzien politowania; choćby bowiem innéj przykrości nie miał nad bojaźń ustawiczną, nieszczęśliwym jest.

Czcij dwory, ale z daleka: nie zanoś skarg do przełożonych, chyba w ostatniéj potrzebie; lśnią się progi pańskie, ale jak błyskawica, po któréj piorun trzaska.

O urzędy i stopnie wysokie nie zabiegaj: a maszli to czynić, sam się wprzód osądź, żebyś zaufania cudzego nie zawiódł, i siebie na wstyd nie podał. Dobra jest rzecz krajowi służyć, ale dobrze służyć potrzeba.

Strzeż się zbytniéj poufałości nawet i z przyjacielem. W zajemne poszanowanie zagradza z lekkich czasem przyczyn poróżnieniom, z których się niekiedy i przyjaźń zrywa. W każdym stanie i czasie dobra ostrożność, bo jest skutkiem roztropności; niech jednak przesadzona na fałsz nie zarywa.

Otwartość zbyteczna nie jest chwalebną: w obojętnych rzeczach może uchodzić, ale w ważnych strzedz się jéj potrzeba, najbardziéj zaś u dworu; źle się tam odkrywać, gdzie oczy zbyt bystre. Najlepszy byłby sposób dochowania sekretu, nikomu go nie powierzać; są jednak okoliczności, iż się bez tego obejść nie można, a naówczas dobrze się nad tém trzeba zastanowić, kogo ku takowemu powierzeniu obrać.

Dowierzanie zbytnie i przeciwnym sposobem niedowierzanie, równą szkodę przynoszą; jak piérwsze zbyt ludzi czerni, tak drugie nadto ich uwielbia; nie trzeba wierzyć ślepo i iść za radą, siebie się samego nieporadziwszy; w ciemnościach dobrze iść przy cudzém świetle, bezpieczniéj zawsze mieć swoje na pogotowiu.

Wdzięczność rzadki przymiot na świecie; nie dziwuj się, że ci się kto nie wypłaci, raczéj temu, iż czułego znajdziesz.

Pochlebca wzgardy godzien; kto się podłego tego rodzaju ludzi nie strzeże, źle o sobie tuszyć każe. Pochlebstwem zysk zawsze włada: nie daj im nic, pójdą od ciebie, i znajdą takiego, kto im da, bo głupich pełno.

Jeżeli mówić masz, mów tak, abyś nie żałował, żeś usta otworzył. Są rozmowy do zabawy, są do nauki; w piérwszych można się niekiedy rozszerzyć, w drugich lepsza jest zwięzłość. Jeżeli zająkanie jest przykrością, jest i dobrem, gdyż każe się zastanowić przed mową i w mowie; nie żleby to było, iżby się królowie zająkali.

Pijaństwo jest rzeczą sprosną, zelżywą; nie tylko pijaka trzeźwi, ale i zwierzę zawstydza.

Strzeż się długów; mól, raz rozpleniony, wszystko pożrze.

Nic bardziéj nie upodla, nad kłamstwo: kto ma ten nałóg, na zawsze, choćby się i poprawił, wiarę traci.

Szczęśliwy ten, który na szali roztropności przychód z wydatkiem mierzy. (Krasicki.)

8. NAPOMNIENIE.

O Perseuszu, bracie kochany! korzystaj z napomnienia mojego: imaj się sprawiedliwości, brzydź się gwałtem, bo najwyższy z bogów prawym być każe. Niech się ryby, dzikie zwierze, zjadłe ptastwo pożerają, gdyż im sprawiedliwości ujęto, ale my, którym ją dały nieba, czcijmy ją ściśle; ten, który zna jéj szacunek, i głosi drugim jéj zaszczyt, będzie błogosławiony. Łatwa rzecz jest udać się za przestępstwem, spadek ślizki, rzecz na podoręczu, ale pot czoła położyli bogowie przed cnotą, i droga, która do niéj prowadzi, długa i przykra; jednakże najciężéj piérwsze wzgórki przebyć, gładzi się droga ku wierzchołkowi.

Najdoskonalszy człowiek jest ten, którego mądrość prowadzi w każdém działaniu i kroku, który wprzód uważa, niż działa; i wie, co rozpocząć, a co na czas dalszy odłożyć należy. Daje się dobréj radzie powodować mąż prawy, ale ten, który i działać nie umie, i dobréj rady słuchać nie chce, niepotrzebnym jest ziemi ciężarem. Ty więc, Perseuszu, na mój wzór i napomnienie miéj baczność, a tak pracuj, iżby cię głód nie nawiedził, a Ceres napełniła dostatkami gumna twoje; głód albowiem wiernym jest towarzyszem człowieka gnuśnego; obmierzłym on jest niebu i ziemi, a na wzór podłego trutnia, który żądła niema, tuczy się pracą roboczych pszczółek. Człowiek pracowity widzi coraz mnożące się stada swoje i obfitość nieustającą w domu. Ma wzgląd Bóg na jego staranie, a ludzie go kochają. Wzbudza gnuśnych do naśladowania pomyślności jego, mnożą się dostatki, sława i wziętość, staje się podobnym niebianom, zazdrości nie zna, od nikogo wsparcia nie potrzebuje. Towarzyszy wstyd ubogiemu, złe on i dobre może mieć skutki; dobre, jeżeli ku pracy wiedzie; złe, jeżeli do gwałtu na złupienie majętniejszego przywodzi. Karze najwyższa sprawiedliwość gwałcicieli, i nie długo z kradzieży swojéj korzystają: bezprawie to równa się największym występkom, które człowiek popełnić może.

Strzeż się go, Perseuszu, a czyń skruszoném i czystém od zmazy sercem bóstwom ofiary; ponawiaj je, gdy się do snu

zabierasz, zacząwszy wielbić od piérwszego zorza. Wzywaj na ucztę przyjaciół i sąsiady, a takich najbardziéj, których uprzejmości i prędkości w usłudze doznajesz. Skarbem jest najszacowniejszym cnotliwy sąsiad, zły rówien powietrzu. Jeżeli cię cudza uczynność cieszy, ciesz twoją cudzego: a gdy idzie o zawdzięczenie, przebierz miarę naówczas.

Strzeż się nieprawych zarobków; z czasem na nich stracisz: kochaj tych, co cię kochają; wzmagaj wzmagających; daj tym, co ci dają, prawo to przyrodzenia. Dar cnoty jest działaniem: kto sam z siebie, z dobroci daje, w radosném uczuciu bierze nagrodę; ten, co bierze sam, karze się wewnętrznym niepokojem. Pomału mnożąc, przyjdziesz do wiela; co w domu osiędzie, prędzéj się znajdzie: co za domem, bardziéj stracie podlega. A nakoniec, jeżeli chcesz być majętnym, pamiętaj na to, iż nie dosyć jest pracować, ale ustawicznie pracować trzeba. (Z dzielka Hezyoda: Roboty i dni, tłum. Krasickiego.)

9. NAPOMNIENIE DRUGIE.

Unikaj, ile możności, towarzystwa z tymi, którzy szydzą z najświętszych prawideł wiary, głosząc je czczémi przesądami; którzy udają z chlubą, że nie znają żadnéj religii. Gardź tym szalonym głupcem, który po tylu oświeconych wiekach, po tylu wielkich mężach, zuchwale mniema, że od niego dopiero zaczyna się punkt rozumu i światła; dochowaj wiary ojców twoich, a dopełniając świętych i czystych moralności prawideł, przenikając serce głębokiém uczuciem wszechmocności, miłosierdzia i sprawiedliwości najwyższego Jestestwa, oddawaj mu stale i z pokorą winny hołd od stworzenia: w tém jedném uczuciu znajdziesz pewną ucieczkę, znajdziesz rozrzewniającą pociechę w każdém dla ciebie strapieniu.

(Z wyprawy na wojaż Szymanowskiego, zob. wyżéj str. 193.)

10. UWAGI Z DOŚWIADCZENIA.

Bajrach, mędrzec wschodu, zapisywał w kalendarzu ważniejsze zdarzenia i uwagi: po śmierci znaleziono w nim co następuje: „Jakem osiadł na wsi, a nigdy przedtém w niéj nie mieszkałem, i o wiejskiém życiu z książek tylko wiedziałem, jak jest zabawne i słodkie, rozumiałem, iż każdy strumyk będzie mruczał i po kamyczkach spadał; iż wszystkie drzewa cień roskoszny będą mi dawać rozłożystością gałęzi swoich, iż pasterze i pasterki, przybrani w wieńce; będą śpiewać pieśni Saadego.“ [1]

„Był u mnie wczoraj syn naszego Kadego, najstarszy, któ-

1) Zob. wyżéj str. 77.

ry powrócił z nauki: na wszystko do razu odpowiada; znać, że głupi.“

„Wszedłem raz, będąc w Benarez, do świątyni; i gdym się dziwował niezmierności posąga Bramy bożyszcza, rzekł do mnie staruszek Achar, który w przysionku siedział: posągi i ludzie, gdy są wzniesieni, wcale się przeciwnie wydają. Posągi, im bliżéj przystąpisz, większe obaczysz; do ludzi im bardziéj się zbliżysz, tym mniejszych znajdziesz.“

„Będąc w szkołach, napisałem wiersze na pochwałę mistrza Tojuba: gdym mu je przyniósł, przeczytał, uśmiechnął się, podziękował i pytał: czym pisał kiedy podobne dzieła? rzekłem, iż to trzecie. A drugie dwa dla kogo były? — Jedno dla rządzcy miasta, drugie dla twego kolegi Hatyba. Zmarszczył się na to i odszedł; a gdy go się wkrótce moja matka pytała, jaki czyniłem w naukach postępek? radził, aby mnie oddała w rzemiosło.“

„Żeby zyskać, jedni mówią: trzeba cnoty; drudzy: trzeba rozumu; a doświadczenie: nieczułości na nieszczęście; podobno prawdę powiada.“

„Kiedym się zaczął wsławiać, czułem jednakże moję niedostateczność. Jakem wszystkich przeszedł, poznałem, że nic nie umiem.“

„Pytał mnie mój sąsiad Duchar, przypatrując się ryżowi, który u mnie bujno wschodził, a u niego ledwo się źdźbła pokazywały, zkąd ta różnica? Ztąd, odpowiedziałem, że ty wstajesz o godzinie siódméj, a ja o piątéj.“

„Nie mógłem mojéj żony odzwyczaić od wierzenia w sny: zdało się jéj, iż widziała ogień, i zaraz przyszła do mnie, powiadając, iż będzie trzeba przydać do stołu kilka półmisków, bo goście przyjadą. Oczekiwaliśmy godzinę, jednę i drugą, nakoniec aż do wieczora, i nie przyjechali, a jam się śmiał. Rozumiałem zatém, iż przestanie snom wierzyć. Nie stało się tak, i owszem sam słyszałem, jako powiadała sąsiadce, iż jechali goście, alem ja ich umyślnie zwrócił.“

„Gdy przyszedł czas starszemu synowi memu obmyślić stan, długo namyśliwałem się, czy go oddać do szkół? Oddałem do introligatora; lepiéj księgi oprawiać, niż pisać.“

„Gdybyśmy te tylko dni w liczbie wieku naszego kładli, w których bylibyśmy zupełnie kontenci, niewiem, czyby choć i najstarszy roku doszedł.

„Wiadomości nasze podobne są do wzgórków, na te gdy wstępujemy, rozumiemy, iż wyższych niemasz; gdyśmy na nich, postrzegamy wyższe, na które znowu piąć się trzeba.“

„Śmiech mnie czasem bierze, kiedy sobie przypominam,

żem pisał o gospodarstwie, niepostawszy na wsi; teraz gdy na niéj siedzę, a roztrząsam, com dawniéj pisał, przyznać muszę, iż więcéj warta ćwiartka doświadczenia, niż arkusz spekulacyi. Toż samo trzymać należy o moich księgach nauki rządu: potrzeba znać ludzi, żeby dawać prawidła, jak nimi powodować: ludzie, zawarci w bibliotekach, całe niezdatnymi są do tego.“

„Że się u mnie bardzo smaczna marchew rodziła, posłałem ją do miasta mojemu przyjacielowi; gdym go potém odwiedził, powiedziałem, iż dla tego mu ją posłałem, żem sam nigdy tak smacznéj nie jadł. Zaprosił mnie na obiad, i gdy przyniesiono marchew, znalazłem tak, jak zawsze, smak w niéj przedziwny, i pytałem gospodarza, jeśli mi tego nie przyzna? dziękuję, rzekł, iż i moję chwalisz; i natychmiast znalazłem, iż nie miała smaku. Nie z marchwi widzę on pochodził, ale z tego podobno, iż dowiedziałem się, że nie była moją.“

„Znalazłem na wsi dom z trzciny i zazdrościłem sąsiadowi, iż miał z kamienia; przyszło owo pamiętne trzęsienie ziemi, o jakiém dawniéj i wieści nie było: gdy uciekał z swego domu kamiennego Benar, od upadłéj kolumny zgruchotane miał nogi, jam się zdrów z pod mojéj chróścianéj ściany wydobył.“

„Nigdym więcéj bluźnierstw nie słyszał, jak na wsi; żanemu jeszcze z gospodarzy Opatrzność nie dogodziła: kiedy sucho, wszystko się pali; kiedy deszcz, boją się potopu: zboże tanie, nie będą mieli za co odzienia kupić: zboże drogie, wszyscy z głodu umierają. Zboże buja, tym gorzéj, nie będzie ziarna; zboże nizkie, zdechnie bydło bez słomy; zgoła, czy sucho, czy mokro, czy zimno, czy gorąco, wszystko źle. Choćby się wysiliło w darach swoich przyrodzenie, tak, iżby im zamknęło usta, będą mruczeć pocichu. Dla czego? bo się raz wprawili narzekać, i bez tego obejść się nie mogą.“

„Za moich czasów wielu królów w Indyach panowało; rozumieliśmy, że każdemu z nich na niczem nie brakowało, a przecie wszyscy byli ubodzy; kłócili się albowiem i wojowali z sobą nieustannie, dla tego, iż każdemu z nich było tego potrzeba, co miał drugi.“

„Powiadał mi mój stary przyjaciel Dawlud, iż za jego czasów trawa nawet była zieleńsza; mój przyjacielu, rzekłem, trawa jest taką, jak była, ale twój wiek był zieleńszy.“

„Ma wieś swoje wdzięki, ale też ma swoje niewygody, troski niepoślednie. Zły sąsiad, choć ze trzech stron byli dobrzy, czwarty mi spokojność zepsuł. Pozwał mnie do sądu o to, żem mu wodę do moich rowów zabrał. Stanąłem u sądu, pokazałem dowody jawne mojego usprawiedliwienia, zyska-

łem dekret. Powołał wyżéj, i tam wygrałem; jak zaczął coraz wyżéj powoływać, najwyżéj, bo miał pieniądze, wygrał.“

„Nawiedził mnie z miasta przybyły mój przyjaciel Hamid, bo mu powiedziano, że mnie złodzieje okradli, i przyniósł trzos z pieniędzmi: podziękowałem za chęć jego poczciwą. Po różnych rozmowach pytał, co robię na wsi? Rzekłem: rano wstaję, chodzę w pole, roli dozieram; gdy wschodzi ryż, na wzrost jego patrzę; gdy dojrzewa, zbieram; gdy zbiorę, część przedaję, drugą ku wyżywieniu mnie i moich ludzi chowam; toż samo w każdéj części gospodarstwa. To się nudzisz, odpowiedział, gdy raz wraz toż samo powtarzasz. A ty co robisz w mieście? pytałem nawzajem Hamida. Ja, rzekł, wstaję według zamiaru, który sobie na dzień cały założyłem: gdy wstanę, idę do mojego sklepu, przedaję; idę potém na targ, kupuję, zamieniam, oglądam: wróciwszy do domu, jem obiad, po obiedzie spoczywam, po spoczynku idę do sklepu; gdy ten zamknę, odwiedzam przyjaciół, przechadzam się i wracam do siebie. To się nudzisz, rzekłem, raz wraz jedno czyniąc. Zgodziliśmy się nakoniec, i przystaliśmy na to, iż nie rzeczy, ale my nie umiejący rzeczy użyć, przyczyną jesteśmy nudności naszych.“

Doświadczenie dobrą jest rzeczą: ale cóż po niém, gdy wtenczas przychodzi, kiedy go już nie potrzeba! „Za Sułtana Abdula ryżu było dostatkiem: pod synem jego Mahmudem ledwo go było można dostać: a wszyscy powiadali, że Mahmud był wielki człowiek i sławny monarcha, bo raz wraz wojował, a ojciec jego nikczemny, bo cicho siedział. Mnie się zdaje, że ten był lepszy, pod którym ryżu było dostatkiem.“ (Krasicki.)

11. PRZYSŁOWIA NARODOWE.

Przysłowia są najpiękniejszémi zabytkami starożytności, i moralnego ukształcenia każdego narodu. Malują one zwyczaje, przesądy i sposób myślenia przodków, w puściznie potomkom zostawione; nadto rzucają wielkie światło na język i dzieje krajowe. Przytaczamy tu niektóre, wyjęte z szacownego dzieła: Przysłowia Narodowe przez Wojcickiego, w Warszawie 1830 r.

Szkoda czasu i atłasu.

Stanisławowi Poniatowskiemu po jego obraniu i koronacyi w r. 1764. ofiarował jeden z miernych poetów wiersze z powinszowaniem, z téj okazyi na atłasie napisane. Uczony Król przeczytawszy te wiersze, nagrodził wprawdzie pracę poety, lecz wyrzekł o nich zdanie: szkoda czasu i atłasu. Słowa te zaczęto powtarzać; poszły więc w przysłowie.

Naucze ja cię tańcować.

Bitwy staczane z Tatarami nazywali nasi przodkowie tańcem, a ztąd początek tego groźnego przysłowia. Marek Sobieski wysełając synów za granicę, taką dał im radę: Uczcie się wszystkiego, oprócz tańca, bo tego nauczycie się dokładnie w bitwach z Tatarami.

Pleść baniałuki.

Jestto mówić nierozsądnie i od rzeczy. Przysłowie to wzięło początek od romansu, wierszem napisanego, pod tytułem: „Historya ucieszna o zacnéj królewnie Baniałuce.“ Zaiste płód ten godzien ze wszech miar podobnego porównania; bo jeżeli wynalazek druku był przyczyną, że i w naszéj literaturze wiele niedorzeczności rozszerzył, to romans ten jest z pomiędzy wielu najniedorzeczniejszym. Jest on oraz dowodem, że i głupstwo unieśmiertelnić się może.

Pacanów, gdzie kozy kują.

Miasto Pacanów, dziś ogórkami sławne, w województwie Krakowskiém, przez jakieś niefortunne wypadki dało początek licznym z siebie urągowiskom. Niedowarzonego, niezgrabnego, a zarozumiałego młodzieńca, nazywano uczniem akademii Pacanowskiéj. Liche zapewne musiały być szkoły, lecz rzemieślnicy doskonali, gdy kozę, robiącą w ogrodzie szkodę, bez skaleczenia okuł kowal; zkąd powstało przysłowie: że w Pacanowie i kozy kują.

Ślósarz zawinił, a kowala powieszono.

Przysłowie to używane wtenczas, gdy niewinny za występnego ukaranym zostanie. W Pacanowie[1] na całe miasto był jeden tylko ślósarz, a dwóch kowali. Ślósarz ukradł konia, złapany, miał wisieć: atoli, ponieważ sam jeden był w mieście, przeto dla publicznéj wygody, chcąc oraz prawu zadosyć uczynić, powieszono niewinnego kowala.

Dosiego roku.

Życzenia Dosiego roku są powszechne w całéj Polsce. Zwyczaj ten zachowany od ojców naszych w uroczystość wigilii Bożego Narodzenia, gdy gospodarz łamiąc opłatki z rodziną swoją i czeladką, życzy każdemu, ażeby Bóg dozwolił „doczekać Dosiego roku“ i nawzajem podobne życzenia odbiera. Blizko Krakowa żyła przed laty Dosia (Dorota), cnotliwa, kochana i szanowana powszechnie; ta, przeżywszy lat 100., w wigilią Bożego Narodzenia zgasła spokojnie. Ztąd wzięło początek przysłowie: Dosiego roku.

1) Podług powszechniejszego mniemania w Osieku, miasteczku w Sandomierskiém — sprawa jak w Osieku.

Modli się pod figurą, a ma djabła za skórą.

Wyraz figura znaczy w tém miejscu obraz Stwórcy, Świętego, lub krzyż prosty drewniany, które pospolicie u nas w Polsce przy wioskach lub na rozstajnych drogach stawiają. Całe to przysłowie określa dokładnie obłudnego świętoszka, co tylko dla oka ludzkiego wznosi modły do Stwórcy, a wewnątrz myśli o zgubie współbraci. Tak go określił Krasicki w jednéj satyrze:

Paweł trzech mszy słuchał,
Zmówił cztery różańce, na gromnicę dmuchał:
Wpisał się w bractwa wszystkie, dwie godziny klęczał;
Krzywił się, szeptał, mrugał, i wzdychał i jęczał,
A pieniądze dał w lichwę.

12. PRZYSŁOWIA MORALNE Stan. LUBOMIRSKIEGO.[1]

a) Człowiek.

Do was mówię, śmiertelni! którzy do doznania stanu człowieka umysłem przystępujecie!.... Oto piérwszy wstęp do żywota, jest piérwszym do śmierci stopniem, wprzód do płaczu, niż do światła rodzimy się... Nędzni! bo na wszystkie przypadki urodzeni; nędzniejsi! bo do występków skłonni; najnędzniejsi, bo ustawiczne do śmierci pielgrzymy. A przecie, jakże wielka w nas jest do próżności i nędzy skłonność? wszystkie rzeczy, za któremi się ubiegamy, do których obracamy nadzieje, są mylne, przypadkowe, niepewne. Niepewne życie, niepewne zdrowie, niepewne dostatki, niepewna sława, niepewny przyjaciel, niepewne potomstwo, niepewna śmierci godzina, nadto — niepewny i pogrzeb. Słowem, na wyrażenie składu wszelkiéj nędzy, prożności i udręczeń, dosyć jest wymówić: człowiek. — Do czegożeśmy się więc porodzili? Zapewne nie do występków, nie do biesiad i roskoszy, nie do uciech i do igrzysk, nie do zbierania dostatków, nie do próżnego zwycięztwa, ani do doczesnéj chwały. Do czegoż więc? Do życia dobrze.

b) Szlachetność człowieka.

Próżnémi ktokolwiek bawi się rzeczami, od istotnych się oddala; a kto niegodne ciało pieści, umysłem pogardza. W umyśle jest szlachetność człowieka, w umyśle panowanie swoje myśl wieczna założyła, ciało zaś za niewolnika obrała; w umy-

---

1) Stan. Lubomirski, Xiąże, Marszałek W. Kor., rodził się r. 1640. † 1702. Dla cnót swoich i męzkiego umysłu, Katonem polskim; dla mądrości, Salomonem nazywany. Mamy po nim pisma w łacińskim i polskim języku; łacińskie przełożył na język polski X. Bohomolec i wydał r. 1771. Zob. wyżéj na str. 191.

śle promień się jakiś bóstwa zamyka. Jeżeli więc chcesz żyć dobrze, strzeż się ciała; w umyśle cały przestawaj, w umyśle prawdziwa jest wolność, niezmyślone szczęście; przez umysł jesteś nieśmiertelnym i blizkim Boga. Umysł zaś udoskonala się czynieniem sprawiedliwości, zachowaniem pobożności, deptaniem pychy, strzeżeniem skromności, darowaniem uraz, bronieniem prawdy, wspomaganiem potrzebnych, lekkoważeniem niebezpieczeństw, życiem na śmierć zawsze gotowém. Cwiczże się w tych rzeczach, a żyć będziesz dobrze. Więcéj rzekę: błogosławionym zostaniesz.

c) Sprawiedliwości.

Żeby dom nie upadł, potrzeba fundamentu; żeby świat moralny nie zginął — sprawiedliwości; żeby więc wiekowała cnota w tobie, sprawiedliwość ci najpierwéj utwierdzić potrzeba; ona wszystkich innych jest świątynią i twierdzą. Żeby uczcić Boga — sprawiedliwość radzi; żeby żywot każdego był bezpieczny — sprawiedliwość sprawuje; żeby prawdziwy honor nie został obrażony — sprawiedliwość broni; żeby niewinność i prawda jaśnie były widziane — sprawiedliwość oświeca; żeby cnota lepszą od występku była uznana — sprawiedliwość wmawia; żeby życie daleko od zbrodni prowadzone było — sprawiedliwość zaleca i dokazuje. I tak do wszystkiego dobrego sprawiedliwość jest drogą, światłem, pobudką, powodem i towarzyszką. Promień boskiego światła, przez nię myśl wieczna ciemności człowieka bada, rządzi i karze; im ją kto doskonaléj sprawuje, tym bliższym jest Boga. Jako słońce dniowi, tak Bóg sprawiedliwość cnotom przełożył; a człowiek sprawiedliwy słońcem jest między ludźmi. — On nic nie postanawia, nie obiera, nie rozkazuje, coby Bogu i cnocie przeciwnego było; a piérwszym jest do wykonania tego, co na drugich postanawia, bo niesłuszną byłoby rzeczą, własném prawem być pokonanym. Sprawiedliwość jest cnót mistrzynią, przez nię do czynienia inszych cnót najłatwiejsza droga: przez sprawiedliwość będziesz dobrym, bo nikogo nie urazisz i nie uciśniesz; będziesz pobożnym, bo oddasz Bogu, co jest boskiego; będziesz mężnym, bo cię nic od cnoty nie odbije; będziesz pomiarkowanym, bo nic nieprzystojnego nie zapragniesz; będziesz skromnym, bo takim się osądzisz, jakim jesteś; słowem, żebyś był cnót wzorem, bądź sprawiedliwym.

d) Męztwo.

Nie chcesz upadać, wzmocnij się cnotą; nie chcesz zginąć, uzbrój się mężnym umysłem; niech będzie niezwyciężony, żelazem nieukrócony, strachem niezłamany. Choćby pioruny

w cię mierzyły, choćby ziemia przeciwko tobie biła, choćby płomienie srogą groziły ci śmiercią; ty umysłem mężnym, jako niewzruszona skała, trwaj w czynieniu cnoty i w bronieniu prawdy. Nacierać na cię ludzie będą — nie ustępuj: szukać cię będą podarunki — nie dbaj; przyciśnie cię zazdrość — nie bój się; zasmucać cię wszystko złe będzie — nie upadaj; prześladować cię będą, nie wzruszaj się; bręczyć będą męki — nie chwiéj się. Albowiem cnota i prawda w ręku jest boskiém; nikt zginąć nie może, kto ich wiernie pilnuje, gdyż ręka Boga z nim jest; a nikt upaść nie może, kim Bóg rządzi. Mężnemu umysłowi nic téż i zaszkodzić nie potrafi, bo on nieśmiertelny jest, żadném cielesném złem nieskazitelny; nikt ci go wziąść nie może, bo on wieczny. Niemasz nic chwalebniejszego nad umysł mężny, cnoty i sławy zbroją otoczony, którego pokęty nie dobędą, trwogi nie obalą, nie przenikną przeciwności; przybytkiem on jest boskiéj cnoty i łaski; najwyższego dobra podporą i twierdzą.

e) Hojność.

Hojność szlachetna jest cnotą, towarzyszką wspaniałego umysłu, zwierciadłem dobroczynności bóstwa. Ktokolwiek darami fortuny obsypany został, niech wie, że Podskarbim jest nieba, i że w tych, któremi się cieszy, dobrach, insi także część mają. Insi, ale nie wszyscy; gdyż bogactwa twoje z cnoty i dla cnoty rozdawać potrzeba; dobrodziejstw przed niewdzięcznych sypać nie należy. Dawaj tym, których tłoczy nieprzyjazne cnocie ubóstwo, i którzy z niém się pasują; dawaj tym, których zazdrość złupiła; ale występnym: próżniakom, podłym, nie dawaj; dla nich hojność jest trucizną; niech nie jaśnieją dobrodziejstwy ci, którzyby je niewdzięcznością przyćmili. Hojności twojéj przydaj to godło: Potrzebie i cnocie!

f) Fortuna.

Z świątyni cnoty, przystąpmy do fortuny przybytku; z trudnego i cienistego domostwa, zbliżmy się do łatwéj, wspaniałéj budowli; pozorny jéj napis: zawsze i wszystkim, zachęca przechodnia; złota nadzieja, na kwiecistéj kotwicy oparta, wzywa go; łakoma dostatków i honorów chciwość, pobudza. Cóż czynić? wnijść. Nie, przejrzyj się raczéj w zwierciedle cnot, które Mądrość trzyma, a poznasz, jak mylne te pozory. Obaczysz ciemny gmach, raczéj do więzienia podobny; tam gmin zaślepiony, pełen chciwéj pożądliwości, niesmaki zamiast bogactw pożera. Ta Pani tego miejsca, poczwara, nie niewiasta; nie łaska, lecz jędza; naśmiewa się z tych, którzy ją niewolniczém czczą kolanem; depce ich, morduje, zabija. Tego

cierniem wieńczy, owego dostatkami dławi; tego rozdziera pazurem zazdrości, owego złotym dusi łańcuchem... I tażto jest ulubieńców fortuny roskosz! O podła i zmienna bogini! ledwie do siebie pociągnie, już zdradza; ledwie sprzyjać pocznie, już ustaje; ledwie dopomoże, już porzuca; ślepa, omylna, fałszywa, ślizka, cnoty i prawdy nieprzyjaciółka, iluż niegodnych panami uczyniła, ilu panów żebrakami? Ileż razy zbrodnię wyniosła, cnotę pognębiła; ile razy pysznych uczciła, skromnych zdeptała! Nauczże się człowiecze, jak jéj masz wierzyć, jak z nią postępować. Przed igrającą uciekaj, umizgającą się pogardzaj, wielką okiełznaj, mierną trzymaj, na trwałą oglądaj się, krótkiéj nie żałuj, niebezpiecznéj nie szukaj, przeciwną znoś, zbytecznéj strzeż się, swoję poznaj, cudzéj nie żądaj: bo ci pewniejsza i lepsza nizka z cnotą chata, niż wysoki z fortuną pałac.

g) Chwała.

Swietną niewolą, wspaniałą rozwaliną, cieniem, który gonią śmiertelni, jest chwała; podnieca ich do niéj próżność i pycha, a nie widzą, że ile honorów, tyle ciężarów; ile godności, tyle igrzysk fortuny; ile wysokich stopni, tyle nasienia smutków i starań, tyle celów piorunom, tyle dla nieszczęścia ścieżek. Nie było jeszcze siedzącego na wysokim szczycie chwały, któryby żywiołem błogim, spokojnością umysłu się cieszył. I będziesz żądał wielkości i chwały? Ach! nic bliższego ziemi, jak tron; nic bliższego niebu, jak cnota. Nie ubiegaj się więc za omylném dobrem. Wierz mi, berła wielkim nie czynią; ani złoto, ani świecidła, ani też odętego gminu zgraja, ale cnota wielkim czyni; wszelka władza cnocie, nie próżnéj chwale służy; ten jest Panem, kto sobie swoje królestwa daje, którego wieńczy cnota, i prawdziwą chwałę dusza cnotliwa osiada. Téj najlepszéj, prawdziwéj, nieśmiertelnéj roskoszy, gorąco wam życzę.

13. SYNONIMY.

W każdym języku jest mnóstwo wyrazów, które na piérwszy rzut oka jednakie zdają się mieć znaczenie; lecz po krótkiém zastanowieniu rozróżnić je łatwo. Takowe wyrazy zowią się synonimami; podobne do siebie, a przecież odmienne: możnaby je przyrównać do kilku cieniów jednego koloru. Chcąc pisać i mówić dokładnie, wypada obeznać się z niémi, ażeby wiedzieć, gdzie i jak użyć którego? Zupełne takowe obeznanie musi być bardzo mozolne i trudne, wielkiéj wiadomości języka, wielkiego zastanowienia wymaga; ale zgłębianie niektórych synonimów przyjemne jest i łatwe. Rozwija myśl, po-

daje jéj wyobrażenia nowe, i jest prawdziwém młodego umysłu ćwiczeniem.

Nizki, nikczemny, podły.

Te trzy wyrazy przeciwne wielkości, wszystkie razem poniżenie znaczą; ale zachodzi między niémi wielka różnica. Nizki stósuje się najwięcéj do wzrostu i stanu, nikczemny do powierzchowności, podły jedynie do duszy.

Nie czyni to bynajmniéj krzywdy, kiedy o kim powiedzą: ten człowiek nizkiego jest urodzenia, nikczemnéj postaci; ale biada temu, którego czyny dowodzą, że podły.

Powołanie rzemieślnika jest nizkie, twarz schorzała, ubogiego postawa nikczemna, są bogactwa podłe, kiedy niegodnym sposobem nabyte.

Nizkim i nikczemnym można być mimowolnie, podłym jest tylko ten, który chce nim zostać.

Nizkim i nikczemnym pogardzać nie należy: podły powinien być w ohydzie.

Stokroć lepiéj nizkiego być urodzenia, nikczemnie wyglądać, niżli jednę myśl mieć podłą.

Poeta, bez geniuszu, zawsze nizko zostanie; pisarza bez talentu nikczemne są płody, przy największym geniuszu i talencie autor podłym będzie, jeśli jego dusza i pióro przedajne.

Kto mówi: ten lub ów podłego jest stanu, przeto, że nie szlachcic, albo, że własne ręce go żywią, ten bardzo źle mówi; bo nie urodzenie, nie praca, ale występek ludzi upodla.

Pan zamożny, licznych naddziadów i wielkie bogactwa liczący, często podlejszym bywa od nizkiego kmiotka, od nikczemnego żebraka.

Nizkiego był urodzenia Klemens Janicki,[1] jeden z pierwszych poetów naszych, a przecież zyskał piękne w świecie uczonym imię: nikczemnie wyglądał pełny sławy nasz Król Łokietek, Królowa Bona podle myślała, a pomimo wysokiéj dostojności, w powszechnéj jest dotąd pogardzie.

Oklaski — Pochwały.

Oklaski i pochwały sąto dwie nagrody wszelakiéj zasługi, dwa sposoby oddania jéj czci winnéj i wyrażenia ukontentowania naszego. Lubo te dwa wyrazy stósują się i do rzeczy i do

1) Syn wieśniaka z pod Żnina, w Wielkopolsce, ur. 1516 i żył aż do r. 1543, a zatém niespełna lat 27. W najpierwszéj młodości talent do poezyi okazał, który przy pomocy Lubrańskiego, Biskupa, a poźniéj wspierany hojnością Arcybiskupa Krzyckiego, w kraju i za granicą, miano wicie w Padwie, wykształcił tak dalece, iż w 20stym roku wieńcem poetyckim od Klemensa VII. został zaszczycony. Pisał Elegie.

osób, możnaby jednak powiedzieć, że oklaski są właściwsze rzeczom, pochwały osobom.

Tak gra dobra aktora, słowo dowcipne, piękna mowa w publiczności miana, czyn śmiały, oklaski zyskują; osoby piękne, rozumne, przyjemne, cnotliwe, jednają sobie pochwały.

Skoro rzecz jaka żywą przyjemność komu sprawi, natychmiast daje jéj oklaski; wykrzyknik, klaśnięcie w dłonie, tłumaczami są jego. Pochwała większego zostanowienia wymaga, słowami wyrażoną bywa.

Oklaski są głośne, ale ginie prędko szumny ich odgłos; pochwały cichsze, trwalszémi bywają.

Witał lud Sobieskiego z oklaskami, kiedy Wiedeń oswobodził, dziejopis pochwałę męztwa jego zapisał.

Trudny — ciężki.

Rzadko które wyrazy w potocznéj mowie tak mieszane bywają, a przecież rzadko między któremi taka jest różnica. Ciężki stósuje się właściwie do ciał, trudny do umysłowych rzeczy. Trzeba siły ciała do uniesienia rzeczy ciężkiéj, trzeba mocy umysłowéj do pokonania trudnéj.

Człowiek słabowity ciężkiém znajdzie to, co byłoby dla zdrowego lekkiém; zdatnemu snadno przyjdzie praca, którąby nieuk za trudną osądził.

Podnieść kamień wielki, jest ciężko; wyrobić z niego piękny posąg, jest trudno.

Niższych stanów cięższa jest praca, wyższych trudniejsza.

Różnica między słońcem i ogniem.

Słońce wszystkim ludziom przyświeca, bez cudzych prac i zabiegów; ogień starań, trudów, żywiołu wymaga.

Słońce daje żyzność ziemi, owocom dojrzałość, a przeto dobroczyńcą jest przyrodzenia; ogień najwięcéj sztuce pomaga.

Ogień pożéra, nieustannie pastwić się musi; słońce żywiołów nie potrzebuje, owszem dostarcza ich i rozwija.

Słońce rzadko kiedy szkody czyni, ogień częste sprawia pożary.

Ognia wszyscy mieć nie mogą, słońce zarówno królowi jak nędzarzom przyświéca.

Bez słońca światby się nie ostał, możnaby żyć bez ognia.

Ogień rozpala się i gaśnie, słońce od początku swym blaskiem bez przerwy jaśnieje. (Z Rozrywek dla Dzieci.)

B. ROZPRAWY KRÓTKIE.

1. O PRACY.

Praca jest jedną z piérwszych powinności naszych, praca konieczną dla człowieka potrzebą, praca jest przeznaczeniem naszém. Pracowita pszczółka, skrzętna mrówka, całe przyrodzenie, układ towarzystwa, téj prawdy nas uczą. Nikt od pracy nie jest wolny: król na tronie, oracz przy pługu, pracować musi, i często niewiadomo, którego większe są trudy!.. W pracy jedyny jest sposób wypłacenia się Bogu, Rodzicom, Ojczyznie; do pracy zawczasu wprawiać się należy. O wy dzieci drogie! które dopiero wstępujecie w zawód życia, wielka jest przed wami przestrzeń, ale téż i wielkie czekają was obowiązki. Krótkość dni waszych, sił słabość, jeszcze wam nie dozwoliły prawdziwéj oddać się pracy, a już wpisane do niéj jesteście samém powołaniem człowieka i samą wdzięcznością. Tak! już tyle osób dla was pracowało i pracuje! Od chwili urodzenia się waszego, Matka was karmi, strzeże i pielęgnuje; Ojciec wszystkich potrzeb dostarcza, żebyście miały co jeść, gdzie mieszkać, w czém chodzić; rólnik ziemię potem zlewa, rzemieślnicy rąk i zabiegów nie szczędzą; ludzie uczeni dnie i noce trawią, chcąc wam potrzebnych nauk udzielić; jesteście więc celem pilnéj pracy, tysiącznych starań: a wy, cóżeście dotąd dla kogo uczyniły?.. Lecz nie troszczcie się: stoi dla was całe życie otworem; możecie dopełnić téj szlachetnéj powinności; możecie się wypłacić hojnie z zaciągnionego długu. Wprawiajcie się tylko do pracy, miłujcie ją; dopełniajcie z upodobaniem obowiązków, jakie na was Rodzice, Nauczyciele wkładają; przezwyciężajcie lenistwo, unikajcie próżnactwa. — Niech każde z was wstaje rano; niech się stara, ażeby żadna chwila w dniu całym marnie mu nie zeszła; odbywszy zatrudnienia swoje, niech szuka wytchnienia i spoczynku w przyzwoitéj zabawie, nie zaś w gnuśnéj bezczynności. Żałujcie dziecka, które z przymusem do nauki idzie, a odbywszy jakąkolwiek zadaną sobie pracę, siedzi w kącie z założonémi rękami, lub wśród dnia drzymie, marnuje życie, nudzi się; nigdy prawdziwie człowiekiem nie będzie, nigdy się nie wypłaci Bogu, Rodzicom, Ojczyznie; nigdy na piękne nie zasłuży imię. Wy zaś, sposobiąc się już teraz do pracy, pokochajcie ją zawczasu; a skoro was lata wiekiem i siłą zbogacą, oddacie z roskoszą serca odebrane od rodziców łaski i dary; podacie im rękę pomocną w starości, przyczynicie się do szczęścia ogółu, do chwały narodu, a wypłaciwszy dług wasz, staniecie w zasługi przed Stwórcą. (Z Rozrywek dla Dzieci.)

2. O POWINNOŚCIACH UCZNIOW WZGLĘDEM NAUCZYCIELI.

Jakiś dawny filozof wszystkie powinności ucznia względem Nauczyciela, zamknął w tych krótkich wyrazach: niech go miłuje! Ja zupełnie tegoż zdania jestem: bo któż nie wie, że długi serca, jedno tylko serce wypłacać potrafi? a jakiż dług wyraźniéj na sercu zapisanym być powinien od tego, który każdy młody zaciąga względem Nauczycieli swoich? Na cóżby mu się przydały największe bogactwa, najrzadsze zdolności? nikt moralnego światła nie kupi, a zdolności najrzadsze potrzebują uprawy. Nasz Orłowski [1] rysował węglem po ścianie; i na téj błahéj igraszce byłby zmarniał talent jego, gdyby dobroczynna ręka nie była mu dała Nauczycieli. Cóż jest dziecię zostawione samemu sobie, obok tego, które światły mistrz prowadzi? to, czém ziemia, odłogiem leżąca, obok starannie uprawnéj. Ale ta uprawa jakże wiele pracy kosztuje? i jakążby to było zbrodnią niewdzięcznością ją odpłacać! Kiedyć nieczuła ziemia tak hojnie odpowiada zabiegom rólnika, i rzucone w nią ziarno obfity mu plon niesie; mogłożby tkliwe dziecię same osty i ciernie podawać téj ręce, która go choduje i strzeże? A ta pamięć, która chowa tyle słów obcych języków, tyle wypadków historycznych, tyle rozlicznych wiadomości, miałażby tylko wdzięczności miejsca odmówić? Ach nie! nie mogę o wszystkich dzieciach tak złego przypuścić mniemania; wiem, że każde z nich, jeśli tylko cokolwiek tkliwe ma serce, Nauczycielom swoim jest wdzięczne, ocenić umie zabiegi ich i prace, bądź ich ma w osobie Rodziców, bądź w obcych. — Ale chcąc tę wdzięczność tak słuszną i tak konieczną okazać i przekonać o niéj, wiecie lube dzieci, co wam czynić wypada? Oto miłować z duszy i serca Nauczycieli waszych. Dziś ich nauki, rady i napomnienia, zdają się wam może nudne, zbyteczne, surowe; zmienicie zdanie, gdy was czas latami i rozsądkiem zbogaci: wtedy wspomniawszy na wiek dziecinny, na złe nałogi, którym dobroczynna ręka wkorzenić w was się nie dała, na umiejętności, których nabycie najtrudniéj wam przyszło; błogosławić będziecie tych, na których narzekać macie teraz niekiedy ochotę. (Z Rozrywek dla Dzieci.)

3. O DOBRÉJ SŁAWIE.

Dobra sława jestto ten odgłos powszechny, który cnotom i zasłudze publiczną sprawiedliwość oddaje. Nieomylna w zdaniu, leniwa w wzroście, wartość człowieka wyraża. Po zaspokojoném sumieniu nic nad nią niema droższego; ona jest wonią

[1] Sławny malarz, żyjący w Petersburgu.

cnoty, godłem zaufania, zadatkiem szacunku, owocem nieskażonéj uczciwości, roskoszą pięknéj duszy. Wielkiém to było dobrodziejstwem stwarzającego nas Boga, że w niéj część szczęścia naszego położył. Dodał przeto zachęty cnocie, wynalazł dla zbrodni hamulec, spoił mocnym węzłem ludzi; gdyż chcąc zasłużyć na dobrą sławę i ceniąc ją wysoko, każdy szlachetnie myślący pracuje nad nabyciem przymiotów, występków się strzeże, pozyskać powszechną przychylność się stara. Niepowinna być ona zapewne głównym i jedynym celem chlubnych ofiar, czynów i postępków naszych; zadosyć uczynienie Bogu, własnéj duszy zaspokojenie, nierównie wyżéj kłaść należy; lecz godzi nam się i o nią być troskliwymi. Sam Król mędrzec wyrzekł: „Dobra sława, duszy siły dodaje; a piękne imię lepsze od bogactw największych.“ Jakże nie czuć w sercu najsłodszéj zachęty i pociechy, kiedy wiemy, że wszyscy o nas dobrze wspominają, i że, skutkiem dobréj sławy naszej, możemy i przyjaciołom być użytecznymi. Nie sposób zapewne, ażeby głos jaki przeciwny się nie odezwał! Każdy człowiek niestety! choćby najmniejszy i najlepszy, ma przecież nieprzyjaciół; lecz nigdy to szemranie nie zagłuszy powszechnego odgłosu, i żadne potwarze dobréj sławy zupełnie zaćmić nie zdołają. Przebije się ona wśród zawistnych sobie, jak słońce z poza chmur się przebija!...

Dzieci drogie! Nawykajcie do cenienia tego skarbu! właśnie w waszym wieku gotować się trzeba do pozyskania go na zawsze, i już zacząć nad tém nabyciem pracować. Nie jeden z nas starszych wrócićby chciał do lat dziecinnych, stanąć na waszém miejscu i życiem nieskażoném zasłużyć sobie na dobrą sławę. Lecz już zapóźno!... O wy, którym pora sprzyja, wy, dzieci niewinne, szczęśliwe! korzystajcież z niéj; raz upłyniona już niepowróci. Nie mówcie o przeszkodach, niema ich! Kto tylko żyje, skoro zechce, może żyć cnotliwie, może w swoim sposobie być użytecznym, a te są dwa dobréj sławy i pięknego imienia warunki. — Jeśli, lube dziecię, ród twój jest nizki, szlachectwo niedawne, lub niemasz go wcale, to nie jest przeszkodą; większa jeszcze zasługa i chluba uzacnić samemu nieznany początek; cnota jest najdawniejszém, najrzetelniejszém szlachectwem. Jeśli majątek rodziców twoich szczupły, sposób ich życia w oczach świata nie przynoszący zaszczytu? i to nie jest przeszkodą. Iluż to wielkich ludzi ubogimi było? żadne rzemiosło, byle uczciwe; żadna praca jeszcze nikogo nie zhańbiła. — Jeżeli nawet (co w oczach moich jedynym rodu może być zakałem), jeżeli, mówię, tak nieszczęśliwym jesteś, że imię, które nosisz, zhańbione zostało zbrodnią; płacz, lube

dziecię, ale nie rozpaczaj; możesz cnotą zmazać tę ohydę, a dla siebie dobrą sławę i piękne pozyskać imię. — A jeśli też sławni naddziadowie, ród wysoki, bogactwa, zaszczyty, podziałem są twoim, jakaż łatwość do zyskania tego skarbu? jaki wstyd dla ciebie, gdybyś tę drogą puściznę z rodziny swojéj wypuścił? Nawykła od pieluch do chlubnych przykładów dusza twoja, sposobniejsza do cnoty być powinna; twe imię oddawna z imieniem ojczyzny złączone, już ma dla każdego Polaka urok swój szczególny, już jest piękne; ty staraj się jedynie utrzymać go w téj piękności; idź ojców torem, a dobra sława ich wieńcząca i twoje skronie ozdobi. (Z Rozrywek dla Dzieci.)

4. PRAWDZIWE OŚWIECENIE ZASADZA SIĘ NA RELIGII.

Ludzie z najlepszéj rzeczy złą uczynić umieją: bo cóż może być godniejszego i bardziéj zgadzającego się z wolą Boga i z wielkością człowieka, jak rozszerzać coraz daléj granice pojęcia umysłu, i coraz więcéj światła zgromadzać. Im kto lepiéj widzi, tym pewniejszym krokiem na drodze prawdy postępować powinien; i oświecenie, ten szczyt doskonałości rozumu ludzkiego, stałoby się niezawodnie źródłem szczęścia, gdyby je na gruntownych wiadomościach zakładano; gdyby piérwszy promień jego, pochodnią religii zapalał. Wtedy dopiero prawdziwie byłoby zbawiennem, prawdziwie użytecznem. Wszystkie nauki służyłyby ku rozkrzewieniu chwały Boga; bo wszystkie, zaszczyt czyniąc człowiekowi, wykrywają wielkość Stwórcy i dzieł jego. Same nawet rękodzieła innegoby celu nie miały; gdyż w nich człowiek, naśladując rzeczy stworzone, lub zgadując ich użytek, hołd cudom przyrodzenia i sprawcy jego oddaje. — Lecz nie wszyscy ludzie okiem prawdy na nauki i na rękodzieła patrzą. Często Astronom zmierzywszy niebo, niepomyślał o jego Stwórcy! Żeglarz objechał morza, a nie uznał ręki, która je w oznaczonych granicach wstrzymuje! Filozof prawa ludziom kreślił, nie dostrzegłszy prawdziwego prawodawcy. Sztukmistrz naśladował cuda przyrodzenia, a w niewdzięczności swojéj zaprzeczył prawicę, która te jego wzory złożyła! Mędrzec ziemski wszystkie przeczytał księgi, wybladł nad niémi, a nad księgą żywota się nie zastanowił! Przecież wszystkie nauki, prócz nauki wiary i życia, bądź do najdoskonalszego posunięte stopnia, błahe są i nietrwałe. Najuczeńszy człowiek, złożony z ziemi, wróci do ziemi, zarówno z nieoświeconym kmiotkiem; z ciała obydwóch garstka prochu zostanie! a jeżeli wieśniak w niewiadomości swojéj Boga mocniéj kochał, lepiéj mu służył,

mędrszą dusza jego w oczach Pana stanie! i zaiste gdy dzień sądu nadejdzie, nie o to nas się pytać będą, cośmy czytali, lecz cośmy czynili? (Z dzieła: Amelia Matką, p. Tańską.)

5. O ROŻNYCH MATERYAŁACH DO PISANIA.

Dziś, kiedy wszyscy na papierze piszemy, i ten papier tak jest tani, mało komu przyjdzie na myśl, a tym bardziéj wam, lube dzieci, jak to wiele lat minęło i wiele doświadczeń czynionych było, nim ludzie do tego wynalazku doszli, i tak go upowszechnili. Piérwsi piszący, zdaje się, że na cegłach lub na tablicach kamiennych pisali: późniéj używać zaczęto blach z różnych kruszców, z ołowiu, z miedzi, nareszcie kory drzew i ich wielkich liści, które w gorących krajach obficie rosną. W księgozbiorach zamożnych można dotąd widzieć dzieła bardzo dawne, tak pisane; w niektórych są biblie przepisane na liściach palmowych, które, jako bardzo wielkie i dosyć grube, łatwo na ten użytek przysposobione być mogły. Arabowie mieli jeszcze inny sposób; wyrzynali opisy znaczniejszych zdarzeń na kościach z łopatek baranich, wiązali je razem i zawieszali w swych domach. Ztąd łatwo się przekonać, jak te wszystkie sposoby były trudne, uciążliwe, i jak mało dzieł i piszących być musiało.

Te piérwsze wynalazki doprowadziły do wymyślenia cienkich tabliczek drewnianych, zalanych woskiem, i pisano na nich iglicami żelaznémi, zwanémi style: jeden koniec iglicy był kończasty, i nim wyrzynano litery na wosku; drugi był spłaszczony, i nim zacierano czyli gładzono litery. Z tych stylów został nam dotąd wyraz styl, który znaczy właściwie sposób pisania. W niektórych krajach pismo malowaniem było. Do tego sposobu potrzebowano więcéj rzeczy: użyto kory z drzewa, płótna, nareszcie skór zwierzęcych.

Pierwszém miastem, gdzie najlepiéj umiano wyprawiać skóry do pisania, było Pergamum, w Azyi mniejszéj, i ztąd nazwisko pergamin, dotąd skórze ośléj, wyprawionéj do pisania, dawane, a który dotąd jest w używaniu. Egipcyanie użyli piérwsi do pisania kory trzciny, zwanéj papyrus: okazała się lepszą od wszystkiego, co dotąd wynaleziono; i dla tego zowiemy dotąd papierem tkankę, na któréj piszemy, lubo ten z gałganów lnianych i konopnych robiony. Na pergaminie i papyrusie pisano trzcinami, skrojonémi w kształcie piór naszych. Maczano je w drogich farbach różnego koloru, i ten sposób już najwięcéj był zbliżony do naszego, lubo nierównie kosztowniejszy.

Starożytni nie składali, ani kory, ani pergaminu, jak my z naszym papierem w książkach czynimy, ale je obwijali koło

drewnianych wałków; ich księgozbiory inaczéj więc wyglądały, niż dzisiejsze; były to rzędy jakby słupków, opartych na półkach. Tytuły dzieł pisali na jednym szczycie wałka czerwonémi literami. (Jachowicz w Dzień. dla Dzieci.)

6. ZEGLUGA.

Ze wszystkich widowisk, które przemysł ludzki dał światu, może niemasz więcéj zadziwiającego, nad żeglugę. — Słabe i znikome jestestwo, przywiązane do ziemi, śmiało się przenieść na żywioł nieznany i straszny, zawiesić budowy na wodach, dawać prawa wiatrom, i przelatywać na końce świata, pod obce sobie nieba. Lecz takiém jest przeznaczenie nasze: rozum ludzki równie jest przewrotnym jak wielkim, a zbrodnia mieści się obok geniuszu. Ludzie nadużyli wszystkiego: roślin, by z nich wyciągnąć trucizny, żelaza ku rzezi, złota ku przekupstwu, sztuk ku pomnożeniu sposobów własnéj zaguby. Nadużyli nadewszystko sztuki żeglugi; morze stało się polem rzezi, a bałwany jego zakrwawiła wojna.

Tak dwie części ziemi, są zarówno polem nieszczęść i zbrodni naszych. Jednę w tém tylko widzę różnicę: poglądając na powierzchnią ziemi, dostrzegamy zwaliska, szczątki pożarów; nieuprawne pola i lasy, tam, gdzie niegdyś kwitnące były miasta; pomniki spustoszeń, co nas pohamować mogą, wrażając użyteczną trwogę; lecz morze, co się stało grobem części rodzaju ludzkiego, nie zostawuje śladu tylu klęsk; codzień żeglarz bezpiecznie i wesoło przebywa miejsca, gdzie tysiące ludzi zginęły.

Może żałować nam trzeba tych czasów szczęśliwéj niewiadomości, w których przodkowie nasi mniéj wielcy, lecz mniéj skażeni, bez przemysłu, ale bez zgryzoty, żyli ubogimi i cnotliwymi, a umierali w polach, wśród których się rodzili. Lecz nadaremnie chcianoby nakłonić człowieka do zrzeczenia się sił, co mu są zgubnémi: nic go tak nie trwoży, jak słabość jego. Żegluga stała się dla ludzi ucywilizowanych klęską potrzebną, równie użyteczną stanom, jak szkodliwą rodzajowi ludzkiemu. (Z Thomasa, tłumaczenia Stanisława Potockiego. 1)

7. ZIEMIA OPUSZCZONA OD RĘKI LUDZKIÉJ.

Wystawmy sobie jak chcemy klimata na téj ziemi; nigdzie nie znajdziemy, aby wystarczyła potrzebom człowieka bez jego pomocy. Historya podaje nam co do tego bardzo ważne przykłady, że ziemia w najłagodniejszém znajdując się położeniu, przemienić się musi w pustynię, skoro ją tylko ręka ludzka

1) Zob. niżéj w Krasomówstwie.

opuści. Weźmy np. kraje, zbliżone ku zwrotnikowi Raka, jak jest Syrya i Egipt; te kraje, niegdyś kwitnące, wystawują dziś smutny obraz spustoszenia, mało się różniąc od Tartaryi; a to jedynie dla tego, że je pracowita i przemyślna ręka człowieka opuściła; kraje, mówię, te, niegdyś tak bogate, ledwie dziś wystarczają małym hordom tułackich pastérzy, lub drobnym społecznościom rólników, niepewnych swéj własności, i pogrążonych w nędzy. Postawmy obok tych krajów Anglią, Niemcy północne, Danią i Szwecyą, które są zbliżone ku biegunowi północnemu, a przekonamy się dopiero, co warta jest ziemia bez ręki człowieka, bez jego przemysłu i pracy. Te zimne i ku północy zbliżone kraje, nie tylko dziś opatrują we wszystkie potrzeby swych mieszkańców; ale owszem rozciągają swój handel po obu półokręgach ziemi, zamieniając swe płody na wszystkie inne, które się rodzą w jakimkolwiek klimacie.

Od tego podobieństwa zwróćmy teraz naszę uwagę na ziemię saméj sobie zostawioną; a gdziekolwiek w tym stanie przypatrzyć jéj się zechcemy, najdziemy ją okrytą lasami, bagnami, wodami stojącemi; zamieszkaną od jadowitych gadów i drapieżnych zwierząt; jéj płody będą tylko żołądź i inne nieprzyjemne owoce, zioła i głąby odrażające. Taka to jest ziemia, zostawiona saméj sobie! takie rzeczy, których dostarcza do zaspokojenia naszych potrzeb! Historya i podróże teraźniejsze wystawują nam u wielu ludów podobny jéj obraz: a jeżeli gdzie najduje się miejsce, w którém ona wyda owoc przyjemniejszy, i bardziéj dogadzający potrzebom ludzkim, nigdzie go przecież nie wyda w dostarczającéj obfitości. Człowiek dopiero musi jedne rozmnażać, drugie poprawiać za pomocą swéj pracy, wszystkie zaś roznosić po reszcie ziemi, i oswajać one z różnémi klimatami. Próżno tedy wielu utrzymywało: że piérwszy, który ogrodził płotem jaką część ziemi, stał się jéj właścicielem, dla tego, że ją odosobnił od spólnego używania reszty ludzi; bo mimo tego, że samo ogrodzenie nie mogło się obejść bez pracy, ziemia ogrodzona była jeszcze nieużyteczną, póki ręka ludzka, przechodząc przez wszystkie stopnie pracy, nie usposobiła jéj do wydania tych owoców, które sobie człowiek wyprowadzić zamierzył. Jeżeliśmy się przekonali wyżéj, że jakichkolwiek bądź rzeczy nie możemy nabyć, tylko za pomocą pracy; tym bardziéj nabycie własności ziemi, do tego zwłaszcza punktu, aby ją uczynić zdolną do reprodukcyi przez coroczną uprawę, musiało kosztować człowieka bardzo wiele długiéj i uciążliwéj pracy. (Z dziełka: Porządek fizyczno-moralny przez H. K., to jest: Hugona Kołłątaja [1] w Krakowie r. 1810.)

1) Hugo Kołłątaj urodził się roku 1750. W Akademii krakow.

8. RELIGIA.

Rozum i doświadczenie mówią potężnie do przekonania naszego, że zaniedbanie instrukcyi religijnéj w wychowaniu młodzi, ściąga okropne na ludzi i na całą społeczność nieszczęścia. Opłaciły drogo ten błąd najsławniejsze w dziejach świata dawne i teraźniejsze narody. Jakoż, jeżeli społeczność jest przeznaczeniem człowieka, jego stósunki domowe, familijne i towarzyskie ze współludźmi, dają początek porządkowi moralnemu, czyli temu łańcuchowi praw i obowiązków, który ludzi wiąże z sobą i jednoczy. Nosimy w naszéj czułości zarody cnót i występków: passye i namiętności wstrząsają gwałtownie i miotają człowiekiem. Niemasz w przyrodzeniu, ani w przemyśle ludzkim siły, na skuteczne i powszechne wstrzymanie i urządzenie tych poruszeń. Trzeba było tego daru i pomocy od nieba, to jest, od piérwszego wszystkich rzeczy początku. — W naukach fizycznych nie możemy poznawać tylko same skutki i fenomena, dochodząc, jak jedne wynikają z drugich; piérwsza i najodleglejsza przyczyna tych fenomenów, jest niedostępną dla zmysłów i fizyki tajemnicą: bo stanowi inny i oddzielny rząd wiadomości. Obraz najwyższéj mądrości, tak znacznie wyryty w cudach stworzenia i widowisku świata, kończąc pasmo fenomenów fizycznych, zaczyna łańcuch prawd moralnych, jest najbezpieczniejszą i jedyną warownią związku towarzyskiego. Ta myśl daje wysokie przeznaczenie człowiekowi, obudza wielkie przyszłości nadzieje, zapala miłość sprawiedliwości i cnoty, powściąga namiętność, wraża wstręt i odrazę od zbrodni. Cóż nam na to miejsce podaje rozumniejszego sromotna przeciwników nauka, która granicę zmysłów ma za granicę stworzenia; nie daje rozumowi

---

ukończywszy nauki, udał się do Rzymu, chcąc się tamże do powołania swego usposobić: w r. 1775 powrócił do kraju Kanonikiem krak. Mąż ten czynny i pracowity, w różnym zawodzie dla dobra kraju pracując, walczyć wszędzie musiał z tysiącznémi przeszkodami. Jemu winna Akademia krak. lepsze urządzenie, jemu nauka praw człowieka, uznanie jego godności. Wyniesiony na urząd Referendarza litewskiego, przeszedł do politycznego życia. Od r. 1794 sprawując urząd Podkanclerzego kor., po rozwiązaniu władz krajowych schronił się do Gallicyi; lecz tam schwytany, w Ołomuńcu aż do r. 1803 w więzieniu siedział. Późniéj nieco wróciwszy do Ojczyzny, postanowił nie mieszać się w żadne polityczne sprawy. Umarł w Warszawie 1812 r. — Prócz wzmiankowanego dziełka, najważniejsze jego pismo jest: Listy Anonima do Stan. Małachowskiego, 4 Tomy, r. 1788; tom 4ty r. 1790. Jemu także przypisują dobrze pisane dzieło: O powstaniu i upadku konstytucyi 3go Maja, w Metz 1792. 2 tomy, lubo do téj pracy podobno i inni należeli mężowie. Zob. wyżéj str. 129.

wynieść się nad materyalne fenomena świata, nie chce człowiekowi dać wyższego przeznaczenia od bydląt? Robaczek zamknięty w bryłce prochu, bierze swoję kryjówkę za sferę światów, a swoje dumne marzenia za plan Boga, i za granicę ludzkiego pojęcia. Ta myśl nic ani więcéj, ani szczęśliwiéj nie tłumacząc w przyrodzeniu, podkopuje fundamenta moralności, odbiera powaby cnocie, a wędzidło przewrotności i zbrodni niszcząc i dusząc wszystkie nadzieje przyszłości, przerabia towarzystwo na zgrajęę oprawców, gdzie siła i przemoc wszystko rozstrzyga i kończy. W téj nauce zniszczenia i rozpaczy, ludzkość zostaje bez opieki, nieszczęście bez pociechy, cnota i zasługa bez nagrody. W niéj ogień talentu gaśnie, nikczemnieje dusza, rozprzęga się towarzyski porządek, cała zacność i dostojność człowieka upada i ginie. Ile razy ta posępna nauka wzięła górę w narodzie jakim, wlekła za sobą samobójstwa, rozboje, wylew krwi, spustoszenie i barbarzyństwo; rozpasała na wszystkie zbrodnie chuci ludzkie, i prowadziła całą społeczność do zgonu. Czytamy tego dowody w państwie Greków za czasów Sokratesa, u Rzymian za czasów Cezara, przy schyłku rzeczypospolitéj, i pod rządem piérwszych cesarzów; wreszcie, ze wstydem nauk i rozumu, przy końcu ostatniego wieku w Europie. I nie należało innych spodziewać się skutków po téj dumie występnego myślenia, po tym fanatyzmie zuchwałości, który sobie przywłaszczył świetne filozofii imię, i ustroił się świętokradzko w jéj barwę. Filozofia, czyli miłość mądrości, ubiegając się za odkryciem i ogłaszaniem prawd pewnych dobroczynnych i pożytecznych, nie może być nauką upodlającą i dręczącą ludzi, niszczącą związki i swobody towarzyskie. Ta owszem filozofia przekonywa nas, że bez czystéj religii, niemasz skutecznéj w ludziach siły na powściągnienie gwałtownych poruszeń namiętności, i na zabezpieczenie od nich towarzyskiego porządku. Bo prawidła ogólne rozumu, wyświecające porządek moralny społeczności, muszą być na pierwszéj przyczynie rzeczy oparte.

Rozum człowieka niedołężnieje wiekiem, słabnie i tępieje przez choroby, krzywi się, zaraża i psuje złém wychowaniem i towarzystwem; tenże rozum potrzebuje zimnéj do działania uwagi; w gwałtownych poruszeniach człowieka usypia i milczy. Jestżeto więc bezpieczny i dostateczny obrońca, który człowieka w wielu przypadkach, i w razie samego niebezpieczeństwa, wesprzeć i ratować nie może? Namiętność nie pokonywa się skutecznie, tylko drugą namiętnością mocniejszą, którą obudza głęboko od młodości wpojona religia, wszędzie i zawsze zradą człowiekowi obecna. Prawa cywilne nie są także

dostateczną obyczajów i moralności warownią: bo te urządzają czyny i postępki, ale nie sięgają sumienia, tegoto instynktu i odrazy serc niewinnych od złego. Trzeba przeniknąć wewnątrz duszy człowieka, opanować skryte jego myśli i żądze, żeby dójść do téj skrytéj sprężyny postępków ludzkich, czego żadna sztuka i siła ludzka dokazać nie potrafi. Sumienie człowieka, jako straż wewnętrzna obyczajów, jestto przybytek samego Boga, do którego prawa ludzkie nie mają przystępu. Sposobić więc ludzi, wypuszczać ich na świat do posług towarzyskich, bez dzielnéj pomocy Religii, niedać im hamulca przeciwko rozwiozłości, zgorszeniu, złym namowom i podnietom, jestto wypchnąć ich, bez stéru i przewodnika, na morze rozhukane nawałnością, pełne skał i zamieci.

Religia chrześciańska, cała zajęta dobrem i niedolą człowieka, wystawia mu wielkie jego przeznaczenie, prowadzi do niego drogą cnoty, cierpliwości i zasługi; zasadza pobożność na usłudze nieszczęściu, i na najtkliwszych obowiązkach ludzkości; urządza spokojność duszy, każe urazy darować, zapobiega srogiemu panowaniu zemsty i dumy, niesie radę w pomyślności, a pociechę w dolegliwościach, krzepi upadającego nadzieją, i niedopuszcza rozpaczy; na powściągnienie ambicyi i chciwości, ostrzega o krótkości życia, i radzi nie łudzić się znikomością rzeczy ziemskich. — W téj nauce prawdy, pokoju i pocieszenia, zawarte jest prawdziwe zbawienie na ziemi rodu ludzkiego, skojarzonego w związek towarzyski. Obok miłości Boga, nakazuje miłość bliźniego: wszędzie się w języku prostym tkliwości rozwodzi nad niedolą i cierpieniem współbraci, żeby zatrudnić czułość naszę, zmiękczyć ją widokiem nędzy i nieszczęścia, i zaszczepić słodkie poruszenie ludzkości. W téj religii Bóg zawiera przymierze z człowiekiem, dla ratunku, ulgi i pociechy nieszczęśliwych: jestto ludzkość nakazana imieniem nieba; a niedola potrzebnych i cierpiących, przytulona pod jéj opiekę, dla zapewnienia spokojności cywilizowanemu towarzystwu. Nie dziw więc, że Religia wytrzymawszy srogie prześladowanie w piérwszych zaraz wiekach, zatamowała mordy, rozboje i pożogi walącego się państwa Rzymskiego; nie dziw, że zbawiła Europę od barbarzyństwa, kiedy ją najechała i zalała i dzicz narodów północnych i wschodnich; nie dziw nakoniec, że zawierając w sobie najdzielniejsze pomocy i pierwiastki cywilizacyi ludzkiéj, przyłożyła się najdzielniéj do dobra nauk, a z niémi do ucywilizowania Europy, i postawiła tę część ziemi w piérwszym rzędzie chwały, mocy i świetności. Dziś nawet, gdziekolwiek dójdzie jéj dobroczynne i łagodne światło, ustępuje

srogość w obyczajach, kojarzą się ludzie miłością braterską w porządne towarzystwa. (Jan Sniadecki, zob. Rozdział ostatni.)

9. OŚWIECENIE.

Dobrodziejstwo szerzonego w kraju oświecenia, urządzone z rozwagą, a kierowane z trafnością, kształcąc i doskonaląc człowieka, czyniąc go zamożniejszym w siły i sposoby, łagodząc i kierując jego czucia, jest prawie siłą twórczą, i razem żywiołem porządnéj społeczności krajowéj; a zatém źródłem szczęśliwości domowéj i publicznéj. Uważać więc to oświecenie należy, jako będące dopełnieniem dzieła stworzenia, a przez wydobyte siły i talenta, uzacnieniem natury ludzkiéj. Wszakże cywilizacya ludzi nic innego nie jest, tylko rozwinienie i wydoskonalenie wszystkich władz przyrodzonych człowieka: do czego nauki, jeśli nie jedyną, to zapewne najdzielniejszą są pomocą. Człowiek okryty niewiadomością siebie i rzeczy, jestto istota błąkająca się w ciemnościach, którą dopiero światło nauk prowadzi na drogę porządnego i przyjemnego życia. Mówiono dotąd wiele o pożytkach nauk, wyciągając je z przysług poczynionych rólnictwu, handlowi, rękodziełom, zgoła dostatkom i bogactwu narodów. Ale te wszystkie materyalne korzyści, ulepszające byt człowieka fizyczny, nie są zupełną chwałą i zaletą nauk. Prawdziwa godność nauki wyciągać się i cenić powinna z wpływu, jaki wywiera na wydoskonalenie władz ludzkich, na wyrobienie prawdziwéj dostojności człowieka, na polepszenie nie tylko fizycznego, ale i moralnego bytu człowieka i narodów. Któż wie, czy przywary i występki, przypisywane towarzyskiemu życiu, nie są wypadkiem nieporządnego i nie dobrze skierowanego w postępie cywilizacyi biegu? To zapytanie warto jest zastanowić surową i głęboką prawodawcy uwagę. Doskonalić w massie społeczności jednę władzę człowieka z zaniedbaniem innych, dać nadto wybujać piérwszéj, z przytłumieniem ostatnich, jestto zostawić zarodek przyszłego barbarzyństwa.

Przesąd uczonych, wynoszących jednę naukę z pogardą drugiéj, jestto samolubstwo, chcące się przecenić lekceważeniem rzeczy sobie nieznanych; jestto uczone barbarzyństwo, wynikające z krótkiego i fałszywego rzeczy widzenia. Bieg i doskonałość cywilizacyi, idzie za biegiem i wzrostem dobrze urządzonego oświecenia. Ale że człowiek nic prawie nie odkrył, czegoby na złe nie użył; mają i nauki swoje zarazy, jako skutki i blizny chorób umysłowych, od których młode głowy bronić i zabezpieczać należy. To zachowawszy, cokolwiek jest prawdą, cokolwiek rozwija i doskonali siły człowieka,

daje im kierunek prosty i porządny; jest w instrukcyi krajowéj pożyteczném i szacownem. (Tenże.)

10. SKUTKI CIEMNOTY I NIEWIADOMOŚCI.

Błąd i niewiadomość sprzysiągłszy się na rodzaj ludzki, srożeją na społeczność prawie każdego kraju, zasłaniają tylu ludziom oczy na źródło ich niedostatku i szczęśliwości, a prowadzą ich po manowcach nędzy, dolegliwości i zniszczenia. Zaraza w obyczajach trując wszystkie słodycze towarzyskiego życia, osłabia i wytępia owe wielkie cnoty ludzkości i społeczeństwa, na których się najbezpieczniéj opiera szczęśliwość i chwała ludu. Zagmatwana sprawiedliwość zamyka sam nawet przystęp ratunku dla uciśnionego lub obdartego z własności. Tu mieszkaniec depce po źródłach swego bogactwa, bo się na niém nie poznaje: tamten urąga się ze środków polepszenia losu powszechnego, bo nie umiejąc mu zaradzić, przywykł rozpaczać o wszystkiém: tu nie jeden albo szuka w pieniactwie wybiegów na pokrycie swych trącących barbarzyństwem gwałtów, wywartych na cudzą własność i na spokojność sąsiedzką, albo czuwa na zdobycz własności publicznéj; bo nie widzi, że w uszanowaniu praw drugiego i w interesie powszechnym, zawarte są wszystkie piérwiastki jego bezpieczeństwa, pokoju i szczęśliwości: ten znowu będąc od dzieciństwa igrzyskiem uprzedzenia, szydzi z rzetelnych człowieka zaszczytów, i znieważa zasługę; bo nie znając się na jéj wartości, nie umie jéj cenić. Sztuka formowania i oświecenia ludzi, leczyć powinna te wszystkie choroby umysłu i narowy serca: to zaś lekarstwo nie może być, tylko dziełem sprawiedliwości i prawdy. Żeby ludzi przeniknąć czcią sprawiedliwości, trzeba im odsłonić i wystawić obraz porządku moralnego społeczności i wprawiać od młodości w ciągły nałóg, szanowania tego fundamentu i puklerza wszystkich swobód towarzyskich. Żeby im odkryć źródła ich dostatku i wygód, trzeba im przez naukę objawiać dobrodziejstwa natury, sztuki i przemysłu, i pokazać sposoby ich zażycia i doskonalenia. Żeby zaś pomódz skutecznie w tych całych umiejętnościach, i razem ich bronić od błędu, trzeba utrzymywać nad niémi gorejącą pochodnię rozumu, szerzyć dobroczynne jego światła, a wytrzymując pociski targającego się uprzedzenia, czekać w téj ciągłéj utarczce zupełnego tryumfu prawdy. (Tenże.)

11. NAUKI KWITNĄ TYLKO W POKOJU.

Jestto przeznaczeniem rzeczy ludzkich, wśród najważniejszych zatrudnień spotykać wywijające się przeszkody, i w dziele pożytecznych prac i starań, walczyć z nasuwającémi się prze-

ciwnościami. Nauki sąto córki pokoju: ich łagodne światło rzadko się zbiera i zatrzymuję, a najczęściéj gaśnie nad ziemią, szczękiem broni strwożoną. Świadczą to okolice Grecyi, Samarkandy, brzegi Eufratu i Nilu, które niegdyś chwałą nauk świetniały, dziś wystawujące widok spustoszenia i dziczy, jako okropne pamiątki wojny, sprowadzone tryumfami zwycięzców. Sprawy waleczności i odwagi, wymierzone na obronę kraju i swobód ojczystych, na odparcie napaści obcéj, godzącéj na własność, albo obrażającéj dostojność narodową; sąto zaiste szanowne i okazałe zaszczyty dzielności ludzkiéj; ale te pod rządem wygórowanych namiętności, rzucając nasiona długich bojów i utarczek, miotają ludzi z jednéj ostateczności do drugiéj; od znojów wszystko wywracających, do martwéj ociężałości, do trawiącéj wszystko, a nic nie wydającéj gnuśności; cofają wstecz cywilizacyą towarzystwa, i kończą się zazwyczaj na srogiéj zdziczałości narodów. (Tenże.)

WYIMKI Z KRASICKIEGO.

A. Z PANA PODSTOLEGO.

1. OPIS KOŚCIOŁA I KAPŁANA.

Że był dzień niedzielny, nie obudziły mnie nazajutrz rano śpiewania kapliczne; spałem więc dłużéj, niż dnia wczorajszego. Jużem był zupełnie ubrany, gdy przyszedł do mnie Pan Podstoli; wyszliśmy natychmiast do ogrodu, a usiadłszy w chłodniku, zabawiliśmy się rozmaitémi dyskursami, czekając godziny jechania do kościoła. Zaszedł pojazd, Jéjmość z córkami weń wsiadła, myśmy szli pieszo.

Kościół powierzchownie był okazały, wewnątrz porządny. Znać, że parafia była obszerna, ponieważ nacisk ludu był wielki. Porządek w umieszczeniu był bardzo dobry; osobno albowiem mężczyzni i niewiasty, młodzieńcy i panny, dzieci nakoniec obojéj płci miały swoje miejsca; żeby jednak między młodszymi był porządek, mieli na nich oko starsi, i dla tego tak między dziećmi, jako i młodzieżą obojéj płci, sędziwe niekiedy znajdowały się osoby. Ławki w kościele tak były sporządzone, iż ci, którzy stali lub klęczeli, mogli się na nich niekiedy wesprzeć, ale nie mieli sposobności siedzieć i rozpościerać się mniéj przystojnie: że zaś prawe nabożeństwo z ro-

stropnością się zgadza, i umie niedołężności dogadzać, były osobne miejsca dla osób sędziwych i słabych tak sporządzone, iż z wszelką wygodą nabożeństwa używać i Słowa bożego słuchać mogły. Przedemszą parafialną wstąpił na ambonę sam X. Pleban, i zdało mi się słyszeć jednego z dawnych Ojców kaścielnych: [1] tak nauki jego były doskonałe, sposób mówienia słodki, postać ułożona, dźwięk głosu wdzięczny, akcya żywa i poważna. Przeświadczony gruntownie, iż boskie wyroki opowiada, nie rzucał się po ambonie sposobem komedyantskim; nie głuszył słuchaczów przeraźliwym krzykiem; nie rzucał oczami na wszystkie strony. Zamiast Filipów Macedońskich i Alfonsów Arragońskich, same tylko texta Pisma Śgo brzmiały w jego ustach. Zdania Doktorów kościelnych użyte skromnie, dodawały gruntowności naukom jego. Jeżeli kiedy przytoczył historye, nie łudził pobożnéj ciekawości takowémi powieściami, które częstokroć mniéj bacznéj żarliwości przemysł stwarza; nie pomnąc na to, iż Słowo boże rzeczywiste, podobieństwa nawet fałszu nie cierpi. Trzymając się powszechnych reguł, nie wchodził w szczególne do osób applikacye. Tłumaczył wiernie słowa ewanielii, i z nich brał pochóp do zachęcenia słuchaczów do zadosyć czynienia obowiązkom uszanowania Stwórcy i miłości bliźniego. Przyznać się muszę, iż byłem wzruszony gruntownie, i nie mogłem wstrzymać łez słodkich, przy takiém opowiadaniu Słowa bożego. Skromność mężczyzn, modestya niewiast, układność dzieci, milczenie ludu, dodawały temu świętemu miejscu okazałości, i przerażały serca zbawiennym postrachem. Po kazaniu nastąpiła msza: tę lud wyuczony śpiewał; łączyłem z nimi głos mój, i zdawało mi się, iż uwolniony z więzów ciała, byłem w towarzystwie duchów niebieskich.

Powróciłem do domu zbudowany, pełen poszanowania ku Pasterzowi, uprzejmości względem owieczek. Czyniłem sobie gwałt, żeby modestyi cnotliwéj poważnego starca nie obrazić: skorośmy jednak wstali od stołu, chcąc, ile możności, z szacownéj jego rozmowy korzystać, wdałem się z nim w dyskurs. Umysłem tym świętym rządziła prostota; słowa jego niekształtne szły do serca. Otwartość jego była rostropna: pokorny bez upodlenia, miał cnotę przyjemną. Nie ganił praktyk powierzchownego nabożeństwa, ale grunt pobożności zasadzał na zadość czynieniu obowiązkom; a że jego prostéj, ale doskonałéj expressyi użyję, podwaliną duchownego budynku kładł miłość Boga i bliźniego. Nieznacznie coraz bardziéj wzruszony żarliwością swoją, obszerniéj mi wywodzić

1) Zob. niżéj o Wymowie kaznodziejskiéj w Rozdz. VI.

począł, na czém zawisło prawe obowiązkom naszym, wyrokom bożym zadosyć czynienie; jak każdy według stanu i powołania sprawować się ma; jak nie tylko słowy, ale każdym uczynkiem, każdém wzruszeniem wypłacać się należy z długu wdzięczności Stwórcy naszemu, który Opatrznością swoją i wtenczas nawet, kiedy zda się martwić, najszacowniejszémi dobrodziejstwy obdarza. O jak wdzięk cnoty jest słodki i powabny! czułem niezwyczajną jakowąś moc, niewolącą serce moje: każde jego słowo przenikało najskrytsze zakąty umysłu mojego: a gdy mówił, z oczów jego wypogodzonych i radosnych zdawała się wytryskiwać żywość jakowaś nadzwyczajna. Odszedł na katechizm, z nim dzieci Pana Podstolego; a gdy się zbliżał czas nieszporów, poszliśmy wszyscy do kościoła, gdzie z niemałém podziwieniem ten sam nacisk ludu zastałem, jako i na ranném nabożeństwie.

Powracając, wyraziłem zbudowanie moje z tego uczęszczania parafianów na nieszpory; zwyczajnie albowiem czas poobiedni świąt w inszych miejscach Państwo na próżnowaniu, pospólstwo na pijaństwie trawić zwykło. — Tak i tu z początku było, rzekł Pan Podstoli. Gdy nastał Xiądz Pleban, długo w téj mierze miał sprzecznych parafianów; żeby więc pobudził ich do uczęszczania na nabożeństwo nieszporne, zażył najdzielniejszego sposobu, przywiódł i nas i naszych sąsiadów, żebyśmy dali do tego z siebie przykład poddanym naszym. Zrazu zdawało się nam przykre to uczęszczanie; dodał Pan Bóg łaski swojéj, i poznaliśmy skutkiem to, co Xiądz Pleban powtarzał: iż czas na chwale bożéj przepędzony, najszacowniejszą jest dnia cząstką.

Lubo dobrze w nauce wiary są wyćwiczone dzieci nasze, posełamy je atoli co niedziela i święto na katechizm, a to dla tych przyczyn: najprzód, żeby w dzień takowy jak najwięcéj czasu poświęcali służbie bożéj; powtóre, żeby się ich przykładem do nauki chrześciańskiéj zachęcały dzieci poddanych naszych; potrzecie, żeby takowém z wieśniaczkami pospolitowaniem, uczyły się nasze ludzkości i pokory, mając to zawsze w przytomnéj pamięci, iż w oczach boskich wszyscy są równi; a jeżeli jest jakowa między ludźmi różnica, sama ją tylko cnota sprawuje.

2. POLOWANIE.

Rano obudzony, gdym według zwyczaju spodziewał się zastać Pana Podstolego na podwórzu, i wraz z nim iść w pole, dowiedziałem się, iż już od dwóch godzin wyjechał na polowanie. Właśnie przed samym obiadem powrócił ze zdobyczą: ja zaś

udawając się za myśliwego, wymawiałem mu, iż nie chciał mnie mieć uczestnikiem swojéj zabawy. Z poprzedzających rozmów postrzegłem, iż myśliwstwo WPana nie bawi, rzekł Pan Podstoli; przeto nie chciałem WPana darmo budzić. Siedliśmy więc do stołu: jadł smaczno Pan Podstoli, i przypisywał apetyt swój rannéj agitacyi. Dyskurs zatém wszczął się o myśliwstwie, którego jam był przeciwnikiem, gospodarz obrońcą. Polowanie, mówił on, tak, jako i inne wszystkie zabawy, ma obrońców, ma przeciwników. Jedni częstokroć wykraczają nadto wielką odrazą, drudzy zbytecznem przywiązaniem: mówmy więc bez parcyalności; zapomnij WPan, że go z natury nie lubisz, ja nie będę o tém pamiętał, żem dziś był na polowaniu. Zbytek we wszystkich rzeczach zły jest; nie będę ja więc obrońcą tych, którzy całe życie w lasach trawią: bierzmy więc polowanie w swojéj rozsądnéj mierze, zażyte niekiedy dla rozrywki i zdrowia. Każda rozrywka, która nudnych godzin uczciwie oszczędza, godna względów; cóż dopiero, gdy jeszcze zysk wieloraki za sobą prowadzi? Zysk polowania największy a pewny, zdrowie; rzadko myśliwy lekarstwa bierze; praca ustawiczna, wstrzemięźliwość, myśl nakoniec wesoło zaprzątniona, nie daje ani okazyi, ani czasu do choroby. Uprzedza myśliwy wschód słońca, nie obciąża się więc snem zbytecznym, który pospolicie szkodliwych humorów w ciele ludzkiém przyczynia i krew gęści; agitacya przysparza mu apetytu, i łatwą strawność sprawuje. Myśliwych jadło proste, przypraw korzennych nie zna; trunek najczęściéj wodą kryniczna; a przeto mało kiedy doznawają skutków wykwintnéj żarłoczności. Zdrowi, czerstwi i lekcy, do najpóźniejszéj starości, najprzykrzejsze fatygizniosą. Cóż mówić o zabawie? snują im się ustawicznie przed oczami coraz milsze widoki: dla nich zorze rumienią niebo, dla nich słońce wspaniale wschodzi, dla nich rosa ożywia ziółka, dla nich kwiaty wydają wonność; rozmaite odgłosy roznosi echo, i gdy się po kniejach rozlegać zacznie, żadna takowéj harmonii muzyka nie zdoła.

Idźmy daléj do istotniejszych myśliwstwa pożytków; powszechne zdanie czyni go wyobrażeniem wojny. Młodzież się więc tym sposobem do kunsztu rycerskiego zaprawia, przywyka trudom, hartuje się na niewczasy, nabiera odwagi, położenia miejsc upatruje, kombinacyj się rozmaitych uczy, wzrok do odkrycia rzeczy, choćby najdalszych, sposobi, przyzwyczaja się do broni i siodła, zgoła, cokolwiek do wojennego rzemiosła służy, wszystko się to w myśliwstwie znajdzie.

Nie bez przyczyny wprawiali młodzież do téj zabawy ojcowie nasi; czynili to na wzór owych narodów, które się wa-

lecznością wsławiły, męztwem obywatelów wzrosły. Od lat najmłodszych zaprawiał mnie tym sposobem mój ojciec, przywykałem fatygom, i teraz, lubo nie młody, potrafię jeszcze raźno konia dosiąść. Miałem dziś z sobą moich synów: najpiérwsi się porwali z łóżka; nie byli na manežu, przecież choć na żywych koniach, tak mocno siedzą, iż żaden z nich jeszcze szwanku nie miał.

Udając przekonanego, obiecałem Panu Podstolemu, iż na piérwszą okazyą pojadę z nim na polowanie: kiedy tak jest, śmiejąc się, słuszna rzecz, abym temu, któregom nawrócił, opowiedział, nie tylko jak być myśliwym, ale jak dobrze być myśliwym trzeba.

Najpiérwsza reguła, strzedz się losu Akteona, którego psy zjadły. Psiarnie zbyt liczne, ruiną są myśliwych. Śmiechu godne powieści tych, którzy prawią, iż skóry lisie, zajęcza sierć, niedźwiedzie sadło i inne podobne pożytki, wynagradzają korzyścią swoją wydatek. Zawsze psiarnia jest stratą; trzeba się więc z nią tak miarkować, żebyśmy nie zbyt drogo zabawę naszę kupowali.

Nie dość na tém, żeby nam psy nie umniejszały majątku, trzeba, żeby i czasu zbytecznie nie kradły. Trzeba, żeby polowanie tak było rozrządzone, iżby zabierało ten tylko czasu przeciąg, który może zbywać od prac ważniejszych. Myślistwo powinno być zabawą, nie rzemiosłem; odpoczynkiem, nie pracą.

Kiedy, i jak polować trzeba, i to do reguł myśliwskich należy. Są czasy takowe wroku, gdzie zwierza gubić nie wolno; są okoliczności, w których polować się nie godzi, a to naówczas, gdy jeszcze zboża z pola nie zebrane, lub płód zwierza niedojrzały. Wiele w téj mierze innych jest przepisów, które baczni myśliwi statecznie zachowują.

Jak polować należy, wiele jest w szczególności reguł i przepisów. Ja się nad témi najbardziéj zastanawiam, żeby tak polować, iżby przeto w gospodarstwie przeszkody nie mieć, poddanych nie obciążać, sąsiedzkich kniei, bez poprzedzającego pozwolenia, nie tykać, zbytniém zakrzątaniem i siebie i swoich nie trudzić, w samém zabijaniu zwierza znać miarę, dozorną mieć czeladź i psy po temu.

Dwie zdrożności wcale nieprzyzwoite chcą usprawiedliwiać, nie wiem jakiém prawem, myśliwi. Nazywają sztuką, psa ukraść, i zmyślać jak najbardziéj. Zmyślanie, lubo nikomu w tych okolicznościach nie szkodzi, przecież nieprawością jest, i uczciwemu człowiekowi nie przystoi. Kraść cudzą rzecz, choćby nie było grzechem, sprosność sama tak podłéj akcyi, powinnaby każdego odstręczać.

3. BIBLIOTEKA PANA PODSTOLEGO.[1]

Nimeśmy poszli do biblioteki Pana Podstolego, rzekł do mnie z uśmiechem, iż to był jeden z największych faworów, który gościowi w domu wyświadczyć mógł. Przeświadczony u siebie będąc, rzekł daléj, iż dobro powinno się udzielać, prowadziłem do moich książek sąsiadów, i pożyczałem im tych, których żądali. Cóż się stało? oto przez połowę poginęły, a te, które oddano, podarte były, albo też splamione i pozapisywane na marginesach. Żeby przynajmniéj czytający uwagi swoje, albo krytykę dzieła zapisywali, znośniejszaby rzecz była; i owszem z dobrych przypisów nabierałaby księga szacunku. Ale te przypisy albo były konotatką, wiele korcy zboża do młyna zawieziono, wiele słoniny ze śpiżarni wzięto; albo też pobożny czytelnik wielkiemi literami, dla formowania charakteru, napisał: *Ad majorem Dei gloriam.* Jeden nie mając co lepszego podobno do roboty, w kronice Bielskiego, gdzie są portrety królów, całéj familii Jagiellońskiéj wąsy namalował. Od tego czasu uczyniłem mocne przedsięwzięcie, do mojéj biblioteki nikogo nie zapraszać.

Niech to WPana nie dziwuje, że izba mała, książek nie wiele. Gdyby same tylko prawdziwie potrzebne i dobre wybierać przyszło, i tuby się jeszcze wiele próżnego miejsca zostało. Z niezliczonéj mnogości ksiąg, którémi nas handel księgarzów zarzucił, dobrze pisanych nie jest nadto; z tych dobrze pisanych, potrzebnych, ledwie dziesiąta część; a i te biorąc do braku, wiele się znajdzie, które jednoż mówią, inszym tylko sposobem i kształtem.

Po śmierci rodziców, znalazłem między rozmaitemi gratami pod dachem skrzynię starą bez zamka i zawiasów; postrzegłem, iż była napełniona księgami. Ucieszony tym wynalazkiem, kazałem ją znieść na dół; i bardzo wiele ksiąg dawnych, tak polskich jako i łacińskich, w niéj się znajdowało. Ten był piérwszy początek biblioteki mojéj, którą, ile możności, nie mnogością, ale wyborem pomnażałem i pomnażam. W téj pierwszéj szafie te są, które się religii i obyczajności tyczą: Biblia łacińska, jéj tłumaczenie polskie, piérwsze przez Leopolitę, Akademika krakowskiego; drugie z kommentarzem przez Jezuitę Wujka. Rzadki jest naród, któryby pisma Śgo tak dobrych miał tłumaczów. Następują: Postylla tegóż Wujka; kazania Skargi, tchnące duchem apostolskim, w poważnéj

1) Dla oszczędzenia miejsca, zostawiamy Nauczycielom obszerniejsze wyjaśnienie napomkniony w tym wyimku rzeczy, do czego posłuży: Historya literatury pol. przez Bentkowskiego; w Warszawie 1814. 2 Tomy.

prostocie, pełne poważnéj nauki. Księgi dogmatyczne przeciwko kacerzom Hozyusza Kardynała, Orzechowskiego, Górskiego, Warszewickiego, Sokołowskiego, Reszki, mniéj znane i szacowane od własnego narodu, niżby się należało. W następującéj szafce są książki prawne. Najprzód: Zbiór praw Rzymskich, jako źródło, z którego nasze wypłynęły; daléj: Ojczyste prawa, Statuta, Konstytucye, pracą Łaskiego, Sapiehy, Herburta, Przyłuskiego, Madalińskiego, Januszewskiego, Zalaszowskiego, Ładowskiego, Konarskiego, i innych zebrane; sławna owego Wielkiego Zamojskiego księga: *Desenatu romano;* Opalińskiego *De officiis,* Fredra *Monita politica:* Petrycego tłumaczenie Arystotelesa, Orzechowskiego *Fidelis subditus. Quinunx; Politia* Łubieńskiego; *Monita* Lipskiego o Kanclerzach, Lubomirskiego Rozmowa Artaxerxa z Ewandrem, prawdy i próżności; Głos wolny, szacowna pamiątka tego, którego los Polsce przeciwny z tronu wyzuł; Skrupuł bez skrupułu Jabłonowskiego, dobra krytyka błędów ojczystych. Szafa historyków narodu polskiego, nie zawstydzi, tak w tym rodzaju, jako i w innych, co do nauk, wiek naszych Zygmuntów może bezpiecznie z owym zawołanym we Włoszech Medyceuszowskim iść w porównanie. Widzisz WPan porządkiem Kadłubka, szacownego nie wytworem, ale starożytnością i piérwszeństwem między drugimi. Długosza, znamienitego pracą. Miechowitę rzetelnością, Bielskiego prostym i razem wybornym stylem; Stryjkowskiege ruskich latopisów wyjawieniem; Kromera powagą stylu, Orzechowskiego wyborną łaciną, Sarbiewskiego erudycyą, Sarnickiego, Kochowskiego dokładném wyrażeniem, Piaseckiego rzetelnością. Stoją rzędem inni, którzy tylko szczególne epoki swojego narodu opisywali, jakoto: Górnicki, Łubieński, Heidenstein, Solikowski, Kojałowicz, Sobieski, Fredro, Starowolski, Pastoryusz. Następują ci, którzy w rozmaitych naukach biegli, oświecali wiek swój: na ich czele zdaniem powszechném piérwsze miejsce trzyma nieśmiertelny Kopernik, Toruńczanin, Kanonik warmiński; w fizyce: Maciéj z Urzędowa, Szymon Syreniusz, Syxt, Rzączyński; w krasomówstwie: Sokołowski, Ossoliński; w stylu listowym: Karnkowski, Załuski. Poetami, jeżeli który, nasz naród szczycić się może: łacińskie wiersze Dantyszka, Krzyckiego, Klonowicza wyborne, Sarbiewski między klassycznymi mieści się. W rodowitym języku Jan i Piotr Kochanowscy piérwsze miejsce trzymają; Rej, Twardowski, Szymonowicz, Chrościński, Potocki, godni względów potomności.

Téj nowéj szafy, którą WPan na boku widzisz, nabawił

mnie nasz Król, Stanisław August, i przywiódł do expensy znacznéj; bo com przedtém corocznie pół talara tylko na kalendarz Duńczewskiego expensował, teraz po kilkaset złotych za nowe księgi wydać muszę: składam je w téj nowéj szafie; a że dyaryusze sejmów i konstytucye wiele bardzo zabrały miejsca, przeniósłem z niéj niektóre księgi do dawniejszych. Naruszewicz znalazł miejsce gotowe między Sarbiewskim a Kochanowskim, Lachowskiego położyłem przy Skardze; a jeżeli, jak się spodziewać należy, tak będą szły rzeczy, jak zaczęły, trzeba będzie albo tę izbę rozprzestrzenić, albo o drugiéj pomyśleć.

B. Z DOŚWIADCZYŃSKIEGO.

1. PIERWSZE LATA DOŚWIADCZYŃSKIEGO.

Ktokolwiek opisanie życia mego czytać będzie, niech wie zawczasu, że to ani spowiedź, ani panegiryk. Nie dla próżnéj chwały, ani upokorzenia mojego, tę pracę przedsięwziąłem; ale siedząc na wsi, gdy mam czas wolny, wolę go obrócić na to pisanie, niż łamać kark za zającem, albo w kuflu podagry szukać.

Urodziłem się w domu uczciwym, szlacheckim: którego roku, nie wyrażam, bo to się na nic nikomu nie zda: do mojéj historyi chronologija mniéj potrzebna, a mnie téż nie bardzo miło przypominać sobie, żem stary. Gdybym się chciał zasadzać na świadectwach konkluzyi i panegiryków, przypisanych przodkom moim, które zbutwiałe dotąd u mnie w kaplicy wiszą, znalazłbym się może w pokrewieństwie ze wszystkiémi familiami w Europie; alem ja od téj próżności daleki. Niesiecki nas w swoim herbarzu, na złość Paprockiemu i Okolskiemu [1], pomieścił: i mnie samemu dostało się czytać w jednym starym manuskrypcie, iż pod czas owego sławnego glinianskiego rokoszu, [2] Doświadczyński niósł bunczuk przed

1) Sąto najcelniejsi genealogiści, czyli rodopisowie (heraldycy) polscy, do których przydać jeszcze można z późniejszych czasów: Stanisława Duńczewskiego; zob. Hist. lit. pol. Bentkowskiego.

2) Zob. uczoną notę Naruszewicza w Tom 7. pag. 292. Hist. Nar. pol., który dowodzi, że wcale nie było żadnego rokoszu tego nazwiska, i że dopiero pod Zygm. III., w czasie rokoszu Zebrzydowskiego, zapewne zausznik jaki tego buntownika opisał zmyślony ten rokosz glinianski, podług niego, z czasów Króla Ludwika; w którymto szpargale oczywiście pomieszane są także okoliczności z owego rokoszu szlachty pol., którą Zygm. III. na Wołoszczyznę pod Lwów, nie daleko Glinian, zwołał r. 1537., zwanego wojną kokoszą.

Rafałem Granowskim, Marszałkiem naówczas i Hetmanem Wielkim Koronnym.

Nim zacznę mówić o mojém wychowaniu, nie od rzeczy, zda mi się, nadmienić cokolwiek o tych, od których życie wziąłem, to jest poprostu o moim ojcu i o mojéj matce. Ojciec mój po stopniach Skarbnik, Wojski, Miecznik, Łowczy, Cześnik, Podstoli, sześćdziesięcioletnie ziemi swojéj i województwa usługi, a ustawiczne na sejmiki elekcyjne i gospodarskie peregrynacye, przy kresie życia szczęśliwie nagrodzone i ukoronowane zobaczył: został Stolnikiem. Do tego nawet stopnia konsyderacyi już był przyszedł, że go podano ostatnim kandydatem do Podsędkostwa; ale przeciwna cnocie fortuna nie pozwoliła dójść tego stopnia; prędko się jednak uspokoił zwyczajną nieszczęśliwym reflexyą nad marnościami świata tego.

Dopomogła do takowéj rezolucyi nader szczęśliwa natura; był albowiem z tego rodzaju ludzi, których to pospolicie nazywają: Dobra dusza. Nic on o tém nie wiedział, co robili Grecy i Rzymianie, i jeżeli co zasłyszał o Czechu i Lechu, to chyba w parafii na kazaniu. Co mu powiedział niegdyś jego ojciec, a a jak starzy twierdzili, jeszcze lepsza dusza, niż on, to téż samo on nam ustawicznie powiadał; tak dalece, iż u nas nie tylko wieś, ale i sposoby mówienia i myślenia były dziedziczne. Wreście był to człowiek rzetelny, szczery, przyjacielski; i choć nie umiał cnót definiować, umiał je pełnić. Z téj jednak nieumiejętności definiowania pochodziło, iż się był względem ludzkości nieco pomylił: rozumiał albowiem, iż dobrze w dom gościa przyjąć, jest toż samo, co się z nim upić. Ztąd poszło, że się i inwentarz zmniejszył, i zdrowie nadwerężyło; znosił jednak podagrę sercem heroicznem; i kiedy mu czasem pofolgowała, często natenczas powtarzał, iż miło cierpieć dla kochanéj ojczyzny. Matka moja z dzieciństwa wychowana na wsi, dla odpustu chyba nawiedzała pobliższe miasta: zkąd każdy łatwo wnieść sobie może, że jéj na wielu talentach teraźniejszych brakło. Nie obchodziło ją to bynajmniéj; i gdy raz strofowana była od jednego modnego kawalera, iż zdawała się mieć zbyt surowe maxymy i dzikość niejaką, obrażającą oczy wielkiego świata, rzekła mu w szczerości ducha: że woli prostacką cnotę, niż grzeczne występki.

Piérwsze lata niemowlęctwa mojego, przepędzone były w orszaku niewiast; nie dobrze jeszcze artykułowane słowa tłumaczyły piastunki i niańki za dziwnie roztropne odpowiedzi; te z niesłychaną skwapliwością zaraz opowiadano matce mojéj, która zwyczajnie od tego punktu zaczynała dyskursa w każdém posiedzeniu; potakiwali ziewając sąsiedzi; a nie jeden byłby

może nakoniec i zasnął, gdyby ich był ojciec nie budził częstémi kielichy. Orzeźwieni naówczas, wynurzali koleją obfite życzenia i proroctwa, a mój ojciec płakał.

W dalszym czasów przeciągu nie raz mi na myśl przychodziły zdrożności pierwiastkowéj edukacyi, i zastanawiałem się nad tém, jak jest rzecz zła i szkodliwa, w niemowlęcym nawet wieku, poruczać dzieci osobom, nie mającym żadnego oświecenia. Tkwią mi do tego czasu w głowie bajki i straszne powieści, którychem się aż nadto nasłuchał; i częstokroć, mimo rozumną konwikcyą, muszę się z sobą pasować, żebym gusłom i zabobonom nie wierzył, lub wykorzenił bojaźń jakowąś i wstręt, gdy zostaję bez światła, albo na osobności.

Nadto wkradał się nieznacznie gust obmowy; słysząc albowiem, jak każdego z dworskich obyczaje niewiasty krytykowały, te zaś powieści mile przyjmowane przed starszymi bywały; wziąłem to sobie za punkt pozyskania łaski matki lub ochmistrzyni, cokolwiek też przed niémi na drugich mówić; a gdy brakło okazyi, udawać się musiałem do kłamstwa. Uważałem i to, że jak wieczorne rozmowy były zwyczajnie o upiorach, czarownicach i strachach, tak ranne o snach: jedna drugiéj z kobiet opowiadała, co się jéj śniło; a z ich tłumaczeń i wróżek nauczyłem się, iż gdy się komu ogień marzy, gościa się w domu spodziewać trzeba; a gdy ząb wypadnie, zapewne natenczas ktoś z krewnych umrze.

Tak do lat siedmiu przebywszy w domu, trafiło się, iż przyjechał do nas brat matki mojéj, człowiek urzędem, nauką i wiadomością świata znamienity. Przypatrywałem się pilnie Wujowi memu, tym bardziéj, iż widziałem, że go rodzice moi bardzo szanowali; dziwowałem się, iż dwa dni u nas siedząc, jeszcze się był nie upił; Xiędzu Lektorowi, mówiącemu o upiorach, wierzyć nie chciał.

To mi wstręt do niego zaczęło czynić, iż się zemną nie tak jak drudzy bawił; a co gorsza, zapędzoną w pochwały moję matkę nie pomału, mnie zaś niezmiernie zmieszał, gdy się zapytał, czy ja umiem czytać, pisać i inne wiekowi przyzwoite mam wiadomości.

Piérwszy raz obiły się o moje uszy natenczas takowe słowa: matka z początku chciała o czém inszém dyskurs zacząć, ale gdy coraz bardziéj nalegał, rzekła natenczas, i ledwo nie słowo w słowo jéj dyskurs pamiętam: Podobno się zdziwisz, braciszku, gdy ci powiem szczerze, że nasz Mikołajek dotąd ani pisać, ani czytać nie umie; ale nie będziesz nas z mężem moim winował, gdy ci opowiem przyczyny, dla których nie chcieliśmy się spieszyć z jego nauką. Najprzód dziecię jest deli-

katne, słabe; mogłaby mu szkodzić zbytnia sedentarya, którą i nad elementarzem mieć trzeba. Potém, jak sam WMPan widzisz, niezmiernie jest bojaźliwe; gdybyśmy mu dyrektora dali, straciłoby fantazyą: ta zaś raz stracona, powetować się nie może. Trudno téż znaleść doskonałego takiego człowieka, jakiegobyśmy chcieli mieć do jego edukacyi; a nakoniec, jużto ostatnia rzecz, jak mówią, młode źrebię łamać.

Dobrze mówisz, moja Panno, odezwał się Jegomość; świętéj pamięci nieboszczyk mój Ojciec (Panie świeć nad duszą jego), toż samo o mnie mówił; ale jednakowo, kiedy Jegomość tak mówi, podobno lepiéj dać Mikołajka do szkół. Opatrzy z łaski swojéj i miejsce i człowieka: a tymczasem wypijmy za zdrowie Jegomości, mojego Miłościwego Pana i kochanego mego dobrodzieja.

Z jaką radością moją, a może i matki, odjechał nazajutrz ten wspólny nasz nieprzyjaciel, wyrazić trudno: jednak jego dyskurs zostawił w umyśle ojcowskim fatalną impressyą. Coraz mowę zaczynał o szkołach; nawet kupiono elementarz i tablicę do pisania. Bolało to niezmiernie matkę; jednak, jako była bogobojna, gdy jéj w tém uczyniono skrupuł, że mnie na zgubę moję pieści, uczyniła zapewne najheroiczniejszą w życiu swojém ofiarę, gdy zezwoliła na to, abym był wysłany do szkół publicznych; ojciec albowiem upornie i z wielką natarczywością ganił domową edukacyę, dla téj przyczyny, że tego przedtém w Polsce nie bywało. Co na to odpowiadała matka, nie pamiętam; to wiem i dobrze pamiętać będę, że po długich utarczkach, troskach, pożegnaniach, błogosławieństwach, nakoniec w rzewliwym płaczu do szkół wyprawiony zostałem.

2. EDUKACYA ZAGRANICZNA.

Jéjmość, nie wiem dla jakiéj przyczyny, wielką miała odrazę od narodu polskiego; i jakby się urodziła za granicą, w każdéj okoliczności czyniła porównanie narodu polskiego z cudzoziemskiémi; a w tém porównaniu zawsze lepiéj było u obcych, niż u nas. Bronił niekiedy mąż Polskę, ale Jéjmość, jak zazwyczaj, była wymowniejsza, i na tém się dysputy kończyły, iż Jegomość ramionami wzruszywszy lub głową kiwnąwszy, odszedł: i dobrze czynił, boby był małżonki nie przeparł.

Skoro panicz z rąk mamek i piastunek wyszedł, dano mu kamerdynera Francuza, i lokaja Niemca, nie umiejących i słowa po polsku; jakoż w lat trzy już nie źle poniemiecku i francuzku mówił, ale własnego języka nie umiał. Śmieszny był widok dziecko cudzoziemskie w kraju swoim: a gdy się takowemu dziwotworowi sąsiedzi z zadumaniem przypatrywali, Jéj-

mość mówiła, iż ojczysty język sam z czasem przyjdzie; i przyszedł, ale tak, iż mówi po polsku, jak gdyby niebył Polakiem; gdy zaś pisze, co mu się rzadko trafia, ledwo go zrozumieć można. Z ustawicznego, które słyszał, chwalenia cudzych, a nagany własnego narodu, wkorzeniła się w umysł młody wzgarda kraju takowa, iż kiedy chciał kogo obelżywie traktować, nazywał Polakiem: co Jéjmość wielce bawiło.

Przyszedł czas nauk: sprowadzono guwernera Francuza, preceptora Szwajcara i dwóch metrów, matematyki i tańca. Zaczął ztąd, gdzie przedtém kończono: wszystko pojął w półtrzecia roku, a tak dobrze decydował, iż nie można się było odezwać nikomu przed nim ze zdaniem swojém: co wielce cieszyło metrów. Ojciec nie nazbyt uczony, chwalił to, czego nie rozumiał; matka rozpływała się w pociesze, roztropni zaś ludzie żałowali talentu źle użytego. Wyprawiono go do cudzych krajów, gdy miał lat szesnaście. Najpierwsze zalecenie od matki miał guwerner, ażeby się woli ucznia nie sprzeciwiał w niczém, i sprawiedliwą tego rozkazu kładła przyczynę, a ta była, iż uczeń więcéj miał rozumu, niż nauczyciel.

Nie w smak szły Jegomości częste wexle, i nieraz z westchnieniem serdecznem powiadał, iż rozum za granicą bardzo drogi. Nie wiem, czyli ztąd pochodząca zgryzota życia mu nie skróciła; przed powrotem albowiem syna, życia dokonał.

Po czteroletniéj peregrynacyi, powrócił do ojczyzny panicz, a na przyjęcie jego umyślnie do téj majętności zjechała matka. Byliśmy wszyscy sąsiedzi świadkami przyjęcia, a potém tego, co wkrótce nastąpiło. Drugiego dnia zaraz barszcz z rosołem ze stołu zeszły, kucharzy sarmackich wypędzono, zaś marszałek z koniuszym, że się przebrać po francuzku nie chcieli, stracili miejsce: zgoła, słowa polskiego nie było w nim słychać; my też widząc, iż cała konwersacya z guwernerem i Monsiu L'Abbé, który z Paryża przyjechał, wyjechaliśmy, zimniéj jeszcze pożegnani, niż przyjęci.

Wkrótce też Jéjmość z synem, guwernerem i Monsiu L'Abbé wyjechała do Warszawy, a niezabawem doszła nas wieść o jéj śmierci i powtórnym wyjeździe syna do cudzych krajów. We trzy lata powrócił, a bawiąc w Polsce od lat kilku, w dobrach nie postał, tylko Pan Komissarz, biegły w planty ogrodowe i ułożenie apartamentów. Co teraz czyni ów panicz i gdzie się znajduje, nie wiem; żal mi jednak tak zacnego domu dostatków, które teraz przez tego marnotrawcę na łup pójdą.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

KRASOMÓWSTWO.

1. WSTĘP.

a) O potrzebie sztuki dobrego pisania.

Ludzie w żadnym rodzaju sztuk i umiejętności nie przestali na zaspokojeniu gwałtownych tylko potrzeb. W każdéj rzeczy przyjemność i ozdoba były zaraz drugim celem życzeń i usiłowania. Mowa, któréj szczególnym zamiarem było tłumaczyć myśli i udzielać ich drugim, posłużyła w postępie czasów do powiększenia liczby roskoszy i przyjemności człowieka. Nie dosyć było uszykować wyrazy podług praw zwyczaju i natury języka, trzeba było jeszcze w taki je ułożyć porządek, aby przywiązywały uwagę, wzruszały serce, i miłém brzmieniem podobały się uchu. Namiętność pospolicie tłumaczyła się żywiéj, i nadawała jakiś szczególny obrot wyrazom, które ją malowały. Ludzie w podziele od natury otrzymali różne przymioty: zdarzali się tacy, którzy mówili z większą przyjemnością, z większą mocą; i na których ustach spoczywało, że tak powiem, przekonanie. Byłato bez wątpienia broń, którą piérwszy wielki człowiek podbił pod moc swoję tłumy niesfornéj dziczy, zgromadził rozpierzchnionych mieszkańców lasu, wlał w ich serca miłość towarzyskiego życia, posłuszeństwa prawom i stanu rólniczego. Podania bajeczne o Linusie, Orfeuszu, Amfionie, i cuda przypisane czarodziejstwu ich lutni, są tylko allegoryami, okazującémi moc, jaką wymowa miała nad umysłami.

Każdy wyższy talent, znajdując wielbicielów i naśladowców, daje początek sztuce. Starano się wyrównać tym wielkim ludziom, których potrzeba lub namiętność wymownymi czyniła; starano się odkryć ich sposoby, wyświecić tajemnice, i przejąć się duchem, który ożywiał ich mowy. Ztąd się urodziły prawidła, uwagi i postrzeżenia w każdym rodzaju wymowy; ztąd wzięła początek nauka, zwana retoryką, to jest nauką dobrego mówienia i pisania.

Przystósowania téj nauki są niezliczone, i potrzeba jéj w każdym stanie towarzystwa czuć się daje. Wymowa zanosząc przekonanie w umysły i wzruszając serca, staje się najdzielniejszą bronią, pod którą bezpiecznie spoczywa niewinność, a któréj się lęka występek. Najświętsze prawdy religii i moralności, najważniejsze sprawy narodów,[1] najgłębsze badania nauk, mocniéj i skuteczniéj bywają ogłaszane przez usta albo pióro wymowne.

Pisma, w których się pożytek łączy z przyjemną zabawą, w których są zatrudnione rozum, imaginacya i serce, stają się roskoszą życia, i zachęcając do czytania, rozszerzają oświecenie, nawet między klassy tych ludzi, którzy nie mają ani dosyć ochoty, ani dosyć sposobności oddawania się naukom. We wszystkich stósunkach towarzyskiego życia czuć się daje potrzeba poprawnego i przekonywającego pisania; słowem, nie masz stanu, wieku i płci, gdzieby ta nauka była rzeczą obojętną. Lecz gdyby tych nawet nie miała korzyści, gdyby nie mogła uczynić wymownym (bo sztuka często bardzo nie jest zdolną zwyciężyć przeszkód położonych od natury); zawsze jednak przyłoży się wiele do ukształcenia smaku, upewni w nas i ugruntuje to delikatne czucie piękności, które nas ostrzeże w każdym czasie o zaletach lub wadach dzieła, a tém samém pomnoży liczbę przyjemnych uczuć i roskoszy naszych.

(Z dzieł Słowackiego)

b) O podziałach w mowie.

Samo przyrodzenie wiodło nieprzygotowanych mówców, że mowę swoję zaczynając, starali się zjednać sobie łaskawość i pilność słuchaczów, czasem skromnością swoją, czasem okazaniem wielkiéj ważności rzeczy, do mówienia przedsięwziętéj. Trafiało się niekiedy, że w mocném poruszeniu duszy, znagła mowę swoję zaczynali: żal, gniew, gorliwość o dobro pospolite lub obronę niewinności, i tym podobne wzruszenia w piérwszym wstępie mowy, czyniły ją gorącą, żwawą, rozrzewniającą, albo obruszającą innych. Układacze kunsztu krasomowskiego zrobili ztąd przepisy o exordyach wolnych i o exordyach nagłych (*ex abrupto*).

Każdy, który mówił, musiał mieć rzecz do mówienia przedsięwziętą i założoną. Jeżeli do sprawy, którą utrzymywał, lub rady, którą dawał, trzeba było opisać przypadek jaki,

1) Nie od rzeczy będzie przytoczyć tutaj: Zbiór mów w czasie sejmu konstytucyjnego 1789—90 w Wilnie. 12 tom. Celniejsi mówcy byli: Czartoryski, Sapieha, Wawrzecki, Mostowski, Matuszewicz, Zaleski, Linowski, Niemcewicz, Wejsenhof, Kiciński, Sołtyk i t. d.

opowiadał go słuchaczom swoim. Będzie więc drugą częścią mowy, rzekli retorowie, powieść i założenie mowy (*narratio — propositio.*)

Jeżeli mówiącemu szło o przekonanie słuchaczów, żeby na zamierzoną od niego rzecz przystali, zbierał dowody przedsięwzięcia swego; obrotny dowcip jego kazał mu, żeby słabsze okoliczności utajał, albo wśród poprzedzające i następujące mocne dowody, te, które takiéj mocy nie miały, mieścił: chcąc swoje utrzymać, musiał często przeciwne zbijać. Z tego składu mowy wnieśli retorowie, że trzecią, czyli czwartą częścią mowy być powinno: potwierdzenie i zbijanie (*confirmatio — refutatio.*)

Skłaniała się mowa ku końcowi swemu, wypadło często mówcy zebrać w zamknięciu krótko, co obszerniéj przełożył w osnowie mowy: wypadło natężać wyrazy myśli i uczucia swego. Poruszenia ztąd rodziły się mocniejsze. Chciał mówca, aby słuchacz odchodził z głębszém w umyśle wywodów jego wrażeniem, aby żywiéj tknięty i wzruszony, poddał się zwycięzcy swemu. To często z przyrodzenia, z okoliczności rzeczy wynikało. Mistrze retoryki przepisali, żeby *contentio* w ostatniéj mówienia części miejsce miało, żeby *peroratio*, zamknięcie mowy, koniecznie zawierało powtórzenie wszystkiego, co się mówiło, i żeby mówca wysilał się na wzruszenie słuchacza swego koniecznie. Toż mówić o sposobach, postaciach i przenośniach mowy (*figurae, tropi*). Nic z natury rzeczy nie masz zwyczajniejszego, jak w pospolitych nawet rozmowach najprościejszych nawet ludzi, używanie figur i przenośnych wyrazów: niektóre z nich służą do większego objaśnienia, niektóre do większego wzruszenia.

e) Skutki wymowy.

Oskarzony jest przed zwycięzcą Cezarem, Ligaryusz, obywatel rzymski, że się do nieprzyjacielskiéj strony przyłączył. Cezar, od którego woli cały los i zdrowie obwinionego zawisło, równie straszny orężem jak dowcipem, ledwie się skłania na słuchanie Cycerona, chcącego bronić Ligaryusza. Umysł uprzedzony przeciw oskarzonemu i prawie lekce ważący obrońcę, pewną przegraną wróżyć się zdaje. „Czemuż nie mamy,“ rzekł Cezar, „posłuchać trochę dłużéj mówiącego krasomówcę Cycerona; bo co się tyczy Ligaryusza, nic pewniejszego, jako, że jest niepoczciwy człowiek i główny mój nieprzyjaciel.“ Zaczyna mówić Tuliusz: wkrótce wszyscy postrzegają osobliwsze jakieś pomieszanie w Cezarze. Twarz jego raz się czerwieni, drugi raz blednieje. Gdy mówca wzmiankę Farsalskiéj bitwy

czyni, cały zmieniony, wódz zwycięztwami dumny zadrżał. Pisma, które naówczas trzymał, wypadają mu z ręki: pokonała go wymowa. Ligaryuszowi odpuścić winę, wolnym go i bezpiecznym ogłosić jest przymuszony.

Przeniesieni do dawniejszych czasów Rzeczypospolitéj ateńskiéj, stawieni wśród tamtego ludu na środku miasta, widzimy znaczną liczbę kobiet, cisnących się ku jednemu miejscu; porywają z pomiędzy siebie jednego obywatela, wieńczą laurami głowę jego, z okrzykami prowadzą do domu. Pytamy się, co to iest za człowiek? co ten tryumf znaczy? co wiedzie te niewiasty? co je ożywia? Oto Perykles skończył dopiero mowę na pochwałę wojowników którzy mężnie za ojczyznę polegli w bitwie przy Samos. Te kobiety, które ściskają mówcę, które mu taką cześć wyrządzają, sąto matki, żony osierociałe poległych rycerzów. Zapomniały, że ich wojna pozbawiła dzieci i oblubieńców. Pochwały Peryklesowe dla nich, tyle w ich sercach dokazać mogły. Co za dzielność, co za skutki przedziwne wymowy?

(Z Piramowicza: O wymowie i poezyi, zobacz niżéj.)

2. MOWA DO UCZNIOW.

Przed rozpoczęciem nauk.

Młodzi szkolna! Dla ciebie są wszystkie przedsięwzięcia i dobrodziejstwa Rządu, dla ciebie wszystkie prace i usiłowania nauczycielów, które byłyby daremne i zgubione, bez waszéj usilności i bez waszego przyłożenia się. Nauki są słodkie owoce, zbierać się nie dające bez pracy i znoju, osadzone na drzewie, tysiącem przeszkód opasaném, do którego przedzierać się trzeba ciągłém pokonywaniem trudności. Są to płody długiego postrzeżenia, głębokiéj uwagi, dowcipu, i bystrego rozumu; których przyswoić nie podobna, tylko długiém a czasem trudném trawieniem, to jest wytężeniem sił pojęcia i rozwagi. Te siły pojęcia, jak wszystkie siły człowieka, ani się wzmacniają, ani się rozszérzają, tylko pracą i usilném ich ćwiczeniem. Nauczyciele opowiadaniem nauki objawiać wam będą myśli i prawdy, które wam należy pilnie i często rozważać; będąto światła rzucone, które zgasną, jeżeli ich ustawiczném rozmyślaniem utrzymywać i rozniecać nie będziecie. Nie wszyscy jesteście jednym stopniem pojęcia obdarzeni; jednych z was nauka wiele pracy kosztować, drugim z łatwością przychodzić może; jak piérwsi zrażać się nie powinni trudnością, bo ciągła i uporczywa praca wszystko pokonać zdoła; tak drudzy nie powinni dowierzać łatwości pojmowania, i oszukiwać się błyskotkami pamięci. Być gruntownie uczonym, nie jestto jedno,

co wiele rzeczy pamiętać; ale jestto zgłębić je rozumem, obejrzeć skrzętną uwagą ze wszystkich stron, umieć ocenić ich stopień pewności lub wątpliwości, uszykować sobie porządnie wyobrażenia i myśli, i widzieć całą osnowę nauki, jak jedno pasmo prawd i początków, wywijających się jedne z drugich. Przydam jeszcze do tego, że być gruntownie uczonym, jestto przystósować naukę do osobistego doskonalenia samego siebie; to jest, wyciągać sobie z niéj pewne i stateczne prawidła do czystego rozsądku o rzeczach, i do prawego postępowania w sprawach i zdarzeniach życia. Nie dosyć bowiem, żebyście się usposobili na ludzi światłych i uczonych, ale wam jeszcze należy być ludźmi godnymi szacunku przez obyczaje i przykładne życie: powinniście w postępkach waszych okazywać uszanowanie dla tych prawd, które czerpacie w naukach. Człowiek uczony bez obyczajów, jest zniewagą nauk, i najniebezpieczniejszą zarazą towarzystwa: jestto chodząca sprzeczka myśli z uczynkami. Głęboka uwaga stawi wam przed oczyma rozległą jeszcze niewiadomości przestrzeń, która wam wskaże potrzebę doskonalenia się i pracy, nauczy was być skromnymi, uleczy was od niedorzecznéj wady półmędrków, którzy przysionek nauk biorą za ich granicę, a szczupłe zapasy swych wiadomości, za wszystkie rozumu ludzkiego zdobycze i skarby. Im więcéj zagłębiamy się w naukę, tym więcéj uczymy się poznawać, jak nam wiele brakuje. Próżność więc i nadętość z umiejętności, jest znakiem słabéj głowy, niezdolnéj do zgłębienia tego, co się w niéj zawiązało i utkwiło. — Nadzieje w was położone Rodziców, krewnych, domowników, rządu i ojczyzny, ostrzegać was powinny, że w ich dopełnieniu lub zawiedzeniu, zawarta jest własna wasza szczęśliwość lub niedola. Pamiętajcie, że młodość jest porą uprawy i zasiewu; a reszta życia żniwem pożytków z dobrze przepędzonéj, albo zbiorem udręczeń, ze źle strawionéj młodości. Korzystajcież z téj pięknéj chwili życia waszego, abyście się usposobili na pociechę samym sobie w wieku dojrzałym i sędziwym, żebyście wyrośli na pokolenie, godne dobroczynności monarchy, wdzięczne starań Rodziców i Nauczycielów, a chlubne dla narodu i zgromadzenia naszego. (J. Sniadecki. Zob. niżéj.)

3. MOWA
o potrzebie korzystania z czasu.

Rozsądne kierowanie młodością, porządne nauk rozłożenie i podawanie, jest piérwszym warunkiem gruntownego oświecenia i dobrego wychowania; zkąd łatwo wyprowadzić i niebezpieczeństwa instrukcyi prywatnéj, i pożytki szkół pu-

blicznych, i potrzebę, aby w bieg i porządek nauk pilnie wglądała zwierzchność krajowa. W ciele czerstwém i zdrowém, umysł obeznany z własnościami rzeczy, umiejętnie i trafnie o nich sądzący, głębokie czucie sprawiedliwości, skłonne do uniesień uczciwych i szlachetnych, miłość prawdy i porządku, nawyknienia przyjemne, obyczajne i cnotliwe, oto są owoce dobrze usposobionego przez instrukcyą człowieka. Żebyście wyszli na ludzi takich, potrzeba ze strony waszéj pracy i usilności. Próżniactwo jest nie tylko szkodliwą przywarą młodości, ale obrócone w nałóg, jest jeszcze na całe życie gniazdem wielu nieszczęść, zdrożności i zbrodni w towarzystwie: czego dowodzą i obyczaje żyjących, i dzieje wszystkich narodów. Przez nie człowiek wszystko w sobie doskonalić zaniedbuje, staje się niewdzięcznym Twórcy i przyrodzeniu, zakopując dary ciała i umysłu: wyrasta na nieużytecznego, a częstokroć szkodliwego członka społeczności; przywyka do opuszczania i lekce ważenia obowiązków, od których nikt w życiu wolnym być nie może: gotuje sobie nudę, nieodstępną całego życia męczarnię i towarzyszkę; od któréj uciekając, rzuca się w nałogi i roztargnienia, rujnujące jego zdrowie, fortunę, a czasem dobrą sławę i uczciwość. Nie trzeba się więc dziwować, że piérwszy a surowy Ateńczyków prawodawca, Drako, położył próżniactwo w liczbie najszkaradniejszych zbrodni, i na nie, jak na ojcobójstwo, równe kary rozciągnął.

Człowiek, z przepisu natury, jest stworzeniem czynném: jego siły i władze raz odsklepione i wydobyte, potrzebują ruchu i użycia. Nie masz zaś biedniejszego stworzenia, jak człowiek młody, do niczego nie przywiązany. Wszystko mu się wydaje obojętne i nudne; dorywcze zabawki są tylko dla niego przemijającém roztargnieniem na zgubę czasu. Dla niego świat cały, trzeba, żeby się jak Proteusz ustawicznie odnawiał i przemieniał, żeby latające jego żądze mógł rozerwać i zatrzymać. Do uniknienia téj przywary trzeba szanować czas, i być rządnym w jego użyciu.

Powinienem was jednak ostrzedz, że złość, przewrotność, szkodliwa a wygórowana namiętność, są także pracowite; wytężona duma i chęć panowania, chciwość nieumiarkowana dostatków, pieniactwo, z całą czeredą szalbierstwa i wykrętarstwa, wyuzdana zazdrość i zawziętość, w jakież nie rzucają się trudy, mozoły i niebezpieczeństwa, żeby mnożyć cudze nieszczęścia, uciski i niepokoje! Młode wasze i niewinne serca, wzdrygnąwszy się na te okropne zdarzenia świata, tym mocniéj zapalać się powinny do dobrego. Przyrodzenie wśród nadobnych stworzeń, wydaje także potwory i straszydła; a to-

warzystwo ludzkie cierpieć musi klęski zaniedbanego wychowania i złego prawodawstwa. A jeżeli są ludzie, będący biczem i obelgą społeczności, są także drudzy, będący jéj przykładem i ozdobą; tamtych ściga wśród samych powodzeń przekleństwo i pogarda, tych otacza cześć, błogosławieństwo i szacunek. Dobroczynne nauk światło, prawe i nieskażone wasze skłonności, nie dadzą wam zapewne zboczyć z drogi honoru i cnoty; a spotykane w towarzystwie występki ostrzegają was, że kiedy źli pracują na hańbę i pogardę, wy pracować macie na dobrą sławę i szacunek: a zatém, że podnietą pracy być powinna żądza szlachetna i uczciwa, wam samym i społeczności pożyteczna. (Jan Śniadecki.)

4. MOWA

piérwszego twórcy języka, zachęcająca współ-towarzyszów do kształcenia głosu na mowę.

Cóż to jest, kochani towarzysze, że my, z łaski Najwyższego Stwórcy, będąc królami zwierząt dla rozumu, którym sami wyłącznie obdarzeni jesteśmy, w niczém prawie wyższości nad zwierzęta nie pokazujem? Pókiż szlachetniejsze od bestyi człowieczeństwo gnuśne spodlamy, nie podnosząc się za ich szranki? Pięknieżto, że gdy one nas w sile, dźwiganiu ciężarów, w szybkości chodzenia i latania, budowaniu gniazd i siedlisk przewyższają, my, mniemane tylko podobne króle, patrzymy na to z radością, a nie lękamy się, żeby ich przemoc nie wydarła nam panowania? Dała nam łaskawa natura rozum za jednę różnicę, czemuż my sobie nie robimy drugiéj różnicy z głosu? Głos nad migi byłby zrozumielszą różnicą. O! jakbyśmy upokorzyli zwierzęta, gdyby tak sobie pomrukiwać musiały: oto najbiedniejszy człowiek różni się od nas rozumem i mową. Już coś sroki, papugi, szpaki, foremniejszego od nas przemawiają, wyrzucając nam nie tak niedołężność, jak lenistwo. Takażto ma być społeczność rozumnego i towarzyskiego rodu? siedzieć i nudzić się w smutném milczeniu? Gdzież jest wzajemne udzielanie sobie nabytych wyobrażeń? gdzie rada w wątpliwości? gdzie pociecha w smutku? gdzie obmyślanie środków na uszczęśliwienie nie szczególnych tylko osób, ale całości towarzystwa naszego? mamy za to, kochani współziemianie, że głos nasz, ukształcony na mowę, wszystkiemu temu da radę. Zakrzątnijmy się więc około tak chwalebnego a potrzebnego dzieła: nie będzie ono zaraz doskonałe, ale potomkowie nasi doskonaląc je, z czasem nam honor pierwszeństwa przyznają. (Kopczyński. 1)

1) Pomiędzy badaczami mowy polskiéj piérwsze bez wątpienia zajmuje

5. PRZEDMOWA DO GRAMMATYKI POLSKIÉJ.

Kochany Narodzie! Przedsiębierzesz razem zemną poznanie ojczystego języka, i jako tłumacza myśli twoich, i jako wiecznéj imienia twego pamiątki.

Od trzech przeszło wieków mamy liczne umiejętności i nauki w języku naszym, dla wykształcenia narodu pisane; a nauki językowéj, czyli grammatyki właśnie polskiéj nie mamy. W porządku atoli nauk, umiejętność języka na ich czele stać powinna, jeżeli mają być przydatne narodowi. Wszystkie działania ludzkie, małeli, wielkieli, mają pewne prawa, bez zachowania których dobrémi być nie mogą: a cóż sądzić o mowie, jako najpiękniejszéj i najpospolitszéj sprawie człowieka? —Mając wrodzoną w duszy wyniosłość, dążącą do działania coraz doskonalszego, wstydzilibyśmy się zostać na najniższym stopniu mowy, pełnéj grubych błędów, prostactwa, ciemności, a uprzykrzenia słuchaczom. Chcielibyśmy raczéj piąć się do owego wymowy stopnia, na którym ludzie znający i zachowujący językowe prawa, tłumaczą się poprawnie, jasno, kształtnie i roskosznie. Cóż jest za sposób pozbycia złych, a nabycia dobrych mówienia nałogów? Oto postrzeganie i naśladowanie tych, którzy lepiéj mówią i piszą. Wszystkich postrzeżeń ani jeden, ani razem uczynić nie może: jestto lat i towarzystw dzieło, które w porządną naukę obrócone, i przed oczy naśladowców w krótkim zbiorze wystawione, daje poznać i wady i przymioty języka; a wyciągnionémi z przykładów prawidłami, uzbraja każdego do chronienia się złego, a do naśladowania dobrego.

---

miejsce Onufry Kopczyński. Urodził się w Czerniejowie, dawniéj w województwie gnieźnieńskiém, roku 1735. W młodym wieku wstąpiwszy do zakonu XX. Pijarów i w nim pełniąc z chlubą obowiązki nauczyciela, zajął się gorliwie wyjaśnieniem zasad mowy polskiéj. Przez nadzwyczajną gorliwość i wytrwałość w tak trudnym zawodzie, dokazał tego Kopczyński, że język dotąd mniéj ceniony w własnym nawet kraju, stał się najważniejszym przedmiotem naukowym po wszystkich szkołach polskich. Każdy więc Polak z wdzięcznością imię to wymawiać powinien, jaka się słusznie należy prawdziwéj zasłudze. Umarł Prowincyałem Zakonu i Wizytatorem szkół w Warszawie 1817 r., udarowany krótko przed zgonem medalem złotym od wdzięcznych ziomków za grammatykę języka polsk. Pisma jego są: 1) Grammatyka dla Szkół narodowych, na 3 klassy podzielona, z Przypisami r. 1778. 2) Układ Grammatyki r. 1785. 3) Treść Gram. pol. 1806. 4) Poprawa błędów w ustnéj i pisanéj mowie r. 1808. 5) Gram. jęz. pol, dzieło pozgonne, r. 1817. 6) *Essai de Grammaire polonaise pour les Francais, Vars.* 1817. Prócz tego niektóre rozprawy i wiersze w pol. i łac. języku.

Takieto teraz, kochani Ziomkowie! przedsiębierzemy dzieło. Po pilném przebieżeniu tych grammatycznych postrzeżeń, wniesiemy sobie, jak nam są istotnie potrzebne do poprawy zaciągnionych z pospolitego nałogu błędów. Wtedy poznamy, jak się nie zgadza z prawdą gminne mniemanie: że urodzony Polak popolsku i bez grammatyki umieć musi.

Na ten gruby niezmiernie przesąd, jest jeszcze szkodliwsze mniemanie, że mowa nasza nie zasługuje nawet na imię języka, ponieważ jest grubą, ubogą i nieprawidłową. Co za grammatyczne bluźnierstwo! co za dziecinna niewiadomość ojczystych rzeczy! Któż cię to uzuchwalił, taki wyrok zmyślić i ogłosić? wyrok, który jest największą tamą doskonalenia u rodaków języka, i utwierdzeniem cudzoziemskiego o nim przesądu? Jak się godzi nieznajomą sądzić sprawę? jak przystoi tak okrutny na sławę narodu wydawać wyrok, dla którego znakomitsze w kraju osoby, przez pogardę własnego, wolą mówić i pisać językiem cudzoziemskim? Któż te szkodliwe przesądy, kto te ohydne mniemania przełamie i wykorzeni? kto wysoką zacność mowy naszéj okaże?

Kochani Rodacy! nie śmiem zdaniem mojém uprzedzać waszego sądu. Stawiam tylko przed oczy wasze zbiór krótki postrzeżeń nad językiem ojczystym; wnidźcie w ich jasną i rzetelną prawdę, a po wydanym narodowym wyroku, otworzą się swojskie i cudzoziemskie oczy, a niewiadomość i zazdrość zamknie usta. (Tenże.)

6. MOWA PAWŁA EMILIUSZA
do młodych Rycerzy, po odniesioném zwycięztwie nad Perseuszem.

Paweł Emiliusz zwyciężonego Perseusza przyjąwszy, długo był w zamyśleniu i milczał: dziwili się temu, zwłaszcza młodzi. Nakoniec Emiliusz o rzeczy ludzkich odmianie tak mówić zaczął:

„Co się wam zda, moje dzieci, i czy przystoi chlubić się ze szczęścia, kiedy się zdobędzie miasto, naród i królestwo podbije? czy nie raczéj zastanowić się potrzeba nad koleją rzeczy ludzkich? Uczy nas dziś króla tego przykład, że niema nic trwałego na świecie: zdarzone zaś w różnych miejscach przygody, jednostajnie nas przekonywają, że w największéj nawet pomyślności, niema czystego i zupełnego szczęścia. Tego los wczoraj obalił, temu dziś zgubę gotuje. Nie dosyćże było jednéj godziny na wywrot domu Alexandra? tak obszernéj potęgi monarchii, która pół świata zawojowała? Znieśliśmy dom Macedoński do szczętu; ów majestat potężnych niegdyś

królów, tylu zastępami jazdy i piechoty warownéj, w naszéj jest mocy. Z rąk nieprzyjaciół swoich wymierzony dzień na dzień pokarm, brać będzie niewolnik. Któż z nas sobie pochlebiać zechce, że bez żadnéj przerwy ciągu pomyślności dozna? — Do was ja to mówię, do was młodzi! złóżcie z serca pychę, która was po zwycięztwie unosi. Czyliż każdego przyszłość upokarzać nie ma? Bo kto wiedzieć może, co mu Bóg na przewagę niniejszéj pomyślności naznaczył. — Témi i tym podobnemi słowy, mówi Plutarch, uniesionych szczęściem młodzieńców poskramiał. (Potocki. Zob. niżéj.)

7. MOWA APPIUSZA KLAUDIUSZA W SENACIE.

W Rzymie, gdy wymową Cyneasza pociągnieni wielu Senatorów przychylali się do poddanego pokoju przez tego Posła Pirrusowego, Appius Claudius, wielkiego znaczenia Senator, który dla wielkiéj starości już był wzrok utracił, każe się do senatu prowadzić. U drzwi od synów i zięciów przyjęty i na nich oparty, wszedł do senatu. Swojém nadejściem przerwał zebrane głosy i milczenie sprawił. Zasiadłszy swe miejsce, tak mówić zaczął: „Dotąd miałem za nieszczęście dla siebie, żem wzrok utracił; ale dziś nierównie bardziéj żałuję, żem jeszcze nie ogłuchł zupełnie. Nie słyszałbym teraz o hańbie, z którą się zabieracie do tych nieszczęsnych traktatów, z takiém poniżeniem sławy Rzymu, tak wielką pracą i trudami nabytéj. Gdzież się podziała owa tęgość i zaufanie, które się po świecie rozeszło? iż gdyby Alexander W. za naszych czasów, lub za wieku ojców naszych, do Włoch był przybył, nie miałby chwały niezwyciężonego. Jego śmierć, albo ucieczka, przydałaby nowéj świetności Rzymowi. Sami teraz przekonywacie, że to wszystko próżna chluba i niewczesna przesada. Zadrzeście przed Chaonami i Molossami, którzy zawsze bywali łupem Macedonów! Razi was samo imię Pirra, który się jednemu ze straży Alexandra wysługiwał.[1] Teraz on tu jako wędrownik puścił się do Włoch: nie tak dla pomocy greckim osadom, jako, żeby w swym kraju nieprzyjaciela natarczywości uniknął.

1) Pirrhus, sławny król Epiru, ćwiczył się w sztuce wojennéj pod Demetryuszem, zwanym Poliorcetes (zdobywca miast), który był synem Antygona, jednego z wodzów, a potém następców Alexandra W. Postanowił on we Włoszech wojennego doświadczyć szczęścia. — Tarentyńczykowie, naród zniewieściały, a dumny, wezwali go na pomoc przeciw Rzymianom: napróżno Cyneasz usiłował odwieść Króla od tego przedsięwzięcia: chciał koniecznie zostać Alexandrem na Zachodzie. Piérwszą bitwę z Rzymianami wygrał za pomocą słoni; atoli jego podziwienie dla walecznych Rzymian było mu powodem, iż wysłał Cyneasza, żądając zawarcia pokoju.

A wam się zdaje, że nam dopomoże do Włoch podbicia? Co za niebaczne mniemanie? Czy z nami Włochy tą samą siłą wojować będzie? z którą się przy cząstce Macedonii utrzymać nie mógł? Co za nieuwaga Rzymianie! Skoro się z nim raz złączycie, jakże się następnie pozbyć będziecie mogli? Na cóż was karmi ta nadzieja, że wam jego przyjaźń bardziéj będzie z pożytkiem, niż ze szkodą? Czy on może kiedy spokojnie z Włoch ustępować? On ku sobie wszystkich naszych sprzymierzeńców pociągnie; a ci, co nas teraz szanują, gardzić nami będą. Alboż ich nie przekonywamy, że nas nietrudno zwyciężyć temu, kto przeciwko nam powstanie? Tak, a nie inaczéj nastąpi, skoro nie oddamy za swoje Pirrusowi. Odbierze od Tarentów i Samnitów zapłatę, i z nim razem szydzić z nas będzie.“ Poseł Pirrusa, wymowny Cyneasz, nie wskórał nic w Rzymie po tym głosie Appiusza.

(Golański, Pijar, Prof. wymowy najprzód w Warszawie, a potém w Wilnie, jest autorem dzieła: O Wymowie i Poezyi, wydanego powtórnie w Wilnie 1808 r. Umarł 1824 r.)

8. MOWA KAROLA CHODKIEWICZA

(i opis bitwy z Turkami nad Dniestrem, pod Kamieńcem Podolskim, r. 1621.)

A gdy już uszykowane wojsko całe, Chodkiewicz obyczajem Hetmanów tak mówił:

„Kiedy los i potrzeba Rzeczypospolitéj wymagały tego, żołnierze! abym ja, złamany trudami i wiekiem, raz jeszcze podnosił oręż mój i szedł na wojnę; uczyniłem to jedynie, bym ojczyznie mojéj usłużył. Cóżby mię bowiem innego przywieść mogło, bym te siwe włosy twardym hełmem okrywał? Wszystkie zaszczyty, wszystkie dostojeństwa, po które ludzie sięgają, już się na mnie skupiły; nie pozostało żądać, chyba tego, bym to krótkie już życie w obronie kraju położył: położę je więc, a potykając się wpośród was, nie bez chluby polegnę. Walczyć nam, bracia, potrzeba: całość Rzeczypospolitéj, pomsta tylu zabitych Polaków, szabli naszych wzywają. Patrzcie, kędy stoimy! ta ziemia czerwieni się jeszcze krwią Żółkiewskiego; [1] jak oko zasięga, bielą się niepogrzebione kości ziomków naszych. Nie płaczu, nie narzekań wymagają oni po was; nie, wołają oni, byście ich pomścili. Ilekroć ręce wasze zbroczycie krwią niewiernych, ilu ich trupem polegnie na ziemi; tyle to będzie błagalnych ofiar, któremi uczcicie ich cienie. Przebóg! długoż jeszcze ciężkie obelgi znosić będziemy. Oto i teraz okrutny Nuradin, [2] w tyle nas, zapuścił

1) W klęsce poniesionéj pod Cecorą, gdzie waleczny ten wódz poległ, r. 1620. 2) Han tatarski.

zagony swoje po Podolu i Rusi; pali, pustoszy, wyrzyna, powiązanych krewnych i przyjaciół waszych w brzydką pędzi niewolę. Przyszedł dzień stanowczy; nie idzie tu, by wiedzieć, czy Wołoszczyzna będzie naszą, lub ich? lecz czyli Polska cała zostanie swobodną i niepodległą: czy mamy dopuścić, by tureckie buńczyki utkwiły nad Wisłą? by srogi barbarzyniec, obaliwszy świątynie i prawa, deptał po karkach naszych? by niestety! Polakom po turecku mówić kazano? Po to okrutny Osman [1] wyruszył z siedlisk swoich Azyi i Europy ludy; lecz niech was nie trwoży to mnóstwo, ta okazałość, są to tłumy, nie ludzie, czcze cienie i liczba: umysłem, zwyczajami, ubiorem zniewieścieli, wycieńczeni roskoszą, potrafiąż wstrzymać męztwo tych dawnych Sarmatów, tych Polaków, co żelazne słupy zabili w Elbie i Dnieprze? Te słonie, te trzody wielbłądów, obciążonych jukami, za piérwszém uderzeniem trąby, za piérwszym blaskiem szabli naszéj, rozproszą się lub padną! Za danym więc znakiem, wy Polacy i Litwini, rzućcie się odważnie; nie masz do schronienia się miejsca! Tu bystry Dniestr i nieprzebyte skały, na przodzie Turcy, w około rozstawieni Tatarzy; lecz mężnym szerokie pole sława otwiera. Jeżeliby nawet był kto nieśmiały, niech konieczność stanie mu za cnotę.“ Tu ręce podniósłszy do góry, tak kończył: „Ty zaś potężna Sprawiedliwości, przez którą panują Królowie, a Wojownicy otrzymują zwycięztwa, powstań na zawziętych imienia twojego bluźnierców, przyspiesz krzywd naszych pomstę, wywróć palcem twoim tłumne pogańców szeregi, i pokaż, że jesteś Bogiem i obrońcą naszym!“

Mowa ta, łzy i święte uniesienie w słuchającém rycerstwie wznieciła. Pałali wszyscy spotkania się żądzą; niektórzy widząc się przed bramami wieczności, naprędce ostatnią wolę swoję pisali; wielu przed kapłanami obozów usprawiedliwiali się Bogu; wkrótce hufy całe, głosu tylko Hetmana czekając, hymn Boga Rodzico śpiewać zaczęły.

Tymczasem Osman nadęty swoją potęgą, z wysokościrzuciwszy oczy na szczupły Polaków obóz, rozśmiał się z pogardą; i nie dawszy swoim czasu ni odpocząć, ni się pokarmem pokrzepić, pewny, że dziś jeszcze wojska polskie wytępi, do szturmu pułki swoje wysła. W mniemaniu, że obóz kozacki najmniéj był obwarowany, że otaczające go wozy łatwo będzie rozerwać; na Kozaków piérwszy zapęd wywrzeć rozkazał: tam silny znalazłszy odpór, sprowadzili Turcy ogromne swe działa i straszny z nich ogień miotać zaczęli; drżała ziemia od huku, pałało płomieniami powietrze; lecz dla nieumie-

1) Sułtan turecki.

jętności puskarzów, kule górą cały obóz przenosząc, daleko bez czynienia szkody padały. Szło jednak pogaństwo gęstémi kupami. Kozacy, ściśle za wozami zbici, z jańczarek i samopałów ścielą trupów szeregi; bardziéj ich jeszcze niespodziany ośmielił przypadek. Czeladź z obozu hetmańskiego wysypała się za szańce, by się bitwie przypatrzyć. Kozacy biorąc ją za wysłany ku sobie posiłek, wypadają z okopów i uderzają na Turków, pędzą ich, i znów ustępują sami; byliby może ulegli pod liczbą, gdyby Chodkiewicz wraz niebezpieczeństwo postrzegłszy, nie posłał im dwóch pułków piechoty, które podszedłszy wąwozami, wpadły w oba skrzydła tureckie. Rozdrażniony tym widokiem zapalczywy Osman, sam przebiega swe szyki, zachęca, nakoniec niepotykających się dotąd Jańczarów do boju wyséła; lecz nie dał im czasu nadciągnąć baczny na wszystko Chodkiewicz; porwawszy z ręku giermka szyszak i pałasz, zawołał na swój pułk i na Lissowczyków [1] chorągwie. Najeżone kopijników włócznie, wszystko łamią, wszędzie rzeź i zamieszanie sprawują; z obu stron nowe nadciągają posiłki, szerzy się walka; rycerstwo widząc, jak sędziwy Hetman sam szablę w krwi nieprzyjacielskiéj pławi, podwaja odwagę. Zapadało słońce; Osman z gniewu i rozpaczy bluźniąc Boga, wyrzucając Jańczarom, że się bić zapomnieli, na odwrót zatrąbić rozkazał.

(J. U. Niemcewicz, z Panowania Zygmunta III.)

9. ODEZWA DO POLAKÓW

nieśmiertelnego fundatora, wiekopomnego Jana Zamojskiego, Kanclerza i Hetmana W. K., przy założeniu Akademii Zamojskiéj r. 1594.

Jestem Kanclerzem, jestem najwyższym Wodzem wojsk polskich; dzierzę te znakomite dostojeństwa za pomocą Najwyższego, z szczodrobliwości Królów, z woli Rzeczypospolitéj. Jakiémi kroki dostąpiłem tych godności, pamięć następcom zostawić należy.

Skorom się przekonał, że nic w życiu bardziéj użytecznem, bardziéj upragnioném nie jest, jak nauka i cnota; gdym się przeświadczył, że ani cnoty, ani sławy bez umiejętności i nauk dostąpić nie można; cały poświęciłem się nauce. Bez nauk bowiem acz mogą być niektórzy cnotliwi i światli, gdy lud w ciemnocie, walą się królestwa, upadają mocarstwa, same dostojeństwa ciężarem się stają. Bez nauki każda podjęta wyprawa, puszczona na los szczęścia, w samym popędzie zdarzeń kres swój i zgubę znajduje; bez niéj szkodliwe rady w senacie, mylne wszystkie kroki w rządzeniu; w ciemnotach pogrążone

1) Zob. na str. 113.

społeczeństwo, oddala się od godności ludzkiéj, i do trzody bydlęcéj zbliża. To ja zważywszy, cały się poświęciłem naukom; one to w młodości były żywiołem moim, w starości słodyczą, w przeciwnościach pociechą, w toczeniu bojów, w kole senatorskiém przewodnikiem i mistrzem, w domowém życiu zabawą, nigdy zawadą; one wednie i w nocy, w podróżach towarzyszem najmilszym. Jeżeli więc idąc za powabem nauk, wszelkiémi siłami dążyłem do zdrowych prawideł; jeżeli ukochanéj Ojczyzny mojéj rozszerzałem sławę, wam wszystkim przynosiłem pożytki i sobie niejaką chwałę; jeżeli to, czem jestem, winienem nauce; słuszna jest, abym i was zachęcał do postępowania tym torem, którym sam szedłem.

Gdybym posiadał skarb tak bogaty, którymbym wszystkich was mógł ubogacić, ubogaciłbym. Lecz gdy dobre dzieci, wychowanie pożądańszém, trwalszém jest nad bogactwa; błogosławieństwa tego otwieram wam źródło w téjto założonéj Akademii, w któréj synowie wasi mądrości naukę czerpać będą. Bodajby wychodzili z niéj pożyteczni Polsce obywatele!

Zważywszy, co jest krajowi naszemu najbardziéj potrzebném, ja sam oznaczę wybór nauk, pisarzy, tryb i sposób uczenia. Nienawidzę tych nauczycieli, co nieużytecznémi, spekulacyjnémi naukami młódź zaprzątają, którzy zamiast prawdziwego oświecenia, zapuszczają się w niezgłębione rozumem ludzkim przepaście; nie rozszerzają, ale tłumią oświatę i prawdę. Przez nichto trwoni się napróżno młody wiek uczniów, zawodzą się oczekiwania rodziców, ojczyzny.

Tak jak rólnik starowny nie bez wyboru rzuca w ziemię nasienie, lecz i owszem wybiera co lepsze i najwięcéj obiecujące plonu; tak baczny nauczyciel powierzonéj sobie młodzieży te wykłada nauki, które nie powierzchowną okrasę, lecz prawdziwą mądrość, cnotliwe prawidła, powinność w pomyślności tylko Rzpltéj szukania dobra własnego, w młodych umysłach na resztę życia zaszczepia.

Ty zaś, Akademio Zamojska, córo moja luba! ty zarówno dzielisz miłość mą z synem moim Tomaszem; z równém staraniem jego i twoje początki pielęgnować ja będę: ciebie postanowiłem młodości jego przewodnikiem, tobie pieczę nad plemieniem mojém powierzam. Znane mi są twoje cnoty, twoja nauka; nie opuszczaj miejsca tego, i owszem trzymaj się bogów, sprzyjających miejscu temu; tu nie odstępując moich następców, używać będziesz tego, com ci przeznaczył z nabytego uczciwie majątku. Przykazałem im bowiem i najświętszą zobowiązałem przysięgą, aby ci zawsze przychylnymi byli. Lubo zwykle bywa, iż późniejsze czasy trudniejszémi są od

zeszłych, ty jednak nic doznasz ubóstwa; bo jeśli kiedy w potrzebie znajdować się będziesz, idź do skarbu mego i bierz, co twego. Rozkazałem wnukom moim, i tym, co się z nich rodzić będą, abyś zawsze zostawała w używaniu tego, co ci raz przezemnie daném było. Prosiłem ich, aby z własnych dochodów tobie nie żałowali, aby cię w potrzebie nie opuszczali.

Znałem ja, jak zgromadzenia uczone w żądaniach swoich, często z swą własną szkodą, są skromne; przeto tyle, ile możność dozwoliła, stałem ci się ojcem; bądź ty ukochanéj méj Ojczyzny podporą. Piérwszą jest w królestwie naszém Akademia krakowska, podpora Kościoła i Rzpltej: jéj bowiem upadek (czego niech nieba strzegą) przyniosłby praw i wolności naszych zgubę. Drugą podporą, chcę, abyś ty była Akademio moja. Gdy obydwie cnotą skojarzone będziecie, któż przeciwko wam odważy się powstać? któż się odważy targnąć na wasze zaszczyty? Obydwie wydając obywateli znakomitych nauką i cnotą, ileż przyczynicie się do dobra, do chwały wspólnéj nam i miłéj ojczyzny. Obyście w najdalsze pokolenia na zawsze słynęły! (Ze Zbioru Pamiętników przez Niemcewicza, których 5ty tom wyszedł z druku w Puławach 1831 r.)

10. WALKA AKADEMII KRAKOWSKIÉJ Z JEZUITAMI.

Zygmunt III. zbudowawszy kollegium i najwspanialszy w Polsce kościół Śgo Piotra w Krakowie dla Jezuitów, wydał im pozwolenie uczenia dzieci przy tymże kościele, wyjmując ich z pod zwierzchności i dozoru Akademii. Jezuici rozpościerając się coraz bardziéj, pozakładali osobne po przedmieściach szkółki. Akademia, nazywana od dawna w Polsce matką nauk, widziała w tém zgwałceniu swoich przywilejów usunienie opieki dla siebie królewskiéj; znała dobrze, że tą drogą Jezuici podkopywali najsławniejsze zagraniczne akademie, jako to: w Wiedniu, w Pradze, w Rzymie i t. d., póki wszystkiego pod siebie niezagarnęli i nieopanowali. Po kilkakrotnych prośbach i przełożeniach, nadaremnie do tronu podawanych, niechcąc się narażać na kłótnie naukom i młodzi szkodliwe, ani też powoli z hańbą upadać; postanowiła wszystkiego Jezuitom odstąpić, i rozejść się, jeżeli swoich praw nie potrafi ocalić. Prosiła o publiczną audyencyę bawiącego podówczas w Krakowie Króla, i tę sobie wyjednała. Był w owym czasie jéj Rektorem Krysztof Najmanowicz, Medycyny Doktór, człowiek poważny, wymowny, nauką i wziętością powszechną znamienity. W dzień, na audyencyą przeznaczony, cała Akademia, licznie zebrana, stawiła się w swych obrzędowych ubio-

rach na zamku; wprowadzona do sali, ujrzała już Króla na tronie, otoczonego Ministrami i licznym dworem. Zasmucona tylu osób postać, głębokie milczenie, przerywane bolesném westchnieniem, łzy stojące w oczach tylu poważnych starców, przeraziły patrzących, i rozpostarły powszechną około tronu żałość. Rektor trzymając na wezgłowiu przywileje Kazimierza W., Władysława Jagiełły i Zygmunta I., miał krótką w języku łacińskim do Króla mowę, w takich myślach ułożoną: „Nieposzlakowana w swojéj wierności Matka nauk, postawiona ręką i karmiona dobrodziejstwami wielkich Królów, W. K. Mości Poprzedników, nosząca drogie zadatki ich przychylności i opieki w tych martwych i znieważonych dziś papierach, wyzwana jest przed sąd Twój, Najjaśniejszy Panie! o dziecię, które przez dwa wieki z tak czujną pielęgnowała troskliwością. Podobało się W.K.Mości dać wyrok mądrego Salomona, aby to dziecko na dwoje rozdarte między walczące Matki podzielić. Idźmy, Miłościwy Królu, za przykładem prawdziwéj i rozczulonéj przed Salomonem Matki; kiedy przeciwnikom naszym odstępujemy całkiem tego lubego dziecka, żeby je ocalić i uratować od zguby. Pozbawione w ręku naszych opieki Twojéj, jako istotnego żywiołu, musiałoby słabieć i nikczemnieć; ciągnione w różne strony od dwóch niezgodnych Mistrzeń, mogłoby się zwichnąć, stracić swój nadobny wzrost, wreszcie domowémi niesnaskami skazić się i zarazić. Troskliwi o jego dobro, o pożytki miléj nam Ojczyzny, i o chwałę panowania W. K. Mości, niegodzi nam się należeć do zepsucia tego, co miało pod naszém okiem nadobnie wzrastać i kwitnąć. Ta ofiara najmilszéj własności otwiera dziś grób powołaniu akademickiemu, kończy byt i życie naszego społeczeństwa. Przez głębokie uszanowanie naszych Założycielów i Dobroczyńców, obraliśmy sobie raczéj umrzeć od razu z chwałą, jak długo konać z poniżeniem. Od Tronu wzięliśmy piérwsze natchnienie życia, u Tronu przyszliśmy je wyzionąć, z sercem pełném skruchy i żalu, żeśmy nie umieli, albo nie mogli stać się godnymi służyć Ojczyznie, stawszy się niegodnymi potężnéj Króla opieki. Składamy u podnóżka Tronu tę drogą po sobie puściznę. (Tu przyklęknąwszy do Tronu, złożył przywileje, przy nich dwa berła, i tak skończył:) Odbierz, Miłościwy Królu! to, czegoś nie dał. (*Accipe rex, quae non dediti.*)“

Król tak był wzruszony tą mową, że zaraz wrócił Rektorowi przywileje i dwa berła, przydał nadto swoje trzecie, szkoły jezuickie zamknąć kazał, dochody Akademii pomnożył. Skończyła się tym sposobem kłótnia z Jezuitami w stolicy, ale się ciągle nieciła po prowincyach. (J. Śniadecki.)

11. MOWA

o stanie oświaty i literatury u dawnych. (Początek.)

Jedno z najmilszych i najszlachetniejszych dla jestestwa myślącego zatrudnień, jest, zapatrywać się na postępy rozumu ludzkiego; wyśledzać w źródłach samych piérwsze zarody sztuki i umiejętności; i wyświecać zdarzenia i wypadki ludzkie, które czas usiłował zagrzebać w niepamięci. Z chlubą widzimy w tym wielkim obrazie piérwiastkowe usiłowania ojców naszych, które miały wydobyć rodzaj ludzi ze stanu zwierzęcéj niewiadomości; widzimy następne rozwijanie się władz rozumu, przyspieszone niezbędną chęcią nabywania i rozszerzania poznań; widzimy człowieka podbijającego pod swoję władzę żywioły, panującego lądom i morzu, a śmiałym krokiem przenoszącego wnioski i rozumowania swoje od jestestw zmysłowych aż do duchów. To szlachetne zwierzę, którego duszę iskierka bóstwa ożywia i zapala, ledwo zaspokoiło gwałtowne potrzeby, które ze składu jego ciała wynikły, ledwo nabyło poznań budowy i stósunków świata rzeczywistego; przeniosło się natychmiast w krainę wyobraźni, utworzyło sobie świat niewidomy, ozdobiło go szczęśliwém marzeniem i przyjemnémi dowcipu widmami: stworzenie przywłaszczyło sobie, iż tak powiem, przywileje Twórcy, i nowe jestestwa, nowy rzeczy porządek odebrał byt i stał się wyłącznie własnością jego. Tym sposobem człowiek okazał szlachetność swojego jestestwa, i wielkość swojego przeznaczenia. Kiedy liczne następstwa wieków, kiedy miliony pokoleń, nie odmieniły bynajmniéj stanu zwierząt, i zostawiły je w tych samych między sobą i otaczającemi rzeczami stósunkach, w jakich się znajdowały w początkach swojego bytu; człowiek kosztem spoczynku, który słabość jego jestestwa potrzebnym mu czyniła, niezrażony pracą i trudnościami, postępował nieprzerwanie do udoskonalenia moralnego. Dzień każdy rozszerzał okrąg jego wiadomości, rozwijał w jego duszy nowe siły, nowe sposoby i władze. Złączony w społeczeństwie z podobnémi sobie jestestwami, uniósł się myślą aż do Istności niewidoméj i niepojętéj, ukląkł przed ołtarzem piérwszéj przyczyny, przystósował porządek moralny do porządku fizycznego, i powziął święte i wysokie wyobrażenie cnoty. Człowiek przeniknął tajemnice stworzenia, zmierzył ziemię i niebo, zakreślił drogi, i wyrachował wielkość tych kul ogromnych, które się nad głowami naszémi unoszą. Daremnie zazdrosna natura grubą zasłoną otaczała działania swoje, ręka statecznéj pracy i czynnego przemysłu rozświeciła pochodnię na drodze ciemności;

stoi świątynia sławy; kiedy się u jéj nóg gmin opieszały czołga, śmiałym ku niéj postępują krokiem ci, którym geniusz przewodniczy. Już wybujał pod obłoki król ptaków, już lotem wzrok ubiega, nim się poziome za nim podniesie ptastwo; a gdy się ich próżna wszczyna wrzawa, już orzeł spoczywając u nóg Jowisza, błyska piorunem.

Nie skarżmy się na naszę niedolę, lecz zdobiąc ją serca i rozumu przymiotami, starajmy się uczynić ją szanowną, i dajmy jéj tę godność, któréj często pomyślności niedostaje. Uszlachetnić nieszczęście, jest więcéj, jak być w szczęściu wielkim. Umierają narody, jak ludzie, bo czas wszystko niszczy i pożera. Długie nawet ich bycie, czemże jest w porównaniu téj wiecznéj nocy, co państwa wznosi i obala? co nie ma początku i końca niezna? Oto mniéj, jak jedno skinienie w biegu czasów, upłynionych od ich początku. Wieki te gotują upadek narodów, którego ludzie są tylko świadkami. Chcieć się oprzeć téj sile, byłoby szaleństwem; lecz uledz jéj z godnością, jest cechą umysłu wyższego nad zmienne losu igrzyska.

Lwów, chlubny rodem Sixtów, [1] Szymonowiczów, Zimorowiczów, połączy do tych imion imię Piramowicza, niemniéj dla siebie chwalebne. [2] I takto urodzenie ludzi niepospolitych, jedynie znakomitém zwaćby się powinno, gdyby słowa, nieskażone przesądem, wiernym zawsze prawdy były wyrazem; bo kiedy los na wielkie miejsca małe narzuca dusze, zamyka dla nich sława księgę pamięci, lub je zapisuje w księdze ohydy. Głosi przeciwnie imiona ludzi niepospolitych, tak, że nie tylko im i ich domowi, nie tylko narodowi, lecz i miejscu, w którém się urodzili, trwałą stają się ozdobą. Są różne między ludźmi stopnie; geniusz nie tylko się równa wszystkim, ale się wznosi nad wszystkie. Użyczony ludziom z nieba, tam wracać się zdaje, zkąd jego boski początek, i z téj wysokości górować nad światem.

Tworząc natura Piramowicza, chciała dać wzór połączonéj z cnotą nauki, z moralnością przyjemności, z religią nieuprzedzenia, z słodyczą stałości, z wylaném dla wszystkich sercem, wstrętu tylko dla zbrodni. Kochał Piramowicz ludzi, umiał im być rzetelnie użytecznym; nikt lepiéj od niego tego nie posiadał daru; jemu naukę, czas, starania, zdrowie, majątek, słowem, siebie samego poświęcił. Mówię o tém długo świadek prawie codzienny życia jego. Lecz gdzież jest, śmiało dodam, w połowie obszernéj krainy naszéj kąt tak dziki i od-

1) Sławny lekarz, poufały przyjaciel Szymonowicza, † około roku 1635. Szym. i Zim. poeci sielscy z tychże czasów.
2) Urodz. we Lwowie r. 1735. Zob. niżéj.

ludny, w którymby nie tylko imię Piramowicza, lecz on sam, to przysługą, to przyjaźnią, to dobroczynnością znanym nie był? Takto miłość ludzi podwaja jestestwo jednego człowieka; tworzy dla nich skarby serce jego, których mu odmówiła fortuna; a tam, gdzie możnych świata, gdzie królów, nie dosięga wspaniałość i potęga, tam jedyne przyjaciółki nieszczęścia, wiodą go ludzkość i cnota, a z nim pociechę, wsparcie, zgodę i pokój. — Cnotliwa żywość młodości, pokój jéj nie skazi obcowanie świata, czémże się unosi? czémże się zapala, i że tak rzekę, goreje? Oto wdzięcznością ku Twórcy, miłością ku bliźnim. Wstępując do Jezuitów Piramowicz, poświęcił się Bogu i ludziom. Przy tak wielkich widokach, znikły wszystkie inne względy; poglądając na niebo i na ziemię, o sobie zapomniał. Odrzućmy powierzchowność, połóżmy na stronę wziętość i sławę jezuickiego zakonu, usuńmy z przed oczów okazałe ich gmachy, a patrzmy, co w tych gmachach z nimi mieszkało. Oto skromność, oszczędność, posłuszeństwo i praca. Nie te są ponęty, które młodość uwodzą, jeśli cnota nie jest dla niéj najmocniejszą ponętą. Nie otworzyły wrót klasztornych Piramowiczowi niedostatek i potrzeba, bo ich nie znał w domu majętnych rodziców; nie ambit, bo wiedział zbliska, na czém się kończy w zakonie; bo mu obszerniejsze dla niego świat otwierał pole; nie słodkiéj przymus namowy, bo opierających się jéj łzy rodziców, mocniejszą byłyby u syna czułego. Naznaczył mu miejsce w tym zakonie stały życia jego wyrok, co mu zawsze za własne wskazywał to, w którym mniemał, módz najlepiéj służyć Bogu i ludziom: Bogu pobożnością, ludziom staraniem o ich szczęście, które się nad wszystko na dobrém wychowaniu gruntuje. Chętnie więc i z radością zawarł Piramowicz święte śluby, co go nie tylko usłudze ółtarzów, lecz milszéj jeszcze Bóstwu usłudze ludzi poświęcały. Wiem, jaka otacza okropność te dozgonne wyroki, któremi człowiek dobrowolnie od społeczności odcięty, staje się jéj ciężarem; bo wiem, jak często błąd jednego momentu, życia całego smutkiem i zgryzotą opłaca. Lecz nie takim był zakon Jezuitów, i nie takim się w nim Piramowicz okazał. Nie była podziałem zgromadzenia tego nieczynna pobożność, przepisem poświęcone lecz tęskne próżniactwo, prawidłem odwiecznego barbarzyństwa przesądy. Nie mierzył on latami zdolności człowieka, ani rozumu wybiegami czczéj i niezrozumianéj nauki; szanował starość, rządził się dojrzałą i zimną jéj radą. Władali naczelnicy zakonem, lecz władała nimi słodycz, córka oświecenia i rozsądku, prawa posłuszeństwa mistrzyni. Miały w nim swą zaletę w każdym wieku

talenta, które rad światu wskazywał. Nikła dla nich klasztorność, nie obarczały ich nieprzestępne mury, nie tłumiły przemoc, zazdrość i przesądy. Chwaleni, zachęcani, zalecani od starszych ci, co je posiadali, byli wśród świata ozdobą i stugębną jego sławą. Doznał tego Piramowicz; słusznie nim chlubni Jezuici, nie kryli talentów jego po zakątnych klasztorach, ani je wstrzymywali nauczycielstwem klass niższych. Przebiegł raptownie szkolne stopnie. W młodych latach Lwów był mu przeznaczony na siedlisko, a uczenie to poezyi, to retoryki, nie za miejsce wiekiem otrzymane, ale godne jego zdolności.

Nie uszły przenikającym oczom Starszych nie tylko cnota i nauka, lecz przyjemna grzeczność i pełen miłéj wesołości dowcip Piramowicza. Musiał on często, dogadzając ich żądaniu, odrywać się od szkolnych zabaw, aby się oddał światowym. Zaznany w najpiérwszych domach, lubiony i poszukiwany we wszystkich, często nocy całe pracując, nagradzał sobie te chwile, które innych zabawie poświęcał. Ta niebezpieczna pilność w późniejszym wieku zagroziła mu ślepotą; zaniechał jéj znaglony do tego od Starszych, i téj jedynie od nich, jak sam powiadał, doznał w życiu przeciwności.

Wnet imię, przyjaźń i szacunek, co sobie powszechnie zjednał, stały się prawie ciężarem dla człowieka, którego zniewalała życzliwość. Wyrywano go sobie nie tylko jako Nauczyciela, lecz jako wzór przyjemności i cnoty. On codzień nowe dając ich dowody, wypłacał się sowicie z szlachetnego długu zaufania. Rzadkim zaiste i dziwnym był w jedném jak w drugiém Piramowicz. Nie odziany posępną ponurego pedagoga postacią, przed którą uśmiech i wesołość ucieka, którego nieprzyjemna mądrość cięży nad pojęciem dziecinném i tłumi żywość dowcipu jego; co karać tylko umie; a mszcząc się za własny nierozsądek, srogą ręką wiek wesołości smutkiem i rozpaczą napełnia, nie pomnąc, że z nim może minie krótka szczęścia chwila; lecz z tą przyjemną postacią, z tém czołem pogodném, co sobie jedna młodzieży zaufanie, stawał wśród niéj Piramowicz, pewny, że zyska pilną uwagę, gdy zyskał życzliwość. Łagodna stałość jego nie wrażała postrachu, kary, lecz mocniejszą obawę niepodobania się temu, co się wszystkim podobał; nagany tego, którego wszyscy chwalili; oziębłości tego, którego wszyscy kochali. Trafny dowcip Piramowicza nie z siebie o młodzieży sądził, ale się do jéj pojęcia zniżając, wysokość swego dowodził. Wymierzona wedle zdolności jasność przepisów jego, nie to miała za cel, aby napełnił pamięć słowami, lecz rozum rzeczami; nie to, aby uczniowie

jego wiele, lecz aby dobrze umieli. Kształcił i formował wraz ich rozum i serce. Mieszał zręcznie z każdą umiejętnością moralność, i czego tylko uczył, zawsze uczył rozsądku i cnoty. Wystawiał ją nie dziką, nie ostrą, nie odludną, lecz przyjemną przyjaciółką ludzi i ich szczęścia malował, i tém mocniéj przynęcał jéj wdziękiem, że nie naciągnione do przepisów, lecz jakby mimowolnie z przepisów płynęły przykłady, zniewalając samą wzorów pięknością.

Ma to właściwego rozum ludzki, że najlepiéj pojmuje, i w tém najłatwiéj doskonali się, w czém sam sobie jest przewodnikiem, co przez się nabywa. To prawidło, było prawidłem Piramowicza; pewną, lecz ukrytą ręką prowadził uczniów w drodze prawdy, w któréj oni sami iść mniemając, mieli ją za własną.

Takto łączył mąż ten światły z wyborną nauką i prawdziwą moralnością, jedyny sposób przelewania ich w pojęcie i dusze swych uczniów. W tém zbyt rzadka doskonałość nauczyciela polega. Nie dość wysoce być mądrym, trzeba być trafnym, słodkim i cierpliwym; trzeba być więcéj jak uczonym, bo trzeba być rozsądnym i dobrym. Łatwiéj jest znaleść ludzi, posiadających obszerne znajomości, jak rzadki talent udzielania ich inszym; lecz i w téj ograniczonéj liczbie mało się który znajduje, coby drogą nauki umiał prowadzić do rozsądku i cnoty, i za nieodstępne życia towarzyszki nadać je młodzieży. Jeżeli ten dar zstąpił do grobu z tobą Piramowiczu, ja go dziś imieniem ludzkości wywołuje z niego. Po tylu klęskach, winno nam choć jedno dobrodziejstwo niebo. Ale minął czas cudów, a raczéj ten cud jest w ręku człowieka. Są jeszcze ludzie tobie podobni, znam ich i widzę. Lecz mówiąc ogólnie, wy, którym jest powierzone wychowanie młodzieży, chciéjcie tylko znać zacność stanu tego, wznieście umysły wasze do jego wysokości, a wnet was wskrzeszony duch Piramowicza ożywi, wnet stan wasz przejdzie wszystkie godnością, jak użytkiem wszystkie przechodzi. Lecz dobroczyńcy narodu ludzkiego, bójcie się stać jego ohydą, jeśli nierówni powołaniu waszemu, skazicie go serca lub umysłu podłością. Nie mówię o saméj nauce, bo wiem, że nie wszystkich do niéj usposobiła natura; mówię o prawości, do któréj zaprzeczać ogólnéj ludziom zdolności, bez obalania moralności, nie można. Usuńmy ten jéj kamień węgielny, wstrzęsie się cała społeczności budowa, a na ruinach cnoty wzniosą się występku ółtarze. Stróże młodzieży, pomnijcie, że wy świątyni cnót jak nauk Kapłanami jesteście; wy nie losem wyznaczonymi, lecz własnym wyborem występku lub prawości ojcami; bo je wzór wasz tworzy w miękkich

sercach młodzieży. Jak czysta woda, w której się wszystko maluje, nim ją wiatr zmarszczy, nim zmąci burza; takim jest serce młodości, przyjmujące wiernie wszystkie wrażenia, dopóki nie zawieją niespokojne żądze, dopóki go nie skłócą namiętności burzliwe. Wpajajcie więc w ten wiek szczęśliwy cnotę, łatwą dla dzieci naukę: utkwi z nią pamięć wasza, i zjedna wam cześć i poszanowanie.

A ty, kwitnąca młodzieży, wdzięczna za tyle dobrodziejstw, szanuj świadczących je tobie Nauczycieli, równie jak własnych rodziców. Wszak jeśli ci tamtych dała natura, tych ci i natura i rodzice i społeczeństwo wybrało, tych ci dało własne ich serce; ci się prawie wszystkiego dla ciebie zrzekając, zachowali sobie tylko w nagrodę szczęście i sławę twoję. Jeśli jest któren wśród ciebie nieczuły na to wspomnienie, niech się dziś zarumieni w sercu swojém, aby się później nie rumienił przed światem, który najpodlejszy z występków, niewdzięczność, karze niezatartą ohydą. Więc nie przywary złośliwe, lecz, wdzięczna młodzieży, licz mistrzów twoich przymioty, pomnąc, że tamte są koniecznym natury ludzkiéj długiem, te mężów wybranych hojnym dla ciebie darem. (Stanisław Potocki.[1])

14. ŚMIERĆ SZYMANOWSKIEGO.

Po dwudziestoletniém cierpieniu, tak zawsze znoszoném, że stałość duszy przewyższała ciała dręczenia, czuł Szymanowski już nadchodzący swój koniec. Lecz ani tą myślą zasmucał przyjaciół, ani zmienił sposobu życia, ani się poddał bojaźni, ani szukał chluby w okazaniu chełpliwéj odwagi: wszystkie czyny Szymanowskiego aż do ostatniego, miały na sobie tę szlachetną prostotę, która jest znamieniem wielkiéj duszy. Spokojnie on poglądał na przyszłość, bo nic nie widział w przeszłości, coby go niespokojnym czynić mogło. Upłynęły lata

1) Stanisław Hrabia Potocki urodził się w województwie Bełzkiém r. 1757. Niepospolite zdolności swoje kształcił w szkole Pijarów w Warszawie, i rychło wstępując w ślady swych przodków i przekładając nad wojskowość obywatela powołanie, cały się usłudze publicznéj poświęcił. Rzadki dar wymowy, połączony z głębokością myśli, zwrócił na niego uwagę Króla, który talenta cenić umiał. Najświetniéj wymowa ta jaśniała na pamiętnym Sejmie walnym od 1788—92. Po utworzeniu Xięstwa warszawskiego powołany na ważny urząd Ministra Oświecenia publicznego, dał na nim dowód niezmordowanéj gorliwości o wzrost i ulepszenie edukacyi publicznéj, tudzież niepospolitéj umysłu bystrości. Później mianowany Prezesem Rady Stanu i Senatorem Wojewodą, † 1821 r. Dzieła jego są następujące: 1) Mowy i Pochwały r. 1816., 2 tomy. 2) O Stylu i Wymowie r. 1815, 4 tomy. 3) O Sztuce u dawnych, czyli Winkelman polski. 4) Obyczaje Chińczyków, etc.

jego jak dobroczynna rzeka, która swe brzegi zbogaca i zdobi, a blizka ujścia spokojniéj i okazaléj płynie. Rozporządził majątkiem, dzieląc go równie pomiędzy krewnych. Zasłużonym domownikom życie swobodne opatrzył; a czując, że go już śmierć cieniem swoim otacza, rzekł do brata: „niech cię jeszcze raz, kochany bracie, uściskam.“ Te były ostatnie słowa jego, to z światem pożegnanie, pełne téj czułości, co życia jego była podziałem.

(Potocki w mowie na pochwałę Sz. Zob. wyżéj str. 193.)

B. WYMOWA KAZNODZIEJSKA.

1. PRZYMIOTY DOBREGO KAZNODZIEI.

a) Ten, który się podiął mówić o czci i służbie bożéj, o drodze do zbawienia, o obowiązkach człowieka i Chrześcianina, o sposobie wykonania onych; podjął się nauczać ludzi prawd wielkich i nieskończenie ważnych. Piérwszym jego celem być powinno, aby te prawdy uznane i jasne pojęte były; bo prawdy niepoznane na jedno wychodzą względem poznającego, jakby ich nie było, jakby ich nie ogłaszano; nie mogą zatém rządzić umysłem, sercem i czynami człowieka. Niémasz nikogo, któryby na piérwsze wejrzenie nie widział, jaka jest potrzeba jasności i porządku w mówieniu. Bo gdyby kto téj prawdy nie czuł, nie możnaby go przypuszczać do opowiadania jakiéjkolwiek prawdy. Nieoszacowany jest ten przymiot, przez który mówca najwyższe rzeczy i najgłębsze myśli, umie bez osłabienia ich ważności, bez zniżenia ich godności, tak łatwo, tak światle i jaśnie wykładać, że niepodobna nierozumieć mowy jego, że słyszący sądzi, iżby sam w tenże sposób potrafił opowiadać. Cóż po takim kaznodziei, co sobie górność i ciemność za wielkość i głębokość poczytuje? co sobie poklaska, kiedy o nim prostacy mówić będą, że tak wysoko, tak wybornie każe, iż go rozumieć nie można? Podjąłeś się dzieciom w Chrystusie, uczniom wiary i zakonu Jego podawać naukę o ich obowiązkach; miałeś wykładać do pojęcia wszystkich, powinności wzajemne rodziców, i dzieci, żon i małżonków, panów i sług, gospodarzów, rzemieślników i kupców, zwierzchności i podległych, urzędów i w szczególności obywatela; zeszli się z otwartém uchem i umysłem na przyjęcie wielkiéj wagi wiadomości; serca i uszy ich z pilnością czekają słów, któreś im jako od Boga pochodzące obiecał; a oni strawiwszy godzinę, natężywszy pilności do rozumienia, próżnymi się znajdują; bo słowa

brzmiące, zawikłane jedne z drugiémi wyrazy, gadania nieporządne, przeszły mimo uszu ich, w rozumie, w duszy i w sercu nic się nie zostało. Niechże drugi weźmie tęż samę rzecz do opowiadania i tłumaczenia zgromadzonemu ludowi, wszędzie w mowie jego jasność i porządek, prawda rozświéciła w umyśle słuchacza; wié, co jest za nauka, którą mu wykładają; co za prawda, którą mu ogłaszają; wié, co mu czynić każą, co zakazują; łatwo pojął, łatwo zdać z tego sprawę, łatwo drugim téjże nauki udzielić potrafi. Mówić do prostaków ubogich, nieprzysposobionych, wielka sztuka.

Biada temu kapłanowi! który wbrew idąc przeciw Ewangelii, którą ma opowiadać; przeciw powołaniu i obowiązkom, które przyjął; zarażony duchem świata i pychą bezrozumną, pogardzał tą prostotą, tą pokorą ludzi, opiece jego i nauce pasterskiéj poruczonych; któryby mniemał, iżby to poniżeniem dla niego było, mówić do tych, którzy stali się dziećmi i uczniami jego przez to, że go pasterzem znają. Jakiego on przestępstwa, jakiego potępienia staje się winnym u sądu ludzi i Boga! Śmiechu nawet godna jest ta dumność, układać słówka, toczyć peryody, być skrupulatnym w składzie mowy; a nie dbać, żeby go lud rozumiał. *Melius est*, mówi Sty Augustyn, *reprehendant nos grammatici, quam non intelligant populi.*

b) W każdym rodzaju mówienia upodobanie i przyjemność nie jest celem wymowy, bo poznanie i przyjęcie prawdy, jedynym zamiarem mowy być powinno; ale jest środkiem dogodnym przyrodzeniu ludzkiemu do otrzymania tego celu. Na nieszczęście mało jest ludzi, do których umysłu prawda bez jakiegoś przymilenia wstęp mieć może. I w najpoważniejszych mowach, w których się słowo boże ogłasza, ulegać słabości ludzkiéj potrzeba. Nieumiejętni i gnuśni kaznodzieje, za pokrywę niezdolności swojéj i prostackiego, niezgrabnego gadania, brać nie mogą téj nauki, iż Słowo boże w prostocie opowiadane być powinno. Bo co innego jest ta jasność i szczéra prostota, która nie przypuszcza wytworu, i próżnego za błyskotkami ubiegania się; a co innego grubość, nieprzyjemność i nudzące prostactwo w mówieniu. Bo wielka owa, a oraz szlachetna pokora Apostoła Pawła, przez którą nie chciał się popisywać z umiejętnością świecką, łączyła się bardzo dobrze z znakomitą mądrością i biegłością jego. Pełno jest w mowach i listach tego nauczyciela narodów wiadomości obszernych; pełno przytaczanych słów i dziejów pogańskich; pełno, gdzie o nieśmiertelności duszy, o przyszłym żywocie mówi, mocnych z przyrodzonego światła wywodów, do przekonania i wzruszenia sędziów i słuchaczów jego. Kto tylko czytał świętych

Ojców, pierwszych owych uspokojonego Kościoła kaznodziejów: Bazylego, Chryzostoma, Augustyna, Hieronima, zadziwił się na cudność ich wymowy, bystrość dowcipu, piękność myśli, przyjemność wyrazów i toku mówienia. Umieli oni chrześciańską prostotę, jasność i łatwość, godzić z przyzwoitą okrasą i ozdobą wymowy. Umieli jednę prawdę, jednę naukę przez rozmaity, a każdemu z nich właściwy tok wykładania myśli, czynić jakby nową, a zatém podobającą się i przyjemną. Bo, zaiste, jedne się zawsze w kazaniach, w exhortach i naukach podają rzeczy, jedne opowiadają prawdy; tępieje na nie ułomność ludzka w pilności. Trzeba zatém często dać kształt osobliwy, trzeba przybrać farb nowych, użyć inszego a nieprzewidzianego słuchaczowi sposobu, co obudzi uwagę jego, i drogą upodobania wprawdzi przekonanie, zjedna chętne prawd przyjęcie. Doświadczył tego sam Sty Augustyn na sobie: nie szukał czego innego w kazaniach Ambrożego, na które ugęszczał, jak tylko przyjemnéj wymowy, ciekawego tłumaczenia słów Pańskich, i rozmaitéj umiejętności; ale prawda wchodziła razem w umysł jego: poddał się jéj nakoniec, nawrócony stał się uczniem Sgo Biskupa.

c) Nadto nie potrzeba tutaj powtarzać, że bez wzruszenia nié masz wymowy. Gdzież jest większy, gdzież przyzwoitszy plac wzruszenia serca, zapalenia chęci w duszy słuchacza, jak gdy się mu opowiadają wielkie prawdy, wielkie tajemnice, wielkie nauki? Ale jeden jest tylko rzetelny sposób, aby tak dzielnie do poruszenia, do przerażenia, do skruszenia, do podniesienia duszy mówić: sam przejętym i wzruszonym, sam rozrzewnionym i wzniesionym być powinieneś. Inaczéj być nie może. Niechaj gotujący się na opowiadanie jakiéj prawdy Kapłan, przejmie duszę swoję czytaniem ewangelii i innych ksiąg świętych, zastanowi rozmyślaniem nad przedsięwziętą rzeczą, ogląda ją ze wszystkich stron; tém samém rozgrzewa się i wzrusza serce jego. Pełny myśli i uczucia stawa na wyższém miejscu, cały zajęty, cały przenikniony swoją rzeczą. Twarz, oczy, postać cała, mowa i głos jego, wszystko tchnie uczuciem żywém i mocném. Sam się rozrzewnia, sam się odjąć nie może świętym wzruszeniom. Czyż podobna, żeby nie wzruszył, nie trzymał w takowém uczuciu słuchacza swego? Inaczéj choćby najważniejsze rzeczy tłumaczył, choćby myśli i wyrazy jego najpiękniejsze były, choćby się pełno nauki i wiadomości w mowie jego zawierało; wszystko będzie zimne, wszystko z niedbaniem od ludu przyjęte, uchybi się cel kaznodziejstwa.

d) Między Kaznodziejami późniejszych czasów, gdy się nauki w ogólności odrodziły, a mianowicie wymowa do przy-

rodzonego swego kształtu powróciła, nie można nie przyznać francuzkim Kaznodziejom, iż oni stali się dla późniejszych wzorem w sposobie opowiadania Słowa bożego. Z pomiędzy tych, trzech znakomitszych: Bossuet, Biskup w Maux, z wielu pism, naukę wiary, obronę kościoła, i historyą zawierających, znany, przedziwny jest w kazaniach; moc wielka do wzruszenia serc, styl wspaniały i piękny, szybkość w poruszeniach, myśli wysokie; są cechą wymowy jego. Najbardziéj okazał się wymownym w kazaniach pogrzebowych.[1]

Bourdaloue, Jezuita, z największą sławą i pożytkiem opowiadał ludowi i Królowi słowo Boże. Sposób mówienia tęgi, zwięzły, logiczny, zniewalał rozum, i za przekonaniem pociągał wolę słuchacza. Wymowa była w myślach i rzeczach mocna i piękna, w wywodach gruntowna, bez bujności słów i bez usilności o powierzchowną piękność. Cały był w czytaniu Ojców SS.; dzieła Śgo Chryzostoma, Bazylego, Augustyna, w duszę jego przeszły; mówił ich duchem bez niewolniczego naśladowania, i duch tych nauczycielów kościoła, był właściwym jego duchem.

Massillon, jak pospolite jest uczonych zdanie, więcéj mówił do serca, niż do umysłu. I tém się Massillon różnił od innych kaznodziejów. Gdy piérwszy raz miał owo sławne kazanie „o małéj liczbie wybranych," w jedném miejscu téj mowy taki strach, takie przerażenie opanowało słuchaczów, iż niechcący wszyscy się razem porwali i napół powstali z ławek; szemranie i rozruch samego kaznodzieję zmieszał: i to samo zmieszanie powiększyło szemranie mówcy. W sercu człowieka, jako sam wyznawał, wyczytywał, co miał mówić o każdéj rzeczy. Styl jego jasny, mocny, tkliwy, łatwo niższym i wyższym zrozumiany. Osobliwszym był jego talent w oddaniu czyli deklamacyi.

e) Mówiąc o naszym narodzie, niémasz prawie Polaka, któryby cokolwiek wiedział o ludziach sławnych swojego narodu, a nie znał X. Skargi,[2] Jezuity, kaznodziei Królów polskich, który dla następców swoich stał się niezrównanym wzo-

1) Znany powszechnie z wzorowéj wymowy Biskup francuzki Bossuet, okazał zaraz w młodym wieku wielki swój talent w tym rodzaju. Raz przed liczném zgromadzeniem dano mu przedmiot, z którego nieprzygotowany miał powiedzieć kazanie. Powiedział tak pięknie, iż wprawił wszystkich w nadzwyczajne zadziwienie. Miał tę mowę w 16. roku życia swego o godzinie 11. w nocy. Z tego powodu powiedział dowcipny Pan Voiture, że nigdy nie słyszał kazania, ani tak późno, ani tak wcześnie. Bossuet urodził się r. 1627 w Dyżon. † 1704.
(Tygodnik dla Dzieci.)

2) Zob. wyżéj str. 41.

rem: kapłan pełen świątobliwości, pełen gorliwości o zbawienie dusz. Mówca pełny ducha boskiego, powagi, mocy i słodyczy, i jako nazywa go Bierkowski, sam też sławny kaznodzieja, w pogrzebowéj jego pochwale: „gromca niezgód i bezprawiów, niezbożnym prawom jako chorągwiom rozbójniczym szedł na czoło“, za życia wielbiony, nie przestał żyć w pamięci potomnych. Dzieła jego, w których uczy wiary i obyczajów, nie powinny wychodzić z rąk młodzi Polskiéj, sposobiącéj się do ołtarzów i ambon. Osobliwie zalecać należy kazania jego przygodnie. Cudna się w nich okazuje wymowa, która oświeca i przenika. Znajdą oraz w pismach jego wzór czystości i obfitości języka polskiego. Nié masz zaiste w tym wieku żadnego kraju, gdzieby wymowa kaznodziejska nie kwitnęła, gdzieby nie można skazywać wybornych kaznodziejów. Im bardziéj osłabiona wiara, im więcéj skazy w obyczajach; tym lepszych potrzebuje kościół opowiadaczów prawdy, mówców chrześciańskich; tym więcéj takich Opatrzność dostarcza. Ale do skutku wybornéj wymowy, trzeba świętości życia, dalekiego od zgorszenia, a pełnego cnoty i zbudowania.

(Z Piramowicza [1] Wymowy i Poezyi.)

2. *a*) WYIMEK Z KAZANIA NA NOWY ROK.

Uszło momentów kilka, jak do was mówię, i już się nie wrócą; upłynie godzina, a już krokiem bliżéj śmierć się do nas przysunie; zapadnie dzień dzisiejszy, a już całym dniem staniem bliżéj grobu; nadejdzie nie zadługo owa noc okropna, która nam na zawsze oczy zamknie. Skończył się dzień wczorajszy jak przedwczorajszy, i tak zniknął z oczów naszych, jak ptak albo strzała na powietrzu, która po sobie śladu nie zostawuje. Skończy się i ten, który dziś zaczynamy i drugi po nim, jeśli go doczekamy; a gdzież jest poznaka pracy i roboty naszéj na żywot wieczny? Oto roku zeszłego, ileż z was kochana trzódko! z rejestru żyjących wymazałem? Jesteśmyż pewni, że ta koléj w tym roku na którego z nas nie przyjdzie? Jesteśmyż wszyscy gotowi na to zawołanie? — Dochowujemy

---

1) X. Grzegorz Piramowicz, rodem ze Lwowa, był Nauczycielem prywatnym Potockich (Ignacego i Stanisława), późniéj Sekretarzem Kommissyi edukacyjnéj, nakoniec Proboszczem w Kurowie i Kanonikiem Kamienieckim; żył od r. 1735—1801. Rzadkie jego przymioty tak duszy jak serca uwiecznił pochwałą Stan. Potocki, drukowaną w Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół nauk (zob. wyżéj). Głównem Piramowicza dziełem jest: Wymowa i Poezya dla szkół narodowych, w Krak. 1792 r.; nieskończone. — Powinności Nauczyciela, w Warsz. 1787. — Nauka obyczajowa dla ludu. — Dykcyonarz starożytności, z fran. Warsz. 1778. — Mowy.

dziś święty obyczaj ojców naszych w powinszowaniach doczekanego Nowego roku, i w życzeniu w nim wszelakich pomyślności; czegóż wam życzyć mam, kochani parafianie? zdrowia? majątku? obfitych zbiorów? uciech i powodzenia szczęśliwego we wszystkiém? Nikt zapewne wam szczerzéj tego wszystkiego nie życzy, jak ja, który wtedy za szczęśliwego się poczytam, kiedy u was wszelkie dobro zakwitnie: ale miłowałbym was bardzo mało, gdybym wam tego tylko życzył, w co niewierni i najwięksi nieprzyjaciele Boga obfitują. Urząd mój przypominać wam każe ustawicznie przeznaczenie wasze, i do niego prowadzić. Nie do wiecznéj nędzy i mizeryi stworzył was Pan Bóg: ta zaś, pod którą teraz stękacie, przeminie tak, jak rok wczorajszy. Co więc potém będzie? o to pytajcie i zawsze oglądajcie się. A ta przyszłość bez końca, szczęśliwa lub nieszczęśliwa, zależy od czasu, który teraz w ręku trzymacie: szczęśliwi jesteście, jeżeli tém krótkiém i przemijającém cierpieniem, ów żywot wieczny wysłużycie; przeciwnie podwakroć nieszczęśliwi, jeżeli tu dobra przemijającego nie użyjecie, i w wieczności niczego spodziewać się nie macie.

O! któżby mi to dał, abym mówiąc do was w rzeczy tak ważnéj, mógł trafić do uczucia i pojęcia waszego! albo raczéj ktoby to sprawił, abyście nas, o tém ustawicznie do was mowiących, szczérze i z uwagą posłuchać chcieli. Ach! Parafianie, miéjcie tyle rozumu na żywot wasz wieczny, ile go macie na doczesny, a będziecie najlepszymi Chrześcianami. Jesteście gospodarze: wszyscy do tego szanownego stanu rodzicie się; jedni się od młodu do niego sposobicie, drudzy się nim już bawicie, inni w jakikolwiek sposób gospodarstwem zarządzacie: jakąż odmianę w domu waszym sprawuje ten okrzyk: nowy rok! Oto nowy ład, nowy porządek, nowe kontrakty, zadatki, ugody, nowa czeladka. Bądźcież takimi gospodarzami w robocie około zbawienia waszego!

Ale na cóż się zdadzą narzekania i rozwagi, jeżeli nas mędrszymi po szkodzie nie czynią! Próżno załamujecie ręce, że się wam w przeszłorocznym zarobku nie poszczęściło: wszakże nie upadacie dla tego na sercu, nie rzucacie przez to roli, ale z nowym rokiem nowe i przezorniejsze zaczynacie gospodarstwo, czynicie nowy porządek w domach waszych, uprzątacie to, co przeszkadzało pożytkom waszym, co mieszało dobry ład i urządzenie. Uczyńcież tenże porządek w domu duszy waszéj, uprzątajcie najprzód z pośrodka was tych wrogów, nieprzyjaciół waszych najgłówniejszych, którzy was na zdrowiu, majątku i na dobréj przed Bogiem i ludźmi sławie ohydzają i zabijają, oweto opłakane nałogi i wkorzenione nawyknienia.

Jedni owo obmierzłe pijaństwo, które was w oczach niewiernych nawet żydów, z hańbą religii naszéj, niżéj zwierząt upadla, na zdrowiu i krwawym zarobku ujmuje, i każdy moment w niebezpieczeństwo podaje uśnienia na wieki bez zmysłów i pamięci. Pojrzyjcie na te nieszczęsne żony i dziatki, których nędza, łzy i przeklęctwo, lada dzień pomstę na waszę niewstrzemięźliwość ściągną. A jeżeli ochronił was Bóg od tego obmierzłego nałogu, wznieście ręce do nieba, a dziesiątego i setnego ostrzegajcie, że niéma gorszego moru i powietrza, jak gdzie to złe nieszczęśliwe zagnieżdża się. Wyrzeczcie się drudzy owéj ukrytéj chętki do niesprawiedliwych z krzywdą bliźniego zarobków, które pod tysiącami kolorów, fałszywe sumienie umie uniewinniać. Pomnijcie stare i z ksiąg bożych wyciągnione przysłowie: że ten i swego nie pożyje, który się cudzem spanoszyć chce. Zgoła, wypędźcie z chaty i zagród waszych wszystkie niecnoty; bo póki z tymi nieprzyjaciółmi macie porozumienie, póty przyjaźni z Bogiem mieć nie możecie, póty on nie wejdzie do domu waszego, póty wam w niczem wieść się nie będzie; wszystko źle pójdzie, głód, niedostatek, zamieszanie, kłopot, utrapienie, zgoła, za życia jeszcze piekło ścigać was będzie.

Ale nie dosyć jest złe z domu uprzątnąć, trzeba jeszcze dobro wprowadzić, jakie tylko wasze gospodarstwo polepszyć może. A to z czegoż się pospolicie składa, jeżeli nie z przezornego użycia każdéj najdrobniejszéj okoliczności, która wam zysk i profit niesie? grosz do grosza przyłożyć, zrobi się złoty, ze złotego talar i t. d. Kto nie umie oszczędzić grosza, nie utrzyma się przy nim i złoty. Z małych rzeczy powstają wielkie. Miéjcież ten sam rozum w zarobku waszym na żywot wieczny. Cóż to jest ten rok, parafianie, który nam tak marnie z ręku uleciał? Oto pewna liczba dni i godzin, które go składały. Użyjcież dnia każdego na zbawienie wasze, nie samą modlitwą i wzdychaniem; ale témi samémi kłopotami, któremi kawałek chleba zarabiacie. Niech każdy dzień zaczyna się od tego, który go wam doczekać dał; niech piérwsze otwarcie oczu, będzie ku temu, który stworzył światło. Odzywajcie się zawsze, cokolwiek zaczynać macie: „Panie, wola twoja święta jest, abym gorzko ten kawałek chleba zarabiał, który drugiemu tak lekko przychodzi; z tém wszystkiem nie przestałeś ty być ojcem moim! jedném okiem na nas pozierasz i na tych, którzy nam królują i panują: jakiżkolwiek stan życia w podział nam się dostał, musi on być dobry, skoroś ty nas w nim postawił.“ Dowodząc posłuszeństwa waszego ku temu Ojcu niebieskiemu, który każdą łezkę waszę ocenia, każde westchnienie

przyjmuje, za każdym krokiem waszym chodzi, aby w miarę cierpienia waszego nagrodę przygotował; dowodząc ku niemu wiary i miłości, dopytując się o nim przez naukę, jako go macie czcić prawdziwie i wielbić; okażcie gorliwość o cześć i chwałę jego, aby nie tylko wy, ale dziatki i czeladka wasza umiała go znać i onemu służyć. Oto jest sposób jednoczenia się zawsze z Bogiem. Niech będzie taki dzień każdy: z tych dni po chrześciańsku przepędzonych zrodzi się miesiąc, z miesięcy rok, a z lat, o jakiż łańcuch tak małym kosztem zebranéj wiecznéj zasługi! Itrudnażto, kochani parafianie, filozofia! Oto jest cała ewangelia, całe księgi i pisma: dzień każdy dobrze po chrześciańsku i cierpliwie przepędzić. Cóż wolicie, czy być w szczęściu bez zasługi? czy z tego koniecznego ciérpienia dwa razy zyskiwać, i na tym świecie, czyniąc je lżejszém przez cierpliwość, i w przyszłém, zapewniając za nie wieczną nagrodę. — Oby to wszystko do serc i pamięci naszéj trafiło, ty sam temu zaradzisz o niepojęty Boże!

(Z Kazań parafialnych p. Woronicza. 1)

b) WYIMEK 2gi Z KAZANIA O ZMARTWYCHWSTANIU.

Posłuchajcie mnie pilnie, o wy szczególniéj poniżeni u świata, a drogo cenieni u Boga, wieśniacy i prostaczkowie! Stękacie może nieraz, za co ten Pan i Stwórca nasz, dzieląc ludzi jak mądry gospodarz, na różne stany, klassy i kondycye, o was niejako zdał się zapomnieć? Wyznajecie go równo z Panami, Ojcem waszym w niebiesiech; zacóż ten nierówny dział

1) Jan Paweł Woronicz urodził się na Wołyniu r. 1757., chodził do szkół jezuickich w Ostrogu, i w piérwszéj młodości wstąpił do tego zakonu. Po upadku Jezuitów (r. 1773) przeniósł się do XX. Missyonarzy w Warszawie, i tam zwrócił na siebie uwagę znakomitych osób. Po rozbiorze kraju, osiadł w Kazimiérzu, zkąd często bywał w Puławach: potém przeniósł się na plebanią do Powsina pod Warszawą. Tu mieszkając, pisał swoje poezye. Muza jego była rozpaczająca miłość ojczyzny; † 1829 r. w Wiedniu; zwłoki jego pogrzebione w Krakowie. Woronicz był słodkiego i łagodnego umysłu: religia, ojczyzna i poezya napełniały duszę jego. Pomimo szczęśliwego obrotu rzeczy, których był świadkiem, często jednak ślad jakiéjś tęsknoty można było na jego twarzy upatrywać. Owe wiersze, wyjęte z Poematu Sybilli, zdawały się być godłem jego:

Nié masz prawego szczęścia na ziemi dla człeka.
Bo on, wyższy jestestwem od świata i wieka,
Morze uciech wypiwszy, jeszcze głodnym będzie,
Póki z Tobą, o Twórco, na tronie nie siędzie!

Pisma jego są: Kazania parafialne, w Krak. 1829., 2 tomy. Sybilla, poema historyczne opisowe w 4. pieśniach, powtórna edycya w Krak. 1830., Opisanie Sejmu wyślickiego, Wiersz na pokoje królewskie, Hymn do Boga o dobrodziejstwach Polsce świadczonych; niektóre ody i Lechiada.

między dziatkami jednego ojca. Inszy obszerne włości i majętności nabył, a wam szczupły kawałek roli, albo sama tylko rąk praca w dziedzictwie dostała się, którą panów, siebie i dziatki w pocie i znoju wyżywić musicie. Mógłże ten Ojciec powszechny, który o jednym wróblu nie zapomina, o was dziatkach swoich, tak drogo kupionych i nabytych, choć na moment zapomnieć? Ach! gdyby wam wolno było zgłębiać niedościgłe wyroki jego, jak on w téj mierze mądrze i opatrznie zaradził; nie chcielibyście zapewne mieniać waszego stanu za wszystkie szumne tytuły, dostatki i okazałości, wasze ubogie chatki, za ich zamki i pałace. Daje on to wszystko największym częstokroć niecnotom i zbrodniarzom; więc szczęście tego świata nie musi być u niego największém dobrem; przeciwnie tyle cnotliwych i sprawiedliwych w nędzy i mizeryi zostawił; więc ubóstwo, niedostatek i utrapienie nie musi być u Boga największém złém. Poznajcie się więc lepiéj na sobie; oceńcie lepiéj ten stan, w którym was Bóg postawił. Dobra on zapewne waszego a nie złego szukał. Wytknął on wam w tym stanie obszerne i nieprzebrane żniwo obfitéj zasługi i zarobku na żywot wieczny: a kiedy zbytkujący we wszystko zbrodzień drzymie spokojnie w nieprawościach nad przepaścią zguby swojéj, wy każdego momentu zbierać możecie niezliczone skarby wiecznéj zasługi u Boga; każdy wasz krok, z powinności i nakazu zwierzchności uczyniony; każda kropla potu w pracy i trudach wyciśniona; każda łezka, którą gorzki wasz kawałek chleba skrapiacie; każde westchnienie, w żalach serca i utrapieniu wyjękuione; wszystko to zapisane będzie w księdze żywota wiecznego: a im więcéj krések i krzyżyków cierpienia waszego naliczy się, tym więcéj stopniów i wymiarów w dziedzictwie wieczném, do którego wszyscy dążymy, przypisano wam będzie.

(Tenże.)

C. ŻYWOTY SŁAWNYCH MĘŻÓW.

1. ŻYCIE I ŚMIERC SOKRATESA.

Przez Godebskiego. [1]

Jedno z miast greckich żądało od jednego z sławniejszych snycerzów zrobienia posągu, zostawując przedmiot do jego wyboru: „nie zrobię wam,“ rzecze, „zapaśnika; Grecya ma ich

1) Cypryan Godebski urodził się r. 1765 na Polesiu wołyńskiém z rodziców szlacheckiego stanu. W szkołach Dąbrowickich u Pijarów odebrawszy wychowanie i piérwsze nauk początki, poświęcił się

dosyć, a ja nad siłę przenoszę cnotę; nie zrobię wojownika, ta zaleta jest pospolitą; milionami ludzi umiera co rok za swoję ojczyznę; nie zrobię żadnego z dawnych waszych tyranów, chciałbym raczéj pokruszyć ich obrazy; mógłbym użyć mojego dłóta na wyobrażenie którego z waszych bogów, lecz ich mnóstwo napełnia kościoły wasze, a w niedostatku posągów, czyż nie macie nieba do rozważania najwyższéj Istoty?“ Naówczas lud przerywając snycerzowi mowę: kogo nam więc zrobisz? „To, co było kiedykolwiek najrzadszém na ziemi, człowieka, który ginie za prawdę...“ i zrobił posąg umierającego Sokratesa.

Tento sam był snycerz, co mu tylko jednemu wolno było ryć posągi Alexandra W. Zwycięzca nad Granikiem, chciał się uwiecznić w nieśmiertelném dłócie Lizyppa, snycerz nawzajem chciał uwiecznić swe dłóto na Sokratesa posągu.

Jeżeli obraz śmierci cnotliwego, na niemym wyryty głazie, rozrzewniał patrzących; jakiegoż nie miały skutku żyjącego przykłady i ostatnie umierającego słowa? Ateny się chlubiły, że wydały Platona; ten dziękował bogom, że się urodził za czasów Sokratesa. Fedon, to nieśmiertelne Platona dzieło, którego Cyceron, jak sam powiada, nie mógł czytać bez roz-

---

usłudze publicznéj w wydziale Sprawiedliwości; lecz wkrótce ważna sprawa Ojczyzny powołała go do obozu. Nie długo jednak po ostatnim rozbiorze kraju udał się do Włoch, i tam w Legiach pol. pod dowództwem Generała Dąbrowskiego, pełniąc obowiązki adjutanta przy Generale Rynkiewiczu, wśród szczęku broni, nie zaniedbywał nauk. Ranny w bitwie pod Weroną r. 1798., dostał się do Mantuy, zkąd po poddaniu się twierdzy, wyjechał do Paryża. Podróż tę w tonie romansowym opisał pod tytułem: Grenadyer filozof (zob. wyżéj na str. 97). Nie długo potém w drugiéj Legii pod Generałem Kniaziewiczem w stopniu Kapitana umieszczony, w kilku bitwach r. 1800 dawał dowody rzadkiéj odwagi i męztwa. Wreszcie po kilko-letniém z Polski oddaleniu, zwątlony na zdrowiu, wrócił na łono ojczystéj ziemi. Tutaj naukom oddany, czekał pożądanéj chwili służenia krajowi. Generał Dąbrowski, znając męztwo Godebskiego, powierzył mu r. 1806 utworzenie i dowództwo pułku 1go (późniéj 8go). Pokój Tylżycki dał Polakom Ojczyznę, lecz niestety! wystawioną niedługo na nowe niebezpieczeństwa: nagle nieprzewidywana wybuchła wojna między Francyą a Austryą; Arcyxiążę Ferdynand na czele 40,000 wkracza do Xięstwa warszawskiego; Godebski odebrał niebawem rozkaz wyruszenia w pole; dnia 19. Kwiet. 1809 r. przyszło do bitwy stanowczéj pod Raszynem. Nieprzyjaciel był 5 razy liczniejszy, a nadto wyćwiczony, walczył przeciw świeżo ukształconemu żołnierzowi: tam walcząc na czele pułku z niesłychaną odwagą, poległ na placu bitwy. Dzieła jego są: Zabawy przyjemne i pożyteczne, pismo peryodyczne na rok 1803., które wydał wspólnie z przyjacielem swoim Kosseckim; 10 numerów. 2. Grenadyer filozof. 3. Wiersz do Legionów; i inne. Wszystkie jego dzieła wierszem i prozą wyszły w Warsz. 1821 r.; 2 tomy.

rzewnienia, a Katon odczytał je podwakroć wprzód, nim żelazo utopił w swém łonie; Fedon, mówię, dla tego jest sławnym, iż w sobie zawiera obraz umierającego Sokratesa, i jego ostateczne słowa.

Śmierć człowieka sprawiedliwego sama z siebie jest wielkim przedmiotem; lecz gdy ten sprawiedliwy staje się ofiarą prawdy, gdy odbiera karę przeznaczoną zbrodni, gdy prześladowany za życia, umiera, nie mając jak tylko Boga i kilku przyjaciół, którzy go otaczają; gdy jednak w tym stanie przebacza swoim nieprzyjaciołom, i z warowni ciemnego więzienia wzrok spokojny wznosi ku niebu; gdy blizki opuszczenia ludzi, poświęca ostatnie chwile na ich oświecenie, i gdy nakoniec po jego zgonie, nie on, ale ten, co go potępił, zdaje się być nieszczęśliwym; naówczas ja nie znam wspanialszego przedmiotu w naturze. Taki obraz Sokratesa, zostawił nam Platon w swoim Fedonie.

Sokrates Ateńczyk urodził się w wsi zwanéj Alope roku IV, LXXVII Olimpiady (około 469 przed Chryst.). Rodzice widząc w dziécięciu zarody szczególnego dowcipu, radzili się bogów względem wychowania jego. Wyrocznia odpowiedziała ojcu: „zostaw go samemu sobie i poświęć Jowiszowi i Muzom.“ Dobry człowiek zapomniał rady bogów, i dał dłóto w ręce swojego syna. Sokrates ulegając woli ojca, jął się rzemiosła; lecz często zamyślony wpośród swéj pracy, wypuszczał z rąk dłóto, i wsparty na marmurze, trawił na rozmyślaniu chwile.

Śmierć ojca uczyniła go wolnym w wyborze stanu, lecz mu nie zostawiła żadnych środków, ani innych nadal widoków, jak tylko w dłócie i kamieniu. Dobroczynna przyjaźń podała Sokratesowi rękę, i wróciła młodzieńca wrodzonéj jego skłonności. Dla tego ten mędrzec zwykł był często powtarzać: „Nie masz lepszego dziedzictwa, jak dobry przyjaciel!“

Kryton upodobał go sobie: byłto człowiek majętny, umiejący cenić przymioty i cnotę; postrzegł je w młodzieńcu, dźwignął go z nędzy, opatrzył nauczycielami, i potém powierzył mu w dozór swe dzieci. Tym sposobem Sokratos kunszt tworzenia posągów, zamienił na sztukę kształcenia serca. Ze snycerza stał się nauczycielem rodzaju ludzkiego. Zdaje się, iż przeznaczenie chciało, aby wprzód poznał budowę ciała, nim miał przystąpić do kształcenia duszy. Wielka zaiste dla tych wszystkich uwaga, którzy w jakimkolwiek względzie noszą chlubne nauczycielów imię.

Sokrates słuchiwał nauczającego Anaxagorę, miał za nauczyciela sławnego Archelausa, i był szczególniéj od niego lubio-

nym, ćwiczył się w sztuce wymowy pod sławnym sofistą Prodykusem, brał początki miernictwa od Teodora, muzyki od Damona, prawideł rymotwórstwa od Eweniusza, a sztuki pożycia w społeczeństwie uczył się od Aspazyi i Diotymy, tychto mistrzyń tonu, w stolicy niegdyś oświecenia i smaku; tychto sławnych Atenek, które urodą i dowcipem porywając serca młodzieży, ukształcone potém wracały ojczyznie.

Powierzchowność jego nie była przyjemną, owszem jakąś wzniecała odrazę; któryż jednak z ludzi miał duszę piękniejszą? Gdy jeden w jego twarzy wyczytywał nie dobre skłonności, przyznał się do nich, mówiąc, że je poprawił przez rozum. Ateny nie miały nad niego sprawiedliwszego męża, a ludzkość większego przyjaciela. Jego życie tyle mu było szacowne, ile być mogło użyteczne dla drugich. Łagodny i dobry dla wszystkich, był tylko surowym na siebie. Chcąc stósownie do umysłu zahartować swe ciało, na różne je przeznaczał doświadczenia; spragniony, nigdy nie napił się wody, nie odlawszy do studni piérwszego wiadra, które był wyciągnął. Lecz największém doświadczeniem cierpliwości była jego żona Xantyppa. Gdy ją pojmował, mówił do Antystena: „Znałem to dobrze, iż niéma nikogo, z kimbym żyć nie mógł, jeżeli z nią potrafię. Chciałem mieć w domu kogoś, coby mi przypominał pobłażanie, które winienem drugim, i którego spodziewam się od drugich.“

Miłość nauk nie tłumiła w nim gorliwości obywatela, owszem innego w nich nie zamierzał celu. Skoro jego ojczyzna potrzebowała obrony, rzucił ustroń i ulubione nauki, i wziął się z innymi do broni. Nie dość jest drugim mówić o obowiązkach, trzeba umieć samemu je pełnić. Młody ten filozof trzy lata przepędził pod znakami Marsa w czasie wojny zawziętéj ze Spartą. Widziano go z tą samą gorliwością dającego przykład odwagi i cierpliwości w wojennych znojach, z jaką dawał wzór cnoty, gdy jéj uczył na łonie słodkiego pokoju.

Wsławił się szczególniéj, zasłaniając szczęśliwe cofnienie się Alcybiadesa, wyrywając okrytego ranami z rąk nieprzyjaciela. Równą posługę oddał Xenofontowi w niepomyślném dla Ateńczyków oblężeniu Delium, unosząc go na swém ramieniu, wywróconego z konia wśród hufców nieprzyjacielskich. Tym sposobem ci dwaj wielcy ludzie i przyjaciele jego, dwojako winni mu byli jestestwo swoje: jako nauczyciel, wyrwał ich ze stanu ciemnoty; jako rycerz, ratował ich od śmierci.

Broniąc ojczyzny jako obywatel, nie chciał w niéj zbierać wawrzynów jako żołnierz. Podobna chluba nie wiele miała powabu w oczach człowieka, który wierzył, iż niéma większego

dobra nad mądrość, ani nad ciemnotę większego nieszczęścia. — Po zakończonéj wyprawie, powrócił na łono przyjaciół, spokojności i nauk. Lecz nie długo kosztował tych darów. Kraj żądał nowéj od niego posługi. Powszechne zepsucie skaziło było obyczaje Ateńczyków, a naród jęczał pod jarzmem tyranów. Sokrates nie widział w urzędach publicznych, jak tylko pewne narażenie się, bez nadziei uleczenia złego. Lecz trzeba było wstręt swój poświęcić życzeniom ludu, i ukazać się w Senacie. Poniósł do téj świątyni serce sprawiedliwego i umysł filozofa. Cnota nie zna przemocy; wpośród tyranów Sokrates był wolny. Trzeba było podpisywać wyrok niewinnego śmierci?.. on odpowiadał: ja pisać nie umiem. Odpowiedź zawstydzająca nikczemnych sędziów, i stokroć więcéj warta uwielbienia od téj obłudnéj: „Szczęśliwy byłbym, gdybym pisać nie umiał.“ — (Słowa Nerona).

Znał dobrze ów mędrzec, iż chęć próżna popisywania się z nauką, jest uwłoczeniem saméj nauce. Sławna jest jego odpowiedź, którą nieraz uniżał dumę ówczesnych mędrków. „Wszystko, co wiem, jest, że nic nie wiem.“ Byłby jednak politowania godnym, ktoby to zdanie mędrca Grecyi, chciał używać za puklerz swojéj ciemnoty. Sokrates mawiał to o sobie, dla zawstydzenia niewiadomców, nie zaś dla powiększenia ich liczby.

Pycha jest córką nieoświecenia; we wszystkich przedmiotem powinna być wzgardy, tym bardziéj w człowieku, co się szczyci imieniem przyjaciela mądrości. Nie trzeba rodzić się xiążęciem, ani ogromnych posiadać dostatków, ażeby na resztę ludzi patrzeć okiem pogardy. Sokrates przymioty w człowieku uważał za własność powszechną, z któréj inna dla niego nie należy chluba, jak tylko, że może lepiéj usłużyć ludzkości. Przyjaciel skromnéj postawy nienawidził przysady, co częstokroć jest maską obłudy: „z dziur twego płaszcza,“ mówił do Antystena, „daje się widzieć wiele próżności i dumy.“

Przekonanym będąc, że naród takich będzie miał mężów, jakich mu wychowanie nada, cały się poświęcił na ukształcenie młodzieży, któréj jeszcze niezepsute serce, było zdolne do przyjęcia cnoty. Zasadą jego nauki było to zdanie: „piérwéj serce niż umysł doskonalić należy.“ Ubolewał, iż ludzie szperali w niebie, nie bacząc, co się dzieje na ziemi; że w celu zamieszkania krain niebieskich, stali się cudzoziemcami w swoim własnym domu; i że nakoniec chcieli poznać innych, nie znając dobrze wprzódy siebie samych. Jego piérwsze było prawidło: znaj siebie samego, a cel jego nauki: doskonal się w cnocie. Możnaż do tych prawideł przydać co więcéj o

doskonałości człowieka? Co zaś większego jeszcze blasku dodaje jego nauce, sąto przykłady, którémi ją zdobił.[1]

Czas pożérczy niszcząc zabytki wieków, zdał się szanować tego męża pamiątkę, zachowując nam pisma Xenofonta i Platona, uczniów i dziejopisów jego. Piérwszy go nam wystawia z tą prostotą i szczérością, które mu były właściwe; drugi z większą nadętością i mniéj ścisłém przywiązaniem się do prawdy. Sokrates słysząc raz Platona, powtarzającego jednę z jego rozmów (zdaje się, że to była rozmowa pod tyt. Lizys): „o bogowie!“ rzecze, „ten młodzik piękne o mnie rozprawia kłamstwa.“ Pomiędzy jego uczniami nie możemy przemilczeć ubogiego Eschinesa. Sposób, którym się oddał Sokratesowi, jest obrazem ujmującéj prostoty. „Nic nie mam,“ mówił do filozofa, „cobym ci mógł ofiarować; i w tém tylko czuję moje ubóstwo. Nié mam nic więcéj nad siebie. Masz mnie, jeżeli żądasz.“— Ofiarujesz mi wiele, (rzecze Sokrates), bylebyś tylko siebie nie ważył mało. Ale pójdź, ja cię przyjmuję. Starać się będę, abyś więcéj siebie cenił, i żebym cię lepszym wrócił tobie samemu, niżbym cię przyjął dla siebie.“

Nauka Sokratesa, mająca za cel: być takim w istocie, za jakiego uchodzić się żąda, była śmiertelnym dla tych pociskiem, co pozorem świętości i cnoty, mamili lekkowierne umysły. Zbrodnia nie śmie przeciw cnocie podnieść jawnie głowy; podobna do kretów podziemnych, ryje w skrytości pod śmiało idącym przepaście. Trzeba było cześć nadwątlić powszechną, któréj był Sokrates przedmiotem; a nie mogąc go winowajcą zrobić względem bogów, użyto łudzącego kunsztu wymowy Melitusów, szyderskiego dowcipu Arystofanów,[2] ażeby bawiąc płochy naród żarcikami, kosztem naznaczonéj ofiary, przyzwyczaić go

1) On nigdy obcych nie zwiedzał krajów; po co, mówił, szukać ludzkich zdrożności po świecie, mając ich dosyć w obrębach ojczystego kraju! Wszędy znajdziesz mocniejszego, coby chciał nawet przywłaszczyć powietrze, którém nędzarz oddycha. Próżno szukać będziesz niepodległości jak tułacz, gdy jéj nie znajdziesz jak mieszkaniec ziemi, do któréj ciebie przeznaczyło niebo.

Sokrates przyszedł na świat w tych czasach, gdzie same badania tajemnie niedostępnych ludzkiemu pojęciu, zaprzątały filozoficzne umysły. Nauka powinności człowieka była w zaniedbaniu. Sądzono, iż dosyć było na głosie wewnętrznym serca do poznania dobrego i złego; że człowiek dobry sam był sobie prawidłem, a złemu próżno było gadać o cnocie. Takowe zdania, czyli raczéj błędy, obijały się o ściany szkolne, i rozlegały po gmachach przeznaczonych nauce. Prawda zdawała się oczekiwać na swego Apostoła. Przyszedł Sokrates. On tém się stał naówczas w nauce obyczajów, czém późniéj nieśmiertelny Newton w nauce przyrodzenia. Wskazał pewne prawidła cnoty, i dowiódł, że o poprawie złego rozpaczać nie należy.

2) Komedya, w któréj Ar. wyszydził Sokratesa, ma napis: Obłoki

do słuchania potwarzy. Anitus, kapłan Cerery, stanął na czele potwarców, a podły Melitus był godnym jego rzecznikiem. Tym sposobem ów miłośnik i nauczyciel cnoty, ów najgorliwszy wyznawca bóstwa, ów mówię Sokrates, był pozwany do Sądu jako niedowiarca i obyczajów kaziciel.

Przewidywał on zdawna, jakie nań skutki ściągnie jego nauka. Lecz kto był w stanie zatrwożyć umysł, co swe nadzieje wyniósł nad światą tego granice, i życie niniejsze jak więzienie uważał? Nikt z większą spokojnością nie przyjął oskarzenia, ani z większém męztwem nie spełnił śmiertelnéj czary.

Gdy będącemu w więzieniu przyjaciele sposób podawali ujścia, odrzucił go, jako środek siebie niegodny i uwłaczający prawom, chociaż niesłusznie zastósowanym do niego.

Jeden z jego uczniów widząc zupełną w Sokratesie obojętność na toczącą się sprawę: „Czemu,“ rzecze, „przynajmniéj nie zajmiesz się twoją obroną?“ — Jakto, odpowie Sokrates, alboż mnie nie widzisz zajętego nią całe moje życie? — A to jakim sposobem? — „Rozważając zawsze, co jest sprawiedliwém, albo niesprawiedliwém: czyniąc piérwsze, a unikając drugiego.“ Gdy mu doniesiono, że go Ateńczycy wskazali na śmierć, „a ich,“ odpowie, „wskazało przyrodzenie.“ Słysząc wyrzekających, że niewinnie umiera: „chcecież,“ rzecze, „żebym umierał winowajcą?“

Zgon Sokratesa był tylko okropnym dla jego potwarców. Ateńczycy postrzegli się w błędzie: wystawiono zmarłemu posągi. Imię jego stało się cześci przedmiotem; i lubo samo uczucie straty za karę starczyło winy, nakazano publiczne ofiary bogom, na odwrócenie ich gniewu.

Próżno zbrodniarz nad niewinnego raduje się zgonem. Cnota zostawuje po sobie mścicielów. Trzeba było samego Sokratesa, ażeby zmiękczyć zawziętość ludu przeciw jego mordercom. Jedni wygnania, drudzy z nich śmierci odebrali karę. Ich imię ówcześni okryli złorzeczeniem, a potomność pogardą.

2. NIEKTÓRE SZCZEGÓŁY Z ŻYCIA GRZEGORZA Z SANOKA.[1]

Surowym był stróżem karności kościelnéj: oszczędny w poświęcaniu na kapłanów, nie przypuszczał do téj religijnéj

1) Mąż ten znakomity, wyższy oświatą i umysłu wielkością nad wiek, w którym żył, stanowi u nas epokę, ponieważ zaprowadzając lepszy gust w naukach i smak do literatury klassycznéj; do wzrostu oświaty w narodzie i sławy Akademii krak. nie mało się przyczynił. Był on Nauczycielem królewiczów, synów Władysława Jagiełły, a późniéj arcybiskupem lwowskim, r. 1477.; z pism jego żadne czasów naszych nie doszło.

dostojności tylko tych, o których prawdziwéj zdatności ze wszech miar się przekonał. „Cóżto jest za bezbożność,“ są słowa jego, „lada kogo nawijającego się przypuszczać do kapłaństwa, kiedy w przyjmowaniu do wojskowéj służby tyle braku się czyni! Odrodziło się od swéj pierwiastkowéj wielkości kapłaństwo; było bowiem niegdyś ozdobą tylko i nagrodą cnót, teraz zaś bywa tylko ucieczką biedaków przed nędzą.“ — Nie na jednéj téż przeto osobie duchownéj okazał przykład swéj surowości; a pominąwszy inne, dosyć będzie powiedzieć, iż raz źle czytającemu w kościele ewangelią Xiędzu, przestać i pójść precz, a innemu ją przeczytać rozkazał. Drugiego widziawszy pijanym, a nazajutrz postrzegłszy go zabierającego się do odprawiania Mszy, odwiódł go publicznie od ółtarza, upominając głośno, iż nie godziło się ofiary świętéj po pijackim zbytku sprawować. — Astrologią wieszczącą mocno się brzydził. „Ci,“ mówił, „którzy przyszłe rzeczy usiłują przepowiadać, prócz tego, że sami się najczęściéj zwodzą, dręczą nadto drugich, albo upragnieniem przepowiadanego dobra, albo obawą wróżonego nieszczęścia. Dobro przepowiadane, gdyby się spełnić mogło, dochodząc do znużonych już oczekiwaniem go, traci wiele na przyjemności; nieszczęście zaś długo ciągłą bojaźnią powiększa się i więcéj trapi, gdy umysł niém strwożony, nie widzi żadnego sposobu odwrócenia onegoż.

Rzadko kiedy sam Grzegórz, lecz przez Wikaryusza tylko swojego, zwykł był sprawować sądy. Gdy zaś sam sądził, tedy stronom w sporze będącym, samym przez siebie sprawę przekładać pozwalał, i albo ich między sobą godził, albo podług zrozumianéj z przełożenia ich rzeczy, wyrok dawał. Postępek, czyli proces sądowy, jaki był wówczas, już sztuką zwodzenia, już przywilejem na rozbój i obdzieranie ludzi wpośród trybunału nazywał. Rzeczników zaś, czy adwokatów, „jako sprawiedliwości wikłaczów i najzgubniejszy rodzaj ludzi, godnymi wygnania na najodleglejsze gdzieś tam wyspy być twierdził.“

Życie jego było w wszystkiém wzorem oszczędności: dwór jego składał się z ludzi tylko potrzebnych; względem czego takie jego było zdanie: „iż sług do potrzeby, a nie do wystawności utrzymywać i żywić należy.“ Przeto kiedy go się ktoś z poufałych zapytał, dla czego dwór jego i liczbą i ubraniem tak daleko od innych Biskupów dworu jest pośledniejszy? odebrał na to odpowiedź: „Bo sługą sług moich być niechcę; i tak trzymam, iż znośniéj jest być z przyczyny prostoty mniéj uważanym, niż za udawaną wielkość nieustannie się trapić.“ Ztąd téż mawiał: iż na słabéj ścianie wspiéra się szacunek owych, którzy ze zbiorów tylko chwały szukają.

Uczty krajowym zwyczajem dawane, marnotrawstwem nazywał. „Cóż za różnica,“ mówił, „od trzody bydląt razem się pasących jest téj biesiady, gdzie ciżba ledwie znających się ludzi gromadzi się razem, i dla tego jedynie, aby się najeść i napić? Schadzki i uczty ludzkie od bydlęcych i wyborem towarzystwa i szlachetniejszym celem różnić się powinny.“

Nie zbywało Grzegorzowi i na owym przyjemnym dowcipie, który natura daje, a obcowanie w dobraném towarzystwie wykształca. Niewdzięcznika np. trafnie przyrównywał do morza, które ze wszystkich źródeł i rzek słodką wodę w siebie przyjmując, smaku jednak swojego nigdy nie odmieni. Z przyczyny pomnażającéj się chuci stawiania nagrobków, mawiał: iż tym tylko przystoi przez takowe pamiątki chcieć przedłużać pamięć ich życia, którzy pożytecznie i cnotliwie żyli; ale nie owym, których szkoda, że ciało było na ziemi, a niedopierożby jeszcze grobowce byt jego przypominać miały. — Spotkawszy człowieka, który przez pijaństwo wszystko utracił, roznoszącego wodę po mieście dla zarobku, rzekł: gdybyś mógł był wodę znosić, nie byłbyś jéj nigdy nosił. — Widząc synakmiecego, zabierającego się do stanu duchownego, rzekł: woli czytać agendę, niż orać grzędę.

(Sołtykowicz, Prof. Akad. krak., w dziele: O stanie Akademii Krakowskiéj; w Krak. 1810 r.)

3. O KOPERNIKU.

a) Mikołaj Kopernik, w dwudziestym szóstym roku panowania Kazimierza Jagiellończyka, ery zaś chrześciańskiéj 1473 dnia 19. Lutego, urodził się w Toruniu, z ojca Mikołaja i z matki Barbary Watzelrod, siostry Biskupa warmińskiego. Odesłany na nauki do Akademii krakowskiéj, i w rejestr jéj uczniów roku 1492 zapisany, czerpał w téj jedynéj podówczas polskiéj szkole przez lat 5 wiadomości literatury greckiéj, łacińskiéj i nauk matematycznych. Tym trojakim rodzajem nauk słynęła podówczas w Europie szkoła Krakowska; Jakób z Kobylina, Mikołaj Szadek, Marcin z Olkusza, sławni potém matematyki professorowie, byli współuczniami Kopernika, wszyscy zaś w matematyce i astronomii uczniami Wojciecha Brudzewskiego; i kiedy za naleganiem Xiążęcia Kardynała Fryderyka Jagiellończyka, Brudzewski wyjechał do Litwy na urząd Sekretarza przy Xięciu Litewskim Alexandrze, Królu potém Polskim; Kopernik w r. 1497 przeniósł się do Bononii, gdzie pod Astronomem Dominikiem Marya z Ferrary, jak świadczy Rhetykus, nie jako uczeń, ale jako świadek i pomocnik nad obserwacyami gwiazd pracował. Wyjechał więc

z ojczyzny swojéj Kopernik już opatrzony w wiadomości astronomii i matematyki, którémi tak słynął we Włoszech, iż w dwudziestym siódmym roku wieku swego, ucząc publicznie matematyki w Rzymie, liczne zgromadzenie uczniów na swoje lekcye ściągnął. Tam w ciągu swego nauczycielstwa, nie zaniedbując obserwacyi gwiazd, uważał zaćmienie xiężyca w roku 1500. Wracając z Włoch do Polski, w Padwie popisywał się z swego w anatomii postępku, i stopień doktora medycyny otrzymał. W Krakowie zaś w liczbie jest zapisany roku 1504, i zdaje się, jak gdyby było przedsięwzięciem jego zostać przy Akademii, gdyby go był wuj jego, Biskup warmiński, dawszy mu Kanonią, do Warmii nie zawołał. Ale nie zapuszczajmy się w dociekania i domysły o drobnych zdarzeniach i znikomych dziejach jego życia; bo historya człowieka, który piérwszy założył niewzruszone fundamenta nauki, i stał się, że tak powiém, nauczycielem wieków i narodów, być powinna historyą jego rozumu. Zamiast więc szperać po jego rodzie i pokoleniu, wnidźmy raczéj w genealogią wielkich o budowie świata myśli i wynalazków, żeby się przekonać, że Hypparch, Philolaus, Apollonius i inni wielcy w starożytności ludzie, byli godnymi przodkami; Galileusz, Kepler i Newton potomkami Kopernika. [1]

b. Co tylko osiadł w Frauenburgu, pilne uważanie biegów niebieskich, doskonalenie istotnych do tego pomocy, a najbardziéj, jak się Pawłowi III. papieżowi spowiada, ścisłe roztrząsanie wykładu i wszystkich astronomii początków, cały jego umysł zajęło. Chcąc odkryć i pokazać dzieło natury, zaczął najprzód być surowym sędzią tego, czego się nauczył. „Wystawmy sobie (mówi Kopernik w przedmowie do Pawła III.) członki ciała ludzkiego rozrzucone, pochodzące od osób różnego kształtu, urody i wielkości: gdyby kto pozbierawszy te tak różnorodne części, do siebie źle przystające, w proporcyi niezgodne, w stósunku nieforemne, uwziął się połączyć je razem i złożyć; wystawiłby zapewne raczéj poczwarę, jak postać szykowną człowieka. Taką budową wydała mi się w ścisłém roztrząśnieniu dawna nauka astronomii. Widziałem w tłumaczeniu biegów niebieskich mniemania naciągane do jednych wypadków, odmieniane lub odrzucane w drugich; tam wikłące porządek rzeczy, tu mieszające pojęcie, a nigdy prawie nie dogadzające przekonaniu: w dziełach zaś natury więcéj okazujące dziwactwa i zamieszania, niż szyku i porządku. Cóż

1) Polacy wystawili Kopernikowi, ziomkowi swemu, pomnik bronzowy, roboty sławnego Thorwaldsona, w Warszawie 1830 r.

wypadało sądzić o całym tym gmachu, okrytym chmurą ciemności, i chwiejącym się pod ciężarem zarzutów i trudności? Oto, że cały fundament, na którym osiadł, musi być nieugodzony, słaby i fałszywy.“

To surowe o nauce Ptolomeusza zdanie, mające dziś za sobą całą moc ściśle dowiedzionéj pewności, powiedziane na początku 16go wieku przed głową naówczas całego chrześciaństwa, wystawia nam w Koperniku człowieka, który natchnięty mocą przekonania, wynosi się piérwszy nad powagę czternastu wieków, nad uprzedzenia uporczywe i powszechne uczonych, wreszcie nad pozorne zmysłów świadectwo, i w rzeczach, dociekaniu ludzkiemu zostawionych, oddaje cześć prawdzie, mężną ale przystojną odwagą. Wyćwiczony przez nauki matematyczne w sztuce gruntownego, czystego i porządnego myślenia, którego wzorem były i będą zawsze pisma geometrów dawnych, poniósł ten wielki człowiek w naukę astronomii tę głęboką i skupioną uwagę, tę skrzętną i surową ścisłość w równaniu, wiązaniu i dowodzeniu myśli: a niemogąc zaspokoić swego przekonania tém, co się w oczach innych wydawało pewnością, odważył się wnisć w źródło wątpliwości, i sądzić mniemania ludzkie, równając je z widowiskiem biegów niebieskich.

c) W tak trudném przedsięwzięciu, trzeba było uniknąć dwóch równie niebezpiecznych przypadków, przez które przechodzić zwykły nauki fizyczne, naznaczone w epoce swego dzieciństwa najczęściéj piętnem słabości ludzkiéj. Tworzyć bowiem w fizyce mniemania i domysły, jestto czasem naukę dzieł przyrodzenia zamienić na zbiór uczonych przywidzeń: zabronić sobie znowu wszelkich myśli do tłumaczenia i związania skutków naturalnych, postrzeżeń i doświadczeń; jest zostawić, że tak rzekę, odłogiem wiadomości nasze, a naukę skazać na wieczną nomenklaturę, obciążającą pamięć, bez zatrudnienia myśli i rozsądku. Trzeba więc do pomyślności w podobnym zawodzie, szczególnie uprzywilejowanéj głowy, obdarzonéj siłą nie marzenia, ale zgadywania tajemnic natury. Nie dosyć, że jaka trafna myśl zabłyśnie rozumowi w takowém dociekaniu; pozostaje mu jeszcze zgruntowanie téj myśli, poznanie wszystkich jéj stron i postaci, godzenie jéj z dziełami natury i świadectwem zmysłów; pozostaje nadto dostrzeżenie pewnych granic, do których nas te zmysły prowadzić mogą: rozróżnienie wszystkich odmian przypadkowych i obcych, którym czucia nasze podlegać zwykły: wreszcie pokonanie tego rodzicielskiego do myśli naszych przywiązania, które nas utrzymuje i zapala, ale téż częstokroć i zaślepia w poznawaniu rzeczy.

d) Trafność w myśleniu i stósowaniu, utrzymanie pewnéj wagi między usługą zmysłów i władzą rozumowania, uśpienie miłości własnéj przez wygórowaną miłość prawdy; te są wielkie i rzadkie przymioty, które doprowadziły Kopernika do odkrycia porządku świata, i które on w jego wyłożeniu za prawidło myślenia potomności zostawił:

„Że słońce jest gwiazdą nieruchomą, otoczoną szeregiem planet około niego krążących, których jest i środkiem biegu i pochodnią oświecającą; że oprócz planet głównych, są planety drugiego rzędu, czyli xiężyce, najprzód około swych planet, a potém wraz z niémi około słońca bieżące: że ziemia jest planetą głównym, bieg trojaki mającym: że wszystkie widowiska biegu dziennego i rocznego, wszystkie pory roku i z nich wypadające odmiany w świetle i powietrzu, są rzetelnémi skutkami biegu ziemi wirowego około swéj osi, i peryodycznego około słońca; że wszystkie biegi gwiazd stałych, są tylko złudzeniem oka naszego, a prawdziwym wypadkiem biegu ziemi; że nakoniec w biegu wszystkich planet, tak piérwszego jak i drugiego rzędu, zachodzą dwojakie skutki, bacznego rozróżnienia wyciągające, to jest: jedne, które pochodzą od biegu ziemi; drugie, które wypadają z ich własnego około słońca obrotu.“ Te są niewzruszone i wieczne w fizyce niebieskiéj prawdy, które Kopernik piérwszy światu objawił i wyłuszczył w swém nieśmiertelném dziele: o obrotach niebieskich. (*De motibus orbium coelestium, Norimbergae an. 1542. lib. VI.*)

e) Jakież miał do tego z prac i dzieł starożytnych pomocy? co w tych myślach jest prawdziwym jego tworem, co zaś dziełem jego poprzedników? Na to zapytanie ani historya astronomii, ani najsurowsza krytyka wierniéj i dokładniéj nie odpowiada, jak sam Kopernik. Każdy prawie rozdział jego książki, jest i wierną historyą, i razem dowodzeniem zdań i myśli w nim zawartych. Wielki ten człowiek, w każdym kroku sądząc swych poprzedników, albo rozwija i utwierdza ich myśli, albo je prostuje, albo swoje na miejsce tamtych kładzie i przytacza. Ani praw własności, które ma do swych wynalazków, żadném przywłaszczeniem, ani swéj chwały żadną nie skaził próżnością. Wylany na dobro prawdy i nauki, stał się tym wszystkim drobnym poruszeniom niedostępny: i dla tego, żeby z nauką tak śmiałą oswoić uprzedzone umysły, stara się prawie odjąć jéj postać nowości: a przytaczając to wszystko, cokolwiek starożytność o biegu ziemi pisała, ledwo się nie zdaje swoich pierworodnych wypierać myśli. Wszedłszy atoli w bezstronne i ścisłe roztrząśnienie jego nauki, okazuje się, że układ świata, przez Kopernika wytłumaczony, nie jest nauką

ze szczątków starożytności wydobytą, jak sądzą niektórzy; ale jest cały jego dziełem i stworzeniem.

(Z Rozprawy o Koperniku p. Sniadeckiego. 1)

4. O ŻYCIU I PISMACH SŁOWACKIEGO,

Professora wymowy i poezyi w Imperatorskim Uniwersytecie Wileńskim.

Euzebiusz Słowacki urodził się 15. Grudnia 1772 r. Wieś Podhorce, w Galicyi wschodniéj, znakomita w piérwszéj zeszłego wieku połowie wydaniem na świat Jerzego Skopa, rymotwórcy łacińskiego, [2] była miejscem urodzenia tego pracowitego Professora. Syn niebogatych ze stanu szlacheckiego rodziców, w siódmym roku postradawszy ojca, został z dwoma młodszymi braćmi i dwiema siostrami pod opieką matki i stryja. Że wychowanie staranne od nich odebrał, dowodzi tkliwa wdzięczność, którą im oświadcza w pamiętniku życia swojego, synowi zostawionym. Przez nich oddany do szkół Krzemienieckich, okazał wcześnie niepospolitą zdatność do nauk, i rozwijającym się talentem do wiérsza i prozy obudzał emulacyą w młodych swych współtowarzyszach szkoły.

Lecz zdarza się często, że młodzieniec obdarzony najpię-

1) Jan Sniadecki wróciwszy r. 1781. z zagranicy, objął katedrę Matematyki przy Akademii krakowskiéj: tu przez nadzwyczajną gorliwość i niepospolitą zdatność ożywił w krótce w młodzieży zapał do nauk matematycznych i astronomicznych. Jego staraniu winna Akademia krak. obserwatorium, jakie ma teraz. Nieszczęśliwe w kraju wypadki były mu powodem do oddalenia się z Krakowa: przeniósł się do Wilna, gdzie od r. 1807 sprawując urząd Rektora, nauką i pismami swémi do wzrostu nauk matematycznych nie mało się przyczynił. Jemu należy się bez wątpienia chwalebny tytuł piérwszego po Broscyuszu wskrzesiciela téj nauki w Polsce.

Pisma rozmaite Sniadeckiego w IV tomach wyszły w Wilnie 1818 r., zawierają różne rozprawy matematyczne, żywoty, zagajenia, logikę. Prócz tego napisał: Geografią astronomiczną i Trigonometrią analityczną. Czystość, poprawność i harmoniczna moc języka, mieszczą Sniadeckiego pisma pomiędzy wzorami krasomówstwa. Od r. 1822 żył w wiejskiém ustroniu, niedaleko Wilna; † 1830 r. — Brat jego Andrzéj Sniadecki, Prof. chemii i farmacyi w Wilnie, wydaniem ważnych dzieł naukowych nie mało się przysłużył narodowi: 1. Początki chemii, w Warsz. 1800 r., ostatnie wydanie w Wilnie 1816 r. 2. Teorya jestestw organicznych, w Wilnie 1804—11 r. 2 tomy, tłumaczone na różne europejskie języki. Andrzéj Sniadecki † r. 1822.

2) Urodzony w wiejskim stanie, w młodości dostał się przypadkiem do Anglii, gdzie się w naukach wyćwiczył. Udał się potém do Szwecyi, i tam po długich w wojsku usługach, uczyniony był Rotmistrzem jazdy. Nakoniec doznawszy różnych w życiu przypadków, powrócił do swego gniazda, z którego wyszedł. Został znowu rolnikiem, i dobrowolnie zatrudniał się robotami wiejskiemi w Podhorcach, dobrach Xiążąt Jabłonowskich. Rytmy jego łacińskie, pod tyt.: Podhorcensia, wydrukowano we Lwowie 1754. Skop żył lat 84.

kniejszémi zdolnościami, przyjąwszy szczęśliwie w pierwiastkowém wychowaniu rozlicznych nauk zasady, nie uczuje natychmiast powołania, do którego jest przeznaczony; i gdy go los urodzenia nie postawi w rzędzie bogatych, udaje się częstokroć tą drogą, która mu powabniejsze wystawia nadzieje polepszenia doli swojéj. Zakończywszy młodo nauki w Krzemieńcu Słowacki, pozbawiony środków do dalszego utrzymania się w szkołach, lub udania się do któréj akademii, gdy właśnie w tym czasie na Sejmie zapadło było prawo rozgraniczenia całego kraju, wyjednał sobie przez przyjaciół w Warszawie patent na geometrę królewskiego, i obrał ten zawód życia, do którego się równie był w szkołach usposobił. Długo nawet potém, chociaż wspomnione prawo dla zaburzeń, które wkrótce nastąpiły, do skutku przywiedzione być nie mogło, nie przestał trudnić się prywatném rozmierzaniem obywatelskich majątków na Wołyniu. Lecz ta praca, jakkolwiek mu znaczną część wiosny jego wieku zabrała, nie mogła przywiązać do siebie człowieka, który w owém miejscu mało mając pomocy do rozszerzenia swoich względem niéj wyobrażeń, w ograniczeniu i jednostajności jéj działań, nie znajdował pokarmu dla duszy, obdarzonéj bystrém pojęciem, czułością i żywą imaginacyą. Tém więcéj zaś do odmiany tego sposobu życia tęsknić poczynał, że delikatna organizacya jego ciała i słabość oczu, ledwie wystarczały potrzebie przebywania ciągłego pod otwartém niebem i wysilania wzroku nad rysunkiem.

Do téj odmiany nadarzył mu sposobność jeden ze znakomitych obywateli Wołynia, który wezwał go do domu swego i dzieci mu swoich wychowanie powierzył. Biblioteka w tym domu, dosyć zamożna w klassycznych rzymskich i francuzkich pisarzy, zatrudnienia około edukacyi, bardziéj go do nauki zbliżające, tak upodobane dla umysłu czynnego i umiejącego zacniejszą dla siebie znaleźć zabawę, nad próżniackie po wsiach wynalazki przeciw długości znudzonego życia; wreszcie łagodność duszy, która pokój nadewszystko przenosiła, i serce czułe na cuda przyrodzenia i sztuki, powróciły Słowackiego Muzom, w piérwszéj młodości przez niego wyznawanym, szanowanym statecznie, i w ośmioletnich, któreśmy widzieli, pracach mierniczych, nie jedną błaganym ofiarą. Wtémto miejscu dopiero poznał Słowacki rzetelne powołanie swoje, i stan uczony uczynił stanem całego życia. Przypomniał i ułożył w porządek, co dawniéj umiał, i z punktu usposobienia, na którym stał, a od którego powtórnie, iż tak powiem, zawód swój rozpoczął, przejrzał całą przestrzeń drogi, do przemierzenia przed nim leżącéj. Rzucił się na nię

z dziwną wytrwałością i natężeniem sił aż do zbytku nawet, z uszczerbkiem zdrowia, już i tak z natury wątłego. Wydoskonalił sobie smak prawdziwy i pewny w dziełach nauk wyzwolonych; zgłębił jego prawidła, których potém z takim pożytkiem był tłumaczem. Czuł dostatecznie, że jeżeli sama sztuka bez zdolności przyrodzonych jest kłopotliwa i ciężka; tedy z drugiéj strony zmarnowanie drogich darów natury, zatracenie ich przez wstręt do pracy i brak szlachetnego uporu w ich rozwinieniu i wzmaganiu, jest grzechem niewdzięczności przeciw naturze, jest wadą hańbiącą nas w oczach postronnych, którzy zkądinąd nie zaprzeczają nam szczodrych we wszelkim względzie natury uposażeń. Przekonany, że dla talentu obierającego zawód pisarski, po ozdobieniu umysłu mnóstwem potrzebnych rzeczy, nabycie łatwości pisania z wdziękiem i powagą, owoc pracy i głębokiéj nauki języka, jest istotnym i najpiérwszym warunkiem; cały się téj pracy poświęcił, pióro swoje najprzód zaprawując i kształcąc na tłumaczeniach. Zaczynaj od tłumaczenia obcych wzorów, jeżeli chcesz, aby twoje potém tłumaczono, powiedział jeden z znakomitych francuzkich pisarzy. Prawidło to, tak dla młodych pożyteczne, tak pochlebne, byle tylko nie zaniedbywali i z własnéj głowy pracować, tym więcéj dla nich powinno mieć powabu, że w téj części literatury naszéj mają jeszcze bardzo rozległe pole do prędkiéj zasługi i sławy. Mało jeszcze wybornych płodów rozumu i dowcipu cudzego, na grunt ojczysty przeniesionych, utrzymało się w swoim blasku i mocy.

Liczne przekłady, jako i oryginalne roboty, w téj epoce czasu dokonane, uważał sam Słowacki za piérwsze doświadczenie sił swoich i środki do nabycia wprawy w pisaniu mową wiązaną. Henryada, mimo chęć i wiedzę Słowackiego, drukiem ogłoszona została w Warszawie 1803. Zdarzenie to dla niego niespodziewane, tym więcéj go zasmuciło, iż mając smak wyćwiczony, wiedział doskonale, jak w robotach tego rodzaju wielka jest różnica między piérwszym rzutem pióra, a staranném dzieła wykończeniem.

Wkrótce poznany od ś. p. Tadeusza Czackiego [1] i przez niego zalecony Uniwersytetowi wileńskiemu, wezwanym został na nauczyciela wymowy do gimnazyum krzemienieckiego, do téj saméj szkoły, w któréj się niegdyś uczył. Nigdym się jeszcze, powiada sam o sobie z téj okoliczności w rękopiśmie wyżéj wspomnionym, nie rzucił w pracowitszy zawód. Znał zaiste, że człowiek zostając nauczycielem drugich, nie przestaje być uczniem względem siebie i przedmiotu bez

1) Zob. wyżéj str. 160.

granic, któremu życie poświęca. Chciwy nauki i równie zdolny do jéj pojęcia, jak szczęśliwego wykładu, w bibliotekach poryckiéj i krzemienieckiéj, zamożnych w skarby literatury krajowéj, znalazł wielkie wsparcie i nasycenie pracowitości swojéj.

W czasie pobytu swego w Krzemieńcu wypracował kilka rozpraw w materyach naukowych, równie dobrze wybranych, jak jasno i porządnie wyłożonych. Opisał życie i prace uczone Józefa Czecha,[1] w których dokładnym rozbiorze okazał, że nauki matematyczne nie były Słowackiemu obcémi.

Nakoniec konkurs do katedry wymowy i poezyi w Uniwersytecie wileńskim, roku 1809 ogłoszony, podał mu sposobność do rozwinienia swego talentu, i dopełnił jego wzięłości. Droga ta jedyna, przez którą uczone zgromadzenia mogą się w ludzi zdatnych opatrzyć, podobała mu się niezwyczajnie; widział bowiem pole otwarte saméj tylko zasłudze. Rozprawę o sztuce dobrego w języku polskim pisania, przez niego wypracowaną, przyjął uniwersytet na początku roku 1811, i wezwał go na publicznego Professora wymowy.

Następca Sarbiewskiego, Naruszewicza, Pilchowskiego i Golańskiego, natchniony ich przykładami, umiał utrzymać godność katedry przez nich zasiadanéj. Młodzież upragniona do nauki tak interesującéj, zwłaszcza, że za przejściem JX. Golańskiego do oddziału nauk teologicznych, kurs jéj przez lat kilka w uniwersytecie został przerwanym, zbierała się gromadnie na słuchanie lekcyi, wykładanéj z równym pożytkiem jak przyjemnością.

Tym sposobem Słowacki w zawodzie, któremu się poświęcił, stanął niejako u kresu widoków swoich i nadziei, lecz pracowitość jego granic sobie naznaczyć nie umiała. Pomnażając ustawicznie swoje zatrudnienia, w rok od zaczęcia professorskich w uniwersytecie obowiązków, przyjął redakcyą gazety Kuryera litewskiego, i utrzymywał ją przez półtora roku, aż do czasu ostatniéj choroby, która zgon jego poprzedziła. Czystość mowy, przyzwoitość, wybór i interes rzeczy ogłaszanych, zalecają szczególnie tę jego pracę.

Lecz ważniejsze roboty Słowackiego zostały w rękopismach: można je w trzech zamknąć oddziałach. Piérwsze miejsce trzymają pisma o wymowie i poezyi, składające kurs nauki, którą wykładał w Uniwersytecie. Poprzedza to pismo teorya smaku w dziełach nauk wyzwolonych, od Baumgartena i jego następców nazwana estetyką. W układzie

1) Najprzód Professora przy Akademii krakowskiéj, późniéj Rektora szkoły krzemienieckiéj, tłumacza Euklidesa na język polski; † 1810 r.

jéj umiał Słowacki uniknąć zbytniego zaciekania się w metafizyczne niemieckiéj filozofii skrytości. Drugi zbiór składają materyały, przygotowane przez Słowackiego do krytycznéj historyi pisarzów polskich: miał bowiem zamiar zbogacić literaturę krajową takiém dziełem, jakiém się Tiraboschi Włochom, Laharpe Francuzom, Buterwek Niemcom przysłużyli. Materyały te zawarte są w zbiorze uwag nad przedniejszymi autorami polskimi w różnych literatury epokach. Zdrowa krytyka i smak ciągle mu w téj pracy towarzyszyły. Do trzeciego nakoniec rzędu należą własne jego twory tak w prozie jak w rymie; kilka sztuk dramatycznych, już oryginalnych, już tłumaczonych, przekładanie Lukana niedokończone, i wiele innych szacownych pamiątek jego talentu i pracy.

Człowiek, który z takiém upodobaniem kształcił umysłu swego zdolności, posiadał w wysokim stopniu szlachetne serca przymioty. Mnogie przykłady jego usłużności i pomocy, wdzięczna młodzież i przyjaciele z czułością powtarzają, i życie jego jest w ich ustach i sercach. Przenikniony prawdami religii i moralności, z jaką spokojnością duszy i przygotowaniem zbliżył się do ostatecznego kresu, świadectwem są własne jego wyrazy, które stygnącą już prawie ręką kreślił.

Wędrownik w drodze życia mdłą stargawszy siłę,
Wkrótce rzucę co miłe, i co mi nie miłe.
Bez trwogi, nie bez żalu, widzę kres zbliżony,
Który nagle w nieznane przeniesie mnie strony:
W tę spokojną uchronę, gdzie wieczność przebywa,
I którą chmura pełna tajemnic okrywa.

Umarł d. 29. Paźdz. 1814 roku, mając lat 42 niespełna.

(Leon Borowski, teraźniejszy Prof. przy Uniw. Wil., który wydał Dzieła Słowackiego w Wilnie r. 1826., tomów 4.)

POEZYA.

ROZDZIAŁ PIĘRWSZY.

POEZYA LIRYCZNA.

A. PIEŚNI NABOŻNE.

a) FRANCISZKA KARPIŃSKIEGO. [1]

1. PIEŚŃ PORANNA.

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywiół wszelki:
Bądź pochwalon, Boże wielki!
A człowiek, który bez miary,
Obsypany twémi dary,
Coś go stworzyłi ocalił,
Czemużby Ciebie nie chwalił?
Ledwie oczy przetrzeć zdołam,
Wnet do mego Pana wołam;
Do mego Boga na niebie,
I szukam go koło siebie.
Wielu snem śmierci upadli,
Co się wczoraj spać pokładli;
My się jeszcze obudzili,
Byśmy Cię Boże chwalili.

1) Franciszek Karpiński ur. r. 1740 w dawném województwie ruskiém; w młodym zaraz wieku do nauk a oraz do poezyi wielkie powziął przywiązanie. Ukończywszy szkoły w Stanisławowie, i pragnąc świat poznać, opatrzony życzliwémi przestrogami ojca, postanowił u Xięcia Augusta Czartoryskiego szukać dla siebie opieki; i wkrótce osiągnął cel życzeń swoich. Na dworze Xiążąt Czartoryskich poznał świat, i sam z osoby i z wiérszy swoich poznanym został. Bawił naprzemian u Potockich, Ponińskich, Sanguszków, Radziwiłłów; ale nie stworzony na dworaka (bo pochlebiać nie umiał), trudniąc się jużto nauczycielstwem, jużto innémi pracami, i cały swój wiek młody strawiwszy, losu sobie zapewnić nie mógł. Uwiedziony zbyt śmiałą miłością, doznawszy przytém różnych przykrości, obojętny na powab świata, wrócił do ubogiéj strzechy, z któréj przed dwudziestu i kilką laty był wyjechał pełny nadziei. Wtedy to napisał Karpiński ów piękny wiérsz: Powrót na wieś, który najlepiéj stan jego duszy maluje. Stanisław August Poniatowski dowiedziawszy się o niedoli tak czułego i miłego poety, darował mu dwie wioski w Litwie, w powiecie prużańskim, z których on jednę, Kraśnik, Karpinowem przezwał. Tam życiu rólniczemu oddał się zupełnie; późniéj nabył dla synowców swoich wieś Chorowczyznę i

2. PIEŚŃ WIECZORNA.

Wszystkie nasze dzienne sprawy,
Przyjm litośnie Boże prawy;
A gdy będziem zasypiali,
Niech Cię nawet sen nasz chwali
Twoje oczy obrócone
Dzień i noc patrzą w tę stronę,
Gdzie niedołężność człowieka
Twojego ratunku czeka!
Odwracaj nocne przygody,
Od wszelakiéj broń nas szkody;
Miéj nas wiecznie w twojéj pieczy,
Strożu! i sędzio człowieczy!

3. PODCZAS PRACY W POLU.

Boże! z Twoich rąk żyjemy,
Choć naszémi pracujemy!
Z Ciebie plenność miéwa rola,
My zbieramy z twego pola!
Wszystko Cię, mój Boże, chwali;
Aleśmy i to poznali,
Że najmilszą Ci się zdała
Pracującéj ręki chwała!
Ty, co rządzisz ziemią, niebem!
Opatrz dzieci Twoje chlebem;
Ty nam daj urodzaj złoty,
My ci dajem trud i poty.
Kiedyś przyjdziem na godzinę,
Gdy kończąc ziemską gościnę,
Z Łazarzem po naszym zgonie,
Odpoczniemy na Twém łonie.

4. O POGODĘ.

Dosyć Boże deszcze lały;
Twoje się dzieci zebrały;
Proszą od Ciebie pogody,
Błyśniéj słońcem, spłyną wody!
Spojrzyj na niwy zgubione!
Na sługi Twoje strwożone,
Wróć plon, który nas posili,
Ażebyśmy Ci służyli.

5. O DESZCZ.

Ciebie Boże, lud Twój wzywa!
Grozi głodem oschła niwa,
Niech tylko Pan chmurom rzecze
A obfity deszcz pociecze.
Wzrusz się dla nas Ojcze miły!
Dzieci Twe cię obstąpiły!
Jeżeliśmy łaski godni:
Masz chleb w ręce, a my głodni!

6. DO ŚWIĘTYCH POLAKÓW, PATRONÓW POLSKI.

Święci! niebieskiéj mieszkańcy krainy!
Do was bieżemy w czasie złéj godziny;

---

był prawdziwym ojcem poddanych swoich, założył szkółkę, w któréj sam nieraz miejsce nauczyciela zastępował. Karpiński miał nieco przykrą starość, gdyż prawie zupełnie zdziecinniał, rymując ustawicznie w potocznéj mowie, i żyjąc ściśle podług zegarka: pamięć prawie doszczętu stracił. Zapomniany w swém ustroniu, † 16. Wrześ. 1825 r., mając lat 84. miesięcy 11, otoczony dziećmi i wnukami ukochanéj swéj siostry. Był miernego wzrostu, postaci nieokazałéj, pełen prostoty, nie niósł z sobą w towarzystwa ani przysady, ani chęci popisywania się i zwracania na siebie oczu. Poezye jego pełne są słodyczy, prostoty i miłego wdzięku, jest wszędzie prawie oryginalnym i narodowym poetą. W prozie gładki, niekiedy dobitny. Pisma jego, tak wiérszem jak prozą, wydał *Dmóchowski* w Warsz. 1804 roku, w 4. tomach. (Tańska.)

Których za własnych współziomków ogłasza
Ojczyzna nasza.
Po téjże ziemi z namiście chodzili!
Z tych samych źródeł wodę naszę pili,
Polska was matka mlékiem swém karmiła,
Rola żywiła!
Wspomnijcie, bracia, na wasze rodaki!
Xiążęta niebios, na liche żebraki:
Dobrego Boga błagajcie za nami,
Swémi prośbami.
Jeśli głód, wojna i powietrze srogie,
Nawiedzić zechcą królestwo ubogie,
Brońcie nas, stojąc na krajú granicy,
Święci strażnicy.
Boże! ta prośba będzie uiszczona,
Jako przez Twoich przyjaciół czyniona,
I zasługami wiecznémi wspierana
Chrystusa Pana.

7. PRZY GRZEBANIU UMARŁYCH.

Zmarły człowiecze! z tobą się żegnamy!
Przyjmij dar smutny, który ci składamy:
Trochę na grób twój porzuconéj gliny,
Od twych przyjaciół, sąsiadów, rodziny.
Powracasz w ziemię, co matką twą była,
Teraz cię strawi, niedawno żywiła!
Tak droga każda, którą nas świat wodzi,
Na ten ubity gościniec wychodzi!
Niedługo bracie z tobą się ujrzemy!
Jużeś tam doszedł, my jeszcze idziemy.
Trzeba ci było odpocząć po biegu!
Ty wstaniesz, boś tu tylko na noclegu!..
Boże! ten zmarły w domu Twym przebywał,
U stołu Twego jadał, ciebie wzywał;
Na twéj litości polegał bezpieczny,
Daj duszy jego odpoczynek wieczny.

8. O POWOŁANIU I PODLEGŁOŚCI RZĄDOWI.

Chwalcie Boga wszystkie stany!
Z Jego wszystko jest woli,
Czy kto siedzi między pany,
Czy pracuje na roli.
Cóż się o miejsce kłócimy,
Na ziemskiéj stojąc śmieci?
Wspólnie Go ojcem zowiemy,
Wspólnie słucha swych dzieci.
Czyliżto z pańskiego gmachu
Bliższa droga do nieba,
Niż z pod ubogiego dachu,
O nędznym kęsie chleba?
Posłuszny memu stanowi,
Jak się obudzę rano,

Drogą mą ku zachodowi
Idę, jak iść kazano.
W téj podróży postępując,
Chociaż mię co uciśnie,
Wnoszę, że mnie Bóg probując,
Ten cierń rzucił umyślnie.
Przykładem posłusznych dzieci,
Wszystkom pełnić gotowy,
Co mi moja zwierzchność zleci,
Co rząd każe krajowy.
Nie mruczmy na swe zwierzchniki!
Bo jak niebo usłyszy,
Za boskie się namiestniki
Ujmie, i nas uciszy.
Nad wszystko lepiéj nam Panie
Pod rozkazy Twojemi;
Niech się wola Twoja stanie,
Jak w niebie, tak i na ziemi!

9. O WIELKOŚCI BOGA.

Potężny Boże na ziemi i niebie!
Gdy spojrzę na dzieł twoich widowisko,
A potém oczy obrócę na siebie,
Jak mnie ta wielkość upokarza nisko.
Przecież chociażem istotą tak małą,
Pójdę do ciebie.. Twa dobroć mi znana!
I wlać mi chciałeś jakąś duszę śmiałą,
Co się chce przedrzeć do samego Pana.
Ale odarty jak przed tobą stanę?
Cechę wierności z piersi moich starłem,
I niewinności odzienie mi dane
Ocierając się między ludźmi zdarłem.
Przecież ja pójdę, cokolwiek mnie czeka,
Pójdę do ciebie... bo mi powiadano,
Że, byleś ty się obejrzał na człeka,
Zaraz go w stanie szczęśliwszym widziano.
Tak jak dziś jestem niedołężnym płazem,
Zbitém naczyniem, o które nie stoję,
Pokorę tylko wziąwszy z sobą razem,
Poniosęć głupstwa i nikczemność moję.
Mnie się rozstąpią wybranych twych rzesze,
Mnie nic nie będzie po drodze ustraszać,
Jeszcze ich mojém przybyciem pocieszę,
Bo powiem, że ja idę Cię przepraszać.
Potém przed tronem twym padnę i powiem:
„Z dalekich krajów przyszedłem w te strony,
Za moim skarbem, weselem i zdrowiem
Ubogi, smutny, na siłach zwątlony.
Jużbym ja nie chciał mieć Pana inszego,
Ani twéj woli w czém kiedy być sprzeczny;
Ale gdy moję znasz skłonność do złego,
Trzymaj mnie ty sam, bom ja niestateczny.“

b) JANA KOCHANOWSKIEGO.[1]

1. O OPIECE BOGA NAD NAMI.

Panie, jako bardzo błądzą,
Którzy Cię niedbałym sądzą;
A iż prawie żadnéj rzeczy,
Nie chcesz mieć na swojéj pieczy
Nie wiem, czego więcéj trzeba:
Przeciwko nim świadczą nieba,
Świadczą gwiazdy niezliczone,
Na powietrzu zapalone.
Kiedyż słońce swego wschodu,
Albo chybiło zachodu?
Kiedyż miesiąc jasne rogi,
Skłonił od swéj zwykłéj drogi?
Toż nam i ziemia zeznawa,
Która pewnych czasów dawa
Zboża w wielkiéj obfitości,
Synom ludzkim ku żywności.
Niechaj źli we złocie chodzą,
I nad lepszymi przewodzą;
Jednak złe sumienie mają,
Sądu swego się lękają.

2. O DOBRODZIEJSTWACH BOGA.

Czego chcesz od nas Panie, za twe hojne dary;
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?
Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie.
Złoto téż, wiém, nie pragniesz, bo to wszystko Twoje,
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje.
Wdzięczném Cię tedy sercem, Panie, wyznawamy,
Bo nad Cię przystojniejszéj ofiary nie mamy.

---

1) Jan Kochanowski urodził się w Sycynie r. 1530. Utraciwszy wcześnie ojca, pod czułym dozorem matki odebrał wraz z braćmi swymi, (których miał pięciu), piérwsze wychowanie; a potém chęcią dalszego doskonalenia się wiedziony, udał się najprzód do Niemiec, później do Paryża: tam przez lat 7 przykładał się do filozofii i języków. Ztamtąd przeniósł się do Włoch, gdzie zwiedziwszy różne akademie, w Rzymie i w Padwie przez lat kilka przemieszkiwał: poświęcając się naukom razem z Zamojskim, Łukaszem Górnickim, Nideckim i innymi Polakami. Powrócił potém do ojczyzny z niemałym nauk plonem. Filip Padniewski, Biskup Krakowski i Kanclerz, dowiedziawszy się o jego niepospolitéj zdatności, wyjednał mu u Króla urząd Sekretarza, około r. 1560. Myszkowski, następca Padniewskiego, równąż zaszczycał go przyjaźnią i życzliwością; a chcąc go koniecznie do stanu duchownego nakłonić, wyrobił mu u Króla dochody Probostwa poznańskiego i Opactwa sieciechowskiego: jednak Kochanowski święceń Kapłańskich przyjąć nie chciał. Nakoniec wzdychając do swobodnego życia, porzucił dwór i dalsze jego nadzieje i osiadł w Czarnolesiu: tam dla nauk i poezyi tylko żyjąc, umarł nagle w Lublinie r. 1584, mając lat 54.

Kochanowski utorowawszy sobie drogę, dotychczas nikomu nieznajomą, pokazał światu, że i naszemu językowi nie zbywa na żywości i wdziękach, a dzieła jego są szacownym składem bogactw i piękności mowy naszéj. Zdaje się, że z tegoczesnych poetów, w jednym tylko Karpińskim odżyła dusza Kochanowskiego. Słodycz, miła prostota, i szczęśliwa w opisach jasność, cechuje wszystkie jego poezye. Poezye jego są częścią oryginalne, jako to: pieśni, treny, fraszki, proporzec Dryas etc., częścią tłumaczone lub naśladowane, jak np. Psałterz Dawidów,

Tyś pan wszystkiego świata, Tyś niebo zbudował,
I złotémi gwiazdami ślicznieś uhaftował;
Tyś fundament założył nieobeszłéj ziemi,
I przykryłeś jéj nagość zioły rozlicznémi.
Za Twojém rozkazaniem w brzegach morze stoi,
A zamierzonych granic przeskoczyć się boi;
Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają;
Biały dzień, a noc ciemna, swoje czasy znają.
Tobie kwoli, rozliczne kwiatki wiosna rodzi,
Tobie kwoli w kłosianym wieńcu lato chodzi;
Wino, jesień i jabłka rozmaite dawa,
Potém do gotowego gnuśna zima wstawa.
Z Twéj łaski nocna rosa na mdłe zioła padnie,
A zagorzałe zboże dészcz ożywia snadnie.
Z Twoich rąk wszelkie zwierzę patrzy swéj żywności,
A Ty każdego żywisz z Twéj szczodrobliwości,
Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie!
Twoja łaska, Twa dobroć, nigdy nie ustanie.
Chowaj nas, póki raczysz, na téj nizkiéj ziemi;
Jeno niech zawsze będziem pod skrzydłami Twemi.

Fenomena, poema dydaktyczne o znakach niebieskich. — Szachy, podług oryginału włoskiego Marka Widy, etc.

Niemniéj i łacińskie jego poezye szacowane były od cudzoziemców: 1) *Elegiarum libri tres* (w części tłumaczone przez Brodzińskiego w Warsz. 1830) *ejusdem fericoenia sive epigrammata* 1584 *r.* 2) *Lyricorum libellus r.* 1580. Krasicki w podróży swojéj do Biłgoraju tak opisuje Czarnolas i Kochanowskiego zalety:

Darmo szukałem w odmianie wieczystéj
Owéj roskosznéj lipy rozłożystéj,
Pod któréj niegdyś ulubionym cieniem,
Wdzięcznem mąż wielki rozrzewniał się pieniem.
Widziałem miejsca, w których się zabawiał,
Miejsca, gdzie wdzięczne Sobótki odprawiał;
Gdzie grzebiąc dzielne przymioty w ukryciu,
W ziemiańskiém szczęście upatrywał życiu.
Wdzięczny strumyku, przy twojéj on wodzie
Szczupłéj się swojéj przypatrywał trzodzie:
Laurowy oracz z ojczystymi chłopki
Gromadził w żniwa plenne swoje snopki.
O wy! na żałość rodzicielską czuli!
Płaczcie z nim stratę najmilszéj Urszuli:
Płaczcie, a siedząc w zaciszy przy źródle,
Rznijcie pamiątkę na ponuréj jodle.
W szczupłém siedlisku nad gmin się unosił,
A gdy mąż wielki bohatérów głosił.
Czuł swoję wielkość, iż czasy potomne
Ze czcią przyjmując dzieła wiekopomne,
Tam go postawią, gdzie stanąć zasłużył.
Dość żył dla sławy . . . .

3. NADZIEJA W BOGU. (Psalm.)

O który siedzisz na wysokiém niebie!
Ja nie mam inszéj nadziei, prócz ciebie;
Ty mię chciéj wspomódz w mojéj doległości,
Boże litości!
Tyś moim Panem; acz ty posług moich
Nie potrzebujesz, jednak wiernych twoich
Trzymać się będę, i czasy wiecznymi
Przestanę z nimi.
W każdéj swéj myśli, i w każdéj swéj sprawie,
Mam Pana zawsze przed oczyma prawie;
On przy mnie stoi, abym z żadnéj strony
Nie był wzruszony.

4. PSALM VIII.

Wszechmocny Panie, wiekuisty Boże,
Kto się twym sprawom wydziwować może?
Kto rozumowi, którym niezmierzony
Ten świat stworzony?
Gdziekolwiek słońce miecie[1] strzały swoje,
Wszędy jest zacne święte imię twoje;
A sławy niebo ogarnąć nie może
Twéj, wieczny Boże.
Niech źle jako chcą ciebie mierzią[2] sobie,
Z ust niemowlątek rośnie chwała Tobie,
Ku większéj hańbie i ku potępieniu
Złemu stworzeniu.
Twój czyn jest niebo, twoich rąk robota
Gwiazdy, jaśniejsze wybranego złota;
Ty coraz nowém światłem zdobisz wdzięczne
Koło miesięczne.
A człowiek co jest? że ty niestworzony,
Wszystkiego Twórca i Pan niezmierzony
Raczysz nań pomnieć, czém jest syn człowieczy,
Godzien Twéj pieczy?
Takeś go uczcił i przyochędożył,
Żeś go z anioły tylko nie położył;
Postawiłeś go panem nad zacnémi
Czyny swojémi.
Dałeś w moc jego wszystkie bydła polne,
Dałeś i leśne zwierzęta swawolne:
On na powietrzu ptastwem, pod wodami
Władnie rybami.

1) Rzuca, Karpiński. 2) Ważą, Karp.

Wszechmocny Panie, wieknisty Boże,
Kto się twym sprawom wydziwować może?
Kto rozumowi, którym niezmierzony
Ten świat stworzony!

---

c) PIEŚNI RÓZNYCH AUTORÓW.

1. DO BOGA.

Źródło życia, uciech celu,
Ja twoją dobroć opiewam,
I przed Tobą Stworzycielu
Całą mą duszę wylewam.
Codzień słońce cień rozprasza,
Xiężyc swoim błyszczy rogiem
Cała natura ogłasza,
Że Bóg był, jest, będzie Bogiem.

Jeśli nędza w przykréj dobie,
Trapi nas rozpaczą wściekłą,
Tyś nie winien, żeśmy sobie
Utworzyli z nieba piekło.
Stwórco! nie mogę cię dociec,
Jaką ty jesteś istotą;
Kocham ciebie, boś mój ojciec,
Nie gardź tą moją prostotą.
(Kublicki, Pułkownik, † 1809 r.)

2. DO BOGA.

Błysnął poranek, zniknęły cienie,
Ja wzrok z pokorą toczę po niebie;
Boże! najpiérwsze moje westchnienie
I moję duszę wznoszę do Ciebie.
Czuję Twą wielkość, wieczność jéj strażą;
U nóg Twych strumień czasu przecieka;
U nóg Twych losy świata się ważą,
I drżący piorun Twéj woli czeka.

Lecz gdy się groźnéj potęgi trwożę,
Boska mnie litość tarczą okrywa;
Wołam do Ciebie, Ojcze i Boże!
Ty słuchasz głosu, który Cię wzywa;
Spraw, niech mi serce cnotą goreje;
Nieszczęściem zagródź występku drogę,
A jeśli zbłądzę, daj mi nadzieję:
Że jeszcze Ciebie przebłagać mogę.
(Z Pamiętnika lwowskiego p. F. Hr. P.)

3. DO BOGA.

Wielki Boże! przed Twym tronem
Lud Polski z pokorą staje;
I z czołem w ziemię schyloném
Hołd Ci wiernych serc oddaje.
Już nasze i przodków winy
Obmyte płaczem rzewliwym,
Myśmy Piasta Twego syny,
Bądź nam Ojcem litościwym.
Racz wspomnieć na Mieczysława,
On błędne skruszył bałwany;
I schylonémi kolany,
Święte Twoje przyjął prawa.
W nukowiejego, o Panie!
Obszernym krajem władali:

Gdzież ich dzielne panowanie,
Od brzegów Dniepru do Sali?
Tobie piérwszy z Jagiellony,
W skruszonego serca darze,
Bratnie Litwy miliony
Przed święte przywiódł ołtarze.
Odtąd złączone dwa ludy,
Dzieliły losów koleje:
Zwycięztwa, klęski i trudy,
W Tobie swe mając nadzieje.
Już złożoną w ciemnym grobie
Powróciłeś iskrę życia,
Daj dzisiaj w całéj ozdobie
Ujrzeć blask dawnego bycia.
Błogosław Boże Królowi,
Panom w radzie, wojsku w boju!

Dozwól Twojemu ludowi,
W nieprzerwanym żyć pokoju.
Mnóż nasze żniwa i trzody,
Spuszczaj rosy pożądane,
Chowaj od wszelkiéj przygody
Dzieci nasze ukochane!

Z ostatniéj chwili zbliżeniem
Daj wiernym w Twoim zakonie,
Z czystém sercem i sumieniem,
Usnąć słodko na Twém łonie.

(Niemcewicz.)

5. TOBIASZ OJCIEC.

(Starzec ociemniały, wspierający się na kiju, zbliża się do swego mieszkania.)

Już nie znają mnie te strony,
Próżno błądzę osamiały; [1]
Próżno wołam dawnéj chwały
Starzec drżący i wzgardzony.
Oczy Pańskich dzieł nie widzą,
W sercu radość się nie wznieci;
Pokolenia mego dzieci
Z lat i modlitw moich szydzą.
Pókiś Ty był zemną Panie!
Zemną były dni wesela,
Zemną miłość Izraela,
Dla mnie Królów posłuchanie.
Dziś mię wróg prochem narzucił,
Myślę smutno, nieprzytomnie;
Bo zapomniał Pan dziś o mnie.
Od grzesznika twarz odwrócił.
Sprawiedliwyś Ty od wieków
Panie!

I wszystkie sądy Twe sprawiedliwe;
Jam to przestąpił Twe przykazanie,
Jam zeszedł na drogi krzywe.
Jam Cię obraził, zdradził, a oto
Tyś przewinieniom moim przebaczył:
Tyś mnie pogardą, nędzą, ślepotą,
Ty Bóg mój, ukarać raczył!
Błogosławione są Twoje kary!
Twe zagniewanie błogosławione!
Bo jakież drogie będą ofiary
Za Twych wybranych koronę!

(Z Poezyj biblijnych p. Stefana Witwickiego; w Warsz. 1830.)

B. PIEŚNI MORALNE TOWARZYSKIE, ANAKREONTYKI.

1. WIOSNA I CZYSTE SUMIENIE.

Serce rośćie patrząc na te czasy;
Mało przedtem [2] gołe były lasy;
Śnieg na ziemi wyżéj łokcia leżał,
A po rzekach wóz najcięższy zbieżał.

Teraz drzewa liście na się wzięły;
Polne łąki pięknie zakwitnęły;
Lody zeszły, a po czystéj wodzie
Idą statki i ciosane łodzie.

Teraz prawie świat się wszystek śmieje,
Zboża wstały, wiatr zachodni wieje;
Ptacy sobie gniazda obmyślają,
A przede dniem śpiewać poczynają.

Ale to grunt wesela prawego,
Kiedy człowiek sumienia całego,
Ani czuje w sercu żadnéj wady,
Przeczby [3] się miał wstydać swojéj rady.

Temu wina nie trzeba przylewać,
Ani grać na lutni, ani śpiewać:
Będzie wesół, byś chciał i o wodzie,
Bo się czuje prawie na swobodzie.

Ale kogo gryzie mól zakryty,
Nie idzie mu w smak obiad obfity;
Żadna go pieśń, żaden głos niewzruszy,
Wszystko idzie na wiatr, mimo uszy.

1) Wyraz biblijny, znaczy: sam, osierocony. 2) Niedawno. 3) Dla czegoby.

Dobra myśli, której nieprzywabi, | Nie gardź moim chłodnikiem chrześcianym,
Choć kto ściany drogo ujedwabi. | A bądź zemną z trzeźwym i pijanym.
(J. Kochanowski.)

2. NIE FORTUNIE, LECZ CNOCIE UFAĆ TRZEBA.

Nie wierz fortunie, co siedzisz wysoko,
Miéj na poślednie koła baczne oko;
Bo to niestała pani z przyrodzenia,
Często więc rada sprawy swe odmienia.
Nie dufaj w złoto i w żadne pokłady,[1] (1) Zbiory.
Każdéj godziny obawiaj się zdrady.
Fortuna co da, to znowu wziąść może,
A u niéj żadna dawność nie pomoże.
A ci, co z tobą teraz przestawają,
Twéj się fortunie, nie tobie kłaniają;
Skoro ta zniknie, tył każdy podawa,
Jako cień, kiedy słońca mu nie stawa.
Lecz jako sama oczy zasłoniła,
Tak swém pochlebstwem ludzi pobłaźniła;[2] (2) Zaślepiła.
Że drugi wyżéj nosa gębę nosi,
A wszystkich inszych oczyma przenosi.
Ty pomnij, że twój skarb jest w szczęścia mocy,
A tak się staraj o takie pomocy,
Aby wzdy[3] z tobą co twego zostało, (3) Przecie.
Jeśli zaś będzie szczęście swego chciało;
Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi;
Tegoć nie wydrze nieprzyjaciel srogi;
Nie spali ogień, nie zabierze woda,
Nad wszystkiém inném panuje przygoda. (Kochanowski.)

3. CNOTA.

Nie zajrzę bogactw nikomu,
Ani kosztownego domu;
Nie dbam o wsi, gumna wielkie,
Ani o urzędy wszelkie.
Milsza mi z cnotą chudoba,
Niźli z niecnotą ozdoba;
Ta mnie wnieszczęściu cieszyła,
Z ową i radość nie miła.
Mają bogactwa łotrowie,
Mają zamki tyranowie;
Ale gdy cnoty nie mają,
Szczęścia w nich mądrzy nie znają.
Wszystkie rzeczy z cnotą dobre,
A bez niéj i dobre podłe;
Bo nic po bogatém wienie,
Gdzie niecnota będzie w cenie.
Z cnoty wieczna sława słynie,
A bogactwo marnie ginie;
Cnota ozdobą możności,
I ochłodą w doległości.
Cnota klejnot niestracony,
Cnota skarb nieprzepłacony;
Trudniéj zawsze cnoty dostać,
Niźli wielkim Panem zostać.
Cnota się na niebie rodzi,
Która z Bogiem zawzdy chodzi;
A temu ją Bóg daruje,
Kogo na świecie miłuje.

Cnota królestwa buduje,
Cnota miasta naprawuje,
Cnota czyni dom szczęśliwy,
Gdy w nim każdy jest życzliwy.

Ta nam jedna łaskę Boga,
Ta do nieba pewna droga;
Cnotą jesteśmy szczęśliwi,
Z cnoty będziem zawdy żywi.

4. DO ZDROWIA. (Tenże.)

Szlachetne zdrowie!
Nikt się nie dowie
Jako smakujesz,
Aż się zepsujesz.
Tam człowiek prawie
Widzi na jawie,
I, sam to powie,
Że nic nad zdrowie
Ani lepszego,
Ani droższego;
Bo dobre mienie,
Perły, kamienie.

Także wiek młody
I dar urody,
Miejsca wysokie,
Władze szerokie,
Dobre są; ale
Gdy zdrowie wcale.
Gdzie niemasz siły,
I świat nie miły.
Klejnocie drogi,
Mój dom ubogi,
Oddany tobie,
Ulubuj sobie! (Tenże.)

5. ŻAL PENELOPY, ULISSESA ŻONY.

Słońce już padło, ciemna noc nadchodzi,
Nie wiem, co za głos uszu mych dochodzi;
Postoję mało, a dowiem się pewnie,
Dlaczego płacze ta pani tak rzewnie.
„Już to dziesiąte lato niebo toczy,
Jako me smutne zawsze płaczą oczy;
Ą dokąd mi się miły mój nie wróci,
Żaden na świecie troski méj nie skróci.
Już wszyscy insi nazad przyjechali,
Którzy nieszczęsnéj Troje dobywali;
Jam tylko sama bez męża została,
Sroga fortuna, ta mi go zajrzała.
Bodaj był wtenczas, gdy do Sparty płynął,
Ten mąż niewierny [1] na morzu zaginął!
Uszłabym była téj ciężkiéj żałości,
Przed którą prawie schną dziś moje kości.
Jako ptak, kiedy towarzysza zbędzie,
Nigdy na rózdze zielonéj nie siędzie,
A między bory i pustémi lasy,
Sam jeden lata po swe wszystkie czasy;
Tak ja nieszczęsna w jego niebytności,
Muszę być zawzdy w trosce i w żałości;
Chronię się ludzi, sama nie wiem czemu;
Radam, gdy świadka nie mam płaczu swemu.

1) Parys, który uwiódł Helenę, Menelausa żonę, co dało powód do wojny trojańskiéj.

Bałam się zawsze, póki wojna trwała,
Alem wzdy o nim nieboga słyszała;
Teraz nie wiedzieć, gdzie po świecie błądzi,
A wierne serce zawsze gorzéj sądzi.
Troszczą mię smutną srogie morskie wody,
Troszczą mię wiatry i złe niepogody,
Troszczy mię wszystko, cokolwiek być może;
Tobie ja go tam poruczam, mój Boże,
Usilne wiatry, co morzem władacie,
Jeśli téż kiedy, co to miłość, znacie;
Dodajcie mu tak szczęśliwego biegu,
Że w rychle stanie na ojczystym brzegu.“ (Tenże.)

6. OBRAZ POWODZI POWSZECHNÉJ.

Przeciwne chmury słońce nam zakryły,
I niepogodne dészcze pobudziły;
Wody z gór szumią, a pienista Wilna
Już brzegów silna.
Strach patrzeć na to częste połyskanie;
A przez to srogie obłoków trzaskanie,
Kładą się lasy, a piorun gdzie mierzy,
Źle nie uderzy.
Zakładaj korab, cieślo nauczony,
A kto wie, jeśli nie wrócą się ony
Nieszczęsne czasy, kiedy powódź była
Świat zatopiła.
Sześć niedziel wtenczas deszcz lał nie przestając,
A ziemia nowe źródła pobudzając,
Rzek przymnażała, tak, iż morskie wały
Wylać musiały.
Z ludźmi pospołu i miasta i grody,
Nieuśmierzone zatopiły wody;
Nie wysiedział się pasterz z bydłem wcale
Na żadnéj skale.
Ryby po górach wysokich pływały,
Gdzie ledwie przedtém pióra donaszały
Mężnéj orlice, gdy do miłych dzieci
Z obłowem leci.
Ale natenczas i matkę i syny
Pożarła woda, i wszystek zwierz iny;
Sam Noe został, przy nim żona tylko,
A dziatek kilko.
Nieżyzne w cnotę to tam były lata,
Gdzie ledwie jeden ze wszystkiego świata

Nalezion, co go Bóg cale zachował,
Gdy nierząd psował.
Ten będąc z łaski Pańskiéj ostrzeżony,
Zbudował sobie korab niezmierzony;
Na którym pływał czasu złéj przygody,
Po wierzchu wody.
A wszyscy insi nagle zagarnieni,
I w głębokościach morskich zatopieni;
Niebo a morze, te dwie rzeczy były
Swiat zatopiły.
A kiedy się już prawie dosyć stało
Pańskiemu gniewu, potrosze spadało
Wielkiego morza; aż za czasem skały
Z wody wyjrzały.
Potém i zbytnie zawarły się zdroje,
A bystre rzeki wpadły w brzegi swoje;
Ziemia ku słońcu pełne ciężkiéj rosy,
Rozwiła włosy.
A trupy w koło straszliwe leżały,
Ludzie i bydło, wielki zwiérz i mały;
Pełne i morza, pełne brzegi były,
Boga ruszyły.
I rzekł Noemu: Już teraz na ziemię
Występuj śmiele, i z tobą twe plemię;
Oto ją znowu przyodzieje lasy,
Na wieczne czasy.
A w tém upewniam każdą żywą duszę,
Że nigdy potém takich wód nie wzruszę,
Któreby miały ziemię opanować
I świat zepsować.
Włożę na niebo znakomitą pręgę,
Którą gdy ujrzę, wspomnę na przysięgę,
Że mam hamować niezwyczajną wodę,
I nie zawiodę.
Pomnij się lutni; nie twojéj to głowy,
Wspominać Boga żywego rozmowy;
Każ ty nam zasieść przy ciepłym kominie,
Aż zły czas minie. (Tenże.)

7. MATKA OBYWATELKA.

Śpij, moje złoto! śpiewała,
Kołysząc matka swe dziecię;
Śpij, moja nadziejo cała,
Moje ty życie.

Usnęło! — słabe nieboże,
Dosyć się, dosyć spłakało;
Po płaczu lepiéj téż może
Będzie mi spało.

Dziécię! o wieleż to biedy
Matczyna znieść musi głowa;
Nim się pociecha jéj kiedy
Z ciebie wychowa!
Wieleż ja z czasem odbiorę
Miłéj mi za to wdzięczności;
Gdy z ciebie uznam podporę
Mojéj starości.
Gdy się kraj cały zdumiewać
Nad każdym twéj cnoty czynem,
A sława będzie mi śpiewać,
Żeś moim synem!
Któż wie, co jeszcze być może?
Ach! sztylet serce przenika...
Poczwara jakaś o Boże!
Stanie mi dzika.
Może to nikczemnik jaki,
Co ma swe imię znieważyć!
Lub na postępek wszelaki
Niecnoty zażyć?
Wstydu on mego przyczyna,
A może i śmierci jeszcze,
Gdy ujrzę niewdzięcznym syna,
Którego pieszczę?
Ojczyzny zdrajca i zbrodzień,
Może krew braci rozleje?...
Ach serca mego niegodzien;
Cała truchleję!
Tażby nagroda, i ta mi
Pociecha z ciebie być miała?...
Rzekła; i oczy swe łzami
Gorzko zalała. (Kniaźnin.1)

1) Franciszek Kniaźnin urodził się w województwie Witebskiém; oddany do szkół jezuickich w Witebsku, ulegając namowom tego zakonu, oblókł sukienkę; lecz po rozwiązaniu Jezuitów, będąc jeszcze wolnym od ślubów, wrócił do cywilnego życia. Zostawiony sobie samemu, dostał się do biblioteki Załuskich, i tam pod przewodnictwem Janockiego czas niejaki pracował. Obok poetyckiego talentu, który w młodości zaraz rozwijać się począł, posiadał obszerną i gruntowną naukę, mianowicie języków starożytnych, czego dowodem są wiersze łacińskie w r. 1781 wydane; umiał także pofrancuzku. Xiążę Adam Czartoryski ocenił znakomite zdolności Kniaźnina, podał mu dobroczynną rękę, wezwał go do domu swego, który tylu talentów, cnót i nieszczęść był przytułkiem, i powierzył mu obowiązki sekretarza przy boku swoim. Od tego czasu aż do ostatnich dni życia, los i wszystkie prace spoiły go z domem Czartoryskich; ich on cnoty i zasługi wysławiał, ich zabawy uprzyjemniał, był przyjacielem ich rodziny.

Przyjemne i spokojne życie Kniaźnina zasmucały i kłóciły nieszczęścia krajowe i miłość zbyt śmiała i niebaczna, która zajęła namiętne serce poety. Dwie te okoliczności zgubny wpływ miały na umysł Kniaźnina; coraz bardziéj wzmagała się melancholia; a gdy upadek ojczyzny przygnębił go do ostatka, nie zdołał znieść tego ciosu, i dostał obłąkania zmysłów w. r. 1796, z którego nie mogły go wyprowadzić najtroskliwsze starania. Gdy choroba coraz silniejszą stawała się, przeniesiono go do Końskowoli, majętności XX. Czartoryskich, nie daleko Puław, gdzie także jego dawny przyjaciel Franciszek Zabłocki, poświęciwszy się stanowi duchownemu, znalazł przytułek. Na jego ręku Kniaźnin dokonał życia, 25. Sierp. 1807 r.

Tańska taki opis postaci i charakteru jego skreśliła: „Kniaźnin był wzrostu nizkiego, twarzy pociągłéj, bladéj i znaczącéj, oczy miał ciemne, pełne wyrazu; w polskich sukniach chodził, ale ubiór jego był dosyć zaniedbany; wąsy tylko swoje bardzo cenił. Pomimo skłonności do smutku i tęsknoty, był do chwili obłąkania swego w towarzystwie bardzo miły, w rozmowie dowcipny, w pożyciu łatwy i łagodny; uczucia jego wszystkie były mocne i żywe, skromność wielka, sposób myślenia szlachetny.“

8. DO NOCY.

Ta cicha rzeczy postawa
Jest duszy mojéj przyjemną;
Witam cię nocy łaskawa,
Tyś sama ze mną.
Ciekawy natręt w téj ciszy
Moich tajemnic nie złowi,
A śpiąca chrytrość nie słyszy,
Co serce mówi.
Owoż i xiężyc wyziera!
Z obłoku wystąpić raczył,
Przez to się liście przedziera,
By mnie obaczył.

Niechże go widzę całego!
O srebrne koło miesięczne!
Zwierciadło serca prawego,
Czyste i wdzięczne.
Jakże to dla mnie brzeg miły,
Zkąd widzę roskosz téj strugi,
Gdzie się twe wdzięki odbiły,
Gdzieś taki drugi?
Twarze obydwóch jednakie,
I równą słodycz oglądam;
O gdybyż serce mi takie,
Którego żądam!...

(Kniaźnin.)

9. O LESZKU BIAŁYM.

Za panowania Leszka Białego,
Chciało się blizko być króla tego;
Wszystkie się za nim oczy zwracały,
Bodaj to Leszko panował Biały!
On tylko spojrzał, wnet się zbiegano;
Skinienia jego uprzedzić chciano;
Oczyma twarde poruszał skały,
Bodaj to Leszko panował Biały!
Leszko zapłakał, wszędzie płakano,
Myślał, po wszystkich kątach myślano;
Śmiał się, powiaty wszystkie się śmiały,
Bodaj to Leszko panował Biały!
A gdy mu czasem gniewać się chciało,
Winny, niewinny, wszystko to mdlało.
Kocha, boi się Leszka lud cały;
Bodaj to Leszko panował Biały!
Leszku jedyny! jak może wiele
Rozum dokazać w nadobném ciele!
Niech tam komu chcą dają pochwały,
Bodaj to Leszko panował Biały!

10. PIEŚŃ ŻEBRZĄCEGO HOMERA.

Do domu twego przychodzę,
Gdzie samo szczęście przebywa;
Słyszałem wszędy po drodze:
Mąż tu w dostatki opływa.
Niechaj otworzą te wrota,
Skarb tu wnijdzie nieprzebrany;
Za nim cześć, zdrowie, ochota,
I pokój wszystkim żądany.
Użytku rodzaj wszelaki
Zajmie śpichlerze, obory,
Pełne owoców przetaki,
Pełne warzywa komory.
Narają swachy życzliwe
Synową piękną i młodą;
Niech ją muły niepotkliwe
Do domu twego przywiodą.
Tu ona niechaj wyszywa,
I nuci przy swéj kądziele,
A z szczęśliwymi szczęśliwa,
Wasze pomnoży wesele.

Widać w jego stylu wielki postęp języka, staranność o dobór wyrazów i rymów, o gładkość wiersza i delikatne odcienia. W Karpińskim przeważa serce i natura, w Kniaźninie imaginacya i sztuka. Zbliża do siebie tych dwóch poetów smętność charakteru, zamiłowanie cichego i skromnego życia, i polskie nieskażone serce. — Franciszek Salezy Dmochowski, z którego niniejsza wiadomość wzięta, wydał zupełną edycyą dzieł Kniaźnina w VII. tomach w Warsz. 1828 r.

Z jaskółką razem coroczną
Powrócę do was, powrócę;
Nogi tu moje wypoczną,
I piosnkę wdzięczną zanucę.
Oto już chwila upłynie,
Jako stoimy przy progu,
Czyli co dacie, czyli nie,
Równo polecim was Bogu.
Nie mieszkać pospołu z wami,
Ani przyszedłem tu bawić;
Chodzę ja między Grekami,
Szukać uczynnych i sławić.

11. ACHILLES.

Wyimek z Tragedyi lirycznéj Kniaźnina pod tyt.: Hektor.

(*Achilles sam w namiocie.*)

Ciężka zgryzota duszę moję trawi,
Dla czegoż Patrokl tak długo się bawi?
Żal mi rodaków; w wspólnéj tu ruinie,
Spokojność moja i kwiat Greków ginie.

(*Przygrywając na lirze.*)

Liro moja, liro złota,
Podaj sercu słodkie brzmienie!
Niechaj burzę Jowisz miota,
Siejąc po chmurach płomienie;
Ta, co świat piorunem nęka,
Ciężka to ręka!
Ciężéj umysł trapi rana,
Moim trudom, mojéj chwale,
Od niewdzięczności zadana.
Uśmierz boleść, ukój żale,
I rozbij brzękiem słodyczy
Chmurę goryczy.
O ty, co bujasz wesoła
Po jasnéj niebios przestrzeni,
I z pełnego chluby czoła
Pasmo rozsuwasz promieni;
Serce cię moje chwytało,
Wysoka chwało!
Kędy chłodne szumią zdroje,
Snem Tessalek darząc oczy,
Tam z ust twoich, imię moje
Niechaj roskosz Ojcu toczy:
Żeś synem jego władała,
Że tobą pała.
Ukażą narody drżące
Przechodu mego znamiona,
Jeńców i łupów tysiące
I pycha królów strącona.
Poznały morza i ziemie
Bogini plemie. [1]

12. DO XIĘŻNICZKI ZOFII CZARTORYSKIÉJ.

Potok z góry bystro płynie,
Zielonéj grożąc równinie;
Ryczy burza, szumią wiatry,
Łamie wicher pyszne Tatry;
W kwitnącéj Zosia dolinie
Między gór strażą dokoła,
Wita jutrzenkę wesoła.
Dla niéj poranek ochoczy
Słodką ze dniem rosę toczy,
Dla niéj i siostra jéj, wiosna,
Stroi się w kwiatki radosna.
Gdy ku niebu wzniesie oczy,
Same się chmury rozśmieją
Blizkiéj pogody nadzieją.
Czasie! co lecisz skrzydlaty,
Dęby zmiatając i kwiaty,
Niech loty twoje zatrzyma
Zosia swojémi oczyma;
Na żale nasze i straty,
Niech lube onéj wejrzenie
Słodkie rzuci zapomnienie.

(Kniaźnin.)

1) Matką Achillesa była bogini Thetis, a ojcem Peleusz, Xiążę Thessalii.

13. O USPOKOJENIU Z CNOTY.

Kto cnotę smutną maluje,
Wiele jéj wdzięków ujmuje.
Ona się mile uśmiecha,
Ocz nie zawraca, nie wzdycha.
Wszystkie przygody jednako przyjmuje;
Szczęście, nieszczęście, równie ją kosztuje.
Próżno zaostrza swe strzały
Przypadek na nię zuchwały;
Jak skała falą tłuczona,
Burzę swym statkiem przekona;
Albo jak ogień, im bardziéj się wzmaga,
Tym do piękności złotu dopomaga.
Sokrates pije truciznę
Za to, że kochał ojczyznę.
Wypił, i daje bez trwogi,
Swym przyjaciołom przestrogi.
Anitus [1] bardziéj miesza się i mruczy,
Że mu i śmiercią nawet nie dokuczy.
Czego ten biega stroskany?
Rwie włosy łzami zalany!
Za tém mu się płakać zdało,
Co być koniecznie musiało.
Niechaj się jeszcze choćby sto lat smuci,
Na jeden fenig szkody nie powróci.
Łańcuch od wieków związany,
Każdéj na świecie odmiany,
Ten go przerobić sam zdoła,
Który powiązał te koła.
Na cóż się smucić? co jest, albo było,
Wszystko przedwieczny wyrok uiściło.
My bardzo krótko żyjemy,
I nic o jutrze nie wiemy.
Zacóż ten kwasić czas mały!
Nieba nie na to go dały.
Niech niewolników złota strach obleci;
Czego się trwożyć mają boskie dzieci?
Po drodze tkanéj cierniami,
Kwiaty rzucając przed nami;
Idźmy, nie dbając na bole,
Choć nas co czasem ukole.
Tam, powiadają, gdzie bez kolców róże,
Każda się rana prędko zgoić może. (Karpiński.)

1) Oskarżyciel Sokratesa.

14. ŻEBRAK DO SŁOŃCA.

O ty! co równie zuędzniałym,
Jak i bogatym przyświecasz;
Ty zawsze w sercu wspaniałym,
Swém przyjściem nadzieję wzniecasz;
Smutném jest wszystko bez ciebie,
Bez ciebie wszystko umiera;
Gdy zajaśniejesz na niebie,
Świat cały blask swój przybiera.
Przez ciebie wonieją kwiatki,
Ty liściem umajasz drzewa,
Ty stroisz łąki w bławatki,
Przez ciebie owoc dojrzewa.
Przed tobą powstają kłosy,
Wita cię ptaszek przez pienia,
Zewsząd się wznoszą odgłosy,
Żeś ty jest życiem stworzenia.
Spraw więc, niech twoje promienie,
Oświecą ludzkie ciemnoty;
Niech zbrodnie skryją się w cienie,
Niech same jaśnieją cnoty!
(Bogusławski, Dyrektor teatru warsz.)

15. POŻEGNANIE WIOSKI.

Zegnam cię wsi ulubiona,
I was gaje, łąki, niwy;
Nieba! wśród waszego łona,
O jakże byłem szczęśliwy!
Tu mi moje dni płynęły
Jak ciche wody potoku,
Już one wiecznie minęły,
Czas swego nie cofnie kroku.
Jak ta rzeczka z brzegiem swoim,
Tak wszystko przejdzie, przeminie;
Jedna tylko w sercu mojém
Pamięć twoja nie zaginie.

16. PIEŚŃ ŻNIWIARSKA. (Sowiński.)

Jak las wysokie żyto się udało,
Oj będzie za to pieniędzy nie mało!
A pszenica na zagonie
Złocistémi kłosy płonie.
Jęczmień i owies błyska barwą świetną,
Wszystko to, wszystko sierpy nasze zetną;
A pracowne nasze woły
Wszystko zwiozą do stodoły;
Potém wymłócim, a czeladka pańska
W galerach z szyprem powiezie do Gdańska.
Pięknie zboże się udało,
Będzie pieniędzy nie mało.
Więc chłopcy, dziewki, żywo z sierpem, żywo,
Skończmy co prędzéj rozpoczęte żniwo.
Gdy skończymy raźni, żwawi,
Pan dożynki nam wyprawi.
Dziewoja, która przodowała w żniwa,
Wesołą piosnkę przed dworem zaśpiewa,
I wianek z kłosów pleciony,
Wstążeczkami ukraszony,
Strojny kaliną i polnémi głogi,
Złoży z podarkiem przed pańskiemi progi.
Pan wystawi wódkę, piwo,
Grajek zagra piosnkę żywą,
Będziemy hulać do samego rana,
Wielbiąc szczodrotę łaskawego pana,
Panien, paniczów i pani,
Jako wierni ich poddani.
(Gaszyński.)

17. DO GITARY. [1]

Towarzyszko życia wiosny!
Powiernico tkliwéj duszy,
Brzmiących stron twych dźwięk żałosny,
Niech westchnienia me zagłuszy
Niechaj głos twój z moim zlany,
Jak ten koi me boleści;
Niech odbity o te ściany,
Biedne serce tylko pieści.
Upój serce, upój ucho,
Łzy wytrącaj śpiewem lotnym,
Bo świat dla mnie puszczą głuchą
Ty w niéj echem mém samotnym
W zbiegłych moich lat kolei
Nie zaznałem szczęścia wcale;
Prócz tęsknoty i nadziei,
Ciągły zawód, ciągłe żale.
Coraz chwila chwilę zgania,
Jako kwiaty lata więdną;
Kiedyż ziemię tę wygnania,
I wędrówkę rzucę biedną?
Ach! wieczności się nie zlękę,
Śmierć nie budzi wstrętu we mnie.
Bo tam znajdę te dni piękne,
Których tu szukam daremnie.
Towarzyszko życia wiosny,
i t. d.
(Zaleski.)

---

1) Kliniasz Pitagorejczyk, kiedy najbardziéj czuł się być rozgniewanym, zaraz brał gitarę, i graniem gniew swój uspokajał. Achilles także w Iliadzie Homera, kiedy na gitarze zagrał, a śpiewając dzieła dawnych bohatérów przy gitarze, całą myśl swoję tém zajął, gniew mu wtenczas

18. PIEŚŃ KOMINIARCZYKA.

Chociem brzydki, chociem czarny,
Alem chłopak grzeczny;
Nie dbam wcale o wdzięk marny,
Dość, żem pożyteczny.
Cobyto na świecie było,
Żeby nas nie stało?
Dla téj myśli wszystko miło,
Ruszam w komin śmiało.
Zawsze mnie ta myśl ożywia,
Ma świat korzyść ze mnie;
Jak to serce uszczęśliwia!
Jakże to przyjemnie!

Nie gardźcie mną lube dziatki,
Że ubiór nieładny;
Nie straszcie mną dobre matki,
To zwyczaj szkaradny.
Za cóż ja wam tak niemiły,
Za cóż tak obrzydłem?
Kogo zbrodnie oszpeciły,
Ten tylko straszydłem.
Kto pracuje w czoła pocie,
Zawsze godzien chwały;
Cała wartość człeka w cnocie,
W pracy zaszczyt cały.

(Z Dziennika dla Dzieci.)

19. KOLASKA.

Nie z potrzeby, ale z mody,
Leciał pędem panicz młody;
Konie się w biegu pieniły,
On je ćwiczył, co miał siły.
Umykajcie, wołał, z drogi,
Groził kijmi i batogi,
I ten w oczach jego zgrzeszył,
Kto na stronę nie pospieszył.
Jużto wielką świadczył łaskę,
Kiedy skierował kolaskę:
O włos dziada nie przejechał,
I z przekąsem się uśmiechał.

Pędzi daléj, jam rzekł cicho:
Będzie jemu kiedyś licho;
A wszak nie wyjdzie miesiąca,
On nas wszystkich poroztrąca.
Ale gdy tak zawsze leci,
Z strachem starców, bab i dzieci,
Kędyś tam na Nowym świecie
Zawadził o kamień przecie.
Pękły osie u karocy,
A on wyleciał jak z procy;
I od téj modnéj swawoli,
Jeszcze go bok dotąd boli.

20. DO SKOCZKA POLNEGO. (Węgierski.)

O miły skoczku polny,
Jak szczęsne twoje życie!
Od trosków, zgryzót wolny,
Jak król na drzewin szczycie,
Napojon trochą rosy,
Piskliwe wznosisz głosy!
Gdzie tylko okiem rzucisz,
Wszystko się twojém zdaje;
Czy je na pola zwrócisz,
Czyli na gęste gaje;
Lubią cię i wieśniacy,
Nie psujesz ty ich pracy!

Cześć ludzie ci oddają,
O słodki wieszczku wiosny!
I Muzy cię kochają;
Feb ci dał głos donośny.
Mądry śpiewaku ziemi!
Starość cię siły swémi
Nie zrazi zbyt zgrzybiała;
Złym żądzom niepoddany,
Bez duszy i bez ciała,
Ty równasz się z niebiany.

(Z Anakreona tłum. Hr. Skarbka, Prof. przy Uniwersyt. warsz.)

---

z serca ustąpić musiał. Dobrze jest umieć grać na jakim instrumencie, abyśmy siebie w tęsknocie rozerwać, a nawet i innych zabawić mogli. Można sobie wystawić muzykę jako przyjaciela, który nas w smutku pociesza, a podnosząc ducha, ziemskich trosków zapominać każe.

21. ANAKREONTYK.

Nie dbałem nigdy o złoto,
Alem tylko prosił o to,
Aby kufel stał przedemną,
A przyjaciel pijał ze mną;
A tymczasem robotnicy,
Pieczą mieli o winnicy.
To wszystko moje staranie,
To skarb, złoto i zebranie;
Ani dbam o kasztelana, [1]
Trzymając się mocno dzbana.

1) Zob. str. 40. (Kochanowski.)

22. CZEMUŻ NIE PIĆ?

Płonna ziemia deszcze pije,
Drzewo ziemnym sokiem żyje,
Powietrze się morzem pasie,
Słońce w morzu umywa się;
Od słonecznego promyka,
Xiężyc jasny blask połyka;
A tyś we mnie oczy wlepił,
Chcąc, ażebym wina nie pił!

(Naruszewicz.)

23. ANAKREONTYK

do Xięcia Adama Czartoryskiego, Generałowicza Podolskiego.

Héj! żywo pończu, wina!
Niech się radość poczyna.
Przysięgam na mą duszę,
Upić się dzisiaj muszę!
Obacz, zacny Adamie,
Że poeta nie kłamie;
Niech na twe urodziny
Kurzy mu się z czupryny.
Fortuna ci się śmieje,
Piękną czynisz nadzieję,
Na którą niedaleka
Przyszłość z pociechą czeka.
Ale to nie dziś o tém,
Co ma nastąpić po tém.
Rzućmy troski, mozoły,
Wieczór dzisiaj wesoły.
Niechaj do tańca grają;
Już się nogi zwijają.
Héj, kto kochasz rodaka,
Daléj ze mną Polaka!
Cóż to znowu za wrzawa,
Uszy szarpiąc, przegrawa?
Trzech ich, i to dobrani,
Jak w galilejskiéj Kani.
Temu nabrzmiał policzek,
Ten ledwo ciągnie smyczek:
Orkiestra to z niechęci,
Czy mi się w mózgu kręci!
Héj, żywo, więcéj wina!
Radość się nam ucina.
Adamie, pończu mało,
Com łyknął, wyszumiało.
Jeżeli w moim rymie
Wieczne ma być twe imie,
Posłuchaj i téj rady:
Idź za twémi pradziady.
Kiedy zostaniesz panem,
Kanclerzem, czy Hetmanem,
Niech nie będzie nikomu
Posępno w twoim domu.
Odłóż kilka tysięcy,
Na wina trochę więcéj,
I coś lepszéj kapeli;
Będą bracia weseli! (Kniaźnin.)

C. O D Y.

1. ODA DO WĄSÓW.

Ozdobo twarzy, pokrętne wąsy!
Powstaje na was ród zniewieściały;
Dworują trefne dziewcząt przekąsy,
Śmiejąc się z dawnéj Polaka chwały.
Gdy pałasz cudze mierzył granice,
A wzrok Marsowy sercami władał;
Ujmując wówczas oczy kobiece,
Bożek miłości na wąsach siadał.

Gdy młodzież popis czyniła
w zbroi,
A męztwem tchnęła twarz okazała,
Glicera patrząc, szepnęła Chloi:
„Za ten wąs czarny życiebym dała.“

Gdy nasz Czarniecki słynął żelazem,
I dla ojczyzny krew swą poświęcał;
Wszystkie go Polki wielbiły razem,
A on tymczasem wąsa pokręcał.
Jana trzeciego, gdy Wiedeń sławił,
Głos był powszechny między Niemkami:
„Oto bohatyr, który nas zbawił!
Jakże mu pięknie z témi wąsami!“
Smutne w narodzie dzisiaj odmiany,
Rycerską twarzą Nice się brzydzi;
A dla niéj Kleant wódkami zlany,
I z wąsa razem i z męztwa szydzi.
Kogo wstyd matki, ojców i braci,
Niech się z swojego kraju natrząsa,
Ja zaś z ojczystéj chlubny postaci,
Żem jeszcze Polak, pokręcę wąsa.
(Kniaźnin.)

2. ODA

na stuletni obchód zwycięztwa Jana III. pod Wiedniem r. 1683.

Sto lat ubiegło, jak Polaków skronie
Pysznym się laurem dzisiaj zieleniły;
Gdy raz ostatni w jednomyślném gronie
Chwała z ich sercem połączyła siły;
Że śmiało mogli rzec sąsiedzkiéj dumie:
Niech zna Europa, co wolny lud umie!
Kiedy pod Wiedniem błysnęły miesiące,
Strach był ostatni padł na Chrześciany.
Któż wtenczas dźwignął mocarstwo ginące?
Gromca niewiernych, Jan z nieba zesłany;
Przyszedł, obaczył, i swój lud postawił,
Rozproszył Turków, a Niemce wybawił.
Jeszcze te dęby stoją nad Dunajem,
Między którémi pohaniec się chował;
Za obcym Polak gdzie obstając krajem,
Krwią nieprzyjaciół wart bystry farbował;
Chociaż ta farba zniknęła w Euxynie,
Ale tych brzegów świadectwo nie zginie.
Stojąc te mury, te kościoły dawne,
Co drżały na moc szturmującéj ręki,
Niechaj przypomną to witanie sławne,
Jak huczne niebom śpiewano podzięki,
Kiedy mąż pełen i męztwa i wiary,
Zdobyte Bogu poświęcał sztandary.
Sława naówczas trzymająca z nami,
Bronić radziła niewdzięczne sąsiady;
Ponad pysznémi wznosząc się Tatrami,
Śpiewała nasze wspaniałe prądziady;
A na jéj trąbę świat pełen zazdrości,
Winszował Polsce męztwa i ludzkości. (Fr. Kniaźnin.)

3. CNOTA SKARB PRAWDZIWY.

Nie zów bogatym tego Tyberynie,
Któremu strumień czystém złotem płynie,
I w same domu fortunnego progi
Hołd niesie drogi.
Którego zdobią herbowne klejnoty,
Którego sława, zaprzągłszy wóz złoty,
Unosi imię, lecąc przez narody
I wielkie grody.
Próżno się nędznik z cudzych skarbów chwali,
Gdy sam nic nie wart: by wszystkie na szali
Włości położył z centnarami złota,
Będzie gołota.
W głowie swéj wielki, u innych wzgardzony,
Nie zna sam siebie; płonném napuszony
Pochlebstwem gminu, dziwi się marnemu
Cieniowi swemu.
Porzuć dostatków świetnych blask nietrwały,
I puste imię bez prawdziwéj chwały;
Z samego siebie, jeżeliś cnotliwy,
Będziesz szczęśliwy.

(Przez Sarbiewskiego (zob. str. 153) tłum. Adama Naruszewicza, zob. str. 116.)

4. ODA NA DZIEŃ OCALENIA ŻYCIA I ZDROWIA J. K. MOŚCI.

Wdzięczne kadzidło w słodkiéj niosąc dani,
Błagajcie Twórcę życzliwi kapłani!
Kropcie przed jego wiecznym majestatem
Ołtarze kwiatem.
Patrzał Bóg na to z gwiaździstéj zwierzchnice,
Zkąd nieprzeskoczne wymierza granice
Światu, dokąd iść mają i którędy
Ludzkie zapędy;
Póki niewinność ma płakać ujęta
Wpotwarcze szpony, i póki odęta
Duma przewodzić, a szlifować swoje
Niezgoda zbroje.
Na jego palców zakres nieprzełomny,
Cofa swe grzbiety gwałt morza ogromny,
Mdleją pożary, a moru dłoń blada
W pochwy miecz wkłada.
I wy mocarze! pod których zdeptany
Niewolniczémi brząka lud kajdany,
Macie swe kresy! o jego się ramie
Każda moc łamie.

Szydzi na górze on z niesilnéj dumy,
I na swe szwanki przewrotne rozumy
Często nicuje, czyniąc, że w swe sieci
Sprawca sam leci.
Ten skoro złote rozpiął nad nim skrzydła,
Wionęły jak proch niezbędne straszydła;
Strach je ozionął: giermek nieodstępny
Zdrady posępnéj.
Zmartwiały dłonie i kordy ze stali;
A ci, co pierwéj Boga się nie bali,
Siebie się zląkłszy, w téj zkąd się wykradli
Nocy przepadli.
Nikt ich nie ścigał; służebna złość podle
Siedząc na témże za jeźdźcami siodle,
Siekła, bicz wziąwszy z padalców utkany,
Konie i Pany. (Naruszewicz.)

5. DO SŁOŃCA.

Duszo istót po wielkim rozproszonych świecie,
O ty, prawicy twórczéj najdroższy sygnecie!
Oceanie światłości, którą w krąg twój biegły
Zlewa tron Wszechmocnego latom niepodległy.
Sprawco płodów wszelakich; twojéj darem ręki,
Poziomy nasz świat bierze życie, blask i wdzięki.
Twoim dzielnym uśmiechem tknięta ziemia licha,
Porusza się, odmładza, rodzi i oddycha;
A żywotniémi na wskróś groty przenikniona,
Dobywa dziwnych skarbów z upornego łona. —
Ty unosząc po niebie swe koła potoczne,
Piszesz godzinom płochym kresy nieprzeskoczne;
Przed twym jedzie powozem na koniu udatnym,
Siejąc perły wilgotne po trakcie szkarłatnym,
Srebrno-włosa jutrzenka i gościniec zmacza;
Ciebie pompa, wielmożność, blask, wielkość otacza.
Majestat przy twym tronie wolnym idzie krokiem,
Na który człek ułomném nie śmie rzucić okiem.
Z twéj karocy złocistéj, żyzność plon bogaty
Sypie na ziemię owoc, ziarno, wdzięczne kwiaty.
Zkąd wszelka dusza żyjąc, co lata, co pływa,
Co chodzi, głosu na twe pochwały dobywa.
Twe bystrym upiérzone ogniem jasne pręty,
Przenikając grunt twardy z morskiémi odmęty,
Sposobią gnuśne żużle i bryły niezgrabne
Na kosztowne kanaki, na kruszce powabne.

Ztąd na płótnie, na drzewie, ciał twórca kłamliwy,
Rodzi misternym pędzlem świat bez głosu żywy;
Ztąd ma pilny rzemieślnik naczynia sposobne,
Ztąd uprawia swe role chłopstwo chleborobne;
Ztąd zbytek swe przepychy chlubnym zdobi blaskiem,
Ztąd ludzkiego przemysłu cudnym wynalazkiem
Krągłe się złoto wijąc nieustannym ruchem,
Łączy świat różno-usty handlowym łańcuchem.
Bez ciebie wszystko martwym snem ujęte leży,
Gdy się skrzepłym oddechom Arktów czas zaśnieży;
Wszystko sępi ćma sroga, czarnych strachów pani,
Zdaje się świat do piérwszéj powracać otchłani.
Ale skoro łagodnym zabłyśniesz promykiem,
Wnet raźniejszym natura cała idzie szykiem,
Igrają wypuszczone rzeki z groźnéj kluby,
Drzewa się w różno-liście przyozdobią szuby;
Strzelają młodą trawką, zrzuciwszy niezbędne
Z karbów ciężary, pola, żywiąc trzody błędne.
Sama na bystrych falach Kloto w klęski płodna,
Choć kopie mokre groby, ryjąc morze do dna,
Nie tak się zdaje sroga, i wraca nadzieje,
Gdy się twa śliczna postać od wschodu rozśmieje.
Wszystko tobie ulega, niech się jak chce burzy,
I czarnémi obłoki niebo dzień zachmurzy;
Niech szyje piorunami, a strasznym łoskotem
Grozi trwożliwéj ziemi niechybnym wywrotem;
Skoro nań łuk wymierzysz z farb uwity cudnych,
Wioną na piérwszy widok roty cieniów brudnych,
Powraca luby pokój, a z cienistéj cieśni
Wywodzą stada w pole pastuszkowie leśni. —

(Naruszewicz.)

6. BALON r. 1789.

Nil mortalibus arduum. *Horat.*

Gdzie tylko bystrym orzeł polotem
Pierzchliwe pogania ptaki,
A gniewny Jowisz ognistym grotem
Powietrzne przeszywa szlaki;
Niezwykłych ludzi zuchwała para
Zwalczywszy natury prawa,
Wznawia tór klęską sławny Ikara
I na podniebiu już stawa.
Nabrzmiały kruszców zgorzałych duchem,
Krąg lekkiéj przodkuje łodzi;
Los dla niéj rudłem, nici łańcuchem,
Z wiatrami w zapasy chodzi.
Już i te złotą wyniosłe pychą
Znikają z przed oczu domy,
W gruzów nikczemnych potrzaskę lichą
Wzrok przeistoczył poziomy.
Król, wódz, senator, kmieć pracowity,
Czy rządzi, czy ryje ziemię,
Wbłahych się zlępkach czołga ukryty,
Jak drobne robaczków plemię.
Jak z kilku kropel strumyk kreślony
Dziecinnym palcem na stole,
Ledwo się sączy na tym padole
Nurt szumnéj Wisły zmieniony.

Gminie, ku rzadkiéj zbiegły zabawce,
Jakież ci cuda mózg kreśli?
Ty sobie roisz czary, latawce,
Filozof inaczéj myśli.
Choć się natura troistym grodzi
Ze stali murów opasem,
Rozum człowieczy wszędzie przechodzi
Niezłomny pracą i czasem.
Temi on wsparty, tory wędrowne
Burzliwym morzom poruczył,
Wydarł z otchłani kruszce kosztowne,
I szukać głazy nauczył.
Zbywają dzikiéj mocy żywioły
Pod jego dzielnym rozkazem,
Leniwa woda opuszcza doły,
A góry ścielą się płazem.
Tego się styru w pogodnéj porze
Gdy ujął mężny Sarmata,
Choć go opuścił i wiatr i zorze,
Już wolniéj sobie polata,
Wszystko zwyciężysz łódko szlachetna,
Na ciosy przeciwne twarda;
Statek twój sława uwieczni świetna,
Chlubniéj niż podróż Blanszarda.
(S. Trembecki.)

7. PROŚBA WIEŚNIAKA DO FORTUNY.

. . . . *mea me virtute involvo,*
Probamque pauperiem sine dote quaero. *Horat.*

Czołem biję, Fortuno, przed twojém obliczem,
Że mnie w skromnéj mierności zachowujesz stanie;
Jestem małą istotą, lecz nie jestem niczem,
Czem byłem i co miałem, niech mi to zostanie.
Szafuj innym twoje względy,
Sławę, bogactwa, urzędy;
Ja się przed twym ołtarzem nie przestanę modlić,
By mnie nad ludzi twoja nie wzniosła opieka;
Zostaw mi czucie człowieka,
Ja się sam nie dam upodlić. —
Póki ten, co wraz z życiem odzywa się we mnie,
Stróż wierny, świadek prawy, sędzia mój jedyny,
Czy gromi myśl występną lub pochwala czyny,
Głosu swego w mém sercu nie podniósł daremnie;
Dopóki na życia drodze,
Rozum żądzy trzyma wodze;
Dopóki z uczuć skrytych w mojém łonie
Zdając przed sobą rachunek,
Twarz mi nie blednie trwogą ani wstydem płonie,
I sam dla siebie w duszy poczuwam szacunek;
Nie wydrzesz go, Fortuno, całą twoją władzą;
A bez niego twe dary na cóż się przydadzą? —
Męża prawego losów nie nagnie potęga,
Gnębić go może, ale poniżyć nie zdoła.
Zacne ubóstwo swoją okryje go tarczą,
A sumienie i cnota pociechy dostarczą. —
Docześni wędrownicy na ziemskim padole!
Obraz dni waszych widzę w tym zmiennym żywiole.
Który, póki go chwila ucisza pogodna,
Jasne słońca promienie przepuszcza aż do dna.

Lecz skoro wichry rozhukane wioną,
I zmącą spokojne łono;
Wrą wiry i w bezdenne mienią go otchłanie,
Piętrzy się aż pod niebo bałwan na bałwanie;
I znowu gdy w jaskini usną wiatry chyże,
Ten sam żywioł rozbujały,
Co bił w brzegi, topił skały,
Z pokorą ich stopy liże. —
Dumę z podłością blizkie pokrewieństwo łączy,
I co jedna zaczyna, druga zwykle kończy.
Kiedy mnie od oczu świata
Nizka ukrywała chata;
Nikt się o mnie nie zapytał,
Żaden z możnych nie przywitał.
Różniący się twych względów, Fortuno, udziałem,
Oni się z méj mierności, ja z ich szaleństw śmiałem;
Niechże i dla mnie promyk pomyślny zabłyśnie,
Zaraz się tłum służalców do mych progów ciśnie;
Kurzą się dla nowego bożyszcza kadzidła,
Wzbiera się jak potok zgraja pochlebców obrzydła,
I z nich który przedemną wyżéj wznosił szyję,
Tym się nikczemniéj płaszczy, podléj czołem bije.
. . . . . .
Kto swą duszę hartował w przeciwności szkole,
Doświadczył, że najpewniéj pozostać na dole;
Nie pełza w prochu, ani zbyt zuchwały w krokach
Mierzy góry, co kryją wierzchołki w obłokach;
Zna, że chcąc po spadzistych skałach wejść do nieba,
Nie dość jest umieć chodzić, czołgać się potrzeba;
A gdy go los wyniesie, gdzie zasięga oko,
Nie wpadnie w zawrot głowy, choć stoi wysoko.
I cóż tam tylu ujrzało,
Co się wdarli żądzą śmiałą?
Czczość próżną, przestrzeń bez końca,
I rażące światło słońca;
Chmurną twarz groźnéj natury,
Przepaść na dole, pioruny u góry.
Kędy ruszą drżącą nogą,
Widzą tylko, że spaść mogą.
Lećcie w przepaść, szaleńcy, ślepi na przykłady,
Dla pychy niema lekarstw, ani rady;
Gdy jéj tlący wulkan wstrząśnie piersią waszą,
Łzy go ludzkie nie przygaszą.
Lećcie osiąść na tym szczycie,

Co go drugim zazdrościcie.
Spieszcie — pomocną rękę wam podadzą,
Niecne zabiegi i chytre potwarze;
I może utrzymają w miejscu, gdzie posadzą;
Pobudują wam ołtarze
Nikczemni słudzy, pochlebcy bezczelni!
Cóż ztąd? Co prawych pociesza,
To wasz krótki tryumf miesza;
Nie jesteście nieśmiertelni!
Fortuno; jeśli moje odwiedzisz ustronie,
Zamknij czy pełne ciosów, czy pełne łask dłonie;
Twych ulubieńców losy tocz na wartkiém kole;
Póki mam umysł prawy i duszę niezłomną,
Kocham zagrodę skromną;
Na mnie samego zdaj mą przyszłą dolę.

(Koźmian, zob. niżéj.)

8. DO MUZYKI.

Oda Alex. Pope na uroczystość Śtéj. Cecylii, Protektorki muzyki, tłum. J. Kruszyńskiego.

Zstąpcie Dziewice, podnieście swe pienia,
Niechaj ożyje flet na wasze tchnienia;
Obudźcie milczące strony,
Niech arfa da brzęk pieszczony;
Niechaj lutnia bolejąca,
Wylewa żale poety;
Niech się o przykre gór grzbiety
Twardy huk trąby roztrąca;
Gdy długim dźwiękiem czcząc Pana nad Pany,
Zabrzmią poważne i święte organy,
Słuchajcie! jak miękkie głosy
Ucho nasze łechcą mile;
Jak rosną, rosną w swéj sile,
I w same biją niebiosy.
O jak brzmią pełne tony w tryumfalnéj pysze!
Jak się gwar przerywany ze drzeniem kołysze!
Ach! oto głos oddalony
Słabiéj po powietrzu płynie,
I roniąc ostatnie tony,
Mdleje, upada i ginie.

Z daru muzyki umysł równowagę trzyma,
I ani się zbyt płaszczy, ani zbyt nadyma.
Jeśli się w sercu radość odezwie burzliwa,
Łagodny dźwięk muzyki na ulgę przybywa;
Gdy zaś dusza trętwieje pod nieszczęścia ciosem,

Muzyka cudotwórczym orzeźwia ją głosem.
Ona piersi rycerza do boju zagrzewa,
I na dręczonych ranę swój balsam rozlewa.
Dla niéj to smutek wypogadza skronie,
Dla niéj się Morfej rad ze snu ocuca,
Lenistwo wyciąga dłonie,
A zazdrość węże porzuca.
Zażarte braci zbliżają się serca,
I miecz swój ostry upuszcza morderca.

Lecz gdy wezwie do boju narodowa chwała,
O jak na dźwięk marsowy każde serce pała!
Tak piérwszy korab kiedy krajał morskie tonie,
Boski Orfej na sztabie śpiewał rym wspaniały,
Wzruszone jodły na Pelionie,
Zewsząd do morza zbiegały.
Zachwyceni do koła słuchali rycerze,
A zapalając dusze ku sławie dźwięk błogi,
Ludzi zamieniał w półbogi.
Podnieśli siedmioskórne na barkach puklerze,
Na pół dobyte miecze błyskały w ich dłoni,
A nieba, morza i skały,
Radosnym okrzykiem brzmiały:
Do broni, bracia, do broni!

Ach! kiedy za piekielne krańce,
Gdzie szumią płomieniste Flegetontu źródła,
Miłość jak śmierć potężna poetę przywiodła
Pomiędzy blade Tenaru mieszkańce;
Jak się rozlegał dźwięk przeraźliwy,
Jak srogie snuły się dziwy,
W okropnéj otchłani!
Jaskrawe piorunów blaski,
Dzikie przelęknionych wrzaski,
Pożar płomienia — Jęk udręczenia,
Krwawe łzy, dławiące łkanie,
Rozpacz i wściekłe zgrzytanie.
O jak ryczeli w mękach więźnie katowani!
Ciszéj!.... słyszycie złotéj lutni brzęki?
Oto więźnie z ulżonéj oddychają męki.
Cisną się mary pomieszane zgrają?
Leży epoka Syzyfa na dole,
Ixyon spoczął na wstrzymaném kole,
Posępne widma z radością pląsają;
Padły jędze omdlałe na żelaznym tronie,
I rozwinięte węże wiszą im po łonie i t. d.

9. DO PRZYJAŹNI.

Ach czuję zapał natchnienia,
Boska lutni, chódź w me ręce;
Niechaj twoje słodkie pienia,
Czułéj przyjaźni poświęcę.
Przyjaźni! rządź dniami mémi!
Szczęśliwy, kto cię uczuje;
Ty jesteś cząstką na ziemi
Szczęścia, co w niebie panuje.
Do czegóż równać twe dary?
Czyż te niszczące pożary,
Miłości uczucia zwodne,
Porównania z tobą godne?
Miłość rzadko tkliwym sprzyja,
Rzadko się dla cnoty skłania;
Za pięknością się ugania,
I tak, jak piękność przemija.
Ty jesteś jedna i stała,
Darzysz roskoszą bez zmiany;
I goisz nawet te rany,
Które nam miłość zadała.
Bóg, co w łaskach moc położył,
I milczy, choć gromem włada,
Widząc, że cnota upada,
Na pomocéj przyjaźń stworzył.

(Ant. Górecki.)

10. ODA DO BRZUCHA.

(Wiersz żartobliwy Kantorberego Tymowskiego.)

Sprężyno życia, wielowładny brzuchu,
Co ziemię całą utrzymujesz w ruchu,
Tobie, któremu hołdują i trony,
Brzmią moje strony.
W obliczu twojém równymi są ludzie,
Ubogi wieśniak w pochylonéj budzie,
Mocarz, przed którym sto narodów klęka,
Ciebie się lęka.
Na twe rozkazy uniża się pycha,
Tyś jednym z celów dobrego jest mnicha;
Nieraz on wspomni, nawet przy ołtarzu,
O refektarzu.
Ojcze przemysłu, ojcze twórczéj pracy!
Daremnie z tobą walczyć chcą próżniacy;
Leniwa ręka, skoro głód dokuczy,
Robić się uczy.
Naprożno miłość, gdy żołądek pusty,
Koralowemi odzywa się usty;
Kupido zimny i Cypryda niema,
Skoro jeść niema.
Kiedy poecie żołądek się ścieśni,
Stygnie w nim zapał, przerywa swe pieśni,
I z uniesieniem za kawał pieczeni
Dramę zamieni.
Niechże o tobie w boju Mars zapomni,
Rzucą oręże rycerze niezłomni;
Złotu i twardéj niedostępny stali
Mur się obali.
Diana srebrne wyprzęga już konie,
Puszcza dzień w nocnéj ukryty zasłonie,
Twój rozkaz płoszy sen z leniwych powiek,
Budzi się człowiek.
Huczą siekiery, upadają dęby,
Krew ofiar płynie, dym wije się w kłęby,
I przemyślnego geniusz kucharza
Potrawy stwarza.
Ciągłém o tobie staraniem zajęty,
Poci się rólnik, pracuje z bydlęty;
Tobie wybite silnym cepem ziarna,
Trą ostre żarna.
Z twego natchnienia młoty iskry sypią,
Chrupią nożyce i podeszwy skrzypią,
Warczy kołowrot, sprzeczne śruby piszczą,
I heble świszczą.
Wiatrak się kręci, prędkie szumią młyny;
Wrą kotły, płoną rozległe kominy,
Goreją piece, kołacz się rumieni,
Garnek szepleni.
Tobie w haraczu od kolebki świata,
Gdzie Indus płynie, Nil żyzny i Plata,
Pławią ogromne przez Ocean nawy,
Drogie przyprawy.
Tobie pończ tworzy i chłodzące lody,
Jakich nie miały Pelejowe gody,
Pieni kakao, i leje karmelki
Lessel nasz Wielki.

Czy Rozengarta smakuję pierogi,
Których zazdrościć mogą nam i bogi;
Czyli pieniste rozlewam szampany,
Tyś wspominany.
Tyś kęsy dzielił z bogami ofiarne,
Tobie polewki Spartan warzył czarne,
A żarłok Tybru na złotym obrusie
Niósł możczki strusie.
Gdy kartę dziejów odwrócę zbutwiałą
Widzę Lukullów służących ci z chwałą,
Dziś ku czci większéj przyjaźń chowa ścisłą,
Sekwana z Wisłą.

Wśród zgiełku miasta i w ustroniu wioski,
Kiedy ty łakniesz, głuche rządzą troski;
Gdyś syt, swoboda i wesołość pusta
Otwiera usta.
Powszechne twoje prawo i potęga,
Od mroźnéj Zemli do Nigrytów sięga.
Dzikie i światłe narody na globie
Podległe tobie.
Tobiem poświęcił język mój i zęby,
Służyć ci mojéj roskoszą jest gęby;
Miło jéj czyli parzy się, czy dmucha,
Byle dla brzucha.

D. ŚPIEWY HISTORYCZNE.

1. PIAST. (Początek.)

Gdy Popiel w chwilach okropnego zgonu,
Karzącéj zbrodnie doświadczył prawicy;
Naród chcąc wybrać następcę do tronu,
Zebrał się w pięknych równinach Kruszwicy.
Stały nad Gopłem Słowiany rozliczne,
Długie oszczepy, puklerze staliste;
Zamku Popielów wieże niebotyczne
Odbijały się o jezioro czyste.
Gdzie wielkie mnóstwo, ciężko szukać zgody;
Na głośnych sporach czas upływał drogi,
Głód się czuć dawał, a obce narody
Szerzyły w Polsce najazdy i trwogi.
Ale Bóg dobry spojrzał na Polaków,
Bo ich do wielkich przeznaczeń gotował;
Wpośród Kruszwicy spokojnych wieśniaków,
Był Piast, co Bogów i ludzi miłował.
Dom jego szczupły, ale zewsząd czysty,
Za Gopłem małą pasiekę posiadał;
Cienił lepiankę jawór wiekuisty,
A na nim bocian gniazdo swe zakładał.
Znaną sąsiadom była naokoło,
I dobroć jego i gościnna hojność;
Znajdował (lemiesz prowadząc wesoło)
W pracy swą żywność, w sumieniu spokojność.
Dzień nadzedł świetny dla skromnéj drużyny,
Gdzie, jak pogańskie prawo nakazało,
Pierworodnego syna postrzyżyny
Obchodzić miano przez ucztę wspaniałą.
Hoża Rzepicha i Piast nasz sędziwy,
Od rana całym trudnią się obchodem,

Stół zastawiają tłustémi mięsiwy,
I duże czary napełniają miodem.
W gronie przyjaciół zaczęły się gody,
Pierwszémi dary już uczczone bogi;
Gdy dwóch młodzieńców przecudnéj urody
Wchodzi w gościnne biesiadników progi.
Piast i Rzepicha z czołem zachyloném,
Proszą, by miejsca chcieli zasiąść swoje;
Lud się gromadzi, a z tłumem zwiększoném
Mnoży się pokarm i słodkie napoje.
Po uczcie świetni zniknęli młodzieńcy,
A lud zgodnémi zawołał głosami:
„Piast luby bogom, pocóż czekać więcéj,
Niech będzie Królem, rządzi Polakami!“ (Niemcewicz.)

1. LESZEK BIAŁY. † 1227.

Od dworaków opuszczona
Helena w stroju niedbałym,
Gdy syna trzyma u łona,
Co go zwano Leszkiem białym;
Tak szerzy skargi płaczliwe,
Na swe losy nieszczęśliwe:
„Ty się śmiejesz dziecię lube!
Bo nie znasz twojéj niedoli, (bę;
Nie znasz spisków na twą zgu-
Oto z stryja twego woli
Wydarłać państwo niecnota,
A jam wdowa, tyś sierota.
Zrodzony, byś berłem władał,
Dziś przewrotnych ludzi winą
Wszystkoś na świecie postradał
Tułasz się biedna dziecino;
Ja cię przytulę do łona,
Lecz zkądże inna obrona?“
„Powściągnij łzy twe królowo,
Zawołał Goworek stary,
Byłem ojcu radą zdrową,
Synowi dochowam wiary;
Póki dłoń ta mieczem władnie,
Żadna nań trwoga nie padnie.“
Pod czułym starca dozorem
Wzrastał w siły Leszek biały,
I szedł chlubnym Piastów torem,
Był sprawiedliwy i śmiały;
Zręczny w rycerskich gonitwach,
I szczęśliwy w krwawych bitwach.
Goworek przez cnoty swoje
Wzbudził nienawiść dworaków
Przyszli na Leszka podwoje,
Mówiąc imieniem rodaków:
Oddal Goworka, korona
Nazad ci będzie wrócona.
Królowa w modrzewim dworze
W skromnéj siedziała komnacie,
I w skromnym była ubiorze;
Nie miała złota na szacie; (ny,
Przy niéj poselstwem zdziwio-
Siedział Leszek zamyślony.
Gdy milczą, Goworek stary
Tak ich zdumienie przerywa:
„Przyjm Xiążę ludu ofiary,
Panuj, kiedy lud cię wzywa;
Niech kraj na tém nie szkoduje,
Że mnie zawiść prześladuje.
Ja stary, władzy niechciwy,
Do skromnéj ojców zagrody
Wrócę wygnaniec szczęśliwy;
Ty długie uśmierz niezgody;
A rządząc krajem potężnym,
Bądź sprawiedliwym i mężnym.

Jeźli za to, żem pracował,
Los mi usłyszeć zostawi,
Że tego, com ja wychował,
Naród polski błogosławi;
Nie umrę w cieniu méj strzechy,
Bez słodkiéj sercu pociechy."
Tu gdy płakała Królowa,
Gdy we łzach wszyscy przytomni,
Xiążę odpowie w te słowa:
„Leszek nigdy nie zapomni,
Co winien sobie, krajowi,
I co winien Goworkowi.
Nie chcę, by mąż, co mnie wspierał,
Gdym się tułał opuszczony,
Dla mnie wygnańcem umierał;
Nie chcę państwa, ni korony;
Nad blask, co berło udziela,
Wyżéj cenię przyjaciela."
Nadgrodziły nieba hojnie
Tę szlachetność, tyle męztwa;
Leszek zwycięzca na wojnie,
Odzyskał wydarte księstwa;
Stary Goworek przy zgonie
Oglądał Leszka na tronie.

(Niemcewicz.)

3. DUMA O ŻÓŁKIEWSKIM.

Za szumnym Dniestrem, na cecorskiém błoniu,
Gdzie Żółkiewskiego spotkał los okrutny,
Jechał Sieniawski odważny i smutny,
W błyszczącéj zbroi i na śnieżnym koniu.
Maj właśnie drzewa i kwiaty rozwijał,
Xiężyc w noc cichą świecąc roztoczony,
O srebrne skrzydła i hełm się odbijał;
Lecz rycerz wzdychał żalem obciążony.
Niebieskie oczy serce mu zraniły,
I swą srogością pokoju zbawiły;
Wzdychał; koń jego myślom się stósował,
Z zwieszoną głową zwolna postępował.
Tak dumał; alić po bladym promieniu,
Błyszczącą widzi stal pomiędzy krzaki;
Byłto hełm, na nim w zbyt drogim kamieniu
Herb Żółkiewskiego i rdzy krwawéj znaki.
Zdjął go, i na tak tkliwe widowisko,
Jął mężny rycerz rzewne łzy wylewać;
A widząc srogie walk pobojowisko,
Usiadł, i takie zaczął rymy śpiewać:
„Cecorskie pola i wy głuche lasy!
Co na wierzchołkach swych wiatry niesiecie,
Roznieście ciężkie żale me po świecie,
Nad wodzem sławnym w wiekopomne czasy.
Mężu! co sławy chęć wyssałeś w mleku,
Zamojski twoje przepowiadał cnoty;
Pod jego znakiem w wiosny jeszcze wieku,
Siałeś mord srogi w nieprzyjaciół roty.
Cóż, gdy hetmanem zostałeś z rycerza,
I świetnym pułkom przywodzić zacząłeś?

Granice Polski ręka twa rozszerza,
Podbiłeś państwo, i już Moskwę wziąłeś.
A gdy się walą wieże niebotyczne
Dawnego grodu, oręż twój gotowy
Wojska Moskalów rozproszywszy liczne,
Wkłada na Carów zwycięzkie okowy.
Hetmanie, pełen nieśmiertelnéj sławy!
Dniu, w sercach polskich nigdy niezmazany!
Kiedyś z szczęśliwéj wróciwszy wyprawy,
Przed zgromadzone stawił jeńców stany;
Król Zygmunt siedział na tronie, a w koło,
W szkarłatnych szatach poważni ojcowie;
Młody Władysław pozierał wesoło,
Wtém wszedł Żółkiewski, a za nim Carowie.
„Królu! narodzie wolny i potężny!
Wiodęć ród Carów nieszczęsny lecz mężny;
Przyjm go, nie jako chluby widowisko,
Lecz jak odmiennéj fortuny igrzysko.
Bodajby nieba, co nam dziś szczęściły,
Wiodły zwycięztwa za orły polskiémi;
Bodajby wnuki, sposoby srogiémi
Za krzywdy przodków nigdy się nie mściły!
Ty Władysławie, byś jéj klęski słodził,
Moskwać przezemnie śle poddaństwa śluby;
Rządź nią, lecz wspomnij, kędyś się urodził,
Niechaj ci kraj twój zawsze będzie luby!“
Tak mówił Hetman; któżby rzekł, że chwile
Tak świetne, w ciężkie zamienią się klęski?
Że nie mogąc się Turków oprzeć sile,
Szanowną głowę da pod miecz zwycięzki?
Obóz mu cały wśród łez i rozpaczy
Wyniósł grobowiec i zwłoki swe schronił;
Na nim ten napis śmierć i cnotę znaczy:
„On piersi swémi ojczyznę zasłonił.“
Ty drogi hełmie skronie mu wieńczyłeś
I włos zsiwiały na pracach ojczyzny;
Ty w bitwach młodym rycerzom świeciłeś,
Tyś mu na czole krył szlachetne blizny!
Przysięgam, że cię na głowę nie włożę,
Aż nieprzyjaciół krwią mego nie zmyję;
Aż cieniom wodza ofiary nie złożę,
I pól cecorskich trupem nie okryję.
A tak Sieniawski każdy bój stoczony
Chciał, by dla niego był chwałą lub zgubą;

Dotrzymał słowa, i laurem wieńczony,
W ogromnym hełmie stanął przed swą lubą.
Niebieskie oczy przyjęły go mile,
Bo zdawna cnotę tylko zwykły cenić;
Po bojach słodkie przyszedł pędzić chwile,
I laur za myrtu gałązkę zamienić. (Niemcewicz.)

E. ELEGIE.

1. TRENY NA ŚMIERĆ CÓRKI.

Pańska ręka mię dotknęła,
Wszystkę mi radość odjęła;
Ledwie w sobie czuję duszę,
I tę podobno dać muszę.
Lubo wstając gore jaśnie,
Lubo padnąc słońce gaśnie;
Mnie jednako serce boli,
A nigdy się nie utóli.
Oczu nigdy nie osuszę,
I tak wiecznie płakać muszę;
Muszę płakać: o mój Boże,
Któż się przed Tobą skryć może?
Próżno morzem nie pływamy,
Próżno w bitwach nie bywamy;
Ugodzi nieszczęście wszędzie,
Choć podobieństwa nie będzie.
Wiodłem swój żywot tak skromnie,
Że ledwie kto wiedział o mnie;
A zazdrość i złe przygody,
Nie miały mi w co dać szkody.
Lecz Pan, który gdzie tknąc, widzi,
A z przestrogi ludzkiéj szydzi,
Zadał mi raz tym znaczniejszy,
Czymem już był bezpieczniejszy.
A rozum, który w swobodzie,
Umiał mówić o przygodzie,
Dziś ledwie sam wie o sobie,
Tak mię podparł w méj chorobie.
Czasemby się chciał poprawić,
A mnie ciężkiéj troski zbawić;
Ale gdy siędzie na wadze,
Żalu ruszyć nie ma władze.
Próżne to ludzkie wywody,
Żeby szkodą niezwać szkody;
Akto się w nieszczęściu śmieje
Jabym tak rzekł, że szaleje.
A ja zatem łzy niech leję,
Bom stracił wszystkę nadzieję;
By mię rozum miał ratować,
Bóg sam mocen to hamować.
(Kochanowski.)

2.

Moja wdzięczna Urszulo, bodaj ty mnie była,
Albo nie umierała, lub się nie rodziła;
Małe pociechy płacę wielkim żalem swoim,
Za tém nieodpowiedném pożegnaniem twoim.
Omyliłaś mię, jako nocny sen znikomy,
Który wielkością złota cieszy zmysł łakomy;
Potém nagle uciecze; a temu na jawi,
Z onych skarbów jeno chęć a żądzę zostawi.
Takeś ty mnie Urszulo droga uczyniła.
Wielkieś nadzieje w mojém sercu rozniecіła:

Potémeś mię smutnego nagle odbieżała,
I wszystkie moje z sobą pociechy zabrała.
Wzięłaś mi, zgoła mówiąc, duszy połowicę;
Ostatek przy mnie został na wieczną tęsknicę.
Tu mi kamień mularze ciosany połóżcie;
A na nim tę nieszczęsną pamiątkę wydróżcie:
Urszula Kochanowska, tu leży kochanie
Ojcowe, albo raczéj płacz i narzekanie.
Opakeś to niebaczna śmierci udziałała;
Nie jać onéj, ale mnie ona płakać miała. (Kochanowski.)

3. DO WIOSNY.

Już tyle razy słońce wracało,
I blaskiem swoim dzień szczyci,
A memu światłu cóż się to stało,
Że mi dotychczas nie świeci?
Już słowik w lesię zaczął swe pieśni,
Gaj mu się cały odzywa;
Kłócą powietrze ptaszkowie leśni,
A mój mi ptaszek nie śpiewa!
Już tyle kwiatów ziemia wydała,
Po onegdajszéj powodzi;
Wróżne się barwy łączka przybrała,
A mój mi kwiatek nie wschodzi!
Już się i zboże do góry wzbiło,
I ledwo nie kłos chce wydać;
Całe się pole zazieleniło,
A méj pszeniczki nie widać!
O wiosno! pókiż będę cię prosił?
Gospodarz zewsząd stroskany!
Jużem tę ziemię łzami urosił,
Wróć mi urodzaj kochany!
(Karpiński.)

4. DUMA O LUIDGARDZIE. [1]

Powiéjcie wiatry od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę obciążoną,
Miłością moją wzgardzoną.
Smutna matka w dłoń uderzy,
Nieszczęściu zaraz uwierzy;
Przyśle mi braty obrońce,
I syrbskich łuków tysiące.
Powiéjcie wiatry od wschoduetc.
Ale stójcie Syrby mężne!
Hamujcie razy potężne!
Choć mnie Przemysław chce zgubić,
Ja go jeszcze wolę lubić.
Ja się tylko żalę na to,
Że moje upływa lato;
Że mnie méj młodości zbawił;
Onby się może poprawił.

Powiéjcie wiatry etc.
Szczęśliwa wiejska dziewico!
Któréj miłość tajemnicą,
Nie zna jeszcze serca pana;
I ty, co kochasz, kochana.
Ja Króla możnego żona,
Kochając go pogardzona;
Gdy mi dójmie rozpacz sroga,
Bluźniąc, klnę siebie i Boga.
Powiéjcie wiatry etc.
Czego błyszczysz złoto marne?
Wszystko w oczach moich czarne;
Ten lud przedemną schylony,
I te Przemysława trony.
Obejrzyj się mężu twardy!
Jeden uśmiech.. a mniéj wzgardy...

1) Żona Przemysława, Xiążęcia poznańskiego, a potém (1295 r.) Króla polskiego, którą tenże Xiąże, że była niepłodną, zamordować kazał. Długosz pisze, iż za jego czasów lud jeszcze pieśń staroświecką śpiewał, w któréj Luidgarda prosiła męża swego, aby ją choć w jednéj koszuli do domu odesłał; była zaś Xiężniczką syrbską, czyli kaszubską. Ludwik Kropiński napisał tragedyą pod tym tytułem.

Wróci szczęściu postać własną,
Da wszystkiemu barwę jasną.
Powiéjcie wiatry etc.
Ale on nieubłagany!....
Pójdę do matki kochanéj,
Pójdę choć w jednéj koszuli;
Ona mnie w smutku utuli.
Przechodząc lasów tajniki,
Może litościwy, dziki,
Zwierz mi życia nie uszkodzi,
Na które srogi mąż godzi.
Powiéjcie wiatry etc.
Gdzież mnie ślepa miłość niesie?
Ona mnie zbłąka po lesie,
Fałszywe ścieżki poradzi,
I tu mnie nazad sprowadzi;
Żebym zgon mój nieszczęśliwy
Widziała, jak popędliwy
Uderzy hartowną strzałą
W serce, które go kochało.

(Karpiński.)

5. POWRÓT Z WARSZAWY NA WIEŚ.

Otóż mój dom ubogi! też lepione ściany,
Też okna różnoszybne, piec niepolewany,
I nizka strzecha moja! Wszystko tak jak było,
Tylko się ku starości więcéj pochyliło.
Szczęśliwy! kto na małym udziale przebywa,
Spokojny siadł przy stole wiejskiego warzywa.
Z swéj obory ma mięso, z ogrodu jarzynę,
Z domu napój i wierną przy boku drużynę.
Obym ja był tak dawniéj myślał oszukany!
I w ukrytym gdzie kącie żył raczéj nieznany;
Gdyby o mnie w powiecie nawet nie wspomniano,
I tylko mnie sąsiadem dobrym nazywano!
Bym się żywił z krwawego rąk moich wyrobku,
Żył na świecie bez wieści, umarł bez nagrobku.
Com zyskał, że rzuciwszy ubogie zagrody,
Chciałem nieopatrzony płynąć przeciw wody?
I widząc na me oczy, jak drudzy tonęli,
Jam sobie myślił: oni płynąć nie umieli.
Com zyskał, na wysokie pańskie pnąc się progi!
Gdzie po ślizkich ich stopniach obrażając nogi,
Nic się z moim lepszego nie zrobiło stanem,
Prócz marnego wspomnienia, że gadałem z panem.
Kiedy mnie ojciec stary żegnał przy mym zgonie;
Idź, mówił, synu na świat; w jakiéj będziesz stronie,
Pamiętaj, iż na prawdzie nikt nigdy nie traci;
Zostawiam cię ubogim, prawda cię zbogaci.
Słuchałem cię, ojcze mój, goszcząc między pany,
Takem myślał lub mówił, jak był przekonany;
Nie brałem sobie za cel ludzkie głosić winy,
A jeślim kogo chwalił, nigdy bez przyczyny.
Cóżem zyskał pochlebstwem, nie służąc nikomu?
Otom wrócił uboższym, niż wyjechał z domu.

Nie przeto święta cnoto opuścić cię trzeba,
Że wieku dzisiejszego nic nie dajesz chleba;
Choćby mi jeszcze wolniéj miało szczęście pociec,
Bo i z prawdą jest pięknie, i tak kazał ojciec.
Trzeba wyznać jak było, że mi coś dawano,
Ale wszystkie godziny życia kupić chciano,
Żebym wieczny niewolnik znosił jarzmo czyje,
Żył cały komuś, a sam zapomniał, że żyję;
A wreszcie mi nadzieją szafowano szczodrze;
Nikomum źle nie zrobił, ani mnie nikt dobrze.
Nadziejo! czyż ja ciebie w złotéj chciał mieć szacie,
Żeby oczy pospólstwo obracało na cię?
Żebym słynął majątkiem, drugimi pomiatał?
Nie o tom ja przed drzwiami fortuny kołatał,
Jedna wioska do śmierci, jeden dom wygodny,
Gdziebym jadł nie z wymysłem, ale wstał niegłodny;
Gdziebym się nie usuwał nikomu do zgonu,
Swym pługiem zoranego pilnował zagonu;
Spokojny będąc na tem, co stan mierny niesie,
Stałbym sobie na dole, niech kto inny pnie się.
W tym zamiarze praca mnie całe życie tłoczy,
Nad książkami straciłem i zdrowie i oczy;
Nad książkami, które ja, co gębie odjąłem,
Może zbytecznym na mnie nakładem ściągnąłem.
Cóż mi książki oddały? jak niewierna niwa,
Co zgubiła nadzieję rólnikowi żniwa.
Po wieku mego wiosny niewróconéj szkodzie,
Nachylony ku zimie zostałem o głodzie.
Za lat Szymoniczów albo Kochanowskich.
Może znalazłbym sobie Zamojskich, Myszkowskich,
Przy którychbym wygodnie wieku mego użył,
I pismem pożytecznem narodowi służył.
Dziś zabierz mi kto księgi, ten sprzęt nieszczęśliwy,
Do których mię przywiązał nałóg uporczywy;
I co mi będzie lepiéj w ubóstwie usłużne,
Zamieniaj na motyki i żelaza płużne.
Porzucę nad pismami myśli kłopotliwe,
A serce niech mi tylko zostanie dotkliwe,
Żebym się mógł nad losem biedniejszych litować,
I przy pracy miał sposób bliźniego ratować.
Maryo, siostro moja! jakeś się kwapiła!
Prawieś wraz z mym powrotem i ty tu przybyła!
Czegóż stojąc w tym kącie z twarzą wyniszczoną,
Otoczona dziatkami nieszczęśliwa żono,

Poglądasz mi na ręce, rychło jakim datkiem
Wesprę cię już goniącą majątku ostatkiem.
Nędza was jak popadła, tak statecznie gniecie!
I tyś także, jak widzę, prawdą szła na świecie.
Opłakana rodzino! wy myślicie ślepi:
On był między panami, i nam będzie lepiéj.
Byłem, i byłbym pewnie panom na coś zdatny,
To wiem, a tego nie wiem, zacom niepopłatny.
Stało się! nie mam swojéj, kopmy cudzą grzędę,
Podeprzeć tę lepiankę, jeszcze w niéj przebędę. (Karpiński.)

6. ELEGIA
pisana na cmentarzu wiejskim.
Przez P. Grej, naśladowana z angielskiego.

Schyłek dnia dzwon oznacza; ustaje już praca,
Zwolna rycząca trzoda błoniem postępuje,
Rólnik dumając, ścieżką do domu powraca,
A świat cały ciemności i mnie zostawuje.
Już szarym okolica mrokiem się okrywa,
Powietrze uroczyste napełnia milczenie,
Chyba brzęk lecącego chrząszcza je przerywa,
Lub błędnéj jałowicy dalekie dzwonienie.
Na wieży mchem i bluszczem oddawna okrytéj,
Nadęta sowa hukiem żałobnym przeraża
Tego, co po miesiącu w przechadzce swéj skrytéj,
Święte państw jéj siedliska kłócić się odważa.
Za tymi świerki, za tym jaworem ogromnym,
Gdzie szereg mogił z darni wznosi się daleki,
Spoczywają przodkowie wsi téj snem niepomnym;
Każdy w ciasnéj swéj trumnie zamknięty na wieki.
Świeży powiew tchnącego woniami poranku,
Szczebiotliwość jaskółki, co się gniazdem trudzi,
Pianie koguta, odgłos trąb w rycerskim szranku,
Z głębokiego ich łoża więcéj nie obudzi.
Już dla nich na ognisku płomień się nie wznieci,
Ani krzątać się będzie pracowita żona;
Nie będą wracających witać lube dzieci,
Ni piąć się po kolanach do ojców swych łona,
Często pod ich sierpami schylały się żniwa,
Często pługi ich twarde rozbijały bryły;
Nieraz ciągnięta przez nich szła łódź uporczywa,
Nieraz pod ich toporem dęby się waliły.....
Może pod tą mogiłą, na tém miejscu skromném,
Spoczywa serce niegdyś pełne uczuć dzielnych;

Ręce, co mogły władać mocarstwem ogromném,
Albo lutnie do pieni wzbudzać nieśmiertelnych.
Lecz nauka łupami czasu zbogacona,
Nie otworzyła dla nich księgi swéj szerokiéj;
Myśl tak szlachetna była niewolą stępiona,
I zimna nędza ścięła dowcipu potoki.
Wieleż drogich kamieni i pysznych szkarłatów
Oceanu przepaści zawierają ciemne?
Lub wieleż się rozwija niewidzianych kwiatów,
I w dzikich puszczach trwoni zapachy przyjemne?
Może który z téj prostéj rólniczéj młodzieży,
Jak nasz Rajtan z najezdzcą swéj wioski się spierał;
Może nieznany jaki Kopernik tu leży,
Lub Żółkiewski, co mężnie za kraj swój umierał.
Mocą dzielnéj wymowy władać umysłami,
Gardzić groźby, losów się nielękać zawodu,
Bogacić kraje handlem, zdobić je sztukami,
Czytać swe dzieje w oczach wdzięcznego narodu;
Tych dzieł, tych świetnych darów losy im zajrzały,
Ale razem zmniejszyły ciężkie niepokoje;
Nie kazały po trupach wdzierać się do chwały,
Ni przed nędzą zamykać ludzkości podwoje.
Żaden z nich prawdy fałszem nie umiał okrywać,
Ni na twarzy niewinne tłumić zapłonienie;
Hołd oddając bogactwu, nie znał, co nabywać
Często nikczemnych zysków za przedajne pienie.
Niepowściągnięte chuci, szalone życzenia,
Z rozsądkiem w wiecznéj u nich nie bywały wojnie;
Cichym trybem, błędnego nie znając zboczenia,
Ustronną życia ścieżkę przebyli spokojnie.
Lecz i kości ubogich nieforemnym głazem,
Ochronione od czasu i od obrażenia,
Napisem z prostych rymów, pobożnym wyrazem,
Proszą przechodzącego o tkliwe westchnienia.
Imię, wiek i dzień zgonu, ręka nieraz wnuka,
Miasto herbów, dostojeństw, nieuczenie ryje;
Przy nich wyjęta z Pisma świętego nauka,
Uczy, jak ma umierać, kto poczciwie żyje.

(Niemcewicz.)

7. WYGNANIEC.

Elegia naśladowana z angielskiego, pisana na morzu w czasie oddalenia się autora z ojczyzny roku 1804.

Żegnam cię Ojczyzno! żegnam cię na wieki!
Smutne przeczucie w piersiach odzywa się tkliwych,

Że te oczy, te łzami zroszone powieki,
Już więcéj nie zobaczą twych brzegów szczęśliwych.
Ucichła sroga burza, i żagiel rozpięty
Lekko naprzód posuwa niezmarszczona fala;
We mnie niknie odwaga, a żalem ściśnięty
Przeklinam wiatr, który mnie od ciebie oddala.
Jeszcze cię widzę za tym niebieskim obłokiem,
Domy i wieże ostre swe szczyty wywodzą;
Z pagórków, co przed chciwém zniżają się okiem,
Głosy mowy ojczystéj jeszcze mnie dochodzą.
Na skale, co ją w koło gęsty mech okrywa,
Rybak zmoczone sieci przed słońcem rozpina;
A piosnka, którą tonem rozkwilonym śpiewa,
Pamięć znikłych roskoszy smutnie przypomina.
Jak szczęśliwszy odemnie! już czeka godziny,
Gdy wieczór szarym mrokiem obłoki powleka;
Wtenczas ochoczy wraca do skromnéj dziedziny,
Gdzie go dziatwa i żona z utęsknieniem czeka.
Już się spieszy, i skoro nizkie przejdzie progi,
Spotyka wszędzie uśmiech, słodkie uściskania;
Nie trują roskosz jego przyszłych strapień trwogi,
Nie znają oczy płaczu, ni piersi wzdychania.
Człeku stokroć szczęśliwy! do późnéj siwizny
Znać będziesz słodycz życia w tym stanie ubogim;
A ja smutny wygnaniec z domu i ojczyzny,
Rzucać muszę, co tylko jest mi w świecie drogiém!
Już mnie matka do swego nie przytuli łona,
Już nie ujrzę przyjaciół, ni braci kochanych;
Próżno drogie wspomnienia wraca myśl strapiona,
Spieszę do parnych niebios i krain nieznanych.
Idę, gdzie słońce skwarnym upałem się żarzy,
Gdzie się płodzą tygrysy i węże zjadliwe,
Gdzie żółtą febrą tknięty, wbrew sztuce lekarzy,
Człek zionie w ciężkich mękach życie nieszczęśliwe.
Lecz ani jad, co wnętrza zaczyna pożerać,
Ni krew, co się po żyłach w czarny węgiel spieka,
Ani żal, w kwiecie życia gwałtownie umierać,
Nazwać można najtkliwszą męką dla człowieka.
Sroższém jest życie pędzić w ustawnéj tęsknocie,
Nie mieć komu się z ciężkiém powierzyć strapieniem,
W smutnym, na upłynione szczęście, myśli zwrocie,
Truć każdy dzień obecny przeszłości wspomnieniem.
Ileż kroć, gdy po pracach i strudzeniach srogich,
Noc niespokojna zawrze powieki znużone,

Sny wystawiać mi będą przyjaciół zbyt drogich,
Miejsca i chwile z nimi tak słodko spędzone.
Mieszkania rodu mego, starożytne mury!
Kędym igrał w dzieciństwie, wy błonia, potoki!
I ty świątynio wieżą wybiegłą do góry,
Gdzie drogie przodków moich spoczywają zwłoki!
Wszędzie myśl udręczona przenosić się będzie;
Lecz patrz, jak się horyzont szarym kryje mrokiem,
Już gmachy, domy, brzegi, drzewa w ciągłym rzędzie,
Raz się okażą, i znów nikną przed mém okiem.
Uciszcie się o wiatry! nie wzdymajcie morza,
Niech spokojna ma nawa w milczeniu spoczywa;
Niechaj gdy jutro świetna okaże się zorza,
Wzrok mój brzegi ojczyste raz jeszcze odkrywa!
Próżne są prośby moje; wiatr się w żagle ciśnie,
I wzniesione bałwany szumna warzy piana;
Nie ujrzę, tylko wody, gdy słońce zabłyśnie...
Żegnam cię raz ostatni, Ojczyzno kochana! (Niemcewicz.)

8. SEN ŻOŁNIERZA.

Wczoraj, w obozie, wpośród nocnych cieni,
Spoczywało żołnierzy tysiące tysięcy;
Tu i ówdzie żałośnie jęczeli ranieni,
Nie jeden usnął, by się nie obudzić więcéj.
Na szerokim mym płaszczu broń trzymając w ręku,
Leżałem, coraz bardziéj już się wzrok mój mroczy,
Usnąłem; aż sen pełen słodyczy i wdzięku,
Rodzinną wioskę moję stawia mi przed oczy.
Zdaje mi się, żem skończył tę okropną wojnę,
I dążył spiesznym krokiem przez zniszczone kraje;
Żem widział ojca mego mieszkanie spokojne,
Właśnie gdy nad niém słońce pogodnie powstaje.
Już z radością postrzegam łąkę bujnéj trawy,
Psa méj trzody, jak spiesznie przybiega do pana,
Górę, łąki i kościół, i ten dym białawy,
Co się leniwo ciągnie nad dachem Plebana.
Jakież ten powrót w rodzie mym sprawił wesele?
Przysiągłem krewnym moim przed niebem i światem,
Że hełm ten więcéj na mém nie postanie czele;
I wraz go dzieci moje uwieńczyły kwiatem.
Podniosłem je, całując rumiane ich lice;
Żona mnie przyciskała z słodkich uczuć łzami;
Luby Władziu! mówili starcy z okolice,
Ach! jakżeś zmordowany, odpocznijéj tu z nami.

Już znikły z myśli znoje i trudy wojenne,
Gdy mię blask słońca budzi — rzucam twarde łoże,
Zagrzmiały raptem spiże morderstwem brzemienne,
Lecę do walki... a z niéj nie powrócę może. (Tenże.)

9. DUMANIA ŻOŁNIERZA POLSKIEGO.

(W starożytnym zamku Maurów nad Tagiem, napisane 1809 r. przez Kantorberego Tymowskiego.)

Umilkły bębny, gasną tlejące ogniska!
Xiężyc z srebrnego wozu blady promień ciska;
Drzą w bystrych nurtach Tagu niebotyczne bramy
Zamku, gdzie panowały kiedyś Abderamy.[1]
Wiatr uparte bałwany roztrąca o wieże,
Których spiż polskiéj broni, a odwaga strzeże.
Stokroć odgłos: „kto idzie!“ wiekami nieznany,
Obija się o czarne sklepienia i ściany.
Bezpieczni tarczą hasła: zginę lub zwyciężę!
Oparci na żelezie spoczywają męże.
Noc spokojność rozlewa na całą naturę,
Mnie tylko sen przerywa wspomnienie ponure...
O Ty! co ogień męztwa zapalasz w mém łonie,
Ojczyzno! Ciebie szukam, za Twém szczęściem gonię.
W twéj sprawie Piramidy i Hajtejskie skały[2]
Nieraz szczękiem oręża sarmackiego brzmiały;
A krew, co kapitolskie broczyła świątynie,
Pod słupami Alcyda w ziemi Maurów słynie;
Choć wszędzie piękna sława dla kraju usługi,
Odbijając przekute na oręże pługi,
Podpierając zasady Iberyjskich tronów,
Tracę zaszczyt obrony ojczystych zagonów!...
Tępię Lackie żelazo na Kantabrów murze,
I od swojéj daleki obcą ziemię burzę!...
Lecz gdzież mnie myśl unosi?.. łańcuch z oczu gubię,
Łączący los mych ziomków w Twórcy ich rachubie...
Potrój się męztwo moje! niech wisłańska ręka
Straszna pod Albuhera, mur Gadezki spęka.[3]
A wtedy niech Bellona przez zdobyte grody,
Wiedzie znużoną stopę do ojców zagrody.
O przyjemna nadziejo! spełnij szczęście moje,
Niech nad brzegami Wisły ciężką zdejmę zbroję!
A powietrzem ojczyzny odetchnąwszy drogiem,
Powrócę orać rolę leżącą odłogiem.

1) Nazwisko kilku Kalifów, którzy panowali w Hiszpanii.
2) Hajti, nazwisko pierwotne wyspy S. Domingo.
3) Gadez, dawne nazwisko dzisiejszego Kadyxu.

Tam zgromadzonych braci pod jaworu cieniem
Rozrzewniać będę chlubném lecz tkliwém wspomnieniem.
I wyliczę imiona godne potomności,
Tych, co za Pyrenejmi położyli kości;
Bohatérów, co walcząc dumne syny Cyda,
W stu bitwach zadziwili rycerzy Alcyda.
Okkana, Almeida, gór Moreńskich szczyty,
Talawera,[1] zachowa wiślańskie zaszczyty;
I prędzéj czas zazdrosny prawicą ze stali
Warownéj Saragossy kamienie obali,
Pokruszy starożytnéj Tarragony skały,
Niż zgaśnie w Iberyi pamięć polskiéj chwały.

(Tymowski.)

10. MYŚL Z OKAZYI ŚMIERCI POCZCIWEGO, NA KTÓREGO POGRZEBIE MAŁO KTO BYŁ.

Kto dostatkami nie słynie,
Cóż mu skromna cnota nada?
Jak listek z drzewa przeminie,
Cicho wzrastał, cicho spada.
On gaje w zieloność odział,
W chłód gościny zwabiał co-
dzień;
Opadł, nie spojrzał przecho-
dzień;
Gdzie się z swéj gałązki podział
Niechże dąb wzniosły ku górze
Runie z okropnym hałasem,
Chociaż nieraz ściągał burze,
Co zatrzęsły całym lasem;
Chociaż swych ramion rozkła-
dem
Rozległe rzucając cienie,
Stu drzewom zabrał promienie,
Tysiąc zdruzgotał upadem;
Wszyscy się na losy żalą,
Smutkiem osada przejęta —
Bo w możnych błędy się chwalą,
W małych, cnót się nie pamięta.
Płoche śmiertelnych istoty!
Co idziecie śladem wstecznym;
Wartoż dla was kochać cnoty?
Wartoż wam być użytecznym?
Nie przeto od cnót się zrażę;
Lecz nie słuszne mam powody,
Nie dbać na wasze potwarze,
Niespodziewać się nagrody?
Tęsknić do prawego czynu,
Z godnością znosić cierpienia,
Nie dla gróźb, lub pochwał
gminu,
Lecz dla własnego sumienia.
Gdy nić życia przetną prządki,
Porzucę je bez bojaźni,
Więcéj ceniąc nad obrządki,
Jednę łzę czułéj przyjaźni.

(Ant. Gorecki.)

11. BIEDNA MARYNIA.

Czarném wśród nocy nękana marzeniem,
Przed snami nawet zmuszona uciekać,
Wstała Marynia, i z ciężkiém westchnieniem,
Poszła na górę wschodu słońca czekać.
Na piérwsze całéj natury ocknienie.

1) Okkana, Almeida, Talawera, miejsca sławne walnémi bitwami 1809 Stycznia.

Tkliwie się w gniazdzie ozwał ptaszek mały,
Matka mu słodkie niosła pożywienie;
Oczy Maryni łzami się zalały;
„O jakże,“ rzekła, „szczęśliwie żyjecie!
Czemuż ja nigdy matki méj nie znałam?
Nic nie mam mego na tym wielkim świecie,
Kolebki nawet nie miałam.
Na tym kamieniu, u drzwi téj kaplicy,
Tu mnie znaleźli porzuconą srodze;
Tu ja z téj wioski do Boga Rodzicy,
Po łzy pociechy przychodzę.
Nikt mnie tam w swojéj nie chce znać rodzinie,
Nikt cierpiącemu sercu nie odpowie,
I żadne dziecię w téj całéj dolinie
Siostrą mnie swoją nie zowie.
Widzę ich zdala wieczorne uciechy,
Patrzę na ojców i matek pieszczoty;
Ale nikt do swéj nie zawoła strzechy,
Biednéj, nieszczęsnéj sieroty!
Tutaj więc, tutaj, idę z łzami mémi,
Kaplico! ty mi świat ten zastępujesz;
Ty mi się jedna otwierasz na ziemi,
Ty mnie jak córkę przyjmujesz.
Ileż ja razy nad tym głazem płaczę,
Tu, gdziem przez matkę porzuconą była;
Patrzę, czy śladu łez tych nie zobaczę,
Które tu może roniła.
Nieraz ten cmentarz błędną zwiedzam nogą,
Co w innych wzbudza tyle uczuć rzewnych;
Ale cóż groby obchodzić mnie mogą?
Ja i w grobach nie mam krewnych.
Ach! połóż koniec mojemu cierpieniu...
Nigdyż Cię, nigdy, nie ujrzę w mém życiu?
Wróć matko! czekam cię na tym kamieniu,
Gdzieś mnie rzuciła w powiciu.“
Na tém ucichły jéj skargi i żale,
I wszystkie razem cierpienia i troski,
I już jéj odtąd nie widziano wcale,
Ani na górze, ani pośród wioski.
Mówią w niéj tylko, że po kilku latach,
Jakaś nikomu nieznana niewiasta,
Z zakrytą twarzą i w żałobnych szatach,
Przybyła do niéj z dalekiego miasta;
Z łzami o cmentarz pytała wieśniaków,

Poszli z nią pełni uczynnéj ochoty,
Lecz już nie mogli pośród traw i krzaków
Rozpoznać grobu sieroty. (Fr. Morawski.)

12. ŻEGLARZ. (Skrócone.)

O morze zjawisk! zkąd ta noc i słota?
Była jutrznia i cisza, gdym był blizki brzegu!
Dziś jakie fale, jaki wicher miota!
Nie można płynąć, cofnąć niepodobna biegu!
A więc porzucić korab żywota?
Zawód tak trudny! zakończyż tak snadnie!
Nie będziem dłużéj ćmieni, więcéj kołatani;
Lecz wszystkoż z nami w tych falach przepadnie?
Czyli kto raz wrzucony do bytu otchłani,
Nie zdoła z niéj wylecieć, ani zginąć na dnie?
Co żyje niknie! — tak na mnie świat woła;
Za cóż głos ten wewnętrznéj wiary nie wyziębi,
Że gwiazda ducha zagasnąć nie zdoła,
I raz rzucona krąży po niezmiernéj głębi,
Póki czas wieczne toczyć będzie koła.
Któżto krzyknął: do lądu? jakie słychać żale?
Wyżto, o bracia moi, przyjaciele moi,
Dotąd stoicie na nadbrzeżnéj skale?
I tak się oko wasze znudzenia nie boi,
Że aż dotąd patrzycie na mnie i me fale?
Jeśli się rzucę, kędy rozpacz ciska,
Będą łzy na szaleństwo, na niewdzięczność skarga,
Bo wam mniéj widne te czarne chmurzyska,
Nie słychać zdala wichru, co tu liny targa;
Grom, co tu bije, dla was tylko błyska.
I razem ze mną pod strzałami gromu,
Co czuję, inni uczuć chcieliby daremnie!
Sąd nasz, prócz Boga, nie dany nikomu.
Chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie.
— Ja płynę daléj, wy idźcie do domu.
(Adam Mickiewicz.)

13. BURZA. (Sonet.)

Zdarto żagle, stér prysnął, ryk wód, szum zawiei,
Głosy trwożnéj gromady, pomp złowieszcze jęki,
Ostatnie liny majtkom wyrwały się z ręki,
Słońce krwawe zachodzi; z nim reszta nadziei!
Wicher z tryumfem zawył, a na mokre góry,
Wznoszące się piętrami z morskiego odmętu,
Wstąpił geniusz śmierci i szedł do okrętu,
Jak żołnierz szturmujący w połamane mury,

Ci leżą na pół martwi, ów załamał dłonie,
Ten w objęcia przyjaciół żegnając się pada!
Ci modlą się przed śmiercią, aby śmierć odegnać.
Jeden podróżny siedział w milczeniu na stronie,
I pomyślił: szczęśliwy, kto siły postrada,
Albo modlić się musi, lub ma z kim się żegnać. (Tenże.)

14. DO PRZYJACIELA.

Lekki wietrzyk cicho wieje,
Zwiastując pokój naturze,
Po czystym niebios lazurze
Tysiące świateł goreje.
Toczy się kręgiem wspaniałym
Xiężyc sen rozwodząc głuchy
I nad światem oniemiałym
Przedwieczne czuwają duchy.
Z niémi czuwa przyjaźń prawa,
Ona nasze wiedzie kroki,
Słodszą niźli snu uroki,
Roskoszą duszę napawa! . . .
Słyszysz, jako w przestrzeniach fletu twego dźwięki
Z przeciągłém drzeniem echo powtarza i niesie!
Odbiło się po górach, odbiło po lesie
I jeszcze raz czułémi odpowiada jęki.
Ciszéj! tam pod nizką strzechą
Przybytek skromnéj prostoty;
Ciszéj! gdy tam dójdzie echo,
Przerwiesz odpoczynek cnoty.
Tam znowu zbytku schronienie
Dumny szczyt wzniosło wysoko;
Ciszéj! obudzisz sumienie,
Co zmuszone zlepia oko.
Gdzież znowu dźwięk się powtarza?
Słyszysz? o spiże cmentarza
Uderzył go wiatr daleki;
Ciszéj! w kraju wiecznych ciemnic,
Żałoby, smutku tajemnic,
Zbudzisz . . . nie! tam śpią na wieki.
Uroczysta północy zbliżyła się chwila,
Waży się świat na osi, waży i przechyla,
Wietrzyk świeży powionął, błyszczą krople rosy,
I purpura od wschodu zażegła niebiosy.
Jakże czas upłynął skoro!
Izoro, wdzięczna Izoro!
Z łzą, którą jutrzenka sączy,
Litości łezka się złączy
Nad twoją dolą strapioną.
(Ignacy Chodźko.)

15. DUMA HETMANA KOSINSKIEGO. 1

Hop, hop cwałem koniu wrony,
Leć do pułków, do méj żony;
Dłużéj chwilką,
Jeszcze tylko,
Do Stawiszcz mi służ.
Od Piatyhor, Pawołoczy,
Bieży tłumnie lud ochoczy.
Nalewajki,
Lotne czajki,
Płyną Dniestrem już.
Wnet pospieszą rejestrowi
Ku odsieczy Czechryniowi,
Przy odgłosie
Dum po rosie
Przypuścimy szturm.
Zagra ziemia pod kopyty,
Proch pomiecie słupem wzbity,
Urrah! głosy
Pod niebiosy
Wzlecą z brzękiem surm.
Ho! ho! darmo, nigdy w stepie
Zdrad tatarskich nie prześlepie,
Jak się biją,
Gdzie się kryją,
Znam ja Murza hord.
Umiem znagła wpaść na karki,
Rąbać szablą, grzmieć zjańczarki
W lewo, w prawo,
Szybko, żwawo,
Nieść ogień i mord.

1) Kosiński, po cnotliwym Daszkiewiczu dziesiąty z ramienia królów polskich Hetman Ukrainy.

Widać, widać już Stawiszcze,
Wiatr w chorągiew miasta świszcze,
Daszka szyki,
Brzmią okrzyki,
Biją dzwony z wież.

Dniowa gwiazda chmurna, bla-
Za Krzywiecki las zapada. (da,
Wrony koniu
Po tém błoniu
Prędzéj, prędzéj bież.
(Zaleski.)

16. POŻEGNANIE CZAJD-HAROLDA.

(Wyimek z poematu Lorda Bajrona, tłum. Ad. Mickiewicza.)

Bywaj mi zdrowy, kraju kochany!
Już w mglistéj nikniesz powłoce;
Świsnęły wiatry, szumią bałwany!
I morskie ptastwo świegoce.
Daléj za słońcem, gdzie jasną głowę
W zachodnie pogrąża piany;
Tymczasem słońce bywaj mi zdrowe,
Bywaj zdrów kraju kochany!
Za kilka godzin różane zorze
Promieńmi błyśnie jasnémi;
Obaczę niebo, obaczę morze,
Lecz nie obaczę méj ziemi;
Zamek, na którym brzmiało wesele,
Wieczna żałoba pokryje;
Na wałach dzikie porośnie ziele,
U wrót pies wierny zawyje.
Pójdź tu mój paziu! paziu mój mały!
Co znaczą te łzy i żale?
Czyli cię wichrów zdąsanych szały,
Czy morskie lękają fale?
Rozwesel oko, rozjaśnij czoło!
W dobrym okręcie, w pogodę,
Lotny nasz sokół nie tak wesoło
Jak my polecim przez wodę.
„Niech fala szumi, niech wicher głuszy!
Nie dbam, pogoda, czy słota;
Te łzy wyciska z głębi méj duszy
Nie bojaźń, ale tęsknota;
Bo tam mój stary ojciec zostanie,
Tam matka zostanie droga,
Tam wszyscy moi, prócz ciebie Panie,
Prócz ciebie tylko — i Boga.“ —
Pójdź tu mój giermku, giermku mój młody!
Zkąd ci ta bladość na twarzy?
Czy rozhukanéj lękasz się wody,
Czyli francuzkich korsarzy?
—O nie, Haroldzie! nie dbam o życie,
Nie dbam o losów igrzyska,
Alem zostawił żonę i dziecię,
To mi łzy gorzkie wyciska.
Żona na końcu twojego sioła,
W zielonéj mieszka dąbrowie;
Gdy dziecię z płaczem ojca zawoła,
Cóż mu nieszczęsna odpowie?
— Dość, dość mój giermku, słuszna twa żałość!
Ja choć jéj ganić nie mogę,
Mniejszą mam czułość, czy większą stałość,
Śmiejąc się, puszczam się w drogę.
Nie żal mnie ziemi, gdziem młodość strawił,
Nie straszne podróże wodne;
Ach żal mi tylko, żem nie zostawił
Nic, coby było łez godne.
Teraz po świecie błądzę szerokim
I pędzę życie tułacze;
Czegóż mam płakać? za kim? i po kim?
Kiedy nikt po mnie nie płacze?
Pies chyba tylko zawyje zrana,
Nim obcą karmiony ręką,
Kiedyś swojego dawnego pana,
Wściekłą powita paszczęką.
Już okręt piersią kraje głębinę
I żagle na wiatr rozwinął;
Nie dbam ku jakim brzegom popłynę;
Bylebym nazad nie płynął.
Gdy mnie twe jasne znudzą kryształy,
Ogromna modra płaszczyzno,
Powitam lasy, pustynie, skały;
Bądź zdrowa, luba ojczyzno!

17. CZAS, WIECZNOŚĆ, CZŁOWIEK.

Godzina uderzyła: — jak nam czasy płyną?
Wtenczas liczym godziny, kiedy już przeminą.
Człowiek dał głos czasowi: myśl mądra, szczęśliwa,
Jeszcze jęk brzmiącéj miedzi we mnie się odzywa;

Drzę, jakbym groźny słyszał głos anioła.
Podobno już ostatni moment na mnie woła;
O tym wyroku pewne znaki mnie ostrzegły.
Gdzież teraz są godziny, które już ubiegły?
Z témi są, co patrzały na kolebkę świata.
Ileż mam czynić jeszcze?.. a czas mój ulata!
Odzywają się we mnie trwogi i nadzieje,
Całe jestestwo moje miesza się, truchleje.
Ze schyłku życia spuszczam wzrok drżący... dla Boga!
Jakaż mi się przed oczy stawia przepaść sroga!
Nie wątpię, twą, wieczności, widzę straszną postać!
Ty jestestwa mojego własnością masz zostać.
Lecz jakże człowiek wieczność swą własnością mniema,
Człowiek, co i godziny jednéj własnéj nie ma?
Cudowna w nim istota, kto się w niéj zacieka,
Po Bogu najtrudniejsza rzecz poznać człowieka.
Aby się stał podobnym do siebie obrazem,
Trzeba mu dzikich rysów tysiąc skupić razem.
Sprzecznych sobie własności w nim zebrane mnóstwo,
Podłość, wspaniałomyślność, bogactwo, ubóstwo,
Jak człek mały! jak wielki! jakiéjże istoty
Jest Bóg, który mu nadał tak dziwne przymioty?
Dwóch natur skład cudowny, człowiek w środku stoi,
Niezmierny łańcuch jestestw on łączy i dwoi;
On dwa ostatnie końce swém ogniwem sprzęga,
I jedném Boga, drugiém nicości dosięga.
Wygasły promień bóstwa, rys niedoskonały,
Nikczemne dziecię prochu i wraz dziedzic chwały;
Jaśniejący najwyższéj wielkości ozdobą,
Mdły śmiertelnik, Bóg, robak... przestraszony sobą,
Zmieszany, zadumiały, w mém jestestwie ginę,
I z trwogą moję własną przebiegam dziedzinę.
Chcąc się poznać nad sobą umysł się zawiesza,
A nie mogąc się poznać, wacha się i miesza.
Jaką się człowiek sobie tajemnicą staje!
Jaki się w nim śród nędzy majestat wydaje!
Mimo uciski, których doświadcza tak wiele,
Jaka tryumfująca postać w jego czele!
Radością i bojaźnią zdięty na przemiany,
Nie wie, co wyrzec o mnie mój rozum zdumiany.
Raz w podziwienie wpada nad własną osobą,
Znowu omdlewam w strachu i sam drżę przed sobą.
Nie masz ręki, coby mnie od zgonu zbawiła,
Lecz jakaż me jestestwo zniszczyć może siła?

Nie schroni mnie od grobu prawica anioła,
Lecz mnie w nim pułk aniołów uwięzić nie zdoła.
(Z Nocy Edwarda Junga, tłum. Fr. Dmóchowskiego.)

ROZDZIAŁ DRUGI.

POEZYA OPISOWA.

1. WESOŁOŚĆ ŻYCIA WIEJSKIEGO. (Z Sobotki.)

Wsi spokojna, wsi wesoła,
Który głos twéj chwale zdoła?
Kto twe wczasy, kto pożytki,
Może wspomnieć zaraz wszytki [1]
Człowiek w twéj pieczy uczciwie,
Bez wszelakiéj lichwy żywie;[2]
Pobożne jego staranie,
I bezpieczne nabywanie.
Oracz pługiem zarznie wziemię;
Ztąd i siebie i swe plemię,
Ztąd roczną czeladź i wszytek
Opatruje swój dobytek.
Jemu sady obradzają,
Jemu pszczoły miód dawają;
Nań przychodzi z owiec wełna,
I zagroda jagniąt pełna.
On łąki, on pola kosi,
A do gumna wszystko nosi;
Skoro też siew odprawiemy.
Komin wkoło obsiądziemy.
Tam już pieśni rozmaite,
Tam będą gadki pokryte,
Tam pląsy każdy odprawi,
Lub się gonitwą zabawi.
A gospodarz wziąwszy siatkę,
Idzie mrokiem na usadkę;
Albo sidła stawia w lesie,
Jednak zawzdy co przyniesie.
W rzece ma gęste więcierze,
Czasem wędą ryby bierze;
A rozliczni ptacy wkoło,
Odzywają się wesoło.
Stada i grają przy wodzie,
A sam pasterz siedząc w chłodzie
Gra w piszczałkę proste pieśni,
A Faunowie skaczą leśni.
Zatém skrzętna gospodyni,
O wieczerzy pilność czyni;
Mając doma ten dostatek,
Że się obejdzie bez jatek.
Ona sama bydło liczy,
Kiedy z pola idąc ryczy,
Ona i doić pomoże;
Męża wzmaga, jako może.
A niedorośli wnukowie,
Chyląc się ku starszéj głowie,
Wykną przestawać na małe,
Wstyd i cnotę chować całe.
Dzień tu: ale insze zorze,
Zapadłyby znowu w morze,
Niżby mój głos wyrzekł wszytki
Wieśne wczasy i pożytki. (Kochanowski.)

2. LATO. (Z Sobotki.)

Gorące dni nastawają,
Suche role się padają;
Polny świercz, co głosu staje,
Gwałtownemu słońcu łaje.

1) Wszystkie. 2) Żyje.

Już mdłe bydło szuka cienia,
I ciekącego strumienia;
A pasterze chodząc za niém,
Budzą lasy swojém graniem.
Żyto się w polu dostawa,
I swoją barwą znać dawa,
Iż już nie daleko żniwo;
Miéj się do sierpa co żywo.
Sierpa trzeba oziminie,
Kosa się zejdzie jarzynie;
A wy młodsi noście snopy,
Drudzy układajcie w kopy.
Gospodarzu nasz wybrany,
Ty masz mieć wieniec kłosiany;
Gdy w ostatek zboża zatnie
Krzywa kosa już ostatnie.
A kiedy z pola zbierzemy,
Tam dopiero odpoczniemy,
Dołożywszy z wierzchem broga
Już dzieci jednego Boga.
Wtenczas gościu bywaj u mnie
Kiedy wszystko znajdziesz w gumnie;
A jeśli ty rad odkładasz,
Mnie do siebie drogę zadasz.

(Kochanowski.)

3. WIOSNA. (Początek.)

O złoty wieku w postaci dziecinnéj.
Wiosno wesoła! toć się wdzięcznie śmiejesz,
Wszystko uchodzi płochości niewinnéj,
Czy chłodem dmuchasz, czyli ciepłem grzejesz;
Wolność jak dziecku, dla swojéj zabawki,
Dziś urodzone straszyć śniegiem trawki.
Przecież choć straszysz, nie uczynisz szkody,
Ni skrzepłém zimnem, ni przykrém gorącem;
Przyjemna pora, czas miły, czas młody,
Ma swą umowę z powietrzem i słońcem;
Wie, kiedy zagrzać; wie, kiedy ochłodzić;
Ma sposób, starość orzeźwić, odmłodzić.
Ty okowaną i ściśnioną ziemię
Od tęgich mrozów uwalniasz z niewoli;
Jak córka matki kochająca plemię,
Kajdany zimne rozpuszczasz powoli,
Potém zaś tęższym ogniem gdy dosadzi,
Z lodowéj więzy więźnia wyprowadzi.
A po tyrańskiéj zimowéj opiece,
Pozwalasz ziemi odetchnąć swobodnie;
Ta otworzywszy ciepłych duchów piece,
Skościałe role rozwalnia wygodnie.
Im częstsze tchnienia z ust swych rozpościera,
Wszystko się rodzi, a nic nie umiera.
Choć się zasępisz, choć płaczem rozkwilisz,
Nie przykro patrzeć na twoje grymasy,
Spragnioną matkę gdy łzami zasilisz,
Ucieszysz pola, łąki, kwiaty, lasy;
Ty wszem żywiołom pożytek przynosisz,
Gdy perłowémi wody często rosisz.

Szczodrą się możesz nazwać monarchinią,
Która wspaniałe barwy wszystkim dajesz,
Czego najwięksi mocarze nie czynią,
Chętna w dawaniu nie gardzisz, nie łajesz.
Ty wiesz, co komu i kiedy należy,
Nikt o zapłatę do ciebie nie bieży.
Zielone lasy w cieniach rozmaitych,
Z pięknych kolorów swe okrycia mają;
Insze na brzozach, insze w gajach skrytych,
Insze na drzewkach nizkich się wydają,
Insze na buku, grabinie i sośnie,
Insze na dębie, który sto lat rośnie.
Inszą zieloność łąkom oznaczyła,
Jedwabne trawy dawszy im za płaszcze,
Ślicznémi kwiaty wdzięcznieś się upstrzyła,
Z témi się Zefir bawiąc skrzydłem głaszcze;
Te też wzajemnie jak z dzieckiem igrają,
Jedne się wznoszą, a drugie zniżają.
Dopieroż kwiatom, ziołom ogrodowym,
O jak nadobne sprawiła odzieże!
Każde się szczyci, pyszni wdziękiem nowym,
Każde kolory ukazuje świeże.
Ą te gdy kształtnie skojarzy i sprzęgnie,
Żaden kunszt tego zdziałać nie dosięgnie. (Drużbacka. 1)

4. CZTERY PORY ROKU DLA MŁODZIEŻY.

Wiosna.

Stopniały już gnuśne lody,
Wiążą się liście i trawy,
Pyszne z nabytéj urody,
Że Zefir zawiał łaskawy.
Nuci pieśń oracz wesoły,
Krając grunt w skiby zarobne:
Ustają w pracy mdłe woły,
I mrówki pracują drobne.
Pracujże i ty, cna Młodzi!
Pora czasu bardzo mała,
A jesień tego nie zrodzi,
Czego wiosna nie zasiała.

Lato.

Nie pomny na krótkość czasu,
Śpiewałem sobie radośnie,
Jeszcze mówiłem zawczasu,
Aliści to już po wiośnie.
Daremnie się teraz smucę,
Nadziei moich utratą;
W nierychłéj dla mnie nauce,
Uprzykrzone przyszło lato.
Aryst ma pociechę w plonie,
Mnie tylko słońce dopieka.
Nie takiż, młody Kleonie,
Wydział jest życia człowieka?

1) Elżbieta z Kowalskich Drużbacka, rodem z Wielko-Polski, żyła w pierwszéj połowie 18go wieku, i umarła około r. 1760. w wieku sędziwym w Tarnowskim klasztorze Panien Bernardynek. Józef Załuski wydał jéj wiersze w Warsz. 1725.

Drużbacka samym instynktem natury powołana do rymotwórstwa, dała przykład, co może sama przez się moc i dzielność umysłu. W opisach osobliwie wydaje się żywość imaginacyi, wdzięk wyrazów.

Jesień.

Niestałe roskoszy chwile,
Po Maju nadszedł i Wrzesień,
Wam pracowni za prac tyle,
Niesie korzyść żyzna Jesień.
Radzi, że im niebo zdarza,
Obfity płód znojnéj pracy,
Idą przed dom gospodarza,
Ochoczy z plonem żniwacy.
A ten, co zajmie stodoła,
W obszerne zasieki tłocząc,
Z czuciem radosném zawoła:
„Tu czas po pracy odpocząć!“
Tak wam, co w pierwszéj lat wiośnie,
Byliście dobrze rządzeni,
Zasiew wraz z latem odrośnie,
I wyda owoc w jesieni.

Zima.

Oto mój domek chróściany,
Znikąd opatrzenia niéma;
Mroźnym wichrem bijąc wściany,
Pewnie skołacze go Zima.
Niepomnego dziś na jutro
Żal mnie po szkodzie naucza;
Dorant się opatrzył w futro,
Gdy mnie mróz ostry dokucza.
Widziałem, jak całe lato
Mrówka pracowała pilna;
Młodzi! pamiętajże na to,
Że przyjdzie starość bezsilna.

(Ludwik Osiński. 1)

5. CZTERY PORY ROKU.

O jak wesołe nastały czasy,
W śliczną się barwę przybrały lasy;
Słońce się coraz wyżéj pomyka,
Ledwo śnieg widać, lecz i ten znika.
Szumny Akwilon skrzydły mroźnémi,
Gdzieś do Lapońskiéj zaleciał ziemi;
A lekki Zefir na lekkich cugach,
Po rozłożystych sieje kwiat smugach. 2
Słodki szum czynią, gdy wiatr powiewa
Papużém liściem ozdobne drzewa;
Gdziekolwiek pójdziesz, wiosenne dzwonki. 3
Kwilą piskliwym głosem skowronki.
Tu wełnonośnych owiec drużyna 4
Młodziuchne trawy ząbkami ścina;
Owdzie z wiernémi u nóg ogary,
Nadyma pasterz huczne fujary.
Wisła okowy zdarłszy warowne,
Pędzi do morza statki ładowne;
Czeka gospodarz, by mu za żyto
Hollender złotą brząknął kalitą, 5
Daléj do pługów uprawiać ziemię,
Daléj do wołów robocze plemię!
Gdy nie zasiejem za dobréj chwili,
Przez całą zimę będziem pościli.

Lato.

Patrz, jak na środek wzbiwszy się nieba,
Ogniem tchną żywym rumaki Feba;
Trudno się ukryć, gdzieby upały
Okrutne z góry nie dosięgały.
Pełne wód przedtém płynących rączo,
Ledwo się miałkiém dnem rzeki sączą;
A gdzie koń bystry ledwo w pław chodził,
Widziałem, jako lada pies brodził.
Smutne kwiateczki ze mdłémi ziółki
Zwiędłe ku ziemi chylą wierzchółki,
Czekając, rychło z różanéj dłoni
Perłowéj rosy Hesper 6 uroni.
Zemdlony żniwiarz upałem srogiém
Dysze w południe, leżąc pod brogiem;
Zamilkły wdzięczne ptasząt okrzyki,
Tylko się w chróstach swarzą koniki.

1) Ludwik Osiński, Dyrektor teatru warsz., teraz Prof. wymowy przy Uniwersytecie, jako gładki tłumacz kilku tragedyj Kornela (Horacyusze, Cyd, Cynna, z Woltera Alzyra) niepospolitą sobie zjednał sławę. Prócz tego uniesiony prawdziwie lirycznym zapałem, napisał kilka wierszy oryginalnych, jakoto: na pochwałę Kopernika, na powrót zwycięzkiego wojska, o dobroczynności i t. d.

2) Po rozległych łąkach. 3) Śpiewaki wiosny. 4) Trzoda. 5) Trzosem. 6) Wieczór.

Często skopcone mglistémi kiry
Ciska grad niebo i ogień szczéry,
Dnia za chmurami nie widać we dnie,
Wszystko od trwogi stworzenie blednie.
A ja pod moim słomianym dachem
Starym się wesół posilam Bachem.
Niechaj się niebo, jako chce, sroży,
Czystego serca nic nie zatrwoży.

Jesień.

Minęły słońca letniego skwary,
Łaskawa jesień dzieli swe dary;
Gdziekolwiek tylko wzrok się mój toczy,
Jest czém ucieszyć i napaść oczy.
Ciągną na wozach ogromne woły
Snopki, którémi rwą się stodoły;
Wesołe dziewki, raźni młodzieńce
Niosą, śpiewając, do dworu wieńce.
Nie dba na żądła brzmiącéj chalastry
Chłop, podcinając z kanaru [1] plastry;
A w spore beczki i duże kadzie
Wdzięczny pijakom prowiant kładzie
Rozlicznych wetów moc niezliczona
Łamie ciężarem drzewom ramiona,
Żaden nie sięga, żaden nie szczypie [2]
Sam dobrowolnie owoc się sypie.
Masz, gospodarzu, zapłatę za to,
Żeś przepracował wiosnę i lato;
Ciesz się z czeladką: a kto próżnuje,
Niech głodny gardziel piaskiem ładuje.

Zima.

Roskoszna chwilo jasiennéj pory,
Którą bieg czasu już porwał skory,
O ktoby mi dał skrzydła tak lotne,
Bym mógł twe cofnąć cugi [3] niezwrotne,
Jako spuszczony z tęgiéj cieńciwy
Do celu pocisk leci pierzchliwy;
Tak, co mię cieszył wdzięcznym widokiem,
Niedoścignionym zniknął czas krokiem.
Od północnego ostry Boota [4]
Gwiżdże wiatr w uszy i śniegi miota,
Ledwo w południe ciepło Tytana [5]
Czuć, który w lecie ogniem tchnął z rana.
Rącze kryształów wodnych woźniki [6]
Noszą na grzbietach ładowne bryki;
Umilkł gwar miłych ptasząt pieszczony,
Same po dachach wrzask czynią wrony.
Lecz mię to przecie nie tak dolega,
Że śliczna pora od nas odbiega;
Nadejdzie znowu, jak miną lody,
Czas, co osypie kwieciem ogrody.
Ale na ciebie, nędzny człowiecze,
Gdy się starości zima przywlecze,
Zetnie krew w żyłach, nabawi szronu,
Nie spędzisz śniegu z włosów do zgonu.
(Naruszewicz.)

6. WIEK ZŁOTY.

Najszczęśliwszy dla ludzi, piérwszym był wiek złoty;
Bez praw i z własnéj woli trzymano się cnoty.
Nieznano wtedy kary; jeszcze Królów siła
Groźby ustaw na twardéj miedzi nie wyryła;
Bojaźliwego ludu nie trwożyli sędzie,
Bez sędziów bezpieczeństwo panowało wszędzie.
Jeszcze sosny, by obce odwiedzić krainy,
Nie zstąpiły z gór grzbietu na morskie głębiny.
Znając tylko brzeg własny, przestając na małém,
Człowiek wtedy miast swoich nie okrążał wałem.
Nieznano, co to trąby, ani huczne kotły;
Nie kuto mieczów, hełmy skroń męzkich nie gniotły.
A weseli mieszkańcy bez krwawego znoju,
Doznawali słodyczy wiecznego pokoju.

1) Z cukru, który na wyspach kanaryjskich najprzód robić poczęto. 2) Zrywa. 3) Lot. 4) Bootes, czyli Arktophylax, gwiazda blisko konstellacyi, niedźwiedziem zwanéj, od północy. 5) Feba, słońca. 6) Rzeki.

Grunt wolny i lemieszem nigdy nie raniony,
Sam przez siebie obdarzał obfitémi plony.
Jeszcze natenczas ludzie w żądzach swoich mierni,
Zbierali z drzew owoce, głóg z kolących cierni,
Albo z krzaków jerzyny, lub poziomki z ziemi,
Albo się żołędziami karmili spadłémi.
Wiosna była bez końca, a cichą pogodę
Mieszając lekki wietrzyk, schylał kwiatki młode.
Bez uprawy urodzaj taki dały nieba,
Iż pod ciężarem kłosów giąć się zbożu trzeba.
Płyną zdroje nektaru, płyną zdroje mleka,
A miód słodki z pod jodeł strumieniami ścieka.
(Z Przemian Owidyusza, tłum. Brunona Kicińskiego, w Warsz. 1826 r. 3 tomy; — dawniejsi tłumacze tegoż dzieła: Żebrowski, Otwinowski. —

7. OPIS SIELANKI.

Znajdziesz tu owych czasów wizerunki żywe,
Gdy człek śmiertelny lata prowadził szczęśliwe;
Gdy całe swe dostatki i szczęście swéj doli,
W mnożném stadku zakładał i w bogatéj roli;
Nie dbał o jasne imię, o wspaniałe dwory,
O pełne trosk bogactwa, zazdrości honory.
Ta łożonych najmilsza była prac nagroda,
Gdy mu pole rodziło, mnożyła się trzoda.
A czego nie obłudą dostał, nie łakomstwem,
Użył z poczciwą żoną i śliczném potomstwem.
Więc jako się poprostu żywił i odziewał,
Poprostu myślił, czynił, poprostu też śpiewał.
Nie brzydki tu pochlebca z wymuszonym rymem,
Przyprawnym z dzikich pochwał kurzy panom dymem,
Wielbiąc dla szczypty złota boskiémi imiony,
Gnuśne Sardanapale, bezecne Nerony.
Ni tu miejsca tryumfy mają, że kto wiele
Miast napsuł, wsi popalił, z łez robił kąpiele:
I żeby dumną tylko skroń laurem otoczył,
Całą ziemię krwi bratniéj strumieniami zbroczył.
Nie taki muza nasza rym w swych pieniach leje,
Patrząc na skoczne strugi, a zielone knieje.
Tu kmiotek, z czyjéj ręki plenne zboże bierze,
Oddaje wielożyznéj nucąc hołd Cererze.
Tu cnota, tu niewinność, tu przyjaźń życzliwa,
Przez multanki się prostych pastuszków odzywa,
Ucząc, jako się człowiek ma zachować, który
Zrządzon do społeczności od matki natury;
Czego ma pragnąć, jako swe miarkować żądze,

Jak więcéj stać o cnotę, niźli o pieniądze.
Jako być wszystkim miły, kochany, a zatym
Szczęśliwym żyć na świecie, chociaż nie bogatym.
(Naruszewicz.)

8. PACIERZ STARUSZKA. (Skrócony.)

Gończe złotego słońca, różana jutrzenko!
Jużeś to w chatki mojéj zajrzała okienko!
O jak ślicznie z twéj twarzy promień bije czysty
Przez te młode gałązki leszczyny krzewistéj!
I ty, coś tu pod belką zlepiła gniazdeczko,
Nucąc sobie, świt biały witasz jaskółeczko!
Już i ranny skowronek wdzięczny głos wydaje,
Wzbiwszy się lekkiém skrzydłem na powietrzne kraje.
Wszystko ze snu głuchego przyrodzenie wstawa;
Zwilżona chłodną rosą podniosła się trawa.
Każdy się kwiat rozwija, i kształt bierze żywy,
I mnie się zdaje, że mój włos odmłodniał siwy.
Kiju mój! ty starości méj wierna podporo,
Prowadź mię, już bez ciebie w tym wieku niesporo.
Za tym sobie ogródkiem na wschód słońca siędę,
I łąkom się zielonym przypatrywać będę. —
Lasy, pagórki, pola nieścignione okiem,
O jak cudnym myśl błędną karmicie widokiem!
Którekolwiek mych uszu dolatują pienia,
Wszystkie są głosem szczęścia, głosem dziękczynienia;
Pastuszek na ugorze, ptaszek na gałęzi,
Opiewa słodką radość, co mu serce więzi.
Skaczą wesołe trzody po wzgórkach zielonych,
Po dolinach czystémi strugi przeplecionych;
Harcują tłuste capy, byk się zbija z bykiem,
Każdy huczne wesele okazując rykiem.
Długoż, ach! długoż jeszcze, Twórco mój łaskawy,
Patrzeć będę na dziwne boskiéj ręki sprawy,
I świadkiem twéj dobroci? Już dziewiąty schodzi
Krzyżyk wieku, jako się w śliczną postać młodzi
Po białéj zimie wiosna; a gdy myśl skrzydlata,
Patrząc na czas upłynny, ściga zbiegłe lata,
I plac ów dwoma kresy otoczony mierzy,
Co się między mym grobem i kolebką szerzy;
Cała ta niezmierzona perspektywa okiem,
Dni jasnych, dni fortunnych upływa potokiem.
Ach jak serce me pała, wiekuisty Boże!
Ta radość niezwyczajna, którą ledwo może
Zająkliwy wyrazić język; te łez tonie,

Które hojnym strumieniem biegną po mém łonie;
Znam dobrze, jak są podłe, jak słabe podzięki,
Za wszystkie dobrodziejstwa, którem wziął z twéj ręki.
Płyńcie hojnym potokiem, płyńcie oczy moje,
Wytaczajcie obfite łez rzęsistych zdroje.
Przeżyłem tyle latek, miło wspomnieć na to,
Że mi wszystkie tak zeszły, jak roskoszne lato.
Ile dni, tyle pociech; a lubo je która
Nagłego smutku czasem zasępiła chmura,
Były to owe tylko krótkie drzewo-łomy,
Co z gęstym deszczem straszne wysypawszy gromy,
Po małéj chwili nikną, a swémi przechody
W cudniejszy kształt obloką pola i ogrody.
Nigdy letniego słońca bystrémi pożogi
Nie zmniejszyły się na mych gruntach plenne brogi;
Nigdy mróz tęgi rosłych szczepów mi nie skaził,
Nigdy przymorek dojnych krówek nie zaraził;
Nigdy, srogiémi brzucha zmęczony przemory,
Nie wlazł wilk krwawożerca do mojéj obory,
Ani mi kiedy tłustych baranów podławił.
Nigdy w méj chatce długo zły wróg nie zabawił.
Wszystko szło mi szczęśliwie, wszystko jako z płatka,
Była bogata chatka, poczciwa czeladka.
A któż jeszcze wyrazić radość ową zdoła,
Gdy mię nadobne dziatki obsiadły dokoła;
Kiedym jedne prowadząc za drobniuchne ręce,
Uczył bezpiecznie stawiać stópki niemowlęce;
Drugie skacząc na łonie z uciesznym pośpiechem,
Bawiły płochą mową i wdzięcznym uśmiechem?
Teraz gdy już pod twoją opieką urosły,
Twórco mój! i niepłonne owoce przyniosły;
Ciesząc się z trosk podjętych i z łożonéj prace,
Czekam, póki śmierć w domek mój nie zakołace.
Tak właśnie rosły moje najmilsze pociechy,
Jako oto te gruszki, oto te orzechy,
Com je przed laty, by mi skwar letni nie wadził,
Około chatki mojéj we dwa rzędy sadził.
Teraz gdy roztoczyły szerokie ramiony,
Mam z nich w jesieni owoc, mam w lecie zasłony.
Ty sama, ty trosk moich, ty żalów jedyną
Stałaś się, ukochana małżonko, przyczyną!
Tyś bieg radości trwałych, niestety! przerwała,
Gdyś mi z oczu w podziemne kraje uleciała.
Pomnę, ach! pomnę, kiedy przy ostatnim zgonie

Złożyłaś na pół martwą głowę na mém łonie;
Kiedym struchlałą ręką oczy twe zawierał,
I z tobą razem z srogich frasunków umierał.
Już to dwunasta wiosna mija od téj daty,
Jak twój grób łzami zlewam, i sypię nań kwiaty.
Lecz w krótce dzień wesoły, dzień przyjdzie fortunny,
Co me kości położy obok twojéj trunny;
A te serca, co w ślicznéj wiek spędziły dobie,
I po śmierci spoczywać będą w jednym grobie.

(Naruszewicz.)

9. POŻEGNANIE LINDORY W GÓRACH.

Pójdźmy na koniec smutnego Kluczowa,
Tam ją wśród łąki będziemy żegnali;
I choć przed okiem naszém las ją schowa,
My jeszcze za nią będziemy wołali:
Lindoro, cóżeś zrobiła?
Sierotyś nas zostawiła.

Rzeczko ty mała! w które tylko kraje
Popłyniesz, wszędzie powiadaj po drodze,
Że już Lindora z nami się rozstaje;
Bądź świadkiem, jak jéj żałujemy srodze.
Lindoro, cóżeś zrobiła? Sierotyś nas zostawiła.

Powiedzcie lasy, i wy góry dawne,
Czy piękniejszego co w tych stronach było?
Jak wy będziecie odtąd z tego sławne!
Lecz jak się prędko światło wasze skryło!
Lindoro, cóżeś zrobiła? Sierotyś nas zostawiła.

Wieśniak swym małym dzieciom kiedyś powie:
Dziatki, Lindory wyście nie widzieli;
Piękna jak wiosna, i czerstwa jak zdrowie,
Biała jak ten śnieg, co się w górach bieli.
Lindoro, cóżeś zrobiła? Sierotyś nas zostawiła.

Już ponad rzeczkę nie będziesz chodziła,
I bielszéj nogi nikt w niéj nie umyje!
Oko wesołe, usta i twarz miła,
Wszystko się z twojém oddaleniem kryje.
Lindoro, cóżeś zrobiła? Sierotyś nas zostawiła.

Nie masz Lindory! czegóż tu czekamy?
Rozbiegnijmy się w różne gór tych strony.
Co nam po wszystkiem? Lindory nie mamy;
Został nam po niéj żal nieutulony.
Lindoro, cóżeś zrobiła? Sierotyś nas zostawiła.

(Karpiński.)

10. DZIECI U MATKI.

Gałęzie lasu obsypał szron siwy,
Pościnał rzeki Luty przeraźliwy;
Pławne na brzegi pozarzucał łodzie,
I kazał chodzić po zdrętwiałéj wodzie.
W tak twardéj porze Kloryda z Filonem,
Piękna Palmira z swoim Korydonem,
Miłe ich dzieci, i przyjaciół grono,
Wyszli odwiedzić matkę oddaloną.
Próżno ich sypkie zatrzymują śniegi,
I lodem wzdęte odpychają brzegi.
Przeszli zawady, bo miłość szła wprzody;
Zmiatała śniegi, i topiła lody.
Już się nakoniec po długiéj podróży,
Znajoméj sobie dobrali ostróży.
Filon, co w młodych leciech tędy bywał,
Znaczniejsze miejsca dzieciom pokazywał....
Tak rozmawiając, wreszcie u wrót staną,
I powitają zagrodę kochaną.
Ale Korydon zaczął im rozwodzić:
„Mnie się nie zdaje całym tłumem wchodzić.
„Wielkie pociechy szkodliwe bywają,
„Że nam się bardzo rzadko przytrafiają;
„A do nieszczęścia człek przyzwyczajony,
„Zniesie je łatwiéj, gdy z niém oswojony.
„Niechby Palmira ze mną, z dzieckiem małém
Weszła najpierwéj, a wy potém całym
„Przyjdziecie tłumem. Tak idąc powoli,
Radość nie cięży, i smutek mniéj boli.“
Poszli za radą, i wnet się w kąt wkradną;
Ale ich czujne sobaki opadną.
Bryś wysłużony uszyma postrzyże,
Poznał swe pany, i ręce im liże.
Strach się dopiero w pasterkach ugasi,
Gdy widzą, jak się Filonowi łasi;
Skacze do góry z radości niezmiernéj,
Ten, co miał kąsać, wzruszył ich pies wierny.
Palmira z swoim miłym Korydonem
Wiadomym jemu przebiegli uchronem;
Przyszli podedrzwi, nic nie postrzeżeni,
I mroźną odzież ztrzepywali w sieni.
Justyna wtenczas modły gorącémi
Błagała Boga za dziećmi swojémi;
„Jeśli,“ powiada, „choroba im szkodzi,
„Jeśli nad niémi zły człowiek przewodzi;

„Jeśli zamysłom ich opak się wiedzie,
„Jeśli zmartwienie mają w złym sąsiedzie;
„Ty, który lubisz wspierać łaską człeka,
„Odmień to, Boże, boś dobry od wieka!
„Niech się rozrodzą w mnogie pokolenia,
„Jako te drzewa ich ręki szczepienia;
„Niech pamiętają na Twoich łask siła,
„A potém na mnie, com ich porodziła.“
Gdy matkę takie nabożeństwo trzyma;
Weszła Palmira z siwémi oczyma,
Dziecię na ręku, gładka w twarzy, w stanie,
Za nią Korydon przyszedł niemieszkanie.
„O dzieci moje! (zawoła Justyna)
„Jakżeto prędko Bóg na mnie wspomina.
„On mię wysłuchał, ledwiem wymówiła;
„Daje mi łaskę, jam nie zasłużyła!
„Niechże tu całe sąsiedztwo się zgarnie;
„Niech wezmą owcę najlepszą z owczarnie,
„I niech to piwo dobędą coprędzéj,
„Coby je mógł pić, choćby syn xiążęcy.
„O wielki Boże! cóżbym jeszcze dała,
„Żebym Filona dzisiaj oglądała!“
Na to Korydon: „Matkę wszyscy znamy;
„On ją tak kocha, jak i my kochamy.“
Wtém wejdzie rzeźwa Kloryda z Filonem,
Z pięknemi dziećmi i przyjaciół gronem.
Rzuci się matka, łza jéj z ócz wytryska,
Mówić nie może, i tylko je ściska.
Kiedy tym zbytkiem radości się poją,
I dzieci matkę otoczyły swoją;
Dawszy coś czasu na płacz pożądany,
Wreszcie zaczęli śpiewać na przemiany.
Pasterki. Zwarzyła zima piękne nasze zioła,
Cośmy z nich wili wielo-farbne pleci;
Otaczając cię z radością dokoła,
Oto masz, matko, wieniec z twoich dzieci.
Pasterze. Miłe koszary i słodką zagrodę
Porzucił pasterz; do matki się spieszy.
Któż za swe trudy miał większą nagrodę?
My jéj śpiewamy, a ona się cieszy.
Wszyscy razem. Święta miłości ku rodzicom dzieci!
Co piérwsza świecisz pomiędzy gwiazdami,
Jeśli do ciebie ten głos nasz doleci;
Mów tam za matką naszą i za nami.

Bóg wtenczas spojrzał z wysokiego nieba.
Nad to, co jeszcze żyć im było trzeba,
Przyczynił wszystkim wieku tyle drugie,
Żeby z nich przykład brały lata długie. (Karpiński.)

11. OSOBNOŚĆ.

Spokojny kącie, w którym się ukrywam
Od uprzykrzonéj natrętników zgrai;
W twojéj zaciszy we wszystko opływam,
Pewien, że głos mój i myśl się utai.
Złémi widoki utrudzony srodze,
Pozwól, niech w tobie przykrość moję słodzę.
Dość długo byłem fortuny igrzyskiem,
Czas już rozpięte dawno spuścić żagle;
Niech się świat bawi inném widowiskiem,
Niech jednych wznosi, spuszcza drugich nagle;
Nie chce i myśleć o fortuny kole;
Byłem na górze, byłem i na dole.
Póki wiek rzeski niepewne zawody
Przyszłego wieku uwdzięczał i słodził,
Biegłem za szczęściem mniéj baczny, bo młody;
Niech téż odetchnę, dośćem się nachodził;
Patrzcie na innych argusy stooczne,
Ja sobie w kącie tymczasem wypocznę. (Krasicki.)

12. STRUMIEŃ. (Początek.)

Strumyku ukochany, wsi naszéj ozdobo!
Wielkie, jak widzę, mamy podobieństwo z tobą;
Każdy z nas spiesznym krokiem do swych kresów dąży,
Nim cię morze, a nas śmierć w ciemności pogrąży.
Lecz gdy się przypatruję, z innych miar niestety!
Szczęśliwiéj ty do swojéj, niż my, bieżysz mety.
Ty pędem rodowitym, bez trosk i zgryzoty
Spieszysz, kędy cię szklanne porywają loty;
Owszem im bliżéj sączysz nurt swój morza podle,
Pełniéj i jaśniéj bieżysz, niżeli przy źródle;
A zawsze nowe w drodze znajdując igrzyska,
Patrzysz na żyzne pola i bujne pastwiska.
Jeśli twój czysty kryształ, co tu środkiem płynie,
Dodaje świeżych wdzięków nadbrzeżnéj chróścinie;
Pewny jesteś wdzięczności za dar niezawodny,
Ona tobą zielona, a tyś od niéj chłodny.
Ty po jasnych kamyczkach, między kwiatów szykiem,
Snujesz płynące srebro pochopnym wężykiem;
W nim się licznémi roty tysiąc rybek kręci,

Zadna ci się nie przykrzy, żadna cię nie zmęci,
Na twych brzegach piskliwy słowik gniazdo wije,
W twoim stoku gołąbek kształtną muska szyję.
Gładkie się Nimfy chłodzą, kiedy słońce siada,
A zemdlony Zefirek ledwo skrzydłem włada. (Naruszewicz.)

13. BURZA.

Pomrok ponury
Skrył twarz natury,
Wtém wichrów siła
Nagle zawyła.
Mocą szaloną
Druzgoce drzewa,
Szumi ulewa.
W czarne chmur łono
Pioruny biją,
Zbrodnie się kryją.
Nie schronią wieże,
Gdy Bóg nie strzeże;
Ach gdzież ucieknie?
Któreż ukrycia
Przyjmą tę duszę,
Kiedy Pan rzeknie
Śmierci i życia:
„Skarać ją muszę.“
Stójcie zbrodniarze!...
Jeszcze nie karze.
On tylko w blasku,
W piorunów trzasku,
Oznajmił siebie,
Że jest na niebie.
Tam zagrzmiał prawy,
Ojciec łaskawy,
Zastraszył dzieci;
Ale za chwilę,
Znowu im mile
Słońcem zaświeci.
Wy! których sroga
Moc lud uciska,
Poznajcie Boga,
Grom Jego błyska;
Próżno was zwodzą,
Chciwi wawrzynów
Mędrce zaciekli,
Że już dociekli,
Z jakich się płynów
Te grzmoty rodzą.
Boga to palec,
Bóg to przestrzega,
Że czas ubiega,
I na człowieka
Poprawę czeka.
Nieraz zuchwalec
W błędach zajadły,
Cogwiazdy zmierzył
Gdy grom uderzył,
Zadrżał wybladły.
Niewierni ludzie!
Boga nie znacie;
Kogoż szukacie
W uczonym trudzie?
Myśl ta was mami,
Znać to koniecznie,
Co Stwórca wiecznie
Zakrył przed wami.
Gdy zgłębiać chcecie
I cóż znajdziecie?
Dzieł swych nikczemność,
Rozumu ciemność.
Czas nieścigniony
Szybko ulata;
Już chwil miliony,
Ten co grzmi w niebie
Mieszkańcom świata
Pokazał siebie
W ognistéj chmurze
Na świętéj górze.
„*Mnie Boga znajcie*
„*Bliźnich kochajcie.*
Tak rzekłeś Boże!
I milczysz wieki;
Z tronu wieczności,
Widzisz jak może
Być kres daleki
Człowieka złości.
Moc wojny krwawa,
Stanowi prawa.
Okrutnych panów
Nie zmiękczą brzęki
Ciężkich kajdanów
I ludów jęki.
Ty niewidomy
Zapalasz gromy,
Ty słońce gasisz,
Noc w gwiazdy krasisz;
A ci morderce,
Ci niedowierce,
Mówią do ludów:
„Bógprzestał cudów.“
Ach wy zuchwali!
Coście zdeptali
Boga ołtarze,
Drżyjcie zbrodniarze!
Pogardźcie złoto,
I pychy próżność,
I stanów różność,
A żyjcie z cnotą!
Bo niespodzianie
Ta noc nastanie,
Ten czas straszliwy,
Gdzie słońce spadnie,
A sprawiedliwy,
Co niebem władnie,
Każe siarczystym,
Gromom ognistym,
Wszystko potrawić,
Cnotę zostawić.
(Ant. Górecki.)

13. ŚMIERĆ ZDRAJCY OJCZYZNY.

Noc była ciemna, milczenie ponure
Lało spokojność na całą naturę —
Wtém xiężyc zajaśniał mile;
Bo już zbliżały się chwile,
Kiedy duchy z nieba skrycie
Na promykach gwiazdy zchodzą,
I gorzkie nędzarzów życie,
Snem łagodzą. —
Nad rzeki brzegiem,
Co bystrym biegiem
Toczy mętne wały,
Błyszczał gmach wspaniały;
Tam zdrajca kraju obrzydły,
Leżąc gdzie łoże złociste,
Czekał, by sen swémi skrzydły
Przytulił serce nieczyste. —
Ogień w bladawym płomieniu,
Po kunsztownych lampach skryty,
Pakazywał w nocnym cieniu
Dostatek zbrodnią nabyty. —
Starannie przez długie lata
Zgromadzał tam zbytek złoty;
Wszystkie niemal skarby świata,
Nie stawało — snu i cnoty. —
Już czas chyży
W twardéj spiży
Dwanaście razy brzęk zrodził,
A sen jeszcze nie przychodził. —
On biegał po małych chatkach,
I przytulał tych w téj chwili,
Co kiedyś żyli w dostatkach,
A wszystko za kraj stracili.
Na próżno wyrodek podły
Wyglądał na jego przyjście;
Jak jesienne więdną liście,
Tak smutki serce mu bodły. —
Porzuca wyniosłe łoże,
Otwiera skrzynie zamkami warowne,
I myśli, że mu pomoże
Świetnych kamieni błyskanie kosztowne. —
Wtém niebo znać dało grzmoty;
Pioruny trzasły —
Ognie zagasły —
Wicher drzwi wyparł z łoskotem;
Wchodzi najprzód xiężyc blady,
A za nim w ślady
Jakaś poważna osoba,
Na niéj żałoba;
Smutna postawa,
Pierś krwawa, —
Na takie widmo straszliwe,
Drży zdrajcy serce lękliwe:
Widzi . . . , niewierzy . . . .
Włos mu się jeży.
I krzyczy . . . to strachy czyje?
Stój! . . . bo zabiję! . . . —
Ale postać blada
Nic nie odpowiada;
Idzie tylko z cicha
I wzdycha. —
Wtenczas ufny w moc siarczystą,
Porwał z prochem broń ognistą;
Zmierzył . . . . przycisnął.
Ogień błysnął,
Kula zajadła
Z hukiem wypadła,
Środek postaci przeszyła;
Ale ona wolnym krokiem
Z milczeniem głębokiem
Jeszcze bliżéj przystąpiła.
Na zbrodnia ramieniu drżącym
Wspiera się łokciem oziębiającym,
I odpoczywa.
On mdleje,
Pot leje,
I za drugą broń porywa.
Wtém ona do niego rzecze,
Głosem takim, jakim ciecze
Mały strumyk, lutnia brzęczy,
Lub po mogiłach wiatr jęczy:
„Stój! mnie kula nie zabije,
„Na waszym świecie nieżyję;
„Ojczyzna jestem; ta rana,
„Ty wiesz od kogo zadana. —
„Synu! ty w ciemnym złożyłeś mnie grobie,
„A ja przychodzę dać ratunek tobie —
„Widzę twą duszę smutkiem uciśnioną
„Chcesz spocząć? pójdziem na wieczności łono;
„Ja ci przebaczam, bo nie Matki czynem,
„Mścić się nad Synem.“ —
Wtém razem wstrzęsły się dachy,
Zadrżały gmachy,
Jękła noc blada;
Przez okna wpada
Duch czarnéj postaci,
I rzecze głosem zagrzmienia:
„Niemasz, niemasz przebaczenia
„Temu, co przelał krew braci! —
„Pan przedwieczny, sprawiedliwy,
„Stań przed jego sąd straszliwy!“
Tak zawołał, i ponury
Ciało zbrodnia w łoże cisnął,
Duszę w ciemne porwał chmury,
Wiatr za nim zawył, grom błysnął.

(Ant. Górecki.)

14. ŁZA.

O ty z anielskiéj ulana czystości,
Łzo, kroplo boska, wyciśniona z duszy
Słodki ulewie wezbranéj rzewności,
Kogóż twój widok nie wzruszy!
Niebo nas twoim pocieszając tworem,
Wgłębi serc tajne wskazało ci źródło;
I ztamtąd skrytym prowadząc cię torem,
Drogą spojrzenia wywiodło.
Jakże się czystą, jakże piękną rodzisz,
Wdzięczném kochanki rozjaśniona okiem!
Ach! ty sam uśmiech dobroci przechodzisz,
Piękności twojéj urokiem.
W tobie to każde uczucie przemawia,
Miłość cię, litość, żal i radość leje;
W tobie to prawda serca się wyjawia,
I promień cnoty jaśnieje.
Jak na uwitym z młodych róży wieńcu
Drzy wonna rosa porankiem błyszcząca;
Tak ty na wstydu płonącym rumieńcu
Lśnisz się i cicha i drżąca.
Tyś jest ostatnią niewinności bronią,
Ty skrapiasz wszystkie wieki i stany,
Ciebie nędzarze, ciebie króle ronią;
Bo któreż serce bez rany?
O jak w téj ciężkiéj życia nawałnicy,
Słodkiém, cudowném jest twoje przybycie;
Ledwie z wezbranéj wytryśniesz źrenicy,
I jużci lżejszém jest życie.
Wraca odwaga, powracają siły,
Boską roskoszą orzeźwia się dusza;
I do tych ofiar, co tak trudne były,
Zmężniałą cnotą się zmusza.
Piękny! wyłączny człowieka udziale!
Tobie tę cenę same dały nieba;
Ażeby wszystkich win przeważyć szalę,
Jednéj łzy tylko potrzeba.
Bóg to, Bóg ciebie w naszę istność wsączył,
On to nas w twojéj do słodyczy przeniknął;
On to tak ścisłém ogniwem cię złączył
Z każdą dolą śmiertelnika.
Tobą świat wita, z tobą z świata schodzi,
I tobą ślad życia oznacza;
Tobą się z sercem rozdwojoném godzi,
Tobą pociesza, przebacza.
Ciebie on wzywa, gdy boleść go tłoczy,
Ciebie z serc wszystkich w zgonie przywoływa;
I w tenczas nawet, gdy cię już nie zoczy
Jeszcze cię na grób przyzywa.

(Fr. Morawski.)

15. ŻEGLARZ.

Od własnych brzegów, od ojczystéj chatki,
Odepchnął łódkę, puścił z biegiem wody
Rybak młody;
Na mętnym wirze chce zarzucić siatki,
Ale zaledwie na pośrodku rzeki,
Słyszy głos daleki.
To mu się zdaje, że niebo otworem
Pieśni aniołów, wznoszących się chorem,
Przepuszcza na ziemię,
Błogosławić ludzkie plemię;
To znowu jakby w jeden dźwięk stopione,
Zdają się w jednę przywabiać go stronę.
Nieznana potęga
Aż do głębi serca sięga;
Nad drogie życie, droższy mu głos miły.
Zbiera, natęża wszystkie razem siły,
Dwakroć rozpiera wiosła,
Podwaja falę, co zawolno niosła
Spienione twory i zostawia ślady;

Zā nim, już zorza rozlały świt blady,
Przed nim, mgła jeszcze leżała szeroko;
Na krzyżu tylko mogło spocząć oko,
Co nad kościółkiem, jak z nocy się cisnął,
By piérwszy światłem przewodnićm zabłysnął.
Za zakrętem, gdzie gaj ciemny, | I za skałę już zapływa,
Nęci, wabi głos przyjemny; | Głos wśród łąki się odzywa;
Za zakrętem łódka staje, | I już blizko kwietna łąka,
Głos za skałą być się zdaje. | Głos się jeszcze daléj błąka;
Tak daléj, daléj, coraz daléj płynie
Żeglarz niestrudzony,
I daléj, coraz daléj, lube tony
Dźwięczą po równinie.
Minął i ranek, minęło południe,
W wieczornéj rosie dzienny promyk chłodnie,
Już i płonęły zachodnie krawędzie,
Już téż i brzegi coraz dziksze wszędzie,
Coraz dziksze puszcze;
Gdzie niegdzie tylko na pół zwiędłe bluszcze
Z wapnistych głazów mdłe zwieszają kosy;
Głogi bez liści, wyschnięte wrzosy,
Wietrzyk nawet nie porusza,
Uszła czująca lub zamilkła dusza.
Aż nareszcie głos wabiący, | Co na wieszczā cichym grobie
Jak lutni dźwięk drżący, | Wiatr wytrąci w nocnéj dobie.
Umilkł — zniknął w wiecznéj ciszy.
Zeglarz, jak serca w swém łonie nie słyszy,
Westchnął i okiem rzucił w koło siebie:
Nie ma dla oka punktu w ogromnéj naturze,
Bezdenność w dole, nieskończoność w górze:
Jeden tylko obłoczek sunął się po niebie,
Zdobił i smucił razem niezmienność sklepienia —
Głos był nadziei, obłok wspomnienia.

(Alex. Hr. Fredro.)

16. OKOLICE KRAKOWA.

Niech inny, pogardziwszy ojczystą dziedziną,
Śpiewa, jak Indów rzeki drogim kruszcem płyną;
Niech go zajmą Alp śnieżnych widoki olbrzymie,
Niech śladów dawnéj chwały w nowym szuka Rzymie;
Niech na gruzach Palmiry nuci pieśń żałoby,
Niech głosi panów Nilu równe niebom groby; [1] (1. Piramidy.)
Wyższy cel ducha mego obdarza natchnieniem:
Ojców ziemię, ojczystém chcę uwielbić pieniem.
Pocóż śladem ubitym ścigać rzeszę płochą?

Wszak i dla nas natura nie była macochą.
A jeźli w obcéj ziemi piękna okolica
Czaruje wdziękiem oczy i umysł zachwyca;
Jeźli skał lodowatych nęci obraz dziki,
Jeźli bory posępne, wesołe gaiki,
Jeźli mają zaletę zdroje przezroczyste;
Dla mnie te najpiękniejsze, które są ojczyste.
O nieprzebrane źródło najczystszéj słodyczy!
O ty ziemi naddziadów wdzięku czarowniczy!
Jak silnemi ogniwy twa święta potęga
Z ojczyzną ukochaną dusze nasze sprzęga!
Dla ciebie, gdy pieśń lubą usłyszy z daleka
Szwajcar, w góry niepłodne z pysznych miast ucieka.
Dla ciebie, wiecznéj zimy twarde znosząc słoty,
W obcych krajach Laponczyk usycha z tęsknoty.
Dla ciebie, gdy duch niezgód z przemocą związany,
Lud wolny na zelżywe potępił kajdany;
Pod obcém niebem mężni walczyć przedsięwzięli,
By się z czasem na groźnych wykształcić mścicieli.
Ileż razy, w swéj doli szukając pociechy,
Wzdychali z brzegów Tybru do ojczystéj strzechy;
A nad kraj, ręką Twórcy hojnie obdarzony,
Przekładali ubogie naddziadów zagony.
O miłości ojczyzny! twa przemożna władza,
Do bohatérskich uczuć ludzi doprowadza.
Któż ci swych sił, kto życia nie odda z weselem?
Ty więc bądź pienia mego, ty czci mojéj celem.

(Z poematu: Okolice Krakowa p. Fr. Wężyka, zob. wyż. str. 147.)

17. ZALETY ZIEMI POLSKIÉJ.

Nie winuj przyrodzenia skargami zuchwale,
Żeś mniéj łagodne Niebo otrzymał w podziale;
Że kiedy kwiaty barwią Erydanu[1] brzegi, (1. Po, we Włoszech.)
Twą Wisłę lód krępuje, pola bielą śniegi.
Nie skrzywdziła cię losu równoważna władza,
W czém ci Niebo ujęło, Ziemia ci nagradza.
Jeźli drogich balsamów twe drzewa nie ronią,
Ni cytrynowe gaje tchną przyjemną wonią;
Za to Krępak nie huczy w pieczarach podziemnych,
I nie odbiera słońca kłębem dymów ciemnych;
Nie miota z czarnéj paszczy wrzących nurtów w łonie,
I pożerczy *flegeton* twych posad nie chłonie.
Ach! kiedy w jednéj chwili, w téj walce żywiołów,
Legła sławna Pompeja pod górą popiołów,

Gdy wstrząśnione w posadzie Lizbony budowy [1]
Na struchlałych mieszkańców waliły się głowy;
Gdy chwiejąc się uczuła Messyna przelękła, [2]
Że stoi na otchłaniach ryczącego piekła,
A w jéj murach zawywszy przeraźliwym głosem
Strach z obłąkaném okiem, najeżonym włosem,
Unosił na przestrzenie lud na pół umarły,
Aby go w rozpadlinach przepaście pożarły;
Jakżebyś wtedy w niebo wznosił modły godne,
Za twe skromne ustronie i powietrze chłodne?
Spoglądaj więc ciekawie, ale bez zawiści,
Na te zdradliwe innych narodów korzyści,
I występną tęsknotą, lub płochą obmową,
Liczby wad własnych, winą nie powiększaj nową.
Na jednym tylko skarbie ziemi twojéj zbywa,
Niech cię do niego zazdrość zapali szczęśliwa;
Nie szukaj go daleko, jest on w twojéj dłoni;
Chcesz wyrównać sąsiadom? tak pracuj, jak oni.
Odpłacą się pługowi bujnorodne łany,
Wstaną jak z kruszcu bite złotych kłosów ściany.
Czyli cię kraj przywabi tak Cererze luby,
Na który Wisła z Sanem w wieczne weszła śluby;
I tam powolny zagon przez twoją prawicę,
Wisłę zamieni w Paktol [3] a rolę w Kremnicę. [4]
Ale którąż żyznością zmierzyć się ośmieli,
Z tą, którą bystry Tyras [5] z Borystenem [6] dzieli?
Dla których bogactw, wdzięków, i czarownych wzorów,
Nie znajdzie wieszcz wyrazów, ni malarz kolorów;
I chcąc młodzieńcze świata wystawić powaby,
W zmyśleniach złotych wieków widzi obraz słaby?
Jéj hojność, twe nadzieje i żądze prześcignie,
Sto rzek na bystrych nurtach płodów jéj nie dźwignie.
Niech nowy Argos [7] morzem od lądu odcięty
Napastnémi świat cały oblega okręty;
Niech z jednych zdarte łupy na drugich narzuca,
I własném złotem ludów ich pokój zakłuca;
Niech kosztem krwi murzynów wyłącznie posiądzie,
I ten cel tylu zbrodni, i zbrodni narzędzie;
Niech tam, gdzie się wyrzekłszy prostych cnót oblicza,
Lud zepsuty Cererę skromną wydziedzicza,
Nad kunsztownym warsztatem chciwy przemysł ślęczy,
I szaty przezroczyste tka z przędzy pajęczy;

1) Trzęsienie ziemi w r. 1755. 2) r. 1783. 3) Rzeka w Lidyi, piaskiem złotym sławna. 4) Kopalnie złota i miasto w Węgrzech. 5) Dniestr. 6) Dniepr. 7) Anglia.

Ty pórz ziemię lemieszem, ty roń na nią znoje,
To twój kunszt, to twój warsztat, to kopalnie twoje.
Z niéj twoja chluba rośnie, z niéj hojna odpłata,
Czém był Egipt dla Rzymu, zrób ją tém dla świata.
Gdy twym polom rok żyzny plonów nie uskąpi,
Za nie i ląd i morze swych bogactw odstąpi.
Te dłuta i te pędzle, których urok sprawia,
Że twardy marmur żyje i płótno przemawia,
Wypadną z ręki mistrza, gdy braknie na chlebie.
Głodny z pokorą przyjdzie żebrać go u ciebie;
Bo w tym kraju są źródła, w twém ręku sposoby,
Przez które świat płodnieje w życie i ozdoby.
Tak wierny przeznaczeniu, póki ziemię orzesz,
Spokojnyś o potrzeby, a przepych mieć możesz.
Nikt ci ich niezaprzeczy; bo ku ich obronie
Ta ziemia, co je rodzi, ma żelazo w łonie.
A w pośród twardéj pracy ukrzepione męże,
Tak są sławne jéj plony, jak sławne oręże.
Nie same ich obecne wieki głoszą chwałę,
Znały ich skrzepłe Cymbry, Maury ogorzałe,
Stolice ludów z obu Europy końców,
Znały ich jak zwycięzców, znały jak obrońców.
Jéj bronił, w niéj spoczywa pod twardémi głazy
Ów szlachetny wzór wodzów i rycerz bez skazy;
Co wiedział, kiedy walczyć, kiedy umrzeć trzeba,
I honor współrodaków uniósł z sobą w nieba. [1]
Na niéj powstał Dyktator w wieśniaczéj siermiędze,
Groźny rólniczą kosą sąsiadów potędze;
Waleczny jak Scypio, jak Kuryusz skromny,
Dzielny w polu, zmiennémi losami niezłomny; [2]
Ona wydała męża, co w pogromu chwilę,
Sam jeden nieulękły stał na jéj mogile;
Przyszłe nadzieje ziomków, wzorem Eneasza,
Za nurty Tybru przeniósł na ostrzu pałasza;
A w przerwie dziejów Polski staczając bój krwawy,
Spiął je świetném ogniwem pogrobowéj sławy, [3]
Jak drzewo w miarę gruntów, z których ciągnie soki,
Lub więdnie, lub wierzchołkiem dąży pod obłoki;
Tak do skłonności ludów, żądz i obyczajów,
Wpływać musi koniecznie położenie krajów.
Ci rzuceni pod słońca promienie gorące,
Wzięli żywe dowcipy i uczucia wrzące;

1) Xiąże Józef Poniatowski poległ pod Lipskiem r. 1813. 2) Kościuszko, zob. wyżéj str. 52. 3) Henryk Dąbrowski † 1818.

Ci, nad którémi mgliste obłoki zawisły,
Łączą do serc oziębłych posępne umysły;
Tobie dały, Sarmato, te pola rozległe,
Obyczaje gościnne, dusze niepodległe,
I ten wstręt od niewoli, przez który od wieków
Przypominałeś światu i Rzymian i Greków.
Opiekuj się więc pługiem, z którego szczodroty
Płyną twoje dostatki, a krzewią się cnoty;
Pługiem, za którym jeszcze, niech się wyznać godzi,
Dawna wiara i skromność przodków tudzież chodzi.
Po tylu świetnych darach i ten nie omyli.
Będzie dla Polski August, znajdzie się Wirgili,
Co zanuci, a za nim powtórzą zagrody;
Bóg nam, Bóg Melibeju, zrządził te swobody. —

(Z poematu: Ziemiaństwo p. Koźmiana, Radzcę Stanu.)

18. SWOBODA WIEJSKIEGO ZACISZA.

Szczęśliwy, kto na łonie domowéj ustroni,
Przed krajowych się niezgód nawałnością chroni,
A lubéj zażywając w ukryciu swobody,
Kocha cnotę, nauki, pola i ogrody!
Tak niegdyś, kiedy ostrzem bratobójczéj stali,
Trzej mężowie o drżący Rzym się dobijali,
Wirgili, obcy wojnie, w czarującym rymie
Uczył echa powtarzać Amarylli imię;
Któżby zmiękczony głosu tak miłego wdziękiem,
Śmiał był jego spokojność mieszać broni szczękiem?
A gdy szaleństwy tylą ziemia zmordowana,
Odetchnęła pod rządem łaskawego Pana;
Jeśli go błagać przyszedł o zagony swoje,
Własność naddziadów, którą wydarły mu boje,
Wkrótce blasku i rzymskiéj unikając wrzawy,
Ten przyjaciel zacisza, cieniów i murawy,
Wrócił, gdzie śnieżny łabędź igra po wód łonie,
Deptać wówczas tak piękne swéj Mantuy błonie.
Tam w gajach odzyskanych wyrokiem Augusta.
Po swoich fletach wodził harmonijne usta,
A odżywiając miłość wieśniaczych słodyczy,
Dumnym Rzymianom śpiewał miły kunszt rólniczy.
Jam nie wziął, jak Wirgili, po naddziadach roli,
A co mam, i to bogów zostawuję woli;
Lecz jak on wpośród krwawych w ojczyznie zapasów,
Z miast burzliwych uciekam do milczących lasów,

I wywodząc na prostym flecie wiejskie tony,
Kunszt Ziemianom szczęśliwym śpiewam ulubiony.
(Z Ziemianina Delilla, tłum. Felińskiego. 1)

19. OPIS NATURY. (Z tegoż.)

Naturo! o wyniosła i wdzięczna bogini!
Jakżeś ty rozmaita! wzbudzasz swémi dziwy
Lub słodkie zachwycenie, lub strach świętobliwy.
To już pod naszém niebem świetna, młoda, świeża,
Gaje, ogrody, wzgórki, doliny, pobrzeża
Przebiegasz, i strząsając rosę z twojéj szaty,
Siejesz wonie, zieloność, owoce i kwiaty;
Rodzisz blask dnia pięknego czarownym uśmiechem,
Lekki powiew Zefiru twoim jest oddechem;
Przyjemny szelest gajów, szum wody pieszczony,
Są rozliczne wdzięcznego głosu twego tony.
To już w pustyniach władniesz, bóstwo groźne!
Góry twój niedostępny tron dźwigają mroźne,
Trącające się wierzchy starych sosn w obłoku
Wieńczą cię, bok ci ryją bałwany potoku;
Z oczu ci błyska, głosem twoim piorun grzmiący,
I ryk wściekłych wulkanów świat pożerający.
O! któż wyda twą piękność, co na każdą chwilę
Wystawia cuda nowe, bierze kształtów tyle!

1) Alojzy Feliński ur. r. 1771. w Łucku; w Dąbrowicy u XX. Pijarów kształcił się młody Feliński, i wnet talentem i pilnością pomiędzy swymi współuczniami celować zaczął. Znaczny postęp w naukach i niepospolita wymowa, przytém żywość umysłu i szlachetny sposób myślenia, wszędzie mu przychylność i szacunek jednały. Kończąc szkoły, utracił ojca. Z Dąbrowicy udał się do Włodzimierza. Ukończywszy szkoły, dogadzając żądaniom Tadeusza Czackiego, przybył do Warszawy, i wspólnie z nim pracował. Jednak Feliński mało czuł w sobie skłonności do tego rodzaju pracy. Smakując bardziéj w pięknéj literaturze, więcéj czasu poświęcał na ćwiczenie się w języku francuzkim i czytanie francuzkich poetów: Kornela, Boala, Rasyna, Woltera; a wchodzący w sławę Laharp i Delill, wnet ulubieńcami jego się stali. W czasie powstania napisał do Kościuszki wiersz, i udał się do obozu; atoli po upadku ojczyzny wrócił do wiejskiéj zagrody, gdzie zajął się przekładem Delilla na język ojczysty. Na usilne naleganie Adama Czartoryskiego, Kuratora Uniwersytetu wileńskiego, przyjął trudny urząd Rektora przy Liceum Krzemienieckiém w r. 1819. Wszystko pomyślną rokowało przyszłość, kiedy nagle 1820 r. z żalem uczniów swoich przeniósł się do wieczności. Pisma jego są: 1. Tłumaczenie poematu Delilla pod tyt.: Wieśniak (*l'homme de champ*). 2. Barbara Radziwiłłówna, tragedya oryginalna. 3. Wirginia, trag. tłumaczona z Włoskiego, Alfierego. 4. Radamist i Zenobia, z fran. Crebillona. Prócz tego rozprawa o pisowni.

Któż wyda wdzięk, wyniosłość, twych dzieł tak odmiennych,
Od gór bodzących niebo do otchłań bezdennych;
Od lasów, których pyszny wierzch w obłokach znika,
Do fijołka skromnego łąki miłośnika!

20. OPIS ETNY. (Z tegoż.)

Niosąca równie postrach i śmierć w okolice,
Etna ma swe powodzie, ognie, nawałnice.
Ciemne téj góry łono, ta otchłań straszliwa,
Czarne stósy żywicy i siarki ukrywa;
Zapala się i leje roztwartémi boki,
Na własny kwiat i owoc płomienia potoki.
Obrazto żądz burzliwych, które nieprzerwanie
Tleją zamknięte w serca ludzkiego wulkanie;
A których z téj przepaści płomień wybuchniony
Pożéra kwiaty życia naszego i plony.
Te opoki zwapniałe, ziemia przepalona,
Sąto okropnych niegdyś pożarów znamiona.
Tam grzmiał wulkan; ucichły ognie jego z laty;
Dziś Ceres kłos pozłaca, Flora sypie kwiaty.
Na tym boku się gładzi ta klęska pamiętna,
Lecz bok przeciwny nosi niestarte jéj piętna.
Tędy lawa długiémi płynęła potoki,
Tam już w rzekę zebranéj widać żłób głęboki,
Daléj cała na drobne strugi się rozprysła,
I z gór spadając, skrzepła nagle i zawisła.
Jakie rzeki ten pożar okropny wysuszył,
Jakie ludy pochłonął, jakie góry skruszył,
Znały to dawne wieki, nowe znać nie mogą,
Lecz jeszcze klęsk tych obraz przeraża je trwogą.

21. WALKA HERKULESA Z RZEKĄ ACHELOUS. (Z tegoż.)

Wydarłszy się Acheloj z ciasnego koryta,
W swe burzliwe odmęty zagarnywał trzody,
Złote żniwa po falach płowéj toczył wody,
Lasy, wsi, miasta, walił, porywał, wypleniał,
I krainy przelękłe w pustynie zamieniał.
Chcąc pohamować zapęd jego wyuzdany,
Alcyd przypada, w groźne rzuca się bałwany,
Silnémi je prze barki, wściekłość ich ukraca,
I tłocząc, wrzące wiry do łożyska zwraca.
Jeszcze warczy ze złości i w więzieniu rzeka;
Chce się mścić, postać węża na się przyobleka;
Syczy, wspina się, skręca, rozkręca się, wije,
I szerokiémi sploty brzeg piaszczysty bije,

Postrzega chytrość zdrajcy Alcyd niezwalczony,
Chwyta go, potężnémi krępuję ramiony,
Ciśnie, dusi, rozrywa, i wśród bojowiska
Węża konającego splot ostatni ciska,
Sam powstaje i rzecze mu w gniewu zapale:
„Tyżto śmiesz na Alcyda targać się zuchwale,
Który, dziecięciem w sławie prześcignąwszy męże,
Miał sobie za igraszkę zjadłe dusić węże?“
Zdumiała i zażarta po dwoistéj klęsce
Rzeka, z nową wściekłością wpada na zwycięzcę.
Jużto nie wąż pokorny, zwinny, podejść chcący,
Snadnych się wygięć pasmem po piasku snujący;
Ale byk dumny czołem dzikiém i szerokiém,
Łbem roztrąca powietrze, iskry sypie okiem,
Porze, rozrywa brzegi, zemstą rozsrożały:
Ryknął, a na głos jego niebiosa zadrżały;
Nowa wojna nie trwoży walecznego męża,
Pędzi, leci, napada, toczy bój, zwycięża,
Przywala swym ciężarem, przytłacza kolany,
Jego kark żyłowaty, gardziel zadyszany;
A dumny, że go pożył i odwrócił klęski,
Róg mu zdarty zatrzymał jako łup zwycięzki.
Wkrótce Nimfy tych brzegów i młodzi Sylwanie,
Którym ocalił skarby, wrócił panowanie,
Alcyda, co po bitwie spoczywał pod cieniem,
Laurowém wieńczą liściem, wdzięcznem wielbią pieniem;
A bogacąc szczęśliwy róg hojnością swoją,
Napełniają owocem i kwiatami stroją.

22. OPISANIE BITWY.

(Z Ossyana, tłum. Krasickiego.)

Już się zbliżają, jak gdy między góry
Dwie groźne razem uderzą się chmury,
Grom się podnosi, a gdy wzmaga jeszcze,
Pienią potoki, ulewy i deszcze;
Tak pełne chęci i wojny zapału,
Starły się wojska Loklinu, Jusfału;
Walczy wódz z wodzem, a rycerz z rycerzem,
Puklerz szczęk daje przyparty puklerzem,
Hartowne miecze błyskają i błyszczą,
Cięciwy brzęczą, lotne strzały świszczą
Kurzą się groty, krew rozlana kurzy,
A jako nocnéj błyskawica burzy,
Mnogie żelezca taką jasność dają,
Okropne wrzawy razem się mieszają!
Tak huczy morze, gdy zapienia piaski,
Tak głuszy piorun ostatniemi blaski.
Tysiąc bałwanów uderza o skałę,
Tak idzie wojsko Swarana wspaniałe.
Tysiąc bałwanów, skała się nie troi,
Tak mężna tłuszcza Jusfałczyków stoi.
Już śmierć zawyła wpośród broni szczęku,
A każdy rycerz miecz trzymając w ręku,
Jak czarny obłok, z którego grom pryska! —
Jęczą okropne bitwy stanowiska,
Huk się roznosi, wzmaga po przestrze-
A jak żelazo, co ogień czerwieni, (ni,
Stokroć tłuczone ogromnemi młoty,
Trzęsie się ziemia srogiemi łoskoty.

23. WYIMEK z listu opisującego podróż do Gdańska w r. 1803.

Podróż z Bydgoszczy do Gdańska była dla nas nieznośną. Trudno sobie wystawić kraj smutniejszy: porównany z Kujawami, zdawał się pustynią. Kto tych okolic świadom, niech powie, czy mój opis będzie przesadzony:

Trakt ciasny i pokrzywiony,
Puste przy drodze zagony,
Nędzne wioski i kościoły,
Tu góry, tu znowu doły:
Za brzydkim lasem las drugi,
Trzęsące mostki przez strugi.
W miałkim piasku powóz tonie,
Że go ledwie ciągną konie.
Lud niewdzięczny i łakomy,
Po kątach gościnne domy,
A w nich najmniejszéj wygody,
Ani chleba, ani wody.

Taki był uprzykrzony przeciąg mil dwunastu: za Stargardem dopiero, małém, ale nowo zbudowaném miasteczkiem, zmieniła się trochę nieprzyjemna postać. Obaczyliśmy przecie urodzajne niwy i weselsze okolice; mało jednak na nie daliśmy uwagi, wyglądając z utęsknieniem celu podróży naszéj. Ciekawość podwoiła niecierpliwe chęci, i wygładziła na moment z pamięci niesmaki podróży i trudy, jakicheśmy nie dawno doznali:

Nadzieja jechała z nami,
Krzepiąc zemdlone umysły;
Wtém nagle między górami
Wieże nam Gdańska zabłysły.

Co za pożądany widok! skryły się one i znowu pokazały, aż nareszcie zbliżyliśmy się do piérwszych okopów miasta. Dwa długie przedmieścia ciągną się z tego przyjazdu. Składa je wielka i piękna ulica. Z jednéj strony płynie z gór wydobyta rzeka Radaun, któréj brzeg wałem sypany i ciernistém drzewem jest obsadzony; z drugiéj stoją ozdobne domy z ogrodami. Przejechaliśmy potém zwodzone mosty i sklepione bramy. Gdańsk wyniosłym wałem, murami i fosą opasany, jest twierdzą warowną. Nie wchodzę w stan jego obrony, bo nie jestem wojskowości znawcą. Przykłady i ostatnie na początku zeszłego wieku oblężenie, pokazały, że może być wzięty: ale zastanawia uwagę, że kiedyś to jedyne i w skarby obfite miasto, sypało tak ogromne koszta, aby się od napaści zasłonić.

Gdańsk zasługuje na dokładny opis. Nie tykając dawniejszych czasów i czynów, ja prosto opiszę, co było warte widzenia, nawet porządkiem, jakiśmy sobie w zwiedzaniu tych ciekawości przepisali. Trzeba wyznać, że piérwszy rzut oka zrobił nam najpochlebniejsze o piękności miasta wyobrażenie. Brama wysoka (i tak téż nazwana), starożytną rzeźbą ozdobna, prowadzi na ulicę Długą, najcelniejszą w Gdańsku. Domy téj ulicy jedne dawną gotycką sztuką, drugie najnowszym gustem stawiane; wszystkie prawie mają z ciosowego kamienia przysionki i przezroczyste w oknach kryształy. Na długim rynku

stoi giełda kupiecka. Gmach wspaniały, zewnątrz w posągi rzymskie ubrany, a w środku, do publicznego przechodu otwartym, widać kolosalne wyobrażenie Augusta IIgo, piękne rzeźby i malowidła. Naprzeciw giełdy statua bronzowa Neptuna, a pod nią płynące fontanny:

Tak dla mieszkańców wygody,
Ow trójzęby bożek wody,
Przed którym morze truchleje,
Dobroczynny żywioł leje;
Ana dowód swéj opieki,
Posłuszne zgromadził rzeki,
Z których przemysł dla żeglugi
Ważne porobił usługi.

Jakoż za ulicą Długą Motława oblewa wkoło kupieckie spichrze, teto nieoszacowane skarbnice, te składy płodów naszéj ziemi, owoc pracy rólnika i źródło bogactw Gdańska. Ztąd się rozchodzą na wszystkie strony:

Po drogi skarb tego plonu
Płyną przez morskie bałwany,
Dumny wyspiarz Albionu
I niestały lud Sekwany.

Zboże nasze żywi tych, którzy nam za zbytkowe towary wydzierają ostatek pieniędzy. Ale ta smutna uwaga skutkiem jest tylko zastanowienia; nie mogła zapewne przyjść nam wtedy, gdy oczy nasze omamione nowém widowiskiem, nasycić się nie mogły. Liczne okręty, statki i galary okryły naówczas Motławę. Chcieliśmy je zaraz oglądać, ale nielitościwy mrok przerwał nam tę roskosz. Ledwie więc użyliśmy trochę spoczynku po drodze, gdy ciekawość sprowadziła nas nad kanały o świcie. Ludność handlowego miasta wtedy się najlepiéj wydaje. Co za osobliwszy obraz zamieszania:

Pełno krzyku, pełno wrzawy;
Każdy swéj pilnuje sprawy:
Tu drążnik ciężarem zgięty
Dźwiga zboże na okręty;
Tam znoszą z wody towary,
Ten patrzy wagi, ów miary;
Tu kłócąc się sypią łaszty,
Tam majtek naprawia maszty;
Tu z ciężkim wozem furmany
Roztrącają lud zebrany;
Różne głosy, różne twarze,
Różnych narodów żeglarze;
A każdy podług zwyczaju,
Gwarzy mową swego kraju.
Otoczeni flisów zgrają,
Rybaki wrzawy dodają, (mie
Tak, że w tym zgiełku, w tym tłu-
Człowiek się pojąć nie umie.

Przecisnąwszy się przez ciżbę idących wprawą i w lewą, najpierwéj odwiedziliśmy okręt blizko brzegu stojący. Kapitan przyjął nas grzecznie. Trzeba się dziwić nad jego wygodném mieszkaniem, nad mocną i zręczną budową okrętu, nad rozliczném przeplataniem lin masztowych, i tysiącem potrzeb do żeglugi; ale te drobne szczegóły choć oko bawią, czytającychby znudziły. My jak najprędzéj chcąc brzegi morza oglądać, szliśmy za przewodnikiem koło warsztatu okrętów, gdzie czynny rzemieślnik buduje te pływające domy; a ztamtąd płynąc przy

odgłosie muzyki przez Wisłę i rznięte od niéj ku morzu kanały, wysiedliśmy u Mindy, fortecy portowéj. Z wyniosłéj wieży téj fortecy piérwszy raz obaczyliśmy morze; pyszny ten widok był dopełnieniem wszystkich chęci naszych. Co za cuda przyrodzenia! nie wiedzieć, co było pierwéj oglądać! Nieprzejrzana przestrzeń wody, kołysanéj wiatrami, zdała nam się zrazu opasana lasem. Ciemna powierzchnia w oddaleniu może w ten błąd oko wprowadzić; lecz w momencie zniknęło omamienie, gdyśmy postrzegli zbliżające się ztamtąd okręty:

Jednych z rozpiętym żaglem szereg długi
Dążył szczęśliwie do końca żeglugi;
Drugie na morskie nie zważając fale,
Z portu ładowne płynęły wspaniale.

Tedy gmachy wodne zajmują kanały portowe, powiewając każdy banderą swojego narodu. Rybackie statki, chciwe połowu, krążą ustawnie nad brzegiem wokoło portu. Tysiące małych ich żaglów bielą się wśród mgły morskiéj:

Tu Wisła żyzne okrążywszy kraje,
Morzu hołd winny oddaje;
Jéj słodkiéj wody powierzchnia siwa,
Choć się w bałwanach morskich ukrywa,
Jeszcze zdziwione oko u brzega
Oddzielny w głębi nurt jéj spostrzega;
Właśnie jak gdyby dumne morza wały
Bratać się z rzeką nie chciały... etc. etc.

(Wyszkowski.)

ROZDZIAŁ TRZECI.

POEZYA DYDAKTYCZNA.

1. WIERSZYK MŁODEGO UCZNIA
przy rozpoczęciu roku szkolnego.

Już minęły chwile wolne, (ne;
Czas pospieszyć w mury szkol-
W przódy jednak Stwórco w niebie,
Pozwól, niech zacznę od Ciebie!
Wezwaniem Twego imienia
Niech zacznę me zatrudnienia;
Ty udzielaj szczeréj chęci,
Pojętności i pamięci.
Błogosław władze rządowe,
Co z ojcowskiém poświęceniem
Nadają nam życie nowe,
Przyzwoitém oświeceniem.
Błogosław Rodziców drogich!
Bym w nagrodę starań mnogich,
Przez mą usilność jedyną,
Stałsię ich szczęścia przyczyną.
Błogosław Nauczycieli,
Spraw, by z nas pociechę mieli;
A w nagrodę pracy plonnéj,
Czuciewdzięczności dozgonnéj.

Lecz Rodziców, Professorów | Ty jeden Władzco wszech tworów,
Któż nagrodzi dostatecznie? | Ty im więc błogosław wiecznie.

2. DO JANA.

Janie, mój drużba, | Szczęście się z tobą | Nieszczęściu i ty
Jeślić się służba | Obchodzi; sobą | Bądź niepożyty,
Dobrze nie płaci, | Nic nie tworz, ale | A trwaj statecznie,
Nie jużci traci | Trwaj rówien skale; | Bo nie już wiecznie
Cnota swe myto: | Któréj nie mogą | Fortuna służy,
Ale sowito (dzać | Największą trwogą | Komu podruży.
Bóg zwykł nagra- | Poruszyć wały, | Ani porzuci,
Temu, co zdradzać | Kiedy powstały | Kogo zasmuci.
Nie zwykł nikogo. | Na morzu wielkiém. | (J. Kochanowski.)
Przeto, choć srogo | Także we wszelkiém |

3. DO ZOFII O CZASIE.

Nie zawsze, piękna Zofia, | Zima bywszy, zejdzie snadnie;
Róża kwitnie i lilia; | Nam gdy śniegiem włos przypadnie,
Nie zawsze człek będzie młody, | Już wiosna, już lato minie,
Ani téj, co dziś, urody. | A ten z głowy mróz nie zginie.
(J. Kochanowski.)

4. DO GRZEGORZA.

I na lądzie i na morzu, | Zakręt domowy i rolny
Wszędzie bieda mój Grzegorzu: | Od sług, od sąsiad, od kmieci.
Młodość miłą zowią wiosną; | Starość zatem idzie sporzéj,
Żywość, wdzięki są w téj porze: | Trzeba innym być przykładem:
I przy kwiatach kolce rosną, | Więc w téj porze jeszcze gorzéj,
Trudno brykać przy dozorze. | Smutny honor zostać dziadem.
Więc wiek męzki szczęściu (zdolny, | I na lądzie i na morzu,
Ale żona, ale dzieci, | Wszędzie bieda mój Grzegorzu.
(Krasicki.)

5. ŻYCZENIE SOBIE.

Wabi chwała swémi blaski, | I roskoszą serce poję,
Łechcą serce czcze oklaski; | Żem pewinność spełnił moję.
Niech za niémi kto chce goni, | Gdy zaś skończę życia wątek,
Ja żyć wolę w méj ustroni. | Z kolosowych drwię pamiątek;
Nie chcę, aby moje sprawy | Nie chcę, aby mój pył lichy
Rozgłaszały trąby sławy, | Miał nad sobą cechę pychy:
A w nieścigłym czasu locie | Tylko tyle życzę sobie,
Hołd składano mojéj cnocie. | Niech krzyż zatkną na mym gro-
Dosyć, gdy mi głos sumienia | I osoby w życiu miłe (bie,
Wstydem twarzy niezrumienia, | Skropią łzami mą mogiłę.

6. FILOZOF.

Czy mam złoto, czy bez złota, | Poczciwego zdobi cnota,
Zawszem zdrowy i wesoły; | Ani mu wstyd, kiedy goły.

Gdy mi dobrze idą rzeczy,
Fortunie bardzo dziękuję;
Gdy mi swoich względów przeczy,
Wcale się tém nie turbuję.
Żeby mnie niewiem jak srogim
Ciosem fortuna ściskała,
Nie zrobi mnie tak ubogim,
By mi cnota nie została,
Nie wielkich mi skarbów trzeba,
Na moje drobne expensa,
Żyję bez białego chleba,
I bez kosztownego mięsa.
Nie mnie trzeba kosztu na to,
Żebym coś na świecie znaczył,
Ani się stroję bogato,
By mnie ktoś przywitać raczył,
Nie zabieram spółki z tymi,
Których przyjaźńma kosztować
Bo nie chcę pieniędzmi mémi
Przyjaciół sobie kupować.
Przyjaźń, co odbiega w nędzy,
Co się nie jedna z przymioty,
Co jest tylko dla pieniędzy,
Traci u mnie imię cnoty.
Tak więc żyjąc w własnym domu,
Mam się za dość bogatego,
Kiedym nie winien nikomu,
Kontent jestem z losu mego.

7. DO MĄDROŚCI. (Węgierski.)

Mądrości, matko cnoty! przyjaciółko człeka,
Wago świata i szczęście dwojakiego wieka!...
Nie ty, co mnie nauczasz, jak się kraje rządzą,
Które gwiazdy statkują, które gwiazdy błądzą;
Jak ziemia soki swémi ożywia rośliny,
Jak wieki dyamenty z podłéj robią gliny.
Nie ty, która mnie wiedziesz lochy podziemnémi,
Gdzie ogień, woda, walcząc z wiatry szalonémi,
Tłuką się i mieszają, że ziemia drzy cała,
I żywym ryczy ogniem niecierpliwa skała;
Ani ty, która mierzysz niezmierzoną ziemię,
Gdzie pusta, gdzie ją człecze zamieszkało plemię,
Gdzie się Kaukaz podnosi, albo gdzie Nil bieży,
To raczéj wiadomością nazwać przynależy;
Lecz ty mądrości, która w skromniejszéj postawie,
Lubisz zasiąść z nędzarzem na ubogiéj ławie;
Cieszysz go w jego smutku, że cnotę szanował;
On płakał, lecz cnotliwym, że był, nie żałował.
Ty, kiedy prześladuje człeka los pijany,
Uśpisz go niepamięcią i goisz mu rany.
Albo kiedy fałsz świata inszymi kołacze,
On śmieje się, gdzie płaczą; gdzie się śmieją, płacze.
Ty, co wielkość prawdziwą ludzkiego żywota
Nie imieniem, godnością, ani kupą złota,
Ale mierzysz cnotami! ten ci znakomity,
Kto serca poczciwego chlubi się zaszczyty.
Ty, co wady bliźniego chcesz, abym darował,
Wlewasz mi w duszę słodycz, gdym go poratował,

Co w sumieniu do życia wskazujesz mi drogę,
Każesz znać Boga, chociaż pojąć go nie mogę.
Mądrości, gdzie ty mieszkasz? czy chroniąc się wrzawy,
Ulubiłaś ustronia, gdzie swoje zabawy
Z tobą miewał Sokrates, gdy z inszémi dary
Dawałaś mu nauki i cnoty i wiary.
Czy ty lubisz niziny, czy mieszkasz na górze?
Gdybym ja zajść mógł kiedy na twoje podwórze;
Prosiłbym cię przed twoim nachylony progiem;
„Czy ty jesteś boginią, czy ty jesteś bogiem?
Zabłyśnij twym promieniem, bo w ciemności stoję;
Chciałbym iść twoim torem, lecz się nocy boję!...
Drogę mi pozalegał fałsz świata, wzgląd marny,
Nadzieja za pochlebstwo, za zdradę zysk czarny.
Prowadź mnie światłem twojém, bym nie zbłądził z drogi;
Jabym nie chciał iść tędy, gdzie się ten lud mnogi
Zbiega zewsząd, i z taką gorącością tłoczy,
Który tylko ma ręce, ale stracił oczy,
Wolałbym gdzie ścieżkami przejść nieubitemi,
Bym się jako nie zdybał z bogaczami temi,
U których całém mojém podziwieniem było,
Że ja jestem ubogi, a im się szczęściło;
Żebym mógł niedostatek cierpliwie ponosić,
I nie prosił, kto nie wart, ażeby go prosić;
Żebym swe namiętności wstrzymywał na wodzy,
Być przynajmniéj cnotliwym, kiedyśmy ubodzy.
Żebym w domu nie czekał losu, ażby przyszedł,
Ale przeciwko niemu za granice wyszedł;
I tam na polach łaski i nadziei onéj,
Czekał nieprzyjaciela nie niezatrwożony;
Mając cnotę w posiłku i świadkiem niebiosy,
Kosztem Boga samego walczył z złemi losy.
Żebym przy twoich nogach powieki zawierał,
I nigdy nie żałował, żem żył, lub umierał. (Karpiński.)

8. UMIARKOWANIE.

Widzisz ten potok, co z Karpatów spada,
I głazy toczy i dęby obala,
Wszystkiemu grozi powszechną zagłada,
Co chwila straszna powiększa się fala;
Wszyscy się chronią; on w jednéj godzinie
Nagle ucieka, opada i ginie.
Widzisz ów strumień, co powolnym biegiem
Lekko najtwardsze opoki przebija,
Żywiéj nad jego umajonym brzegiem

I drzewo rośnie i kwiat się rozwija;
On bez zapędu czyste tocząc wody,
Zajmuje wdziękiem życia i swobody.
Mąż doświadczony, w duszy nieugięty,
Płochéj próżności nie łudzi się blaskiem,
Odrzuca chlubę zmyślonéj ponęty,
Znikomym gminu pogardza oklaskiem;
A równie gardząc powabami dworu,
Nie znijdzie z drogi cnoty i honoru.
Niewinny w chęciach samę słodycz głosi,
Czystego światła rozsiewa zarody,
Miłością kraju serca ziomków wznosi,
Zaszczepia ducha porządku i zgody,
Krzepi ufnością i czeka nadzieją,
Aż pomyślniejsze nieba zajaśnieją.
Nie jak ów wulkan śniegami okryty,
Co niecąc ognie w utajoném łonie,
Nagle wybucha, górne wstrząsa szczyty,
Miota pożogą i płomieniem zionie:
A wrzącéj paszczy niczem nie wstrzymany,
Toczy po niwach ogniste bałwany.
Cóż kiedy ślepe zrodziły zapędy?
Widzisz skruszone towarzystw ogniwa,
Łzami oblane nierozsądku błędy,
Zgubione czystéj wytrwałości żniwa.
Oto silniejsze nad burzy wstrząśnienie,
Wolnym postępem działa przyrodzenie.
Na skrzydłach czasu lot unosząc śmiały,
Od gwiazd zachodu do lodów północy,
Duch niewidomy ogarnia świat cały;
Już, już po czarnéj obłąkania nocy
Oświata bystre rozesłała gońce,
Jaśnieją zorza, wkrótce zejdzie słońce. (K. Łaski.)

9. POPRAWA WARSZAWSKA.

Pełna niegdyś Warszawa zbytków i rozpusty,
Skromnie teraz zaczyna odprawiać zapusty;
Ustały już assamble, pikniki, baliki,
Zniknęły pełne złota bankierskie stoliki;
Tłumne dawniéj i jasne redutowe sale,
Już wcale są przestronne po tym karnawale.
Spociwszy się po tańcu, ziółka popijają,
Ostrzygi krwi nie psują, szampana nie znają;
Wszyscy są filozofi, każdy medytuje,
Każdy nad marnościami świata rozumuje.

I ten, co wczoraj szalał, co złoto rozsiewał,
Dzisiaj czyta Senekę; któżby się spodziewał!
Wszystko menaż oznacza, i mury i ściany,
Wszystko teraz statkuje, i sługi i Pany.
Reszta jeszcze świstaków sanczczkami dzwoni,
Roztrąca po ulicach; swoje głupstwo goni;
Lecz i tego nie długo, bo wszystko czas mierzy,
I tych albo pieniądze, lub sanna odbieży.
Ciesz się cały narodzie, że choć po niewczasie,
Nasza jednak Warszawa znacznie poprawia się.
Lecz długież to nadzieje? długie obietnice?
Oto póki nie przyjdzie złotko za pszenicę. (Węgierski. 1)

10. DO JÓZEFA.

Zacny Józefie, niechaj się nikt u mnie
Nie chlubi próżno, ni wynosi dumnie,
Że się urodził lub został Xiążęciem,
Hrabią, Baronem, lub Margrabi zię-
Że liczne włości i zamki posiada, (ciem
Które nań zlała krew, przemoc, lub
zdrada.
Że go wspaniałe obejmując gmachy,
Ściany marmurem, złotem tkane dachy
Cały się świeci natchniony gwiazdami,
Różnych kolorów powiązan wstęgami,
Pieczęcią, laską pyszny lub buławą,
Hagę i Lejdę swą napełnia sławą;
Wręku swém trzyma serce swego Pana;
Podchlebstwo przed nim zgina swe
kolana,
I podłym bluszczem uwieńczywszy
skronie, (nie,
Los wnim ubóstwia przez ofiarne wo-
Ślepego trafu właściwe to znaki,
Prawéj wielkości blask wcale nie taki.
Ten jest prawdziwie wielkim mężem
u mnie,
Kto samym sobą kierując rozumnie,
Chęci i żądze gdy jak człowiek czuje,
Nie one jemu, lecz on im panuje,
Marnym przepychu blaskiem gardzi
śmiało;
Nie wiele pragnie, przestaje na mało;
Ani co próżność uwielbia i ceni,
Zalety szuka wczczém świetle kamieni
Świetnym go honor nie razi widokiem,
Równym na nędzę w szczęściu patrzy
okiem.
Nikłego chwały nie ugania cienia,
Ani próżności zna w sobie nasienia.
Zdzierstwem i krzywdą bliźniego się
brzydzi,
Ratuje gdy go w nieszczęściu być widzi
Nie wie, co słuszność lub grzeczność
przedajna, (na
Ani co chytrość czasom tym zwyczaj-
Niższych hardémi nie depce oczyma,
Ani się w złotym powozie nadyma.
Pełnić powinność swéj chęci ma celem
Wie kogo, komu, mieć, być przy-
jacielem,
Dobro powszechne nad własne prze-
kłada, (zdrada;
Nie zna co chytrość, fałsz, interes,
Krajowi służy wiernie i z ochotą,
Woli być, niźli zwać się patryotą.
Z zasług się swoich wielkości nie
chlubi,
Ni ich ztąd liczy, że ojczyznę gubi.
Nauk i kunsztów zna i kocha wdzięki,
Cenić je umie hojnością swéj ręki.
Dobre i w innych szacuje przymioty,
Pozorność zawsze rozróżnia od cnoty;
Ani zazdrosny, ani zemsty chciwy,

1) Tomasz Kajetan Węgierski, Szambelan Króla pol., ur. na Podlasiu r. 1755. Posiadał on bystrość i zdolność nie pospolitą, ale razem niepohamowaną skłonność do Satyry. Przez swe uszczypliwe wierszyki i zbyt wolne myśli, które tylko młodym wiekiem autora poniekąd usprawiedliwione być mogą, zniechęcił sobie wiele osób, i był przymuszony kraj opuścić. Umarł w nędzy w Marsylii r. 1787. Poezye jego wydał Mostowski razem z pismami Szymanowskiego, z których najznaczniejsze jest poema żartobliwe pod tyt.: Organy, Pigmaleon, bajki, listy i wiersze rozmaite.

Ani obłudnie święty i gorliwy,
Pełen litości nędzę wyrozumie,
Hojnym gdy pora i ludzkim być umie.
Nie dumny w szczęściu, nie podły w potrzebie,
Zna świat i ludzi, a najpierwéj siebie.
Na srogość losów nie łaje, nie fuka,
W krajowéj burzy swych zysków nie szuka.
Nic go nie smuci, nie trwoży, nie łudzi,
Ani sam sobą, ani innych nudzi.
Kontent z téj, w jakiéj los go chciał mieć doli,
Dobrym być raczéj, niż szczęśliwym woli.
Takowych mężów o jakże zbyt mało!
Szczęśliwyś, jeźlić widzieć się ich dało! (Tenże.)

11. DO MARYAŃSKIEGO, KOWALA,
(Z okazyi darowanych przez niego dwóch wozów dla wojska Rzeczypospolitéj.

Nie z pod złotem błyszczących szczytów wydobyty,
Máryanie! w ubóstwie pracą znamienity,
Szukam ciebie z pochwałą, gdzie podłość nie bluźni,
Skromnéj cnocie świadectwo kładę w twojéj kuźni.
Mijam gmachy stolicy, gdzie ciosem pokryte
Stoją dumne przysienia pychą znamienite,
Co gniotąc swym ciężarem powierzchowność ziemi,
Słupami aż pod niebo pną się koryntskiemi.
Te cuda świata łzami ludzkości lepione,
Albo z łupów odartéj Ojczyzny stawione....
Nizka strzecho ubogich, a mieszkanie cnoty,
Gdzie się pot pracowitéj wylewa roboty,
Ciebie szukam uprzejmie, między twe ościenia
Przynoszę szczerych pochwał niepochlebne pienia.
Tu mnie przywiódł twój ogień do poziomej strzechy,
Ogień, co go szumiące rozdymają miechy,
Co w spokojnym zakącie z węglistego drzewa,
Krwawym żarem jak z paszczy na noc ciemną ziewa;
Tu kołat ciężkich młotów, pod którym stal twarda
Jęczy pryskając ogniem, i gdzie sztaba harda
Zgina się pod Cyklopów nachylona razy;
Tu męztwa i pracy prawdziwe obrazy;
Tu w złéj toni narodu brać trzeba naukę,
Jak wykształcać przez pracę twardą jaką sztukę.
Witam cię Maryanie, wulkanowe plemię,
Co dłonią silnéj ręki dźwigasz młotu brzemię;
Co w wojnie i w pokoju dla kraju przysługi
Kształcisz z kruszcu twardego oręże i pługi;
Ty uzbrajasz żołnierza dla kraju obrony,
I rólnik twoją pracą rznie w skiby zagony;
Żniwiarz od ciebie danym sierpem ścina kłosy,
Bujna trawa przez ciebie pada na przekosy;
Przez ciebie żyznem polem staje się las dziki,
Twoją ścięty siekierą, a dzielne motyki

Wgłąb ziemi skamieniałéj wciskając swe zęby,
Odwieczne wywracają i sosny i dęby.
Tyś pomocą, zaszczytem żelaznego wieku,
Pracowity w ubóstwie, cnotliwy człowieku!
Gdy się spłodziły w świecie nieufności twory,
Ty robisz drzwiom warowne rygle i zapory.
Gdy brat bratu na gardło następując szkodził,
I ostrym sięgał mieczem i dzidą nań godził;
Tyś ulegając złości w szalonym zapędzie,
Dał wprawdzie do zabójstwa tysiączne narzędzie;
Lecz żeby mniéj brat bratu albo nic nie szkodził,
Tyś obu tarczą, zbroją, szyszakiem przegrodził;
Twojéj rydlem roboty sypią się te wały,
Co od wieków spokojne miasta zasłaniały,
I ten, co je przez chciwość dla łupu zdobywał,
Przed pociskiem się w ziemi twym rydlem ukrywał;
A tak, co miał się pastwić nad bracią swojémi,
Igrał jak dziecię w piasku, tracąc siłę w ziemi.
Słowem, wszystko ty sprawiasz dla ludzkiéj wygody,
Ty wydrążasz kanały, ty kształcisz ogrody.
Tam, gdzie po tysiąc zbytków w zamorskiéj krainie.
Lub po nagłe potrzeby szybki okręt płynie,
Wszędzie twoich rąk praca ludziom towarzyszy,
Jednakże świat o tobie pochwały nie słyszy.
Skromny w twojém rzemiośle, w pracy dni swe płużysz,
I całemu twą ciężką pracą światu służysz.
Lecz nie tu koniec twojéj chwały, Maryanie!
Dziś, gdy nasza Ojczyzna w opłakanym stanie
Odzywa się do synów o pomoc i wsparcie,
Gdy wielu przy swych zbytkach obstając uparcie,
Syci wielkich dochodów, co z jéj łaski wzięli,
Przed ubogą swą matką skąpą dłoń ścisnęli;
Ty krwawym potem z dziećmi żywisz twe ubóstwo,
Co ci żadne przed laty nie dane starostwo,
Czuły człowiecze, warteś mitry i szkarłatu!
Tyś pośród twéj kuźnicy szczęku i kołatu
Usłyszał jęki biednéj Ojczyzny w potrzebie;
A choć o zarobionym ledwie żyjesz chlebie,
Skoroś w skarbie publicznym niedostatek zoczył,
Dwaś wozy z swojéj kuźni w nasz obóz zatoczył.
Jakże cię Maryanie mam godnie wysławić,
Gdzie ci posąg wśród sławy świątnicy postawić?
Tam cię wielcy nie przyjmą, bo ich ród wysoki
Sięga aż do Olimpu, wyżéj nad obłoki.

Te odwieczne imiona, których pełna gęba
Wydać z siebie nie może bez skruszenia zęba.
Tam Palomony, dawne swéj Ojczyzny syny,
Korwinowie, Dorspingi, wielkie Wandaliny,
Których świetne znamiona z heraldycznéj sztuki,
Orły, Centaury, Gryffy, Pogoń, Belki, Kruki....
Jakże cię tam poczciwy człowieku umieszczę,
Trzymającego w ręku wielki młot i kleszcze?
Lecz wdzięczność jest dla ciebie méj Ojczyzny długiem:
Stał Cyncynnat wśród Rzymu ze zbroją i pługiem.
Na uczczenie twéj cnoty w mieście okazałe,
Wszystkie kuźnie ogłoście to dzieło wspaniałe.
Nuż Cyklopy porwijcie centnarowe młoty,
Niech przez łoskot powszechny i ogromne grzmoty,
Przechodzi Maryana imię wśród stolice.
Wy polskie i litewskie zagrzmijcie kuźnice!
Jeżeli tym łoskotem, gdy będziecie kuli,
Niedolę swéj Ojczyzny uczują nieczuli;
Ukoją się Ojczyzny i troski i żale,
Gdy tacy w kraju będą rodzić się kowale.

(Trembecki, zob. Wybór bajek str. 118.)

12. PIJAŃSTWO (Satyra).

Zkądidziesz? — Ledwo chodzę. — Słabyś? — I jak jeszcze:
Wszak wiesz, że się ja nigdy zbytecznie nie pieszczę;
Ale mi zbyt dokucza ból głowy okrutny.
— Pewnieś wczoraj był wesół? — Dla tegoś dziś smutny.
— Przejdzie ból: powiedzże mi, proszę, jak to było?
Po smacznym mówią kąsku i wodę pić miło.
— Oj nie miło, mój bracie! bodaj z tém przysłowiem
Przepadł, co je wymyślił! jak było, opowiem.
Upiłem się onegdaj dla imienin żony,
Nie żal mi tego było: dzień ten obchodzony
Musiał być uroczyście. Dobrego sąsiada
Nie źle czasem podpoić. Jéjmość była rada,
Wina mieliśmy dosyć, a że dobre było,
Cieszyliśmy się pięknie, i nie źle się piło;
Trwała uczta do świtu. W południe się budzę,
Cięży głowa, jak ołów, krztuszę się i nudzę;
Jéjmość radzi herbatę, lecz to trunek mdlący.
Jakoś koło apteczki przeszedłem niechcący,
Anyżek mnie zaleciał; trochę nie zawadzi;
Napiłem się więc trochę, może mi poradzi.
Nudno przecię: ja znowu; już mi raźniéj było.
Wtém dwóch z uczty wczorajszéj kompanów przybyło;

Jakże nie poczęstować, gdy kto w dom przychodzi?
Jak częstować, a nie pić? i to się nie godzi.
Więc ja znowu do wódki: wypiłem niechcący
Omne trinum perfectum, bo trunek gorący
Dobry jest na żołądek. Jakoż w punkcie zdrowy,
Ustały i nudności, ustał i ból głowy.
Zdrów i wesół wychodzę z moimi kompany,
Wtém obiad zastaliśmy już przygotowany.
Siadamy. Chwali trzeźwość pan Jędrzéj, my za nim:
Bodajto wstrzemięźliwość! pijatykę ganim;
A tymczasem butelka nietykana stoi.
Pan Wojciech, co się bardzo niestrawności boi,
Po szynce, cośmy jedli, trochę wina radzi;
Kieliszek jeden, drugi zdrowiu nie zawadzi,
A zwłaszcza kiedy wino wytrawione, czyste.
Przystajem na takowe prawdy oczywiste.
Idą zatem dyskursa tonem statystycznym,
O miłości ojczyzny, o dobru publiczném,
O wspaniałych projektach, mężnym animuszu:
Kopiem góry dla srebra i złota w Olkuszu. [1]
Odbieramy Inflanty, i państwa Multańskie,
Liczymy owe summy Neapolitańskie, [2]
Reformujemy państwo, wojny nowe zwodzim,
Tych bijem wstępnym bojem, z tamtymi się godzim,
A butelka nieznacznie jakoś się wysusza.
Przyszła druga; a gdy nas żarliwość porusza,
Pełni pociech, że wszyscy przeciwnicy legli,
Trzeciéj, czwartéj i piątéj, aniśmy postrzegli.
Poszła szósta i siódma, za niémi dziesiąta.
Naówczas, gdy nas miłość ojczyzny zaprząta,
Pan Jędrzéj, przypomniawszy Żórawińskie klęski, [3]
Nuż w płacz nad królem Janem. — Król Jan był zwycięzki!
Krzyczy Wojciech: nie prawda! — a pan Jędrzéj płacze.
Ja, gdy ich chcę pogodzić, i rzeczy tłumaczę,
Pan Wojciech mi przymówił: Słyszysz Waść, mi rzecze.
— Jakto Waść! Nauczę cię rozumu, człowiecze.
On do mnie, ja do niego, rwiemy się zajadli,
Trzyma Jędrzéj; na wrzaski służący przypadli;
Nie wiem, jak tam skończyli zwadę naszę wielką,
Ale to wiem i czuję, żem wziął w łeb butelką.
Bodaj w piekło przepadło obrzydłe pijaństwo!

1) Miasto w Wojew. Krakowskiém; kopalnie cyny, srebra. 2) Które Bona pożyczyła królowi Neapol. 3) Pod Żórawnem, Sobieski, od Tatarów i Turków oblężony, znajdował się w wielkiém niebezpieczeństwie r. 1676; jednak Król, już z oręża znany, skłonił nieprzyjaciół do ugody.

Cóż w niém? tylko niezdrowie, zwady, grubijaństwo,
Oto profit: nudności i guzy i plastry.
— Dobrze mówisz, podłéjto zabawa chałastry;
Brzydzi się niém człek prawy, jako rzeczą sprosną:
Z niego zwady, obmowy nieprzystojne rosną;
Pamięć się przez nie traci, rozumu użycie,
Zdrowie się nadweręża i ukraca życie.
Patrz na człeka, którego ujęła moc trunku,
Człowiekiem jest z pozoru, lecz w zwierząt gatunku
Godzien się mieścić, kiedy rozsądek zaleje.
I w kontr-naturze postać bydlęcą przywdzieje.
Jeśli niebios zdarzenie wino ludziom dało,
Na to, aby użyciem swojém orzeźwiało;
Użycie darów bożych powinno być w mierze;
Zawstydza pijanice nierozumne zwierzę;
Potępiają bydlęta niewstrzymałość naszą,
Trunkiem według potrzeby gdy pragnienie gaszą,
Nie biorą nad potrzebę: człek, co niémi gardzi,
Gorzéj od nich gdy działa, podlejszy tym bardziéj.
Mniejsza guzy i plastry, to zapłata zbrodni:
Większéj kary, obelgi takowi są godni,
Co w dzikiém zaślepieniu występni i zdróżni,
Rozum, który człowieka od bydlęcia różni,
Śmią za lada przyczyną, potępiać lub tracić.
Jakiż zysk taką szkodę potrafi zapłacić?
Jaka korzyść tak wielką utratę nagrodzi?
Złato radość mój bracie! za którą żal chodzi.
Ci, co się na takowe nie udają zbytki,
Patrz, jakie z swéj trzeźwości odnoszą pożytki:
Zdrowie czerstwe, myśl u nich wesoła i wolna,
Moc i raźność niezwykła, i do pracy zdolna;
Majętność w dobrym stanie, gospodarstwo rządne,
Dostatek na wydatki potrzebne, rozsądne.
Te są wstrzemięźliwości zaszczyty, pobudki,
Te są — Bądź zdrów — Gdzie idziesz? — Napiję się wódki.

(Krasicki.)

13. GŁUPSTWO. (Satyra.)

Zaeny mój przyjacielu, nie wiem, czém się dzieje,
Że człek mędrkiem się czyni, im bardziéj szaleje:
Że lubo sam po stokroć godniejszym jest, aby
Klektał w szpitalu między swarliwémi baby;
Rad potrząsa sąsiadem, i żali się na to,
Że jeszcze z szalonymi nie siedzi za kratą.
Patrzno na tego mędrka, na ten łeb misterny,
Co opąchał kawiarnie Paryża i Berny.

Co głowę wymeblował modnémi nauki,
Umie robić pomadę, nastrzępiać peruki;
Zna się na wszystkich zgoła księgach, w jaką które,
Czy w cielęcą oprawne, czy w baranią skórę;
Dziwnémi się projekty czupryna mu jeży,
Marga jak z Babilońskiéj językami wieży;
Chociaż w owym niesfornéj gadaniny tłumie,
Gładko się wytłumaczyć i jednym nie umie;
I po to tylko jeździł pocztą za granicę,
Aby przywiózł do Polski modne rękawice.
Czyliż taki latawiec upornie nie trzyma,
Że kto nie był w Paryżu, ten rozumu nie ma?
Lub kto nie potrafi obcym szpaczkować językiem,
Siać mu grykę gdzieś na wsi, nie być politykiem.
Jakbyto na romansach i na bredniach lada,
Dzielna cnota zawisła i gruntowna rada. —
Owóż za nim i fircyk utrefiony cudnie,
Legać mu tylko w betach, nim minie południe;
Albo latać, czy błoto, czy kurz na ulicy,
Jeśli który nie mignie kornet z kamienicy;
Aby tam, bies wie jakie, mowy rozpościerał,
A słuchającym gęby tęskliwe rozdzierał.
A przecię tak bezwstydną dumą upojony,
Że choć mu się w mozgowni lęgą ślepowrony,
Choć ledwie trafi biedny sens z głowy wyłatać,
Choć mu kozom ogony, nie rymom zaplatać,
Choć mu wierzgać u fary na pniu między żaki,
Bierze pracownych piorek dzieła na przetaki.
I tonem prawodawczym swoje głupstwo zdobi,
Ganiąc w drugim, czego sam nie zna i nie zrobi. —
A ówże gryzipacierz, wilk w baraniéj skórze,
Co kościanémi gałki pobija na sznurze.
Już na wszystkich obrazach polizał pokosty,
Podziurawił łysiną cerkiewne pomosty;
Co się boi przestąpić krzyżyka ze słomy,
A on sam łgarz i pieniacz i zdzierca łakomy,
Niewdzięczny dobrodziejom, którzy go z barłogu
Dźwignąwszy, na honorów postawili progu.
Pyszna sowa na orlim gnieździe, pęcherz żywy,
Co mu chude wyrównał boki wiatr życzliwy;
Czylić się za świętego nie udaje człeka,
Że każdego oczerni, każdego oszczeka?
Że jakby go powszechnym kto zrobił cenzorem,
Na wszystkie stany płytkim targa się ozorem?

Na wszystkich przez skopcone patrzy okulary;
Tnie, czy mu pod kieł młody, czy się namknie stary;
A nabożną opończą kryjąc własne zbrodnie,
Ostrzy miecze na bliźnich, zażega pochodnie.
Jedném słowem, ktoby chciał opisać dokładnie
Wszystkich takowych mędrków; rychléj pewnie zgadnie,
Wiele ruchawy żydek na jeden miesiączek
Nakosztuje zębami u złota obrączek;
Wiele się do szpitala podrzutków przysporzy,
Wiele chorych niebiegły cyrulik umorzy.
Wiele z pańskiego boru chłop ukradnie drągów,
Wiele zdzierca ekonom nachwyta szelągów;
Wiele razy na koźle stangret naklnie pana,
Tłukąc się z nim po nocy od samego rana;
Wiele głodny literat nowin nawytrzęsa,
Nim się zjawi na stole tłusta sztuka mięsa;
Albo (bo któż to zgadnie, i kto to wyliczy?)
Wiele chłopców na kwartał bakalarz oćwiczy.
Lecz po co, jako wróbel na nici napięty,
Skaczę, odbiegłszy płocho rzeczy przedsięwziętéj?
Wybaczcie mi, co powiem, Greccy sapienci!
Że się i wam, jak drugim ludziom, we łbie kręci.
Wszyscy ludzie bez braku chorują na głowę;
Choć jeden wziął funt głupstwa, a drugi połowę.
Te są mém zdaniem mędrca prawdziwego znaki:
Kto jest mądrym, a nie chce mówić, że jest taki,
Który na swym nie zawsze polega rozsądku;
Bo się i najmędrszemu czasem urwie wątku;
Kto sam na się surowy, jeśli w czem wykracza,
A bliźniego omyłki łaskawie przebacza.
Kto ma oko na siebie, ani się zawiśnie,
Nawet z urzędu w obce postępki nie ciśnie;
Ale jeśli wyciąga potrzeba, upomni;
Pamiętając, że wszyscy ludzie są ułomni;
Lecz złośliwa natura do tego nas wiedzie,
Cudze piszem na głazie, a swoje na ledzie,
I pan i hajduk broi, pan i hajduk pije.
Pan i hajduk niewinnie człowieka pobije;
Równe obu występki, pana nikt nie sfuka,
A pachołcy przy kozie opiorą hajduka.
Każdy sobie pochlebia, każdy mądrym sobie,
Spytałem raz łakomcy: miły panie Jobie,
Jakiż to, proszę, sposób życia u Waszeci?
Nigdy się w domu jego kuchnia nie oświeci;
Trzemasz chatę przed gościem obwarował płoty!
Czy piątek, czy niedziela, na stole suchoty.
Chleb jadasz za pieczyste, rzodkiew za selery,
A pod pomostem dyszą krzyżowe talery,
Gdyby się każdy człowiek z tą naturą rodził,

Jużby dawno świat z torbą między dziady chodził.
Djabeł to po twéj śmierci pewnie powyciąga,
A zły synal na pogrzeb nie da i szeląga.
Milcz, odpowie mi, głupcze! niechaj z głodu więdnę,
Wolę prowadzić życie mądre i oszczędne.
U mnie wszystko w pieniędzach, a gdy patrzę na nie,
I za dobrą mi suknię i za obiad stanie.
Więc z takową od kilku odszedłszy odprawą,
Że ja sam, com to mówił, mam głowę dziurawą;
Będę łajał wzajemnie; a czytelnik baczny
Niech osądzi, jeżelim w zdaniu mém opaczny.
Głupi, kto się bez serca i bez sił junaczy;
Kto języka nie umie, a książki tłumaczy.
Kto dobiera nie podług stanu swego żony;
Bo albo sam gryźć musi, albo być gryziony.
Kto z kości zysku szuka, z kart fortunę kleci;
Bo co mu z wiatrem przyszło, to z wiatrem uleci.
Głupi, kto chce mieć kredyt przez same wykręty;
Komu buczno w czuprynie, chociaż zimno w pięty.
Głupi, kto z wydatkami przychodu nie mierzy;
Kto się lada czem trwoży, lada czemu wierzy.
Kto kupuje na kredyt; a podobno i ty
Kupcze, co gołyszowi dajesz na kredyty.
Głupi, kto się bez głowy w sprawy główne wtrąci;
Bo je miasto porady bardziéj jeszcze zmąci.
Kto się na kredytora swojego komosi,
Że go albo o procent, lub o summę prosi.
Kto formuje projekty tylko na papierze;
Kto nie kończy roboty, gdy ją przedsiębierze;
Kto ścisłą poufałość zabiera z nierównym,
Kto z księgi gospodarzem, ze szkoły wymownym.
Kto się nie tém, do czego urodził, rad bawi;
Kto wtenczas prawdę mówi, kiedy nie poprawi.
Kto na gminu prostego gadania uważa;
Kto się o lada słówko i żarcik uraża.
Kto... lecz mi już i karty do pisma nie staje;
A podobno z poboczy słyszę, że ktoś łaje.
Wybaczcie mi, panowie! jeśli daléj trochę
Uniosły mię do rymów chęci wiatropłoche.
Zwyczajna to poetom i muzykom wada:
Jeden czasem gra nadto, drugi nadto gada.

(Naruszewicz.)

14. MODA.

Córka zbytku i odmiany,
Potwór z kształtu swego znany,
Co mu dają imię mody,
Obiegłszy wszystkie narody,
Tak każdy stani wiek mami,
Że w jéj pęta idziem sami.
Tron, frak, ołtarz, zbroja, chata,
Zgrzebna, czy z jedwabiu szata,
Czy to wiek stary, czy młody,
Wszystko jest igrzyskiem mody
Najczęściéj się jednak mieści
W gotowalniach płci niewieściéj
Gdzie jak samowładna pani,
Co wczora dała, dziś gani;
I jakjéj przyjdzie chimera,
Takim się krojem ubiera:
Trefi włosy, rwie, ucina,
Sadzi, rozpuszcza, podpina,

Przyprawia bukle, szyniony,
Warkocze, pióra, balony,
Chustki, wstążki, szpilki, toki,
Wznosząc wgórę gmach wyso- [ki:
Dzisiaj krótko, jutro szata
Ogonem pokój zamiata;
Więcéj, jak powszechnie bywa,
Ziemię, niż ciało okrywa.
A tak co dzień coś kojarzy,
Ni do stanu, ni do twarzy.
Płeć, co się o kształt ubiega,
Tak dziwactwom jéj ulega,
Że choć czasem wdzięki szpeci,
Jednak za nią oślep leci.
Nie dość na tém, że odzienia
Jak chce dziwacznie odmienia,
Że stół, dom, meble, ogrody,
Mamy także z ustaw mody;
Ale często nawet bywa,
Że w zmysły i zdania wpływa.
Ktoś wziął szkiełka dla ślepoty:
Natychmiast moda z pustoty
Wzrok młodzieży odebrała,
I lornetki jéj rozdała.
Téj, że nocny strój do twarzy,
Nieraz się podobno zdarzy,
Że choć słabości nie czuje,
Na migrenę utyskuje;
Bo moda u kobiet zowie
Dobrym tonem słabe zdrowie.
Ztąd i lekarz u płci wzięty,
Modnie leczy pacyenty.
Ktoś najpierwszy między pany
Z cnoty i wziętości znany,
Chciał rozrywki i kąpieli;
Jak się chorzy dowiedzieli,
Zewsząd się biegli pić wodę,
A tak Bardyów[1] wszedł w modę.
Moda nami jak chce rządzi,
O nas i o rzeczach sądzi:
Choć źle, choć co niewygodnie,
Dobre tém samém, że modnie.

(Molski. 2)

B. FRASZKI.

1. NA KSIĘGI SWOJE.

Nie dbają moje papiery
O przeważne bohatéry:
Nic u nich Mars, chociaż srogi,
I Achilles prędko-nogi:
Ale śmiechy, ale żarty
Zwykły zbierać moje karty.
Pieśni, tańce i biesiady
Schadzają się do nich rady.
Statek tych czasów nie płaci,
Pracą człowiek próżno traci.

2. NA MATEMATYKA. (Kochanowski.)

Ziemię pomierzył i głębokie morze,
Wie, jako wstają i zachodzą zorze;
Wiatrom rozumie, praktykuje komu,
A sam nie widzi, co ma złego w domu.

3. KOŃ DAROWANY. (Tenże.)

Wiersz Walentego Bartoszewskiego z r. 1630.

Pospolicie Polacy i Litwa mawiają:
Darowanemu koniowi w zęby nie patrzają.
Choć chromy, chociaż ślepy, chociaż ciężko nosi,
Byle go darmo dano, nie jeden oń prosi.

---

1) Miasto w Węgrzech, wodami żelaznemi sławne.

2) Marcin Molski, Pułkownik polski, umarł w Warszawie 1822 r. Brodziński mówi o nim: „Molski zakończył długi szereg dawnych winszujących wierszopisów; pochlebiał osobom, żartował z obyczajów, a naród w cierpieniach czasowych pocieszał. Zebrane ulotne jego poezye, których rodzaj już zupełnie zaginął, będą miały swą cenę, jako wierny obraz stanu i obyczajów.“

4. WIERSZ D. D. DO FORTUNY.

O Bogini wszystko władna!
Tobie nie zdoła moc żadna.
Ty wiele możesz w pokoju,
A wszystko prawie masz w boju:
Ty na morzu, ty na ziemi
Władniesz sprawami ludzkiemi.
Ciebie naród wszystek żywy
Prosi, dobra będąc chciwy.
Każdy wysoko usiędzie,
Kiedy wola twoja będzie.
A gdy każesz i z wysoka
Spadnie w jednem mgnieniu oka.

5. KTO PAN?

Wiersz Jana Rybińskiego, w r. 1667 pisany.

To Pan, w kim dumy i zdrady
Nie masz, a serce bez wady;
Kto nieszczęściu w czas zabiega,
Śmierci strach go nie dolega.
Dość tam państwa, gdzie myśl stała,
A serce trwogą nie pała.
Będzieli to w tobie bracie?
Jesteś Pan, choć w kmiecéj szacie.

6. O KRUPIE, MAJĄCYM SPRAWĘ SĄDOWĄ Z KRZYŻAKAMI.

Król Jagiełło zbił Krzyżaki.
I Pan Krupa chciał być taki;
Próżno suszysz mózg nieboże,
Krupa jagłą być niemoże.

7. NA JANA III. SOBIESKIEGO.

(Wiersz Jacka Wolskiego, r. 1684 napisany.)

Któżto i Wiedeń obronił,
I Bisurmanów wygonił?
Jan to trzeci, nasz król, Pan,
W całym świecie z szabli znan.

8. LATO.

Przez Jana Macieja Winiarskiego, z 16go wieku.

Leci w murzyńskiéj szacie lato ogorzałe,
Zdziera kwiatki z ogrodów, pali ziela małe;
Ludzi wabi do chłodu, bydło pod cień żenie,
Zmniejsza rzeki, a słodkie wysusza strumienie.

9. CNOTA.

Szymona Szymonowicza.

Cnota się nie utai; niech w jakie chce cienie
Tuli się, przecie jasno świecą jéj promienie.
Wywrze człeka potrzeba, a co w kącie siedział,
Poda go sławie, i świat będzie o nim wiedział.

10. ORACZ DO SKOWRONKA.

Już śpiewasz skowroneczku, już też i ja orzę,
Obudwóch nas przy rannéj pracy widzi zorze;
Bóg pomóż skowroneczku, dodawaj nadzieje!
I dla ciebie ja razem i dla siebie sieję. Gawiński.

11. DO STRUMYKA.

Pomiędzy łąki, ogrody
Płyniesz roskoszny strumyku!
Spiesznie idą twoje wody,
Mruczysz sobie na kamyku:
Jak my żyjem, tak ty płyniesz,
I my przyjdziem, i ty zginiesz.

(Krasicki.)

12. MIŁOŚĆ OJCZYZNY.

Święta miłości kochanéj Ojczyzny!
Czują cię tylko umysły poczciwe,
Dla ciebie zjadłe smakują trucizny,
Dla ciebie więzy, pęta niezelżywe;
Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny,
Gnieździsz w umyśle roskoszy prawdziwe,
Byle cię tylko można wspomódz, wspierać,
Nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać. (Krasicki.)

13. SZANUJ KAŻDEGO.

Nie pogardzaj ubogimi,
Gdy jesteś bogaty;
Bo nie czynią nas wielkimi
Klejnoty i szaty.

Nie wydzieraj, co cudzego,
Szanuj wszystkie stany;
Poznaj w człeku brata swego,
A będziesz kochany.

14. NAGROBEK DZIECIĘCIU. (Bogusławski.)

Śpij spokojnie, lube dziecię!
Aniś ty świata użyło,
Ani za dane ci życie
Uśmiechem nas obdarzyło.

Tak po niedługiéj podróży
Strumyczek znika w dolinie;
Tak młodziuchny pączek róży
Jeszcze nie rozkwitł—już ginie.

15. KOLEJ. (Xaw. Godebski.)

Zakwitła różana wiosna,
Uśmiecha się niebo czyste...
Ach! jużci jesień żałosna
Kryje niebo w chmury mgliste...

I życie w ciągłéj kolei;
Czułość udręczeń jest matką,
Z smutków idziem do nadziei,
Z nadziei do szczęścia rzadko.

16. WIETRZYK. (Zaleski.)

Zaszumiał w krzewie,
Igra z trawkami,
Znowu na drzewie
Chwieje listkami;
Daléj w podróży
Kłosy potrąca,

Bawi u róży,
Strumyk zamąca;
Wnet wpadł do lasku,
Znów po dolinie
Przy ziemi płynie,
I kona w piasku. (Tenże.)

17. WIERSZYKI MORALNE.

Chronisz się pracy, a chcesz być bogatym,
Wierz mi braciszku, omylisz się na tém.

Długo pioruny Bóg trzyma w obłoku;
Wprzód grożąc chmurą i błyskaniem oku. (Wadowski.)

Dać a wymawiać, złe to obyczaje!
Kto tak ma czynić, lepiéj, że nie daje. (Potocki.)

Szczęśliwy, kto na téj ziemi
Wcześnie znalazł przyjaciela,

A złączon węzły ścisłémi,
Szczęście czuje i podziela.
(Jachowicz.)

Żwawo, żwawo do pracy, przyjaciele młodzi!
Goni chwila za chwilą, czas szybko uchodzi,
A kto wiernie dopełnia powinności swojéj,
Wesół czeka wieczora, śmierci się nie boi. (Jachowicz.)

W każdym stanie oset kole,
Lecz w każdym wzrastają róże.

Spuśćmy się na boską wolę,
I tak żyjmy, jak kto może.

Zawsze się lepiéj skromność w szczęściu wyda:
Nie gardź uboższym, bo i ten się przyda.

Do Stasia.

Kto nosi cnotę w piersiach, piękny rozum w głowie,
Kto grzeczny w towarzystwie, uprzejmy w rozmowie;
Ten czy w Peru, czy w Tunis, w Chinach, czy w Podlasiu,
Zawsze będzie kochanym — Nie prawdaż mój Stasiu?
(Jachowicz.)

18. FRASZKI ALOJZEGO ŻÓŁKOWSKIEGO. [1]

Nagrobki.

a) Pijakowi.

Łyknął,
Krzyknął,
Przewrócił oczyma,
Jużci go niema.

b) Literatowi.

Taka to bywa zapłata,
Nie jednego literata,
Po śmierci mu wszyscy kadzą,
A za życia jeść nie dadzą.

c) Dumnemu.

Sam sobą tylko zajęty,
Chodził za życia jak pęcherz nadęty,
A w tym pęcherzu zawsze coś szumiało;
Pękł wreście, wiatr wyleciał, i nic nie zostało.

d) Urzędnikowi.

Wielka była polityka,
Tego Pana urzędnika,
Nie dał zgorszenia nikomu,
Bo kradł zawsze pokryjomu.

e) Próżniakowi.

Przez całe życie chodziłem,
Całe życie jadłem, piłem;
Dość trudów, już się nie ruszę,
Bo sobie odpocząć muszę.

f) Przebąknienie.

Bajali dawniejsi Grecy,
Że Jowisz Atlasa prosił,
By wziął świat na swoje plecy,
I przez chwilę go unosił.
Atlas Jowisza wyręczył,
Dźwignął świat, ani się zmęczył.
Lecz ten hajduk, w zakład idę,
Musiałby nieraz krwią rzygać,
Gdyby mu kazano dźwigać
Teraźniejszą naszę biedę.
Upaść muszą i Atlasy,
Tak są teraz ciężkie czasy.

g) Rada dla Grzeszników.

Kto za grzechy nieskończone
Chce uniknąć piekieł gromu,
Niech tylko pojmie złą żonę,
A będzie miał piekło w domu.

1) Zobacz wyżéj str. 13.

19. EPIGRAMMATA I UCINKI RÓŻNYCH AUTORÓW.

a) O Lekarzu.

Co na mnie, to się żaden z mych chorych nie żalił;
Tak się w gronie kollegów pewien lekarz chwalił.
Prawda, odpowie drugi, któremu przymawiał,
Boś ich z żalami na świat tamten powyprawiał.

b) Na pysznego.

Nasz pan Alexy idzie wbrew prawom natury,
Ta mu nos w dół stworzyła, on zadarł do góry.

c) Nagrobek Juryście.

Pod tym głazem pochowany | Dziś swą biedny stracił ławę,
Niegdyś prawnik zawołany; | Bo ze śmiercią przegrał sprawę.

d) Na flaszkę po szampańskim winie.

Leżąc bokiem na stole z utrąconą szyją,
Chciałabyś buteleczko wzbudzić litość czyją?
Ale to, moje kochanie,
Próżne staranie!
Nikt się już teraz nad tobą nie wzruszy,
Bo jesteś ciałem bez duszy.

e) Do Worka.

Mój woreczku, | Ruszaj zatém w świat nieboże;
Kochaneczku, | A gdy trafisz w dom bogaty,
Jam jest dłużny, | Stań się pełny i pękaty.
A tyś próżny. | A z takim plonem, duszyczko
Już mnie twa łaska więcéj | kochana,
nie wspomoże, | Powracaj do twego Pana.

f) Sklep żelazny Żydowski.

Tutaj są różne towary,
Dwa rądelki dziurawe i kociołek stary.

g) Kram.

Tu są przednie fabrykaty — Smoła, miotły i łopaty.

h) Do Eleganta.

Lubię piękny krój sukni, ubiory galowe,
Byle stósownie do nich umeblować głowę.

20. SKNERA.

Sknera sług wypędziwszy swém sknerstwem bez miary,
Został się sam przy skrzyni — przy bramie pies stary;
Wierny, bo na łańcuchu; zażarty, bo głodny;
Był straszny dla hultajów, dla pana dogodny.
Lecz gdy pan zawsze pościł, jak i teraz pości,
A pies już nie dostawał ni chleba, ni kości,
Wychudł — nareszcie skonał jednego wieczora,

A w nim razem i sługa i straży podpora.
Wtedy to nasz pan kutwa tając śmierć brytana,
Właził wieczór do budy i szczekał do rana;
Lecz choć dobrze udawał brysia nieboszczyka,
Łotr jakiś z lepszym węchem do domu się wmyka;
A gdy sknera aż chrzypnie, tak wyje i szczeka,
Złodziéj z jego pieniędzmi szczęśliwie ucieka.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

POEZYA EPICZNA.

A. BALLADY.

1. POWRÓT TATY.

„Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem
Za miasto, pod słup, na wzgórek,
Tam przed cudownym klęknijcie obrazem,
Pobożnie zmówcie paciorek.
Tata nie wraca; ranki i wieczory
We łzach go czekam i trwodze,
Rozlały rzeki, pełne zwierza bory,
I pełno zbójców na drodze.“
Słysząc to dziatki, biegną wszystkie razem
Za miasto, pod słup, na wzgórek.
Tam przed cudownym klękają obrazem
I zaczynają paciórek.
Całują ziemię, potém w imię Ojca,
Syna i Ducha świętego,
Bądź pochwalona, przenajświętsza Trójca
Teraz i czasu wszelkiego.
Potém Ojcze nasz, i Zdrowaś i Wierzę,
Dziesięcioro i Koronki;
A kiedy całe zmówili pacierze,
Wyjmą książeczkę z kieszonki.
I Litanią do Najświętszéj matki
Starszy brat śpiewa; a z bratem
Najświętsza matko, przyśpiewują dziatki,
Zmiłuj się, zmiłuj nad Tatem!
Wtém słychać turkot, wozy jadą drogą,
I wóz znajomy na przedzie;
Skoczyły dzieci, i krzyczą jak mogą:
„Tata, ach Tata nasz jedzie!“
Obaczył kupiec, łzy radośne leje,
Z woza na ziemię wylata.
„Ha! jak się macie? co się u was dzieje?
Czyście tęskniły do Tata?
Mama czy zdrowa? ciotunia? domowi?
A ot rozynki w koszyku;“
Ten sobie mówi, a ten sobie mówi,
Pełno radości i krzyku.
Ruszajcie! kupiec na sługi zawoła,
Ja z dziećmi pójdę ku miastu.
Idzie . . . aż zbójcy obskoczą dokoła,
A zbójców było dwunastu.
Brody ich długie, kręcone wąsiska,
Wzrok dziki, suknia plugawa,
Noże za pasem, miecz u boku błyska,
W ręku ogromna buława.
Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły,
Tulą się pod płaszcz na łonie;
Truchleją sługi, struchlał pan wybladły,
Drżące ku zbójcom wzniósł dłonie.
„Ach bierzcie wozy, ach bierzcie dostatek,
Tylko puszczajcie nas zdrowo;
Nie róbcie małych sierotami dziatek,
I młodéj małżonki wdową.“
Nie słucha zgraja; ten już wóz wyprzęga;

Zabiera konie, a drugi
Pieniędzy krzyczy i buławą sięga,
Ów z mieczem wpada na sługi.
Wtém, stójcie, stójcie, krzyknie starszy zbójca,
I spędza bandę precz z drogi,
A wypuściwszy i dzieci i ojca,
Idźcie, rzekł, daléj bez trwogi.
Kupiec dziękuje, a zbójca odpowie:
„Nie dziękuj, wyznam ci szczerze,
Pierwszybym pałkę strzaskał na twéj głowie,
Gdyby nie dziatek pacierze.
Dziatki sprawiły, że uchodzisz cało,
Darzą cię życiem i zdrowiem;
Im więc podziękuj za to, co się stało,
A jak się stało, opowiem:
Zdawna już słysząc o przejeździe kupca,
I ja i moje kamraty,
Tutaj za miastem przy wzgórku, u słupca,
Zasiadaliśmy na czaty.
Dzisiaj nadchodzę, patrzę między chrósty,
Modlą się dziatki do Boga.
Słucham, z początku porwał mię śmiech pusty,
A potém litość i trwoga.
Słucham, ojczyste przyszły na myśl strony,
Buława upadła z ręki;
Ach ja mam żonę, i u mojéj żony
Jest synek taki maleńki.
Kupcze jedźwmiasto,ja do lasu muszę,
Wy dziatki na ten pagórek
Biegajcie sobie, i za moję duszę,
Zmówcie téż czasem paciórek.

(A. Mickiewicz.)

2. PANI TWARDOWSKA.

Jedzą, piją, lulki palą,
Tańce, hulanka, swawola;
Ledwie karczmy nie rozwalą,
Chacha! chichi! hejsa, hola!
Twardowskisiadł wkońcu stoła
Podparł się w boki jak basza;
Hulaj duszo! hulaj! woła;
Śmieszy, tumani, przestrasza.
Żołnierzowi, co grał zucha,
Wszystkich łaje i potrąca;
Świsnął szablą koło ucha,
Już z żołnierza masz zająca.
Na patrona z trybunału,
Comilczkiem wypróżniał rondel
Zadzwonił kieską pomału,
Z patrona . . . robi się kondel.
Szewcu w nos wyciął trzy szczutki,
Do łba przymknął trzy rureczki,
Cmoknął, cmok, i gdańskiéj wódki
Wytoczył ze łba pół beczki.
Wtém gdy wódkę pił z kielicha
Kielich zaświstał, zazgrzytał;
Patrzy na dno — co u licha?
Po coś tu kumie zawitał?
Djablik to był w wódce na dnie,
Istny potwór, sztuczka kusa;
Skłonił się gościom układnie,
Zdjął kapelusz i dał susa.
Z kielicha aż na podłogę
Pada, rośnie na dwa łokcie,
Nos jak haczyk, kurzą nogę,
I krogulcze ma paznokcie.
„A!Twardowski?witam bracie!“
To mówiąc, bieży obcesem;
Cóż to, czyliż mię nie znacie?
Jestem Mefistofelesem.
Wszak zemnąś na Łyséj górze
Robił o duszę zapisy;
Cyrograf na byczéj skórze
Podpisałeś ty, i biésy
Miały słuchać twego rymu;
Ty, jak dwa lata przebiegą,
Miałeś pojechać do Rzymu,
By cię tam porwać jak swego.
Już i siedem lat uciekło,
Cyrograf nadal nie służy;
Ty czarami dręcząc piekło,
Ani myślisz o podróży.
Ale zemsta choć leniwa,
Nagnała cię w nasze sieci;

Ta karczma Rzym się nazywa,
Kładę areszt na waszeci.“
Twardowski ku drzwiom się kwapił,
Na takie *dictum acerbum*,
Djabeł za kontusz ułapił,
„A gdzie jest *nobile verbum*?“
Co tu począć, kusa rada,
Przyjdzie już nałożyć głową.
Twardowski na koncept wpada,
I zadaje trudność nową.
Patrz na kontrakt Mefistofilu,
Tam warunki takie stoją:
Po latach tylu, a tylu,
Gdy przyjdziesz brać duszę mo- [ją,
Będę miał prawo trzy razy
Zaprządz ciebie do roboty,
A ty najtwardsze rozkazy
Musisz spełnić co do joty.
Patrz, oto jest karczmy godło,
Koń malowany na płótnie;
Ja chcę mu wskoczyć na siodło,
A koń niech z kopyta utnie.
Skręć mi przytém biczyk z piasku,
Żebym miał czém konia chło- stać,
I wymuruj gmach w tym lasku,
Bym miał gdzie na popas zostać
Gmach będzie zziarnek orzecha,
Wysoki pod szczyt Krępaku,
Z bród żydowskich ma być strzecha,
Pobita nasieniem z maku.
Patrz, oto na miarę ćwieczek
Cal gruby, długi trzy cale,
Wkażde z makowych ziareczek
Wbij mi takie trzy bratnale.
Mefistofil duchem skoczy,
Konia czyści, karmi, poi,
Potém bicz z piasku utoczy,
I już w gotowości stoi.
Twardowski dosiadł biegusa,
Próbuje podskoków, zwrotów,
Stępa, galopuje, płusa,
Patrzy, aż i gmach już gotów.
No, wygrałeś panie biesie!
Lecz drugarzecz nieskończona;
Trzeba skąpać się w téj misie,
A to jest woda święcona.
Djabeł kurczy się i krztusi,
Zimny pot na niego bije;
Lecz pan każe, sługa musi:
Skąpał się biedak pod szyję.
Wyleciał potém jak z procy,
Otrząsł się, dbrum! parsknął raźnie.
— Teraz jużeś w naszéj mocy,
Najgorętszam odbył łaźnię. —
— Jeszcze jedno, będzie kwita,
Zaraz pęknie moc czartowska;
Patrzaj, oto jest kobieta,
Moja żoneczka, Twardowska.
Ja na rok u Belzebuba
Przyjmę za ciebie mieszkanie;
Niech przez ten rok, moja luba,
Z tobą, jak z mężem zostanie
Przysiąż jéj miłość, szacunek,
I posłuszeństwo bez granic;
Złamiesz choć jeden warunek,
Już cała ugoda za nic.
Djabeł do niego pół ucha,
Pół oka zwrócił do samki;
Niby patrzy, niby słucha,
Tym czasem już blizko klamki,
Gdy mu Twardowski dokucza,
Od drzwi, od okien odpycha,
Czmychnąwszy dziurką od klucza,
Dotąd, jak czmycha, tak czmycha. (Tenże.)

3. ALPUHARA.

Już w gruzach leżą Maurów posady,
Naród ich dźwiga żelaza;
Bronią się jeszcze twierdze Grenady,
Ale w Grenadzie zaraza.

Broni się jeszcze z wież Alpuhary
Almanzor z garstką rycerzy:
Hiszpan pod miastem zatknął sztan-
Jutro do szturmu uderzy. (dary,
O wschodzie słońca ryknęły śpiże,
Rwą się okopy, mur wali;
Już z minaretów 1 błysnęły krzyże,
Hiszpanie zamku dostali.
Jeden Almanzor widząc swe roty
Zbite w upornéj obronie,
Przerznął się między szable i groty,
Uciekł i zmylił pogonie.
Hiszpan na świeżéj zamku ruinie,
Pomiędzy gruzy i trupy,
Zastawia ucztę, kąpie się w winie,
Rozdziela brańce i łupy.
Wtém straż odźwierna wodzom do-
Że rycerz z obcéj krainy, (nosi:
O posłuchanie corychléj prosi,
Ważne przywożąc nowiny,
Byłto Almanzor, Król Muzułmanów,
Rzucił bezpieczne ukrycie;
Sam się oddaje w ręce Hiszpanów,
I tylko błaga o życie.
„Hiszpanie!“ woła, „na waszym progu
Przychodzę czołem uderzyć;
Przychodzę służyć waszemu Bogu,
Waszym prorokom uwierzyć.
Niechaj rozgłosi sława przed światem,
Że Arab, że król zwalczony,
Swoich zwycięzców chce zostać bra-
tem,
Wazalem obcéj korony.“
Hiszpanie męztwo cenić umieją;
Gdy Almanzora poznali,
Wódz go uścisnął, inni koleją
Jak towarzysza witali.
Almanzor wszystkich wzajemnie wi-
Wodza najczuléj uścisnął; (tał,
Objął za szyję, za ręce chwytał,
Na ustach jego zawisnął.
A wtém osłabnął, padł na kolana,
Ale rękami drżącémi
Wiążąc swój zawój do nóg Hiszpana,
Ciągnął się za nim po ziemi.
Spojrzał do koła, wszystkich zadziwił;
Zbladłe, zsiniałe miał lice;
Śmiechem okropnym usta wykrzywił,
Krwią mu nabiegły źrenice.
Patrzcie! o giaury, 2 jam siny, blady;
Zgadniéjcie, czyjm ja posłem?
Jam was oszukał, wracam z Grenady,
Ja wam zarazę przyniosłem.
Pocałowaniem wszczepiłem w dusze
Jad, co was będzie pożerać,
Pójdźcie i patrzcie na me katusze,
Wy tak musicie umierać.“
Rzuca się, krzyczy, ściąga ramiona,
Chciałby uściśnieniem wieczném
Wszystkich Hiszpanów przykuć do
łona,
Śmieje się — śmiechem serdecznym.
Śmiał się — już skonał — jeszcze po-
wieki,
Jeszcze się usta nie zwarły:
I śmiech piekielny został na wieki
Do zimnych liców przymarły.
Hiszpanie trwożni z miasta uciekli,
Dżuma 3 za nimi w ślad biegła,
Z gór Alpuhary nim się wywlekli,
Reszta ich wojska poległa.

(Z poematu: Konrad Wallen-
rod, przez Mickiewicza.)

4. WESELE.

(Ballada z dawnych polskich czasów.)

Na zamku Kasztelana
Brzmi muzyka dobrana,
Hałas głuszy kapelę;
Puhar krąży wokoło,
Wszyscy bawią wesoło,
Prócz téj, czyje wesele.
I nie dziw — panna młoda,
Jak róża, jak jagoda;
Jak chwast w ziemie Pan młody,
Nizki, łysy, pękaty,
Lecz Starosta bogaty;
Ojciec kazał — więc gody.
Idzie taniec; na przedzie
Pan Starosta rej wiedzie;
Za nim Szlachta się wali.
Wtém „gość!“ krzyknął odźwierny,
I Towarzysz pancerny
Zbrojno wkroczył do sali.
Kasztelan gdy go zoczył,

1) Wysokie, okrągłe wieże na meczetach. 2) Giaur, imię zelżywe, które Turcy Chrześcianom dają. 3) powietrze zaraźliwe.

Zaraz ku drzwiom przyskoczył,
Pełen gniewu i trwogi:
„Mówiłem już Acanu,
Że ludziom jego stanu
Za wysokie me progi.“
— „Nie tak zbyt, jak się roi,
Gdym je mógł przejść we zbroi.“
Drwiąc mu rycerz odpowie.
„Każdy z nas na zagrodzie,
Równy jest Wojewodzie,
A cóż Kasztelanowi?“ —
Kasztelan w wściekłym gniewie,
Co ma począć, sam nie wie,
Na nic już nie pamięta.
„Hola! szlachta, panowie!
Kto się bratem mym zowie,
Za drzwi tego natręta!“
Wszyscy taniec rzucili,
Wszyscy szabel dobyli,
Słysząc gniewny głos pana.
Co ty? kto ty! zuchwały!
Gdy chcesz unieść łeb cały,
Precz z domu Kasztelana!“
Młodzian się nie ustrasza,
Dobył wzajem pałasza,
I wstrząsając nim dumnie:
„Przez Bóg żywy![1] w téj chwili
Po swój łeb się nachyli,
Kto krok postąpi ku mnie.
„Ale nie chcę uczt krwawić,
Nie długo mam tu bawić;
Chciałbym tylko, Panowie!
Pannie młodéj winszować,
Taniec z nią przetańcować,
I wypić za jéj zdrowie.
Na tożem w krwawych bojach,
W ciągłych trudach i znojach,
Kraj piersiami zasłaniał;
By mnie lada Kasztelan,
Waszém wsparciem ośmielan,
Jak psa z domu wyganiał?“ —
— Dobrze mówi! zuch! brawo!
Zostań z nami, masz prawo!
Do stu djabłów, magnaci!
Kto chce doznać, jak nasze
Wyostrzone pałasze,
Niech łeb wzniesie nad braci.
Brawo! brawo! pójdź z nami,
Zaprowadzim cię sami,
Winszuj! jeśli jest czego.
Wypijemy jéj zdrowie,
Potém bracia, Panowie,
Daléj nieskończonego.[2]
I wnet krzycząc zuchwale,
Wiodą hurmem przez salę,
Do Kasztelanki prosto.
Zbladły drżące matrony,
Sam Kasztelan strwożony,
Skrył się na bok z Starostą.
Kasztelanka struchlała,
Gdy rycerza ujrzała,
Zapłonęła i zbladła.
Chciała witać, lecz siły
Nagle ją opuściły,
Na ręce jego padła.
„Wody, wody, lawendy!“
Krzyk się rozległ wnet wszędy.
Lecz się pomoc spóźniła.
Rycerz, gdy nikt nie słucha,
Szepnął jéj coś do ucha,
Kasztelanka ożyła.
„Teraz bracia, Panowie,
Szczerych kochanków zdrowie!
— Vivant! pijmy koleją.“ —
„Kto ich dzieli dla złota,
Niech mu niém za żywota
Czarci gardło zaleją!“
— Brawo, powiedział, brawo!
Każdy kochać ma prawo.
Wiwat śmiałość żołnierska!
Serce sercem się płaci,
Nikt nie wyższy nad braci.
Wiwat równość braterska! —

1) Dawny polski wykrzyknik. 2) Nieskończonym zwał się taniec, w którym mężczyzni lub damy zostawszy z kolei na środku, pary sobie dobierali.

Hej muzyko! polskiego!
Daléj nieskończonego. —
Idzie taniec po sali;
Młody rycerz na przedzie
Z Kasztelanką rej wiedzie,
Za nim szlachta się wali.
Stanął — koło młodzieńca
Tancerka się okręca,
Dłoń w dłoni, oko w oku.
Wszyscy się okręcali,
Zamieszanie na sali,
Nic nie widać w natłoku.
Znowu taniec spokojny,
Lecz gdzież tancerz on zbrojny?
Próżno okiem go śledzą.
To figura niezwykła!
Piérwsza para gdzieś znikła,
Lecz gdzie i jak niewiedzą.
Wtém dziedziniec zamkowy,
Zabrzmiał brzękiem podkowy.
„Pancerny porwał młodą!
Hej! do koni, do broni!
Kto ich piérwszy dogoni,
Co chce, weźmie nagrodą.“
Rzekł Kasztelan, i prosto
Z zadyszanym Starostą
Zbiegł na dwór — już na koniu.
„Niech mych skarbów nieszczędzi,
Kto ich pierwszy dopędzi!“ —
I puścił się po błoniu.
„Gdzie tam, próżna mozoła!“
Ktoś ze szlachty zawoła,
Muszą lecieć jak z procy.
Wreście trzeba waryata,
Za złoto gubić brata,
Lub kark łamać po nocy.
— Dobrze mówisz, Wojciechu!
Zawołali śród śmiechu;
Krzywdą się nie zbogacim.
Przebawmy tu noc całą,
Wypijmy co zostało,
A tak nic w tém nie stracim.
Jak rzekli, tak zrobili.
A gdy wszystko wypili,
Do domu pojechali.
Starostę koń gdzieś zrzucił,
Kasztelan sam powrócił
I już nie wiem, co daléj.

(An. Edw. Odyniec.)

B. WYIMKI Z POEMATÓW WIĘKSZYCH.

a) Z Myszeidy Krasickiego.

1. OPISANIE WOJSKA MYSZY I BITWA.

Muzo! coś niegdy Homera budziła.
Kiedy w przewlekłych bajkach swoich drzymał:
Jeżelić sztuka rymotwórców miła,
Którą się grecki wierszopis nadymał,
Gdy śpiewał, szczury, żaby, tyś przybyła!
On plaus zdziwionych słuchaczów otrzymał.
Niech się ja w jego towarzystwie mieszczę,
Daj myślom żywość, natchniéj duchy wieszcze.
Na lewém skrzydle wojska zagraniczne,
Myszy i szczurów w dobrym szyku stoją.
Lśnią się rynsztunki w rodzajach rozliczne;
Każdy ozdobny wspaniałością swoją.
Brzegów Sekwany wymuskane, śliczne,
Nie tylko kotów, i lwów się nie boją.

Nim hasło bitwy wodzowie dać raczą,
One tymczasem pląsają i skaczą.
Dunajskie szczury harde i ponure,
W porządnym szyku stanęły jak wryte.
Z nad Tybru trwożne, gdy chodzi o skórę,
Jednakże w zdradne podejścia obfite.
Zadnieprskie, twardą co mają naturę,
Od Elby srogim bojem znamienite;
Tamizy dzikie i sławne w rozpustę,
Szwajcarskie wierne, opasłe i tłuste.
Nie tak mnogością straszny, jak wyborem,
Mruczysław swoje animuje koty.
Wzywa do sławy, i punktu honorem
Wzbudza poddanych do wojennéj cnoty.
Gryzomir wzajem tymże idąc torem,
Swym wojownikom dodaje ochoty.
Z obu stron skoro dane tylko hasło,
Kocie i mysze wojsko razem wrzasło.
Miauczących kotów przeraźliwa wrzawa,
Szczurów odważnych pisk słychać ochoczy.
Pobojowisko okrywa kurzawa,
Gęstym tumanem wojowników mroczy;
Wzmaga się coraz bitwa straszna, krwawa,
A potokami krwi ziemia się broczy:
Zamiast kunsztownéj stali armatury,
Broń stron obudwóch, zęby i pazury.
Rominogrobis, szwagier Mruczysława,
Wódz pierwszéj straży mężnych wojowników,
Przykładem swoim ochoty dodawa;
Zagryzł rotmistrza i dwóch pułkowników;
Wszystko się jego pazurom poddawa,
I rocie, którą rządzi, dzikich żbików;
Chociaż go mnóstwo myszy zewsząd ściska,
Pełne już trupów są pobojowiska.
Gryzosław, młodszy brat monarchów myszy,
Co prawém skrzydłem wojska zawiadował,
Przez adjutanta gdy o tém usłyszy,
Co hetman dzikich kotów dokazował;
Natychmiast szybkim krokiem idzie w ciszy,
Aby kompanów w przygodzie ratował;
Bierze tył żbikom, dograwszy ostatki,
Straszne zaczyna z onych czynić jatki.
Miaukas, waleczny rotmistrz zagryziony,
Tuż koło niego Dusimyszek leży;

Nie wskórał Filuś, kotek wypieszczony,
Z pstrocentkowanéj udatny odzieży;
Ani Myszogryz połowem wsławiony.
Bez wodzów reszta niedobitków bieży.
Zwycięzca coraz gdy żwawiéj naciera,
Wszystko ucieka, nic się nie opiera.
Usłyszał swoich głosy przeraźliwe,
Rominogrobis nagle zadziwiony;
Kiedy zaś hufce zobaczył pierzchliwe,
Nową natychmiast złością rozjuszony,
Ku tamtéj stronie pazury straszliwe
Zwraca, a świeżym łupem rozłakniony,
Tym większą jeszcze zajadłość wywiera;
Szarpie w kawalce, na sztuki rozdziera.
Po stósach trupów z obustron pobitych,
Spieszą ku sobie wielcy adwersarze;
Mniejszy szczur, przecięż w dziełach znamienitych
Godzien z walecznym kotem by był w parze;
Nowy laur przydać do innych obfitych
Kot myśli, szczura gdy zuchwałość skarze;
Pierzchają z pułków rycerze zmięszani,
Sami na placu zostali hetmani.
Jeden drugiego bystrém okiem mierzy,
Widzi kot szczura niezmiernéj postaci.
Wprzód się do zwykłych udaje pacierzy;
Szczur mniéj nabożny nic serca nie traci.
Wtém tak go nagle z impetem uderzy,
Iż ledwo życiem walki nie przypłaci;
Kot zagłuszony ciosem, ledwo łizie,
Szczur go tymczasem jak gryzie tak gryzie.
Bólem nieznośnym zbyt srodze przejęty,
Chce go przygarnąć, lecz chyżo odskoczył.
Przypadnie z boku, urwał mu pół pięty;
Kot z miejsca umknął, i trochę wyboczył.
Leci szczur obces, lecz znagła ujęty
Pazurmi za kark, tak aż się zamroczył.
Gdy się raz jeszcze miotać żwawie kusił,
Kot go za szyję porwał i udusił.
Bez wodza wojsko zostawszy, ucieka;
Lecz kocia trzoda gonić go nie zdoła.
Widzi rozsypkę Gryzomir zdaleka;
Postać się niegdyś odmienia wesoła.
A czując, że go los okropny czeka,
Gdy nadaremnie łaje, prosi, woła,

Przynajmniéj żeby szli za jego śladem,
Sam do ucieczki najpierwszym przykładem.
Dzielnażto przecię rzecz, monarchów czyny!
Skoro Król uciekł, wszyscy za nim w nogi,
Każdy do swojéj pośpiesza krainy,
A mniema, że tuż nieprzyjaciel srogi:
Krajowe wojska i cudze drużyny,
Każdy unosząc życie, wiatronogi,
Szczęśliwi przecię, że im pora nocna
Do téj podróży zdatna i pomocna.

2. OPIS LICHWIARZA.

Od lat czterdziestu lichwiarz zakamiały,
Zdarłszy dziedzica, w tym folwarku gościł.
Zdradnémi matactw wsparty foliały,
Na cudzą pracę prawo sobie rościł.
A bardziéj głodem, niż laty znędzniały,
W Boga nie wierzył, a w niedzielę pościł.
Bez cnoty, serca i punktu honoru,
Strażnikiem tylko był swojego zbioru.
Szczodre w obfitych darach przyrodzenie,
Na jego dobro próżno się siliło.
Żałował wody, gdy gasił pragnienie,
Słońca nie lubił, że darmo świeciło.
Pasły się w gumnach szczury nieskończenie,
A zboże w stertach butwiało i gniło.
Tam orszak myszy gdy coraz się mnożył,
Czekając wsparcia obozem rozłożył.

b) Z Monachomachii Krasickiego.

1. NIEZGODA WZNIECA ZAZDROŚĆ W KLASZTORZE SYNOW DOMINIKA.

Już były przeszły owe sławne wojny,
Którym się niegdyś świat zdumiały dziwił.
Już seraficzny[1] zakon był spokojny,
Już Karmelowi[2] nikt się nie przeciwił.
Już kaznodziejski wzrok mniéj bogobojny[3]
Oka na kaptur śpiczasty[4] nie krzywił;
Dawnych niechęci mgłę rozniosły wiatry,
Szczęśliwe nawet były Bonifratry.
Ta, która nasze padoły przebiega,
I samém tylko nieszczęściem się pasie;
Jędza niezgody, co Parysa zbiega,
Znalazła niegdyś na górnym Idasie;

1) Franciszkani. 2) Karmelici. 3) Dominikani. 4) Na Kapucynów.

Słodki raj Mnichów gdy w locie postrzega,
Jęknęła w złości i zatrzymała się;
Widząc fortunny los spokojnych mężów,
Świsnęła żądły najeżonych wężów.
Wstrzęsła pochodnie, natychmiast siarczyste
Iskry na dachy i wieże wypadły;
Wskróś przebijają gmachy rozłożyste,
Już się w zakąty najciaśniejsze wkradły;
A gdzie milczenie bywało wieczyste,
Wszczyna się rozruch i odgłos zajadły.
Rażą umysły jędze rozjuszone,
Budzą się Mnichy letargiem uśpione.
Wtenczas nie mogąc znieść tego rozruchu,
Ojciec Hilary obudzić się raczył.
Wtenczas xiądz Przeor, porwawszy się z puchu,
Piérwszy raz w życiu jutrzenkę zobaczył.
Klął Ojciec Doktor czułość swego słuchu,
Wstał, i widokiem swym ojców uraczył;
I co się rzadko w zgromadzeniu zdarza,
Pędem niezwykłym wpadł do refektarza.
Na taki widok zbiegłe braci trzody,
Pod rzędem kuflów garcowych uklękły;
Biegli ojcowie za mistrzem w zawody.
Ten strachem zdjęty i srodze przelękły,
Wprzód otarł z potu mięsiste jagody,
Siadł, ławy pod nim dubeltowe jękły.
Siadł, strząsnął mycką, kaptura poprawił,
I tak wspaniałe wyroki objawił:
„Bracia najmilsi! ach! cóż się to dzieje?
„Cóż to za rozruch u nas niesłychany?
„Czy do piwnicy wkradli się złodzieje?
„Czy wyschły kufle, gąsiory i dzbany?
„Mówcie!... cóżkolwiek bądź, srodze boleję;
„Trzeba wam pokój wrócić pożądany...“
Wtém się zakrztusił, jęknął, łzami zalał,
Przeor tymczasem pełny kubek nalał.
Już się zdobywał na perorę nową
Doktor, gdy postrzegł likwor przezroczysty.
Wódka to była, co ją zwą kminkową,
Przy niéj toruński piernik pozłocisty.
Sucharki massą oblane cukrową,
Dar Przeoryszy niegdyś uroczysty.
Zachęca Przeor w urzędzie chwalebny;
„Racz się posilić, Ojcze Przewielebny.“

O rzadki darze przedziwnéj wymowy!
Któż ci się oprzeć, któż sprzeciwić zdoła?
Tak łagodnémi zniewolony słowy,
Wziął Doktor kubek w pocie swego czoła,
Łyknął dla zdrowia posiłek gotowy;
Lecz, żeby jeszcze myśl przyszła wesoła,
W świętym orszaku, w gronie miłych dzieci,
Raczył się napić raz, drugi i trzeci.

2. PORÓWNANIE ZABURZENIA MIĘDZY MNICHAMI Z POTOKIEM.

Tak, gdy z wierzchołka Alpów niebotycznych
Mały się strumyk sącząc wydobędzie;
Wzmaga się coraz w spadaniach rozlicznych,
Już brzeg podrywa, już go słychać wszędzie;
Echo szum mnoży w skałach okolicznych:
Staje się rzeką; a w gwałtownym pędzie
Pieni się, huczy, zżyma w bałwany;
Tym sroższy w biegu, im dłużéj wstrzymany.
Wojna powszechna.....

3. PORÓWNANIE X. GAUDENTEGO Z HERKULESEM.

Jak syn Alkmeny, gdy na wielkie sprawy,
Walki z olbrzymy i smoki wychodził,
Pałając chęcią wiekopomnéj sławy,
Nadzieją bitwy żądze zjadłe chłodził;
Zdobycz Nemejską, zysk sławnéj wyprawy,
Przywdziewał, gdy na nieśmiertelność godził;
Tak i Gaudenty w téj walnéj potrzebie,
Porwał za kaptur, i wdział go na siebie.
Ani on wiedział, co drukiem podano,
Pożyteczniejsze bawiły go dzieła:
Gdy już wieść doszła, co wydrukowano,
Ani go wtenczas ciekawość ujęła;
Przeczytał wreście, co o nim pisano;
Lecz się myśl mściwa w serce nie zawzięła,
Ani się rozśmiał, ani się zasmucił,
Lecz dwakroć ziewnął i pismo porzucił.
Tak orzeł górnym wybujały lotem,
Ledwo poglądać na niziny raczy;
A piorunowym nieprzelękły grzmotem,
Kiedy ptaszęta pod sobą obaczy,
Skrzydeł wspaniałych straszy je łoskotem;
I gdy w ostatniéj dostrzeże rozpaczy,

Rzuca plon podły, a lotnémi pióry
Po nad obłoki wzbija się i chmury.

4. MOWY MNICHÓW. (Z Antimonachomachii.)

Jak za powstaniem miłego wietrzyka,
Wrozległéj puszczy liść wdzięcznie szeleści;
Coraz się echo szerzy i pomyka,
Coraz słuch szeptem roskosznym się pieści;
Tak w gromadnego liczbie zakonnika
Krzyk Gaudentego hasłem dobrych wieści.
Nieukojone mający urazy,
Wzmogli się Rafał, Marek i Gerwazy.

Trzy to filary swego zgromadzenia,
Trzy to pociechy braci rozrzewnionych;
Piérwszy z nich zwykłe dawszy pozdrowienia,
W słowach dobranych, zwięzłych i uczonych,
Od gór Libańskich wziął assumpt mówienia;
Spuścił się potém, a wszystkich zdziwionych,
I duchownego i świeckiego stanu,
Ciągle prowadził do rzeki Jordanu.

Dopieróż ztamtąd jak się wzbił do góry,
Jak zaczął latać, z oczu wszystkich zniknął;
Głos tylko słychać, wzrok widać ponury,
Gest groźny, jakim zadziwiać przywyknął;
Wtém kiedy wspomniał Helikońskie córy,
Wskróś poruszony wiceregent krzyknął:
„To mi to mówca, co się aż człek zlęknie,
Kiedy to raz wraz i górno i pięknie.“

Szła dalsza koléj; a ojce wielebne,
Raźnéj młodzieży otoczone gronem,
Zdobywały się na rady potrzebne,
Każdy za swoim obstawał zakonem;
Pełzły, niknęły zamachy haniebne.
Wtém seraficznym akcentem i tonem,
Okryty laurem kaznodziejskiéj pracy,
Podniósł grzmotliwy głos Ojciec Pankracy.

„A pókiż,“ krzyknął, „barbarzyniec w błędzie,
„Zoil przebrzydły, co się na nas miota,
„A pókiż szarpać naszę sławę będzie?
„I bluźnić zdrajca subtelnego Szkota?
„A pókiż w równym szeregu i rzędzie
„Z nim stawać będą ci, których robota
„Do tego zmierza ustawnie, koniecznie,
„Aby nas zgnębić i osławić wiecznie.

„A pókiż?...“ nadto rozpoczął był żwawie;
Przeto go kompan strwożony mniéj bacznie,
Chcąc ciągnąć za płaszcz, głasnął po rękawie;
I chociaż mniemał, że było nieznacznie,
Tak zmięszał mówcę, iż oniemiał prawie.
Chce mówić, ale słowa szły opacznie;
Więc, co tak żwawo już miał się ku wojnie,
Skrył głowę w kaptur i usiadł spokojnie.

Zamilkli wszyscy; wtém z miejsca się ruszył
Doktor, i zaczął namieniać o zgodzie;
Próżno namieniał, przytomnych obruszył,
Nawet tych, którzy byli na odwodzie.
Wrzask zjadłéj tłuszczy mówiącego zgłuszył;
Więc upewniony o pewnéj przeszkodzie,
Umilkł; natychmiast żwawe wojowniki
Coraz groźniejsze wznawiały okrzyki.

Jak wichry, nagle kiedy wypadają,
Spienione wody i mącą i burzą,
Próżno się trwożne majtki wysilają,
Razem z okrętem w dnie morskiém się nurzą;
Powstaje Neptun, wiatry ucichają,
Spokojne wody, nieba się nie chmurzą;
Tak Proboszcz skoro pięścią w stół uderzył,
Ucichła wrzawa, i krzyk się uśmierzył.

c) *Z Wojny Chocimskiéj.* (Tegoż.)

1. POTĘGA PAŃSTWA TURECKIEGO; DUMA OSMANA, WOJSKO JEGO, MOWA WODZA POLSKIEGO.

Już się był mieczem zwycięzkim zbyt wsławił
Naród, na zemstę od Boga zesłany;
Już w krwi niewinnéj od wieków się pławił;
Jednak w zapędzie nieuhamowany,
Nie syt, że tyle dzieł okrutnych sprawił;
Dumny potęgą i sławą zagrzany
Groził i reszcie, a srogim bułatem
Chciał przelęknionym zawiadować światem.

Na państwa Greków wspaniałych ruinach,
Tron swój postawił Bisurman zuchwały,
Rozciągnął władzę po wielu krainach,
Mnogie królestwa jemu hołdowały;
Miasta i grody zagrzebał w perzynach,
Na hasło jego narody zadrżały;
Zadrżały państwa trwożnémi odgłosy,
Kiedy się wzmaga na śmiertelne ciosy

Miasta Pańskiego padły świetne mury,
Córki Syonu jęczały od wieka;
Gmachy wybornéj upadły struktury,
A które wielbił przychodzień zdaleka,
Opustoszałe miejsca świętéj góry,
I grób, co chował Boga i Człowieka,
I gdzie zbawienia dzieło rozpoczęte,
Sprosny pohaniec deptał miejsca święte.
Osman waleczny nad niémi panował;
Osman, co państwa granic rozprzestrzenił;
W ślady ubite ojców swych wstępował,
I do dzieł wielkich nigdy się nie lenił;
Żeby ich jednak lepiéj naśladował,
Pragnął, ażeby wiernych wykorzenił.
Bezbożny! mniemał, że to ludzka siła
Zniesie, co boska ręka uczyniła.....
Któż objąć zdoła mnogość zjadłéj dziczy?
Snują się coraz tłumy niezliczone.
Patrzy monarcha na lud hołdowniczy,
Patrzy z weselem na pułki skupione.
Już mnogie państwa mniema mieć w zdobyczy,
Pasł tym widokiem żądze rozjuszone;
A dumny mocą swego majestatu,
Wzniósł się nad człeka i pogroził światu.....
Jak groźny obłok, co ulewę nosi,
A pełen grzmotu i straszliwéj tuczy,
Coraz się srożéj wzmaga i podnosi,
Coraz okropniéj błyśnie i zahuczy;
Tak mnogość tłumów niewiernych się głosi,
Niezliczonémi wrzaski echo mruczy,
Drżą okolice pod niezmierną zgrają,
Gęsto tumany zewsząd się wzbijają.
Osiada tuman; natychmiast orszaki
Wojsk niezliczonych oglądać się dały;
Święte chorągwie, proporce i znaki,
Pola, niziny, góry przykrywały.
Lśnią się zdaleka zbroje i szyszaki,
Blask się obija zewsząd okazały.
Góry, pagórki, i pola i puszcze,
Pokryły okiem nieprzejrzane tłuszcze.
Państw wielorakich narody zebrane,
Odmienne życiem, mową, obyczajem,
W jednę się mnogość zeszły zawołane,
W jednę potęgę wpoiły się wzajem.

Wpewnéj nadziei kładł Osman wygrane,
Już się nad polskim pastwił dumny krajem.
Stał widok wielki tylu mocarstw wspólnych,
Widok straszliwy, ale nie dla wolnych.
Wolności! któréj dobra nie docieka
Gmin jarzma zwykły, nikczemny i podły,
Cecho dusz wielkich! ozdobo człowieka!
Strumieniu, cnoty zaszczycony źródły!
Tyś tarczą twoich Polaków od wieka,
Z ciebie się pasmem szczęścia nasze wiodły.
Większaś nad przemoc; a kto ciebie godny,
Pokruszył jarzmo, albo padł swobodny.
Nie mnóstwem dumne, ani blaskiem świetne,
Stanęły w szykach prawowierne roty,
O własne życie bynajmniéj nie skrzętne,
Hasłem ojczyzny wzmożone i cnoty;
Stanęły wojska na dzieła pamiętne,
Pełne walecznéj do boju ochoty.
Wódz widząc na śmierć, lub tryumf gotowe,
Taką natychmiast miał do nich przemowę:
„Tu pole, bracia, oddać, cośmy winni
„Bogu, ojczyźnie i potomkom naszym;
„Tu plac, gdzie światu całemu uczynni,
„Obrońcy wiary, w męztwie teraz waszym
„Całość narodów; niech się trwożą inni,
„Niechaj drżą podli, my się nie zastraszym;
„Okażmy światu przez chwalebne blizny,
„Co może miłość wiary i ojczyzny.
„Gdzie cnota każe, nie trzeba słów wiela;
„Nie mówić, bracia, lecz działać przystoi.
„Idźmy z ochotą na nieprzyjaciela;
„Kto w Bogu ufa, śmierci się nie boi.
„Ojczyzno! któréj wzgląd syny ośmiela,
„Poznasz, odrodni jesteśmy, czy twoi.
„Kto Polak, za mną!“ rzekł; a w mgnieniu oka
Padł na niewiernych, jak piorun z obłoka.
Co impet zdziałał wówczas zapalczywy,
Któreż to pióro określi wyrazem?
Świst strzał, blask mieczów, nastąpił straszliwy;
Wrzaski okropne powstały zarazem,
Powyprężane jęknęły cięciwy,
Stal szczęka płytkiém ujęta żelazem.
Zjadłość niewiernych dodaje ochoty,
Cnota i honor wzmaga Polskie roty.

Sparły się wojska zapalczywe zbliska,
Mimo różnicę mnogości niezmierną;
Nie jeden oszczep zdruzgotany pryska,
A krwią się ziemia rumieni niewierną;
Niezwyciężonym wódz orężem błyska,
Wzmaga przykładem rzeszę prawowierną.
Uchodzi z pola Bisurmańska dzicza,
Na wstęp rażący męztwa Chodkiewicza.

2. MOWA UMIERAJĄCEGO CHODKIEWICZA.

Płaczliwe rzesze otaczają łoże,
W którém obrońca ojczyzny spoczywał.
Widzi płaczących i jeszcze się wzmoże,
Rzucił blask płomień, który dogorywał;
„Wielbmy," rzekł, „wielbmy miłosierdzie boże,
Ziścił Pan wiernym to, co obiecywał.
Niechaj się dumni mocy jego boją,
Zgnębił mocarstwa świętą ręką swoją.

Nie płaczcie! radość niech w sercach przebywa!
Miła ojczyzna, kiedy ocalała;
Jeszcze na wiernych jéj synach nie zbywa;
Was, jeśli wzrusza jéj godność i sława,
Znajdzie obrońców i będzie szczęśliwa.
A gdy cios taki dzielnie wytrzymała,
Znać, że Zastępów Pan, który ją broni,
Wyrwie i potém choć z najgłębszéj toni.

Miéjcie w pamięci, żeście prawowierni.
I święte boże zachowujcie prawa:
Bądźcie monarchom waszym zawsze wierni,
I pamiętajcie, że ich Bóg nadawa.
Bracia! jesteście możni, czy mizerni,
Chowajcie równość, jak każe ustawa.
Ojczyzno!" — zamilkł, a gdzie cnota wiodła,
Tam duch odpoczął wśród istności źródła.

Tak cedr, co w niebo wzniósł wierzch okazały,
I cieniem swoim doliny zasłaniał;
Próżno nań groźne wiatry powstawały,
Trwał, młode drzewka, krzewiny ochraniał.
Doznał nakoniec, iż nie wieczno trwały;
I gdy się chwiejąc ku upadku skłaniał,
Padł, wstrząsł się Hermon, a Libanu skały
Odgłosem spadku jego zajęczały.

d) Z Iliady Homera.

1. POCZĄTEK BITEW MIĘDZY GREKAMI I TROJANY.

(Z księgi IV.)

Jak gdy ogromną paszczą morze wiatr ozionie,
Pędzą wały ku brzegom poruszone tonie;
Najpierwéj się na głębi zbierają bałwany,
Wnet ziemię hukliwémi szturmują tarany;
I wzdąwszy się, nad góry wznoszą się skaliste,
Daleko wybuchając słoności pieniste;
Tak skupione do boju greckie wojsko spieszy,
Każdy z osobna swojéj wódz przodkuje rzeszy;
A najgłębsze milczenie w tylu mężów tłumie,
Sądziłbyś, że tak liczny lud mówić nie umie.
Tém szanują milczeniem przewodniki swoje,
Naokoło blask świetne rozstrzelają zbroje!
Aże słowa niesłychać od tylu rycerzy,
Zda się, że sam dzid idzie las i mur puklerzy.
Z jakim się owce w stajni odzywają bekiem,
Gdy z wymion ich naczynia napełniają mlekiem,
A mać na głos jagnięcia swego odpowiada;
Z takim się wrzaskiem Trojan porusza gromada;
Niesfornémi powietrze rozlega się krzyki,
Różne ludy, różnémi wołają języki.
Ta Marsa, ta Minerwę ma za sobą strona;
Wszędzie bojaźń, ucieczka, niezgoda szalona,
Co nigdy krwi niesyta; na nię zawsze dyszy;
Sroga siostra srogiemu bratu towarzyszy;
Mała ona w początkach, wnet w górę się wzbije,
Nogami depce ziemię, głowę w niebie kryje.
Ta zajadłą nienawiść w serca ludu wlewa,
I przechodząc przez roty, do mordów zagrzewa.
A skoro się na Marsa polu wojska znidą,
Wnet się z puklerzem puklerz, dzida miesza z dzidą,
Siła walczy na siłę, tarcza trze się z tarczą,
Zgiełk się szerzy, pociski na powietrzu warczą;
Krzyczą zwycięzcy, smutnie wyją zwyciężeni,
Ziemia płynie od krwawych rozmiękła strumieni.
Jak z krynic wychodzące dwa bystre potoki
Spadają po urwiskach wyniosłéj opoki;
Szum straszny się rozlega po całéj krainie,
Nim nurty w przepaścistéj połączą dolinie,
A pasterz zdala słucha, co znaczy ta flaga;
Tak, gdy ci z sobą walczą, strach i krzyk się wzmaga.

Antyloch Echepola, który stał na czele,
Jednego z piérwszych mężów silną dzidą ściele:
Trafia w szyszak, na którym pyszna pływa kita;
Skaleczone pociskiem czoło, kość przebita.
Zaraz noc wieczna w oczach bohatéra siada,
I zwalony jak wieża na ziemię upada.
Elefenor, co wodzą Abantów się szczycił,
Upadłego rycerza za nogi uchwycił,
I z pośród strzał unosił, aby odarł zbroję;
Lecz niedługo przypłacił życiem śmiałość swoję;
Bo gdy postrzegł Agenor, że wódz przechylony,
Ciągnąc trupa, odsłonił bok na obie strony;
Zaraz mu ostrą dzidą ciężką ranę za dał.
Upadł syn Chalkodona i życie postradał.
Przy nim srożą się Greków i Trojan oręże.
Walczą z sobą jak wilczy stron przeciwnych męże.
(Tłum. Fr. Dmóchowskiego. 1)

2. POŻEGNANIE HEKTORA Z ANDROMACHĄ. (Z tegoż.)

Patrząc Hektor na syna, uśmiechnął się skrycie,
Andromacha zaś przed nim łzy lejąc obficie,
Bierze za ręce męża i tak mówić pocznie:
„Mężu! męztwo cię twoje zgubi nieodwłocznie;
Nie masz żadnéj litości nad dziecięcia głową,
Ni nademną nędznicą, wkrótce twoją wdową.
Na jednego Achiwi wszystkie złączą siły,
I odbiorą ci życie. Ach! mój mężu miły,
Jeśli cię mam postradać, obym legła w grobie!

---

1) Franciszek Dmóchowski urodził się na Podlasiu: w 16. już roku wszedł do zgromadzenia Pijarskiego, w którém obowiązki Nauczyciela z chlubą sprawował. Przez Kołłątaja użyty do spraw publicznych, po rozwiązaniu władz rządowych przymuszony opuścić własną ojczyznę, bawił kilka lat za granicą; aż dopiero za wstawieniem Krasickiego, Arcybiskupa gnieź., w r. 1800 pozwolenie do powrotu na łono swych przyjaciół otrzymał. Mianowany Sekretarzem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, gorliwie te obowiązki pełnił. W tymto czasie do swobody familijnego pożycia wzdychając, zawarł związki małżeńskie z Izabellą Mikorską: odtąd jedynie dla nauk żyjąc. † 1808 r.

Najważniejszém jego dziełem jest tłumaczenie 1) Iliady Homera, w Warsz. 1800. 3 tomy, późniéj 1804 r. wydane. — 2) Sąd ostateczny, poema Edwarda Junga, nadto piérwsza Noc Junga i ułomki z Raju utraconego Miltona. Warsz. 1803 r. — 3) Tłumaczenie Eneidy 9 ksiąg, wydane przez Osińskiego r. 1809. — 4) Sztuka rytmotwórcza, w Warsz. 1788. 5) Mowy i inne pomniejsze pisma. Nadto od r. 1801 —1803 wydawał Pamiętnik warszawski, w którym wiele jego prac się znajduje, tak oryginalnych, jak tłumaczonych.

Nie masz dla mnie nadziei żadnéj już po tobie:
Smutki mnie gnębić będą aż do dni ostatka,
Zginął ojciec, kochana zginęła mi matka....
„Kochana Andromacho, czuję żale twoje,
Leczby Trojan i Trojek głosy mnie przebodły,
Gdybym się zdala boju chronił, jak mąż podły.
Nie, nie może się serce moje upośledzać,
Chcę najżwawsze Trojany do boju uprzedzać,
Moję i ojca chwałę utrzymać przykładnie.
Wiem ja, iż przyjdzie ten czas, kiedy Troja padnie,
Kiedy wielki, wielkiego ludu król polęże,
A z nim zginą Trojańscy straszni dzidą męże.
Ale nie tak się lękam Trojańskiéj zaguby,
Nie tak ojca Pryama i matki Hekuby,
Ani kochanych braci; choć nieprzyjaciele
Rycerskich dusz na placu położą tak wiele;
Jako nad twoim stanem serce mi się krwawi,
Gdy cię weźmie wódz Grecki, wolności pozbawi.
Pod groźną panią nędzne będziesz życie wiodła,
Z Messei nosić wodę lub z Hypery źródła.
Tak twardy zgotowany los dla królów córy!
Wtenczas widząc płaczącą, rzecze z Greków który:
Oto żona Hektora, co niegdyś pod Troją
Piérwsze męże przechodził walecznością swoją!
Czém obudzi ból w sercu i męża żądanie,
Któryby cię w tak smutnym poratował stanie.
Lecz wprzód niech padnę trupem, niż ujrzę twe płacze,
Niż twe jęki usłyszę, lub więzy obaczę.“
Rzekł i wyciąga ręce do swojego syna,
Krzycząc na mamki łonie, tuli się dziecina,
Ojca się kochanego przeląkłszy widoku.
Tak miedź błyszcząca straszna niemowlęcia oku,
I pióra, co się wznoszą na wierzchu przyłbice:
Uśmiechnęli się z próżnéj bojaźni rodzice.
Zaraz Hektor zdiął szyszak, co mu syna trwożył,
I błyszczące pokrycie na ziemi położył.
A dawszy słodkie dziecku swemu całowanie,
I kołysząc go z lekka, bogów prosi za nie:
„Jowiszu i bogowie, niech przy waszym względzie
Syn mój między Trojany, jak ja, sławnym będzie!
Niechaj z odwagą berło dziadowskie dziedziczy.
Gdy wróci z boju, pełen zwycięzkiéj zdobyczy,
Niechaj kto wówczas powie: on ojca przechodzi;
Niech się tém słowem matce uradować godzi.“

3. PROŚBA PRYAMA DO ACHILLESA O WYDANIE CIAŁA HEKTORA.

(Z księgi 24. tegoż.)

Pomnij na ojca twego, boski Achillesie,
W równym on zemną wieku, w ostatnich lat kresie:
Może niesprawiedliwi cisną go sąsiedzi,
Niema, ktoby złe odparł, pod którém się biedzi.
Jednak słysząc, że żyjesz, wolny od rozpaczy,
Krzepi się tą nadzieją, że ciebie obaczy,
Gdy z Troi do ojczystéj powrócisz krainy.
Lecz ja najnieszczęśliwszy, miałem dzielne syny,
Z których podobno żaden żywy nie zostaje.
Pięćdziesiąt ich liczyłem, nim przyszły Danaje.
Większą liczbę Mars krwawy w polu poobalał,
Ostatni, co ich bronił, i miasto ocalał,
Hektor, zginął od ciebie, walcząc za ojczyznę.
Po niego tu przychodzę, uczcij mą siwiznę;
Masz okup wielkiéj ceny, masz drogie ofiary;
Szanuj bogi Achillu, nie gardź mémi dary.
Przypomnij ojca, obu nas ciężar lat gniecie.
Możeż być kto odemnie nędzniejszy na świecie?
Jam usta.., tegom wreszcie nieszczęśliwy dożył,
Na ręce synów moich zabójcy położył.“
Rzekł; na wspomnienie ojca rycerz czuło wzdycha,
Więc zwolna rękę starca od siebie odpycha.
Ten Hektora wspomniawszy, w nim państwa nadzieje,
Leżąc u nóg Achilla, rzęsiste łzy leje.
Tamten na dwie osoby swą czułość rozdziela,
Już płacze ojca, znowu płacze przyjaciela.
Spólne ich narzekania i płacz pomieszany,
Smutném echem namiotu powtarzały ściany.
Pofolgowawszy sercu łzami obfitémi,
Wstał, i podając rękę, podniósł starca z ziemi;
Wzruszyła go poważna głowa, broda siwa,
Nakoniec się do niego w tych słowach odzywa:
„O nieszczęśliwy starcze! coś ty nędzy zażył?
Jakeś się sam przez obóz grecki przejść odważył?
Ażebyś przed obliczem rycerza się stawił,
Którym cię tylu synów walecznych pozbawił?
Gdyś to zrobił, z żelaza kute serce w tobie.
Lecz siądź, uspokójmy się obadwa w żałobie.
Na co się mamy dręczyć? próżne nasze smutki,
Żadne z nich dobre dla nas nie wynikną skutki.

Smutek dostali ludzie od bogów podziałem,
Oni się tylko cieszą szczęściem doskonałém.
Dwoiste pod Jowisza tronem jest naczynie,
Z jednego złe, z drugiego dobre dla nas płynie.
Czyje losy z obudwu naczyń Jowisz miesza,
Tego naprzemian smuci, naprzemian pociesza.
Komu ze złego czerpa, ten skazan na nędzę,
W ohydzie, wzgardzie, smutną ciągnie życia przędzę,
Błąka się, pod ciężarem zgryzoty się trudzi,
Równie znienawidzony od bogów i ludzi.
Dla Peleja bogowie szczodrzy od początku,
Zdziwiał wszystkich skarbami, wielkością majątku,
I przemożném się berłem nad Ftyoty chlubił;
Choć śmiertelny, boginię za żonę poślubił.
Ale mu niebo w innym uskąpiło względzie,
Tronu jego potomstwo po nim nie osiędzie.
Jednego spłodził syna, i ten prędko zginie.
Oto pędzę dni smutne w dalekiéj krainie,
Żadném nie będąc wsparciem dla starego ojca;
Tu siedzę twój niszczyciel, twych synów zabójca.
I na ciebie bogowie wylali swe dary,
Co tylko dzierzy Lesbos, gdzie rządził Makary,
Frygia i Hellespont, toś wszystko posiadał,
Nadto świetne i liczne potomstwo Bóg nadał.
Lecz twoje szczęście w jednéj nie trzyma się mierze,
Wre bój przy murach miasta, giną wam rycerze;
Znoś więc, żaden od nędzy nie wyjęty człowiek,
Przytłum w sercu boleści, i otrzyj łzy z powiek;
Bo nie odzyskasz syna, który już w Erebie,
Nie cofniesz go, a płaczem gubisz jeszcze siebie.

Poczet znakomitszych Autorów.

Albertrandy . str. 120
Bentkowski . . . - 257
Bernatowicz . . - 139
Bielski . . . . . - 37
Bohomolec . . . - 191
Bogusławski . . - 331
Borowski . . . . - 314
Brodziński . . . - 101
Chodźko . . . . - 360
Czacki . . . . . - 160
Czartoryski . . . - 208
Czech . . . . . - 313
Długosz . . . . - 127
Dmóchowski . . - 424
Drużbacka . . . - 365
Feliński . . . . - 383
Fredro (Max.) . - 222
Fredro (Alex.) . - 377
Gaszyński . . . - 332
Godebski . . . - 298
Golański . . . . - 274
Górecki . . . . - 375
Górnicki . . . . - 222
Grzegórz (z Sanoka) 304
Hejdensteju . . - 112
Jachowicz . . . - 2
Janicki . . . . . - 238
Jundził . . . . - 90
Karpiński . . . - 315
Kniaźnin 328
Kochanowski . . - 319
Kołłontaj . . . - 246
Konarski . . . . - 206
Kopernik . . . - 306
Kopczyński . . str. 270
Koźmian . . . . - 379
Krasicki . . . . - 76
Kruszyński . . - 341
Kublicki . . . . - 322
Łaski . . . . . - 329
Lelewel . . . . - 45
Leszczyński (St.) - 45
Linde . . . . . - 196
Łubieński . . . 112
Lubomirski . . - 234
Małachowski . - 200
Mickiewicz . . . 408
Molski . . . . . - 402
Morawski . . . - 357
Naruszewicz . - 116
Niemcewicz . . - 66
Odyniec . . . - 412
Osiński . . . . - 366
Ossoliński . . - 196
Petrycy . . . . - 41
Piramowicz . . - 294
Poczobut . . . - 107
Potocki St. . . - 289
Rzewuski . . . - 199
Sarbiewski . . - 153
Sękowski . . . - 125
Skarbek . . . . - 323
Skarga . . . . . - 41
Sniadecki, Jan. - 310
Sniadecki, Andr. - —
Skop . . . . . - —
Słowacki . . . - —
Sowiński . . . - 332
Sobieski . . . str. 200
Sołtykowicz . . - 95
Starowolski . . - 42
Staszic . . . . . - 103
Szymanowski . . - 193
Szyrma (Lach) . - 110
Tańska . . . . . - 2
Tomicki . . . . - 50
Trembecki . . . - 396
Twardowski . . - 65
Tymowski . . . - 343
Węgierski . . . - 393
Wężyk . . . . . - 147
Witwicki . . . . - 323
Witelliusz . . . - 57
Wolski . . . . . - 9
Woronicz . . . . - 297
Wojcicki . . . . - 232
Wyrwicz . . . . - 197
Wyszkowski . . - 128
Wujek . . . . . - 220
Załuscy . . . . - 210
Zaleski . . . . . - 332
Żółkowski . . . - 13

Almanach lubelski - 97
Maciéj z Jędrychowa 216
Pamiętnik lwowski 322
Pustelnik . . . . - 103
Śmieszek . . . . - 18
Skarbiec . . . . - 53
Tygodnik . . . . - 28
Tygodnik petersb. - 152
Ziemomysł 88
Wanda 75

Biblioteka Główna w Poznaniu Uniw. im. A. Mickiewicza

BOOKKEEPER 2008
BG0485448

Wypożycza się
tylko do czytelni

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
UNIWERSYTETU A.M. w POZNANIU
464077